

LAVINIA PETTI

ZŁODZIEJ Z MGŁY

Powieść przywodząca na myśl atmosferę dzieł Carlosa Ruiza Zafóna.
„Il Venerdì di Repubblica”



Niezwykła podróż
w poszukiwaniu
utraconych wspomnień,
która zachwyci wielbicieli
Jonathana Carrolla,
Neila Gaimana
i Michaela Ende.



FILIA

LAVINIA PETTI

ZŁODZIEJ
Z MGŁY

Przełożyła Agnieszka Poczyńska-Arnoldi

FILIA

Książka ta miała dwa życia.

*Na początku przeznaczona była dla Antonia,
pierwszego z Zagubionych Dzieci,
i dla Marii, której udało się go odszukać.*

*Teraz dedykuję ją również Fulwiowi –
budowniczemu domów i odważnemu podróżnikowi
oraz Teresie, która mówiła wieloma językami,
zanim zapomniała, jakie nosi imię.*

Wstęp

Trawa na wzgórzu oddycha. Ponoć ten, kto w chłodne zimowe noce wslucha się w jej tchnienie, usłyszy zapomniane od lat opowieści. Historie niezwykłych ludzi, którzy żyli krótko i odeszli na zawsze, zniknęli pogrzebani na cmentarzu niepamięci.

Jestem jedną z tych zapomnianych historii. Kiedyś ktoś wybrał dla mnie najgorszy rodzaj śmierci... Wtedy właśnie przestałam istnieć.

Antonio M. Fonte

Krople deszczu uderzały o zaparowane szyby baru. Za oknem przesuwały się postacie przechodniów, rozmazane jak na fotograficznej kliszy. Po chwili pospiesznie znikaly we wnętrzach zatłoczonych sklepów i lokali, by przeczekać aż niebo wypłacie się i rozpromieni. Nagła ulewa w środku słonecznego dnia to zdarzenie dość nieoczekiwane, marzec lubi jednak płatać figle, a wtedy niejedno okazuje się zaskakująco możliwe.

W kącie baru, pośród rzędów stolików i krzeseł, w ciżbie rozhisteryzowanych nastolatek, sfrustrowanych biznesmenów i znudzonych kelnerek, dostrzec można było niesforną masę czarnych loków, przetykaną pojedynczymi srebrnymi kosmykami. Spod skołtunionej czupryny wystawał czubek okazałego nosa, zwieńczony przekrzywionymi okularkami.

Skupiony nad kartką papieru mężczyzna nie zauważył drepczącej wokół niego osóbk.

– Czy szanowny pan ma może jeszcze na coś ochotę? – Poirytowany ton nie wróżył pokojowych zamiarów.

Mężczyzna nawet się nie poruszył i sprawiał wrażenie, jakby nie usłyszał pytania.

– Halo, mówię do pana. – Kelnerka o pełnych kształtach żuła gumę w rytm

muzyki i poruszała energicznie wydatną szczęką. – Proszę pana! – dodała po chwili. – Proszę pana, bar jest pełen klientów, a pan wypił mleko już godzinę temu! – Nalegała, tupiąc przy tym nogą.

Zaskoczony mężczyzna podniósł wzrok.

– Niech się pani przesunie, zasłania mi pani światło. – Przemówił znużonym tonem i, nie bacząc na jej narzekania, wrócił do przerwanej czynności.

Zdumiona kelnerka, która nie była zła z natury, otworzyła szeroko oczy i zastanawiała się, czy człowiek ten był niedosłyszający, czy zwyczajnie nierozgarnięty, a może i jedno, i drugie. W przypiływie litości postanowiła zostawić go w spokoju i oddaliła się, miarowo przeżuając.

Mężczyzna odetchnął z ulgą, zadowolony, że uda mu się ukończyć rękopis jeszcze dziś po południu. Naturalnie czas już minął. Tekst miał być gotowy przynajmniej dwa tygodnie temu. A może nawet cztery, któż to wie, ale niestety nie okazało się to możliwe. Nie dalej niż w zeszłym miesiącu jakiś legwan dostał się do środka i wywrócił mu do góry nogami całe mieszkanie. Nieoczekiwanie wyskoczył z szafy w sypialni i zdemolował, co popadło. Potem pognął do łazienki, przycupnął na otwartej muszli klozetowej i ześlizgnął się w jej czeluści. Kiedy Antonio Fonte opowiedział tę historię swojemu agentowi, biedny Leopoldo Saetta nawet nie próbował z nim dyskutować i zrezygnowany poszedł do domu.

Od tamtego czasu minęło kilka tygodni. Legwan pławił się już prawdopodobnie w wodach oceanu, a Antonio wreszcie zakasał rękawy i zabrał się do pracy. Jak zwykle, pisał ręcznie. Wielu uznałoby to za dziwactwo, ale on nigdy nie odstępował od tej żelaznej zasady. Nie lubił komputerów – zresztą one również miały go w głębokiej pogardzie – i nie ufał maszynom do pisania. Uważał, że ich denerwujący stukot był przyczyną obłędu, na który pod koniec życia cierpiała większość XX-wiecznych pisarzy.

Przepisywanie dzieł powierzał w ręce nieznane. Takie miewał kaprysy, ale któż jeśli nie on mógł sobie na nie pozwolić? Od przeszło piętnastu lat wszystkie jego powieści dawały gwarancję wydawniczego sukcesu, choć dla niego nie miało to większego znaczenia. Właściwie nic już nie miało dla niego znaczenia. Pilnował tylko, by nazwisko „Antonio M. Fonte” zostało poprawnie wydrukowane na okładce. Niemal obsesyjnie udzielał w tej sprawie instrukcji każdemu wydawcy, ale na pytanie, co oznacza tajemnicza litera „M”, wciśnięta między imieniem a nazwiskiem, konsekwentnie odmawiał wyjaśnień. Uwielbiał również zamieszczać zagadkowe dedykacje, zrozumiałe jedynie dla tego, dla kogo były przeznaczone. Adresatką okazywała się zazwyczaj jego ulubienica Calliope – na wpół niewidoma syjamska kotka.

Antonio podniósł wzrok znad kartki papieru i rozejrzał się po pomieszczeniu. Jego smoliste owadzie oczy, pomimo upływu czasu, zachowały jeszcze dziecięcy wyraz i blask. Parsknął z niezadowoleniem – dopiero teraz uświadomił sobie, że

lokal był niemal oblężony. Nigdzie nie można zaznać spokoju! Nawet kawiarnie nie dawały już schronienia. Stłoczeni ludzie hałasowali niemiłosiernie, w pomieszczeniu zrobiło się gorąco i czoło miał zroszone potem. Nie chciało mu się już dłużej tu siedzieć, zwłaszcza że jakiś cocker spaniel uznał jego nogę za suczkę i już od kilku minut się o nią ocierał, a siedząca za plecami pisarza zdołowana czternastolatka głośno utyskiwała na życie, przeklinając dzień, w którym przyszła na świat.

– Ludzie są chorzy. Jeśli nie na ciele, to na umyśle – po raz tysięczny powtórzył pod nosem Antonio, który od ludzi wolał trzymać się z daleka. – Mama zawsze powtarzała, że szaleństwo to choroba zakaźna. Wtem raptownie uniósł dłoń i dopisał coś w dole strony, po czym zebrał stos kartek, wyrównał jego brzegi o blat stołu i raz jeszcze rzucił okiem na ostatnie zdanie.

Czas minął.

Cyganie z Deraszkał wędrowali przez dwa tysiąclecia, by zdjąć klątwę starą jak świat.

Nikommu z ich rodu nie było dane oglądać wschodów słońca.

Brzmiało niezłe. „Pierwsze i ostatnie zdanie powieści stanowi połowę jej sukcesu”, pomyślał Antonio i podniósł się gwałtownie z krzesła. Krzesło runęło na podłogę, zahaczając o stolik, który uderzył w plecy siedzącego obok staruszka. Pod wpływem ciosu sztuczna szczeka wpadła mu do cappuccino.

Nieświadom wywołanego spustoszenia, Antonio zostawił na stole pięć centów napiwku i zniknął za drzwiami baru. Dopiero po wyjściu na ulicę dotarło do niego, że pada deszcz. Uragając na marcową pogodę, osłonił głowę gazetą i, posapując, rzucił się w stronę nadjeżdżającego autobusu.

Ku jego zaskoczeniu pojazd był pełen ludzi, ale oni go nie interesowali. W przeciwieństwie do każdego szanującego się pisarza, nie zwracał uwagi na bliźnich. Obojętne mu były ich historie, słowa czy charakterystyczne gesty. Spoceni, stłoczeni i poszarzali, z głowami pochylonymi nad telefonami najnowszej generacji, marzyli tylko o niedzielnym meczu piłki nożnej, pełnym brzuchu i dobrze schłodzonym piwie. Inaczej by ich tutaj nie było, nie jeździliby co wieczór zapchanym autobusem. Czym mogła zwrócić jego uwagę skulona na siedzeniu staruszka, która przeżegnała się w momencie, gdy C16 minął kościół Santa Maria Apparente? Antonio spoglądał dalej i widział więcej. Podświadomie wychwytywał szczegóły niezauważalne dla zwykłych śmiertelników, a banalne detale, takie jak okruszki wafelka na brodzie siedzącego obok mężczyzny, zielona plamka w prawym oku spoglądającej w jego stronę kobiety czy zadrapania na nadgarstkach przytrzymującej się poręczy uczennicy – niewątpliwie właścicielki niesfornego kota – w ogóle nie przyciągały jego uwagi. Wszystkie one stanowiły fragmenty

cudzych historii i nie miały dla niego znaczenia.

Całkowicie oderwany od rzeczywistości, czerpał inspirację ze snów. Codziennie wieczorem, przed przystąpieniem do pisania, odprawiał ten sam rytuał. Wypijał szklanekę ciepłego mleka, wsuwał do ust wykałaczkę i pieścił futerko swojej jedynej muzy Calliope. Potem rozsiadał się wygodnie w głębokim fotelu i, ściskając w dłoni stary i niepasujący już do żadnych drzwi klucz z odłamaną końcówką, zasypiał. W chwilach błędnego odprężenia, kiedy zwolniony z obowiązków mózg mógł swobodnie cieszyć się nieograniczonymi możliwościami połączeń synaptycznych, przenosił się do krainy wspomnień. Zdarzało się, że klucz wysuwał mu się z uspijonych dłoni i spadał na ziemię, wydając przy tym delikatny dźwięk. Wtedy Antonio budził się i w stanie zawieszenia między jawą a snem zaczynał tworzyć. Przez uchylone drzwi do świata marzeń obserwował oniryczne wizje i miraże, które wbrew wszelkiej logice jawiły się wyraźne, wręcz namacalne. Potem wystarczało przelać je na papier i sukces murowany.

Choć nie zawsze tak bywało. Miał bowiem w przeszłości trudny okres, który na szczęście trwał bardzo krótko. Gdy w wieku dwudziestu sześciu lat był już za stary, by rozpocząć studia, a także niewystarczająco atrakcyjny, żeby ożenić się z jakąś podstarzałą miliarderką, postanowił wsiąść do pociągu i wyruszyć na północ. Włóczęgając się po Europie, dotarł w końcu do Natzwiller, małej miejscowości w Alzacji, liczącej około sześciuset dusz i okrytej smutną sławą usytuowanego w jej pobliżu – mniej więcej w odległości strzału z karabinu – jedyne na terytorium Francji obozu koncentracyjnego. Z wrodzonego zamiłowania do horroru i grozy osiedlił się właśnie tutaj i zatrudnił się jako makijażysta nieboszczyków. Przez osiem lat terminował na usługach Śmierci, pudrując policzki francuskich zmarłych. W tym czasie, nie mając nic lepszego do roboty, ożenił się i po dwóch latach rozwiódł, ponieważ doszedł do wniosku, że trudno jest budować szczęście małżeńskie przy tak słabej motywacji.

W ciągu ośmiu lat spędzonych w tętniącej życiem Natzwiller Antonio Fonte nigdy nie przestawał pisać. Pasję tę odkrył w sobie całkiem nieoczekiwanie – pewnego poniedziałkowego popołudnia, gdy umierał z nudów – ale zarazem czuł, że tkwiła w nim ona od zawsze, stanowiła jego nieodłączną część, jak mały palec u nogi lub ręki. „Prawdziwy pisarz”, powtarzał, „nigdy nie zastanawia się, kim chce zostać – on to po prostu wie”. Pisał więc z wewnętrznej potrzeby i właściwie niespecjalnie zależało mu, by inni czytali jego historie. Wolałby zatrzymać je dla siebie, jak klejnoty zbyt drogocenne, by obnosić się nimi publicznie.

Pamiętał, że w młodości kochał ludzi i lubił z nimi przebywać. Przyglądał się im i pisał o nich. Robił to dla przyjemności i z dziecięcej ciekawości świata. Coś pękło w nim po rozwodzie. Miał trzydzieści cztery lata i, rozczarowany ulotnością życia oraz powszedniością śmierci, uznał, że jest uczulony na istoty ludzkie. Wrócił do Włoch i, zabarykadowawszy się w czterech ścianach swojego

dawnego mieszkania, utonął w świecie wyobraźni. Zaczął tworzyć zupełnie inne opowieści, oderwane od życia wytwory fantazji. Przez długi czas dostęp do niego miała jedynie Calliope. W pewnym momencie postanowił jednak ujawnić się przed światem i wkrótce jego nazwisko – „Antonio M. Fonte” – dotarło na literacki Olimp.

W pobliżu centralnej stacji kolejki linowej Funicolare wyskoczył z autobusu i zniknął w labiryncie zaułków dzielnicy Quartieri Spagnoli. Podążał wypełnionymi światłocieniem uliczkami. Czuł chłód bijący od mokrych trawników oraz zapach starych i przesiąkniętych stęchlizną kamienic. Skręcił w prawo i szybkim krokiem ruszył w kierunku niewielkiego placu Rosario di Palazzo, gdzie przeszło dwieście lat temu, a więc na długo zanim on się tu osiedlił, mieszkała sławna portugalska pisarka. Stamtąd dotarł do wąskiej jak kiszka uliczki Santa Teresella degli Spagnoli i, ledwie umykając przed grupą rozpędzonych na skuterach gówniarzy, zatrzymał się pod numerem siódmym. Umieścił klucz w zamku zacienionej bramy prowadzącej do zaniedbanej rudery, która nawet w czasach swojej największej świetności musiała wyglądać przytłaczająco. Na ukrytym wśród mizernych pnączy maleńkim domofonie nie mieściły się nazwiska lokatorów, więc przy każdym numerze mieszkania zaznaczono zaledwie ich inicjały. W przypadku Antonia figurowały dumnie litery „A.M.F.”.

Pod czujnym okiem ciekawskich sąsiadek, wyciągających przez okna nieproporcjonalnie długie w stosunku do zwiotczałych ciał szyje, przekręcił klucz i pchnął bramę. Odpowiedziała przeciągłym skrzypieniem, a w ciemnym korytarzu, na wpół zalany deszczem i z przeciekającą kanalizacją, ujrzał bladą i skurczoną postać dozorca – pana Nicotiany. Rozpoznałby go nawet na tamtym świecie po zapachu drażniącej nozdrza mieszanki tytoniu i kawy, którą z pewnością przesiąknięta była również jego dusza.

– Znowu te listy, panie Fonte! Listy!

– Jakże znowuż listy, mój drogi Goffredo?

– Są wszędzie, są po prostu wszędzie! – wykrzykiwał pan Nicotiana, machając przy tym rękami, a gdy Antonio, pokonawszy zaułek korytarza, zobaczył, co go tak turbowało, nie był w stanie odmówić mu racji.

Naprzeciw drzwi do jego mieszkania zalegała góra korespondencji: zapieczętowanych listów, porozdzieranych paczek i osuwających się po stosie kartek. Goffredo Nicotiana nie przestawał denerwować się i pokrzykiwać, aż w końcu zaaferowany poślizgnął się na pliku kopert i gdyby nie Antonio, niechybnie by się przewrócił.

– Już od tyłu dni je dla pana odkładam! Obiecuje pan, że po nie przyjdzie, i co? I nic. A tu każdego ranka przychodzą następne. Chce pan zobaczyć, jak wygląda teraz moja dyżurka? Palca nie można wcisnąć! Jak pan ma w nosie swoich fanów, to ja też mam pana gdzieś! Dość już tego! A moja żona... Ooo, tylko niech

pan nie udaje teraz niewiniątka, panie Fonte. Niech pan nie robi takiej miny. Pan dobrze wie, o co chodzi! I powiem więcej, moja żona też ma już tego dość! Zapowiedziała mi, że albo pozbędziemy się tych listów, albo ona pozbędzie się mnie. A teraz ja mówię do pana, panie Fonte, albo zrobi pan porządek z tymi szpargałami, albo ja wreszcie rozprawię się z panem! – wyrzucił z siebie jednym tchem dozorca i, purpurowy z wściekłości, stał ze zmarszczonym czołem i założonymi na piersiach rękami. Nie spuszczał wzroku z Antonia, kręcącego się nieporadnie wokół sterty korespondencji z wyrazem twarzy kogoś, kto w deszczowy dzień zapomniał ściągnąć pranie z linki.

– W tej sytuacji to wolałbym już pozbyć się tych listów – wydukał niepewnie Antonio.

– Szuja z pana! – warknął dozorca i miał już zamiar się oddalić, ale odwrócił się jeszcze i pogroził mu palcem. – I jak mówię, żeby usunąć, to znaczy, że definitywnie.

– A może znalazłoby się miejsce na stry... – Pisarz nie zdążył dokończyć zdania.

– Powiedziałem, że definitywnie! Rozumie się czy nie? – dorzucił kategoriycznie pan Nicotiana, po czym obrócił się na pięcie i oddalił marszowym krokiem.

Antonio westchnął zasepiony, ale kiedy przekroczył progi swojego zapuszczonego mieszkania i zamknął ostrożnie drzwi, bacząc, by kotka nie wymknęła się znowu na ulicę, postanowił natychmiast zapomnieć o tym niemiłym incydencie. Listy pozostały nietknięte.

Genève Poitier

Leopoldo Saetta, krępy człowieczek o szybkich ruchach, pachniał świeżym praniem i wodą kolońską, a jeszcze zanim osiwiiał, zdążył kompletnie wyłysieć. Nosił przy sobie trzy telefony komórkowe i co pięć minut kontrolował czas. Miał szczerlnie wypełniony terminarz i grafik napięty do absolutnego maksimum. Posiadał również wyjątkowy dar wszechobecności. Potrafił umówić się o tej samej porze na dwóch odległych krańcach miasta i stawić jednocześnie w obu tych miejscach, a przynajmniej tak Antonio lubił to sobie wyobrażać. Od dnia, w którym Saetta został agentem literackim Antonia Fontego, przybyło mu jeszcze raz tyle obowiązków. Bywało, że musiał opiekować się bujającym w obłokach pisarzem i ratować go z opałów, gdy ten, na przykład, susząc pranie w kuchence mikrofalowej, puszczał z dymem pół kuchni.

Owego marcowego popołudnia, w siedem minut i dwadzieścia sekund po otrzymaniu telefonu od Antonia, Leopoldo Saetta był już w mieszkaniu pisarza i popijał przygotowaną mu przez niego herbatę, a raczej herbatopodobny napój o smaku wody, cukru i przypalonej prażonej kukurydzy.

– Mam nadzieję, że teraz uwiną się z przepisywaniem. Trochę już zawaliliśmy terminy.

– Ech, tylko o miesiąc – odrzekł zadowolony z siebie Antonio, głaszcząc Calliope.

– Robisz postępy – przyznał Leo i zerknął na zegar z kukułką, zawieszony na drzwiach do łazienki. – Czy mógłbym... czy mogę rzucić okiem na rękopis powieści?

– Masz zamiar dłużej posiedzieć? – spytał Antonio.

– Jeśli nie będę ci przeszkadzał, oczywiście... Mógłbym poczytać w twoim gabinecie.

– Niestety, to niemożliwe. To nie jest mój gabinet, zresztą od lat jest zamknięty – odparował Antonio, a Leo aż podskoczył ze zdziwienia. Pisarz próbował sprowadzić rozmowę na inne tory. – Ten zegar to wielki oszust. Z każdą upływającą minutą jego wskazówki przesuwają się o dwie minuty do tyłu. Jest już bardzo późno.

– Jasne, jasne. – Leo pojał aluzję, cedząc żółtawy płyn z filiżanki. – Jesteś pewien, że nasypałeś tu herbaty?

Antonio podniósł się z tapczanu i, wyjąwszy mu z rąk naczynie, wylał jego zawartość do umywalni.

– A kto powiedział, że to herbata? – odburknął nadąsany.

– No, faktycznie, nikt – zgodził się uprzejmie Leo.

Już od dłuższego czasu nurtował go pewien problem, ale nie wiedział, jak go zakomunikować Antoniowi. W końcu jednak się przełamał.

– Musielibyśmy pogadać o promocji twojej książki. Trzeba by zorganizować jakieś wywiady i prezentacje...

Antonio nie pozwolił mu nawet dokończyć.

– Znasz mnie od lat i wiesz, że cierpię na dysleksję emocjonalną. Nie umiem przemawiać publicznie. Pomysł, by pisarz objaśniał czytelnikom własne książki, nie ma sensu, to urąga naszej pracy. Czy ty naprawdę nie czujesz, o co chodzi? – Przerwał mu, z grymasem zniechęcenia na twarzy.

Leo nic nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko tajemniczo i umieścił rękopis w eleganckiej skórzanej walizeczce z wytłoczonymi w lewym dolnym rogu inicjałami. Spojrzał na zegarek i postukał palcami w jego tarczę.

– Założę się, że już późno – zawyrokował Antonio, odprowadzając go do drzwi.

– Zawsze jest późno. Choćbyś miał ocean złota, nie kupisz nawet kropli czasu – oświadczył Leo i poprawił swój karmazynowy krawat z miną człowieka interesu.

– Pamiętaj o dedykacji. Gdyby nie Calliope, nigdy bym nic nie napisał – poinstruował go z powagą Antonio. – To dla mnie bardzo ważne. No, i oczywiście o nazwisku. Wiesz, jak mi na nim zależy.

– Jasne. „Antonio M. Fonte”. Spoko.

– Słyszałeś, że zarówno u mnichów tybetańskich, jak i wśród ludów Etiopii każdy członek społeczności w czasie inicjacji wybiera sobie sekretne imię i posługuje się nim w kontaktach z siłami nadprzyrodzonymi?

– Noo, ciekawa sprawa.

– Natomiast u Irokezów imiona wszystkich członków poszczególnych klanów umieszczane są na specjalnych listach w taki sposób, aby dwie różne osoby nie nosiły tego samego imienia. Czuwają nad tym strażnicy imion. Irokezi wierzą również, że zapomnienie imienia danej osoby może spowodować jej śmierć, a pamięć o nim może przywrócić jej życie.

– Zawsze miło do ciebie wpaść, Antonio. Można dowiedzieć się tylu nieprzydatnych rzeczy! – podsumował entuzjastycznie Leo i skierował się do wyjścia, obiecując, że oddzwoni w sprawie rękopisu. Nie zwrócił uwagi na chichot Antonia, czule głaszczącego Calliope.

– O, Antonio, byłbym zapomniał! – Leo przyblokował drzwi stopą obutą w mahoniowy mokasyn.

– Nie zapomnij, że w poniedziałek idziemy na kolację. To przecież twoje urodziny.

Zamyślony pisarz wznosił oczy do sufitu.

– Które? Czterdzieste drugie?

– Nie, stary byku, pięćdziesiąte. – Leo sprowadził go na ziemię, wykrzywiając z przekąsem usta.

– A, prawda – skwitował Antonio i zatrzaskał mu drzwi przed nosem. Odetchnął z ulgą. Wreszcie był sam – bez rozhisteryzowanego stróża, przeżuwającej kelnerki oraz zestresowanego i stresującego menedżera.

Rozsiadł się w fotelu i, nie dbając o wystające z niego sprężyny, zajął się lekturą encyklopedii. Dotarł do litery D, ale po dziesięciu sekundach doszedł do wniosku, że efekt Dopplera go nie interesuje. Przez jakiś czas siedział beczynn timer, wpatrując się w próżnię, aż w końcu znudzony przewrócił stronę.

Czuł się zmęczony i nawet nie miał ochoty na swoje ulubione czynności – naukę pisania od prawej do lewej strony kartki czy całonocną grę na starym flipperze, od lat stojącym w kącie pokoju. Pomyślał, że mógłby zadzwonić do Mai, dziewczyny w trudnym do określenia wieku, mieszkającej w sąsiedniej kamienicy. Od czasu do czasu lubił się z nią spotykać, ale potem uświadomił sobie, że wcale nie był pewien, jak miała na imię. Maja, a może Maria... albo Sonia?

– Nikt ci nie każe zwracać się do niej po imieniu – burknął pod nosem i wstał, by chwycić za telefon.

Wybrał numer, ale po kilku sygnałach odezwała się automatyczna sekretarka. W ten sposób dowiedział się, że dziewczyna miała na imię Lukrecja. Lukrecja? Co to w ogóle za imię?

Gdy owładnięty przemożnym poczuciem pustki odkładał słuchawkę, dojrzał rozrzucone na komodzie rodzinne fotografie. Jedna z nich przedstawiała jego rodziców. Antonio był bardzo podobny do ojca, po matce odziedziczył jedynie dołek na brodzie, krótkowzroczność i kilka wydzierganych na szydełku pledów. Na innym, odwróconym do góry nogami zdjęciu widniała jego była żona Marguerite, francuska bibliotekarka, dla której ślub z Antoniem był jak wdepnięcie w rozmokłą na deszczu psią kupę. Antonio celowo zachował jej fotografię. Dodawała mu otuchy w chwilach załamania. Za każdym razem, gdy myślał, że sięga już dna, wystarczało spojrzeć na to zdjęcie, by przypomnieć sobie, że najgorsze miał już za sobą. Najbardziej rozczuliła go podobizna małej Calliope, z której wзираła para oczu żółtych jak nefryt. Nie na długo zachowały się one w komplecie. Samowolna kotka lubiła często wymykać się z domu i w czasie jednej z eskapad straciła oko – prawdopodobnie w walce z ulicznym gołębkiem. Od tamtego czasu Antonio wyprowadzał Calliope na smyczy. Nie chciał pozbawiać jej możliwości spacerów, a poza tym nic nie dawało mu większej satysfakcji niż zdumione spojrzenia przechodniów na widok maszerującego na postronku kotka.

Antonio pamiętał, że zrobił to zdjęcie w dniu, w którym otrzymał Calliope w prezencie z okazji swoich trzydziestych szóstych urodzin, ale nieoczekiwanie to wspomnienie wprawiło go w zakłopotanie. Nie rozumiał, skąd nagle pojawiło się w jego głowie, skoro zawsze uważał, że znalazł kotkę na ulicy – przycupniętą w pobliżu jakiegoś bezdomnego – i uratował przed lodowatym zimnem. Trzymał fotografię w dłoni i uważnie jej się przyglądał.

– Skąd ty się wzięłaś, do czorta? – zwrócił się do kocicy łaszącej mu się do nóg. Dawała mu w ten sposób do zrozumienia, że jej miska jest pusta, a gdy pisarz nie reagował, wskoczyła zwinnie na komodę i drasnęła go w rękę. Wyrwany z zamyślenia Antonio wykonał gwałtowny ruch i zrzucił oprawione w ramkę zdjęcie na podłogę.

– A niech cię, Calliope! – wybuchnął, spychając zwierzaka z komody. – Jak jeszcze raz mnie tak przestraszysz, to ci wyłupię drugie oko!

Poirytowany, pobiegł obmyć rękę. Dlaczego Maja nie odbierała telefonu? Lukrecja, na imię jej Lukrecja. Co za imię! Mogłaby zająć w odwiedzin. Zjedliby razem kolację, a może nawet spędzili wspólnie noc... Ot, tak, dla towarzystwa. „Na szczęście mam jeszcze Calliope”, pocieszał się w duchu.

– Głupia kocica! – krzyknął rozdrażniony, gdy po powrocie do salonu zastał ją krążącą wśród kawałków rozbitego szkła. – Zrobisz sobie krzywdę – dodał, odganiając kota delikatnym kopnięciem. Posprzątał odłamki i zamierzał odłożyć fotografię, kiedy na podłogę osunął się arkusz papieru. Czyżby wypadł spod zdjęcia? Schylił się po niego, nie mając pojęcia, co kryje. Był to portret i Antonio nie potrafiłby opisać słowami uczucie, jakiego doznał, gdy jego wzrok spotkał się ze spojrzeniem uwiecznionej na nim dziewczyny. Coś w nim nagle zawyło. Jeżeli mógłby o tym komukolwiek opowiedzieć, to użyłby właśnie takiego określenia. I nie był w stanie wyjaśnić, skąd się ten portret u niego wziął.

Antonio zdawał sobie sprawę, że miał wiele wad. Był ekscentryczny i dziwaczny, notorycznie gubił przedmioty, potykał się i przewracał, był niezdarny i roztargniony. Nie używał grzebienia, nie znał się na modzie ani na elektronice, ale jednego nie można mu było zarzucić – braku pamięci do ludzkich twarzy! I teraz był całkowicie przekonany, że tego oblicza nigdy w swoim życiu nie widział. Obraz był wyjątkowo realistyczny. Czarnobiały, wykonany węglem. Jedyne włosy kobiety pokolorowano na zielono.

Niestety, dziewczyna z portretu sprawiała wrażenie smutnej i zasępionej. Miała podkrążone oczy i zmarszczone brwi.

– Osoby szczęśliwe spoglądają inaczej – powiedział sam do siebie. – Osoby szczęśliwe śpią spokojnie.

Nagle coś go tknęło i odwrócił portret.

Czerwiec 1999 roku

*Tirnaill[1] to Królestwo Rzeczy Utraconych, nie pozwól, bym i ja tam trafiła.
Pamiętaj o mnie i o Kryształowej Nocy.
Kocham Cię, Genève Poitier.*

Antonio kilkakrotnie przebiegł wzrokiem po niezrozumiałym zdaniu i jak w transie powtarzał słowa: „Tirnaill, Genève Poitier, Tirnaill, Genève Poitier”. Nie miał bladego pojęcia, co mogły one oznaczać i kim była ta tajemnicza kobieta. Nadal nie opuszczało go rozdzierające poczucie pustki i tęsknoty, jakby uświadomił sobie, że nie pożegnał się z kimś, kogo kiedyś bardzo kochał.

Ze stanu otępienia wyrwało go narastające miauczenie, a kiedy się ocknął, skonstatował, że Calliope – jak przystało na prawdziwą kobietę – w odwecie za brak uwagi zostawiła mu na bucie przykrą niespodziankę.

[1] Nazwa utworzona przez autorkę. Tirnaill, miejsce utraconych wspomnień, pochodzi od irlandzkiego słowa *turnagog*, oznaczającego wieczną młodość – przyp. tłum.

Zapomniany list

Szóstego marca skończyły się wreszcie trwające od kilku dni ulewne deszcze. Słońce przeświecało przez wąskie szczeliny między budynkami i, przedarłszy się przez gąszcz anten i kominów, powoli docierało również do Vico Santa Teresella degli Spagnoli, gdzie zapleśniała kamienica pod numerem siódmym tonęła jeszcze w oparach wilgoci.

Dzień swoich pięćdziesiątych urodzin Antonio rozpoczął pracowicie. Od samego rana wnosił na strych worki pełne listów. Zmusiła go do tego żona dozorczy, która w końcu osobiście pojawiła się na progu jego mieszkania. Tego dnia otrzymał jeszcze więcej korespondencji niż zwykle: życzenia urodzinowe, portrety bohaterów swoich książek, rysunki przedstawiające mityczne krainy, tanie bibeloty i, wyszperane na pchlich targach, nikomu niepotrzebne pamiątki. Naturalnie pani dozorczyńni zakazała mu wstępu na poddasze, ale Antonio puścił jej uwagi mimo uszu. Posiadał szczególną umiejętność usuwania z pamięci wszystkiego, o czym chciał zapomnieć.

Kiedy już po raz kolejny tego ranka wsiadł do windy i wcisnął klawisz z numerem piątym, jego uwagę przykuł na wpół wyrwany szósty guzik. „Szóste piętro?“, zdumiał się jak zawsze, kiedy spoglądał na niepotrzebny przycisk, podczas gdy winda, skrzypiąc i pojękując, wznosiła się z wolna ku górze. Przecież w tej kamienicy nigdy nie było żadnego szóstego piętra! Istniał parter, gdzie niepodzielnie panował Nicotiana I, potem piętro, a na nim zapyziałe lokum Antonia Fontego; tuż powyżej drugie piętro – opustoszałe i od lat zamieszkałe jedynie przez duchy z przeszłości, a następnie niczym niewyróżniające się piętra: trzecie i czwarte. Było też oczywiście poddasze, na którym najstarsza córka rzeźnika umawiała się na rozbierane randki i gdzie Antonio nielegalnie przechowywał listy. Ale szóste? Już wiele razy zastanawiał się, dlaczego w ogóle umieścili ten guzik. Któregoś dnia zagaił nawet o to pana Nicotianę.

- To przycisk na taras – odparł mu tamten lakonicznie.
- Ale tu nie ma tarasu.
- Czy naprawdę musi się pan ciągle czegoś czepiać, panie Fonte? O co panu właściwie chodzi?! – wkurzył się dozorca.

Zbity z tropu Antonio postanowił nie ciągnąć tematu, zresztą był przekonany, że nawet pan Nicotiana nie miał pojęcia, do czego służył przycisk.

Otworzył drzwi i stanął na progu strychu wypełnionego słonecznym światłem. Rzucił na podłogę worek z listami. Na szczęście już ostatni. Winda była zajęta, postanowił więc zejść schodami. Gdy zbiegał w dół, przeskakując po dwa stopnie jak dwudziestolatek, natknął się na pana Nicotianę, który z obrażoną miną mył podłogę brudnym mopem, i zanim Antonio zdążył w ogóle się odezwać, ten wręczył mu kolejny stos korespondencji.

– Teraz przyszły. Wydawało mi się, że jasno się wyraziłem, panie Fonte. Strych nie jest pana prywatną skrytką!

– Ależ ja nie korzystam ze strychu, panie Nicotiana – odparł tajemniczo Antonio.

– Nie? – Dozorca zmarszczył brwi. – No to gdzie pan powynosił te listy?

– Na szóste piętro. Wreszcie odkryłem, dokąd dojeżdża winda.

– I dokąd? – Zbity z pantałyku Nicotiana wybałuszył oczy.

– Na taras. – Uśmiechnął się Antonio, szepcząc mu odpowiedź do ucha.

– Ale tu nie ma żadnego tarasu. – Szczeka dozorca opadła niemal do podłogi. – Czy jest?

Antonio zachichotał, a dozorca wyraźnie stracił grunt pod nogami. W końcu pisarzowi zrobiło się go żal i wyrwał mu z ręki plik listów.

– Zaraz coś z nimi zrobię – przemówił pojednawczo.

– To znaczy co? Zaniesie je pan na taras? – wybąkał pan Nicotiana.

– Na jaki znowu taras?! – Antonio odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem do mieszkania, pozostawiając skonfundowanego stróża na niezamieszkałym przez nikogo drugim piętrze. Mieszczący się tu lokal już od lat stał pusty. Swego czasu pisarz wyraził nawet chęć jego zakupu, z przeznaczeniem dla... Calliope. Miał nadzieję, że w ten sposób utemperuje jej eskapistyczne zakusy, zwłaszcza że odkąd sięgał pamięcią, kotkę coś do tego miejsca przyciągało. Gdy wymykała się z domu, Antonio nierzadko znajdował ją drapiącą pazurkami w drzwi tego właśnie apartamentu. Transakcja nie doszła jednak do skutku, ponieważ pisarza przerosły sprawy notarialne. Sam termin „umowa kupna-sprzedaży” przyprawiał go o dreszcze i w końcu dał sobie spokój, a Calliope nie pozostawało nic innego, jak na próżno dobijać się do pustego mieszkania.

Po powrocie do siebie Antonio zabrał się za rozmrażanie dwóch kawałków ryby nad palnikiem kuchenki gazowej i przy okazji postanowił spalić kilka listów. Przypomniawszy sobie również, że miał zadzwonić do starego dobrego Leopolda i umówić się z nim na dzisiejszy wieczór. Wszak pięćdziesiątka to w końcu pół wieku.

„Zamierzał ponoć zaprosić dwóch, trzech znajomych”, rozmyślał Antonio, nadpalając jednocześnie jeden z listów. „Nie miałem pojęcia, że znam aż tylu ludzi”. Smużka dymu jak duszek wznosiła się do sufitu, a pomieszczenie wypełnił zapach spalenizny. „W sumie wolałbym spotkać się z Mają czy jak jej tam. Pójść

na pizzę i do kina, i potem może...”. Nagle jego uwagę przykuł pewien zastanawiający szczegół. Właśnie nadpalił brzeg kolejnego listu, ale natychmiast ugasił płomień. W nikłym świetle przykurzonej lampy z niedowierzaniem odczytał nazwisko nadawcy: „Antonio M. Fonte”. Wytrzeszczył ze zdziwienia oczy, bez cienia wątpliwości rozpoznał własny, kulfoniasty charakter pisma.

– Przecież ja od lat do nikogo nie piszę... – wymamrotał pod nosem. Odwrócił przesyłkę i znalazł nazwisko adresata. „Genève Poitier”. Znowu ona. Ta kobieta z portretu.

Rozdarł kopertę i wydobył jej zawartość, snując przy tym najbardziej absurdalne domysły. Rzeczywistość przekroczyła jednak jego oczekiwania. To było jego pismo, a u dołu listu widniał bez wątpienia jego podpis. Antonio rozłożył arkusz i odczytał umieszczoną w górnym lewym rogu datę: 17 grudnia 1999 roku. Piętnaście lat temu. Znalazł list, który napisał własnoręcznie półtorej dekady wcześniej do jakiejś obcej kobiety, a teraz zawarte w nim słowa materializowały się pod jego spojrzeniem.

Do Genève Poitier

Nieważne, czy kiedykolwiek przeczytasz ten list. Przypuszczam, że raczej nigdy do tego nie dojdzie, cieszę się jednak, że w ogóle mogę do Ciebie napisać, Gen... To taka moja „spowiedź życia”, albo może „furtka”.

Wszystko zaczęło się podczas Kryształowej Nocy, 10 sierpnia 1990 roku. Może mi nie uwierzysz, ale kiedy po raz pierwszy Cię zobaczyłem, poczułem, że wreszcie dotarłem do celu. Raptem ujrzałem całe moje życie jako drogę, która mnie do Ciebie doprowadziła. Rozstaje, na których zastanawiałem się, jaki obrać kierunek, każdy zakręt i ślepy zaułek, wydający się wówczas jedynie stratą czasu... ułożyły się w końcu w jedną idealną całość. Każda chwila istniała po to, by przybliżyć mnie do Ciebie. Właśnie tam, w tej małej miejscowości, w czasie Święta Wody, gdzie tak pięknie grałaś na wypełnionych wodą kryształowych kieliszkach.

Tamtej nocy snułem fantastyczne opowieści o spadających gwiazdach, bajałem ci o wróżkach i myszach budujących pod łózkami zamki z gorgonzoli, o delfinach mówiących językiem wielorybów... Ty opowiedziałaś mi o odległych lądach, a ja ujrzałem je odbite w twoich oczach i wydały mi się niezwykle piękne, piękniejsze nawet niż w rzeczywistości, ponieważ zakłęte w Twoim spojrzeniu.

W pewnym momencie, jakby odgadując przyszłość, powiedziałaś coś bardzo ważnego. Powiedziałaś, że o wiele gorzej jest stracić pamięć, niż zachować wspomnienia, że trzeba więcej odwagi, żeby zapomnieć, niż żeby pamiętać.

Do dziś żałuję, że wsiadłem do pociągu i odjechałem. Żałuję, że odnalazłem Cię dopiero wtedy, kiedy już nie pamiętałaś ani o mnie, ani o naszej wspólnej nocy. Czasem to wszystko wydaje się takie nierealne i myśl, że być może w ogóle się nie wydarzyło, napętnia mnie beznadzieją. Przez ostatnie dziewięć lat codziennie

rozmyślałem o Tobie i o tamtej nocy, Gen. Wspomnienia wypełniały światłem moje najsmutniejsze chwile i dlatego tak ciężko będzie mi się z nimi rozstać.

Miałaś rację, trudno jest żyć bez wspomnień i bez przeszłości, ale prawdziwym piekłem może być również pamięć.

Zastanawiałem się zawsze, jak można żyć z widmem przeszłości i jednocześnie stawiać czoła przyszłości, własnym ograniczeniom, i godzić się z tym, co nieuniknione. Nie można. I chyba dlatego się umiera. Nie starzejemy się z powodu upływu czasu, ale ponieważ upadamy pod ciężarem własnych wspomnień i przeżyć.

Świadomość tego, kim jestem i co uczyniłem, doprowadza mnie do szaleństwa. Czuję się jak potępieniec skazany na wieczną tułaczkę, zawieszony między obłędem i rzeczywistością. Od dawna jestem więźniem tego dziwnego miejsca... Od tamtej nocy, albo może po prostu od dnia, w którym przyszedłeś na świat... Proszę jednak, nie zrozum mnie źle, nie obwiniam Cię za to, ponieważ to właśnie dzięki Tobie, Genève Poitier, doświadczyłem cudu.

Kilka godzin temu pomyliłem drogę i nieoczekiwanie znalazłem się w mieście, w którym ulice nie mają nazw. Tam, w tajemniczej wieży, miejscu dalekim i jednocześnie bliskim, spotkałem pewnego człowieka, który w ogóle nie powinien istnieć. Nazywa się Kolekcjoner, w każdym razie ja lubię tak się do niego zwracać. Wszystko mu opowiedziałem, Gen, o mnie, o nas, o moim ojcu i o jego zagubionych historiach, a on odrzekł, że ma dla mnie jedną szansę, która nazywa się Tirnaïl, czyli Królestwo Rzeczy Utraconych.

Mój ojciec przez całe życie powtarzał, że musi istnieć jakaś prawda na tym świecie. A gdyby tak okazało się, że miał rację? Może Kolekcjoner nie kłamał? Może Tirnaïl nie było jedynie przywidzeniem czy próżną obietnicą, ale rzeczywistością taką samą, jak wszystkie inne? Może wreszcie będę miał okazję uwolnić się od wspomnień ciężkich jak metalowe płyty?

Tirnaïl... Trudno jest uwierzyć w istnienie czegoś, co wykracza poza nasze codzienne doświadczenie, a jednak nie można tego wykluczyć. To, co znamy, jest ograniczone, to, czego nie znamy, jest potencjalnie nieskończone. Może po raz ostatni chciałbym uwierzyć, że na tym świecie pozostał jeszcze jakiś okruch magii.

Kolekcjoner był zaskoczony, kiedy powiedziałem mu, że nie szukam czegoś, co zgubiłem, ale że pragnę pozbyć się czegoś, co odnalazłem... i co głęboko mnie poruszyło. Miałem na myśli moje życie. Oczywiście nie wszystko było w nim beznadziejne, ale aby wyeliminować katastrofalne skutki niektórych moich posunięć, będę musiał wymazać też niektóre czyny oraz przyświecające im intencje. Będę musiał o wszystkim zapomnieć. Nawet jeśli oznacza to utratę Ciebie, nawet jeśli w ten sposób skazę mojego ojca na to, czego zawsze najbardziej się obawiał...

Zabiłem człowieka, Gen, i świadomość tego czynu odbiera mi siły.

Kiedy przed chwilą wszedłem do domu pełnego wspomnień, nagle zdałem

sobie sprawę, jak bardzo jestem sam. I wtedy zrozumiałem, że jutro rano obudzę się i już nie będę Cię pamiętał. Zapomnę na zawsze Twoje włosy w kolorze leśnego runa, twoje szalone pomysły, kryształowe kieliszki i wreszcie tę noc... I wszystkie następne, które po niej nastąpiły. Zapomnę Twoje oczy, Gen...

Kiedyś poprzysiągłem sobie, że nigdy nie skazę Cię na więzienie w Tirnaill. Wybacz, ale nie mogę dotrzymać obietnicy.

Wiem, że trudno Ci będzie to zrozumieć, ale nie szukaj mnie, nie szukaj odpowiedzi. Pozwól tylko, bym zapomniał Twoje imię, Genève Poitier, jakkolwiek by ono brzmiało.

W ponurej kanciapie czas na chwilę się zatrzymał. Być może na zewnątrz nadal toczyło się życie, ale tutaj nie. Pisarz podniósł głowę, nie był w stanie ogarnąć myśli. Calliope wpatrywała się w niego swoim jedynym okiem, które miało teraz chłodny i niemal rozumny wyraz. Spoglądała w sposób mu do tej pory nieznanym, jakby z trudem powstrzymywała się przed wyjawieniem jakiejś okrutnej prawdy.

Biuro Rzeczy Zagubionych

Jesień 1971 roku

– Anto’ ja muszę iść do pracy. Obiecałeś, że zaprowadzisz go do szkoły i teraz musicie już wyjść, jeszcze trochę i się spóźnicie. Słyszysz, co mówię, Anto’? Antonio?

Mama dobija się do drzwi gabinetu i żąda odpowiedzi, ale jej nie otrzyma. Potem odwraca się i spogląda na syna. Dziecko siedzi za kuchennym stołem, zza którego widać jedynie czubek jego głowy. Wbija w matkę szeroko otwarte oczy, wielkie i ciemne jak przestrzeń między dwiema odległymi gwiazdami. Potem przenosi wzrok na drzwi pracowni i próbuje się skoncentrować. Używa do tego całej siły umysłu. Czytał w komiksach, że właśnie tak odprawia się czary, a tata powiedział, że trzeba też koniecznie w nie uwierzyć, w przeciwnym razie nic się nie uda.

– Antonio! – Teraz mama podnosi już głos.

„Otwórzcie się”, dziecko prosi w myślach, aby drzwi gabinetu rozwarły się i wypuściły jego ojca. „Otwórzcie się i pozwólcie wyjść tacie. Nie wieźcie go tam!”.

Widocznie za mało się stara. Drzwi pozostają zamknięte jak paszcza jakiegoś potwora, a tata siedzi w jego trzewiach, trawiony przez zatrute soki. Wyobrażenie takiej sceny mogłoby okazać się nawet zabawne, gdyby nie było takie prawdziwe.

Jego matka ma już dosyć dobijania się do zamkniętego pokoju. Doskakuje do synka, wrywa mu z rąk filiżankę mleka i z wściekłością wrzuca ją do zlewu, roztrzaskując na kawałki. Warczy coś pod nosem, dławi się łzami i z furią chwyta dziecko za ramię. Chłopczyk jęczy z bólu i wie, że znowu będzie miał siniaka, ale zaciska zęby i czuje, jak powoli kurczy się w środku. Mama jest rozjuszona i dziecko boi się, że jeszcze trochę, a samo wyląduje w umywalce, roztrzaskane na kawałki. Ale dzieci nie są z porcelany i o ósmej rano muszą być gotowe do wyjścia. Umyte i uczesane, w czystym fartuszkach i z porządnie spakowanym tornistrem.

Matka wywleka go z domu w dzielnicy Quartieri, z tego samego, w którym na domofonach umieszczono tylko inicjały lokatorów, ponieważ nie starczyło miejsca na ich nazwiska. Widocznie mieszkający tam ludzie żyją tylko połowicznie.

– Tata znowu źle się czuje? – pyta chłopczyk.

– Tata źle się czuje od czasu, kiedy stracił pracę.

– A może ja mógłbym znaleźć mu nową?

Matka uśmiecha się, choć nie jest jej do śmiechu.

– Tata oprócz pracy stracił również rozum. I nie pozwala sobie pomóc. Ten twój tata jest uparty jak osioł.

– Ja mogę mu pomóc. Umiem przecież znajdować różne rzeczy.

Matka go nie słucha. Zapala papierosa i oboje wspinają się po stromej ulicy Salita Cariati, u szczytu której stoi budynek szkoły. Już z daleka słyszą dziecięce głosy. Odliczanki i nawoływania wypełniają wilgotne poranne powietrze. Dookoła ścieli się lekka mgła, ciepła jak flanelowy koc.

Mama zostawia chłopca za bramą obrośniętą bugenwillą – kiedy tata był jeszcze zdrowy, powiedział mu, że te fioletowe to nie płatki, tylko liście – i upewnia się, czy nauczycielka go zauważyła. Matka musi przemierzyć teraz całą dzielnicę Quartieri i dotrzeć do hotelu w pobliżu portu. Pracuje tam jako kelnerka, ale bardzo nie lubi tego zajęcia.

– Mamo, dzieciaki się ze mnie śmieją – wyrzuca z siebie chłopczyk przy pożegnaniu.

– No, dobrze. A teraz posłuchaj, co ci powiem. Tacie prawdopodobnie nie uda się odebrać cię dziś ze szkoły, a ja nie chcę, żebyś czekał na mnie przez dwie godziny z tym gburowatym woźnym tak jak w zeszłym tygodniu. Zwolnię się na pół godzinki i przyjdę po ciebie po siedemnastej, dobrze?

– Mamo! – Chłopiec rzuca się na nią, a jego oczy ciemne jak pusta przestrzeń między dwiema odległymi gwiazdami wypełnione są wstydem. – Dzieciaki się ze mnie wyśmiewają!

– I co z tego? Ty też się z nich śmiejesz! Pamiętaj, żeby oddać zawsze z nawiązką. Przecież jesteś inteligentnym dzieckiem, prawda?

Chłopiec potrząsa głową. Właśnie, że nie jest. A jeśli nawet, to jest zbyt spięty i niepewny siebie, by tego dowieść.

– Powiedz to wychowawczyni. – Matka ucina dyskusję, a potem w pośpiechu oddala się, biegnie spóźniona do swoich spraw.

Powiedzieć wychowawczyni? Jak lizus albo donosiciel? To by mu dopiero dali! Już bez tego szczypią go i gryzą, gdy nikt z nauczycieli nie patrzy. Dla nich jest tylko synem pijaka, który zszedł na psy. Nie. To niech już lepiej się wyśmiewają. W sumie na ich miejscu robiłby to samo.

Drwią również z jego imienia. Dostrzega ich z daleka. Posyłają mu szydercze całusy przez szybę i wymachują różowym fartuszkiem. W czasie przerwy obiadowej siłą go w niego ubiorą. Jeśli odmówi, nałożą mu na talerz błota albo nasikają do tornistra. Nie ma nic gorszego niż mieć na imię Antonio Maria i mieszkać w dzielnicy Quartieri Spagnoli.

Antonio opłukał twarz w restauracyjnej łazience. Przez moment obserwował

swoje odbicie w lustrze. Nieproporcjonalnie wielki nos, siwiejące włosy i kilka zmarszczek, oznaczających, że nie tylko był już dorosły, ale powoli zaczynał się starzeć.

– Szpetny jesteś – powiedział sam do siebie. – Nigdy nie byłeś ładny, ale dziś prezentujesz się gorzej niż zwykle.

Potem wyjrzał przez zakratowane i obrośnięte bugenwillą okno łazienki. „Te fioletowe to liście, a nie kwiaty”. Szlag by trafił bugenwillę i wszystkie związane z nią wspomnienia. Szlag by trafił szczyzny gówniarzy w tornistrze, szlag by trafił rozbuchane, czerwone serduszka namalowane na ławce i opatrzone podpisem „laluś” albo „baba”. A przede wszystkim szlag by trafił list, który znalazł dziś rano.

Antonio umył ręce i spojrzał na wiszący na ścianie zegar. Restauracja była bardzo stylowa i miała nawet zegar w łazience. Bogaci muszą bez przerwy kontrolować czas. Świetnie, był tu od siedemnastu minut, a więc już na tyle długo, by wrócić do stolika.

Wszedł do sali i zaczął przeciskać się między stołami. Najpierw zahaczył o futro jakiejś posągowej piękności, a potem zderzył się z kelnerem, który upuścił na ziemię całe naręczce talerzy. Z zamieszania skorzystał mały pudełek i rzucił się w stronę wątróbki z cebulką, żeby zdążyć, zanim kelner uprzątnie ją z podłogi.

Kiedy Antonio dotarł na miejsce, na twarzach oczekujących na niego od siedemnastu minut dwóch, trzech znajomych pojawił się wymuszony uśmiech.

– Za dużo się zjadło, co? – zagałi beczliwy wymoczek, trącąc go przy tym porozumiewawczo łokciem, ale Antonio w ogóle nie zareagował. Nagle wystrzelił przed nim korek od szampana, uwalniając aromatyczny obłok.

– Sto lat, wszystkiego najlepszego! – Życzenia Leopolda Saetty i dwóch, trzech facetów, których po raz pierwszy widział dziś na oczy, zabrzmiały płasko i bezbarwnie. Antonio nie próbował się nawet uśmiechnąć, a jedynie przyjął z ręki siedzącego po jego lewej stronie gościa podarowany mu na szczęście korek od szampana.

– Dziękuję, Annibale.

– Naprawdę na imię mi Federico – poprawił go mężczyzna.

– Annibale brzmi ładniej – odparł Antonio i nie miał już ochoty kontynuować rozmowy.

Pisarz nie pojmował, dlaczego Leo przyprowadził tych nieznanomych prostaków na jego pięćdziesiąte urodziny. Jedli z otwartymi ustami, mlaskali i parskali jedzeniem na kościane guziczki swoich szytych na miarę, szykownych koszul. Rozmawiali tylko o żarciu, opowiadali o flakach i o domowej roboty makaronach, o oblewanych czekoladą szaszłykach z owadów i podrobach z cieląt mlecznych.

Już dawno nic nie zrobiło na nim takiego wrażenia! Przez całe popołudnie zastanawiał się nad listem sprzed piętnastu lat, który nie wiadomo skąd pojawił się

w jego poczcie. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek go napisał, i to do kobiety, która, w najlepszym przypadku, mogła być tylko wytworem jego wyobraźni.

Genève Poitier musiała być tą zielonowłosą kobietą z portretu. Ale kim ona była? Starał się przypomnieć sobie rok 1999. Od tamtego czasu minęło już piętnaście lat. Co takiego mogło się wtedy wydarzyć? Antonio niczego nie kojarzył. Pamiętał jedynie, że wrócił akurat z Natzwiller i nie zajmował się jeszcze pisaniem powieści. Właściwie niczym się wtedy nie zajmował, a jedynie spał, jadł i oddychał. Żył w stanie zawieszenia, w impasie, w sytuacji bez wyjścia i bez wspomnień.

– Jakiś markotny jesteś, przyjacielu. – Najstarszy z całego towarzystwa i wyblakły niczym eksponat muzealny jegomość poklepał go poufale po plecach. – Ciesz się i raduj, kończysz dzisiaj pięćdziesiąt lat! O co ci właściwie chodzi? Zupełnie cię nie rozumiem.

– Widocznie nie potrafisz – odciął się Antonio. – Jestem geniuszem, a geniuszy trudno jest zrozumieć.

– Ho, ho, ho, proszę, jaki skromniś! Czasami lubi się tak popisywać. – Próbował zażartować skrępowany tą sytuacją Leo. – Dla nas, zwykłych śmiertelników, bezmyślne wpatrywanie się w widok za oknem jest tylko stratą czasu, a dla twórcy to chwile najbardziej wytężonej pracy. Pisarz zarabia na życie, wyobrażając sobie, że żyje.

– Dobrze to ująłeś, Leo. – Swoją aprobatę wyraził jeden z dwóch, trzech znajomych, wielki, żarłoczny grubas, który sprawiał wrażenie, jakby miał zaraz pęknąć. To by dopiero było!

– Musisz jednak przyznać, Antonio, że niewielu literatów ma agentów, którzy organizują im przyjęcia urodzinowe! – Kokietował go Leo, a Antonio pomyślał, że najchętniej wyeliminowałby wszystkich agentów i wszystkie przyjęcia. Nie chcąc jednak sprawiać mu przykrości, zmusił się do śmiechu, ale zabrzmiał on tak nienaturalnie, że speszony menedżer spuścił w końcu wzrok.

– No jasne, ze świecą nie znajdziesz drugiego takiego agenta! – huknął grubas. – Nikt nie funduje kolacji urodzinowych ani nie odwiedza co tydzień swoich autorów...

– Co to jest Tirnaill? – przerwał mu Antonio, nie zauważywszy nawet, że z siedzącej obok góry sadła wydobył się przed chwilą jakiś głos. Podniósł wzrok i wodził spojrzeniem po współbiesiadnikach w poszukiwaniu odpowiedzi.

Mężczyźni nie wiedzieli, jak zareagować. Na szczęście Leo, który był już przyzwyczajony do tego typu wyskoków, raz jeszcze rzucił się na ratunek.

– Może to jakieś centrum handlowe albo coś w tym rodzaju, nie wiem...

Antonio uniósł ze zdziwienia brwi. To ci dopiero!

– Ja też sądzę, że to musi być jakieś miejsce – uściślił pisarz. – Ale nie mam pojęcia, gdzie się ono znajduje.

– Tirnaïl, powiedziałaś? – zastanawiał się siedzący po jego przeciwnej stronie wysoki, wymizerowany mężczyzna, gładząc się po brodzie. – Mam wrażenie, że to w Holandii.

– Doprawdy?

– Tak, jestem przekonany, że to w Holandii. Zdaje się, że w okolicach Dublina.

Antonio postanowił nie drażnić już tego tematu. Nawet pan Nicotiana miał lepsze pojęcie o geografii.

Po chwili zastanowienia spróbował w inny sposób.

– A kim jest Genève Poitier?

Leo wznosił oczy do sufitu, udając, że próbuje sobie coś przypomnieć.

– Nie mam pojęcia... może to jakaś aktorka?

– Nazywa się jak jakaś lala z agencji towarzyskiej – zarechotał grubas i wlał sobie do gardła kieliszek wina.

– Założę się, że ma pan w tych sprawach niemałe doświadczenie – odparował Antonio, a zaskoczony grubas o mało nie zakrztusił się falanghiną[2].

Przy stole zapadła krępująca cisza, przez którą powoli przebijała tłumiona do tej pory niechęć. Antonio nie był aż tak roztargniony, żeby tego nie zauważyć.

– Panowie wybaczą, ale niestety muszę się oddalić. W domu czeka na mnie piętnastoletnia kotka syjamska. To obraźliwa kicia i czasem bywa agresywna, dlatego za nic w świecie nie chciałbym jej się narazić. Zwłaszcza z powodu takich głabów jak wy – wypalił bez ogródek, po czym ściągnął serwetkę z kolan i cisnął nią ze złością o krzesło. Pospiesznie pożegnał się z Leo i, nie bacząc na zdębiałych z wrażenia jegomościów, opuścił lokal. Na zewnątrz dopadł go ostry chłód. Ruszył przed siebie ulicą prowadzącą w dół od restauracji, zadowolony, że znowu był sam. Opustoszałe miasto spowijały ciemności. Wtulił brodę w pomarańczowy szal i wsunął dłonie do dziurawych kieszeni. „Wygryzły mi je myszy”, pomyślał całkiem serio. Nic nie zwiastowało rychłej wiosny.

Gwiazdy białe jak mleko świeciły na niebie, z którego, jak wyobrażali sobie starożytni Grecy, właśnie zostały stworzone. Wyglądały jak miliony świetlików przyklejonych do ogromnej ciemnej płachty, pulsowały jakby chciały się od niej oderwać. Nie spuszczać oczu z majestatycznej kopuły nieba, strażniczki wszystkich sekretów, Antonio podążał w stronę domu. W kościach czuł przenikliwy ziąb, porywisty wiatr podrywał sterty zeschniętych liści.

Przemierzał sieć zaplątanych ulic, raz po raz napotykał podpitych bezdomnych i grupki młodzieży włóczące się w poszukiwaniu ulotnych przyjemności. Szedł ulicą wzdłuż morza, w nocnej ciszy rozchodził się jedynie odgłos jego kroków i dudnienie przejeżdżającego gdzieś daleko tramwaju. Pograżony we własnych myślach, nie zwracał uwagi na ciszę i mrok. Po głowie tłukły mu się tajemnicze słowa: „Tirnaïl, Genève Poitier, Tirnaïl, Genève Poitier”.

Całe popołudnie spędził dziś w Bibliotece Narodowej. Mijał właśnie jej monumentalny gmach – nocą mroczna sylwetka budynku wyglądała jeszcze bardziej niesamowicie niż zwykle. Przeglądając niezliczone ilości książek, wierzył, że dokopie się do jakichś informacji – gdzieś przecież musiało istnieć to Tirnaïl – niczego jednak nie wyszperał. Ogarnęło go przygnębienie, gdy odkrył, że nawet książki mogą sprawić zawód.

Po wyjściu z biblioteki wrócił do domu, opróżnił wszystkie szafy i szuflady, pudła i skrytki pod kafelkami, przetrząsnął całe mieszkanie, omijając jedynie zamknięty od lat gabinet. Miał nadzieję odnaleźć jakieś ukryte tajemnice, demony z dalekiej przeszłości. Może dodatkowe zdjęcia Genève albo kartkę z jej adresem, ale na nic nie trafił. Zupełny brak przeszłości, jakby nigdy nie istniała. Jedyнным dowodem był ten portret i stary list, którego Antonio nauczył się już niemal na pamięć.

Najbardziej nie dawały mu spokoju dwa słowa i ilekroć przebiegał po nich wzrokiem, paliły w oczy jak piach. Zabiłem człowieka. Co to miało znaczyć?

„Dlaczego się tak tym zadręczam?”, pomyślał w końcu, zdając sobie sprawę z niedorzeczności nękających go od kilku godzin obaw. „Wrócę teraz do domu, prześpię się, a jutro będzie już po wszystkim. Przecież ja nikogo nie zabiłem. Nikogo nie zabiłem”.

– Ja nikogo nie zabiłem! – krzyknął nagle na całe gardło i rozejrzał się z nadzieją, że ktoś usłyszy i potwierdzi jego słowa.

Z początku niczego nie zauważył, ale kiedy doszedł do światła na przejściu dla pieszych, zorientował się, że pomylił drogę. To nie była ulica prowadząca do jego domu. Podążając za własnym cieniem rzucanym na szare i odrapane ściany budynków starego miasta, znalazł się na jakiejś szerokiej i niemal nieoświetlonej przecznicy. Z całą pewnością nie była to Via Roma. Nie znalazł tam banków, sklepów i kamienic, gdzieś podział się również teatr, historyczny pasaż handlowy, bary i uliczni artyści. Nigdzie nie widział placu Piazza del Plebiscito, nie wspominając już o maleńkim skwerze Augusteo, który po prostu rozplynął się w nicości. Jego dzielnica Quartieri... też gdzieś przepadła.

Szukał tabliczki z nazwą ulicy, ale kiedy wreszcie ją dostrzegł, okazało się, że była zamalowana na czarno, widocznie jakiś wandal pomazał ją sprayem. Pomyślał, że najlepiej będzie po prostu zawrócić, przecież nie mógł zająć za daleko. Pocierając dłońmi o ramiona, próbował się rozgrzać. Postanowił dotrzeć do miejsca, w którym pomylił drogę. Kręcił się w tę i w tę, rozglądał na wszystkie strony, ale nie rozpoznawał żadnego z opustoszałych i ciemnych budynków oraz od lat nieczynnych już kawiarni. Nie było również sensu wypatrywać nazw ulic – wszystkie tablice zamalowano na czarno. Dookoła nie było żywej duszy! Na próżno wyczekiwał choć jednego przechodnia, ucieszyłby się nawet na widok przypadkowego złodziejzka z ukrytą pod kurtką atrapą broni; i tak nie miał przy

sobie nic prócz długopisu i kawałka sznurka, który nie wiadomo jakim cudem znalazł się w jego kieszeni.

Nagle zauważył cień dziwacznej postaci, prześlizgujący się wzdłuż bram kamienic. Osoba ta przemieszczała się z taką szybkością, że okrywający ją czarny płaszcz pod wpływem pędu uniósł się i nadymał.

– Przepraszam, czy mógłby się pan zatrzymać? – zawołał Antonio, przyspieszając kroku. – Proszę pana, halo, proszę pana!

Nieznajomy nie zareagował i w końcu Antonio, pchany jakąś zewnętrzną siłą, ruszył za nim w pogoń. Podążał śladem tajemniczego człowieka, który prowadził go po wąskich zaułkach nieznanego, opustoszałego miasta. Przez chwilę biegali w kółko, przemierzając labirynt tych samych ulic, aż w końcu zagadkowy jegomość, prawdopodobnie znudzony ciągłym krążeniem wokół tej samej piekarni, skręcił w bok i pognął w stronę długich pograżonych w ciemności schodów, zwieńczonych u podnóża ślepą uliczką. Antonio zawahał się, ale potem ruszył za nim. Pokonując ostatnie stopnie, przystanął osłupiały.

Przed nim wyrosła nagle majestatyczna, kamienna wieża. Spowita w kłęby mgły, pięła się wysoko w niebo. U jej szczytu widniał ogromny zegar zupełnie pozbawiony cyfr, który sprawiał, że budowla wyglądała jak gigantyczny cyklop. Przez zaparowane szyby na jej pierwszym piętrze majaczyły rozedrgane płomienie świec. Nieznajomy mężczyzna zniknął za drzwiami twierdzy, a ich skrzywienie przytłumiło dochodzący z oddali dźwięk dzwonka. Antonio przecierał ze zdziwienia oczy, zastanawiając się, czy to jawa czy sen. Przez chwilę był przekonany, że śpi. To tylko sen, za chwilę się obudzi. „Wystarczy policzyć do trzech”, przekonywał samego siebie, ale nawet kiedy dorachował do trzydziestu, wokół nic się nie zmieniło. Zdezorientowany, uczynił krok w stronę wieży. Już wcześniej zauważył umieszczony na niej napis, ale nie potraktował go poważnie. Uznał, że to tylko złudzenie, aberracja jego nadwyrężonego pracą i emocjami umysłu, ale wyblakły szyld ciągle tkwił w tym samym miejscu, pojawiał się i zniknął w migoczącym świetle: „Tirnaïl. Biuro Rzeczy Zagubionych”.

– Wreszcie cię odnalazłem – wyszeptał z niedowierzaniem, a jego cień zawibrował, być może na znak zgody. Drżącymi palcami chwycił za mosiężną gałkę i uchylił wrota. Po plecach przebiegł mu dreszcz i nie wiedział, czy to z wewnętrznego poruszenia, czy może z powodu przeciągu, który poderwał firanki i pogasił świece. Oszołomiony, przystanął na progu. Usłyszał dobiegający z wysoka delikatny dźwięk dzwoneczka, a potem donośny głos wezwał go do zamknięcia drzwi. Antonio ocknął się i natychmiast wykonał polecenie. W półmroku dojrzał postać starej tęgiej kobiety odzianej w znoszony prochowiec, spod którego wystawała flanelowa piżama. Wygodnie rozpostarta w zniszczonym fotelu niewiasta wyciągnęła przed siebie gołe, owłosione i pokryte pęcherzami nogi.

– Kogo nam tu dziś licho przyniosło? – Starowina wysunęła do przodu ogromną twarz, mrużąc jednocześnie oczy, które wyglądały jak rozedrgane szparki. Przypominała starą żółwicę. – Pana nazwisko, poproszę!

Nazwisko. Pytanie niby proste, ale Antonio nie był w stanie na nie odpowiedzieć.

– Nazwisko poproszę – powtórzyła kobieta. Była przyzwyczajona do tego typu reakcji i jeszcze kilka razy powtórzyła pytanie, zanim Antonio wreszcie wydobył z siebie głos. – Antonio Fonte, pan powiada? – Kobieta przyglądała mu się z powątpiewaniem. – Czy pierwszy raz przychodzi pan do Biura?

– Tak.

– Jest pan pewien? Założę się o moje zęby, że gdzieś już pana widziałam – wysapała i rozciągnęła usta w szczerbatym uśmiechu.

– Jak pan do nas trafił? – spytała wreszcie.

– Po prostu się zgubiłem – wystękał Antonio.

– I to jest prawidłowa odpowiedź! – odparła, wykrzywiając bezzębne wargi odsłaniające pustą, ciemną szczelinę.

[2] Rześkie wino z okolic Neapolu – przyp. tłum.

Kolekcjoner

Ruchem głowy wskazała mu niewielkie drzwiczki po lewej stronie, które uchyliły się z jękiem, ukazując spiralne schody.

– Tędy proszę, niech się pan nie krępuje. – Zaprosiła go do środka.

Wspinając się w ciemnościach po stromych stopniach, Antonio był przekonany, że padł ofiarą swoich sennych wizji, ale kiedy już dotarł na miejsce, nie miał wątpliwości, że postradał zmysły. Znajdował się w głównym pomieszczeniu wieży, prawdopodobnie w jej jedynym pomieszczeniu, i dał się ponieść porywającej go fali emocji. Stał oczarowany na progu sali, a potem z rozkoszą zanurzył się w czeluściach cmentarzyska zagubionych przedmiotów.

Otoczały go niewyobrażalnie wysokie mury, wzniesione na planie ośmiokąta i zwieńczone strzelistym kamiennym sklepieniem, przyprawiającym nieomal o zawrót głowy. Główny szkielet budowli stanowiło siedem dostojnych kolumn, zdobionych gotyckimi posągami, bogato rzeźbionymi fryzami i kapitelami. Zwisające z sufitu ogromne kandelabry rzucały dookoła widmowe cienie i rozniecały mroki baśniowej komnaty, zastawionej długimi rzędami szklanych gablot i regałów pełnych przedziwnych rekwizytów. Ku zaskoczeniu Antonia, nie były to jednak drogocenne skarby, ale zwyczajne przedmioty codziennego użytku, które w tym magicznym miejscu, prawdopodobnie dzięki grze światła i cieni, nabierały znamion niezwykłości. Zgromadzono tu niewyobrażalne ilości telewizorów, książek, ubrań, biżuterii, komputerów i części samochodowych, zestawów do makijażu, butelek, zabawek i mebli... Antonio zauważył nawet kosz na śmieci i zaciekawiony zajrzał do środka. Okazało się, że wypełniony był po brzegi starymi biletami kolejowymi i autobusowymi. Spojrzał w górę, a tam dostrzegł oszalamiające wręcz ilości parasoli oraz zwisających na nylonowych sznurówkach butów nie do pary. Doprawdy, osobliwe. I choć nie był to sklep ze starociami, jako że większość towarów okazała się współczesna i zachowana w doskonałym stanie, panowała tu jednak atmosfera typowa dla rupieciarni lub składu z antykami.

– Co pan tak stoi? Zapuścił pan korzenie, panie Fonte? – Z odrętwienia wyrwał go nagle czyjś sztych ton.

Antonio zamrugał. Świat zawirował mu przed oczami, a potem uświadomił sobie, że za jego plecami stoi jakiś człowiek. Wysoki i przystojny, miał posturę

dorosłego mężczyzny i delikatną, niemal chłopięcą twarz, poprzecinaną delikatnymi zmarszczkami i okoloną bokobrodami. Na ramiona opadały mu długie ciemne włosy, a w stroju i przenikliwym spojrzeniu błękitnych oczu Antonio dopatrzył się natychmiast podobieństwa do Huckelberry'ego Finna – bohatera powieści z dzieciństwa.

– Skąd pan wie, jak mam na imię? – Zaskoczony Antonio nie zdołał wykrztusić nic sensowniejszego.

– A od czego ma się sekretarkę? – Mężczyzna o twarzy dziecka uśmiechnął się triumfująco i Antonio domyślił się, że chodziło mu o tę żółwicę z pęcherzami na nogach rezydującą piętro niżej.

– Witam pana w imieniu Rady Nadzorczej całej firmy, której jestem jedynym członkiem. Miło znów pana widzieć. – Mężczyzna odwrócił się do niego plecami i poprowadził za sobą na drugi koniec sali, w stronę ogromnego dębowego stołu, na którym stała bogato zdobiona, mosiężna waga.

– Znów? – Antonio zmarszczył ze zdziwienia brwi, ale postanowił nie przerywać zabawy, którą podsuwała mu jego własna wyobraźnia. Bawił się tu wybornie, podczas gdy tam na zewnątrz, za drzwiami Biura Rzeczy Zagubionych, panowała kosmiczna nuda.

– Oczywiście, panie Fonte. Wiele lat temu mieliśmy już przyjemność gościć pana tutaj, choć w naszym przypadku upływ czasu nie ma większego znaczenia – odparł enigmatycznie mężczyzna i oparł ręce o stół. Przed nim leżała rozpostarta ogromna księga. Wziął do ręki wieczne pióro. – Pan Antonio Fonte, prawda, że się nie mylę?

– Tak.

– Czy jest pan tego pewien? – Uniósł pytająco brew i zmarszczył czoło.

Antonio wziął głęboki wdech. Niemal od urodzenia pełne brzmienie jego imienia i nazwiska wprawiało go w zakłopotanie, jednak zebrał się na odwagę i wyrecytował: „Antonio Maria Fonte”. W tym momencie dobiegły go czyjeś szepty. Rozejrzał się dookoła. W wieży przebywali jeszcze inni ludzie. Zachowywali się cicho jak złodzieje, raz po raz pojawiali się bezszelestnie i niezauważenie znikali, ulotni jak mgła. Niektórzy z nich wdrapywali się na niebosiężne drabiny i układali towar na wysokich i spowitych mleczną mgiełką półkach.

– To moi asystenci, panie Fonte – oświadczył stojący za stołem mężczyzna. – Są niemal tak cenni jak przedmioty, których strzegą w tej wieży.

Nagle jego wypowiedź przerwał głośny świst. Antonio odwrócił wzrok i na tyłach stołu dostrzegł potężny kominek, ozdobiony posągami dwóch skrzydlatych stworów. Z okapu spadł do środka srebrny kielich, pognieciona karteczka, szczoteczka do zębów i pojedyncza skórzana rękawiczka. Starsza kobieta o wyglądzie niesympatycznej bibliotekarki pobiegła, by zebrać nowo przybyte

eksponaty.

– Czy wie pan, gdzie się teraz znajduje, panie Fonte? – Stojący za biurkiem mężczyzna ponownie przywołał jego uwagę.

– W Tirnaïl? – wydukał niepewnie Antonio.

– Och nie, proszę pana, niezupełnie. Powiedzmy, że jest to poczekalnia poprzedzająca Tirnaïl, a ja jestem tu tylko kontrolerem i decyduję, kogo przepuścić dalej.

– Dalej, to znaczy dokąd?

– Do Tirnaïl, oczywiście. – Mężczyzna otworzył księgę i przerzucał jej stronice, które wyglądały niczym skrzydła ogromnej ćmy.

Antoniowi rozszerzyły się nozdrza. Poczul zapach starodruków i pomyślał, że przypomina mu on trochę dziadków, takich w piżamie i pantoflach, którzy tak samo jak czytać książki lubią snuć opowieści.

Tom nie zawierał treści, jego strony były zupełnie puste, a może raczej uśpione. Ich przebudzenie okazało się zadaniem tajemniczego mężczyzny. Pięknym kaligraficznym pismem, takim, jakiego uczono kiedyś w szkołach, wpisał kompletne imię i nazwisko Antonia, a wtedy księga poczęła wypełniać się literami. Słowa, a nawet całe zdania materializowały się na ich oczach, wydobywając wiekowy wolumin z otchłani zapomnienia.

– Co my tu mamy... Widzę, że jest pan odrobinę roztrzepany, panie Fonte. Trochę się tego nazbierało od czasu, kiedy zgubił pan swój pierwszy smoczek, a nie dalej niż pół godziny temu zaprzepaścił pan gustowny przycisk do papieru...

– Był kiczowaty – przerwał mu Antonio. – I sprezentowały mi go osoby, od których wolałbym trzymać się z daleka – dodał, zniesmaczony na samo wspomnienie tych dwóch, trzech znajomych.

– Acha. To znaczy, że nie będzie panu przykro, jeśli zatrzymam go sobie do kolekcji? – spytał z uśmiechem mężczyzna i zaznaczył coś przy pozycji „przycisk do papieru”, zanim jeszcze Antonio zdołał wykrztusić z siebie słowo.

Antonio był naprawdę pod wrażeniem.

– Czy to pan jest Kolekcjonerem?

– Jeśli się panu podoba, to może mnie pan tak nazywać.

– Co ja tu robię?

– Przecież wie pan doskonale, panie Fonte, że się pan zgubił, a wszystko, co ulega zagubieniu, trafia tutaj. Od zawsze i na zawsze. Przedmioty, zwierzęta, osoby, marzenia, wspomnienia, odgłosy i zapachy.

Po raz kolejny przeciągły świst odwrócił uwagę Antonia. Teraz z kominka spadł pilot od telewizora oraz piórniki.

Kolekcjoner przywołał jego uwagę krótkim chrząknięciem i zachęcił, aby sam rzucił okiem na zapisy w księdze. Antonio zbliżył się do wydobytego na jego oczach z niebytu tomiszczą i delikatnie począł przerzucać jego karty, uważając, by

się nie rozpadły. Przebiegał wzrokiem po niekończących się spisach przedmiotów, o których istnieniu już nawet nie pamiętał, a które w przeszłości z pewnością do niego należały. Precyzyjnie, w porządku chronologicznym, wyszczególniono tu wszystko to, co zgubił od czasu wczesnego dzieciństwa.

Nie mógł oderwać się od lektury i z minuty na minutę oczy coraz bardziej zachodziły mu mgłą. Był tam Gatto, szmaciany dinozaur – swego czasu mama przez pomyłkę wyrzuciła go do śmieci. Bransoletka z koralików sprezentowana mu przez Nausiceę Vespucci, niepełnosprawną dziewczynkę mieszkającą w kamienicy naprzeciwko. Blaszący pistolet, prezent od dziadka, który zaginął bez śladu w czasie remontu kuchni. Maskotka Chewbacki z *Gwiezdných wojen* – wylądowała w krzakach, kiedy rzucił nią w Giorgia Sparano, a także jedwabna kokarda, którą nosiła we włosach Giulia Iodice w dniu, kiedy po raz pierwszy ją pocałował. Podarowała mu ją potem na pamiątkę, ale on już po pięciu minutach zgubił wstążkę, grając z chłopakami w piłkę.

Pisarz podniósł wzrok i przyglądał się Kolekcjonerowi. Wydało mu się, że wreszcie po latach zwątpienia i odrętwienia coś w nim odżyło.

– To jakiś żart, prawda? Kim pan właściwie jest?

– Mam wrażenie, panie Fonte, że już to sobie wyjaśniliśmy. To nie żaden żart, to nie jest wymyślona historia ani halucynacja – wycedził Kolekcjoner, poirytowany faktem, że ktokolwiek może podawać w wątpliwość jego rację bytu.

– Musi istnieć jakaś prawda na tym świecie. I to pan, panie Fonte, powinien coś na ten temat wiedzieć.

Antonio wstał i rozejrzał się dookoła. Przyglądał się z uwagą otaczającym go przedmiotom. Po raz pierwszy od momentu przekroczenia progów tego przybytku z jego głosu przebijała niepewność.

– Co to jest Tirnaill?

Kolekcjoner zbliżył się do niego; pachniał tytoniem i pluszem wyściełającym fotele w starych kinach.

– To miejsce, do którego trafiają wszystkie zapomniane przedmioty – wyszeptał mu do ucha.

Antonio poczuł dreszcz, słowa Kolekcjonera były jak powiew zimnego wiatru.

– Czy znajduje się ono w jakiejś innej wieży?

– Nie, panie Fonte. To nie wieża, to coś o wiele więcej. Ogromny stary ład, ukryty za rogiem każdej ulicy, w miejscu, w którym kończy się tęcza, dokładnie tam, gdzie noc łączy się z dniem. Powstały z zapomnianych światów, nieistniejących już miast, wyschniętych z biegiem czasu rzek i ludzi, którzy pogubili drogi i nie wiedzą, jak wrócić do domu. Biuro Rzeczy Zgubionych to tylko magazyn, rodzaj przechowalni. Każdy z was ma dokładnie dziesięć lat, aby przyjść tu i upomnieć się o zagubiony przedmiot. Po upływie tego czasu wydaję

decyzję o przeniesieniu go do Tirnaïl, gdzie otrzymuje on prawo do nowego życia.

– I nigdy już stamtąd nie wraca?

– Tirnaïl ma jedną wadę: pochłania nie tylko przedmioty, ale także osoby i ich marzenia. Owszem... kręci się tam trochę ludzi. Wielu z nich trafiło do niego przypadkiem albo nie z własnej woli. Niektórzy przybyli z nadzieją odnalezienia zagubionych przedmiotów, przegranych życiowych spraw lub utraconych z jakichś powodów bliskich osób, ale tylko niewielu udało się stamtąd wrócić. Tylko niewielu pamiętało bowiem, jak wrócić. Bywa, że ludzie tracą w życiu pamięć, panie Fonte – oświadczył Kolekcjoner i przebiegł wzrokiem po kartach książki, a na jego uroczej buzi pojawił się drwiący uśmiešek. – I z tego, co tu widzę... również pan pozostawił tam jakieś wspomnienie.

– Jak to? – Zaniepokojony Antonio z pokorą pochylił się nad księgą.

17 grudnia 1999 roku

Pamięć. Obiekt Wymiany

– Co to oznacza? – Antonio zatrzymał się przy dacie. Tej samej, która figurowała na tajemniczym liście.

– Oznacza to, że z własnej i nieprzymuszonej woli odstąpił mi pan kiedyś swoje wspomnienie, panie Fonte. Zdecydował się pan go pozbyć i zgodnie z zasadami otrzymał pan w zamian coś innego.

– Co takiego?

– Tu jest napisane: „Pan Antonio Maria Fonte stracił wspomnienie i w zamian otrzymał kota”?

Antonio nie posiadał się ze zdziwienia. Kota?

– To jest zupełnie bez sensu...

– Podzielam pana odczucia.

Kota? Jak to w ogóle możliwe...?

– Czy chodzi o Calliope? – wykrztusił z niedowierzaniem.

– Jest pan bardzo domyślny, panie Fonte.

– Do czego pan właściwie zmierza? Przecież to mój kot i doskonale pamiętam, jak trafił do mojego domu. Jestem pewien, że to nie od pana go dostałem!

– Założę się, że gotów byłby pan przysiąc, że tak było... – Kolekcjoner zachichotał na widok zdezorientowanego Antonia. – Przykro mi, panie Fonte, ale niestety nie wiem na ten temat więcej od pana samego.

Mężczyzna wskazał mu stojącą nieopodal i pobłyskującą w półmroku mosiężną wagę.

– Wielu przybywa tu w poszukiwaniu rzeczy utraconych, a ja, panie Fonte – daję słowo – jestem porządnym człowiekiem, ale tylko człowiekiem, i tak jak

wszyscy muszą z czegoś żyć, tak więc zawsze wymieniam coś na coś. Jeżeli chce pan zabrać stąd jakiś przedmiot, to proszę bardzo, ale musi mi pan oddać coś w zastaw. Jeśli chce pan odzyskać z Tirnaíl utraconą osobę, proszę bardzo, droga wolna, ale w zamian musi mi pan oddać inne życie. Wszystko ma swoją cenę i wszystko ma też odpowiedni ciężar – zakończył z tajemniczym uśmiechem, gładząc wagę czule jak żywą istotę.

– Dlaczego ktoś miałby dostać kota w zamian za jakieś wspomnienie? – Antoniowi nie mieściło się to w głowie.

Czy Calliope, jego Calliope, naprawdę została mu подарowana przez tego człowieka?

– Być może musiałby pan wyteńczyć trochę bardziej pamięć. Idę o zakład, że istnieje jeszcze wiele spraw, które mogłyby pana zadziwić, jeśli tylko miałby pan odwagę sobie o nich przypomnieć. Prawdopodobnie wyparł je pan ze świadomości, ponieważ swego czasu zbyt trudno było się z nimi pogodzić. W życiu każdego człowieka przychodzi moment rozliczenia z przeszłością, z czynów popełnionych i zaniechanych. Czasem ten bilans okazuje się nie do zniesienia, a wtedy nie pozostaje nic innego, jak po prostu o nich zapomnieć.

– Ale przecież ja nic takiego nie zrobiłem! – zawył Antonio i poczuł, że wzbiera w nim wściekłość. – Ja sobie niczego nie przypominam!

– Och, co za dziwny zbieg okoliczności. Niczego sobie pan nie przypomina, ponieważ swego czasu postanowił pan o tym zapomnieć. Życie lubi nas zaskakiwać, zgodzi się pan ze mną?

– Kto dostarcza panu te zagubione przedmioty? – Rozgorączkowany Antonio próbował zmienić temat rozmowy.

– Nikt ich nie dostarcza, panie Fonte. Przedmioty same do nas przybywają, prawdopodobnie dlatego, że czują się zapomniane i niechciane.

Kolekcjoner uniósł głowę i obserwował niebotycznie wysokie sklepienie sali oraz sięgającą samego sufitu pokrywę kominka.

– Wszystkie przedmioty docierają do nas przez komin, a w ich porządkowaniu pomagają mi moi asystenci. Oczywiście, dla mnie są oni kimś więcej niż zwykłymi pracownikami. To jednostki odrzucone przez społeczeństwo, ludzie w jakiś sposób różniący się od reszty: wrażliwi i wyczuleni na szczegóły artyści, osoby łagodne i cierpliwe, z pokorą znoszące swój los. Przyjmuję ich zawsze z otwartymi ramionami. Ich zadaniem jest odzyskiwanie zagubionych przedmiotów, które za nic w świecie nie chciałyby zostać zapomniane.

– Przedmioty nie chciałyby zostać zapomniane? – spytał Antonio z powątpiewaniem.

– A pan by chciał? – rzucił prowokacyjnie Kolekcjoner, z trudem maskując ironiczny uśmiech.

Antonio przyglądał się rozproszonym w wieży mężczyznom, asystentom

Kolekcjonera, i odniósł wrażenie, że są jedynie jego niewolnikami, marionetkami w rękach pociągającego za sznurki chytrego lalkarza, skazanymi na życie w stanie zawieszenia.

– Czy mógłbym się dowiedzieć, jakie wspomnienie panu oddałem? – próbował dociekać Antonio.

Kolekcjoner skrzyżował ręce na piersiach i Antonio wyczuł, że jego odpowiedź nie będzie szczerą.

– To wspomnienie oddał mi pan w depozyt w roku 1999, czyli dokładnie piętnaście lat temu. Tak jak już powiedziałem, zagubione przedmioty są przechowywane w naszym biurze przez okres dziesięciu lat, a następnie zostają przeniesione do Tirnaïl, i to właśnie tam już od jakiegoś czasu znajduje się pańskie wspomnienie.

– A gdybym tak zechciał ponownie wejść w jego posiadanie?

Kolekcjoner roześmiał się cynicznie.

– A gdzie? W Tirnaïl? Proszę mi uwierzyć, panie Fonte, prawie żadna z rzeczy przekraczających progi tej krainy nigdy stamtąd nie powraca.

– Ale ja muszę koniecznie dowiedzieć się, o co chodzi! Dla mnie to sprawa życia i śmierci!

– Niech mnie pan teraz dobrze posłucha, panie Fonte. – Mężczyzna zniżył głos, a w jego oczach pojawiło się zniecierpliwienie. – Tirnaïl to miejsce wielce niebezpieczne, a wspomnienia znajdują się w jego najbardziej odległym zakątku, w części zwanej Mnemozją[3]. Wspomnienia tworzą naszą osobistą historię, stanowią o naszym życiu i o tym, kim w nim byliśmy... Człowiek bez wspomnień jest jak pusty karton. A Tirnaïl – które w przeciwieństwie do tego, co sobie pan wyobraża, jest królestwem pełnym życia – wyгнаło je do najbardziej odległych prowincji. Choć, z drugiej strony, w Tirnaïl pojęcia odległości w ich tradycyjnym rozumieniu tak naprawdę nie istnieją. Określenia „blisko” i „daleko” mają zupełnie inne znaczenia, ponieważ rzeczy i miejsca zaczynają istnieć dopiero wtedy, gdy ktoś je tam napotyka.

Słowa te zupełnie otumanily Antonia, który stał nieruchomo i tępo wpatrywał się w przestrzeń.

– Ale powiedział pan, że Tirnaïl to starożytny ląd.

– Pamiętam, co powiedziałem.

– Więc jak to możliwe, że w Tirnaïl rzeczy zaczynają istnieć dopiero w momencie, gdy je ktoś napotyka?

Kolekcjoner uśmiechnął się zagadkowo.

– Owszem, ma pan rację, zwłaszcza że i tutaj sprawy mają się nie inaczej.

– Doprawdy nie sądzę. – Antonio parsknął nerwowym śmiechem.

– I robi pan błąd, panie Fonte – odrzekł Kolekcjoner, a pewność, z jaką wypowiedział te słowa, odebrała pisarzowi ochotę do śmiechu. – Osoba, której

nigdy pan nie poznał, książka, której nigdy pan nie przeczytał, i ład, na którym nigdy nie stanęła pańska stopa... Wszystko to w rzeczywistości jeszcze nie istnieje. Istnieje tylko w doświadczeniu innych osób, w ich umysłach i spojrzeniach, albo ewentualnie w naszych wyobrażeniach. Ale nic poza tym. W Tirnaïl ta niezwykła właściwość rzeczy jest jeszcze bardziej odczuwalna. Pod jednym warunkiem: najpierw trzeba się zgubić.

Kolekcjoner wypowiedział ostatnie słowa z naciskiem i Antoniowi przebiegły po plecach ciarki. Poczul się jak dziecko proszące ojca o zabawkę, na której nie do końca mu zależało. A jednak po chwili przemówił ponownie, nieco drżącym głosem.

– Błagam pana, ja po prostu muszę to wiedzieć. Zdaję sobie sprawę, że pogubiłem w życiu wiele różnych rzeczy i nie miały one dla mnie większego znaczenia. Niech je pan sobie zatrzyma, niech je pan wyśle nawet na księżyc, jeśli ma pan ochotę, ale istnieje jedna sprawa, na której szczególnie mi zależy...

Tu przerwał i przymknął oczy... Dlaczego tak bardzo mu na tym zależało? Nie potrafił odpowiedzieć sobie na to pytanie. Jeżeli to wszystko było prawdą i Tirnaïl – Królestwo Rzeczy Utraconych – rzeczywiście istniało, a on swego czasu postanowił o czymś zapomnieć, to widocznie miał ku temu powody. Jaki więc sens miało wydobywanie dawno minionych zdarzeń z mroków niepamięci?

A jednak, mimo wątpliwości, Antonio Fonte gotów był rzucić się na kolana i błagać o łaskę Kolekcjonera. Już od jakiegoś czasu jego życie było jak rozdarta szata, musiało zostać zeszyte, by odzyskać utraconą wartość.

– Błagam pana... Proszę mi pozwolić odszukać to zagubione wspomnienie.

Siedzący po drugiej stronie stołu mężczyzna spoglądał na niego nieprzeniknionym wzrokiem i milczał. Chwile oczekiwania na odpowiedź wydały się Antoniowi wiecznością, słyszał, jak wali mu serce i odliczał czas jego uderzeniami.

Kolekcjoner jął ponownie przeglądać księgę, najwyraźniej czegoś w niej szukając. W końcu zatrzymał długi i cienki palec wskazujący przy jakiejś pozycji i zaczął nim miarowo uderzać o stronę.

– Z okazji chrztu ojciec chrzestny sprezentował panu zegarek kieszonkowy. Czy był on ze srebra?

– Naprawdę? Nie miałem pojęcia, że kiedykolwiek miałem ojca chrzestnego.

– Tak, miał pan wtedy osiem miesięcy, ale już kiedy skończył pan roczek, ten zegarek wylądował w mojej wieży.

– Jakoś mnie to nie dziwi.

– Chce go pan z powrotem?

Antonio zmarszczył brwi.

– Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem...

– Jeszcze się on panu przyda i nawet nie ma pan pojęcia, jak bardzo. A więc

chce go pan z powrotem czy nie? W zamian poprosiłbym jednak o kroplę pańskiej krwi.

– Mojej krwi? To chyba jakiś żart.

– Jeśli faktycznie chce pan dotrzeć do Tirnaïl, to musi pan raz na zawsze uwierzyć, że tutaj się nie żartuje – odrzekł zasadniczo Kolekcjoner i z wewnętrznej kieszonki marynarki wydobyl szpilkę. Odczekał aż pisarz wyciągnie w jego stronę ramię i pozwoli się ukłuć, ale ten był pełen obaw. Do czego była mu potrzebna krew?

Ta absurdalna sytuacja powoli zaczynała Antonia niepokoić. Istniały dwie możliwości: albo wszystko było prawdą i wówczas już nic w jego życiu nie byłoby takie jak przedtem, albo ktoś chciał go oszukać, wciągając w jakąś głupią grę. Ostatecznie Antonio przyjął wyzwanie i podał dłoń Kolekcjonerowi. Ukłucie było szybkie i bezbolesne. Mężczyzna pobrał umiejętnie kroplę krwi i upuścił ją na talerz wagi.

– Do czego potrzebna panu moja krew?

– Do ustalenia pana tożsamości, oczywiście.

Po kilku sekundach zaskoczony Antonio zauważył, że szala wagi przechyliła się na prawo. Mosiężny talerz wypełnił się i obniżył pod wpływem ciężaru starego zegarka na łańcuszku, który nieoczekiwanie się na nim pojawił. Kolekcjoner wziął go do ręki i podał mu teatralnym gestem: wskazówki nie poruszały się, zatrzymane na wieczność wskazywały dziesięć minut po godzinie dziesiątej.

– Tak jak już wcześniej wspomniałem, panie Fonte, Tirnaïl pochłania wszystko, na co natrafi. Ma pan do dyspozycji trochę czasu, zanim zostanie pan zmielony w jego paszczy. Nie wiem dokładnie, ile. To czas, jaki stracił pan w życiu, suma wszystkich jałowych chwil, spędzonych na przeczekiwaniu, kiedy niepodejmowanie żadnych działań i decyzji wydawało się panu najlepszym rozwiązaniem. Trochę się tego nabierało przez całe życie. Kiedy przekroczy pan bramy Tirnaïl, rozpocznie się odliczanie i z tarczy zegara zaczną kolejno znikać pojedyncze godziny, aż do chwili, kiedy zrobi się ona zupełnie pusta, a wtedy czas przestanie mieć dla pana znaczenie. Do tego momentu musi pan znaleźć to, czego szuka. W przeciwnym razie, zgubi się pan na zawsze.

Kolekcjoner miał już wręczyć mu zegarek, ale cofnął rękę.

– Czy jest pan pewien swojej decyzji?

Antonio zastygł w bezruchu. Jasne, że nie był pewien. Ale zamiast przyznać się do tego i po prostu dać sobie spokój, przepraszając, że zawracał mu głowę, uśmiechnął się tylko i odparł:

– Nie, nie jestem pewien, ale jestem wystarczająco szalony, żeby spróbować.

– Być może nie wierzy pan, że to, co opowiedziałem, jest prawdą?

– Być może nie wierzę, że to pan jest prawdziwy, panie Kolekcjonerze – odszczeknął się Antonio, wyrывая mu jednocześnie zegarek z ręki. – Ale na

wypadek, gdybym się mylił... – rzucił na odchodne i miał zamiar się oddalić.

– Na wypadek, gdyby się pan mylił, nie chciałby pan wiedzieć, w jaki sposób dociera się do Tirnaïl, panie Fonte? – zapytał prowokacyjnie Kolekcjoner, a Antonio przystanął skonsternowany. Prawda.

– Więc jak?

– Przez zaginione drzwi, panie Fonte.

– A cóż to oznacza?

– Gdziekolwiek człowiek skieruje spojrzenie, widzi drzwi prowadzące donikąd. Proszę nie dać się zwieść pozorom, panie Fonte. Droga donikąd to właśnie droga do Tirnaïl.

Antonio nawet nie próbował się pożegnać. Mocno ścisnął zegarek i wsunął go do kieszeni, po czym zagłębił się w labirynt szaf i regałów pełnych zagubionych przedmiotów. Kiedy wreszcie udało mu się dotrzeć do wyjścia, zbiegł szybko po schodach, mijając po drodze pochrapującą w fotelu kobietę-żółwicę. Z ulgą opuścił Biuro Rzeczy Zagubionych. Gnał przed siebie przez sieć poplątanych uliczek i zaułków. W pewnej chwili obejrzał się za siebie, ale po wieży nie było już śladu, zupełnie zniknęła z pola widzenia. Wreszcie skończyły się też schody, przepadł gdzieś Kolekcjoner i całe to Tirnaïl. W świetle ulicznych lamp na Via Roma dostrzegł jedynie zakochane pary, żegnające się pod arkadami budynków.

– To wszystko musiało mi się przyśnić – wymamrotał i nie wiedział nawet, czy był z tego powodu szczęśliwy czy zawiedziony. Jeszcze raz obejrzał się za siebie, po czym ruszył w kierunku dzielnicy Quartieri Spagnoli, która nigdy nie zasypiała i dlatego nie miała snów. Skierował się prosto w stronę domu, do Calliope; pragnął jedynie szklanki ciepłego mleka i powrotu do rzeczywistości, która nawet jeśli pozbawiona była aury niezwykłości, to miała tę zaletę, że znajdowała się na wyciągnięcie ręki. Otulił się płaszczem w obronie przed przeszywającym chłodem. Cholerny marzec.

Wsunął rękę do kieszeni. Palcami namacał mały okrągły przedmiot i wy dobył go na zewnątrz. Na plecach poczuł dreszcz, tym razem jednak nie z powodu zimna. Ścisnął w dłoni stary srebrny zegarek. Jego wskazówki zatrzymały się na godzinie dziesiątej dziesiąć.

[3] Nazwa utworzona przez autorkę. Pochodzi prawdopodobnie od Mnemozyny, greckiej bogini pamięci – przyp. tłum.

Zaginione drzwi

Zbliżała się wiosna. Słońce świeciło coraz dłużej i częściej, na parapetach u sąsiadek zakwitły prymulki. Uliczni handlarze sprzedawali bukietki mimozy, wykradzonej z ogrodów zamożniejszych obywateli miasta. Na sznurach rozciągniętych między kamienicami powiewało suszące się pranie, przywodząc na myśl zwinnych linoskoczków, balansujących na naprężonej linie. Gdzieś tam smażyono *zeppole*[4] św. Józefa; ich smakowity, kremowy aromat unosił się w powietrzu i pieścił powonienie.

Początkowo Antonio szukał wieży. O świcie i o zachodzie słońca, kiedy wyprowadzał na spacer Calliope, próbował odtworzyć drogę, którą przemierzył po wyjściu z restauracji w dniu swoich pięćdziesiątych urodzin. Od dzielnicy Borgo Santa Lucia, nad którą unosił się zapach morza i przywierających do skałek małż, docierał do Via Chiatamone – ulicy zatopionej w smogu dochodzącym od strony tunelu Vittoria, który prowadził z kolei do Via Acton. Od strony Piazza del Plebiscito szedł pod górę aż do Monte di Dio, podążając w kierunku krętych zaułków Pizzofalcone, gdzie starszyzna z dzielnicy Quartieri grała w karty, przeklinając i złorzecząc niewybrednie w neapolitańskim dialekcie: *cornuto, chit'èvivo, chellazompaperetae'mammeta*[5].

Antonio jeszcze nigdy w życiu tyle się nie nachodził. Któregoś dnia, gdy spacerowali po zboczach wzgórza Monte Echia[6], Calliope pociągnęła go w kierunku starej romantycznej budowli o gotyckich kształtach i Antonio pomyślał nawet, że wreszcie znalazł to, czego szukał. Nie wydawało mu się, żeby kiedykolwiek wcześniej natrafił na tę willę, choć w mieście pełnym sekretów byłoby to również możliwe, nawet jeśli spędziło się w nim całe życie. Od dawna pogrążona w ruinie konstrukcja bardziej przypominała pałac, aniżeli willę. Miała powyrywane okna i mocno nadwyróżone mury. Z dawnych okien sterczały rozbite szyby, zaś wewnątrz można było dostrzec resztki nędznego umeblowania i ślady pożaru. Wszystko pokrywał ciemnobrunatny całun spalenizny, charakterystyczny dla miejsc, które trawił ogień. Na szczycie budynku sterczały cztery wieżyczki, całości strzegła żelazna brama. Widok z posesji rozciągał się na Via Chiatamone. Swego czasu musiała to być imponująca rezydencja, ale z pewnością nie miała ona nic wspólnego z wieżą Kolekcjonera.

Calliope szarpała za smycz i z typowym dla kotów instynktem próbowała

prześlizgnąć się między żerdziami ogrodzenia i spenetrować miejsca niedostępne dla ludzi, być może przeniknąć przez pozamykane drzwi, odnaleźć zapomniane furtki.

– Dzień dobry. – Za bramą pojawił się nagle jakiś człowiek z siekierą w dłoni, który nadszedł od strony ogrodu.

Pisarz spojrział na niego osłupiały.

– Dzień dobry. Czy zastałem Kolekcjonera?

– Nie mam pojęcia, kto zacz.

– To taki, co zbiera różne przedmioty. – Antonio rozejrzał się dokoła. Nad drzwiami wejściowymi do willi widniał herb dawnych właścicieli: złożony półksiężyc, a na nim falujące promienie słońca. – Co to za miejsce?

– Willa Ebe, szanowny panie. Wybudowana około roku 1920.

– Czy to pan jest jej właścicielem?

– Ja? – Ogrodnik zachichotał. Miał tak spiczastą brodę, że mógłby nią otworzyć puszkę tuńczyka. Czuć było od niego tanim alkoholem, prawdopodobnie spirytusem. – Pewnie, że moja, a co! Tylko że rzadko tu bywam, ponieważ w ciągu tygodnia mieszkam w pałacu królewskim.

– Takiemu to dobrze!

– A to co? Kot? – Ogrodnik dopiero teraz zauważył Calliope uwiązaną na smyczy.

– Nie, to oczywiście pies przebrany za kota. Co tu się wydarzyło?

– Pożar jakieś piętnaście lat temu. Ale i tak nikt tu już nie mieszkał od 1970 roku. Mówią, że pełno tu złych duchów, ale co tam! Ja noszę przy sobie czerwony rożek na szczęście, a w domu mam jeszcze końską podkowę i dodatkowo co niedzielę chodzę na mszę, tak że demona to ja mam gdzieś! Jak się panu udało przebrać tego psa za kota?

– Co pan właściwie tutaj robi? – spytał Antonio, nie zwracając uwagi na jego dociekania.

– Rąbię drzewo, dbam o gród i przeganiam ciekawskich. Jeśli się dobrze spiszę, to być może otworzą tę willę dla zwiedzających, ale wtedy będę miał jeszcze raz tyle roboty. Tak więc jak tylko w jednym miejscu coś naprawię, to w innym od razu popsuję i w ten sposób mogę spać spokojnie.

– Jest pan uosobieniem ducha tego miasta i jednym z kowali jego sukcesu – pogratulował mu Antonio na odchodne.

Po tygodniu pisarz zorientował się, że jego poszukiwania skazane były na porażkę, ale przynajmniej Calliope miała z tych peregrynacji wielką uciechę. Ludzie nieprzyzwyczajeni do widoku kota na smyczy rozczulali się nad nią i podtykali jej smakowite kąski. Po tych bezowocnych próbach Antonio postanowił, że czas dorosnąć. Przekonywał samego siebie, że istnieje tylko tu i teraz, i nie ma żadnej niewyjaśnionej przeszłości. Po prostu któregoś dnia

skończył pięćdziesiąt lat i już. Nigdy nie było żadnych portretów, listów ani wież, nie było też kolekcjonerów i ukrytych drzwi, prowadzących do krainy rzeczy utraconych. Jego kot był tylko kotem, nawet jeśli myślał, że jest psem, a nie żadnym darem otrzymanym w zamian za wspomnienie.

Miał już dosyć tych wymysłów i na samą myśl o tym wszystkim dostawał nieprzyjemnego bólu głowy. Takie przygody pasowały do książek z jego dzieciństwa, a teraz otaczała go rzeczywistość, a więc po prostu kraina nicości.

Postanowił, że zapomni twarz tej dziewczyny. Twarz Genève Poitier. A jednak ciągle czuł przy sobie jej obecność, co było jednocześnie przyjemne i irytujące. Pojawiała się w myślach i w snach, zawładnęła jego duszą, nie dawała spokoju. Przestał nawet wyprowadzać na spacer Calliope. Zwlekał się z łóżka po godzinie trzynastej, zjadał na śniadanie pierwszą z brzegu rzecz, którą namacał po otwarciu lodówki, i starał się przetrwać jakoś kolejny dzień. Unikał pana Nicotiany, raz po raz spotykał się z Lukrecją i jeszcze dwiema innymi znajomymi. Czasami Leo wyciągał go na obiad albo do teatru, nie tracąc nadziei, że prędzej czy później cokolwiek wzbudzi jego zainteresowanie.

Bardzo się pilnował, żeby nie wspominać. Cały czas starał się pamiętać, że za wszelką cenę musi zapomnieć. Zapomnieć, że listy, wieże i krainy rzeczy utraconych musiały w rzeczywistości gdzieś istnieć. I Genève Poitier też.

Dlatego też ciągle nosił przy sobie portret kobiety o zielonych włosach. Na tym świecie musiało istnieć coś prawdziwego.

Wiosna 1972 roku

Jego matka tłumi krzyk, nie może znaleźć zapalniczki i przystawia papierosa do palnika kuchenki.

– Doprowadził nas do ruiny. – Z trudem wydobywa z siebie słowa, cała roztrzęsiona. – A teraz ty, Anto', pogrzebiesz całą naszą rodzinę. Przecież jesteś mężczyzną, jesteś ojcem, to chyba do czegoś zobowiązuje... Pomyśl o swoim synu! Powiedz mi, czemu on jest winien, czemu? Biedne dziecko. Ma tylko osiem lat, Anto'! Osiem lat!

Antonio nienawidzi, kiedy mama płacze, a teraz płacze już bez przerwy. Codziennie toczy tę samą walkę, bez skutku.

Mama pali jednego papierosa za drugim i jak automat przechadza się nerwowo po mieszkaniu. Wydaje się już taka stara i zmęczona, że Antonio chciałby położyć ją do łóżka i otoczyć opieką.

– A co ja mam zrobić? – Ojciec odzywa się przytłumionym głosem i Antonio, który podsłuchuje ich rozmowę ze swojego pokoju, z trudem wychwytyje teraz słowa. – Owszem jestem mężczyzną i jestem ojcem, ale przede wszystkim jestem nieudacznikiem, Ester. Straciłem natchnienie, straciłem pracę i wszystkie pieniądze. O tym akurat nie wspomniałaś, a przecież w tej sytuacji to sprawa

zasadnicza.

– No i co z tego? W czym problem Anto’? Wyjdź wreszcie z tego pokoju i znajdź sobie nowe zajęcie. Jakaś uczciwą robotę, dla uczciwych ludzi, takich jak my, a nie jak ten oszust, który nas zrujnował, kanalia, pieprzony wysysacz... wampir jeden!

Antonio słyszy sarkastyczny śmiech, a potem ojciec zaczyna wyśpiewywać coś, co jeszcze bardziej napędza go niepokojem: „Wampir Vladimir. Wampir Vladimir”.

– Anto’! – Jego matka podchodzi do fotela, spogląda mężowi prosto w oczy i gwałtownie gładzi po twarzy. Próbuje nim w ten sposób poruszyć, wyrwać z desperacji i upokorzenia, które przygniotły go w ostatnich kilku miesiącach. – Anto’, jakoś damy sobie radę. Kocham cię, Anto’, a twój syn świata poza tobą nie widzi! Jesteś jego supermenem! Mamy własne mieszkanie, ja mam pracę... Jeszcze możemy być szczęśliwi! Zapomnijmy o przeszłości, to przecież nie twoja wina. Ten łotr nas oszukał, sam na siebie ukręcił bicz, to niech teraz gnije w więzieniu... Ale ty jesteś inny, ty nie masz z tym nic wspólnego, Anto’. Błagam cię! Nie zostawiaj mnie samej!

– Wampir Vladimir. Wampir Vladimir... – ojciec nuci pod nosem okropną rymowanąkę.

Przez szparę w drzwiach Antonio widzi, jak podnosi się z fotela i delikatnie odsuwa żonę na bok, bez żadnego wysiłku, jak piórko. Nie patrzy jej w oczy, tylko bierze do ręki marynarkę i kieruje się do wyjścia.

– Idę.

– Dokąd idziesz, Anto’? Jest już północ. Nie zostawiaj mnie samej.

Antonio słyszy trzaśnięcie drzwiami i tłumiony szloch matki.

Jest przekonana, że mały już śpi, ale on był tym razem bardzo sprytny. Zostawił uchylone drzwi od swojego pokoju i położył się do łóżka w ubraniu. Wcześniej podkradł również dwie poduszki z tapczanu. Zanim wymknie się z domu, włoży je pod koldrę i mama w ogóle się nie zorientuje, że go nie ma. Mieszkają na półpiętrze, wyjdzie przez okno i ześlizgnie się po stercie kartonów składowanych w pobliżu śmietnika.

Mimo ciemności i osłabiającej widoczność nocnej mgiełki, Antonio natychmiast wylawia z mroku postać ojca. Idzie z nogi na nogę, chwiejąc się i zataczając. Jest taki szczupły, że kwietniowy wiatr, gdyby tylko chciał, mógłby go z łatwością zdmuchnąć z powierzchni ziemi. Antonio omal nie potyka się o Duchesse, kotkę syjamską pani Violi, sprzątającą klatki schodowe w budynkach przy ich ulicy. Kotka jest pupilką wszystkich sąsiadów, a szczególnie Antonio bardzo lubi się z nią bawić. Teraz też miałby ochotę się zatrzymać, ale to nie jest odpowiedni moment.

Co jakiś czas ojciec przystaje i pociąga z piersiówki łyk czegoś, co bardzo

nieprzyjemnie pachnie. Chłopiec czuje ten zapach nawet z odległości, serce wali mu jak młotem. Jest jak przestraszone źrebię, chowa się za rogami kamienic albo za samochodami nieprzepisowo zaparkowanymi wzdłuż ulicy. Drecze ojcu po piętach. Teraz wspinają się po pokrytym kocimi łbami zboczu jakiegoś pagórka, skręcają w lewo, idą w dół krętymi uliczkami, których Antonio nigdy jeszcze dotąd nie widział. Nawet jeśli mieszka w tej dzielnicy od dnia swoich narodzin, ma wrażenie, że ulice ciągle się tu przemieszczają, kapryśnie zmieniają położenie, wycofują się, przestraszone zbyt głośnym pokrzykiwaniem piekarza czy sprzedawcy ryb, płoszą się na dźwięk klaksonu.

Schodzą po rampie. Dziecku coraz trudniej jest pozostać w ukryciu, ale noc okazuje się jego sprzymierzeńcem. W pewnej chwili ojciec się zatrzymuje. Stoją teraz przed bramą ogromnej willi, a raczej otoczonego ogrodem pałacu. Zdobiona kolumnami i zwieńczona bajkowymi wieżyczkami rezydencja, bezgłówna i niewzruszona, góruje nad uśpionym miastem.

– Ej, wampirze Vladimirze...

Dopiero teraz Antonio uświadamia sobie, że jego ojciec ani na chwilę nie przestał powtarzać tej denerwującej rymowanki, a teraz jego głos nabiera mocy i tata nie mruczy już pod nosem, ale rozpaczliwie wyje. Chwyta za zamkniętą na cztery spusty żelazną bramę i z całej siły zaczyna nią szarpać. Antonio zastanawia się, dlaczego nikt nie słyszy tego hałasu. Może to miejsce jest opuszczone, może tu już nikt nie mieszka. Musi być opuszczone, myśli chłopiec. Patrzy, jak ojciec celuje pierśiówką ze śmierdzącym płynem w okno willi, i słyszy szczęk tłuczonego szkła. Antonio jest przerażony. Ten awanturujący się w środku nocy pod oknami willi mężczyzna w niczym nie przypomina jego ojca. Przywołuje raczej na myśl postrzelone przez myśliwego zwierzę, któremu nie pozostaje nic innego oprócz nadziei, że przyjdzie kiedyś dzień, w którym z ofiary przemieni się w kata.

Ojciec osuwa się na asfalt. Przez jakieś dziesięć minut leży w bezruchu i obserwuje niebo, potem wstaje i idzie w stronę morza. Antonio cały czas drecze jego śladem. W końcu docierają do Borgo dei Marinari, wyrwanego morzu skrawka ziemi, na którym z błękitnych motorówek sprzedają tytoń z przemytu. W samej jego głębi, u podnóża wznoszącego się nad morzem zamku, znajduje się bar, a raczej wydrążona w skale tufowej jaskinia śmierdząca moczem, rybami i sfermentowanym winem. Antonio patrzy, jak ojciec znika za drzwiami spelunki, a tam wita go wulgarny śmiech kobiet, mętne spojrzenia kompanów, dym z cygar od przemytników i karczmarz, który zna jego imię i problemy, i wie jak się ich pozbyć, przynajmniej na chwilę.

Antonio nie ma odwagi wejść do środka. Siada więc na chodniku i czeka, nawet nie wie za bardzo na co, ale wie, że tak trzeba. Raptem czuje na sobie głęboki cień, który przesłania miedziane światło ulicznej lampy i po chwili ubrany na czarno, nieznanemu mężczyźnie przysiadła u jego boku.

Antonio obudził się nagle zlany potem i popędził do okna, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Co mi jest? Co się ze mną dzieje, do cholery?! Była jeszcze noc i zasnuwane chmurami niebo zapowiadało deszcz. „Może to i lepiej”, pomyślał pisarz. „Przynajmniej będzie czym oddychać”.

Skąd wzięło się to żywe wspomnienie, skąd nieoczekiwanie pojawiło się w jego głowie, wydobyte z otchłani niepamięci? Co oznaczał ten otoczony ogrodem pałac, zdobiony kolumnami i bajkowymi wieżyczkami? Willa Ebe. Miejsce, o którym nigdy nie słyszał i którego nigdy nie widział. A może jednak? Wszystko zdawało się takie nierzeczywiste, a mimo to bardzo prawdopodobne. Dlaczego od kilku tygodni, od czasu kiedy znalazł ten list, wszystkie wspomnienia wypływały na powierzchnię niczym topielcy? Dlaczego czuł się tym taki umęczony i bezbronny?

Kiedy wreszcie po kilku minutach minął mu atak paniki, nie był już w stanie ponownie zasnąć, bał się, że jak tylko zmruży oczy, dopadnie go następny koszmar. W podobnych przypadkach najlepszym rozwiązaniem było wypicie szklanki ciepłego mleka oraz obejrzenie kasety z oryginałem trylogii *Gwiezdnych wojen*. Ulubione zawołanie bohaterów filmu „Niech moc będzie z tobą!”, zazwyczaj działało jak lekarstwo i stawiało go na nogi.

– Już wszystko dobrze, to tylko wyparte wspomnienia, złe sny – powtarzał sobie Antonio. – Pomyśl o Chewbacce. Przyszło mu do głowy, że nazajutrz wybierze się do Willi Ebe i poszuka informacji na temat tej opuszczonej rezydencji i jej dawnych właścicieli. Co miał z nią wspólnego jego ojciec? I dlaczego w jego wspomnieniach cały czas podśpiewywał tę rymowaną, brzmiącą jak pierwsze zdanie jakiejś makabrycznej bajki? „Wampir Vladimir”.

Nie lubił myśleć o ojcu. Był tchórzem i nieudacznikiem, porzucił jego matkę, wcześniej doprowadziwszy ją niemal do obłędu. Nie zasługiwał nawet, żeby otrzeć się o niego myślami.

Kiedy wreszcie w czasie oglądania *Imperium kontratakuję* zapadł w lekki sen, na niebie wschodziło już słońce. Właśnie wtedy zadzwonił telefon. Antonio zerwał się na równe nogi, niemal skomląc z niewyspania. W słuchawce rozległ się głos Leopolda, a pisarz, gdyby nie dzieląca ich odległość, prawdopodobnie byłby w stanie go teraz pobić.

– Mam dwie dobre wiadomości – oświadczył krzykliwym głosem agent. – Po pierwsze, przeczytali twoją powieść. Naczelnemu bardzo się spodobała. Wyznaje on zasadę, że jeśli książka z toalety awansuje na nocny stolik, to znaczy, że jest dobra.

– Okej. Zawsze to miło opuścić toaletę – wycedził Antonio zaspanym głosem. – Która godzina?

– Dwanaście po siódmej. I jest już bardzo...

– Późno, nieprawdaż?

– Najwyższy czas, żebyś wstał i się oporządził. Wiadomość numer dwa brzmi: BINGO! O trzynastej musimy być w Rzymie... Słyszałeś kiedyś o Hollywood, stary draniu?

– Czy to jakieś kolejne centrum handlowe? Zdajesz sobie sprawę, że w większości krajów południowych siódma dwanaście to jeszcze środek nocy?

– Kilku gości przyleciało z Ameryki, żeby osobiście poznać genialnego autora *Labiryntu luster*.

– To chyba najgorsza powieść, jaką kiedykolwiek napisałem – wyznał z rozbijającą szczerością Antonio, gładząc Calliope po pyszczku na dzień dobry. Może w ten sposób przynajmniej jej dzień mógł zacząć się lepiej niż jego.

– I co z tego? Amerykanie uwielbiają nasz chłam i chcą ci zaproponować scenariusz. Wstań i ubierz się jak człowiek, przyjadę po ciebie za siedemnaście minut.

Antonio otworzył usta, żeby zaprotestować, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, usłyszał chrzęst odkładanej słuchawki. Nie miał więc wyboru, musiał wstać. Z powodu Hollywood. Ale co tam, w sumie nie było tego złego... Chwila odpoczynku od codzienności mogła mu nawet dobrze zrobić.

Tego roku wiosna zagrała wszystkim na nosie i w tej części świata poranek dwudziestego pierwszego marca był mokry, zimny i ponury. Antonio zjadł na śniadanie gruszki z gorgonzolą, dzieląc się nimi z Calliope, i kiedy dokładnie szesnaście minut po odłożeniu słuchawki Leo zadzwonił do domofonu, pisarz właśnie wyszedł spod prysznica. Nie zwrócił uwagi na dzwonek. Z wanny, która z powodu dawnej traumy służyła mu za garderobę – w dzieciństwie ojciec omal go w niej nie utopił – wyciągnął najbrzydsze i najbardziej znoszone ubrania, jakie posiadał. Z kosza na brudy wydobył wymięty sweter i starą muszkę po dziadku, a wszystko to tylko po to, by zobaczyć siną z wściekłości twarz Leopolda. Na szyi zawiesił подарowany mu przez Kolekcjonera zegarek, choć odniósł wrażenie, że nie pasował do reszty odzienia. Upewniwszy się, że portret Genève Poitier nadal znajdował się w kieszeni dżinsów, wcisnął na głowę czapkę, założył okulary, chwycił pod pachę Calliope i skierował swe kroki wprost do kantorka pana Nicotiany, który właśnie układał pasjansa.

– Muszę jechać do Rimini, czy coś w tym rodzaju – odezwał się bez uprzedzenia, a zaskoczony dozorca aż podskoczył na stołku. Antonio bezceremonialnie położył mu kota na kartach, rozrzucając je na boki. – Niech się pan nią zaopiekuje, Goffredo. Być może wrócę wieczorem, może za kilka dni, a może wcale, nie wiem.

– To byłoby zbyt piękne, panie Fonte – odpowiedział półgębkiem Nicotiana. – Zaopiekuję się pana bestią najlepiej jak potrafię, ale... Nic nie mogę panu zagwarantować. A gdyby tak zupełnie niechcący coś złego jej się przydarzyło? Ta

wredna kicia ucieka i drapie jak cholera... Moim zdaniem to córka szatana.

– Ile razy mam powtarzać, że została egzorcyzmowana, drogi przyjacielu? – spytał Antonio. W zamian za przysługę chciał mu zapłacić pięćdziesiąt euro, ale zorientował się, że portfel zostawił w mieszkaniu. Niestety, również klucze od mieszkania zostawił w mieszkaniu. Zdarzyło mu się to zresztą nie po raz pierwszy.

Goffredo Nicotiana rozejrzał się ukradkiem dookoła i, upewniwszy się, że w pobliżu nie kręci się jego żona, wydobyl spod stołu worek pełen listów.

– Małżonka mnie zabije. Proszę tylko, żeby pan coś z tym zrobił, niech pan to zanieś, gdzie się panu podoba, ja pana bardzo lubię, ale najważniejsze, żeby to zniknęło.

Antonio na widok tak pozytywnie usposobionego Nicotiany niemal uszczypnął się z wrażenia i, nie zwracając uwagi na dzwoniący telefon komórkowy, rozbrzmiewający irytującą muzyczką, którą swego czasu wybrał specjalnie po to, żeby dokuczyć swojemu agentowi, przywołał windę z zamiarem odwiezienia listów na poddasze. Powłócząc nogami, wszedł do środka i nacisnął guzik z numerem piątym. Po trzydziestu sekundach dotarł na ostatnie piętro, cisnął workiem o podłogę i zaczął przyglądać się stosom kopert porzrzucanych po ciemnym pomieszczeniu. Usłyszał stukot kropli deszczu rozbijających się o zamglone szyby i nagłe uderzenie pioruna, po którym w sąsiedztwie włączył się alarm przeciw włamaniowy.

Wsiadając do windy przypomniał sobie, że ostatni raz był na strychu w dniu swoich pięćdziesiątych urodzin. W tym samym dniu, w którym... Natychmiast stłumił to wspomnienie i uniósł palec, by wybrać przycisk z napisem „Parter”, ale jego ręka zawisła w powietrzu, a wzrok padł na częściowo wyrwany klawisz z numerem szóstym. „Szóste piętro”. Prawdopodobnie zamontowali nieodpowiednią tablicę, a może faktycznie przeszło pięćdziesiąt lat temu istniała tu dodatkowa kondygnacja, zniszczona w czasie wojny przez niemieckie bomby? W pewnym momencie ogarnęła go fala emocji. Wszystko dookoła wydało się trochę nierzeczywiste, a Antonio nie zastanawiał się już, dlaczego ten przycisk się tam znajdował, ale dokąd prowadził. „Na taras”, pomyślał w pierwszej chwili. Ale przecież tam nie było tarasu. Pomimo targających nim wątpliwości, w głowie coraz wyraźniej słyszał głos, któremu towarzyszył zapach tytoniu i wyściełającego fotele pluszu.

Zaginione drzwi, panie Fonte. Gdziekolwiek człowiek skieruje spojrzenie, widzi drzwi prowadzące donikąd. Proszę nie dać zwieść się pozorom, panie Fonte. Droga donikąd to właśnie droga do Tirnaïl.

Tirnaïl. Czubkiem palca nacisnął szósty guzik. Oczywiście nic się nie wydarzyło. Zupełnie nic.

Antonio z ulgą wypuścił powietrze z płuc; zdawało mu się, że nie oddychał od dwóch tygodni. Ależ był naiwny! Miał zamiar ponownie dotknąć przycisk z napisem „Parter”, kiedy usłyszał nagły trzask. Odniósł wrażenie, jakby winda wyęczała się i napinała, próbując przeciwstawić się prawom fizyki. Policzył do dziesięciu, a kiedy uznał, że wszystko to musiało być wytworem jego wyobraźni, z wymuszoną obojętnością wzruszył ramionami. Po raz kolejny skierował palec w kierunku klawisza z napisem „Parter” i znowu usłyszał trzask. Po nim winda zadrżała. Teraz bez wątpienia wykonywała jakieś ruchy. Chwiała się i podrygiwała, wstrząsana krótkimi szarpnięciami, przeciągała się jak bestia po trwającym całe wieki letargu, aż w pewnym momencie – Antonio nie wierzył własnym oczom – ruszyła ku górze! Piąte piętro zaczęło powoli się oddalać, a ona z trudem, ale konsekwentnie pięła się coraz wyżej. Ta jazda wyssała z Antonia wszystkie siły, krew pulsowała mu w skroniach, serce biło jak szalone, ale kiedy winda wreszcie przystanąła, jego ręka, nie czekając na polecenia płynące z mózgu, chwyciła za mosiężną gałkę i otworzyła drzwi.

[4] Przypominające gniazdko ciastko wypełnione kremem, przygotowywane w Neapolu tradycyjnie na dzień św. Józefa, 19 marca – przyp. tłum.

[5] Określenia, które podają w wątpliwość wierność żony (rogacz), życzą śmierci tym, którzy są jeszcze żywi, obrażają matkę (np. skurwysyn) – przyp. tłum.

[6] Położona na wzgórzu dzielnica Neapolu, Wzgórze Echia – przyp. tłum.

Taras pana Nicotiany

Edgar spojrział na zegarek. Jego tarcza była zupełnie pozbawiona cyfr, biała i pusta jak stojące przed nim niezamalowane płótno.

– O, cholerka! – Zaniepokoił się nie bez powodu. Widok, który miał przed oczami, poraziłby urodą każdego artystę, i w tym przypadku i on nie stanowił wyjątku. Aż się wzruszył. Otaczał go olśniewający krajobraz! Dosłownie idealny! Tego dnia sam Stwórca zstąpił z nieba, by z nizin kontemplować cudowny spektakl natury, jakim obdarzył ludzkość! A jednak, mimo że malarz od wielu już godzin przebywał na szczycie tego Olimpu, w towarzystwie samego Boga, nie był w stanie nic namalować. Jego płótno było białe i puste, tak samo jak i zegarek.

– Cholerka! – mruknął po raz kolejny, powoli godząc się z faktem, że również dzisiejszy dzień będzie musiał spisać na straty.

Wyzначzył sobie nieprzekraczalny termin. Jak tylko na niebie pojawi się chmura w kształcie dziobaka, złoży sztalugi, płótno i paletę, i żeby poprawić sobie nastrój, wyruszy do Wanezji[7] – miasta złudzeń i iluzji, przedproża piekieł, nad którym powoli zaczynały zbierać się wieczorne cienie.

Zresztą nad tym miastem zawsze unosiły się cienie, trudny do przewidzenia był jedynie sam moment zapadnięcia zmroku, który oddalał się w czasie, budząc tym samym złudne nadzieje i podsycając ulotne marzenia. Oczywiście zupełnie nierealne, ale przynoszące chwilową ulgę i łagodne zapomnienie.

„W Wanezji nawet malarz, który nie namalował w życiu ani jednego obrazu, mógł poczuć się wielkim artystą”, pomyślał Edgar, wpatrując się w puste płótno, z nadzieją, że może w tym czasie ktoś coś za niego napaćkał. Oczywiście tak się nie stało. Płótno nadal biło po oczach nieskażoną bielą i Edgarowi nie pozostało już nic poza oczekiwaniem na nadejście chmury w kształcie dziobaka.

– Psiakrew! – zaklął w pewnym momencie pod nosem, ponieważ uświadomił sobie jeden niebagatelny szczegół: nie miał pojęcia, jak wyglądają dziobaki.

Otworzywszy drzwi windy, Antonio pogratulował sobie determinacji. Usatysfakcjonowany, zbliżył się do balustrady tarasu, by z tego wyjątkowego miejsca popatrzeć na okolicę. Nad miastem unosiły się tumany kurzu i mgły. Ponad zaścielejącą wszystko mleczną kurtyną wschodziło słońce. Wstawało powoli jak

zaspane dziecko, przebijało się promieniami przez morze oparów. Daleko na horyzoncie majaczył zatopiony w złotej poświacie czubek wulkanu, który wyglądał jak lodowiec.

Antonio był oczarowany. Przed oczami zamigotał mu robaczek świętojański. Czyżby chciał zwrócić mu na coś uwagę? W blasku poranka jego światelko było niemal niewidoczne i za moment miało zupełnie zniknąć.

– Cześć, malutki! – powiedział Antonio. Świetlik odfrunął i pisarz też musiał się już powoli zbierać. Postanowił, że jeszcze nie raz tu powróci, by napawać się w samotności tym osobliwym widokiem. Zaabsorbowany własnym odkryciem, odwrócił się i trochę to potrwało, zanim uświadomił sobie, że nie był sam. Na tarasie przebywał jeszcze jakiś człowiek. Zgięty w pałąk, bardzo szczupły i wysoki mężczyzna, siedział zamyślony na taborecie. Umazaną od farby dłonią gładził się po spiczastej brodzie. Miał krzaczaste brwi, długie, zakręcone wąsy i ciemne, sarnie oczy, którymi bezradnie wpatrywał się w górujące nad nim, niezamalowane płótno.

– Cholerka – mamrotał ściszym głosem, aż w końcu, czując na sobie czyjeś spojrzenie, podniósł wzrok. O dziwo, widok Antonia zupełnie go nie zaskoczył i bez ogródek zwrócił się do pisarza z dość nietypowym pytaniem.

– Jakiego kształtu jest dziobak?

– Może przyjmować wiele różnych kształtów – odpowiedział spokojnie pisarz.

– W sensie, że je zmienia?

– W sensie, że może przybierać różne formy.

– Acha. – Malarz ponownie wbił wzrok w płótno, a potem powrócił do intrygującej go kwestii. – Jeśli teraz poprosiłbym pana o znalezienie mi chmury w kształcie dziobaka, czy byłby pan tak uprzejmy i zadośćuczynił mojej prośbie?

Antonio powiódł dookoła roztargnionym spojrzeniem, a potem objął się i potarł dłońmi o ramiona.

– Proszę pamiętać, że osobiście nie mam pojęcia, jakiego kształtu są dziobaki – dodał dyskretnie mężczyzna. – Dlatego może mnie pan nawet oszukać, a ja i tak nie będę tego świadom.

Antonio jeszcze przez chwilę udawał, że szuka odpowiedniej chmury.

– Tamta. – Wskazał palcem na lewo, na przypadkowy obłok, który całkowicie przykuł uwagę malarza.

– Ach, tak rzeczywiście. Teraz i ja ją rozpoznaję. Bardzo panu dziękuję. Do widzenia.

Zabrał płótno, złożył sztalugi i umieścił paletę w specjalnej walizeczce. Spod powłóczystej opończy wydobył żelazne kółko, z którego, jak kwiaty z girlandy, zwisały dziesiątki wykonanych z różnych materiałów kluczy, różniących się między sobą kształtem i wielkością. Mężczyzna nerwowo przebierał między nimi

palcami, szukając prawdopodobnie jakiegoś konkretnego egzemplarza. Z jakiegoś powodu wydawało się to bardzo skomplikowane.

Antonio podszedł bliżej. Nie miał zamiaru spędzić całego dnia na tarasie pana Nicotiany, wystawiać do wiatru biednego Leopolda i ryzykować, że ten dostanie z jego winy zawału.

– Nie miałem pojęcia, że potrzebny jest klucz, żeby wrócić – powiedział zaskoczony.

– Wrócić dokąd, przepraszam bardzo?

– Do kamienicy.

– Do jakiej kamienicy?

– Do tej, w której mieszkamy – odpowiedział rozbawiony Antonio. – Do kamienicy z domofonem zawierającym tylko inicjały. No wie pan, do tej, w której mieszkają sami oryginalni ludzie... Podejrzewam, że to nawet warunek zamieszczany w umowie najmu. Pan chyba niedawno się tu wprowadził? Wynajął pan to mieszkanie na drugim piętrze?

– Naprawdę... Nie mam pojęcia... O czym szanowny pan mówi... – wymamrotał malarz, skoncentrowany na poszukiwaniu klucza, a Antonio uznał roztropnie, że dalsza rozmowa z tym człowiekiem nie miała sensu i postanowił nie zadawać więcej pytań.

– Czy byłby pan tak uprzejmy i przytrzymał moje ostatnie dzieło? – Z rozpalonym licem wręczył mu płótno, które do tej pory trzymał pod pachą, i w tym momencie pęk kluczy spadł na ziemię, wywołując tym samym kolejną „cholerkę”.

Antonio bardzo uważnie studiował obraz.

– Czy to pan jest jego autorem?

Wiedział, że jego pytanie nie miało sensu, ponieważ płótno było zupełnie białe i wydawało mu się nawet, że im bardziej mu się przyglądał, tym stawało się bielsze. Odpowiedź, jaką otrzymał, wystawiła na próbę jego poczucie humoru.

– No a kto, jeśli nie ja? Jestem przecież najlepszym malarzem w całym Tirnail! – Mężczyzna wyprężył się, a oczy aż mu zabłyśły. Być może z dumy, a może z radości, że wreszcie udało mu się znaleźć klucz, którego szukał. Wykonany z mosiądzu, posiadał dwie końcówki, jedna z nich była lekko odchylona w prawo. Włożył ją do zamka, ale nie mógł go przekręcić.

– Czasem zamek musi dopasować się do klucza i bywa, że trochę to trwa – wyjaśnił.

– Tak, tak... – wybąkał Antonio, jakby wreszcie coś sobie uświadomił. Jego uwagę przykuło tylko jedno słowo. – Przepraszam, czy przypadkiem nie powiedział pan „Tirnail”?

– No, tak. Jestem tu bez wątplenia najlepszym malarzem.

– Tu? To znaczy gdzie?

– Tu, gdzie się pan teraz znajduje.

– Acha. – Pisarz nadal nic nie rozumiał. – A gdzie konkretnie ja się teraz znajduję?

– W Tirnaïl, szanowny panie, w Tirnaïl. A gdzieżby indziej?

– Acha. – Przytaknął Antonio, obracając się wokół własnej osi, by nabyć pewności, że otacza go ciągle to samo miasto, w którym do tej pory wiódł swoje pełne goryczy życie. Wszystko było na swoim miejscu. Spojrzał ponownie na malarza. – Istnieje pewne prawdopodobieństwo, że jednak się pan myli.

Malarz wyglądał na bardzo poirytowanego, a potem nieoczekiwanie wybuchnął śmiechem.

– Teraz już wszystko rozumiem! Pan jest po prostu nowym przybyszem w Królestwie Rzeczy Utraconych.

Wreszcie udało mu się przekręcić zamek i ciężkie żelazne drzwi uchyliły się na szerokość kilku centymetrów. Malarz przystanął na progu i wpatrywał się w osłupiałego Antonia, który przynajmniej od trzeciej klasy szkoły podstawowej nie czuł się tak upokorzony cudzym spojrzeniem.

– Nie zorientował się pan, prawda? – spytał malarz, rozbawiony. – Proszę się nie przejmować, wszyscy, którzy tu trafiają, reagują tak samo... No, może wszyscy z wyjątkiem dzieci. One od razu wyłapują różnice. To tak jak przy przechodzeniu z jasnego pomieszczenia do ciemnego, oko musi się przyzwyczaić. Tylko że w przypadku Tirnaïl dzieje się odwrotnie, szanowny panie. Pan przybył z ciemności do światła i jest na razie zbyt oślepiiony, by dostrzec, co znajduje się dalej. Proszę uważniej rozejrzeć się dokoła – zaproponował uprzejmie. – Czy nie widzi pan żadnych różnic w stosunku do miejsca, z którego pan przybywa?

Antonio poczuł silny ucisk w żołądku. Odniósł wrażenie, że życie i świat, do którego do tej pory należał – królestwo nicości – stały się nagle kruche jak szkło.

Deszcz. Gdzie podział się deszcz? Antonio odwrócił się i dosłownie oniemiał na widok roztaczającego się przed nim krajobrazu. Podziwiał go już parę minut wcześniej, ale teraz nastąpiła w nim jakaś wewnętrzna przemiana i obserwował panoramę oczami dziecka, stojącego przed czymś ogromnym, czego nie był w stanie objąć wzrokiem.

– To niesamowite...

– Zgadzam się z szanownym panem. – Słowa malarza dobiegły z pewnej odległości, a potem rozległo się skrzypienie zawiasów.

Mężczyzna wszedł do budynku, a Antonio rzucił się za nim i, przewracając się po drodze, w ostatniej chwili wpadł do windy.

Tylko że windy już tam nie było. Również po jego kamienicy nie zostało ani śladu.

– Gdzie, u diabła, jesteście? – wychrypiał z podłogi.

– W moich skromnych progach, szanowny panie. Ale to raczej ja chciałbym wiedzieć, co pan tutaj robi?

Antonio nie odpowiadał, przez jakiś czas stał w milczeniu, z rozchylonymi ze zdziwienia ustami. W głowie miał zamęt i nie rozumiał, co oznaczało to... pobożowisko?

Mieszkanie prezentowało się gorzej niż jego własne! Umeblowane w stylu lat sześćdziesiątych, dosłownie tonęło w chaosie! Wypełniały je góry połamanych krzesel, zwiniętych dywanów, porzrzucanych po kątach papierów i strojów teatralnych, a także niezliczone ilości kapeluszy wszelakich rozmiarów i kształtów, rozłożonych na kontuarze rodem z jakiegoś baru. Przejście tarasowały na wpół rozpakowane kartony oraz przechylone stosy książek. W rogu apartamentu dostrzegł trzaskający ogniem kominek, od którego rozchodził się smród spalonego plastiku. Największe wrażenie zrobił na nim widok porozwieszanych wszędzie płócien. Dziesiątki zupełnie pozbawionych koloru obrazów, jak wielkie białe plamy pokrywały wszystkie mury i okna pomieszczenia, zasłaniając tym samym widok na świat zewnętrzny. W przeciwieństwie do tych arcydzieł, prześwitujące spod nich ściany i pozostałe wyposażenie mieszkania prezentowały się jak ogromna paleta malarska, sprawiały wrażenie, jakby artysta nabrał farby na pędzle i napaćkał nią, gdzie popadło. Pstrokata warstwa tempery pokrywała fotele, podłogi, szafy, oparte o krzesła lustra, a nawet pustą klatkę dla ptaków. Wszystko – oprócz płócien!

Antonio podniósł się z podłogi i rozejrzał ukradkiem dokoła.

– To przez te gruszki z gorgonzolą. Najwidoczniej musiały mi zaszkodzić – wymamrotał pod nosem i oniemiał na widok passiflory wystającej z muszli klozetowej.

W tym czasie malarz, radośnie pogwizdując, zbierał rzeczy rozrzucone po całym domu. Najwyraźniej był w dobrym nastroju, wydawało się, że ten wszechogarniający bałagan to jego naturalne środowisko.

Antonio zatrzymał się naprzeciw zabalsamowanego tukana spoczywającego na siodle do jazdy konnej, opartym z kolei na dziecięcym krzeselku.

– Ta kompozycja ma z pewnością zawrotną wartość... – zagaił grzecznościowo.

– Oczywiście, oczywiście... – wymamrotał pod nosem malarz, szukając cylindra w odpowiednim dla siebie rozmiarze. – Jak już panu powiedziałem, jestem największym malarzem w Tirnail. Moja sztuka cieszy się ogromnym uznaniem w całym królestwie, we wszystkich jego nieistniejących prowincjach i guberniach. Powiem panu w zaufaniu, że już wkrótce otrzymam poważne zamówienie z Wanezji. Mam tylko nadzieję, że nastąpi to jeszcze dziś wieczorem, zanim Wanezja przestanie istnieć.

– A dlaczego miałyby przestać istnieć?

– Tutaj nigdy nic nie wiadomo, wszystko jest takie ulotne. Czy mogę... Czy mogę tylko zapytać, co sądzi pan o tym obrazie? Mam możliwość sprzedania go dwóm kuzynkom z bardzo zacnej rodziny, które straciły cnotę i przybyły do Tirnail, by ją odszukać. Ale potem zapomniały o celu swojej podróży i zostały metresami w jednym z najbardziej ekskluzywnych burdeli w Wanezji. Aaach... To dziwki najwyższej klasy, proszę nie dać się zwieść pozorom! Nie tylko rozdają hojnie miłość, ale także obdarowują swoich klientów perfumowanymi chusteczkami, częstują ich czekoladkami, a także wiśniowymi pralinami.

– Co za klasa! Doprawdy szczyt finezji!

– A więc podoba się panu? – Malarz przywołał uwagę Antonia, demonstrując mu płótno przytасzczone z tarasu pana Nicotiany. Dumnie wyprostowany, zawiesił je na wieszaku na ubrania. – Myślę, że to najlepsze dzieło, jakie popełniłem w ostatnim czasie, nie sądzi pan?

Antonio udawał, że się nad czymś zastanawia.

– Czy użył pan jakiegoś nowego odcienia bieli?

– Ach! Zauważył pan!

– Czy mogę zapytać panie... Ekchm...?

– Na imię mi Edgar i bardzo miło mi pana poznać. – Malarz ukłonił się jak prawdziwy dżentelmen.

– Edgar... bardzo miło mi cię poznać. Jak można się stąd wydostać?

– Już teraz? To nie takie proste, szanowny panie. Jeśli dotarł pan do Tirnail przez zaginione drzwi, wydostanie się pan stąd przez drzwi odnalezione.

– Acha, rozumiem.

– Doprawdy?

– Nie, oczywiście, że nie. W każdym razie wcale nie jestem pewien, czy chcę sobie stąd pójść, właściwie przydałyby mi się wakacje. Nigdy bym nie pomyślał, że wystarczy wsiąść do windy. Szczerze powiedziawszy, bardzo mi to odpowiada, ponieważ nie znoszę latania.

– To świetnie, proszę pana. Czy wobec tego zechce mi pan towarzyszyć w drodze do Wanezji? Zawsze dobrze mieć przy sobie kogoś, kto potrafi dostrzec chmurę w kształcie dziobaka – oświadczył entuzjastycznie malarz i uśmiechnął się z przekąsem, a wówczas jego wąsy jeszcze bardziej uniosły się ku górze. Edgar wsunął do walizeczki tubki z temperą, zarzucił na ramiona jedwabną pelerynę, szczelnie otulającą jego długą postać i nałożył na oczy małeńką, znoszoną już maskę z białego materiału.

– Mamy klucze – powiedział, pobrzękując wesoło całym ich pękiem. – Mamy farby, płótno, sztalugi i może nawet poczułem przypływ natchnienia. Mam maskę i wspaniałego kompana, i wyruszam do Wanezji. Doprawdy, szanowny panie, nie brak mi niczego do szczęścia, z wyjątkiem może znajomości pańskiego imienia.

– To moja sprawa – odrzekł ostrożnie Antonio, który zaczynał czuć się nieswojo.

Co to wszystko, u licha, miało znaczyć? O czym oni tak naprawdę rozmawiali? Miał wrażenie, że dopadło go jakieś delirium.

– To świetnie, panie Tomojasprawa, czy wie pan, że dziś mamy dzień równonocy marcowej, a to wyjątkowo dobry czas na spotkania i poznawanie nowych ludzi? Pana pojawienie się uznaję za dobry omen, początek nowej, pozytywnej fazy w moim życiu.

Z żelaznego kółka, do którego przywieszony był również breloczek w kształcie imbryka, Edgar wybrał najmniejszy kluczyk z białego złota i umieścił go w zamku jedynych w tym pokoju drzwi, tych samych, przez które wydostali się z tarasu pana Nicotiany. Odczekał chwilę, po czym je otworzył.

Po raz kolejny za progiem roztaczał się widok zupełnie nieoczekiwany.

[7] Nazwa utworzona przez autorkę jest aluzją do Wenecji. Pochodzi od słowa *vanesia* – próżna. Wanezja – miasto próżności – przyp. tłum.

Blichtr i lustra

Antonio postąpił kilka kroków z głową zadartą ku niebu. Nie zauważył, że skończył się chodnik i wpadł do wody, zanurzając się w niej do wysokości klatki piersiowej.

– Niech się pan natychmiast stamtąd odsunie! – krzyknął Edgar, a pisarz odskoczył na bok. Niewiele brakowało, a zostałyby staranowany przez nadpływającą łódź.

Przed nosem przesunęło mu się majestatyczne czółno, bogato zdobione galionem z kości słoniowej. Wiosło dzierżył śmieszny pyzaty człowieczek, odziany w kurtkę z bufiastymi rękawami i kapelusz z długimi, opadającymi piórami. Uwagę Antonia zwróciła jego szara i spiczasta twarz.

Dopiero po chwili zorientował się, że białe wąsiki, które jak igielki wystawały mu z kącików ust, były częścią brzydkiej maski w kształcie... pyszczka myszy. Barka posuwała się po rzece koloru kobaltu, rozwidlającej się w sieć kanałów płynących donikąd. Wzdłuż ich nabrzeży wznosiły się baśniowe pałace o miękko zarysowanych liniach. Gdzieśgdzie wyrastały gotyckie rezydencje, zdobione długimi rzędami kolumn, zwieńczone strzelistymi wieżyczkami, odznaczającymi się na wieczornym niebie. Z wnętrza przybytków dobiegały urywane dźwięki mandoliny, rozbawione głosy sprzedajnych dziewcząt, a także smakowite zapachy egzotycznych dań i tajemniczych esencji.

Edgar podał Antoniowi rękę i, mamrocząc coś pod nosem, pomógł mu wydostać się na brzeg, ale nawet jeśli krzyknąłby na całe gardło, Antonio i tak by go nie usłyszał. Od kiedy przekroczył bramy Wanezji, cała reszta przestała dla niego istnieć.

Teraz nic już nie było ważne. Pod stopami poczuł chodniki wysypane piaskiem, obok jakiś człowiek przechadzał się między ulicznymi lampionami na szczudłach i zapalał je wydobywanym z piersi ognistym podmuchem. W wodach kanałów jak w zwierciadłach przeglądały się barwne fasady budynków, a ich odbicie wydawało się bardziej realne od nich samych. Przedziwne miasto o podwójnym obliczu sprawiało wrażenie, że nawet jeśli ktoś postawiłby je na głowie, to i tak pozostałoby niezmienione, i to nie tylko pod względem zewnętrznych konturów, ale także z uwagi na toczące się w jego murach życie: blondynkę rozczesującą włosy przed lustrem, kota z oklapniętym prawym uchem,

wdrapującego się po rurach kanalizacyjnych, pajęczynę utkaną przez pracowitego pajaka w najbardziej odległym narożniku popękanego ze starości sufitu...

Powietrze przesycone było aromatami i odgłosami, zdawało się żywe, gęste, wręcz nabrziałe. Antonio wyobraził sobie, że wyciąga przed siebie rękę i stara się je uchwycić. Był przekonany, że między palcami zostałyby mu coś niewidzialnego.

– Wanezja! Jak zwykle wspaniała! – oświadczył w uniesieniu malarz. Nie mógł się zdecydować, czy skierować wzrok na prawo czy na lewo, do przodu, czy może ku górze, oszołomiony tysiącem cudów i atrakcji oferowanych przez to miasto. – Czy podoba się panu to miejsce?

Antonio z zaskoczeniem stwierdził, że się uśmiecha. W środku czuł się co prawda zupełnie pusty, ale za to szczęśliwy. Wszystko, co było mu znane do tej pory, nagle gdzieś zniknęło, rozpuściło się jak topniejący wiosną śnieg.

Był w Tirnaïl. Tirnaïl naprawdę istniało! Królestwo Rzeczy Utraconych było na swój sposób – sposób właściwy snom – prawdziwe, a on, Antonio Maria Fonte, wreszcie je odnalazł!

Antonio porzucił zdrowy rozsądek i uległ wszechogarniającej magicznej atmosferze. Mijała ich właśnie następna gondola, transportująca dostojną damę o twarzy kury siedzącej na żerdzi, wygodnie rozłożonej w wyściełanym aksamitem fotelu. Na widok Antonia i jego znoszonych ubrań twarz jejmości wykrzywił grymas, ale on mimo wszystko pozdrowił ją bardzo serdecznie.

– Czas ruszać w drogę – zakomenderował Edgar i poprowadził pisarza w stronę małego portu, gdzie czekała na nich zacumowana gondola. Przegoniwszy dwa drzemiące na jej pokładzie koty, zaprosił go do środka. – Trzeba się spieszyć, w przeciwnym razie spóźnimy się na przyjęcie.

Potem poluzował linę i zajął miejsce gondoliera, ale Antonio nie ruszał się z miejsca.

– Naprzód, szanowny panie! – Malarz uśmiechnął się do niego i, podając mu rękę, wykonał ceremonialny, głęboki ukłon. – Czyżby nie miał pan do mnie zaufania? Daję głowę, że nie będzie pan żałował.

– Na pana miejscu głowy bym nie dawał, żyjemy w niepewnych czasach – odciął się krótko Antonio, niemniej jednak uległ namowom mężczyzny i wsiadł do łodzi.

Sprawnym ruchem wiosł Edgar odepchnął barkę od nabrzeża, a kiedy odpłynęli już dość daleko od lądu, przestał wiosłować i pozwolił, by prąd kołysał ich i unosił swobodnie w ślad za innymi gondolami, licznie wypływającymi na wody kanału. W tym czasie szczegółowo opisywał Antoniowi wszystkie mijane po drodze obiekty, a pisarz dosłownie pochłaniał wygłodniałym wzrokiem ich najdrobniejsze detale. Podziwiał wytworne sklepy i gościnne gospody. Na ukrytym za rzędem płaczących wierzb placyku dostrzegł ogromne szachownice, nieco dalej zaś niemal bajkowe ogrody, oplecione siecią wąskich jak sznurki uliczek, po

których jeździli na tandemach rozbawieni klauni i odziane jedynie w bieliznę młode dziewczęta. Raz po raz rowerzyści tracili równowagę i wpadali do wody, odprowadzani salwami gromkiego śmiechu.

W pewnym momencie pisarz dostrzegł, że płyną w kierunku bardzo niskiego mostu.

– Nie sędzę, abyśmy się pod nim zmieścili – oświadczył spokojnie, ale Edgar nie zareagował. Po chwili bez problemu wyminęli przeszkodę, ponieważ w odległości niespełna dwóch metrów od mostu kamienice na lewym nabrzeżu rozpląnęły się nieoczekiwanie jak fatamorgana, a w ich miejscu pojawił się nowy kanał, po którym dryfowały już inne łodzie i gondole.

– To czary – wyszeptał Antonio, zrywając się na równe nogi.

Ulicami sunęła procesja dam i rycerzy, paziów, giermków oraz błaznów odzianych w jedwabne szaty i atłasowe szale. Niemal uginali się pod brzemieniem bogato oprawionych diamentów, mieniących się na ich szyjach i czołach, pomiędzy włosami i na palcach dłoni, które nie zaznały w życiu żadnych innych ciężarów.

– Proszę spojrzeć, szanowny panie! – przywołał go Edgar.

Antonio popatrzył w kierunku strzelistych wieżyczek skąpanych w zachodzącym słońcu. Na ich tle, pomiędzy kopulastymi dachami, unosiły się zagadkowe stwory. Na pierwszy rzut oka trudno było mu je rozpoznać. Dopiero kiedy jeden z nich oderwał się od stada i poszybował w ich kierunku, pisarz zrozumiał, z czym miał do czynienia.

– Przecież one są z kamienia?

– Jak świat światem, gargulce są z kamienia – odpowiedział niewzruszony Edgar i skinieniem głowy wskazał na arystokratyczny pałac.

Balkony budynku, jego gzymsy i dachy poobsiadane były przez groteskowe kamienne figury. Nietoperze, pająki, mały, myszy, demony przypominały ludzi o zdeformowanych twarzach. Akurat na oczach oniemiałego z wrażenia Antonia jedna z rzeźb zbudziła się do życia, zgięła okryte łuską pazury i przysiadła na mosiężnej rurze, po czym rozłożyła gigantyczne skrzydła i wzbiła się w powietrze. To był smok!

– Są mniej uciążliwe od gołębi – skomentował Edgar, a kolejny most, który właśnie mijali, obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni i w jego miejscu pojawiła się nowa ulica.

Drogę przecięła im jakaś dużo większa gondola.

– Co za cham! – krzyknął z wściekłością Edgar, ale natychmiast pochylił się nad Antoniem, z obawy, że go usłyszą. Potem jednak już bez oporów kontynuował swój wywód i aż dziwne, że znajdujący się w odległości mniej więcej dwóch metrów od nich i pokazujący sztuczki na brzegu kanału kuglarz, słysząc jego krytyczne słowa, nie przywalił mu w czoło kręglem. – Egoiści, lubieżnicy i pyszałki. Wanezjanie kochają jedynie blichtr i lustra!

– I maski – dodał Antonio.

– Kryją pod nimi własną nicość, szanowny panie. A tak *à propos* masek, to dobrze by było, żeby i pan się w nią zaopatrzył, w przeciwnym razie wezmą pana za podejrzanego typa.

– Ty chyba nie mieszkasz w Wanezji, Edgarze?

– Ja? Oczywiście, że nie! – Edgar roześmiał się szczerze. Na samą myśl, że mógłby się stąd wywodzić, dostawał mdłości. – Ja pochodzę ze wzgórza, szanowny panie, ale często się przemieszczam – wyznał i polecił Antoniowi, by sprawdził, czy płótno i sztalugi były odpowiednio zabezpieczone, a potem znowu dał upust swoim żalom. – Sam pan widział, jak wyglądają moje obrazy. To podłe miasto zabija w człowieku wyobraźnię! Tu jest za dużo kolorów... jak można malować, widząc przed sobą taką feerię barw? Cholerka! – Policzki Edgara spąsowiały z emocji, a wąsy wibrowały mu jak sejsmografy o wysokiej częstotliwości, wieszcząc tym samym napad furii. – Im więcej poruszam się po Tirnaïl, im więcej miejsc odwiedzam, tym bardziej nie jestem w stanie niczego namalować. Czy nie sądzi pan, że to wszystko jest w rzeczy samej okropne ?

Minęli właśnie jakąś grupę pań odzianych w suknie z bardzo głębokimi dekoltami. Na ich widok Edgarowi zaróżowiły się policzki i powiódł za nimi ekstatycznym wzrokiem.

– Od czasu do czasu lubię tu sobie wyskoczyć – kontynuował spokojniejszym już tonem. – Wszystko jest tu takie olśniewające, choć niestety zarazem nieprawdziwe. W Wanezji wszystko jest tylko pozą. To miasto utraconych złudzeń i złudzenia są tu wystawiane na sprzedaż, a ich ceny w ostatnim czasie niewyobrażalnie poszły w górę. Niech pan popatrzy tylko na tego biedaka.

W cieniu posągów górujących na monumentalnym budynku i kłócących się między sobą, który z nich jest wyższy, Antonio dostrzegł mężczyznę niepasującego do reszty otoczenia. Łysy i bezzębny żebrak, który jako jedyny prócz Antonia nie miał na twarzy maski, próbował zwrócić na siebie uwagę przechodniów.

– Dziesięć talarów za złudzenie z przeszłości, bracie. Efekt trwa godzinę, gwarantuję! – skrzeczał człeczyna. Usłyszał go jakiś chłopiec w przebraniu kruka i bez zastanowienia uległ jego namowom.

– Dzisiaj złudzenia mają bardzo wysokie ceny i nie wszyscy mogą sobie na nie pozwolić – komentował rozgrywającą się na ich oczach scenkę Edgar. – Żyjący tutaj ludzie są już od nich uzależnieni, czują nieodpartą, fizyczną potrzebę iluzji. Dlatego też niektórzy Wanezjanie kupują nawet tak podły towar jak ten od tego typa. To nawet już nie są prawdziwe złudzenia, ale zwykłe podróbki, które ledwie odtwarzają ich prawdziwą esencję.

– Czym jest złudzenie z przeszłości? – spytał Antonio, śledząc wymianę garści monet na fiolkę zawierającą szkarłatną ciecz.

Chłopiec przebrany za kruka wsunął ją sobie do kieszeni i, rozglądając się

ukradkiem na boki, oddalił się zadowolony z nowego nabytku.

– To jedno z wielu rodzajów złudzeń utraconych w tym mieście. Niestety, moim skromnym zdaniem, jest ono typu złośliwego i wynika z całkowitego nieprzystosowania do terażniejszości. Czy zdarzyło się panu kiedykolwiek odczuwać na tyle silne emocje w związku z jakimś zdarzeniem z przeszłości, aby nie móc uwierzyć, że ono już się nigdy nie powtórzy, że się po prostu skończyło, wypełniło i że nigdy nie będzie już tak jak przedtem? Mam na myśli takie zdarzenie jak, na przykład, młodzieńcza miłość.

– Jak to działa?

– Na początku świetnie. Wystarczy kilka kropel, by ponownie przeżyć utracone chwile. Ale jak już panu powiedziałem, ci ludzie o wątpliwej proweniencji rozprawdzają jedynie rozcieńczone podróbki i kiedy już minie ich działanie, te popłuczyny zostawiają jedynie poczucie jeszcze większej pustki. Prawdziwe złudzenia z pewnością nie trwają tylko godzinę.

– A ile?

– Te dobrej jakości mogą ciągnąć się nawet przez całe życie, ale proszę mi wierzyć, że naprawdę słono kosztują. Zresztą sam się pan wkrótce o tym przekona.

Przez jakiś czas płynęli kanałami w milczeniu. Antonio był oczarowany Wanezją, zachwycony przemieszczającymi się bez przerwy pałacami. Wystarczyła chwila nieuwagi, by zmieniły pozycje i formy. Nawet przechadzający się ulicami ludzie znikali za narożnikami niektórych budynków, a mimo to ich głosy jeszcze przez długi czas rozlegały się w powietrzu.

Pisarz był na tyle pochłonięty otaczającymi go cudownościami, że dopiero po długim czasie dostrzegł swoje odbicie w wodzie jednego z kanałów. Z niedowierzaniem stwierdził, że jego twarz wyglądała teraz o wiele młodziej niż parę godzin wcześniej. Niewykluczone, że również woda w Wanezji zawierała jakieś polepszacze.

– Ani jednego siwego włosa! – Pogwizdywał radośnie, zachwycony widokiem swego odmłodzonego oblicza, które raptem przesłonił czyjś cień, a po chwili – w odległości zaledwie kilku centymetrów od twarzy – ujrzał spadające do wody ciało jakiegoś mężczyzny, które rozbiło się o taflę i niemal bezgłośnie zniknęło pod jej powierzchnią. Pod wpływem uderzenia gondola zachwiała się, ale Edgar zareagował silnym uderzeniem wiosł i wkrótce na nowo odzyskali równowagę.

– Cholerka, cholerka! – paplał przestraszony malarz, a Antonio rozglądał się nerwowo dookoła w poszukiwaniu ciała mężczyzny.

Niestety, spod wody nikt się nie wynurzył. Ani w miejscu upadku, ani w żadnym innym. Na powierzchnię wypłynęła jedynie maska, którą Edgar natychmiast wyłowił, sprząając ją w ostatniej chwili sprzed nosa wioślarzowi przebranemu za szalonego naukowca.

– Proszę bardzo, to dla pana! – Malarz podał Antoniowi maskę, ale on nie mógł się jeszcze otrząsnąć z wrażenia po tym, co zobaczył.

– Co stanie się z tym człowiekiem? Musimy mu jakoś pomóc!

– Proszę się nie denerwować. Ten człowiek był jeszcze bardziej zagubiony niż pan i ja razem wzięci, uczynił to z własnego wyboru, niech mi pan wierzy!

Antonio rozglądał się dookoła, próbując zorientować się, skąd rzucił się mężczyzna, i skonstatował, że musiał to być majestatyczny, marmurowy most, pod którym właśnie przepływali. Stało na nim około tuzina zapatrzonych we własne odbicie ludzi. Zdawali się zahipnotyzowani, chwiali się na czubkach palców, niezdecydowani, czy rzucić się w topiel, czy pozostać wśród żywych. Większość z nich miała zapłakane twarze i nieobecne spojrzenia.

– Oto sławny w całym Tirnaïl Most Omamień. Stojący na nim ludzie są nieodwracalnie zdesperowani, do tego stopnia, że wołają śmierć w zimnych odmętach od niekończącej się agonii życia.

Antonio wciąż jeszcze pozostawał pod wrażeniem mężczyzny, którego ciało przed minutą zniknęło w zaczarowanych nurtach Wanezji.

– Czy mają zamiar popełnić samobójstwo?

– W rzeczy samej – odrzekł Edgar i z wyraźną ulgą wypłynął na zakole kanału. – Od dawna pokutuje tu stare wanezyjskie przekonanie, że w wodach pod Mostem Omamień ukazują się obietnice ratunku. Kto uważnie im się przyjrzy, może dostrzec wizję nowej nadziei, być może nawet marny przebłysk jakiejś życiowej perspektywy. Jeśli jednak nie dostrzeże tej najmniejszej szansy, w większości przypadków ulega sile ciężenia i rzuca się do wody. I jedno jest pewne – zostanie tam na zawsze. Wody Wanezji nikogo nie zwracają.

Antonio poczuł na ciele lodowate zimno i pomyślał, że lepiej będzie zwrócić Edgarowi tę wyłowioną z kanału maskę. Nie miał zamiaru zakładać na siebie czegoś, co należało do samobójcy, jednak kiedy przyjrzał się jej trochę dokładniej, natychmiast zmienił zdanie. Dziwnym zbiegiem okoliczności maska miała kształt kociego pyszczka i przypominała mu Calliope.

– Czy wie pan, że koty miauczą tylko w kontaktach z ludźmi? Między sobą porozumiewają się za pomocą innych odgłosów.

– Tak, słyszałem już o tym.

– Są niesamowite – kontynuował Antonio, pieszcząc dłonią piękną maskę z czarnego aksamitu. Prezentowała się wyjątkowo elegancko. Zdawało się, że srebrzyste wąsiki zamiast z nylonu wykonane zostały z włosia jednorożca. Zapomniawszy o swoich wcześniejszych obiekcjach, Antonio przysłonił nią twarz i natychmiast poczuł się innym człowiekiem. Teraz już nie tylko odmłodziło mu oblicze, ale i całe wnętrze, ubyło mu wiele lat! – Koty chciałyby nam coś tym miauczeniem zakomunikować, ale my nie potrafimy ich słuchać. Ja po prostu kocham koty.

Akurat w tym momencie trakt wodny powiódł ich do wnętrza arystokratycznego pałacu. Przekroczył jego bramy i wił się dalej, jak wstęga, przez salony i długie korytarze, aż do sali balowej, której nie powstydzilby się nawet król.

Aukcja Złudzeń

Miejsce godne francuskich delfinów tętniło życiem. Ogromna luksusowa sala tonęła w rozedrganym blasku świec. U jej sufitu wiły się bujne szmaragdowe pnącza. Zdawało się, że florystyczne motywy zdobiące woltę tego osobliwego pomieszczenia znudzone artystycznym bezruchem ożyły i opadały teraz kaskadą zieleni jak woale i orientalne draperie. Po wypełnionej wodą komnacie pływały gondole. Gondolierzy podtrzymywani przez strojnie odzianych paziów wyskakiwali z łodzi na długie pomosty, biegnące wzdłuż inkrustowanych złotem ścian. Ta jedyna w swoim rodzaju aula wyglądała jak skrzyżowanie sali balowej i teatru. Pośrodku salonu królowało bowiem obszerne podium, do którego prowadziły marmurowe schody. Grała na nim orkiestra, a Wanezjanie tańczyli w rytm porywającej muzyki. Tęskny głos skrzypiec, przeciągły jęk fletów oraz przygaszone dźwięki starego fortepianu wprawiały w ruch rozochoczone ciała.

Może rzeczywiście wszystko było tu tylko grą pozorów, jak utrzymywał Edgar, ale Antonio był tym miejscem oczarowany. Kiedy dotarli na środek sali i wysiedli z łodzi, owionął go upajający aromat szampana. Miał ogromną ochotę dołączyć do rozbawionego towarzystwa, tulić w ramionach każdą z obecnych tam kobiet i zapomnieć o wszelkich troskach i rozczarowaniach, których doświadczył w ciągu całego życia.

– To miejsce jest niesamowite! – krzyknął w ekstazie, podczas gdy jakaś dziewczyna, nadepnąwszy mu niechcący na palec, w ramach przeprosin natychmiast pocałowała go w usta.

– Niech się pan tak nie nakręca, przyjechaliśmy tu na Aukcję Złudzeń. – Mitygował go Edgar, kiedy przeciskali się przez tłum. – Nie istnieje system miar, który umożliwiłby oszacowanie bezkresu głupoty ludzi biorących w niej udział. Doprawdy świetnie się bawię, obserwując, jak ci bezmózgowcy trwonią najwartościowsze dobra, oddając je w zamian za ułudę, za nicość w czystej postaci. Będzie pan świadkiem niezrównanego przedstawienia!

Antonio z trudem koncentrował się na słowach malarza, a później już zupełnie przestał go słuchać. Zabawa, dźwięki, radość obecnych tu osób wydały mu się piekielnie pociągające. Wciągnięty przez ciżbę, wirował w tłumie woskowych masek i peleryn z organzy, i nawet się nie zorientował, kiedy wpadł w objęcia kobiety o pełnych kształtach, która natychmiast porwała go do tańca. Jej

perlisty śmiech jeszcze bardziej rozpalił jego zmysły. Teraz i on zaczął płaszać jak oszalały, zatracając przy tym zupełnie poczucie czasu. Nie potrafiłby powiedzieć, czy trwało to kilka minut, godzin, a może nawet całą noc. Zapomniał o życiu, o całym świecie, może kochał się z tą kobietą, a może mu się tylko tak zdawało. Przystawał jedynie po to, by napić się wina lub szampana z kryształowych kieliszków, które donosili mu przystrojeni w peruki lokaje, lub by spróbować wyszukanych dań serwowanych mu pod sam nos. Pieścił ciała dziesiątek kobiet, których nigdy wcześniej nie spotkał, i tańczył bez opamiętania, aż świat zawirował jak ogromna zaklęta karuzela. Mogło to trwać cztery lata, a może i cztery tysiące, czuł się jak zaczarowany i marzył, by ten stan nigdy nie minął.

Przystanął dopiero w momencie, gdy zaczęło go kłuć w boku. Kręciło mu się w głowie, więc, ledwie zipiąc ze zmęczenia, odłączył od tłumy. Osunął się na marmurowe popiersie, które nieoczekiwanie przemówiło doń ludzkim głosem, wygłaszając ponure maksymy na temat czasu i przemijania.

– Niebawem nadciągną czarne chmury znad Morza Zsypijskiego[8] – oświadczyło proroczym głosem, ale na dźwięk tych słów podchmielony Antonio wybuchnął jedynie śmiechem i jał rozglądać się za swoim najlepszym przyjacielem. Któż bowiem, jeśli nie Edgar, był jego najlepszym przyjacielem w tym mieście? Malarz musiał być tu gdzieś niedaleko, mignął mu przed chwilą zasepiony nad pustym płótnem, z kieliszkiem koniaku w dłoni. Kiedy rozglądał się za Edgarem, jego wzrok przykuł widok zgoła nieoczekiwany. Antonio zamrugał, potknął się i przewrócił, a potem wstał, czepiając się nieporadnie ubrań dam, kawalerów i jakichś nieszczęsnych kelnerów, którzy nawinęli mu się pod rękę. Nie wierzył własnym oczom. Chwiejnym krokiem i z zamglonym spojrzeniem ruszył przed siebie. Wanezja nagle gdzieś odpłynęła. Zniknęli tancerze, ucichła muzyka, a on miał jedynie przed oczami tę zawieszoną w pustce scenę, stanowiącą centrum całego wszechświata, jego początek i koniec. Pośród tłumy dostrzegł roześmianą i pochłoniętą rozmową kobietę. Od czasu do czasu unosiła kieliszek do ust, a potem rozbawionym tonem kontynuowała konwersację, wybuchając raz po raz głośnym śmiechem. Przechodzący obok mężczyźni głaskali ją czule po plecach, a ona każdego z nich obdarzała uwagą i pocałunkami. Czasem zatrzymywała się przy niej jakaś kobieta, a wtedy szeptały sobie coś do ucha, rozglądając się ostentacyjnie po sali. Najwyraźniej kogoś obmawiały. Dla Antonia nie to jednak miało znaczenie. Rzeczą, która przykuła jego uwagę, jedyną rzeczą, która liczyła się w przypadku tej odwróconej do niego plecami i swobodnie zachowującej się kobiety, był kolor jej włosów. Wyraźnie zielony.

– Genève... – wyszeptał, nie wiedząc nawet, kim była ta nierealna postać odziana w szmaragdową adamaszkową suknię, zdobioną draperiami z białego tiulu. Z ramion wystawały jej dwa ogromne skrzydła, zroszone kroplami rosy mieniącymi się jak gwiazdy na zmierzchającym niebie. Powtarzając bez końca jej

imię, zbliżył się do niej, pchany tą samą tajemniczą siłą, która napędzała wszystko i wszystkich w całym uniwersum Tirnaïl. Poczul jej zapach... Pachniała jak wilgotna ziemia i rześkie letnie powietrze o poranku. Zamknął oczy i był pewien, że już kiedyś spotkał tę dziewczynę, ale w innym czasie i w innej przestrzeni, niewyobrażalnie odległej od miejsca, w którym się teraz znajdowali.

To była ona. Wreszcie ją odnalazł.

– Genève Poitier? – wyszeptał jej do ucha. Kobieta wreszcie go usłyszała i przerwała w połowie jakąś zgryźliwą rozmowę z wysoką blondyną, wyglądającą jak pozbawiona łat żyrafa, która na widok pisarza z niesmakiem wykrzywiła usta.

– Witaj, cudzoziemcze. – Genève uśmiechnęła się do niego. Ubrana w szmaragdową suknię, z twarzą przysłoniętą maską i zielonymi włosami, a także z doczepionymi do ramion wielkimi skrzydłami przypominała ważkę.

– Szukasz towarzystwa?

Antonio stał jak skamieniały; z otępienia wyrwał go huk fajerwerków, po którym nastąpiła kolejna już eksplozja świateł, dźwięków i kolorów i choć opuściło go uczucie odrealnienia i znowu ciałem i duchem przebywał w rozbawionej Wanezji, nie był w stanie wydobyć z siebie ani słowa.

– Pozwól, niech zgadnę. Jesteś jednym z tych popaprzanych i zagubionych facetów, którzy przybywają do Tirnaïl, ponieważ zapomnieli języka w gębie.

– Żałosny typ – skomentowała znudzonym głosem przyjaciółka-żyrafa, mierząc go przy tym wzrokiem. – Kiedyś taki jeden jak on zabrał mnie z sobą do biblioteki. Było to dziesięć najbardziej usypiających minut w moim życiu, myślałam, że normalnie umrę z nudów. Co za deprymujący wynalazek, te wypełnione literami księgi!

– Czy to ty jesteś... Genève Poitier? – wydukał pisarz. Był zbyt pijany, by zapanować nad rozanielonym, głupekowatym uśmiechem, na którego widok Genève i jej przyjaciółki wybuchnęły gromkim chichotem.

– Ja mogę być kilkoma kobietami naraz, cudzoziemcze. Za odpowiednią cenę mogę zostać również twoją matką. A więc jeśli potrzebna ci Genève Poitier, będziesz ją miał.

– Ja chcę po prostu ciebie – odpowiedział pisarz. Już od jakiegoś czasu nie kontrolował swoich myśli, a teraz przestał również kontrolować słowa. – Tylko ciebie.

Dziewczyny stojące za plecami Genève chichotały jak głupie gąski. Ona śmiała się razem z nimi, ale jej spojrzenie wyrażało sprzeczne uczucia. Wydawało się, że coś przeszło jej duszę i obudziło uspięne emocje. Antonio dostrzegł w jej oczach wspomnienie dalekich krain, nieznanych ludów oraz fascynujących historii. A także cień głębokiego, nieutulonego żalu. Podał jej nieporadnie ramię, czyniąc przy tym niezgrabny ukłon. Ona przyjęła je niemal odruchowo i w tym momencie przeskoczyła między nimi iskra, a Antonio zamiast instynktownie się oddalić,

jeszcze bardziej się do niej przybliżył.

– Czy zatańczysz ze mną, Genève Poitier?

– Z przyjemnością, cudzoziemcze, ale najpierw muszę załatwić pewną niecierpiącą zwłoki sprawę, zamelduj się trochę później...

Antonio przełknął ślinę i zwilżył językiem suche usta. – Na imię mi...

– Tomojasprawa! – Ktoś nagle mocno klepnął go w ramię i wówczas czar przysł. Antonio zmuszony był się odwrócić i puścić ramię Genève.

Edgar, jak przystało na postawnego dwumetrowca, chwycił go za fraki i pociągnął za sobą w głąb sali.

– Idziemy, zaraz rozpocznie się Aukcja Złudzeń!

Antonio próbował mu się wyrwać, ale Edgar nie odpuszczał, a Genève, korzystając z zamieszania, zniknęła gdzieś w tłumie.

– Zostaw mnie w spokoju, idioto! – wrzasnął na całe gardło pisarz, rzucając się i szamocąc, ale kiedy wreszcie udało mu się wyswobodzić, było już za późno. Genève gdzieś przepadła, a on wraz z drepczącym mu po piętach Edgarem wyruszył na jej poszukiwanie. Dla podpitego i potykającego się o własne nogi mężczyzny było to jednak nie lada wyzwanie.

Nagle, w celu przywołania uwagi zgromadzonych, zadęto w trąby. Tysiące głów odwróciło się w kierunku sceny. Powoli ucichła muzyka i rozmowy, a w ich miejsce rozbrzmiały gromkie oklaski. Do uszu zebranych dobiegł czyjś donośny głos, ale Antonio był zbyt pochłonięty poszukiwaniem Genève, by zwrócić na niego uwagę. Z podium padło parę okolicznościowych frazesów, po których następowały wybuchy śmiechu i żarliwe potakiwania, kilka pustych słów na temat zasad organizacji Aukcji Złudzeń, obowiązującego regulaminu, wysokości cen wywoławczych, właściwości, sposobu działania i czasu trwania poszczególnych iluzji.

Po części oficjalnej rozległo się ostre walenie w bębny, ucichł gwar i zapadła pełna oczekiwania cisza. Rozpoczęła się Aukcja Złudzeń. Na scenie jako pierwszy pojawił się wytwornie odziany chłopczyk, w błękitnym, haftowanym złotą nicią żakieciku. Z buzią przysłoniętą maską osiołka, ruszył onieśmielony w stronę licytatora.

– Na początek mamy tu dziś małego chłopca. Proszę, jaki miły dziesięciolatek! – krzyczał mężczyzna, a tłum przyjmował jego słowa owacjami. – Jak ci na imię, chłopczyku?

– Kurus Wielki!

– Kurus Wielki! Opowiedz nam, co potrafisz, Kurusie.

– Jestem żywy.

– Och, to cudownie! Panie i panowie, oto mamy przed sobą Kurusa, który jest po prostu żywy! Czy ktoś z państwa jest zainteresowany jego nabyciem? W odpowiedzi poderwał się las rąk i rozległy się głośnie nawoływania. Nikt jednak

nie proponował pieniędzy. Antonio, który czujnie obserwował licytujących, odniósł wrażenie, że ich oferty były bezsensowne.

Po kilku minutach z tłumu wyłoniła się jakaś kobieta i, przebijając pozostałych zainteresowanych, zaproponowała w zamian za chłopca dwadzieścia dziewięć lat swojego życia.

– Sprzedany! – podsumował licytator, a kobieta ruszyła po odbiór zdezorientowanego dzieciaka. Kiedy wbiegała po schodkach, słychać było jej narastające pochlipywanie, które w końcu przerodziło się w niepohamowany szloch, a gdy wreszcie stanęła przed Kurusem Wielkim, przytuliła go do siebie z takim impetem, że omal go nie udusiła.

– Żyjesz... – Dziękowała, nie przestając popłakiwać. – Ty żyjesz, mój synku! A ja myślałam, że już na zawsze cię straciłam.

Poproszono, by złożyła podpis w rejestrze i zaparafowała umowę. Uczyniła to w uniesieniu, zbyt podekscytowana, by do końca uświadomić sobie, czego się pozbywa. Potem odeszła, prowadząc Kurusa Wielkiego za rękę. Każdy kolejny krok pokonywała z coraz większym trudem, pochylała się, kurczyła i siwiała dosłownie z minuty na minutę. Pokonując odległość dwudziestu dziewięciu kroków, zestarzała się o dwadzieścia dziewięć lat, ale promienny uśmiech nawet na chwilę nie zniknął z jej twarzy.

Licytator wystawił teraz na aukcję zegarek na łańcuszku z prawie pustą już tarczą. Do dyspozycji pozostały na niej jeszcze dwie godziny: siódma i pierwsza.

– Zegarek został nam przekazany dzięki uprzejmości Wielkiego Zegarmistrza – oświadczył aukcjoner. – Ten, kto go nabędzie, na dłużej zachowa złudzenie, że pozostało mu jeszcze trochę czasu na kontynuowanie poszukiwań w Tirnaïl.

Był to okaz o nieoszacowanej wartości i niektórzy proponowali za niego nawet Baranka Scytów[9] schwytanego w regionie Oneiros, gdzie zbierano plony z utraconych fantazji. Byli i tacy, którzy w zamian za czasomierz skłonni byli zapomnieć, jak wygląda oblicze własnej matki lub zrezygnować z sennych marzeń. Ostatecznie zegarek nabył pewien lotnik, który zaoferował za niego wspomnienia ze swoich licznych podróży. Jednak z uwagi na unikatowość licytowanego przedmiotu zmuszony był dołożyć do nich także odwagę latania i kiedy wszedł na podium, by odebrać nabytek, natychmiast dostał lęku wysokości.

– Czy nie sądzi pan, że wszyscy jesteśmy trochę pomyleni? – Głos Edgara dobiegł do uszu Antonia akurat w momencie, kiedy szukał on Genève pod jakimś fotelem.

– Sam jesteś pomylony. Pomylenie i beztalencie – wycedził Antonio. W stanie upojenia alkoholowego wszystkie jego reakcje były teraz przerysowane. – Odnalazłem ją! Przybyłem tu dla niej i odnalazłem ją!

Przeczesał palcami włosy. Był zdesperowany, miał ochotę się rozplakać

i gdyby przynajmniej mógł przyłożyć Edgarowi w zęby, to na pewno by mu ulżyło.

– Ale o kim pan właściwie mówi, panie Tomojasprawa?

Antonio potrząsnął głową zniechęcony i... w tym momencie ją zobaczył.

– O niej... – wyszeptał z niedowierzaniem. Genève stała u boku licytatora. Tam, w górze, na podium, odległa i nieosiągalna, pożądana przez wszystkich. Roztaczała wokół siebie blask jak wydobyty z ziemi diament. Jej wielkie i głębokie oczy przypominały tajemnicze jeziora, na których dnie zamieszkiwały przedziwne stwory o nadprzyrodzonych zdolnościach. Ukłoniła się, wywołując tym samym żywiołową reakcję tłumu. Licytator spytał ją o imię i nazwisko.

– Nazywam się Genève Poitier – odrzekła po chwili zastanowienia.

– Opowiedz nam, co potrafisz.

Genève objęła się ramionami i roześmiała się, lekko zmieszana.

– Mam zielone włosy.

– Panie i panowie, ma zielone włosy. Cóż to za wspaniałe złudzenie, co za uczta dla oczu! A więc do rzeczy, szanowni państwo, ile oferujecie za tego typu...

– Ja jeszcze nie skończyłam. – Przerwała mu Genève, tym razem już trochę zaczepnie. Uniosła lewe ramię, ukazując obecnym tatuaż na wierzchu dłoni.

– Cóż to takiego?

– Nic nie widzę!

– To ważka! – Przekrzykiwali się zdezorientowani z początku goście, ale po kilku sekundach nawet najbardziej oddaleni od podium czy wręcz tłoczący się za drzwiami wielkiej sali uczestnicy aukcji wiedzieli już, że Genève Poitier ma na dłoni ważkę. W tym momencie dziewczyna musnęła lekko tatuaż, jakby chciała strzepnąć z niego kurz, a ważka drgnęła i zawibrowała. Najpierw poruszyła tylko jednym skrzydełkiem i jedną antenką, następnie rozprostowała nóżki. Genève, by dodać jej wigoru, chuchnęła delikatnie na skórę, a poruszony tym ożywym tchnieniem owad oderwał się od dłoni dziewczyny i uniosł w powietrze. Kilkakrotnie okrążył licytatora, podfruwając tak blisko, że aż załaskotał go w policzki, a potem wylądował wśród zachwyconej publiki. Wirował w powietrzu, unosząc się w prawo i lewo, zanurkował w gęste pukle pewnej damy, a potem przysiadł na kalafiorowatym nosie jakiegoś rycerza. Szum jego skrzydeł pieścił uszy zgromadzonych. Podekscytowani i rozbawieni goście wodzili za nim wzrokiem, a czując na sobie aksamitny dotyk owadzich nóżek, wybuchali euforycznym śmiechem.

Kiedy ważka okrążyła już salę, Genève wsunęła do ust dwa palce i krótkim gwizdnięciem przywołała ją do siebie. Stworzonko rozejrzało się dookoła, namierzyło swoją panią i, jak pocisk, ruszyło w jej kierunku. Przysiadło na wierzchu dłoni, a Genève musnęła je palcami i uniosła w górę rękę, by zebrani mogli przekonać się na własne oczy, że ważka stała się ponownie tatuażem.

Wśród tłumu przebiegły pełne stuporu ochy i achy, spektakl nagrodzono

burzą oklasków. Oczy wszystkich skierowane były na Genève. Mężczyźni i kobiety, starcy i dzieci, wszyscy jak jeden mąż wielbili ją i podziwiali, a ona była tego świadoma.

– To ona... – powtarzał Antonio, przeciskając się w stronę podium jak w transie.

Rozpoczęła się licytacja. Niemal wszyscy wyciągali w górę dłonie, aby nabyć zielonowłosą Genève. Rozległy się przekrzykiwania: jakiś człowiek zaoferował łzy wylane przy łożu umierającego ojca, ktoś inny wystawiał na sprzedaż własny głos, a jeszcze następny – garść ziemi z grobu zmarłego syna. Nocny strażnik z magazynu na peryferiach miasta w zamian za Genève zaproponował wszystkie nieprzespane noce i poranne świty, czyniąc tą ofertą niemałe wrażenie na licytatorze. W końcu przewagę nad licznymi pretendencjami jął zyskiwać pewien stary brodac, skłonny odstąpić wszystkie szczęśliwe chwile swojego życia.

W pewnym momencie spojrzenia Genève i Antonia się spotkały. Pisarz poczuł, że sływa na niego kojący spokój, nagle rozpląnął się gdzieś harmider i krzyki. Antonio nie widział napierającej ciżby i nie słyszał licytujących się głosów, wiedział tylko, że musi ją mieć. Ale co mógł zaoferować w zamian? Przecież nic ze sobą nie zabrał. Czy posiadał coś, co mogłoby mieć choćby minimalną wartość?

– Oferuję moje nazwisko! – zaszczepił, a na dźwięk jego słów, jak na komendę, opadły wszystkie ramiona. Nikt nie czuł się na siłach, by przelicytować tak odważną ofertę.

– Ja, Antonio Maria Fonte, w zamian za Genève Poitier oferuję moje nazwisko! – powtórzył, nie zwracając uwagi na jęki Edgara, który na próżno błagał, by się opamiętał.

Wśród pełnych niedowierzania okrzyków Antonio rzucił się w stronę schodów. Jakiś człowiek w masce hieny zatarasował mu przejście. Za wszelką cenę chciał uścisnąć mu dłoń i nawet jeśli jego gesty i słowa wyrażały głęboki szacunek, uwagę Antonia zwróciło jedynie jego chytre spojrzenie.

– Jest pan niezwykle odważny, panie Fonte.

Antonio odsunął go jak przeszkodę, teraz nie liczyło się nic poza oczami Genève. Popędził w górę, potem zwolnił i znowu ruszył biegiem, aż wreszcie stanął na podium u jej boku.

Licytator, szczupły młody mężczyzna w białej peruce i masce aligatora, ciągle jeszcze nie mógł otrząsnąć się z wrażenia po brawurowej akcji Antonia. Kto jak kto, ale on wiele się już w życiu naoglądał! Stał z opuszczoną szczęką, która opadła mu jeszcze niżej, kiedy odwrócił się w stronę pulpitu i skonstatował, że księga kontraktowa, w której zapisywał wszystkie transakcje, zniknęła bez śladu.

– Proszę pana o wybaczenie. Nie mam pojęcia, co się z nią stało. Zaraz

poproszę o nowy egzemplarz – wydukał podenerwowany i wydał rozkaz dwóm lokajom, by przynieśli mu nowy rejestr, a oni natychmiast zadośćuczynili jego woli.

Kiedy tylko doszedł trochę do siebie po tym nieprzewidzianym zdarzeniu, licytator zwrócił się do Antonia poufnym tonem.

– Czy jest pan pewien swojej decyzji? – zapytał zaniepokojony. – Domyślam się, że jest pan cudzoziemcem i jeszcze nie do końca poznał tutejsze obyczaje. U nas nazwisko jest bardzo cenne. W momencie, kiedy złożysz pan podpis, nikt nie będzie pamiętał, kim pan jest. Nawet pan sam o tym zapomni.

– Nie rób tego, idioto! – wycedziła Genève. – Nie wiesz, co czynisz.

Antonio uśmiechnął się nieprzytomnie. Świat wirował mu przed oczami, wszystko zdawało się takie piękne, a najpiękniejsza była Genève...

– Odkąd tylko pamiętam, zawsze nienawidziłem mojego podwójnego imienia i marzyłem, żeby się go kiedyś pozbyć.

– Jest nietrzeźwy i nie ma pojęcia, w co się pakuje. W tym stanie nie powinien niczego podpisywać – zwróciła się do licytatora Genève.

Antonio jednak był szybszy. Wyrwał pawie pióro z bezwładnie opadającej dłoni mężczyzny i kulfontastym piśmem nabazgrał: Antonio Maria Fonte.

Genève Poitier stała się jego własnością i w tym samym momencie Antonio Maria Fonte przestał być panem samego siebie.

[8] Nazwa utworzona przez autorkę. Miejsce, do którego docierają utraczone rzeczy, szczególnie śmieci i odpadki, w oryginale *Mar Nettrurbio* – przyp. tłum.

[9] Inaczej: Roślinne Jagnię lub Warzywna Owca – legendarna roślina środkowej Azji. Swego czasu uważano, że jej owoce pojawiały się w postaci połączonej przez pępowinę z resztą rośliny owcy. Por. Henry Lee, *The Vegetable Lamb of Tartary*, 1887 – przyp. tłum.

Antoine Tomojasprawa

Przemierzyli już znaczną część pałacu, zanim dotarło do niego, że Genève gdzieś go za sobą wlokła. Palce dziewczyny zakleszczyły się na jego nadgarstku z wyjątkową siłą. Dopiero kiedy znaleźli się w ogrodzie, z dala od euforycznych pokrzykiwań i ciekawskich spojrzeń, poluzowała uścisk.

Stali w pobliżu basenu, którego termalne wody wlewały się bezpośrednio do morza. Miał ochotę zapytać, czy z nim zatańczy, ale nie zdążył, ponieważ w tym samym momencie usłyszał jej napastliwy krzyk.

– Ty imbecyłu! – wrzasnęła Genève, celując w niego palcem i niemal wbijając mu go w piersi. Zaczęła go szarpać i okładać kuksańcami, aż w końcu zepchnęła ze schodów. – Popełniłeś największą głupotę na świecie! Nazwisko! Pozbyłeś się swojego nazwiska! Ludzie oddaliby tutaj wszystko w zamian za odzyskanie własnego nazwiska! A ty? Dopiero co przyjechałeś i sprzedałeś je dla... dla... dla mnie! Czy możesz mi, do cholery, zdradzić, kim ty właściwie jesteś? A, prawda, przecież ty teraz tego nie wiesz! Ej, dajże mi tu coś do wypicia! – zwróciła się nagle do przechodzącego obok kelnera, po czym wzięła mu z rąk pełną tacę i jeden po drugim opróżniła trzy kieliszki wina, wlewając je sobie do gardła w sposób nieprzystający do tak delikatnej istoty. Jeszcze przed chwilą wydawała mu się taka łagodna... Teraz, zaskoczony jej ordynarnym sposobem bycia, nie mógł się nadziwić, że ta szczupła i krucha osóbka mogła pomieścić w sobie tyle złości i... takie ilości alkoholu.

– Jeśli nie masz ochoty zatańczyć... – wymamrotał, obojętny na to, co działo się dookoła. – To możemy po prostu pogadać.

– Wspaniały pomysł! Podyskutujmy wobec tego o bezmiarze twojej głupoty. Dziś wieczorem przekroczyłeś wszelkie granice zdrowego rozsądku!

Genève, złorzecząc i przeklinając, zaczęła nerwowo przechadzać się po ogrodzie.

– Jasna cholera! Już prawie by mi się udało, niewiele brakowało, a miałabym to wszystko za sobą!

– Czy to było takie ważne? – dopytywał pisarz, bojąc się już cokolwiek powiedzieć.

– Żebyś się nie wtrącał? Jasne, że tak!

– Pytam o moje nazwisko... Czy moje nazwisko miało aż takie znaczenie?

Oslupiała z wrażenia Genève pochyliła się nad nim i objęła mu głowę dłońmi. On leżał jeszcze na ziemi i z tej pozycji obserwował jej oczy oraz roztaczające się nad nimi niebo i gwiazdy. Zdawały się przeniknięte tym samym duchem.

– Kim jesteś? – spytała Genève.

Mężczyzna pozbawiony nazwiska otworzył usta, ale nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

– Skąd przybywasz?

Zastanowił się przez chwilę, ale w głowie miał jedynie obraz Genève. Nie potrafił odpowiedzieć na jej pytanie. Pamiętał tylko Tirnaïl, Królestwo Rzeczy Utraconych, ale zdawał sobie sprawę, że to nie było jego prawdziwe miejsce pochodzenia.

– Jak się nazywałeś i skąd się tu wzięłeś?

Nie był tego pewien. Nazwisko, jego nazwisko, jak ono brzmiało... faktycznie, dobre pytanie.

– Tirnaïl nie wypuści cię bez twojego nazwiska. Nawet jeśli odnajdziesz to, czego szukasz, choć i tak jestem pewna, że tego nie odnajdziesz, a nie będziesz dokładnie wiedział, kim jesteś, nie wydostaniesz się z Królestwa Rzeczy Utraconych.

– Ale mi się tu podoba.

– Tu jest parszywie! – wrzasnęła Genève. – Skąd możesz wiedzieć, jak tu jest? Skąd możesz wiedzieć, jak to jest być zapomnianym, do tego stopnia, że już się samemu nie pamięta, kim się jest? Jesteś szaleńcem! Czy ty nie rozumiesz, co przed chwilą zrobiłeś? Wszystko, co istnieje na świecie, prędzej czy później z niego znika. Zostają tylko nazwy. Jeśli umrzesz bez twojego nazwiska, nikt nie będzie o tobie pamiętał ani tu, ani gdziekolwiek indziej. Będzie tak, jakbyś w ogóle nie istniał. Nigdy. Ale czemu ja się tym wszystkim tak bardzo przejmuję? Dobrze ci tak, na nic innego nie zasługujesz!

Mężczyzna nie reagował. Może faktycznie wpadł w tarapaty. Wszystkie lata pracy i zaangażowania miały pójść na marne, miały umrzeć w zapomnieniu. Ta wizja go przeraziła. Próbował wyteńczyć umysł, wydawało mu się, że coś mu się przypomina, że ma już to nazwisko na końcu języka, jak zapomniane słowo. Ale ono nie miało odwagi się ujawnić, tkwiło sobie gdzieś bezpiecznie ukryte i im więcej czasu mijało, tym bardziej wycofywało się do niedostępnych zakamarków umysłu.

Nagle go olśniło. Z nadzieją na odnalezienie jakiegokolwiek dowodu tożsamości przeszukał wszystkie kieszenie. Niestety, niczego przy sobie nie znalazł. „Nazwisko”, zaczął główkować gorączkowo. „Przypomnij sobie swoje nazwisko”.

Może trzeba było spróbować inaczej. Pomyślał o sile nazw i imion,

uświadomił sobie, jak bardzo przypisane są one do osób, zdarzeń i przedmiotów, stanowią ich esencję. Były pozbawione nazw mogły już stać się czymkolwiek. Teraz wszystko było możliwe. Był nikim i mógł stać się kimkolwiek, teraz mogła już do niego pasować każda wymyślona historia. I w tym momencie mężczyzna, który nic na swój temat nie pamiętał, odkrył w sobie talent do wymyślania historii.

– Jestem fantasta, wymyślam i opowiadam historie. Jestem opowiadaczem historii – odpowiedział Genève po głębokim zastanowieniu. Nie był do końca pewien tego, co mówił, ale czuł, że było to najbliższe prawdy. – Przybywam z Miasta Syren. Nazywam się Antoine Tomojasprawa i szukam utraconego wspomnienia.

– I to wszystko?

– Na razie tak.

– To tylko cień tego, czym jesteś – westchnęła dziewczyna. – Ale lepsze to niż nic, panie Antoine Tomojasprawa.

– A ty nie pamiętasz mojego nazwiska? Przecież byłaś tam, kiedy wykrzyczałem je na całe gardło... nie słyszałaś?

– Jeśli ty sam go nie pamiętasz, Antoine, dlaczego miałby je pamiętać ktoś inny?

Genève przysiadła na trawie u jego boku. Zwisające z jej ramion skrzydła zajmowały naprawdę dużo miejsca.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytała. Powoli opadała z niej wściekłość, a w jej miejsce pojawiała się rozczarowanie. Antoine Tomojasprawa, opowiadacz historii, nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Przeszukał dokładniej kieszenie spodni, ale znalazł w nich jedynie pognieciony kawałek papieru. Z nadzieją, że rzuci on nowe światło na jego beznadziejną sytuację, wyciągnął go i wygładził. Był to portret kobiety z zielonymi włosami. Portret Genève. Drżącymi dłońmi odwrócił kartkę i odczytał zapisane na jej odwrocie zdanie:

Czerwiec 1999 roku

Tirnaïl to Królestwo Rzeczy Utraconych, nie pozwól, bym i ja tam trafiła.

Pamiętaj o mnie i o Kryształowej Nocy.

Kocham Cię, Genève Poitier.

– Nie wiem, dlaczego, ale czułem, że było warto – wyszeptał Antoine. Z pośpiechem wsunął portret do kieszeni, a ona w tym momencie zerknęła mu przez ramię.

– Co tam chowasz?

– Nic takiego.

Antoine wciągnął głęboko powietrze, był coraz bardziej poruszony

i rozgorączkowany. Pod żadnym pozorem nie mógł pokazać jej tego portretu, nie mógł dopuścić, by przeczytała to zdanie. Nie mógł pozwolić, by odkryła, że trafiła do Tirnaill najprawdopodobniej z jego winy.

– Naprawdę sobie mnie nie przypominasz? – spróbował po raz kolejny. „Proszę, przypomnij sobie”, błagał ją w duchu. „Przecież my się już znamy, jestem tego pewien”.

– Nie, ale kimkolwiek jesteś, daję głowę, że jesteś nieudacznikiem i popaprańcem – odrzekła smutnym tonem, z którego wyparowała już złość. – Wszyscy nimi jesteśmy. Wszyscy jesteśmy przegrani. Inaczej by nas tu nie było. Chciałabym cię pamiętać, Antoine Tomojasprawa, i chciałabym, żebyś ty pamiętał mnie. Zresztą w Tirnaill wszyscy mamy ten sam problem. W pewnym momencie podarowany nam tutaj czas dobiega końca i o wszystkim zapominamy.

Uniosła ramię, odsłaniając nadgarstek, a na nim niebieski, dziecięcy zegarek z zupełnie pustą już tarczą.

– To okropne, nie wiesz, kim jesteś, ale wiesz, że kimś jednak musisz być. Każdy, kogo spotykasz, nosi w sobie jakiś fragment ciebie, a ty nosisz w sobie fragmenty innych napotkanych tu osób. Dostrzegasz je i zaczynasz rozumieć, że nie jesteś w stanie odbudować swojej tożsamości bez tych wszystkich elementów. Nikt z nas nie może tego uczynić. Jesteśmy niekompletni, a ty właśnie pozbyłeś się jedynej rzeczy, która czyniła cię wyjątkowym.

Siedzieli w milczeniu, zapatrzeni w morze i otaczającą ich noc.

– A ty jesteś treserką ważek – powiedział Antoine, wskazując na jej tatuaż i starając się sprowadzić rozmowę na inne tory.

– Oczywiście, że tak! To moja pasja od dzieciństwa. – Rozpromieniła się wreszcie Genève.

Antoine z niecierpliwością czekał na ten moment; jej uśmiech krył w sobie wszystko, czego pragnął. Odwzajemnił go, ale pomyślał, że z wykrzywioną twarzą i bordowymi od wina zębami musiał wyglądać nie tylko brzydko, ale i niezbyt inteligentnie.

Nie miało to jednak większego znaczenia, ponieważ Genève w ogóle nie zwróciła na niego uwagi, a jedynie pokazała mu pusty flakonik po magicznym płynie.

– Pewien sprzedawca złudzeń optycznych pod Łukiem Zmyleń kazał sobie za niego zapłacić pięćdziesiąt sztuk srebra. Niezła sumka, zwłaszcza że sztuczka trwała dosłownie parę minut. Ale się opłaciło.

– Bez wątplenia. Wszyscy byli pod ogromnym wrażeniem.

– Jasne. I odwróciłam ich uwagę.

Puściła do niego oko, a potem uniosła do wysokości kolana długą spódnicę, pod którą Antoine dojrzał przywiązaną do łydki wielką, oprawną w skórę księgę zamykaną na zmyślnie wygięty haczyk. Dopiero kiedy ją otworzyła i zaczęła

przerzucać karty, fantasta zorientował się, w czym rzecz. Miał przed oczami księgę kontraktową! Okazało się, że tomiszcze licytatora, w którym zapisywano wszystkie oferty uczestników Aukcji Złudzeń, wcale nie zniknęło. Po prostu ukradła je Genève!

Miał ochotę przycisnąć tę księgę do piersi, ale dziewczyna nawet na ułamek sekundy nie chciała wypuścić jej z rąk. Strony księgi mieściły oferty o niewyobrażalnej wartości, skarby warte więcej od jakiegokolwiek sumy pieniędzy, fragmenty dusz setek osób, wszystkich uczestników Aukcji Złudzeń mniej więcej z ostatnich dwudziestu lat. Wpisy do księgi były niemalże święte, jakby były naniesione ludzką krwią.

– To niesamowite... To... Nawet jeśli Antoine czuł się cudzoziemcem w tej krainie, nie znał mapy jej nieba i zapachu jej ziemi, doskonale zdawał sobie sprawę z bezcennej wartości tego przedmiotu. – Jest jak skarbiec, tylko zamiast kolii, diamentów i góry złotych monet kryje marzenia wielu ludzkich istot!

– Wiem o tym. Specjalnie tu po nią przybyłam. Planowałam ten skok od wielu dni. Musiałam zaprzyjaźnić się z wieloma prostytutkami z Wanezji i wkraść się w łaski tutejszych arystokratów, w przeciwnym razie nigdy nie dopuściliby mnie do aukcji. Tej sztuczki z ważką nie wymyśliłam po to, żeby zaimponować sprytem, ale dlatego, że w jakiś sposób musiałam odwrócić uwagę tych uzależnionych od złudzeń jak od narkotyku desperatów.

– Dlaczego ją ukradłaś?

– Aby odsprzedać ją temu, kto da więcej, to oczywiste.

Antoine niewiele z tego rozumiał i z każdą minutą czuł się coraz bardziej skołowany. Podejrzywał, że musiał umknąć mu jakiś fragment tej opowieści.

– Chcesz sprzedać najlepszemu oferentowi cudze oferty?

– A co w tym takiego dziwnego? Przecież one nie należą do mnie. Tylko do tych idiotów, którzy przybywają do Wanezji i pozwalają robić sobie wodę z mózgu. Myślą, że wystarczy Aukcja Złudzeń, by odnaleźć to, czego szukają. Zapominają, że to miasto to miraż i że nawet za najmniejszą drobinką kurzu kryje się tutaj oszustwo. Powietrze, którym oddychasz, jest toksyczne, a te wszystkie cuda i dziwy są jak brudy na śmietniku straconych złudzeń. Wiesz, co dzieje się z iluzjami, kiedy wreszcie wydostaną się z Tirnaïl? Rozpadają się! Znikają w zetknięciu z powietrzem z tamtego świata... I to jest jeszcze najlepsza opcja, ponieważ jeśli masz pecha, to nadal je widzisz, skazany na szaleństwo i ubóstwanie nicości.

Antoine nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie chciał jej jeszcze bardziej rozdrażnić i uznał, że mądrzej będzie w ogóle się nie odzywać. Obserwował, jak przeglądała księgę i, raz po raz, wybuchał śmiechem, odczytując, co ludzie oferowali w zamian za marne oszustwa.

– Co będzie z moim nazwiskiem? – spytał i wyobraził je sobie jako

wynędniała istotkę, wystraszoną i głodną, więzioną w zgniłych lochach jakiegoś zamku. Na tę myśl sam się nad sobą roztkliwił i pomyślał, że w gruncie rzeczy Genève miała rację. Był przegrany, był życiowym offermą.

Ni stąd, ni zowąd pochłonięta lekturą rejestru ofert dziewczyna przypomniała sobie o swoim beznadziejnym położeniu. Prychnęła ze złości i wykrzywiła z niezadowoleniem usta.

– Nie wiem, cudzoziemcze. Miałam uciec zaraz po przejęciu księgi, ale pojawiłeś się ty – król pechowców i popaprańców, i moje plany wzięły w łeb. Kupiłeś mnie jak jakąś niewolnicę.

– Czy ty też jesteś tylko złudzeniem?

– Przejrzyj na oczy, głupcze. Ja przybyłam tu specjalnie po księgę kontraktową! Nie jestem mieszkanką Wanezji i nie jestem złudzeniem.

– Gdybym cię nie kupił, zrobiłby to ktoś inny. W jaki sposób miałaś nadzieję stąd uciec? I dlaczego powinienem ci zaufać?

– Nie musisz. Wiesz, co teraz zrobię? Wrócę tam, do środka, ukradnę nową księgę i odczytamy twoje nazwisko. Jak sobie wreszcie przypomnisz, kim jesteś, to może się ockniesz z letargu, śpiący królewiczu, a ja w ten sposób będę znowu wolna.

– Nie jesteś wolna?

– Nie, i to dzięki tobie. Nie słuchałeś, co powiedział licytator na temat zasad Aukcji?

– Widocznie miałem odwróconą uwagę.

– Kupiłeś mnie bez znajomości warunków zakupu? – Genève była zbyt oszołomiona, by krzyknąć z wściekłości. – Zgodnie z jedną z klauzul umowy po sprzedaży życie iluzji zależy od życia nabywcy. Aż do jego śmierci albo do śmierci obojga z nich.

– Dobrze już, dobrze... Co to konkretnie oznacza?

– To oznacza, że jeśli ty umrzesz, ja umrę razem z tobą, cudzoziemcze.

– Ale przecież ty nie jesteś złudzeniem!

– Nie, ale obszedłeś się ze mną tak, jak bym nim była. W Tirnaïl wszystko działa w oparciu o pokrętne i zwodnicze zasady. To bardzo osobliwa kraina....

– To wszystko nie ma sensu!

– Nie ma, to prawda. Ale właśnie tak to wygląda, a ja nie mam ochoty ryzykować. Przynajmniej nie dla kogoś takiego jak ty, zwłaszcza że w moim odczuciu masz niewielkie szanse na przetrwanie. Teraz pójdę poszukać księgi, wrócę mniej więcej za dziesięć minut... Co ty na to? Czy istnieje prawdopodobieństwo, że za dziesięć minut będziesz jeszcze żywy?

Antoine przytaknął bez przekonania. Musiał wydać jej się kompletnym idiotą.

Patrzył, jak oddalała się w stronę oszklonych drzwi pałacu, aż w końcu

zniknęła w jego wnętrzu.

– Hmm... Ja też sobie ciebie trochę inaczej wyobrażałem... – wymamrotał mocno zawiedziony.

Gdyby Antoine był trzeźwy, zastanowiłby się nad całym tym zdarzeniem i poszukał rozwiązania przynajmniej dla jednego ze swoich problemów. Ale trzeźwy niestety nie był. Chwiał się na nogach i chichotał, a cała ta sytuacja wydawała mu się w gruncie rzeczy bardzo zabawna. Przebywał w jakiejś nieznannej krainie, w której królowały fałsz i oszustwo, sprzedał własne nazwisko na Aukcji Złudzeń, żeby kupić za nie dziewczynę, która go nawet nie tolerowała i która być może była tylko iluzją.

Przyklął na ziemi i pomyślał, że wszystko w tej krainie było niejako podwójne: pochodnie, kokardy, drzewa, a nawet koty...

Było tu naprawdę dużo kotów. Schowane za stojącym w ciemnym kącie posągiem, ryczały jak rozwścieczone tygrysy. Z początku pomyślał, że szykują się do walki o własne terytorium albo o względy jakiejś kotki. Wyobraził sobie, że lada moment ustawią się w kręgu, gotowe wbijać w siebie pazury i odzierać się nawzajem ze skóry, ale jak tylko skręcił za róg kamienicy, oniemiał z wrażenia. Dostrzegł tam bowiem pięć kotów dmuchających na... pustą ścianę.

– Serwus, kociaki, macie jakiś problem? – Antoine próbował zażartować i dołączył do ustawionych wzdłuż muru zwierzków.

Rozpościerająca się przed nimi ściana była pusta. Bił od niej lodowaty ziąb, który niemal poraził mu mięśnie. W pobliżu nikogo nie było, jednak dookoła rozlegały się jakieś szepty, raz po raz przemykały cienie. Coś kryło się w ciemnościach... Coś, co niosło za sobą śmiertelny chłód...

– Odetchnij głęboko – nakazał sam sobie Antoine, przymykając oczy i zaciskając ręce w pięści. Oddychał miarowo, próbując odnaleźć spokój i odwagę. Powoli wychwytywał niemal niesłyszalne odgłosy, wyczuwał konsystencję czegoś niewidzialnego. Nagle poczuł u boku czyjąś obecność, a wówczas koty rozpięzchły się, wydając dzikie jęki.

Umierał z przerażenia, nie był w stanie racjonalnie myśleć, ale czuł, że musi wiedzieć, co kryją te ciemności. Otworzył szeroko oczy i, podniósłszy ramię, próbował dotknąć cienia. Wstrzymał oddech i wydało mu się, że świat się zatrzymał. Ucichł szum i pojękiwania wiatru, opadł strumień pobliskiej fontanny, zamarły odgłosy cykad. Nagle wszystko pochłonęły noc i cisza.

– Cienie! Nadchodzą Cienie! – Z wnętrza pałacu dało się słyszeć czyjś przelęknięty głos. Po nim rozległ się pozbawiony słów i przepojony trwogą krzyk. W oknach pałacu migały sylwetki uciekających w popłochu gości, Antoine pomyślał, że wyglądają jak stado oszalałych bizonów. Przepychali się jeden przed drugim, nawzajem się tratowali, gnali na oślep, chowali po kątach i gramolili gdzie

popadło, by uciec przed nicością. Za nimi postępowała ciemność, powoli zaczynały gasnąć wszystkie światła pałacu. Od strychu aż do piwnic, na tarasach i w ogrodach nie tlił się już nawet jeden płomyk.

Antoine nie miał pojęcia, co się działo. I on rzucił się więc do ucieczki i, desperacko poszukując choćby najmniejszej namiastki światła, trafił na piecyk koksowy. Płomień jeszcze dość żywo w nim podrygiwał, trawiąc powoli suche szyszki, które kurczyły się i wycofywały, broniąc się przed spalaniem z taką samą determinacją, z jaką Antoine próbował obronić się przed ciemnością. Wolałby paść na ziemię i stracić przytomność, ale nieoczekiwanie poczuł się całkowicie trzeźwy i świadomy.

Obserwował dogasający płomień piecyka, podczas kiedy i w nim, w całkowitej ciszy, coś umierało. Ogarnęło go rozdzierające wrażenie pustki, takie, które przegania wszelkie szczęśliwe myśli, pozostawiając po sobie tylko najpodlejsze odpadki wszelkich ludzkich uczuć. Po miłości pozostała nienawiść, po nadziei – desperacja, a po życiu – pragnienie śmierci. I to właśnie ono wbiło mu się w serce jak hak. Potem rozpląnął się gdzieś ostatni blask dochodzący od piecyka. Usłyszał czyjś głos.

– Tomojasprawa! – nawoływał z daleka wysoki mężczyzna z podkreconymi do góry wąsami, ale Cienie pochłonęły już wszystko, w tym także opowiadacza historii o imieniu Antoine.

Nechnabel

Obrazy przesuwwały się w szalonym pędzie i układały jak w ogromnym kalejdoskopie. Antoine Tomojasprawa, opowiadacz historii z Miasta Syren, wiedział, że narodził się z ojca i matki oraz że został przez jednego z nich, a może i nawet przez obojga, osierocony. Kojarzył też, że zanim jeszcze zaczął sprzedawać swoje opowieści, pracował na usługach Śmierci, poprawiając urodę trupom. I to wszystko. Całej reszty zupełnie nie pamiętał i właśnie dlatego trafił do Królestwa Rzeczy Utraconych... A może nie? Może jednak wcale tak nie było? Z całej siły próbował sobie coś przypomnieć i miał wrażenie, że za moment rozsadzi mu skronie, a dusza wyskoczy mu z ciała.

Kiedy wreszcie Antoine otworzył oczy, był cały zlany potem, miał gorączkę i z trudem łapał powietrze. Potem ujrzał przed sobą trupa czaszkę.

– A ja już prawie, prawie myślałem, że pan nie żyje! Ja już chciałem panu nos obcinać i jeść. Taki duży, sama chrząstka. Naprawdę *muy hermoso*[10]!

Antoine podniósł się gwałtownie na posłaniu. Okazało się, że to, co ujrzał w odległości kilku centymetrów od twarzy, nie było trupa czaszką. Uśmiechał się do niego nie wiadomo czym rozbawiony bezzębny staruszek, który musiał mieć przynajmniej z dwieście lat.

– Co za szczęście, że ja zabrałem pana z ulicy, *señor*, mizernie pan wyglądał. Zawsze powtarzam, że z Nechnabel[11] jeszcze nikomu nie udało się uciec.

– Czy Nechnabel należy do Tirnaïl? – dopytywał Antoine.

– *Qué quires*[12]? Wszystko prędzej czy później należy do Tirnaïl! – zachichotał starzec i oddalił się w podskokach od otumanionego Antoine'a w stronę ogniska płonącego pośrodku obskurnego, ciasnego pomieszczenia, którego podłoga chyliła się niebezpiecznie w prawo.

Antoine próbował się podnieść, ale w pozycji stojącej wytrzymał zaledwie parę sekund.

– Och, *señor*! Niech pan będzie grzeczny i wraca do łóżka – bąknął staruszek, mieszając jakąś ohydną papkę w ogromnym tyglu, który nadawałby się na ilustrację do podręcznika czarnej magii.

Zresztą książek i podręczników w tym pomieszczeniu nie brakowało. Były wszędzie: porozkładane na podłodze, na połamanych krzesłach, przysypane piórami niezidentyfikowanych ptaszydeł. Stary pochylił się i podniósł z podłogi

jedno z nich. Najpierw uważnie je obejrzał, a potem, wyraźnie usatysfakcjonowany, wrzucił do tygła i podśpiewując, mieszał dalej.

– *No es increíble*[13]? Pan spał przez całe dwa dni.

– To rzeczywiście niesamowite. Zwłaszcza że po takim pijaństwie można się już w ogóle nie obudzić.

Stary zaśmiał się czysto i dźwięcznie. Antoine, któremu ten śmiech przywiódł na myśl odgłos rozbijających się o skały fal, nie przestawał rozglądać się nerwowo dookoła w nadziei, że odnajdzie jakiś znajomy element lub punkt odniesienia. Niczego takiego jednak tam nie było. Przypatrywał się zasłonie z ceraty, która oddzielała pokój od plugawej latryny, dostrzegł również drzwi prowadzące do jeszcze jednego pomieszczenia. Z pewnością nie był to domek czarodzieja, a jednak wyczuwało się w nim magiczną atmosferę. Podarte koronkowe firanki, wywrócone do góry nogami zniszczone i połamane meble, tapety pokryte wyblakłymi baśniowymi wzorami, odrapane i wałące się ściany zatopione były w blasku setek rozświetlających pomieszczenie świec.

Na drewnianym obramowaniu lustrzanych drzwiczek od szafki kuchennej dostrzegł zmiętą karteczkę, przymocowaną żółtą pinezką. Widniała na niej krótka lista, a jej tytuł obrysowany był czerwonym flamastrem:

Todas las cosas lindas

El mar

Oliver

Los botes de papel

Ir al barbero

Las margaritas[14].

Antoine raz jeszcze spróbował wstać. Tym razem nogi i głowa okazały się sprawniejsze i dotarł aż do tygła, w którym starzec pichcił zieloną i bulgoczącą miksturę. Na zewnątrz rozciągał się trudny do opisanego widok. A może raczej... jego brak. Prawdopodobnie było to jakieś miasto, ale z wszechogarniających ciemności i mgły wyłaniał się zaledwie jego niewielki fragment. Szara i smutna ulica, wzdłuż której ciągnęły się ponure i spiętrzone jak karty w talii błoćzyska. Z ulicznych lampionów padało tak nikłe światło, że nawet one same tonęły w mroku. W pewnym momencie Antoine dostrzegł w oknie sąsiedniej kamienicy pożółkłą twarz starszego mężczyzny, który zorientowawszy się, że jest obserwowany, natychmiast zatrzasnął oberwane okiennice.

– Gdzie ja jestem? – usłyszał swój ochrypły głos.

– W Nechnabel, *señor*, już panu mówiłem. W więzieniu tych, którzy nigdy w życiu nie zgrzeszyli.

– To bzdura, nie istnieją takie więzienia.

– Ach, doprawdy? Czyżby pan twierdził, że spędziłem kilka ostatnich lat w miejscu, które nie istnieje?! O nie, *señor*! Nechnabel istnieje... Mam wątpliwości co do istnienia piekła, jego być może nie ma, ale Nechnabel...

Antoine siedział w milczeniu i wpatrywał się w ołowianoszary widok za oknem. Nie był w stanie zebrać myśli i nawet nie pamiętał jak przekuwa się je w słowa.

– Wygląda jak getto.

– Niektórzy faktycznie lubią je tak nazywać – odpowiedział starzec. – To w sumie i tak niczego nie zmienia.

– Co kryje ta mgła?

– Mgła i ciemności? Kolejną mgłę i kolejne ciemności. *No hay nada. El mundo ha terminado*[15], a my zostaliśmy. Pograżeni w tej otchłani.

– Trudno mi w to uwierzyć, proszę pana, ja na przykład całkiem niedawno byłem w W... Wa...

Antoine przerwał. Niczego nie pamiętał. W głowie wirowały mu maski, ponętne kobiety, wykwintne trunki... Złudzenia i kłamstwa...

– Chciał pan powiedzieć: w Wanezji?

– Wanezja... – Antoine zawahał się i w tym momencie wszystko sobie dokładnie przypomniał: bale i ulice, Genève i jej zapomnianą historię. Nie pozostał po nich najmniejszy ślad. – Na imię mi Antoine, jestem opowiadaczem historii, przybywam z Miasta Syren i poszukuję moich utraconych wspomnień.

– A ja jestem Santiago, *señor*, przybywam znad Morza Zsypijskiego i szukam zapachu morskiej bryzy. – Starzec uściśnął mu serdecznie dłoń. Kazał mu rozsiąść się na łóżku, a sam przysiadł na wyplatanej krześle, które za moment rozpadło się pod ciężarem jego cherlawego ciała. Turlając się ze śmiechu, kontynuował swój wywód.

– Morze Zsypijskie, *entiendes*[16]? Bóg podarował morze ziemi, która była niemal idealna, ale miała jedną wadę – nie potrafiła płakać. Podarował jej również ogromne ilości syren i trytonów, nawiasem mówiąc duszone na wolnym ogniu smakują wyśmienicie! Ja zbudowałem sobie tam podwodny sklep. Sklep z wiatru i morskiej soli, a wielu ludzi kupowało u mnie różne rzeczy.

– Jakie rzeczy?

– Rzeczy jak rzeczy. – Santiago objął się rękoma i sprawiał wrażenie, że nawet sam nie wiedział, co sprzedawał. – Morze mi je przynosiło. Morze zawsze wszystko przynosi. Ja tylko je zbierałem i zanosłem do sklepu, a ludzie przybywali, pociągali za spłuczkę i odpływali zadowoleni.

– Wspaniała sprawa, ale dlaczego pociągali za spłuczkę?

– Z powodu żarówek, oczywiście.

– Jasne. – Antoine nic z tego nie pojmował, ale słuchał go z rozbawieniem. – A co było potem?

– I co ja mam panu odpowiedzieć, *señor* Antoine? Pewnego dnia przybyły po mnie cienie i porwały do Nechnabel. Od tego czasu nie pamiętam nawet, jak wygląda światło. Spędziłem tu kilka ostatnich... stuleci. No, może trochę przesadziłem, ale minęło bardzo wiele czasu, a i tak trzeba niebiosa chwalić i dziękować, że jesteśmy jeszcze żywi... Niech pan chwali niebiosa, *señor* Antoine, i niech pan dziękuje *por las velas*, za świece. Nie chciałbym pozostać bez świec, gdy one znowu tu nadciągną.

– One, to znaczy kto? – dopytywał zaintrygowany Antoine.

– Te Noksy[17], *señor* Antoine, Ciemności. To one nas tu przywiodły i one nas pochłaniają. Niech się pan modli, żeby choć jedna z tych świec nigdy nie zgasła.

Santiago chwycił go za dłoń i z powagą umieścił mu w niej jakiś przedmiot. Była to maleńka, papierowa łódeczka, wykonana ze sklepowego paragonu. Potem staruszek podszedł do swojego tygla i znowu zaczął beztrudnie podrygiwać i nucić pod nosem jakąś melodię. Tymczasem Antoine rozglądał się po skromnym mieszkanku i jego wzrok zatrzymał się na drzwiach wejściowych.

Szkoda, że nie było tu Edgara z pękiem kluczy pasujących do wszystkich drzwi w Tirnaíl. Zastanawiał się, na czym polegały jego sztuczki i gdzie mógł się teraz podziwiać malarz. Ciekawe, czy również jego spotkał taki smutny los? Cienie – czy też Noksy, jak nazywał je Santiago – narobiły wiele spustoszenia w czasie Aukcji Złudzeń, ale być może Edgarowi udało się uciec.

Z rozmyślań wyrwał go Santiago, nagłym klepinięciem w plecy przywołując Antoine'a do rzeczywistości. Z kieszonki przepoconej koszuli wyciągnął zegarek i postukał palcem w jego pustą tarczę.

– Już czas. „Woda w garnku się gotuje, wrzuc ziemniaki i cebulę!”. W ogródku za domem, *señor* – staruszek zaintonował rymowaną i, nie czekając na odpowiedź, wypchnął Antoine'a za próg i zatrzasnął mu drzwi przed nosem z taką siłą, że aż wyskoczyły z zawiasów i z gruchotem spadły ze schodów. Na szczęście Antoine'owi udało się w porę przed nimi umknąć i, nie zwracając uwagi na starca, który głośno zaśmiewał się z czegoś w swoim mieszkaniu, ruszył w dół niebezpiecznie krętymi schodami. Niewiele brakowało, a zwinęłyby się w rurkę. Na progach wszystkich mijanych po drodze mieszkań dostrzegł małe papierowe łódeczki, prawdopodobnie pozostawione tam przez starego Santiago, który umiał zadbać o dobrosąsiedzkie stosunki.

Przedzierając się między grubymi warstwami pajęczyn i naszpikowanymi gwoździami niskimi belkami stropowymi, zbiegł sześć pięter w dół i w końcu wydostał się na zewnątrz. W pierwszej chwili doznał niewątpliwej ulgi, ale wkrótce okazało się, że panująca tam atmosfera była jeszcze bardziej przygnębiająca. W powietrzu unosił się odór wojny i śmierci, czarne niebo przesłaniała gęsta mgła i nie był to zwykły wieczorny mrok, ale posępny, nieprzenikniony monolit

ciemności, pozbawiony księżycy i gwiazd.

Antoine przystanął, by przyjrzeć się gettu w Nechnabel, i doszedł do wniosku, że do żyjących tam ludzi pasowało jedynie miano desperatów. Tuż obok niego szybkim krokiem przemknęła kobieta, ożywienie dyskutująca z jakąś niewidzialną istotą; nieopodal oparty o latarnię mężczyzna potrząsał gwałtownie głową. Miał szeroko rozwarte, przekrwione z niewyspania oczy.

– Po ciebie też przyjdą, zobaczysz, po ciebie też przyjdą! Musisz wykrzesać z siebie więcej strachu i mniej wiary, musisz się jeszcze bardziej bać – mamrotał uparcie.

Mała dziewczynka o jasnopolopatych włosach bawiła się zdechłym kanarkiem. Tulila go w ramionach i śpiewała mu smutną kołysankę, z której Antoine'owi udało się wychwycić kilka urywanych słów: „Noc ciemna i mgła... i nie ma nikogo... widzisz mnie braciszku? Gdzie jesteś? Ja ciebie nie widzę”.

Kiedy dziewczynka podniosła wzrok, okazało się, że była niewidoma.

Antoine oddalił się pospiesznie. Obszedłszy budynek dookoła, dotarł do położonego na jego tyłach podwórza, cuchnącego zwierzęcymi odchodami i wysuszoną, jałową ziemią. Ogródek, o którym wspominał Santiago, okazał się kocim wychodkiem, marnym i zapuszczonym skrawkiem ziemi. Na środku stało uschnięte drzewo, po bokach nieśmiało wyrastał jeden ziemniak i jedna cebula. Zebrał je i, z litością im się przyglądając, zapytał:

– Po co wy tu w ogóle rośniecie? I co ja tu robię, do cholery?

A potem zadał jeszcze jedno, o wiele ważniejsze pytanie:

– Kim ja jestem?

Przez jakiś czas tępo wpatrywał się w mgłę. Antoine, opowiadacz historii, który przybył z Miasta Syren, by szukać utraconych wspomnień, nic na swój temat nie pamiętał, ale jednego mógł być całkowicie pewien – teraz był więźniem Tirnaill. A także Nechnabel.

Ucieczka stąd była niemożliwa. Otaczał go mur gęstej mgły i Antoine wiedział, że był on mocniejszy od zbrojonego betonu. Ciężka, mleczna kotara zdawała się nie do pokonania dla istoty ludzkiej. A jeśli nawet komuś udałoby się przez nią przedrzeć, to i tak nie znalazłby nic prócz smutku i cierpienia. Poczł dojmujący żal, wokół widział jedynie mrok i mglistą zasłonę. Nie pozostawało mu nic innego jak wrócić do domu Santiago.

[10] Hiszp. piękny – przyp. tłum.

[11] Nechnabel, świat zabójczych cieni, nazwa utworzona przez autorkę. Pochodzi od niem. wyrażenia *Nacht und Nebel*, noc i mgła, określenia użytego przez Ryszarda Wagnera w operze *Złoto Renu* – przyp. tłum.

[12] Hiszp. Co chcesz? Tu w znaczeniu: A co by pan chciał? – przyp. tłum.

[13] Hiszp. Czy to nie jest niesamowite? – przyp. tłum.

[14] Hiszp. Lista najpiękniejszych rzeczy: morze, Oliver, papierowe łódeczki, chodzenie do golarza, stokrotki – przyp. tłum.

[15] Hiszp. Nic. Świat przeminął – przyp. tłum.

[16] Hiszp. Rozumie pan? – przyp. tłum.

[17] Noksy – Ciemności, Cienie. Nazwa została utworzona przez autorkę, pochodzi od łacińskiego słowa *nox*, czyli noc – przyp. tłum.

Santiago

Kilka następnych tygodni Antoine przeżył w stanie półuśpiania. Miał wypalony umysł i odrętwiałe członki. Wyobrażał sobie, że tak właśnie muszą czuć się zjawy i bardzo im współczuł.

Krążył po ulicach Nechnabel w poszukiwaniu możliwości ucieczki, ale schodząc niemal całe podeszwy, odkrył jedynie, że ona nie istniała. Wszystkie drogi doprowadzały go do punktu wyjścia. Musiał więc dostosować się do rytmu życia getta i gdyby nie towarzystwo Santiago, zupełnie by się załamał. Cały czas spędzał ze staruszką, który był kruchy ciałem, ale mocny duchem i do tego odrobinę zwariowany. Trochę się sobie pozwierzali. Santiago opowiedział Antoine'owi, że zanim jeszcze wiele lat temu trafił do Tirnaïl, mieszkał w bardzo odległej krainie i utrzymywał się z połowu ryb. W żyłach płynęło mu więcej morskiej wody aniżeli krwi. Któregoś dnia został jednak powołany na front i jego skóra utraciła zapach oceanu. Gdy po latach spędzonych w okopach, wśród rozszarpanych ciał i nieustającego huku bomb, wrócił wreszcie do domu, okazało się, że ryby przestały brać, a on wraz ze swoją barką zagubił się pewnego dnia w otchłani nicości. Widział przed sobą tylko pusty horyzont. W poszukiwaniu utraconego zapachu morza i sensu swojej codzienności trafił do Królestwa Rzeczy Utraconych. Niestety, jego czas w Tirnaïl się skończył, zanim udało mu się cokolwiek odnaleźć. Wtedy to przedsiębiorczy staruszek, który nie zamierzał się poddawać, zbudował sobie mały sklepik na dnie Morza Zsypijskiego, ale mimo że bardzo się starał, dopadły go w końcu cienie i przywlokły do Nechnabel. Tu po raz kolejny zdołał zmobilizować wszystkie siły i, mimo zupełnie niesprzyjających warunków, znalazł sobie nowe zajęcie: został zielarzem w mieście nocy i mgły, ponieważ zrozumiał, że życie nigdy się nie kończy, czasami robi sobie tylko przerwy.

Antoine darzył go ogromnym szacunkiem i bardzo lubił spędzać z nim czas. Codziennie chodził pielęgnować jego ogródek, nawet jeśli nie było tam nic do roboty, i pomagał Santiago w przygotowywaniu mikstur na ból gardła. Czasami odbywali trudne rozmowy.

– Czyli szuka pan wspomnienia, jeśli dobrze zrozumiałem, tak? – spytał któregoś dnia Santiago, mieszając jedną ze swoich tajemniczych fioletowych papek.

– Tak, przynajmniej tak mi się wydaje. Od czasu kiedy zostałem Antoine'em, moje życie nie toczy się naprawdę, ale jest jak jedna z bajek, które opowiadano mi w dzieciństwie. Nie pamiętam szczegółów i właśnie to najbardziej mnie przeraża.

– *Y por qué*[18]?

– Ponieważ diabeł tkwi w szczegółach i to one mają znaczenie. Czuję się tylko statystą w spektaklu mojego życia, a czasem odnoszę wrażenie, że rozgrywa się on w ogóle bez mojego udziału.

– Po prostu stracił pan poczucie tożsamości, ale nie trzeba się martwić. Tirnaíl zawsze wszystko zwraca. *Tarde o temprano*[19]. Ważne, żeby zbyt długo nie siedzieć beczynn timer. A poza tym jest pan odważny. A odważni ludzie są głównymi bohaterami, a nie statystami. *Por favor*[20], czy poda mi pan trochę ostrej papryki, *señor* Antoine?

– Ostrej papryki? Słyszałem, że tutaj, w Tirnaíl, wspomnienia zostały wygnane do Mnemozji, czy to prawda?

– Och, Mnemozja! Jakaż to piękna kraina! Jeśli poda mi pan jeszcze słoiczek ze świetlikami, będę panu ogromnie wdzięczny i trochę mniej nieszczęśliwy.

– A do czego potrzebne są panu świetliki? Chyba nie zechce ich pan ugotować razem z ostrą papryką i czekoladą? Czy pana zdaniem uda mi się dotrzeć do Mnemozji, panie Santiago? – nalegał Antoine, sięgając na półkę po słoiczek, w którym pobłyskiwało pięć świetlików.

– *Por qué no*[21]? Wie pan, *señor*, pan mnie spytał, do czego potrzebne są świetliki, a wie pan, że już jeden z nich może uratować takiego człowieka jak pan. Świetlika stosuje się jako lekarstwo.

– Lekarstwo na co?

– *Para la vida*[22]. Niech pan spojrzy, *señor*. – Santiago chwycił jednego z nich w dwa palce i przytrzymał delikatnie, jak drobinę złota. – Prawda, że piękny? Tu, w Tirnaíl, świetliki są wiarą utraconą przez cienie. *Los hombres*[23]!

– Im bardziej nieprzeniknione są ciemności, tym silniejsza musi być wiara człowieka, *señor*. Niech pan spojrzy: mieszając świetliki z czekoladą, która poprawia humor, przywraca się ludziom nadzieję.

Antoine się uśmiechnął.

– A co z papryką?

– Ach, ostra papryka to afrodyzjak! Główny składnik życia. Wiara to plaster na duszę, ale w łóżku nie wystarczy! – zachichotał.

Po przygotowaniu, poporcjowaniu i zaetykietowaniu dziesiątek maleńkich ampulek z miksturą Antoine i Santiago wyruszyli na ulice Nechnabel. Pukali do drzwi wszystkich domów w getcie, choć nawiązanie kontaktu z mieszkańcami miasta nocy i mgły nie było łatwym przedsięwzięciem – nikt tutaj nikomu nie ufał. Kiedy wracali do domu, Antoine zajmował się wymyślaniem i zapisywaniem

historii o mieszkańcach Nechnabel. Odkrył, że zaczął na nowo interesować się ludźmi, dostrzegać w nich najmniejsze szczegóły i w oparciu o drobiazgi tworzyć o nich opowieści.

W czasie tych poszukiwań wierny jak pies Santiago nie opuszczał go nawet na krok, a opowiadacz historii bardzo polubił jego towarzystwo. Jedynym problemem staruszka był strach przed ciemnością. Niemal co noc miewał koszmary i zlany potem budził się z krzykiem. Śniło mu się, że była jeszcze wojna, mężczyźni musieli wykonywać rozkazy kaprali, a zabitych było tylu, ile ziaren w młynie. Czasem znienacka wybuchał płaczem i żeby się uspokoić, zaczynał składać papierowe łódeczki, dopiero wtedy powoli dochodził do siebie.

Koszmary Santiago minęły, kiedy zakochał się w pani Jacqueline. Zobaczył ją kiedyś, jak szepcząc pacierze, zbierała воск kapiący z ulicznych lampionów, a kiedy się oddaliła, ruszył za nią, by dowiedzieć się, gdzie mieszka. Dzień później, gdy jak zwykle skończyli przygotowywanie leczniczych naparów, stary zaciągnął Antoine'a pod drzwi tej przeszło sześćdziesięcioletniej, korpulentnej i pogodnej kobiety, która uwielbiała przygotowywać ciasteczka o smaku płynu do naczyń i była gotowa pokochać każdego, kto obdarowałby ją odrobiną uwagi. Dopiero całkiem niedawno temu została oddelegowana przez Cienie do Nechnabel i, mimo słusznej postury, sprawiała wrażenie bezbronnej i zalęknionej. Od tego dnia, jak zauważył Antoine, Santiago coraz częściej kierował swe kroki w stronę domu pani Jacqueline i coraz dłużej przesiadywał w jej domku pozbawionym dachu i ogródka, popijając herbatkę i pogryzając te niesmaczne ciasteczka. Po wizytach u pani Jacqueline Santiago spał spokojnie jak dziecko, a w ciągu dnia jego promienny uśmiech wypełniał blaskiem cały dom, dając więcej światła niż świece.

Któregoś ranka po przebudzeniu Antoine zauważył, że imię pani Jacqueline pojawiło się na liście najpiękniejszych rzeczy w życiu Santiago. Po krótkim czasie wyprzedziło łódeczki z papieru, które stary roznosił po całym Nechnabel, i uplasowało się na drugiej pozycji, pomiędzy morzem a wymyśloną przez Santiago myszką o imieniu Oliver, mieszkającą – jego zdaniem – w wiekowej zepsutej pralce. A kiedy na liście starego rybaka jakaś kobieta zajmuje miejsce między morzem a resztą świata, pozostaje tylko jedno do zrobienia.

– Zaproś ją na kolację, Santiago – poradził mu Antoine akurat w momencie, kiedy przygotowywali oczyszczający z toksyn napar z pokrzywy. Santiago zarumienił się aż po uszy. Bez słowa wyrwał stronę z jakiejś książki, złożył z niej łódeczkę i wyszedł. Po dwudziestu minutach wrócił bez łódeczki, ale za to z uśmiechem na twarzy.

– Na dzisiejszy wieczór niech pan wyciągnie z szafy najpiękniejszą zastawę, *señor* Antoine.

Antoine z przyjemnością wykonał jego polecenie. Co prawda zamiast porcelany i sreber miał do dyspozycji jedynie plastikowe talerze i sztucce

jednorazowego użytku, ale uroczystego charakteru nadawał kolacji czerwono-złoty obrus – pozostałość po jakimś przyjęciu bożonarodzeniowym.

Kiedy pani Jacqueline pojawiła się na progu, demonstrując swoje obfite kształty i rozkoszne dołeczki na policzkach, koślawy domek w Nechnabel wypełniła odświętna atmosfera. Kobieta podarowała Santiago świecę z pszczelego wosku we własnoręcznie wykonanym opakowaniu, natomiast on odwzajemnił jej się lódeczką ze srebrzonego papieru. Lekko speszona Jacqueline natychmiast założyła ją sobie na głowę jak kapelusz, parszając przy tym niemal dziewczęcym śmiechem. Santiago śmiał się razem z nią i Antoine pomyślał, że w parze tych starszych, zakochanych w sobie ludzi tkwiło jakieś niebywałe piękno.

Kiedy skończyli kolację, na którą podano pieczeń z dwóch wieprzowych nóżek z dodatkiem ziemniaków i fasoli oraz sok z winogron, kobieta zdobyła się na odwagę i opowiedziała, że swego czasu w świecie, którego nazwy nie mogła sobie przypomnieć, była śpiewaczką operową.

– Nie wiem, skąd to wiem. Przeminał już mój czas i moje nazwisko, ale wydaje mi się, że byłam kiedyś sopranem. Czuję się, jakbym była kiedyś kimś innym, znacie to uczucie?

Antoine rozumiał, co miała na myśli, natomiast Santiago pękał z dumy i zachwytu, i podczas gdy ona zajadała się swoimi ohydnyymi ciasteczkami, błagał, by coś dla nich zaśpiewała. Z początku artystka trochę się krygowała, ale w końcu uległa namowom i pochlebstwom, i z trudem zanuciła dawno zapomnianą melodię, która przy dużej dozie wyobraźni przypominała arię z Nabucca. Antoine odniósł wrażenie, że jej struny głosowe były już cokolwiek zdarte i zardzewiały. W przeciwieństwie do niego, Santiago był w ekstazie i pod koniec arii z oczu kapały mu łzy.

– Właśnie to potrafiłam kiedyś robić. Oczywiście jestem trochę... No, wiecie... – próbowała usprawiedliwiać się pani Jacqueline, a jej pucołowate policzki zapłonęły rumieńcem.

– Boska! Taka właśnie jesteś! A mi, moja droga, po prostu brakuje słów! – Santiago ucałował ją w dłoń.

– Czy naprawdę tak sądzisz? – pani Jacqueline roześmiała się perliście jak dzierlatka.

– *Mi chiquita*[24], śpiew słowika potrafi przegnać noc... *Entiendes*[25]?

– Ależ oczywiście! – Kobieta rozchyliła wdzięcznie małe okrągłe usteczka, ale z wyrazu jej świńskich oczek można było wywnioskować, że nie zrozumiała, co powiedział. – Tylko... nie wychwytyję... pewnych niuansów...

– To znaczy, że kiedy słucham twego kojącego głosu, budzi się we mnie poeta, moja droga. I że ty jesteś słowikiem, który śpiewem potrafi przegonić otaczający nas mrok!

Pani Jacqueline zachichotała jak zakochana nastolatka, a Santiago obdarował

ją jeszcze jedną łódeczką wykonaną na poczekaniu z papierowej serwetki. Antoine natomiast podśmiechiwał się w duchu, zachowując tylko dla siebie informację, że te same poetyckie słowa na długo przed Santiago wypowiedział Paul Éluard.

Po zakończeniu kolacji Santiago odprowadził panią Jacqueline do domu. Po powrocie miał na ustach ślad pocałunku. Stary załamującym się głosem zaczął podśpiewywać arię z Nabucca. Podskakiwał to tu, to tam, pijany ze szczęścia jak cykada w pierwszy dzień lata.

– Panie Antoine, czy pan wie, czym jest miłość?

– Piekłem na ziemi? – odpowiedział przekornie Antoine, który zmywał naczynia po kolacji. Nieświadomie dotknął kieszeni spodni, gdzie przechowywał portret Genéve.

Miał do niej pretensje. Prawdopodobnie przybył aż do Tirnaïl wyłącznie z jej powodu, oddał swoje nazwisko w zamian za jej uśmiech, a ona odepchnęła go, potraktowała jak ostatniego niezgułę i porzuciła na tym pustkowiu.

– Nie, *mu*[26] lepiej! – Oczywiście Santiago błyszczały jeszcze ze szczęścia. – Miłość jest wszystkim, co można sobie wyobrazić, *señor*! Z wyjątkiem *noche y niebla*[27]!

Antoine uśmiechnął się i pomyślał, że jeszcze nigdy nie słyszał niczego bardziej romantycznego.

– Podziwiam pana, Santiago. Ja czuję się zbyt stary i zmęczony na tego typu emocje.

– Stary! *Por favor, señor*, chyba sam pan nie wierzy w to, co mówi. O wieku człowieka nie świadczą przeżyte lata, ale marzenia, które pozostały mu do zrealizowania. Tylko ci, którzy potrafią marzyć, pozostają żywi, *señor*.

Po odłożeniu na suszarkę do naczyń ostatniej szklanki wykończony Antoine rzucił się na tapczan w salonie. Od kiedy przybył do Nechnabel, czuł wciąż ogromne zmęczenie, które nie mijało nawet po wielu godzinach snu. Jak zwykle w chwilach samotności i ciszy jego myśli powędrowały do przeszłości, w poszukiwaniu wspomnień, które mogłyby do niego należeć, historii prawdziwych, a nie wymyślonych. Od czasu do czasu miewał przebłycki jakichś faktów i zdarzeń. Pamiętał kota z jednym okiem... dom w labiryncie zaułków... i czyjeś opowieści. Nieskończone ilości opowiadanych przez kogoś historii... Tym kimś mógł być nawet on sam. Wspominanie sprawiało mu ból, było jednak niezbędne.

Myśli Antoine'a krążyły właśnie wokół Genéve, gdy z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł go zduszony krzyk Santiago. Rzucił się w stronę kuchni, zaniepokojony, co go tak poruszyło. Zastał starca klęczącego pośrodku podłogi, z trupio bladą twarzą i rękoma złożonymi jak do modlitwy. Ścisnął w dłoniach różaniec z siłą, z jaką tonący czepia się liny statku. U jego stóp jaśniała świeca podarowana mu przez panią Jacqueline, roztaczająca wokół zapach miodu.

– *Señor, te pido perdón por los pecados cometidos. Ayúda me en este desesperado instante, te suplico* [28].

Antoine pomyślał, że znowu dopadł go atak paniki, i pobiegł, by utulić i pocieszyć staruszkę, ale Santiago zupełnie nie zwracał na niego uwagi i nadal odmawiał litanie, przywołując imiona świętych z najdalszych zakątków świata. Raz po raz kątem oka sprawdzał tylko, czy nie gasną świece. Paliły się jeszcze przez chwilę.

Antoine wyjrzał przez okno i natychmiast zorientował się, co się święci. W spowitej mrokiem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę Nechnabel jedynymi punktami odniesienia były tłące się lampy uliczne, ale w tym momencie tylko ślepiec nie zorientowałby się, że i one zaczynały powoli gasnąć. Spokojnie, bez pośpiechu i rzucania się w oczy. Najpierw jedna po prawej, potem druga po lewej. W pewnym momencie usłyszał czyjś przerażony krzyk.

– Nadchodzą!

[18] Hiszp. A dlaczego? – przyp. tłum.

[19] Hiszp. prędzej czy później – przyp. tłum.

[20] Hiszp. poproszę – przyp. tłum.

[21] Hiszp. Dlaczego by nie? – przyp. tłum.

[22] Hiszp. na życie – przyp. tłum.

[23] Hiszp. cienie – przyp. tłum.

[24] Hiszp. moje dziecko – przyp. tłum.

[25] Hiszp. Rozumiesz? – przyp. tłum.

[26] Hiszp. dużo – przyp. tłum.

[27] Hiszp. noc i mgła – przyp. tłum.

[28] Hiszp. Panie, proszę, wybacz mi popełnione grzechy. Błagam, pomóż mi w tej beznadziejnej sytuacji! – przyp. tłum.

Noksy

Antoine dostrzegł pod ich domem biegnącego i potykającego się człowieka. Na zewnątrz powoli blakły wszystkie światła. Również w domu Santiago płomienie świec poczęły wygasać jeden po drugim. Ludzie na ulicy uciekali z krzykiem, w nadziei schronienia się w niepozamykanych jeszcze bramach domostw, ale próżno było szukać zmiłowania u ich mieszkańców. Kto żyw, zabarykadował już drzwi i okna, zamykając na cztery spusty nawet litość. Można było odnieść wrażenie, że Nechnabel przygotowywało się na atak bombowy.

W miarę jak gasły uliczne latarnie, z mroku dochodziły przytłumione odgłosy. Brzmiały niczym niezrozumiały język. Ale może to tylko szum wiatru sprawiał wrażenie, że w ciemnościach ktoś rozmawiał.

– To Noksy! Nadciągają Noksy! Uratuj nas przed ciemnością! – nie przestawał modlić się Santiago, kołyszając się na boki, a po policzkach spływały mu łzy.

Spędzili kilka niekończących się minut w ciszy, która zawisła nad całym miastem. Nikły płomień świecy podarowanej przez panią Jacqueline tlił się przed nimi resztkami sił. Dopiero teraz Santiago otworzył jedno oko. Upewnił się, że płomień jeszcze nie zgasł i odetchnął z ulgą. Błogosławił wszystkich świętych i dziękował, że został uratowany, po czym zemdlał, opadając z łoskotem na ziemię.

Powodowany niezdrową ciekawością opowiadacz historii wyjrzał na zewnątrz. Z sąsiednich okien przez zamglone szyby przebijał nikły blask. Z ulgą skonstatował, że w każdym mieszkaniu ćmił się przynajmniej pojedynczy płomień. W każdym – z wyjątkiem jednego. Z głębi ulicy dobiegł nagle rozzwierający krzyk jakiejś kobiety. Santiago nie zbudził się jeszcze z omdlenia i nie był w stanie rozpoznać w nim głosu starej śpiewaczki, rozchodzącego się po pogrążonym w wiecznej nocy Nechnabel. Skonsternowani mieszkańcy wyglądali przez szpary w okiennicach, ale dom, z którego dochodziły krzyki, był całkowicie zatopiony w ciemnościach. Po kilku sekundach głos ucichł, a Noksy wycofały się z miasta. Wówczas wszystkie świece w Nechnabel zajaśniały nowym blaskiem, zapaliły się uliczne latarnie, a ludzie odklejali nosy od szyb i chwalili niebiososa, dziękując, że przynajmniej jeszcze tym razem zostali oszczędzeni.

Antoine przymknął oczy, próbując zebrać myśli. Ocknął się, gdy poczuł uderzenie w policzek. Rozchylił powieki i aż ścisnęło go w żołądku na widok

uradowanego Santiago; najwidoczniej starzec nie wiedział jeszcze, kto tym razem padł ofiarą Noksów.

– Pan nie jest jeszcze przyzwyczajony, ale Noksy robią na ludziach osobliwe wrażenie, *señor*, naprawdę osobliwe. Ja zazwyczaj mam mokre majtki.

– Santiago, ale kim właściwie są te Noksy?

– To te Cienie, które porwały nas do Nechnabel.

– Ale kim one są?

Santiago pstryknął mu przed nosem palcami i Antoine instynktownie zamknął oczy, a wokół niego na moment znowu zrobiło się ciemno.

– Tym, co pan widzi dookoła, *señor*. Cienie rozrastają się w mroku i pochłaniają wszystko, co należy do świata jasności. Uwięziły również pana, ponieważ Noksy uwielbiają gasić płomień tłący się w każdym człowieku. A kiedy zabiją już w nas ostatnią nadzieję... budzimy się tutaj, w świecie absolutnej ciemności.

Na wspomnienie Cieni, które dorwały go w Wanezji, Antoine poczuł dreszcz. Zbyt dobrze pamiętał to obezwładniające poczucie rozpaczy. Pustkę, ciszę i pragnienie śmierci.

– Czego chcą? Dlaczego tak się z nami obchodzą?

– Któż to wie? Najpierw nas tu przywlekają, a potem raz po raz robią sobie rundę po Nechnabel, żeby wyłowić kogoś, żeby później... Ech, któż to wie! Nikt! Czy widział pan przypadkiem, kogo tym razem dopadły, *señor*?

– Nie, nie mam pojęcia.

Antoine zmartwiał ze strachu. Pomyślał o promiennym uśmiechu Santiago, gdy spoglądał na panią Jacqueline i pieścił wzrokiem jej puszyste kształty. Nie miał odwagi powiedzieć mu prawdy. I tak prędzej czy później Santiago sam miał ją odkryć, a tymczasem opowiadacz przyglądał się z rozrzewnieniem, jak staruszek rozkoszuje się miodowym zapachem świecy podarowanej mu przez kobietę, której prawdopodobnie nigdy nie miał już zobaczyć.

Kiedy Santiago poznał wreszcie okrutną prawdę, nie wypowiedział ani słowa. Po prostu przestał się odzywać, przestał jeść, zaczął chudnąć i powoli gasnąć. Któregoś dnia wziął do ręki tomik poezji Baudelaire'a, wsunął do kieszeni Olivera – swojego wymyślonego przyjaciela – i przepadł na dobre. Gdy w końcu ponownie się pojawił – trudno stwierdzić, ile mu to zabrało – miał na twarzy wymuszony uśmiech. Stał na progu i odezwał się dźwięcznym głosem.

– *Se me cayò un diente*[29]! – I otworzył usta, pokazując miejsce po brakującym zębie.

Antoine niczego nie komentował, szanował jego ból i milczenie. Santiago był stoikiem, jednym z tych ludzi, którzy, przyzwyczajeni do cierpienia, zamiast uginać się pod ciężarem życia, odnajdują ciągle nowe powody, żeby się nim

cieszyć. Teraz oddał się swojej nowej pasji i zaczął zbierać stokrotki. Nie rosło ich w Nechnabel wiele i być może właśnie dlatego, kiedy znalazł choć jeden kwiatek, rzucał się na niego z niepomiernym entuzjazmem. Wykopywał roślinki wraz garścią przylegającej do nich ziemi i przesadzał do doniczek na parapecie. Podlewał je i pielęgnował, przemawiał do nich, dając po raz kolejny dowód ogromnych pokładów miłości, które nosił w sercu. Były to jego jedyne pogodne chwile i Antoine żałował, że w Nechnabel rosło tak mało stokrotek.

Santiago wrócił też do przygotowywania krzepiących naparów, ale ludzie coraz częściej kręcili na nie nosami. Stary mylił mikstury na ból zębów z tymi na kurzajki, często zapominał o namoczonych nasionach i korzonkach, które w końcu zaczynały pleśnieć. Innym razem wyciągi były zbyt mocne i zupełnie nie nadawały się do picia. Pewnego dnia Antoine znalazł w garnku but do wspinaczki wysokogórskiej, który nie wiadomo jakim sposobem się tam znalazł. Natychmiast usunął intruza, nawet nie wspominając staruszkowi o tym przykrym incydencie.

Z czasem poczęły ponownie nawiedzać go nocne koszmary. Santiago przechowywał przy łóżku kij bejsbolowy i kiedy zrywał się w nocy przekonany, że ktoś szykuje na niego zasadzkę, walił nim gdzie popadło, niszczył meble i ściany, budząc wszystkich sąsiadów.

Pewnego dnia, gdy Antoine wrócił do domu, zastał starca na kolanach, szorującego podłogę drucianą szczotką.

– *Sangre!* Krew! Tu wszędzie jest krew! – krzyczał z szeroko rozwartymi z przerażenia oczami.

Antoine rzucił się, by go powstrzymać, ponieważ z taką siłą szorował deski, że zdarł sobie paznokcie i teraz rzeczywiście podłoga była pomazana krwią. Z całego serca pragnął mu pomóc, ale oprócz bycia z nim i towarzyszenia w poszukiwaniu stokrotek, nie był w stanie nic więcej uczynić.

Przeglądając spisana przez staruszkę listę najpiękniejszych rzeczy na świecie, odkrył, że Santiago bardzo lubił chodzić do golarza. Zaczął więc prowadzić go do pana Peloquera – łysego wąsatego mężczyzny w spodniach na szelkach. Peloquer był jednym z niewielu mieszkańców Nechnabel mających ochotę na rozmowę, ale był również paranoikiem i chronicznym pesymistą, i za każdym razem, kiedy otwierał usta, sprowadzał jakieś nieszczęście.

– Wczoraj w nocy usłyszałem szum wiatru i od razu pomyślałem, że zbliżają się Cienie – opowiadał pan Peloquer. – Pomyślałem, że nadciągają Noksy i od razu zabarykadowałem się w domu. Potem zapaliłem wszystkie świece, zacząłem modlić się do św. Damiana w szkarłatnej szacie licowanej futrem i pomyślałem, że zaraz umrę.

– I co było potem? Umarłeś? – spytał struchlały Santiago.

– Nie sędzę, okazało się, że to były myszy, ale i tak niewiele brakowało, by mnie tu dziś z wami nie było!

– *Madre de Dios!* Matko Boska! Faktycznie niewiele brakowało! – jęknął strwożony Santiago.

Przysłuchiwanie się rozmowom tych dwóch było naprawdę frapujące, a wizyty u fryzjera stanowiły skuteczny sposób na odwrócenie uwagi Santiago. Szkopuł pojawiał się, kiedy ani Antoine, ani Santiago nie mieli potrzeby golenia brody i strzyżenia włosów. Wówczas musieli wymyślać preteksty kolejnych odwiedzin. Pewnego dnia, kiedy przekroczyli progi salonu, w którym jak zwykle nikogo nie było, pan Peloquer zamiatał właśnie z podłogi nieistniejące kosmyki włosów pewnego klienta, który dopiero co wyszedł, nawet jeśli nigdy do zakładu nie wszedł. Santiago rozsiadł się na obrotowym krześle.

– Dziś rano wyrósł mi jeden włos. O, dokładnie tutaj. – Stary wskazał miejsce na brodzie.

– A tak, widzę go, widzę. Dobrze, że w porę go zauważyłeś! – odrzekł z powagą pan Peloquer i uzbroił się w brzytwę, by ogolić coś, czego nie było.

Antoine oparł się o ścianę. Obserwował golarza masującego wprawnymi ruchami brodę Santiago i dostrzegł na jego nadgarstku zegarek. Zupełnie pusty, bez cyfr, bez godzin, bez czasu pozostającego na wydostanie się z Tirnaïl. Dopiero wtedy po raz pierwszy przyszło mu do głowy, żeby skontrolować czasomierz podarowany mu przez Kolekcjonera. Trochę się zaniepokoił. Godziny trzecia i czwarta były już porządnie wyblakłe. Niewiele brakowało, by zupełnie zniknęły, ponieważ czas zamierzał się o nie upomnieć.

– Muszę wydostać się z Nechnabel – powiedział donośnym głosem.

– Doprawdy, mój panie? – Słowa pana Peloquera zaskoczyły go i wyrwały z zamyślenia. – Stąd nie wydostaje się, odchodząc.

– To wobec tego jak?

– Na skrzydłach umysłu. Tylko umysł może przenieść pana poza granice Nechnabel.

Słowa golarza zmusiły go do zastanowienia. Nie miał zaufania do swojego umysłu. Jego umysł był niebezpieczny. Opowiadacz przybył do Tirnaïl w celu odnalezienia utraconego wspomnienia i kobiety o zielonych włosach, ale nie pamiętał swojej historii ani nazwiska... Umysł mógł go więc tylko dodatkowo zwieść i dezorientować.

W tym momencie musiał przerwać swoje rozważania. Zanim jeszcze usłyszeli czyjś krzyk, zanim Santiago i pan Peloquer zorientowali się, że coś się święci, Antoine zwrócił uwagę na stojącą przed nimi lampę. Jej światło zaczęło niepokojąco mrugać, gasło i zapalało się na przemian jakieś dwa, trzy, a może cztery razy. Potem tliło się jeszcze przez kilka sekund, aż w końcu ostatecznie znikło. Pan Peloquer zaciął niechcący brzytwą Santiago w wargę, a ten zaklął w swoim języku, nieświadom jeszcze zbliżającej się Apokalipsy. Kiedy zdał sobie sprawę z powagi sytuacji, przecięte usta zaczęły mu drżeć z przerażenia.

– *Vámonos*, chodźmy stąd – wyszeptał blady jak ściana, ale nikt nie zareagował. Nawet on sam pozostał w bezruchu. Dopiero kiedy do ich uszu dobiegły nawoływania jakiejś dziewczynki, rzucili się do ucieczki.

– Noksy!

Zdążyli wybiec na ulicę jeszcze zanim pogasły wszystkie latarnie przed zakładem fryzjerskim. Co sił gnali w stronę domu Santiago, ale dzieliła ich od niego na tyle duża odległość, że żaden z nich nie żywił nadziei na uratowanie. Nie przestawali uciekać tylko dlatego, że nogi niosły ich same, wbrew temu, co dyktował rozum.

Liczni mieszkańcy Nechnabel schronili się już w swoich domostwach i stłoczeni wokół świec, wzywali na pomoc patronów i świętych. Antoine słyszał ich błagalne modły, choć równie dobrze mogły to być dochodzące z ciemności jęki. Raptem wycieńczony tą rejteradą pan Peloquer zatrzymał się. Z trudem łapiąc oddech, padł na kolana i począł wzywać św. Damiana. Zanim jednak święty zdążył go usłyszeć, zanim Antoine zdołał zawrócić i nakazać mu, żeby wstał i biegł dalej, pochłoneły go cienie.

– Nie! – Rozległ się rozpaczliwy krzyk Santiago, gdy uświadomił sobie, że Peloquer przepadł na zawsze. – Nie... – Przymknął oczy, z których spłynęła łza i, znieruchomiały, z rozpostartymi ramionami, stanął pośrodku ulicy, oczekując aż Noksy dopadną i jego.

Antoine wołał przyjaciela, ale zorientowawszy się, że nie reaguje, czym prędzej zawrócił. Dosłownie na moment zanim Cienie rozpostarły nad nim czarne skrzydła, chwycił Santiago mocno za ramię i zarzucił go sobie na plecy jak worek. Jeśli mieli się uratować, to tylko we dwojkę, nigdy nie zostawiłby go samego.

– Uciekaj, uciekaj! – dopingował samego siebie Antoine, ale bezwładny ciężar na grzbiecie spowalniał bieg, a Santiago nie robił nic, żeby mu pomóc. Błagał tylko, żeby dał mu spokój.

– Niech mnie pan tu zostawi, *señor* Antoine. Jestem zmęczony, ileż można żyć samą nadzieją... Jestem zmęczony. I tak przecież umrzemy, wszyscy kiedyś umrzemy. Niech mnie pan zostawi, *señor*!

Antoine zatrzymał się dopiero, kiedy Santiago począł zanosić się płaczem. Obserwował go ze współczuciem i wiedział, co oznaczały te łzy. Były to łzy zawiedzionych nadziei i utraconych marzeń. Gdy znikają marzenia, to samo dzieje się z ciałem, bez marzeń nie jest ono w stanie przetrwać.

Stary siłą bezwładu osunął się na chodnik i Antoine zrozumiał, że to koniec. Nie pozostało mu już nic do zrobienia. Być może mógłby uratować go od śmierci, ale w żaden sposób nie potrafił pomóc człowiekowi, który nie chciał żyć. Poczł ucisk w żołądku.

– *Señor* Antoine, zawsze był pan dla mnie taki dobry, proszę więc tylko o jeszcze jedną przysługę. – Santiago skulił się, wyciągnął z podartego rękawa

papierową łódeczkę i podał ją Antoine'owi. – Proszę, niech mi pan pozwoli umrzeć...

Blask w jego oczach powoli gasł, tak samo jak pojedyncze lampy na ulicy.

Antoine nie wiedział, jak powinien się zachować. Noksy były tuż tuż i za moment miały pochłonąć również ich. Usłyszał głos dobiegający z góry.

– Chodźcie tu, nieszczęśnicy!

Zerknął na Santiago. Przeklinając samego siebie za to, co zamierzał uczynić, obrócił się na pięcie i pognął w stronę uchylonej jeszcze bramy. Po raz ostatni spojrzął na bezkształtną kupkę ubrań i kości porzuconą na środku chodnika. Zaklął siarczyście i popędził na złamanie karku do mieszkania Santiago, gdzie jedna po drugiej dogasały powoli wszystkie płomienie świec.

– Muszę się jakoś stąd wydostać – krzyknął zdesperowany i w tym momencie ogarnęły go ciemności. Zgasły wszystkie świece. Wszystkie oprócz jednej – tej podarowanej przez panią Jacqueline.

Po jakimś czasie latarnie ponownie rozbłysły i Antoine wyjrzał przez okno. Ulice Nechnabel były zupełnie wyludnione.

[29] Hiszp. Wypadł mi ząb! – przyp. tłum.

Kryształowa Noc

– Ale dokąd ty się wybierasz... – Przypomniała mu się matka, a przynajmniej jej głos. Myśląc o matce, Antoine Tomojasprawa, opowiadacz historii, pamiętał przede wszystkim jej usta pomalowane szminką w kolorze czerwcowych truskawek i krzyk: – Ale dokąd ty się wybierasz?

Jak to, dokąd? Przecież na świecie musiały jeszcze istnieć jakieś inne, lepsze miejsca.

– Odchodzę stąd! – odparł donośnym głosem, jakby odpowiadał na pytanie dobiegające z zaświatów. – Dokądkolwiek, byle nie siedzieć tutaj. Nie mam zamiaru tu zdychać, do cholery!

Kluczył od kilku godzin. Pogubił już wszystkie drogi, zarówno te znane, jak i te, którymi nigdy jeszcze nie chadzał. Zbyt długo przebywał już w tym świecie pogrążonym w ciemnościach i mgłę, w którym czas stanął w miejscu, skazując teraźniejszość na dożywocie.

Brakowało mu Santiago, brakowało mu Edgara, tęsknił za Genève... A raczej za jej złudzeniem, za które płacił teraz tak wysoką cenę.

– Genève nie była złudzeniem! – krzyknął nagle na całe gardło, tak by wszyscy go usłyszeli, łącznie z jego własnym cieniem.

W jaki sposób mógł ją teraz odnaleźć? Stąd nie wydostaje się, odchodząc – powiedział pan Peloquer – ale na skrzydłach umysłu. Antoine powinien był zastanowić się nad jego słowami, ale w głowie miał zamęt i nie był w stanie uczynić z umysłu żadnego użytku. Najbardziej pragnął uciec od samego siebie. Rzucił się więc do ucieczki. Biegł, dopóki płuca pompowały powietrze, aż w końcu padł wycieńczony na ziemię w Nechnabel – mieście ludzi, którzy utracili nadzieję.

– Czy i ty ją utraciłeś? – zadał sobie pytanie i nie potrafił na nie odpowiedzieć. Najpierw musiał przypomnieć sobie, kim był.

Dopadły go chłód i zmęczenie. Oparł głowę o cement i spojrzał w niebo... Ile czasu mu jeszcze zostało? Wiedział, że gdzieś tam w górze, za kurtyną mgły, świeciło słońce. Wsunął do kieszeni spodni zeszywniałe z zimna dłonie i palcami namacał kartkę papieru. Był to portret Genève. Wydobył go na zewnątrz i wpatrywał się w wizerunek, zastanawiając się, czy jeszcze kiedykolwiek ją zobaczy. Gdzie jesteś, Gen? W sąsiedniej kamienicy na przekrzywionym balkonie stała jakaś starowina z haczykowatym nosem i zrzucała na ziemię, jeden po

drugim, kryształowe kieliszki, zanosząc się przy tym chrapliwym śmiechem.

– Mój umysł... – wyszeptał Antoine.

Jego umysł był jak błędne koło i za każdym razem naprowadzał go na Genève, kobietę w przebraniu ważki napotkaną w Wanezji. Dlaczego nic na jej temat nie wiedział? Kim była? Gdzie się podziała, w którym zakamarku jego mózgu, w jakim zakątku duszy przebywała? Nie przestawał myśleć o jej uśmiechu, o jej włosach i... oczach. Tak, przede wszystkim o oczach.

– Boże mój, te oczy...

Chwycił się za głowę. Kiedy wspominał oczy Genève, ponure Nechnabel nagle gdzieś się rozplątało. Uczucie to trwało zaledwie ułamek sekundy i nie umiałby opisać go słowami, ale na ten krótki czas miasto zniknęło, a w jego miejsce pojawiała się coś nieokreślonego i kojącego. Jakby otwierał okno z widokiem na morze. Po kilku sekundach wrażenie to mijało i znowu wszystko robiło się smutne i przytłaczające.

Z balkonu poleciał kolejny kryształowy kieliszek i niewiele brakowało, a rozbiłby się o głowę Antoine'a. Zrazu go nie zauważył i nie zwrócił też uwagi na głośny śmiech staruszki, niosący się echem po mieście. Oprzytomniał dopiero na dźwięk tłuczonego o asfalt szkła. Po nim w głowie Antoine'a rozbrzmiały następne krystaliczne odgłosy, choć teraz znikąd już nie dochodziły. Spojrzał na kawałki kryształu pod swoimi stopami. Kryształu...

Kryształowa Noc. Odwrócił portret i przeczytał przedostatnie zdanie na jego odwrocie. *Pamiętaj o mnie i o Kryształowej Nocy*. Czym była Kryształowa Noc? I czy faktycznie kiedykolwiek istniała? *Kocham Cię, Genève Poitier*. Kocham Cię. *Miłość jest wszystkim, co można sobie wyobrazić, señor! Z wyjątkiem noce y niebla!* Spadł następny kieliszek. Kolejny rozbity kryształ. W powietrzu zawibrowała utkana ze szklanych tonów melodia, brzmiała czysto i przejmująco.

Gdzie się podziewacie? – spytał Antoine, próbując uchwycić powracające w pamięci dźwięki, przypisać je jakimś wyobrażeniom, być może skojarzyć ze zdarzeniami z przeszłości. Powoli poczęły jawić mu się w umyśle nieuchwytnie obrazy, przyplływały i odpływały jak morskie fale. Opowiadacz wsłuchiwał się w dźwięk spadającego z balkonu szkła, który odbijał się w nim echem i budził dawno zapomniane uczucia, wykraczające poza świat materii, poza otaczającą go mroczną rzeczywistość. To, co się teraz działo, było w nim i nie miało żadnego związku z Nechnabel.

Na skrzydłach umysłu. Tylko umysł może przenieść pana poza granice Nechnabel. Zaciśnął pięści i jeszcze bardziej wsłuchiwał się w siebie, zanurzył się we własnym wnętrzu, próbując wyłowić z niego to wspomnienie... Skąd pochodziła ta muzyka, dlaczego miał wrażenie, że rozsadza mu skronie, dlaczego doprowadzała go niemal do szaleństwa?

10 sierpnia 1990 roku

– Czy wiesz, że od tych dźwięków można zwariować? Tak twierdził Friedrich Rochlitz.

Otwiera szeroko oczy ze zdziwienia. Jaki znowu Friedrich?

Tunel światel, dźwięków i kolorów.

Lubi kontemplować chwile, obserwuje je wszystkie razem, a potem wylawia każdą z osobna. Chwila jest atomem czasu, istnieje poza wiecznością i poza nicością, ograniczona przez chwilę, która jest przed nią, i przez tę, która następuje bezpośrednio po niej. Chwila jest pojedyncza i wolna, jest okrucieństwem nieskończoności. Wszystkie chwile są takie.

Ale ta chwila... Ta chwila jest krystaliczna. Jeśli w tym momencie postrzega czas nie jako tyrana, ale jako strażnika, który nie zagraża nieśmiertelności, ale ją ochrania, jeśli przestał się bać, to dlatego właśnie, że istnieje ta chwila.

Ona próbuje przywołać uwagę przechodniów, a on nie pojmuje, dlaczego nie przystają oczarowani. Być może w tym hałasie i zamieszaniu trudno usłyszeć jej głos. Ludzie jedzą, piją, śpiewają, tańczą, śmieją się i całują... Robią to wszystko, co przypisane jest ciału. Ale on nie czuje swojego ciała, teraz jest tylko duszą. Kiedy patrzy jej w oczy i widzi w nich jej duszę, rozumie, że dotarł do celu. Że wszystko, co do tej pory wydarzyło się w jego życiu, działo się tylko po to, by mógł ją spotkać.

– Trzeci raz już tędy przechodzisz. Myślisz, że cię nie zauważyłam? – Ona mówi bardzo dobrze w jego języku, choć on od razu rozpoznaje jej francuskie „er”. Żartuje sobie z niego w sposób najbardziej czarujący z możliwych.

– Jesteś Włochem?

– A skąd wiesz?

– Mój ojciec pochodził z małej wioski o nazwie Pedesina, liczącej niespełna setkę mieszkańców. Wszyscy tak samo wyglądacie.

– To znaczy jak?

– Jak ktoś, kto gdyby mógł, najchętniej by uciekł.

On wybucha śmiechem. Chciałby sprawiać wrażenie pewnego siebie, ale nie potrafi udawać. To prawda, dziś już po raz trzeci tędy przechodzi. Teraz nad rzeką zapada powoli zmrok, niebo i woda przywdziewają barwy wieczoru.

– Chcę uciec – odpowiada.

– A od kiedy tak uciekasz?

– Hmm... Biorąc pod uwagę wszystkie wschody i zachody słońca, kończące się zapasy żywności, nieogoloną brodę i pęcherze na stopach... to mniej więcej od tygodnia.

Teraz ona wybucha śmiechem.

– No, to jesteś jeszcze nowicjuszem, ja mam dwadzieścia lat i uciekam od kiedy skończyłam szesnaście.

– Nie powinnaś podcinać mi skrzydeł. Byłem z siebie taki dumny. W ciągu dwudziestu sześciu lat mojego życia po raz pierwszy uciekłem z domu. Wsiadłem do pierwszego lepszego pociągu z zamiarem wyruszenia... gdzie tory poniosą.

– Przykro mi, jeśli uraziłam twoją ambicję.

– To nieprawda, wcale nie jest ci przykro. Ale to nie takie proste, wiesz. Trochę to trwało, zanim zdołałem powiedzieć mojej matce: „Mamo, odchodzę z domu”. „Ale dokąd ty się wybierasz?”, spytała ona. Odpowiedziałem, że po papierosy, choć wiadomo było, że nie palę. A może mógłbym się czegoś od ciebie nauczyć, skoro masz już tyle doświadczenia? Może zasugerujesz mi jakieś sposoby przetrwania, sztuczki i kruczki?

Aż sam się sobie dziwi, że jest taki rozmowny. Normalnie jest typem ponuraka, mołem książkowym, lubi cmentarze, nie ma znajomych, a dziewczyny w ogóle nie zwracają na niego uwagi – dla nich jest niewidzialny. Zazwyczaj mu to specjalnie nie przeszkadza, ale dzisiaj chciałby zrobić dobre wrażenie i żałuje, że po zjedzeniu apfelstrudla nie umył zębów.

– Mam dla ciebie radę, cudzoziemcze, a nie sztuczkę. Nie przystawaj. Nigdy się nie zatrzymuj. Pod żadnym pozorem i z niczyjego powodu. Świat jest ogromny, a ludzie – bardzo mali.

– Ale ja lubię ludzi.

– A ja lubię świat – ripostuje ona i nie przestaje się uśmiechać. Sprawia wrażenie szczęśliwej, a jemu wydaje się to absurdalne. Może i dla niej ta chwila jest bardziej krystaliczna od innych.

– Czy mogę cię o coś zapytać? – zwraca się do niej, zmniejszając dzielącą ich odległość. – Co to za instrument? To prawda, że przechodzę dziś tędy już po raz trzeci. Najpierw przystanęłam o jedenastej dwadzieścia siedem, potem pięć po trzeciej, a teraz o siódmej pięćdziesiąt dwie... i chodzę tak w kółko, ponieważ nie mogę zrozumieć, na czym ty grasz. Uciekłaś z domu, taszcząc za sobą stół kuchenny i cały zestaw szkła, ponieważ musisz dużo pić o określonych godzinach, i to w dodatku tylko z pewnego rodzaju szklanek i kieliszków, w przeciwnym razie umrzesz? A może po prostu jesteś superbohaterką jakiegoś komiksu?

Ona próbuje zachować powagę, ale w końcu parska śmiechem. Na moment przerywa i beszta podrostka, który chce podkraść jej pieniądze wrzucane przez przechodniów do ustawionego na ziemi koszyczka.

– Przepraszam. Ciągle próbują mi coś podprowadzić. Mówią na to anielskie organy. – Wskazuje z tajemniczym wyrazem twarzy na stojącą przed nią konstrukcję. Trochę lepiej to brzmi niż po prostu gra na kieliszkach.

– Faktycznie, brzmi o wiele bardziej odlotowo.

– Chcesz posłuchać, jak to działa?

On przytakuje i podchodzi bliżej. Dzieli ich chybotliwy stolik na krzywych nóżkach i duża walizka, w której zamiast ubrań i butów – jak przystałoby na

normalną walizkę normalnej dziewczyny – znajduje się deska, a na niej rzędy wypełnionych wodą kieliszków o różnych kształtach i pojemnościach. Niektóre są do połowy puste, pozostałe prawie pełne, wszystkie wykonane z błyszczącego kryształu.

– Czy wiesz, że od tych dźwięków można zwariować? Uważał tak Friedrich Rochlitz. Osoby niezrównoważone psychicznie nie powinny ich słuchać, bo mogą całkowicie oszaleć. A więc byłoby lepiej, gdybyś zatkał sobie uszy.

– Rozmawiamy dopiero od pięciu minut i już wiesz, że jestem niezrównoważony psychicznie. Co za intuicja!

– Wyczułam cię, zanim jeszcze w ogóle się odezwałeś.

– A więc dlaczego ze mną rozmawiasz? – pyta on, poważniejąc.

– Ponieważ lubię świat i lubię określony typ ludzi. Lubię wariatów – odpowiada i podaje mu piwo, a on nie potrafi nawet otworzyć butelki i rozgląda się bezradnie dokoła. Ona śmieje się, a potem wyciąga mu piwo z dłoni. Otwiera butelkę przy pomocy zapalniczki. Potem unosi swoją. – Za wariatów!

– Za wariatów! I za Święto Wody!

Wokół nadal trwa ludowy festyn, choć oni zupełnie już o nim zapomnieli. Mijają ich ludzie. Dziewczyny jak zwykle nie zwracają na niego uwagi – dla nich jest niewidzialny, ją biorą za zwykłą dziwaczkę, za to mężczyźni raz po raz się za nią oglądają. Oni oboje zapatrzeni są tylko w siebie. Za ich plecami płynie rzeka. Niedaleko stąd jest też jezioro, na jego brzegu rośnie kilka drzew. W powietrzu unoszą się zapach pichconego na stoiskach jedzenia oraz odgłosy festynu. Z nieba spoglądają przewidujące przyszłość gwiazdy i muszą mieć niezły ubaw.

– Dlaczego czegoś nie zagrasz? – próbuje ją zachęcić.

– Dobrze. – Uśmiecha się, a na policzkach ma dwa urocze dołeczki, potrząsa głową i kolczykami w kształcie półksiężyców. Lekko zwilża palce, muska nimi o brzeg jednej ze szklanek i wydobywa melodię.

On nie przestaje jej obserwować. Mógłby tak na nią patrzeć już do końca świata i nigdy by się nie znudził. Zostają razem do zmroku. Nad świętującym miastem zapada zmierzch, ludzie zbierają się na brzegu wielkiej rzeki, będą podziwiać fajerwerki.

Od czasu do czasu jakiś przechodzień przystaje, by posłuchać dźwięku harfy szklanej, wrzuca monetę do koszyczka i odchodzi. Być może czuje, że przeszkadza tej parze młodych, zapatrzonych w siebie ludzi.

Ona gra wszystkie znane sobie nokturny, poczynając od Mozarta i Chopina, a na Mendelssohnie i Debussy'm kończąc, wypełnia otaczający ich skrawek wszechświata kryształowym brzmieniem, od którego zaczyna wibrować cała ziemia, poruszana dźwiękiem tysięcy dzwoneczków. Im dłużej gra, tym bardziej rzeczywistość zatracza kontury i ociera się o granice snu. Wystarczy, że muśnie palcami o brzeg kieliszka i wydobywa z niego nutę, kreśli kółka zręcznymi,

smukłymi dłońmi, przemienia wodę w niesioną przez wiatr, magiczną muzykę. Rozpływają się domy i ulice, cichną odgłosy metra, znikają drzewa, wysypane żwirem ścieżki i zdobione marmurowymi herosami fontanny. Teraz są tylko we dwoje, zatopieni w muzyce wróżek, płynącej z anielskich organów.

Od czasu do czasu dziewczyna przerywa grę, skręca sobie papierosa i przysiadła na chodniku. On siedzi naprzeciwko niej ze skrzyżowanymi nogami, urzeczony jak dzieciak przed telewizorem.

Opowiada mu o swoich podróżach, mówi, że szczęście ma zapach europejskich ulic, że utrzymywanie się z napiwków ulicznego artysty daje całkowitą wolność. Opowiada, że Amsterdam to miasto o dwóch obliczach: słonecznym i deszczowym, a wszystkie kamieniczki są tam trochę krzywe. Wyjawia mu, niemal jak sekret, że najstarsze drzewo w Paryżu ma prawie czterysta lat, że sycylijski wiatr scirocco przynosi ze sobą piasek i zapach Afryki, i że w Krakowie, nad Wisłą stoi żelazny smok, który zieleje ogniem.

On opowiada jej wymyślone przez siebie historie, czasem dość prawdopodobne, ale jednak nie do końca prawdziwe. Baga o zakochanych spadających gwiazdach, o zębowych wróżkach i o myszach, które budują pod łóżkiem zamki z gorgonzoli, o delfinach rozumiejących język wielorybów.

Na brzegu rzeki czas przestaje płynąć, a rzeczywistość staje się lekka i przezroczysta jak jeden z tych kolorów, z których istnienia nie zdajemy sobie sprawy.

– Kim chcesz zostać, jak dorośniesz? – Ona zadaje mu pytanie i wyciąga się wygodnie na trawie, obserwując pokaz fajerwerków.

– Jak dorosnę? – On wybuchając śmiechem. Wie, że już dawno powinien być dorosnąć i powinien znać odpowiedź, ale tak nie jest. – Chciałbym pisać, ale głupio jest spędzić życie wymyślając historie. Nigdy nie miałem pojęcia, co konkretnie chciałbym robić.

– Nie spytałam, co chciałbyś robić, ale jak chciałbyś żyć?

– A ty, jak chciałabyś żyć? – odpowiada jej pytaniem na pytanie.

– Nie wiem. Wiem tylko, że nie chciałabym się nudzić – wyznaje, jedząc krusze ciastko. – A teraz dokąd chcesz dotrzeć?

– Na północ. Południe nie jest już takie jak kiedyś. Lubię historie o duchach.

– Ja też.

– Fascynują mnie cmentarze i umarli. Lubię wszystko to, co innych ludzi zazwyczaj przeraża.

– Może cię to nie przeraża? – próbuje zgadnąć ona, strząsając z ramion odrobinę popiołu.

– To są sprawy ostateczne i nieuniknione. Kiedy ktoś zaczyna się ich bać, nigdy ich nie zrozumie. Mnie przerażają inne rzeczy.

– To znaczy jakie?

„Noc i mgła”, myśli on. Ta myśl pojawia się nieproszona, wyprzedza coś, czego jeszcze nie poznał, a co już gdzieś istnieje.

– Boję się wanny z wodą. I komplementów. A także samolotów. – Zamyśla się, a potem dodaje: – Ale tym, co mnie najbardziej przeraża, co mnie przyprawia o bezsenność i co sprawia, że przed zgaszeniem światła zaglądam nawet pod łóżko, jest strach, że mogę stać się taki jak mój ojciec.

– Musiał być potworem, skoro sprawdzasz nawet pod łóżkiem.

Chwyta go pod ramię, ma wrażenie, że na chwilę stracił kontakt z rzeczywistością, zagubił się we wspomnieniach, które są jak niezabliźnione rany. Ujmuje jego twarz w obie dłonie.

– Ja wierzę, że jeżeli boimy się być tacy jak inni, mamy wielkie szanse, żeby tego uniknąć. Strach wyrabia w nas siłę.

Są teraz bardzo blisko i on zastanawia się, dlaczego jej nie pocałuje. I w końcu i tak tego nie robi.

Jak zwykle odsuwa w czasie przyjemności, a ponieważ jeszcze nigdy w życiu nie czuł się taki szczęśliwy, chce, żeby ten moment trwał jak najdłużej. Może nie ma w tym nawet nic złego. Jest przekonany, że razem z tą dziewczyną tworzą jedno, że to, co ich łączy, przekracza wszelki kontakt fizyczny, czuje, że są tak blisko jak jeszcze nigdy z nikim. To najpiękniejsza rzecz na świecie i ona myśli tak samo, jest tego pewien.

– Ja boję się wazek – odpowiada ona, przerywając napięcie. – I kompromisów. A także łodzi podwodnych. Ale to, co przeraża mnie najbardziej i sprawia, że przed zgaszeniem światła zaglądam pod łóżko, jest strach przed byciem zapomnianą.

– To dziwne... To samo przerażało mojego ojca.

– Och, przestań wreszcie o nim mówić, bo od razu robią ci się smutne oczy. Chcesz posłuchać nokturnu Ignace'a Leybacha? – krzyczy mu do ucha, po czym wstaje i zajmuje stanowisko ulicznej animatorki, a on siada znowu po turecku jak pochłonięty ruchomym obrazem smarkacz.

Dookoła strzelają fajerwerki. Kwiaty, muszle, zawijasy, gwiazdy, gwiazdne rydwany... Jest tak, jak obiecywali organizatorzy: najpiękniejszy pokaz pirotechniczny Europy.

– Ignace Leybach był najlepszy ze wszystkich, ale dziś nikt go już nie pamięta. Niektórzy ludzie znikają w otchłani nicości. Bycie zapomnianym jest gorsze od śmierci. Nie sądzisz? Czy nie uważasz, że to właśnie zapomnienia należy się obawiać?

On spogląda jej prosto w oczy, czuje się winny. I znowu ma wrażenie, że to uczucie do niego nie należy, przynajmniej jeszcze nie teraz. Wybacz, że o tobie zapomniałem...

– Moim zdaniem o wiele gorzej jest stracić pamięć niż zachować

wspomnienia. – *Ona mówi dalej, starając się przekrzyczeć wybuchy sztucznych ognia. Zwilża palce. – Trzeba więcej odwagi, żeby zapomnieć, niż żeby pamiętać. Czym jest życie bez wspomnień i bez przeszłości? Ale... pomyśl tylko, czy nie byłoby świetnie, gdyby istniało jakieś miejsce dla rzeczy zapomnianych, na zawsze utraconych? Również dla wspomnień. W ten sposób coś z nas przetrwałoby na zawsze.*

– *Może ten gość, ten Ignace Jakmutam, może właśnie gra tam teraz swoje nokturny? – sugeruje on. Może my też już się tam gdzieś zgubiliśmy. A jeśli teraz jesteśmy tutaj, to dlatego, że znowu się odnaleźliśmy.*

Ona podnosi na niego wzrok. Te oczy... On jest już pewien, że nigdy o nich nie zapomni, dokądkolwiek wyruszy, z jakąkolwiek kobietą będzie rozmawiał, w każdej chwili jego życia, tutaj i w zaświatach. A przecież nawet nie zna jej imienia.

– *Dobrze by było, cudzoziemcze. Jest w tym jakaś tajemnica.*

Tajemnica. I teraz właśnie odkrył tę tajemnicę. Tajemnicę istnienia tego miejsca, w którym świat odnajdował wszystko to, co pogubił. Antoine Tomojasprawa nie miał już wątpliwości: gdzieś tu, w Tirnaïl, musiało istnieć miejsce, w którym Ignace Jakmutam grał swoje nokturny. Ta konkluzja dodała mu otuchy. To znaczy, że niczego nie można było utracić na zawsze. Wyobraził sobie idealne miejsce, bezkresną krainę bez nocy i mgły, gdzie wszystko można było odnaleźć na nowo. Również nadzieję.

Willa Geras

Na wzgórzu na obrzeżach Wanezji wznosiła się dzielnica Monte Echo. Z jej wyżyn rozciągał się wyjątkowo malowniczy widok na krainę próżności. Mieszkali tu najzamożniejsi i najznamienitsi obywatele miasta. Czas spędzali na biesiadach i zabawach. Z tarasów swych ekskluzywnych willi ze szczególnym upodobaniem śledzili wydarzenia na Moście Omamień. Pogryzając tosty z kawiozem i popijając poncz, czynili zakłady, kto w najbliższym czasie rzuci się w odmęty kanału. Kiedy w końcu jakiś kolejny desperat postanawiał rozstać się z życiem, mieli z tego niemałą uciechę. Echo wybuchów ich kretyńskiego śmiechu, brzęk kryształowych naczyń oraz odgłosy chrupania niosły się po całej okolicy i wzbudzały uczucia zazdrości u co skromniejszych mieszkańców Wanezji. Z tego właśnie powodu dzielnicy tej nadano nazwę Monte Echo.

Najstarszą rezydencją była usytuowana na samym szczycie wzgórza Willa Geras. Zanurzona w dzikiej zieleni, obrośnięta zwartym drzewostanem jesionów gotycka budowla – prawdziwe zamczysko zdobione wieżyczkami i kolumnami – po uważniejszym przyjrzeniu się bardziej przypominała ogromną roślinę aniżeli budynek mieszkalny. Wzniesiono ją na wyjątkowo żyznym terenie i pewnie dlatego wyglądała tak, jakby miała mocne korzenie i porządny pień. Nie zdziwiłoby, gdyby okazało się, że w jej wnętrzu mieszkały również wiewiórki i sowy. Ta rozległa i okolona ogrodami posiadłość o przebogatej architekturze sprawiała wrażenie opuszczonej. Nic bardziej mylnego! Zamieszkiwał ją bowiem pewien wyjątkowo ekscentryczny jegomość.

Cokolwiek jednak przypisywano Willi Geras, opierało się to jedynie na domniemaniach, ponieważ nikt z mieszkańców Monte Echo nigdy nie przekroczył jej progów, nikt nie miał też pojęcia, jak była umeblowana ani jakie zwierzęta mogły ją ewentualnie zamieszkiwać. Wielka szkoda, że jej właściciel, człowiek bogaty i wpływowy, był aż takim odludkiem i nigdy nie wydał żadnego przyjęcia. Z jego tarasu rozciągał się wyjątkowo sugestywny widok na Most Omamień, a on sam byłby doskonałą partią dla polujących na męża dzierlatek.

Po dzielnicy Monte Echo krążyły pewne pogłoski. W luksusowych sklepach, w salonach najzaciejszych obywateli miasta, w stojących otworem domach panien na wydaniu szeptano – choć były to tylko domysły i nic poza tym – że ten tajemniczy mężczyzna o samotniczym usposobieniu uwielbiał otaczać się

mrokiem. Podobno spacerował jedynie w bezksiężycowe i bezgwiazdne noce, a zapraszany na przyjęcia izolował się od reszty gości, zaszyty w najciemniejszym kącie pokoju.

Właściciel Willi Geras nie przywiązywał wagi do lokalnych plotek i nawet jeśli czasami niektóre z nich docierały do jego uszu, zaśmiewał się do rozpuku. Wszak dystans do samego siebie jest cechą prawdziwego dżentelmena, a nikt w całym Tirnaïl nie wątpił, że hrabia Vladimir w pełni zasługiwał na to miano. Hrabia był bezwzględnie prawdziwym dżentelmenem.

Kiedy Antoine rozchylił powieki, dostrzegł jedynie głębokie ciemności. Tak gęste i nieprzeniknione, iż zdawało się, że nie mieściły już nawet powietrza. Pomyślał, że padł ofiarą Noksów, ale kiedy ostrożnie wyciągnął przed siebie ramię i przewrócił na podłogę kilka mioteł, naszły go wątpliwości.

– Gdzie ja jestem? Gdzie podziało się Nechnabel?

Antoine zaczął macać ściany, przesunął dłonią po czymś, co przypominało regał, a potem natrafił na coś w rodzaju umywalni. Szarpnął za przedmiot wiszący na lince – była to para świeżo upranych majtek.

– Gdzie ja, do cholery, wylądowałem? – zastanawiał się, ciekaw, gdzie go tym razem wywiało.

Natrafił na klamkę i nacisnął. Jak zwykle otworzył drzwi zbyt gwałtownie i uderzył nimi o jakiś mebel, zrzucając na ziemię porcelanowy wazon. Zastygł w bezruchu i czekał, co się wydarzy. Niczego nie usłyszawszy, po kilku sekundach postanowił iść dalej.

Znajdował się w dużym, starym domu pogrążonym w wiekiustym mroku. Do jego wnętrza przez wąskie szparki ciasno zaciągniętych żaluzji z wielkim trudem przeciskało się kilka nieśmiałych promieni słońca. Przedarłszy się przez gęste zarośla oraz stosy składowanego tu drewna, nikłe wiązki światła kreśliły na szarych ścianach magiczne wzory. Antoine poczuł pod stopami miękki dywan z fiołków i paproci, rozciągający się po całej posadzce. Ściany i meble pokoju pokrywały arrasy z zielonego bluszczu; bujne liście porastały również sufit. Pomieszczenie oświetlał jedynie purpurowy blask płomienia tłącego się w blaszanym pojemniku, takim samym, jakiego w czasie zimowych nocy używają śpiący pod mostem bezdomni.

Antoine podszedł do okna i uchylił lekko roletę. Rozpościerający się za oknem widok nieoczekiwanie napełnił mu duszę ciepłem. Wanezja! W dole rozciągało się miasto utraconych złudzeń, poprzecinane siatką kanałów, wzdłuż których pyszniły się wytworne pałace i dostojne kamienice. Był uratowany! Wreszcie udało mu się wydostać z Nechnabel! W tym samym momencie zmuszony był jednak okiełznać swój entuzjazm, ponieważ w pokoju obok usłyszał odgłos czyichś kroków. Antoine wycofał się ponownie do komórki i przycupnął za

umywalnią. Na przeciwległej ścianie dostrzegł małe lustro – świetny punkt obserwacyjny. Postanowił, że zanim się ujawni, najpierw upewni się, z kim ma do czynienia.

Po kilku minutach drzwi pomieszczenia się uchyliły. W ciemnościach dostrzegł sylwetki dwóch idących w jego kierunku mężczyzn. Jeden z nich wyraźnie mu kogoś przypominał, ale zanim jeszcze zdążył przeanalizować to wrażenie, obaj mężczyźni zniknęli, dosłownie wessani przez mrok, a na rozciągającej się przed nim ścianie rozegrała się scena przedziwna i przerażająca. Nieoczekiwanie pojawiła się na niej ulica w Nechnabel i jej pogrążone w ciemnościach i mgłę pojedyncze słupy i budynki. Antoine dostał gęsiej skórki i poczuł, że ogarnia go dobrze już znane poczucie beznadziejnej pustki. Im bliżej czuł obecność tych ludzi-cieni, tych przeklętych Noksów, tym bardziej Nechnabel nabierało kształtu.

Błagam! Nie chcę tam wracać. Pomyśl o Kryształowej Nocy, pomyśl o czymś miłym i dobrym... Genève była czymś miłym i dobrym i wspomnienie jej błyszczących oczu i nocy spędzonej na brzegu rzeki wystarczyło, by przegonić koszmary.

– Jak to się dzieje, że szesnastoletnia dziewczyna któregoś dnia postanawia uciec z domu?

Ona najpierw uśmiecha się promiennie i może dlatego słowa, które po chwili padają z jej ust, tak bardzo go zaskakują.

– Oboje moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym.

– Bardzo mi przykro...

– Przecież to nie twoja wina. Już się z tym pogodziłam... Ale na początku było mi bardzo ciężko. Nie miałam na nic siły. Nie chciało mi się chodzić do szkoły, uczyć, szukać pracy, nie chciało mi się zakładać rodziny ani nawet zestarzeć... Wszystko wtedy utraciło znaczenie i byłam przerażona, ale potem przyszedł taki moment, że przestałam się już nawet bać i poczułam się wolna. Uciekłam z domu moich dziadków i zaczęłam podróżować. Czy pomyślisz, że jestem potworem, jeśli powiem, że śmierć moich rodziców zwróciła mi wolność?

– Nie.

– Często się nad tym zastanawiam i mam poczucie winy. Zarabiam na podróże moją muzyką. To tata nauczył mnie grać. Tylko muzyka nigdy nie straciła dla mnie sensu. I dlatego teraz jestem tutaj.

– Teraz jesteś tutaj.

Jest szczęśliwy, że ona tu jest i jeszcze bardziej podziwia ją za odwagę.

Z jej opowieści nie przebija smutek. Może jedynie odrobina nostalgii, ale wszystko przyćmiewa jej promienny uśmiech.

Wspomnienie uśmiechu Genève przesłoniło Nechnabel, a Antoine siedział skulony w komórcie na miotły, miał krótki oddech i słyszał, jak wali mu serce. Niewiele brakowało, a Noksy znowu by go wytropiły.

– Chcę tego człowieka, który mieszkał nad morzem, i chcę go teraz! – Nagle na progu usłyszał czyjś skrzekliwy głos, a po pustych pokojach przebiegło echo uderzenia laską. – Tyle lat czekałem, żeby schwytać tego głupca, a teraz, kiedy go wreszcie dorwałem, wszystko spieprzyliście! Dostyc tego cackania!

Noksy zniknęły, ciemności opadły, a w lustrze znowu pojawili się dwaj mężczyźni. „Co tu się dzieje, u diabła?“, miałyby ochotę krzyknąć Antoine, ale zdławił krzyk, ponieważ rozpoznał właśnie w lustrze jednego z tych mężczyzn. Jednego z Noksów. Był nim pan Peloquer!

– Już wkrótce go wam doprowadzimy, panie – wymamrotał pan Peloquer z poddańczym uniżeniem, a pozostający w ukryciu Antoine mógł jedynie dostrzec trupiobiałą dłoń pana.

– I zlikwidujcie mi natychmiast cały ten bajzel, półgłówki! Tu jest za dużo światła! W roletach zieje dziura wielka jak kokos! O niebiosa, ja chyba oszaleję! Te dni są zbyt długie, a noce zbyt krótkie!

Potem drzwi się zatrzasnęły, a Antoine zaczął normalnie oddychać, choć nadal pulsowały mu skronie. Wiedział, że nierozważnie byłoby wyjść, ale ten zniewieściały, piskliwy głosik domagał się przyprowadzenia mężczyzny, który mieszkał nad morzem i Antoine natychmiast pomyślał o Santiago. Przecież nie mógł po raz kolejny opuścić przyjaciela w potrzebie, nie mógł również zostawić tu samego pana Peloquera. Musiał się dowiedzieć, co się za tym wszystkim kryje.

Kiedy wyszedł z komórki, nogi miał jak z waty. Ostrożnie poruszał się po ciemnym domu i zdawało mu się, że śni. To miejsce napełniało go niepokojem i wywoływało sprzeczne odczucia. Czuł się zarazem swojsko i nieswojo, przebywanie tu budziło w nim stłumione poczucie winy. Przechodził z pokoju do pokoju, aż wreszcie dotarł do łuku, który oddzielał resztę domostwa od przestronnego salonu. Z jego sufitu zwisały gnijące winorośla i rozkładające się kiście winogron, pośrodku sali stał zżarty przez korniki fotel. Siedział w nim rachityczny człowieczek, a może raczej ludzka karykatura, odziana w co najmniej o dwa rozmiary za dużą liberię, z głową przystrojoną białą, wyliniąłą peruką. Wyglądał jak jakiś nieszczęsny rozbitek albo jeden z tych zubożałych bogaczy, którzy mimo że wszystko już w życiu stracili, nadal czują się lepsi od całego świata, z samym Bogiem włącznie. Dłonią muskał płomień wydobywające się z blaszanego pojemnika, jedyne źródło światła w całym tym wielkim pokoju. Unoszące się nad bidonem powietrze wibrowało od gorąca.

Mężczyzna chichotał diabelsko, spoglądając pogardliwie na klęczącego u jego stóp starca. Antoine rozpoznał Santiago. A więc on żyje! Fizycznie nie prezentował się najlepiej, ale najwidoczniej nawet Noksom nie udało się zniszczyć

jego hartu ducha.

– Panie hrabio, wedle życzenia. – W blasku ogniska zamigotał pan Peloquer, a właściwie tylko jego jedna połowa, ponieważ druga nadal tonęła w mroku. W świetle nawet Noksy nabierały ludzkich kształtów. Z oświetlonej połowy ust dało się słyszeć głos rzeżący jak u umierającej bestii. – Oto człowiek, który mieszkał nad morzem.

– Wiem, idioto! – Hrabia zgromił go i jednym skokiem znalazł się przy Santiago. – Witaj, stary rybaku. Tyle lat czekałem, by pozbawić cię wreszcie tego bezsensownego uśmiechu i nadziei w sercu. Twardziel z ciebie! Musisz bardzo lubić życie.

– A kto nie lubi? Czekał pan właśnie na mnie, *señor*?

– A na kogo? Pewnie masz tak niewinną krew, że w porównaniu z tobą noworodki zasługiwałyby na wrzucenie do paszczy Belzebuba!

Hrabia zarechotał, a Santiago wyprowadził go z równowagi, śmiejąc się razem z nim. Hrabia jeszcze bardziej przybliżył się do starca i zaczął go wachać, a Santiago, jak przystało na dobrze wychowanego gościa, uczynił to samo. Vladimir oddalił się rozdrażniony.

– Nikt cię nie nauczył dobrych manier? Nie wiesz, jak zachowują się dżentelmeni?

– Dżentelmeni pachną wodą kolońską i lakierem do paznokci, *señor*, a ja noszę na sobie jedynie zapach morza i wiatru. Tak pachniał również mój sklep na dnie Morza Zsypijskiego. Mam tam na składzie wiele ładnych i miłych rzeczy, proszę szanownego pana. A moi klienci przed wyjściem ze sklepu pociągają za spłuczkę...

Santiago nie zdążył dopowiedzieć, że wychodzą od niego szczęśliwi i spełnieni. Już nigdy nikomu nie miał tego powiedzieć. Hrabia ziewnął znudzony i, rozplatając założone za plecami dłonie, chwycił Santiago za twarz i ścisnął tak mocno, jakby chciał zgnieść mu czaszkę. Potem pochylił się nad nim i przekręcił szyję staruszka w prawo. Namierzył jego grdykę i zanurzył w niej zęby, dziurawiąc skórę i rozrywając ciało. Zagryzał go jak bestia, a stary wył jak zarzynane zwierzę, potrzasał ramionami, targany konwulsjami jak epileptyk. Santiago krzyczał, płakał i kopał. W końcu padł na ziemię, ale hrabia nawet na moment nie poluzował uścisku.

Antoine nie był w stanie się poruszyć, czuł się jak ociekający zimnym potem ochłap. Gdy hrabia z purpurowymi od krwi ustami podniósł się wreszcie, zmartwiały Antoine spodziewał się widoku ciała rozszarpanego przez potwora, ale ujrzał obraz zgoła odmienny od oczekiwań. Santiago był w niemal nienaruszonym stanie, na szyi pozostał mu jedynie lekki ślad po ukąszeniu, otoczony pulsującym podskórnym wylewem. Stał prosto, wyprężony jak żołnierz, który żyje tylko po to, by wypełniać rozkazy. Nie miał już pochylonej głowy, natchnionych oczu i ust

wykrzywionych w pocziwym uśmiešku. Był całkowicie wyczerpany, pusty w środku. Nawet otaczający go zapach wiatru i morza gdzieś wyparował. Stary wyglądał jak istota zawieszona między życiem a śmiercią, dokładnie w połowie drogi, zupełnie jak pan Peloquer.

Hrabia ponownie umościł się w fotelu, wycierając rękawem fraka zakrwawione usta.

– Wcale nie jesteś aż taki niewinny – dodał zawiedziony, jakby właśnie spróbował kawałek mięsa powszechnie uznawanego za rarytas, który nie spełnił jego oczekiwań. – Zawsze tak jest. Najmilszy jest czas oczekiwania... a kiedy wreszcie dostaniesz to, czego pragniesz, wszystko diabli biorą! Uniósł oczy i w tym momencie dostrzegł Anotine'a. Rozciągnął usta w żmijowatym uśmiešku, odsłaniając umazane krwią siekacze. Oczyszczył je rozszczepionym jak u gada językiem, delektując się resztkami smaku. Antoine dostrzegł w jego oczach zdumienie. Taki sam wyraz twarzy mieli prawdopodobnie ludzie, kiedy odkryli, że ziemia jest okrągła, albo ateści przed obliczem Boga.

– To ty... A ja myślałem, że ty...

Antoine zastanawiał się, co mógł myśleć o nim ten oprawca, ale dotarło do niego, że nie było na to czasu. Wreszcie ocknął się i rzucił do ucieczki. Biegł co tchu przez długi ciąg przechodnich pokoi, potykając się o połamane meble, zwinięte dywany i buchające ogniem blaszane pojemniki. Kilkoma susami pokonał kręte schody i popędził w stronę drzwi wyjściowych, pokrytych grubą warstwą pajęczyn. Właśnie zbliżał się do wyjścia, gdy po prawej stronie usłyszał złowrogi huk. Od ściany willi oderwało się gigantyczne pnącze i, jak ośmiornica, ciasno aż do utraty tchu, oplotło go w pasie. Roślina powlokła Antoine'a ku górze i uderzyła nim o zimną i twardą powierzchnię. Mężczyzna ze strachem otworzył oczy, a zastany widok przyprawił go o mdłości. Znajdował się pod sufitem wprost usłanym ciałami! Setki trupów wplecionych w gąszcz gałęzi i liści pokrywały sklepienie budynku, sprawiając wrażenie gorsze od zbiorowej mogiły! Z niektórych nieszczęśników pozostały jedynie szkielety, inni najwidoczniej dopiero co wyzionęli ducha, pozostali, w samym środku tego kłębowiska, powoli dogorywali, zwijając się w konwulsjach!

Antoine naprężył wszystkie mięśnie, ale im bardziej się opierał, tym mocniej roślina zaciskała wokół niego macki. Nie przestał się szarpać nawet wtedy, gdy usłyszał odgłos drobnych kroczków hrabiego i zobaczył, jak nadchodzi z całym zastępem Noksov, pojawiających się i znikających w zależności od kąta padania nikłego światła. Kiedy wreszcie hrabia znalazł się pod zwisającymi stopami Antoine'a, spojrzął na niego wygłodniałym wzrokiem. Nie było już odwrotu. Antoine wpadł w jego łapy i powoli godził się z nieuniknionym... Teraz ten człowiek mógł zrobić z nim wszystko.

Hrabia Vladimir

– To ty! To oczywiście... ty! – Hrabia szukał stosownych słów i nie mogąc ich sobie przypomnieć, wybuchał głupawym śmiechem. Pluł i parskał, ukazując rzędy ostrych, mleczych ząbków. Co rusz zerkał z rozbawieniem na towarzyszący mu zastęp żywych trupów. – A więc udało ci się zbiec! Jak to możliwe, że tego nie przewidziałem? Jak mogłem przypuszczać, że ktoś taki jak ty będzie siedzieć beczynn timer i czekać na przybycie kata?

Dopiero w tym momencie hrabia zdał sobie sprawę z niewygodnej pozycji Antoine'a i pstryknięciem palcami sprawił, że pnącze rozplotło się i zrzuciło go na ziemię, a on czym prędzej wycofał się na czworakach do kąta. Wyteżał umysł, próbując zebrać myśli, krew waliła mu w skroniach. Szukał drogi ucieczki, ale wszystkie okna i drzwi były zakratowane.

Tymczasem hrabia kontynuował swój niezrozumiały wywód.

– A niech mnie diabli! Nadal nie mogę uwierzyć, że się nie pomyliłem... To naprawdę ty! Wróciłeś! Kiedy usłyszałem twoje nazwisko na aukcji, nazwisko, którego tak lekko i nierozważnie się pozbyłeś, rozpałił się we mnie płomyk nadziei. Choć nadzieja jest matką głupców i szczególnie tutaj, w krainie iluzji, nierozsądnie jest się na nią zdawać. Miałeś na twarzy maskę, mogło mi się więc coś przywidzieć... Ostatecznie byłoby to normalne w mieście złudzeń. Na wszelki wypadek wysłałem więc oddział moich wiernych sług, moich umiłowanych Noksów, i rozkazałem im, żeby cię schwytali i uwięzili w Nechnabel. Chyba rozumiesz, że musiałem mieć cię na oku. Wkrótce miałem zamiar cię wypuścić. Za jakieś dwa, trzy lata, nie później, ale ty sam już wcześniej się o to zatroszczyłeś. Było mi bardzo ciężko, wiesz? Niech mnie szlag trafi, jeśli to nieprawda! Przeżywałem katusze, ponieważ po raz kolejny w życiu pozwoliłem sobie na żywienie nadziei. Przeżywałem piekielne męki, mój drogi przyjacielu! Wątpliwości są jak brzytwa okrawająca umysł. Ale było warto, bo okazało się, że to ty, i teraz jesteś tu wreszcie ze mną.

Antoine nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Nic z tego nie pojmował, z wyjątkiem może jednego szczegółu, który zaskoczył go na samym początku i zaniepokoił.

– To znaczy... To znaczy, że pan był obecny na Aukcji Złudzeń? I to pan sprawił, że Noksy przywiodły mnie do Nechnabel?

– Odpowiedź na oba pytania brzmi twierdząco, mój drogi. Byłem na aukcji i nawet uścisnęliśmy sobie dłonie!

Antoine był oszołomiony.

– Miał pan na twarzy maskę hieny? – wyszeptał, przywołując zamglone wspomnienie.

– Owszem – potwierdził hrabia z uśmiechem, który zamiast dodać Antoine’owi pewności, przyprawił go o zimne poty. Antoine potrząsnął głową, czuł się jak krety.

– Czy my się wobec tego znamy?

– Czy my się znamy? – Hrabia przedrzeźniał go i zaśmiewał się skrzekliwie.

Antoine pomyślał, że zaraz udławi się tym śmiechem i serdecznie mu tego życzył.

– Idziemy! – Hrabia postukał go laską po głowie. – To ja! Wampir Vladimir!

Wystarczyło to imię. Tylko to jedno imię, aby skręciło go od środka. Antoine zwymiotował na oczach hrabiego, nie próbując się nawet powstrzymać.

– Wampir Vladimir...

Stanął mu przed oczami widok pewnego człowieka szarpiącego za bramę opuszczonej willi. Usłyszał jego niosący się po nocy skowyt, a potem szepot: Wampir Vladimir. Pamiętał, że te słowa miały jakąś szatańską moc, ale już nic poza tym sobie nie przypominał. Był to jedynie krótki przeblysk.

Brudny od wymiocin Antoine siedział skulony na podłodze. Wszystko pogrążone było w mroku i mgłę, on umierał z głodu, a wampir Vladimir obserwował go z wyrazem obrzydzenia na twarzy. Opowiadacz odniósł jednak wrażenie, że z jakichś nieznanych powodów hrabia próbował tę odrazę ukryć i właśnie to miało okazać się problemem.

– Przynieście mu chusteczkę – zaordynował Vladimir i kiedy jego ludzie rzucili się, by wykonać rozkaz, on począł przechadzać się przed Antoine’em w tę i z powrotem, ignorując jego żalosne położenie.

– A więc to pan rozkazał Noksom, by przywiodły mnie do Nechnabel... – wyjęczał leżący na podłodze i zwinięty w precel z powodu torsji Antoine. Wzbierająca w piersiach nienawiść nieomal odbierała mu głos. Miałby ochotę krzyczeć i tym krzykiem przegnać hrabiego na drugi koniec świata.

Vladimir zignorował gniewne, zduszone pomrukiwania Antoine’a i znowu zaczął paplać.

– Widzę, że czas obszedł się z tobą bezlitośnie. Ale masz zmarszczki! A jakie torby pod oczami, do stu diabłów! Dobrze zrobiłaby ci maseczka oczyszczająca, a także profesjonalny manikiur... – drwił bezlitośnie. Wypowiadając ostatnie słowa, spróbował chwycić Antoine’a za dłonie, ale ten wyszarpnął je ze złością. Hrabia nagle zeszywniał, a jego chichot zabrzmiał teraz dziko i niemal zwierzęco.

– O co chodzi? – wysyczał. – Czyżbyś nie pamiętał swojego dawnego wspólnika?

Antoine był zażenowany. Miał ochotę krzyknąć, miał ochotę stąd uciec albo przynajmniej powiedzieć coś dosadnego, ale zarówno język, jak i nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Jednym dobrze wymierzonym kopniakiem mógłby rozłożyć na łopatki tego cherlaka, gdyby za jego plecami nie warowała cała wataha Noksov. A kto wie, ilu z nich chowało się jeszcze w półmroku tego przeklętego domostwa. Żywy by stąd nie wyszedł.

Przymknął oczy i zebrał siły, by uczynić to, od czego nie było odwrotu. Osuszył usta podaną mu przez hrabiego chusteczką. Wyciągnął rękę i pozwolił, by ten potwór przyjrzał się jego paznokciom.

– Co za ohyda – wydusił z siebie zniesmaczony hrabia, a potem pomógł mu się podnieść, chwytając go pod ramię z siłą, której Antoine nigdy nie spodziewałby się po takiej mizeroocie.

– Chodź ze mną, mój drogi. Oprowadzę cię po Willi Geras, poznasz wszystkie atrakcje najstarszej rezydencji na wzgórzu Monte Echo, najbardziej arystokratycznej dzielnicy Wanezji. Willa jest niemal tak stara jak jej nazwa. Według starożytnych Greków, ojców wszelkich utopii, marzycieli i pijaków, Geras był bogiem starości. Wiedziałeś o tym?

Antoine wiedział.

– Długą i ciernistą drogę przebyłem przez te wszystkie lata – kontynuował Vladimir, przyglądając się z rozczeniem swojej posiadłości. – Strasznie się napracowałem na moją dzisiejszą pozycję, wiesz? Nawet sobie nie wyobrażasz, ile kosztowało mnie wypełnienie tego domu ciemnościami. Nie myśl, że to takie proste.

Antoine nic nie odrzekł. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

Kiedy się tak przechadzali po Willi Geras, hrabia w pewnym momencie poruszył temat wiosennych porządków i próbował poradzić się Antoine'a w kilku sprawach.

– Chyba zacząłbym od ściągania pajęczyn – zasugerował nieśmiało opowiadacz.

– Och, wiedziałem, że znasz się na rzeczy! – odpowiedział z cynizmem hrabia, a Antoine, patrząc na niego z bliska, zorientował się, że pod warstwami podkładu i pudru hrabia nosił na twarzy woskową maskę. – Odpowiednio dobieram sobie wspólników!

– Po raz kolejny używa pan tego określenia, panie hrabio. Czy doprawdy jesteśmy wspólnikami?

Hrabia uśmiechnął się szelmowsko.

– Oczywiście, że jesteśmy wspólnikami. I to jeszcze od czasów, kiedy nie rozróżniałem mroku od światła, mój drogi.

Beztrósko dowcipkując i skrzekliwie rechocąc, doprowadził Antoine'a do prawego skrzydła Willi Geras. W całej tej ponurej posiadłości nie było ani jednego miejsca, w którym światło rozpraszałoby mrok. „Na dobrą sprawę wszędzie mogły znajdować się Noksy”, pomyślał Antoine. Po raz kolejny jedyny blask dochodził od płomieni podrygujących w blaszanych bidonach, porozstawianych we wszystkich salach i na narożnikach korytarzy.

Mijali długie ciągi drzwi. Niektóre z nich były pozamykane, inne – wyważone – leżały na podłodze, ukazując osmalone i zdewastowane wnętrza. Raptem jedne z zatrzaśniętych drzwi nieznacznie się uchyliły – akurat w momencie, kiedy je mijali. Najpierw zaskrzypiały zardzewiałe zawiasy, a potem z wnętrza pokoiku wyskoczyła mała szklana kulka. Potoczyła się wzdłuż korytarza i pokulała się pod stopy hrabiego, który się na niej poślizgnął.

– Co to...?

– Uciekajmy! – krzyknął hrabia. Ze stężoną twarzą pozbierał się z podłogi i, ucapiwszy opowiadacza za ramię, pociągnął go za sobą. Nawet się nie obejrzał. – Nie patrz w ich stronę! Chcą tylko zwrócić naszą uwagę! To pokój zabaw, zawsze pełen światła. One uwielbiają spędzać tam czas.

– One, czyli kto? – Antoine uwolnił się z żelaznego uścisku hrabiego i mimo zakazu spojrzął za siebie. Niczego nie dostrzegł w smudze światła wpadającego przez uchylone drzwi pokoju, a mimo to poczuł ciarki na potylicy i usłyszał śmiechy. Dźwięczne i beztróskie dziecięce głosiki.

– Nie oglądaj się za siebie! – wrzasnął hrabia, zmuszając go, by szedł prosto. Wpił się palcami w ramię Antoine'a, ale tym razem nie ze złości, tylko ze strachu. – Idą za nami! Słyszę ich kroki!

Jednak za nimi nikogo nie było.

Wreszcie opuścili to skrzydło Willi Geras i poczuli powiew świeżego powietrza. Pokonując długą rampę schodów, dotarli do kuchni pełnej gołębi wydziobujących okruchy spleśniałego chleba i resztki zapiekanki mięsnej.

– Założę się, że te przekłete dzieciary schowały się gdzieś tu za lodówką albo pod stołem... Któregoś razu wyskoczyły całą trójką ze spiżarni, wredne bestie! – wysyczał hrabia.

Potem zeszli jeszcze niżej, aż do piwnic. Mimo wilgoci i ciemności była to z pewnością najprzytulniejsza część całej willi i pełniła prawdopodobnie funkcję prywatnego gabinetu hrabiego. Na wapnowanych ścianach zamontowano nawet biblioteczkę.

Vladimir zajął miejsce w wygodnym fotelu, w pobliżu jednego z dziesiątek bidonów, w którym trzaskał ogień na podpałce z suchych gałęzi. Kilka rozżarzonych iskier drasnęło mu twarz, ale on nie zwrócił na nie uwagi. Wskazał Antoine'owi miejsce na starym i brudnym tapczanie. W tej krypcie hrabia uspokoił się i odzyskał równowagę.

– A więc, mój drogi, miałbyś może na coś ochotę? Na kawę albo herbatę? A może na coś mocniejszego?

– Skończyłem z pićm. Pod wpływem alkoholu robię zawsze jakieś głupstwa. Ostatnio pozbyłem się mojego nazwiska – odrzekł Antoine i zaczął bawić się złotym teleskopem stojącym w pobliżu tapczanu, skierowanym obiektywem w dół, być może w otchłanie piekieł. – Napiłbym się mleka. A jeśli można by dodać do niego kilka kropel syropu miętowego, byłbym ogromnie wdzięczny.

Hrabia świdrował go wzrokiem, nie przestając chichotać, ale Antoine wyczuł, że swą prośbą zbił go z tropu.

– Świetnie! – Vladimir wydobył z kieszonki fraka mały dzwoneczek. – Wypijemy za nasze zdrowie! A potem, jak przystało na starych wspólników, powspominamy dawne czasy i pogadamy o interesach.

– O pana interesach?

– O twoich interesach! Jeśli oczywiście jesteś jeszcze w stanie decydować o sprawach swojego życia i śmierci, dobrze mówię?

– Bardzo dobrze, panie hrabio.

– Daj spokój, tytuły zostaw moim pochlebcom, stary brachu. Stać cię na więcej niż na lizanie mi tyłka. Zwracaj się do mnie po prostu Vladimirze albo Miłościwy Panie, jeśli już tak bardzo przywiązujesz wagę do etykiety.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do gabinetu wmaszerowała służąca, która z pewnością wpadłaby w oko Santiago.

– Czego sobie szanowny pan życzy?

– Dla mnie to, co zwykle. A dla mojego drogiego, najdroższego wspólnika szklankę mleka z odrobiną... Co to było, mój druhu? Cytryna?

– To była mięta, Vlad.

– Do usług, szanowny panie. – Atrakcyjna służąca dygnęła i odeszła.

Gdy zostali sami, przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, hrabia oczekiwał, że to opowiadacz odezwie się pierwszy.

– Czy pan wie, kim ja jestem? – spytał Antoine, zebrawszy się wreszcie na odwagę.

– Wiem, kim mógłbyś być, ale ty pozbyłeś się nazwiska, pod którym figurowałeś na tamtym świecie, wyrzuciłeś je jak skórę odartą z królika.

– Ale pan słyszał moje nazwisko. – Zaszarżował Antoine, z nadzieją, że ten sadysta choć do czegoś mu się przyda.

– Jasne. Wszyscy je słyszeliśmy, wykrzyczałeś je przecież na całe gardło. Tylko głuchym został oszczędzony twój żaloszny występ. Tym niemniej, jak tylko podpisałeś cyrograf, wszyscy goście obecni na Aukcji Złudzeń zapomnieli, jak się nazywasz. Ja również.

– Jak może więc pan utrzymywać, że się znamy?

– Ja nie znam twojego nazwiska, panie...

– Tomojasprawa.

Hrabia zarżał z aprobatą.

– Panie Tomojasprawa, nie przypominam sobie twojego zafajdanego nazwiska, ale pamiętam, co przyszło mi do głowy na jego dźwięk. A mianowicie to! – Hrabia wstał, podszedł do wielkiej kuchennej szafy i wyciągnął z niej dość dużą owalną tablicę. Przez chwilę trzymał ją w swych niezwykle silnych dłoniach, a potem upuścił na wytarty perski dywan w pobliżu stóp Antoine'a, wzniecając przy tym tuman kurzu. Był to zaśnieżony mosiężny szyld, a na nim wygrawerowane dwa nazwiska: „Conte & Fonte. Spółka Artystyczna”.

Karaluchy

Antoine podniósł wzrok.

Fonte... to nazwisko... to nazwisko wydawało mu się znajome.

– Co to ma wszystko znaczyć?

– Nie mam pojęcia, miałem nadzieję, że to ty mnie oświecisz. Ten szylld jest u mnie od zawsze, ale nie wiem, kiedy i z jakiego powodu się tu pojawił. Zdaje się, że swego czasu miał niemałe znaczenie, ale nie pamiętam, czy nazwisko, z którym tak lekko się obszedłeś w tym przybytku zepsucia i rozpusty brzmiało Conte czy Fonte. Ale skoro to ja jestem hrabią[30], to należy się domyślać, że do ciebie należy prawdopodobnie to drugie. I muszę przyznać, że jak tylko cię tam zobaczyłem, to od razu przypomniałem sobie twoją krzywą mordę, mój najdroższy wspólniku, mój drogi panie Fonte.

Antoine zastanawiał się, jak powinien potraktować Vladimira. Hrabia przyglądał mu się wyczekująco, ale on bał się cokolwiek powiedzieć, żeby się jeszcze bardziej nie pograżyć. Nie wiedział o nim nic oprócz tego, że był perwersyjnym i zniewieściałym szaleńcem. Z drugiej strony, hrabia wiedział na temat Antoine'a więcej od niego samego, choć nie było to aż takie trudne.

– Nie mam pojęcia, co nas łączyło na tamtym świecie. Byliśmy wspólnikami i reszta mnie nie interesuje, ale świetnie pamiętam, co wydarzyło się między nami tutaj, w Tirnaïl, piętnaście lat temu.

– Ale mnie nie było w Tirnaïl piętnaście lat temu.

Hrabia pisnął jak mysz, ale nic nie odpowiedział.

Zaczął mamrotać coś pod nosem, wyrzucać z siebie nieskładne zdania, potrząsając przy tym głową. Potem wreszcie umilkł i uniósł wbite do tej pory w podłogę spojrzenie. W oczach miał popłoch, wyglądał jak zmaltretowany ludzki strzępek, i gdyby Antoine nie nienawidził go z całej głębi swojego jestestwa, zwyczajnie zrobiłoby mu się go żal.

– Wiesz, dlaczego tu jesteśmy? – wycharczał hrabia, próbując wzbudzić w nim odrobinę współczucia. – Ponieważ one boją się ciemności i nigdy tu nie przychodzą, tu nic nam nie grozi.

– Kto boi się ciemności?

– Dzieciary! – zagrzmiął hrabia Vladimir, a jego ostro zakończone siekacze wychyły na moment z trupiobladych ust. – Dzieci boją się ciemności i podziemi,

debilu! Od dnia, w którym po raz pierwszy moja stopa stanęła w Tirnaïl, nawet na chwilę nie dają mi spokoju. Na początku wszędzie za mną chodziły, bez przerwy... Nie wiedziałem, gdzie się ukryć! Pozostawały mi jedynie ciemności... Dlatego tak kocham mrok, wiesz? Ja się nim karmię! Kiedy zrozumiałem, że nie zbliżają się do ciemności, sam zacząłem czynić mrok! Ale one nigdy mi nie odpuszczają, wykorzystują każdy, nawet najmniejszy przebłysk światła, żeby mnie wystraszyć. Cała trójka. Nie pamiętam, jak mają na imię, mówię na nie Karaluchy!

Hrabia już zupełnie postradał zmysły i mówił jak opętaniec.

– Moje trzy małe Karaluszki! Obrzydliwe pluskwy! Wiedziałeś, że karaluchy są w stanie przeżyć dziewięć dni bez głowy, zanim umrą z głodu? Pewnie, że wiedziałeś, sam mi o tym opowiedziałeś piętnaście lat temu. To byłeś ty, panie Fonte, nie okłamiesz mnie. Karaluchy... One takie są, ohydne karaczany. Nie poddadzą się nawet, jeśli je zmiażdżysz i poobcinasz im głowy. A więc próbujesz się do nich przyzwyczaić, próbujesz jakoś żyć z ich widmem, ale w najmniej oczekiwanym momencie pojawiają się te ich zakłamane oczka, a ty najchętniej wyrwałbyś im je z orbit!

Policzki hrabiego pałały jak kamienie w żarze południa. Nagle Vladimir rzucił się na podłogę i zaczął odgrywać jakąś żalną scenę. Przewracał oczami i, ukazując same tylko białka, z trudem łapał powietrze.

Antoine miałby ochotę zmiażdżyć go i pozbawić głowy jak karalucha. Popatrzył na ogień podrygujący w blaszanym pojemniku. Mógłby wyrzucić jego zawartość na hrabiego, przyglądać się, jak skwierczy w płomieniach, i przekonać się, jakie odgłosy wydaje palona żywcem glista.

Ale Vladimir natychmiast doszedł do siebie i czym prędzej podpełzł na czworakach do tapczanu. Przybliżył twarz do Antoine'a – który odsunął się instynktownie, by nie wdychać diabelskiego ziania tej bestii – i gdy ponownie otworzył usta, jego głos zabrzmiał ponuro i emfatycznie. Był urodzonym aktorem.

– Człowiek popełnia błąd, sądząc, że miłość jest najpotężniejszą siłą na tym świecie. To nie miłość jest najsilniejsza, ale wyrzuty sumienia. Uraza i żal! Wyrzuty sumienia, mój najdroższy przyjacielu, są wieczne! Pożerają żywych i wskrzeszają umarłych. Widzisz, mój kochany współniku, mnie prześladowają wyrzuty sumienia z powodu tych trzech obrzydliwych dzieciarów.

– Nie widziałem tu ani jednego dziecka – wyszeptał Antoine. – A my nie jesteśmy współnikami.

– Groza, mój współniku, jest w oczach tego, kto patrzy.

– Nie jesteśmy współnikami.

– Ależ oczywiście, że jesteśmy! Tak głosi napis na szyldzie, byliśmy współnikami w przeszłości i niedługo znowu nimi będziemy.

Hrabia Vladimir siedział na dywanie w milczeniu, otępiały i pogrążony we własnych myślach, potem nieoczekiwanie przemówił tonem niemal błagalnym.

– Wysił się, do diaska! – wyjęczał, przyciskając do siebie kolana Antoine’a. Opowiadacz historii cofnął się instynktownie, nie był w stanie ukryć obrzydzenia i pogardy. – Nie ma znaczenia, czy mnie pamiętasz czy też nie, panie Tomojasprawa, albo panie Fonte z bożej łaski. Najbardziej interesuje mnie twoja ucieczka, to ona jest najważniejsza... Czy pamiętasz, w jaki sposób udało ci się stąd uciec? Błagam cię! Wyteż mózgownicę!

– Uciec? – Antoine przypomniał sobie o Kryształowej Nocy.

– Wiesz, o co chodzi, przecież widzę. Pamiętasz... – Hrabia Vladimir wytrzeszczył oczy i zaczął drżeć jak osika, ponieważ w przytłaczającym mroku dostrzegł nagle niewielki promyk światła. – Jestem najbardziej wpływowym człowiekiem w całym Tirnaill, nie ma miejsca, do którego nie dotarłyby moje Cienie. Jeżeli zdradzisz mi swój sekret, przysięgam na honor i na trupy, którymi go zbrukałem, że ja, hrabia Vladimir zostanę twoim sługą i niewolnikiem. Będiesz mógł poprosić, o co tylko zechcesz, a zostanie ci dane. Mów, czego pragniesz! Chcesz odzyskać swoje nazwisko? Będziesz je miał! Kobiętę z zielonymi włosami? Będziesz miał ich sto i będą wielbić cię jak boga! Wszystko, czego tylko zapragniesz, panie Fonte, już teraz do ciebie należy. A więc do rzeczy, mój przyjacielu, mój współniku, moja ostatnia nadziejo... Jak udało ci się stąd uciec?

– W Kryształową Noc. – Antoine bez namysłu wyrzucił z siebie odpowiedź, a potem było już za późno, by ją odwołać. Spuścił wzrok. – Ja nie wiem, kim jestem, panie hrabio, nie znam mojego nazwiska, zupełnie nie pamiętam, kim byłem i czym się w przeszłości zajmowałem, ale jak tylko przypomniałem sobie tamtą noc, przypomniałem sobie o niej... o Genève... wszystko wypełniło się światłem. Jestem tu z jej powodu, ponieważ swego czasu spędziłem z nią kilka godzin i nieważne, że było to dwadzieścia czy trzydzieści lat temu, i że znaleźliśmy się tak krótko... Nikt nie ma prawa mi jej zabierać...

– Ależ oczywiście! A co było dalej?

– Myśląc o niej, poczułem przyływ nadziei... I właśnie wtedy ciemności i mgła rozproszyły się i zniknęło całe Nechnabel...

– A co ma z tym wspólnego Nechnabel? – ryknął hrabia, wrywając z zamyślenia Antoine’a, do którego wreszcie dotarło, gdzie przebywał i z kim miał do czynienia. Sam nie wiedział, co mu strzeliło do łba, żeby zwierzać się z tak intymnych odczuć własnemu wrogowi.

Tymczasem hrabia Vladimir rozjuszył się jak byk na arenie i, zapominając o swojej mistyfikatorskiej, arystokratycznej pozie, zaczął tupać ze złości nogami.

– Nechnabel! Ciemniaku! Nie interesuje mnie, jak udało ci się prysnąć z Nechnabel! Nie interesuje mnie, jak się ucieka z mojego więzienia! I tak to ja dzierżę klucze do jego bram! Czy ty wiesz, ilu było już takich śmiałków jak ty?

Zdezorientowany Antoine pokręcił przecząco głową.

– Ja sam straciłem ich rachubę, ale żeby się o tym przekonać, wystarczy

policzyć ciała na suficie! Po tylu latach wszyscy już wiedzą, co przegania mgłę i mrok! Pogodne myśli! Blee! Nie tego chcę się od ciebie dowiedzieć! Nie tego! Nie tego!

Antoine był zaszokowany.

– Byłeś tu piętnaście lat temu i ja też tu byłem piętnaście lat temu i nagle... pach! Zniknąłeś, rozpułyłeś się, znalazłeś drogę ucieczki. Jak? Jak udało ci się uciec z Tirnaill przed piętnastu laty? Którędy się wyslizgnąłeś, do cholery? Jak odnalazłeś te zaginione drzwi?

Opowiadacz historii przyglądał mu się, niczego nie pojmując. Teraz hrabia przyklęknął u jego stóp i, głaszcząc go po nogach, przeproszał za wybuch złości.

– To to miejsce tak na mnie wpływa – bełkotał i przymuszał się do płaczu. – Doprowadza mnie do szaleństwa, sam przecież widzisz, jak tu jest. Te karaluchy zżarły mi mózg! Wybacz mi!

Uniósł twarz, udając pełne żalu spojrzenie w nadziei, że opowiadacz udzieli mu rozgrzeszenia. Na próżno. Potem wstał, potrząsając głową z rezygnacją i wzgardą.

– Czy możesz mi wyjawić, dlaczego wróciłeś do Tirnaill?

Antoine zastanawiał się, co mu odpowiedzieć, w końcu wybrał jedyną przekonywającą opcję.

– Ponieważ utraciłem pamięć, wyzbyłem się wspomnień.

– A może się ich nie wyzbyłeś. Może tkwią gdzieś tam zaplątane w tych kudłatych włosach, które nosisz na łbie. Może jak ci ten łeb rozwalę, to znajdziemy w nim to, czego nam trzeba. Co ty na to, spróbujemy?

Vladimir chwycił za pogrzebacz i zaczął wywijać nim jak mażoretka na czele parady. W tym momencie ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę bardzo, szanowny panie.

Antoine zapomniał już o służącej i mleku, które u niej zamówił.

Hrabia sięgnął po swój trunek tak gwałtownie, że aż przestraszył tym dziewczynę i, przechwyciwszy również szklanekę Antoine'a, ukradkiem coś do niej dolał, żartując, że mleko z Monte Echo trzeba zawsze wzmocnić odrobiną whisky. Kiedy wreszcie mu ją oddał, Antoine, który usychał z pragnienia, bez zastanowienia wlał w siebie całą jej zawartość. Mleko miało gorzkawy smak i cała ta sytuacja byłaby nawet zabawna, gdyby nie była taka przerażająca.

Dopiero teraz zwrócił uwagę na kolor napoju w kieliszku Vladimira.

– Czy to Krwawa Mary? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Nie, to zwykła krew. – Hrabia opróżnił szklanecę jednym haustem, a potem postukał w jej denko i wylizał spływające po ściankach krople. – Jestem od niej uzależniony, nie potrafię odmówić sobie tego rarytasu.

Antoine zadygotał. Musiał zrobić wszystko, żeby się stąd wydostać, ale do tej pory za każdym razem, gdy uciekał, popadał w jeszcze większe tarapaty.

Niestety, rozum nie podsuwał mu ani jednego sensownego rozwiązania. Powieki miał jak z ołowiu, nie spał już od wielu godzin, długich jak dziesięciolecia.

– Złodziej historii, poszukujący marzeń i snów. – Sceniczny szept hrabiego dobiegł do jego ucha jak kołysanka. – A teraz szuka wspomnień. Ponieważ nic nie pamięta. Nic.

– Co pan powiedział? – Antoine nic nie pojmował. Był zmęczony i zamroczony. Szklanka po mleku z odrobiną mięty wysunęła mu się z dłoni i spadła na posadzkę...

– To nie była whisky, prawda?

Hrabia był przez chwilę nieobecny, potem podniósł wzrok i spojrzał na Antoine'a.

– Mój drogi, jak już powiedziałem, nie wiem dokładnie, kim jesteś, ale jakimś trafem wiele na twój temat pamiętam. Szczególnie wryła mi się w pamięć pewna twoja cecha, a mianowicie wyjątkowa umiejętność odcinania się od rzeczywistości. Nie zauważyłbyś, że ktoś podaje ci narkotyk, nawet gdyby robił to pod twoim nosem. – Uśmiechnął się zadowolony, z wyrazem twarzy szatana skrzętnie segregującego dusze potępieńców. – Śpij spokojnie. – Pokiwał mu na pożegnanie i była to ostatnia scena, którą zapamiętał Antoine, zanim zapadł w sen.

[30] Włoskie *conte* – hrabia – przyp. tłum.

Ucieczka

Lato 1974 roku

Dwie postacie przepychają się w ulicznym tłumie wzdłuż Rettifilo[31], z nieba leje się sierpniowy żar. Wybrukowana cementem ulica parzy jak rozpalony węgiel, powietrze drży od gorąca. Nawet morze prześwitujące jak zjawy między zabudowaniami na tyłach dzielnicy Borgo degli Orefici jest zbyt umęczone upałem, by dać ukojenie.

Jezdnia jest zapchana samochodami, również na chodnikach nie ma gdzie postawić stopy, ale ojciec i syn idą ramię w ramię, posuwają się naprzód, niezłomni i nieobecni. Jakby byli sami.

– Jestem carem!– krzyczy mężczyzna do mijających ich przechodniów. – Upadnijcie przede mną na kolana. Proszę uklęknąć, proszę pani!

Zbulwersowana kobieta wymija go pospiesznie.

– Czy ja też jestem carem? – dopytuje chłopczyk i zastanawia się, dlaczego ludzie nie padają na twarz przed jego ojcem.

Wszystkie dzieci uważają, że ich rodzice są wyjątkowi i nieśmiertelni. Czasem może się zdarzyć, że umrą, ale wtedy mają zagwarantowane miejsce w raju. Ale ten chłopczyk postrzega swojego ojca jeszcze inaczej. Jego tata wydaje mu się trochę nierealny. Nie jest ani dobry, ani zły, tylko po prostu nierealny, otoczony aurą rzeczy nieistniejących, snów na jawie i niedotrzymywanych obietnic.

W ostatnich trzech latach nowa praca dosłownie wyssała z niego wszystkie siły, zabrała rodzinie, tak samo jak kilka lat wcześniej uczynił to alkohol. Jego ojciec miał od zawsze problemy z samokontrolą, ulegał przeróżnym pasjom, które wypalały go i trawiły jak pożar las.

– Nie jestem carem? – pyta niepewnie chłopczyk.

– Nie, jesteś tylko małym potworkiem, którego oddech czuję na szyi, jesteś moją kulą u nogi – odpowiada mu agresywnie mężczyzna.

Chłopczyk śmieje się donośnie, wie, że to nieprawda.

– Hej, maluchu, czy wiesz, że słowo „cmentarz” pochodzi ze starożytnej greki i oznacza miejsce przeznaczone do snu?

– Naprawdę?

– Naprawdę. Wyobrażasz to sobie? Ktoś idzie na cmentarz i prosi o wynajęcie grobu na jedną noc.

– Albo na tydzień.

– Albo na tydzień – odpowiada ojciec. To musi być bardzo wygodne miejsce spoczynku. W trumnie, w otoczeniu umarłych czas stoi w miejscu i przez tę jedną noc człowiek się nie starzeje. Ot, taka kuracja odmładzająca! Moglibyśmy wybrać się na jakiś cmentarz na wakacje, co ty na to?

Chłopczyk przytakuje mu z powagą. Ten pomysł jednocześnie fascynuje go i przeraża. W pewnym momencie ojciec przystaje i pochyla się, by podnieść z chodnika dziesięć lirów, które wypadły z torebki jakiejś roztargnionej kobiety. Ukradkiem, jak złodziej, wsuwa monetę do kieszeni i przykłada palec do ust, nakazując dziecku milczenie. Zachowuje się jak czarodziej, jak pokazujący sztuczkę iluzjonista, a dzieciak jest omamiony.

– Musimy się spieszyć – mamrocze ni stąd, ni zowąd naburmuszony ojciec i rusza do przodu. – Niedługo mam pociąg. Z siódmego peronu. Do Wenecji. Znasz Wenecję? To miasto, w którym ludzie noszą na twarzach maski.

– A dlaczego?

– Z dwóch ważnych powodów: żeby wyglądać jak ktoś, kim nie są i aby ukryć, kim są. Niektórzy żywią się kłamstwem i złudzeniami.

– A kiedy wrócisz?

Jego ojciec wydaje z siebie skrzeczący głos, naśladując papugę, a potem odpowiada oschle.

– Kiedy będę mógł i jeśli będę chciał. To nie będzie taka praca jak inne. Wymaga wielkiego zaangażowania i wielu poświęceń.

Do tej pory jeszcze nigdy nie wyjeżdżał w delegację.

– Jak wrócisz, to kupisz mi kotka? – Głos chłopczyka brzmi już płacząco.

– A po co ci kotek? Przecież możesz się bawić z kotem pani sprzątaczkii.

– Z kotem pani Violi? Ale Duchessa nie jest moja, tylko jej. I ostatnio ciągle gdzieś ucieka. Proszę cię, tato!

Ojciec nic nie odpowiada, a kiedy przechodzą obok budynku z numerem 238, w miejscu w którym Corso Umberto przecina się z ulicą Via Regina Sancia, zapada między nimi pełne napięcia milczenie. Mijany przez nich sklep jest zamknięty, ma spuszczone rolety, ale chłopiec nie może się powstrzymać i spogląda w jego stronę. Ojciec przeciwnie – zmusza się, by iść prosto, ze wzrokiem wbitym w chodnik, jak zakładnik przeszłości.

„Conte & Fonte. Spółka Artystyczna”, głosi napis na mosiężnym owalnym szyldzie, a na zaciągniętej zewnętrznej roletcie ktoś dopisał czerwoną i ociekającą jak krew farbą słowo „POTWÓR”, żeby nikt z przechodniów nie miał wątpliwości, kim jest były właściciel tego przybytku.

Chłopczyk wie. Na roletcie znajduje się obraźliwy napis. Wydarzyło się coś strasznego. Dzięki Bogu jego ojcu udało się z tego wyplątać, całe szczęście, że wyjeżdża teraz z miasta i zostawia za sobą całą przeszłość. Szkoda tylko, że

odjeżdża sam, nie zabiera ani jego, ani mamy. Małemu jest z tego powodu bardzo przykro.

Chłopczyk wyteża umysł, używa całej siły swojej wyobraźni i wreszcie odcina się od rzeczywistości, która jest nie do zniesienia dla tak małego człowieka. Zamyka się w sobie, przestaje dostrzegać otaczające ich osoby, sam przed sobą udaje, że w całym wszechświecie istnieją tylko on i jego tata. Nie trzeba spieszyć się na żaden pociąg, który za chwilę odjedzie.

Usłyszał, że ktoś go przyzywa. Chciał poruszyć głową lub uczynić jakiś gest, ale nie był nawet w stanie zamrużyć. W końcu nadludzkim wysiłkiem udało mu się otworzyć oczy. Z początku ujrzał tylko białą, zamazaną plamę, ale potem...

– Witaj, cudzoziemcze. – Najpierw dostrzegł uśmiech, a potem bladą twarz młodej kobiety, otoczoną burzą loków. Loków w kolorze intensywnej zieleni.

G... Gen... – próbował zawołać Antoine, ale kiedy otworzył usta, zamiast słów wydobyły się z nich bąbelki powietrza. Nie potrafił wykrztusić ani słowa, nie ruszał się i nie oddychał.

– Nie szarp się tak! – Genève przyłożyła mu palec do ust. Nie było sensu nakazywać mu milczenia, przecież i tak był zanurzony w wodzie. – Vladimir postawił tu na straży Noksy, chyba nie chcesz, żeby nas odnaleźli, co?

„Nie, lepiej nie”, pomyślał Antoine, ale nie miał również ochoty utonąć. Kiedy odzyskał czucie w palcach, próbował wspiąć się na brzeg wanny, w której był uwięziony. Niestety, zdołał uwolnić jedynie ramiona, jego głowa została pod wodą, przyciągana jakimś olbrzymim magnesem. Otworzył szeroko oczy, im bardziej brakowało mu tlenu, tym większy odczuwał strach. Wokół wirowały bąbelki powietrza, a Genève, żeby go unieruchomić, weszła do wanny i przykucnęła na jej drugim końcu, przytrzymując Antoine’a za nogi i zaśmiewając się przy tym do rozpuku. „Co cię tak, do cholery, rozbawiło?”

W dłoni Genève pojawił się ręcznie skręcony papieros i niebieska zapalniczka. Nie zwracając zupełnie uwagi na jego żalosne położenie, zaczęła od niechcenia popalać cygaretkę.

– Wiedziałam, że nie powinnam była zostawiać cię samego. Dlaczego mężczyźni zawsze wpadają w tarapaty?

„Zrób coś! Przecież za chwilę utonę!”, powtarzał w myślach wściekły Antoine, na próżno szamocząc się i wierzgając. Jakaś siła przyciągania przygwoździła mu głowę do dna wanny, a zapas powietrza w płucach powoli się kończył.

– Do jasnej cholery, mówiłam ci, żebyś leżał spokojnie! Im bardziej będziesz się rzucał, tym szybciej utoniesz. Co ty myślisz, że mi jest przyjemnie tu siedzieć? – Genève odgoniła się od czegoś ramieniem, ale Antoine nie był w stanie dostrzec,

co to było. – Wiesz co? Tu jest pełno wążek. Pieprzonych wążek. Ja ich po prostu nienawidzę, gdybym mogła, poobcinałabym im wszystkim głowy, jedna po drugiej. Mam to zrobić? Nie.

Antoine rozejrzył się dookoła. Nie było tam ani jednej wążki. „Jesteś nienormalna”, przemknęło mu przez głowę. Genève odgadła jego myśli.

– Ta wanna została wyprodukowana w Wanezji, cudzoziemcze, a więc niczego nie musisz się obawiać, bo naprawdę nie warto. Nic złego się tu nie dzieje, wszystko, czego teraz doświadczasz, jest tylko złudzeniem.

Gdyby Antoine był w stanie cokolwiek jej odpowiedzieć, posłałby ją w jasną cholere. Nie miał zamiaru wysłuchiwać jej paplaniny, podczas kiedy jego organizm desperacko domagał się nowej porcji tlenu.

Zniecierpliwna Genève wstała i zbliżyła twarz do twarzy Antoine’a.

– Czy wiesz Antoine, że ślepy upór jest cechą głupców?

Wydobyła niebieską zapalniczkę. Zapaliła ją i zanurzyła w wannie do samego dna. Ognisty język nie gasł i jak odlane z brązu ostrze przenikał wodę. Genève wymachiwała nim na boki, a przed oczami Antoine’a podrygiwały złote błyski.

– Tu nie ma żadnych wążek – oświadczyła pragmatycznym tonem.

„I nie ma nawet wody”, zreflektował się Antoine i dopiero wtedy zaczął się swobodnie poruszać, a jego głowa uwolniła się od wymagowanego ciężaru. Wreszcie zaczął też normalnie oddychać! Sapiąc i pokaszując, wspiał się na brzeg wanny. Nawet jeśli cała ta sytuacja była tylko złudzeniem, wstrzymywany od dłuższego czasu oddech rozsadzał mu klatkę piersiową tak, jakby wydarzyła się naprawdę.

Genève roześmiała się, widząc, jaki był sfatygowany.

– O co chodzi? Boisz się wody, chłopie?

– Nienawidzę wanien – przyznał Antoine z zażenowaniem.

– Faktycznie, są przerażające.

Antoine nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Jego serce wreszcie odzyskało normalny rytm.

– Dasz radę wstać?

Opowiadacz historii przytaknął i ledwie utrzymując równowagę, stanął na nogi. Włosy i odzienie miał zupełnie suche. Kiedy tylko wyszedł z wanny, spojrzał poządlawie na Genève, nie dbając o to, co sobie pomyśli. Nie mógł uwierzyć, że znowu była blisko.

– Czy ty naprawdę istniejesz? Czy jesteś prawdziwa? – zapytał.

– Nie mniej niż twój własny nos. Jeśli on jest prawdziwy, to ja też.

– Dlaczego wróciłaś?

– Musimy najpierw wyjaśnić pewną sprawę, cudzoziemcze. Nie zrobiłam tego dla ciebie, ale dlatego, że mam w tym własny interes. I ponieważ nie ufam

twojemu instynktowi samozachowawczemu oraz twoim umiejętnościom przetrwania, panie Tomojasprawa.

– Fonte. – Poprawił ją Antoine, a na Genève zrobiło to niemałe wrażenie. – Moje prawdziwe nazwisko brzmi Fonte.

– Dobrze, panie Fonte... – Dziewczyna chwyciła go za rękę. – Czujesz się na siłach, by rozstać się z hrabią Vladimirem, czy może nie chciałbyś go urazić, opuszczając bez uprzedzenia jego gościnne progi?

– Nigdy nie przywiązywałem wagi do zasad dobrego wychowania – odrzekł nonszalancko Antoine.

– A więc wiejmy stąd...

Genève klepnęła go po kumpelsku w plecy, a potem otworzyła na oścież okno. Zamek od krat był wyłamany, pomogła mu wdrapać się na parapet.

– Czy dasz radę, Antoine? Czy to nie jest dla ciebie za wysoko? – spytała z troską w głosie, po czym, nie czekając na odpowiedź, zepchnęła go z wysokości trzech metrów. Wylądował w pobliżu oczka wodnego, a ona już po sekundzie była u jego boku. Wstała na równe nogi i rzuciła się do ucieczki, gnając na oślep, byle dalej od rezydencji tego demona.

Tymczasem nad całym Tirnaïl zapadły nieprzeniknione ciemności. Za ich plecami wznosiła się ponura Willa Geras, a w dole rozciągał się pograżony w mroku kaskadowy ogród.

Obserwując willę z zewnątrz, Antoine ponownie doznał wrażenia, że już kiedyś w niej przebywał, być może w poprzednim życiu albo w innym wymiarze czasu. Stał skołowaciały na wprost drzwi do posiadłości, nad którymi w rozedrganym świetle dwóch pojedynczych pochodni dostrzegł złocony herb, a na nim słońce i półksiężyc.

Genève nie dała mu czasu na zastanowienie, trzeba było ruszać dalej. Pokonywali sieć poplątanych ścieżek, klucząc wśród walących się rzeźb, żywopłotów, ogrodowych altan oraz zarzuconych śmieciami i szmatami trawników. W końcu wybiegli na opadającą po zboczu wzgórza, wysypaną żwirem i przerywaną rampami schodów aleję. W jej głębi dostrzegli wysoki mur ze skały tufowej. Poczuli ogromną ulgę, gdy na jego tle zauważyli kontury bramy.

– Pospiesz się, Antoine!

Antoine obejrzał się za siebie. Wydało mu się, że w pobliżu starej studni, w odległości kilku metrów, usłyszał szelest. Przestraszony, wydłużył krok, ale gdy po chwili po raz kolejny do jego uszu doszło jakieś szuranie, przystanął. Chmury na niebie rozeszły się i w świetle księżyca ujrzał wreszcie, kto deptał mu po piętach. Serce zadrżało mu ze szczęścia. To był Santiago!

– Na pooo-mooo-c, *señor* – wyrzęził starzec.

– Hej! Gen! – Antoine przytrzymał ją za ubranie. – To Santiago, to mój przyjaciel!

– Nie przystawaj! – rozkazała mu Genève i biegła dalej. – Nie jest tak, jak myślisz.

Antoine zignorował jej przestrogi i zatrzymał się, by poczekać na Santiago. Staruszek był blady i z trudem posuwał się naprzód.

– Jak się pan czuje, Santiago? Czy ma pan siły iść dalej?

– Antoine! – wrzasnęła Genève i zawróciła, by pociągnąć go za sobą. – Jest inaczej, niż myślisz!

Antoine w ogóle jej nie słuchał, postanowił, że tym razem nie zostawi Santiago samego. Wyciągnął do niego rękę, ale akurat wtedy niebo ponownie zaszło chmurami, które przysłoniły jasne oblicze księżyca. Kiedy znowu zrobiło się ciemno, ręka Antoine'a trafiła na pustkę – dłoń Santiago rozplynęła się, a w miejscu, gdzie parę sekund wcześniej stał człowiek, pozostał jedynie jego cień.

Wystarczył ten jeden moment, by Antoine znowu o wszystkim zapomniał, stracił Genève i poczucie własnej tożsamości. Z wolna wypełniał go ból i cierpienie. Wracał do Nechnabel. Czuł już lodowate wyziewy szarych i zimnych budynków, powietrze nasycone wydychaną przez jego mieszkańców rozpaczą. Noc i mgła powoli penetrowały mu ciało, przenikały do żył, pod paznokcie, pod powieki i do płuc. Nechnabel było tuż, tuż, zżerało go od środka.

Błagam cię, tylko nie to... – pomyślał. Nagły uścisk palców Genève pomógł mu odzyskać równowagę. Z całych sił skoncentrował się na zapachu jej skóry i dzięki niej po raz kolejny przegonił dopadające go poczucie beznadziei.

– Dla niego jest już za późno – wyszeptwała Genève, unosząc go ze sobą. – Pozwól mu odejść.

Znowu zaczęli zbiegać w dół, a Noks – bo po prawdziwym Santiago nic już nie pozostało – prześlizgując się w mroku, podążał ich śladem. Znajdował się dosłownie na wyciągnięcie ręki, choć w rzeczywistości nie było tam nic oprócz ciemności. Z trudem łapiąc powietrze i uginając się na nogach, dotarli do murów otaczających Willę Geras. Gen spojrzała w kierunku bramy i spoważniała.

– Musimy uciekać!

– Co się stało?

– Byliśmy tu umówieni. Szlag by to wszystko trafił! Gdzie on się podział?

– Ale kto?

– Nie wiem, nie pamiętam, jak było mu na imię, ale jestem pewna, że miał tu na nas czekać! – Genève potrząsnęła głową – I jak my się teraz stąd wydostaniemy?

– Żarty sobie stroisz? Przecież ja nie mam pojęcia, gdzie my w ogóle jesteśmy! – zawył Antoine, patrząc z wściekłością na bramę.

A już mu się wydawało, że byli o krok od wolności! Spróbował sforsować przeszkodę. Z całej siły uderzał o wrota ramieniem, ale poczuł jedynie przesywający ból, a brama nawet nie drgnęła.

– Mam scyzoryk, może uda się wyważyć zamek! Potrzebne mi światło!

Genève zapaliła zapalniczkę, a w podrygującym świetle płomienia ujrzeli nagle bezbarwny uśmiech Santiago. Antoine i Genève nie mieli już siły uciekać. Zignorowali również ponure odgłosy dochodzące zza bramy parku. Stary Santiago zachichotał, jednak już zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy był jeszcze człowiekiem, i zdmuchnął płomień.

Zgasł cały świat i Antoine został zupełnie sam, dookoła znowu otaczało go Nechnabel. Przymknął oczy i pomyślał, że wolałby raczej umrzeć, niż gnić w tej otchłani. Przygnębiony, nie zauważył, że brama w końcu się otworzyła i czyjaś dłoń zabrała go stamtąd, zanim jeszcze Santiago zdołał powlec go za sobą w głąb ciemności. Opuściło go również poczucie grozy i zagubienia.

[31] Potoczna nazwa Corso Umberto I, jednej z głównych ulic Neapolu – przyp. tłum.

Królestwo Rzeczy Znalezionych

– Czy mogę wiedzieć, gdzie ty się podziewałeś, wścachu?

Antoine otworzył szeroko oczy i wciągnął głęboko powietrze. Ujrzał przed sobą zabawne wąsy Edgara, całe to jego zabawne mieszkanie i niedorzeczne, niezamalowane płótna. Była tam również Genève, która zawzięcie się o coś z malarzem kłóciła.

– Niewiele brakowało, a by nas tu teraz nie było. Zabrały nas z powrotem do Nechnabel i już!

– Bzdury! Opowiada panienka jakieś bzdety! Stawiłem się w umówionym miejscu i o ustalonej godzinie, zgodnie z wcześniejszymi uzgodnieniami!

– Jak to... To wy się znacie?

Antoine był półprzytomny, pragnął jedynie chwili wytchnienia. Poruszał się już tylko siłą bezwładu. W tym momencie Edgar w końcu sobie o nim przypomniał i serdecznie go uściskał.

– Panie Tomojasprawa, jestem taki szczęśliwy, że widzę pana całego i zdrowego! Witam pana najgoręcej! Wie pani, on jest jedyną nadzieją dla mojej twórczości! Proszę, niech pan podejdzie bliżej, chciałbym coś panu pokazać.

I nie zwracając uwagi na jego stan wyczerpania, z wyprężoną pierśią poprowadził Antoine'a w kierunku zawieszzonego na oknie płótna. Obraz ten nareszcie różnił się od pozostałych. Na śnieżnobiałym tle królowały dwie zielone kropki otoczone zielonymi kółkami.

– Od lat nie namalowałem nic tak wyrafinowanego. Od dnia, w którym pana poznałem, Antoine, wszystko się w moim życiu zmieniło. Poczulem przypływ natchnienia! Proszę mi jednak szczerze powiedzieć... Wiem, że jest pan prostolinijnym człowiekiem... Co pan myśli o tym obrazie?

– To coś wygląda jak cycki mojej babci. – Odpowiedź Antoine'a wyprzedził głos Genève.

Wąsy Edgara, które żyły własnym życiem, nastroszyły się i wyprężyły jak anteny satelitarne, urażone i zaskoczone odzywką Genève. Ton malarza pozostał jednak niezmienny, chłodny i dyplomatyczny, jak przystało na człowieka z klasą.

– Nie przyjmuję krytyki od osób nieznających się na sztuce!

– Ale twoje płótna są puste!

– Przepraszam bardzo. – Antoine próbował zapobiec kolejnej sprzeczce. –

Czy możecie mi wyjaśnić, co tu się dzieje? Jak to możliwe, że wy się znacie?

Edgar i Genève spojrzeli po sobie, niepewni, które z nich powinno udzielić odpowiedzi. W końcu pierwsza przemówiła Genève.

– Po tym, jak rozstaliśmy się w ogrodzie po Aukcji Złudzeń, zawróciłam, by poszukać nowej księgi kontraktowej, w której zapisano twoje nazwisko, ale wszyscy zdążyli już uciec i zabrali ze sobą księgę. Prawdopodobnie do archiwum w Wanezji. Odnalezienie budynku archiwum okazało się jednak niemożliwe, ponieważ zmienia on położenie z wybiciem każdej kolejnej godziny! Kiedy wróciłam do ogrodu, ciebie już tam nie było, ale natrafiłam na tego oto wścicza, przeszukującego wszystkie krzaki. Wyglądał jak pies węszący za truflami.

– Zaczęliśmy rozmawiać... – wtrącił Edgar. – I doszliśmy do wniosku, że szukamy tej samej osoby, a mianowicie pana, panie Tomojasprawa. Podejrzewaliśmy, że porwały pana Cienie i powlokły do Nechnabel. Obawialiśmy się, że już nigdy więcej pana nie zobaczymy...

– Ale potem ja poczułam twoją obecność – dorwała się znowu do głosu Genève.

– Poczulaś moją obecność? Co to właściwie znaczy?

– Kupiłeś mnie, Antoine, jakbym była złudzeniem. Jak się już raz wejdzie w czyjeś posiadanie, to się go później tak łatwo nie pozbędzie. Dokładnie wiedziałam, gdzie cię szukać. I to wcale nie w Nechnabel, jak się okazało. Wkrótce po tym, jak stamtąd uciekłeś, domyśliłam się, gdzie możesz przebywać. Czułam, że jesteś na tym świecie, tak jakbym słyszała twój głos wołający z odległej części domu... Musiałam tylko się przybliżyć, przebiec kilka pokoi, aby prędzej czy później na ciebie trafić. Poczulałam, że wróciłeś do Wanezji, a w dodatku na ulicy spotkałam tego wścicza, który udawał, że maluje jakiś portret...

– Panienko! Mam na imię Edgar i jestem malarzem z krwi i kości, nawet jeśli nigdy niczego nie maluję. Czynię to z wyboru.

– Pewnie, a jakżeby inaczej! – Genève wzniosła oczy ku niebu. – Kiedy zorientowaliśmy się, że stałeś się więźniem hrabiego, przygotowaliśmy plan oswobodzenia. I tym właśnie sposobem jesteś teraz z nami.

Antoine milczał przez okrągłą minutę, aż w końcu pomyślał, że nie pozostawało mu nic innego, jak tylko zadać Edgarowi jedno jedyne pytanie.

– Masz mleko?

Niestety, malarz nie miał. Nappełnił za to trzy miseczki dymiącą zupą grzybową z dodatkiem werbeny, a Antoine wychłęptał ją łapczywie, nie zwracając uwagi na cytrynowy posmak. Edgar i Genève nie przestawali mu się przyglądać, a on starał się nie zwracać na nich uwagi.

– No, więc jak tam jest? – spytała Genève, jak tylko odstawił miskę.

– Tam, to znaczy gdzie? – Antoine pochwycił kawałek chleba i połykał go zachłannie, rozrywając na kawałki.

– W Nechnabel! Czy ono naprawdę istnieje?
– A dlaczego by nie?
– Nie wiem. Wszyscy o nim mówią, ale nikt nie wie dokładnie, gdzie ono się znajduje!

– To i lepiej, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że kiedykolwiek do niego trafią! – odparł oschle Antoine, z nadzieją, że rozmowa o mieście nocy i mgły na tym się zakończy. Wspomnienie spędzonych tam dni i biednego Santiago sprawiało mu zbyt wiele bólu.

Genève rozchyliła usta, by zadać kolejne pytanie, ale Edgar zgromił ją spojrzeniem.

– Wkrótce hrabia przeczesa całe Tirnaïl, panie Tomojasprawa. Za wszelką cenę będzie próbował pana odnaleźć.

– Niech robi, co mu się podoba. Ode mnie i tak niczego się nie dowie – odparł Antoine i się zadumał. – Nawet nie wiem, czego ode mnie chce. Nie mam pojęcia, kim on jest.

– To najbardziej obrzydliwa istota, z jaką kiedykolwiek mógłbyś wypić herbatę – odparła zasadniczo Genève.

– Prawdę powiedziawszy, wypilem mleko, z dodatkiem jakiegoś środka nasennego. Bardzo ryzykowne połączenie.

– I tak miałeś dużo szczęścia. Vladimir to najokrutniejsza kreatura w całym Tirnaïl – oświadczyła Genève opanowanym tonem, zapalając jednocześnie papierosa. – Potrafi wyssać człowieka do szpiku kości, pozbawić wszystkiego, co posiada i co stanowi o jego tożsamości.

– Gdy swego czasu spotkałem go po raz pierwszy, cieszył się w Tirnaïl sławą człowieka zamożnego i wpływowego – powiedział Edgar. – Nie miałem pojęcia, że jest aż takim łotrem.

– Vladimir mieszka w Willi Geras, na wzgórzu w dzielnicy Monte Echo, najbardziej elitarnej części Wanezji. Bywa na przyjęciach, utrzymuje stosunki z całą śmietanką towarzyską Tirnaïl, wspiera finansowo różne beznadziejne przypadki, jak przystoi na człowieka jego pokroju. Ale to wszystko i tylko pozory, sztuczna fasada, przykrywka dla jego bezeceństw. Udaje nawet sam przed sobą. W gruncie rzeczy jest potworem.

– Cóż takiego uczynił? – spytał Antoine, w którym hrabia Vladimir wzbudzał nienaturalną ciekawość.

– Powiadają, że zamordował troje dzieci i przybył do Tirnaïl w poszukiwaniu swojej utraconej niewinności.

Wibrujące wąsy Edgara znieruchomiały, a Antoine nie miał odwagi się poruszyć. Wspomnienie trójki dzieci, przed którymi uciekał hrabia, przyprawiło go o skręt kiszek.

– Oczywiście jej nie odnalazł i dlatego teraz żeruje na niewinności innych

ludzi.

Antoine i Edgar siedzieli w milczeniu. Sparaliżowani ze strachu, obserwowali Genève.

– Hrabia Vladimir przybył do Tirnaïl wiele lat temu. Nie wiadomo dokładnie kiedy, ponieważ wcześniej był nikim i nikt go nie znał. Był zwykłym nieudacznikiem, ofiarą losu jak każdy, kto przekracza progi zaginionych drzwi. Potem, któregoś dnia, jakieś piętnaście lat temu, w Tirnaïl zaczęły znikać dzieci. Najpierw w bardziej oddalonych miejscowościach, położonych na północy kraju, na przełęczach wypełnionych echem Niewypowiedzianych Słów. Dzieci, które przybywają do Tirnaïl, są zazwyczaj niczyje, nie mają rodziców ani nikogo, kto mógłby się nimi zaopiekować. Dlatego trochę to potrwało, zanim ludzie zorientowali się, że działo się coś niedobrego. Ale ziemia bez dzieci jest nieurodzajna. Samo Tirnaïl zorientowało się, że znikają, zanim jeszcze prawda ta dotarła do jego mieszkańców. Całe państwo królestwa zaczęły jałowieć i wysychać. Po dzieciach przyszła kolej na pozostałych obywateli... Kobiety, starców, młodzież, a potem na mężczyzn w sile wieku. Trwało to przez całe piętnaście lat. Hrabia Vladimir konsekwentnie umacniał swoją pozycję najbardziej wpływowego człowieka w Tirnaïl, a setki osób przepadały bez wieści, rozplywały się w nicości. Mówią, że pochłonęły je mroki i że w Tirnaïl śmierć nie jawi się pod postacią odzianej w płachtę i pobrząkującej kosą kostuchy, ale w formie zagarniających wszystko ciemności.

– To Noksy... – wyszeptał Antoine, szcękając zębami na samo wspomnienie lodowatego chłodu, który przeszywał go za każdym razem, kiedy znalazł się w pobliżu jednego z nich.

– Noksy to Noksy. To nie śmierć.

– A co ma z nimi wspólnego hrabia?

– Hrabia, Antoine, jest ojcem i panem wszystkich Noksów. – Genève uczyniła krótką pauzę i zdmuchnęła popiół, który opadł z papierosa na stół. – Hrabia Vladimir wypłynął w tym samym czasie, w którym zaczęły znikać dzieci; wodził rej wśród miejscowej arystokracji. Przeniósł się do wielkiej rezydencji, Willi Geras, i obnosił się odnalezionymi w Tirnaïl utraconymi szlacheckimi tytułami. Jest poważany w najbardziej ekskluzywnych kręgach, ale ja dużo podróżuję po prowincji i w Tirnaïl ludzie zaczynają szemrać... Chodzą słuchy, że to Noksy porywają zaginione osoby do miasta nocy i mgły, gdzie ci biedacy dogorywają potem przez całe lata. Vladimir powoli ich wykańcza, wysysa z nich ostatnie resztki nadziei i doprowadza do rozpacz.

– Ale dlaczego pije ich krew?

– Tu, w Tirnaïl, krew mówi wiele o człowieku, opowiada o jego przeszłości i przepowiada przyszłość. Zawiera również to, co w człowieku najlepsze: czystość serca i intencji. Im człowiek bardziej niewinny, tym słodsza jest jego krew. Kiedy

hrabia wysysa posokę swoich więźniów, kradnie im ich niewinność. A w człowieku pozbawionym niewinności i nadziei pozostaje samo zło i wtedy ci zdesperowani ludzie przemieniają się w Noksy.

– Ofiary stają się katami – skomentował Edgar beznamytnie.

– Czy to samo stało się z Santiago? – spytał Antoine.

– To dotyczy wszystkich więźniów Nechnabel. – Genève zgasiła papierosa i obserwowała smużkę dymu unoszącą się znad niedopałka, jakby patrzyła na człowieka wydającego ostatnie tchnienie.

Antoine zastanawiał się nad losem biednego Santiago i nad hrabią, wpijającym mu w szyję kły i wysysającym z niego niewinność, przemieniającym go w kolejnego pozbawionego duszy żołdaka, mającego zasilić oddział Noksów. Rozmyślał o trójce zamordowanych dzieci, o trzech Karaluchach, które jak wszystkie dzieci świata bały się ciemności.

Opowiadacz historii poczuł, jak wzbiera w nim nienawiść. Było to nieznanne mu do tej pory uczucie. Przyszło mu do głowy, że mógłby nawet zabić tego zwyrodnialca. Na tę myśl zrobiło mu się jednak nieswojo i żeby ją od siebie odsunąć, próbował skoncentrować się na czymś innym.

– Mi jednak udało się uciec z Nechnabel – wymamrotał pod nosem.

Genève popatrzyła na niego zaskoczona – tak samo zresztą, jak i on sam – że mu się powiodło.

– Czasem komuś udaje się stamtąd wydostać, w przeciwnym razie nikt nigdy nie dowiedziałby się, jak tam jest. Być może powód twojej nadziei był silniejszy od pozostałych.

„Moją nadzieją byłaś ty”, miał ochotę wyznać jej na poczekaniu, ale tego nie zrobił.

– I nikt nie ma pojęcia, gdzie znajduje się Nechnabel?

Genève wzruszyła ramionami. Ona też nie wiedziała. Nikt nie wiedział.

Teraz wszyscy troje siedzieli w milczeniu. Opowiadacz historii pochylił głowę, ścisnęło go w piersiach. Ciągle nie rozumiał, dlaczego hrabia szukał u niego pomocy i dlaczego z uporem powtarzał, że są współnikami i że spotkali się w Tirnaïl piętnaście lat wcześniej. Teraz przypomniał sobie również ten mosiężny szyld, który nie wiadomo skąd się tam pojawił... „Conte & Fonte. Spółka Artystyczna”... Co on miał z tym wspólnego? Kim był ten mężczyzna z synkiem, który pojawiał się w jego wspomnieniach?

– Co mu odpowiedziałeś? – zapytała Genève, czytając w jego w myślach.

– Prawdę, że nic nie pamiętam.

– A więc wie, że będziesz próbował dotrzeć do Mnemozji. – Genève postukała kilkakrotnie obgryzionymi paznokciami o blat stołu.

– To tam musi pan dotrzeć, Antoine, do Mnemozji – wtrącił się do rozmowy Edgar. – Proszę zabrać ze sobą moje klucze. Mam ich dwieście trzysta sztuk.

Żaden z nich nie otwiera drzwi prowadzących bezpośrednio do Mnemozji, ale z pewnością znacznie ułatwią one panu podróż, dzięki nim będzie się pan poruszał szybciej i wygodniej.

– Klucze są bezużyteczne – zawyrokowała Genève. – Tu nie istnieją granice. Nie ma drzwi dalekich i bliskich, wszystkie są takie same. To Tirnaïl decyduje, dokąd możesz dotrzeć... i czy odnajdziesz to, czego szukasz. Ta przekłeta kraina oczekuje od ciebie jedynie tego, żebyś się zgubił. To bardzo skomplikowane.

Antoine był jej w duchu wdzięczny, że nie użyła słowa „niemożliwe”, nawet jeśli w jego sytuacji wydawało się ono bardziej odpowiednie.

– Jak działają te klucze? – próbował dowiedzieć się Antoine.

– No więc tak. Drzwi nie znajdują się w Tirnaïl, ale klucze tak. I każdy klucz może otworzyć tylko jedne drzwi. I każde drzwi mogą być otwarte tylko przez jeden klucz, panie Tomojasprawa. – Edgar utkwiał w nim spojrzenie wąskich jak szparki oczu i otrzepał sobie wąsy. – Kiedy zgubi się jeden klucz, zagubieniu ulegają również drzwi, i w ten sposób zarówno zagubiony klucz, jak i zaginione drzwi lądują w Tirnaïl. Ja jestem właścicielem dwustu trzynastu drzwi, ponieważ posiadam dwieście trzynaście zagubionych kluczy. Czy teraz pan rozumie?

Antoine przytaknął. W świecie na opak, takim jak ten, miało to swój sens. Skontrolował więc, ile pozostało mu jeszcze czasu, który w Tirnaïl mijał bezlitośnie szybko, tak samo jak w każdym innym zakątku wszechświata. Prawie połowa tarczy zegarka była już zupełnie pusta, jeszcze bielsza niż płótna Edgara. Uniósł głowę i dostrzegł pęk kluczy, który malarz wielkodusznie mu przekazywał.

– To jest nie tylko Królestwo Rzeczy Utraconych, ale także Królestwo Rzeczy Znalezionych – wyszeptał Edgar. Wbił wzrok w jedyne w tym pomieszczeniu drzwi, ale zdawało się, że spogląda o wiele dalej. – Wszyscy kiedyś gubią się w życiu, ale Tirnaïl istnieje właśnie po to, aby mogli się odnaleźć. Jedynym sposobem na odnalezienie czegoś, co się utraciło, panie Tomojasprawa, jest rozpoczęcie poszukiwań. Czy zgodzi się pan ze mną?

– Nie! – Antoine pokręcił głową. – Nazywam się Fonte, Edgar.

Wąsy Edgara zawibrowały, prawdopodobnie próbował ukryć uśmiech, a pan Fonte zadumał się nad wszystkim, co mu się do tej pory przytrafiło. Myślał o Wanezji, o Kryształowej Nocy, o Santiago i o hrabim Vladimirze, o miejscu swojego pochodzenia. O Genève – utraconej kiedyś kobiecie, siedzącej teraz u jego boku. Tak wiele się wydarzyło, ale on do tej pory potrafił jedynie uciekać. Nawet nie zaczął jeszcze szukać Mnemozji. Zmarnował aż połowę podarowanego mu czasu. Upijał się, użalał nad sobą i trząsał ze strachu portkami, zamiast zacząć działać.

Co by nie powiedzieć, odzyskał jednak swoje nazwisko i pamięć niektórych zdarzeń, a więc w gruncie rzeczy nie było tak źle. Może, gdyby miał odwagę pójść dalej, na powierzchnię wypłynęłyby również inne wspomnienia i pan Fonte

odzyskałby nie tylko swoje nazwisko, ale i swoje własne życie, a wtedy Tirnaïl wreszcie by go wypuściło. Edgar ma rację. „Nie ma innego sposobu”, pomyślał i oświadczył:

– Dobrze, udam się więc do Mnemozji.

Wyciągnął dłoń, by pochwycić pęk kluczy, ale Genève była od niego szybsza.

– Udamy się! Nie mam zamiaru ryzykować życia tylko dlatego, że ty nie potrafisz się sam sobą zająć. W Wanezji zostawiłam cię na zaledwie dziesięć minut, a ty w tym czasie pozwoliłeś porwać się Noksom, wtrącić do więzienia pełnego nocy i mgły, i niewiele brakowało, a wampir-dzieciobójca wyssałby z ciebie krew!

– Robisz ze mnie ostatniego niezgułę.

– Wyruszam z wami. – Edgar podniósł się dumnie jak bohater, ale uderzył głową o żyrandol zawieszony niebezpiecznie nisko. – Jestem przekonany, że nie trafił pan do mnie przypadkiem. Z czasem dowiemy się, dlaczego tak się stało. Zaręczam panu, że wszystko znajduje się na wyciągnięcie ręki, wystarczy chwycić to, co do niej wpadnie.

Zaskoczony Antoine wbił w nich spojrzenie. Nie wierzył we własne szczęście i nie wiedział, jak im dziękować. Genève miała rację, nie poradziłby sobie bez nich w tej dziwnej krainie czarów, w całym tym delirycznym Tirnaïl nie przeżyłby sam nawet jednego dnia.

Skierował się w stronę jedynych w mieszkaniu Edgara drzwi i spojrzał na pęk kluczy. Przesuwał palcami po żelaznym kółku, zastanawiając się, który z nich wybrać, aż w końcu postanowił zdać się na los. To i tak Tirnaïl decydowało, dokąd go tym razem poprowadzić. Umieścił w zamku wybrany przypadkowo egzemplarz. Przez ułamek sekundy miał nadzieję, że te drzwi poprowadzą go wprost do Mnemozji, ale trwało to na tyle krótko, że nie był pewien, czy ta myśl w ogóle pojawiła się w jego umyśle.

Klucz się obrócił, drzwi się otworzyły i Antoine wstrzymał oddech.

– Czy czasem zdarza się również coś, czego oczekujesz? – Promiennie uśmiechnięty Edgar wyprzedził go w drzwiach.

– Czy istnieje coś, co zdarza się jeszcze rzadziej niż nigdy, Antoine?

Zaciekawiona Genève w mgnieniu oka stanęła u ich boku.

– Owszem, istnieje w Tirnaïl.

Antoine zamknął za sobą drzwi i wyszedł z budki telefonicznej, w której nieoczekiwanie się znaleźli. Budki zawieszanej w pustce, na szczycie stromej góry. W dole, w wodach płynącej kilkaset metrów pod nimi i wijącej się wzdłuż zakoli przepastnego kanionu rzeki odbijało się migoczące, wieczorne niebo. Nie było tu drzew ani zabudowań, zdawało się również, że ludzie i zwierzęta zostali na zawsze wygnani z tej dziewiczej krainy. Antoine stał urzeczony rozciągającym się przed

nim widokiem raj. Twarz muskał mu łagodny wiatr, który przeganiał myśli i porywał słowa. Nagle w pobliżu dostrzegł element ludzkiej cywilizacji. Zdawało się, że stał tam od zawsze, od początku świata.

– Samochód? – Antoine z niedowierzaniem obchodził dookoła połyskującego w blasku księżyca, sympatycznego fiata pandę w kolorze mięty, rocznik 1980. Wzruszył ramionami. W stacyjce był kluczyk.

Przyglądał się też z niedowierzaniem jezdni, która wyrosła nieoczekiwanie pod ich stopami i ciągnęła się wśród skalistej pustyni daleko, aż po horyzont, po czym znikwała, zlewając się w jedno z niebem.

Genève ruszyła niedbałym krokiem w kierunku samochodu, otworzyła drzwi i, rozsiadłszy się wygodnie na siedzeniu, natychmiast zapaliła papierosa. Zaczęła coś grzebać przy desce rozdzielczej.

Edgar zawrócił jeszcze do budki.

– Wskoczę do domu i zabiorę nam coś na drogę. Powinienem mieć tam jakiś namiot... i śpiwór! I może kilka kanistrów benzyny!

Antoine nie był zaskoczony, jedyną rzeczą, której brakowało w domu Edgara, był chyba tylko dom w rzeczy samej. Zajął miejsce kierowcy, położył ręce na kierownicy i poklepał ją kilkakrotnie, witając się z autem jak ze starym druhem.

– Czy Tirnaïl oczekuje, abyśmy podążyli tą drogą? – zwrócił się z pytaniem do Genève.

– Nie. Chce, żebyś przeprowadził tu roboty drogowe.

Antoine po raz kolejny pomyślał, że musiała mieć go za głąba. Od tej chwili postanowił, że dołoży starań, by lepiej wypaść.

– Wiesz... – zwrócił się do niej. – Przypomniałem sobie coś na twój temat. Miałem taki przebłysk.

Genève nawet się nie odwróciła. Wpatrywała się w nieboskłon, obserwowała gwiazdy i galaktyki, które na tle pustej przestrzeni wydawały się jeszcze jaśniejsze i wyraźniejsze niż zwykle. Tu można było naprawdę poczuć się częścią wszechświata.

– Byliśmy bardzo młodzi i spotkaliśmy się na jakimś ludowym festynie, na nabrzeżu rzeki, o ile sobie dobrze przypominam. Ty grałaś na anielskich organach i przegadaliśmy całą noc.

– A jaka ja wtedy byłam?

– Inna.

– Ale w jakim sensie?

„Na korzyść”, pomyślał Antoine, ale nie chciał jej urazić. I nie miał też zamiaru ryzykować życia.

– Tego na przykład wtedy nie miałaś – powiedział, wskazując na tatuaż na jej lewej dłoni. – A twoje włosy nie były zielone, tylko miedzianorude. Jesteś Francuzką, straciłaś oboje rodziców w wypadku samochodowym, ale mimo tych

doświadczeń udało ci się odnaleźć własną drogę i pogodę ducha. Podróżowałaś po całym świecie, utrzymując się z gry na harfie szklanej.

– Ha! Niezła byłam! – Genève zareagowała krótkim śmiechem, ale nic więcej nie dopowiedziała. Blask księżyca oświetlał jej profil, wykrzywione w grymasie usta i oczy kryjące jakiś cień goryczy.

Wreszcie Edgar powrócił z całą górami mniej lub bardziej użytecznych przedmiotów i załadowali samochód, który aż ugiął się pod ciężarem rupieci. Kiedy Antoine usłyszał warkot silnika, opuściły go emocje. Nie czuł bólu ani cierpienia, po prostu nie czuł już nic. Uśmiechnął się pod nosem, gdzieś tam istniała Mnemozja, ale teraz ważna była tylko ta chwila i wijąca się przed nim szeroka droga.

Grillost

Przez wiele długich dni i nocy pędzili przed siebie, przemierzając rozległe przestrzenie o urzekającym krajobrazie. Zdawało się, że poruszali się śladami dawnych pionierów z Dzikiego Zachodu. Przed nimi rozpościerały się kalifornijskie pustynie i czerwone jak ziemia na Marsie przepastne urwiste kaniony. Czasem nieoczekiwanie wzdłuż drogi wyrastały krwistordzawe, spłonione skupiska skał – przypominały wystające z ziemi igły, a potem przez długie kilometry ciągnęła się jedynie ziejąca pustka.

Prowadzili na zmianę, zmieniając się co cztery godziny, przystawali dopiero wtedy, gdy słońce znikало za horyzontem. Noce były chłodne, szukali więc miejsc osłoniętych od wiatru, gdzie rozbijali namiot i rozniecali ogień. Edgar zabrał ze sobą niewyobrażalne ilości konserw, grochu, fasoli, zupkę w paczce, suszonego mięsa i gotowych do podgrzania makaronów. Posiłki spożywali w ciszy i również potem zachowywali milczenie, tak aby każdy mógł pobyć tylko ze sobą i zająć się własnymi sprawami. Edgar – oczekiwaniem na pojawienie się natchnienia, Genève – wertowaniem książki kontraktowej, a Antoine – przypominaniem sobie własnej przeszłości. Szukał jej wszędzie. Wypatrywał w ruchu gwiazd, w tropach kojotów, w roztańczonych płomieniach ogniska i w rysunkach wyżłobionych na skałach przez wiatr. Odnalezione tam historie natychmiast opowiadał swoim towarzyszom podróży, dopytując niecierpliwie, czy wydawały im się prawdopodobne. Odpowiadali, że tak, ale żadna nie mówiła o nim. W ciągu dnia dziesiątki razy przystawali na papierosa, ponieważ trudno było pogodzić uzależnienie od nikotyny Genève z nietolerancją na dym Edgara.

Siedzący na tylnym siedzeniu malarz próbował zaznaczać coś ołówkiem na wymiętoszonej mapie.

– Czy możesz mi wyjawić, do czego, do cholery, potrzebna ci mapa pośrodku tego pustkowia? – spytała go w pewnym momencie Genève, która miała już serdecznie dosyć tej niekończącej się, nużącej podróży.

– Liczę tylko rozdroża i zakręty, które mijamy.

– Przecież do tej pory jechaliśmy cały czas prosto!

– Do tej pory, panienko, do tej pory!

Gen strzeliła balonem z gumy do zucia i poruszyła się na fotelu.

– Mam już płaski tyłek od tego siedzenia, chce mi się zapalić papierosa,

Antoine.

– Przecież paliłaś niecałe pół godziny temu.

– Okej, wobec tego chce mi się siku.

Antoine raptownie zahamował. Jeszcze przed wyjściem z samochodu Gen zapaliła papierosa. Edgar miał już tego dość, wyrwał jej z rąk zapalniczkę i wyrzucił za siebie, do załadowanego po brzegi bagażnika.

Kobieta aż zatrzęsła się ze złości.

– To moja jedyna zapalniczka. Natychmiast mi ją znajdź i oddaj!

– Odpowiem panience z taką samą gracją, z jaką panienka zwróciła się do mnie: ani mi się śni!

Genève posłała mu nienawistne spojrzenie i poszła sobie.

– Panie Fonte, mam nadzieję, że jest pan świadom, że przez tę dziewczynę marnujemy jedynie cenny czas – wycedził Edgar, spoglądając mu przez ramię.

– To mój czas, Edgar.

– No to niech się pan o niego trochę bardziej zatroszczy! Przez tę kobietę stracił już pan nazwisko, czy nie dociera do pana, że ona kradnie również pańskie godziny? Jak można mieć do niej zaufanie?

– Gdyby nie ona, byłbym jeszcze więźniem hrabiego! A poza tym to ja kupiłem ją na tej aukcji.

– Na Aukcji Złudzeń, panie Antoine. Złudzeń!

– Nie mam ochoty tego dłużej słuchać! – Antoine przerwał mu szorstko i wysiadł z samochodu, trzaskając za sobą drzwiami.

Dostrzegł, że Genève weszła na jakiś skalisty pagórek. Z trudem wspiął się, by ją stamtąd sprowadzić, a w ciągu trwającego pięć minut zejścia przewrócił się więcej razy, aniżeli wypadałoby w ciągu całego życia. Na szczęście Genève w ogóle nie zwracała na niego uwagi. Cały czas wpatrywała się w coś na horyzoncie.

– Dlaczego nie powiesz Edgarowi, żeby zaznaczył to na mapie?

W spalonej słońcem dolince majaczył przed nimi jak fatamorgana dystrybutor benzyny. W jego pobliżu stał niski kwadratowy budynek w wyblakłym od słońca kolorze kanarkowym, z wielkimi przeszklonymi oknami i tylko częściowo świecącym neonem: „Zajazd Grillost. Najlepsza gospoda w zasięgu wzroku”.

– Wydaje mi się to oczywiste, skoro tu żadnego innego nie ma – skomentowała kąśliwie Genève. – Wsiadajmy do samochodu i zatankujmy tam w dole – dodała, wskazując dłonią na przylegający do lokalu parking, na którym stało już około dziesięciu mocno sfatygowanych samochodów osobowych oraz dwie ciężarówki. Jedna do transportu koni, a druga – materacy wodnych.

– Gen, nie możemy już tracić więcej czasu, mój zegarek jest w połowie pusty i wkrótce znikną z niego wszystkie pozostałe cyfry. Mamy wystarczające zapasy

wody i żywności, jeśli teraz jeszcze się tu zatrzymamy...

– A niech cię, Antoine! – Genève szarpnęła go za koszulkę. – Znam Tirnaïl, od lat poruszam się po jego drogach i wiem, że nic nie dzieje się tu bez przyczyny. Widzisz ten zajazd tam w dole? A więc to nie jest żaden zajazd, jasne?

Antoine na chwilę stracił rezon. Nie wiedział, czy mógł jej zaufać, czy też nie. Nie istniały jednak rozwiązania połowiczne.

– Idę po Edgara – odparł w końcu.

Niełatwo było mu przekonać malarza. Dopiero kiedy Antoine zasugerował, że skoro przebywają w Królestwie Rzeczy Utraconych, prawdopodobnie nie jest to zwykły zajazd, ale przystanek niezbędny na drodze do Mnemozji, Edgar zgodził się im towarzyszyć. Z ciężkim sercem, ale się zgodził.

– Nie potrzeba nam niczego poza benzyną – oświadczył z naciskiem.

W zajeździe Grillost przebywało około dziesięciu podróżujących, stłoczonych w salce o ścianach w kolorze oliwkowym, z której rozchodził się zapach kawy i jajecznicy na boczku. W jednym z narożników pomieszczenia siedziała elegancka kobieta i w samotności popijała absynt. Przy bufecie stało dwóch brzuchatych kierowców ciężarówek, posilających się kielbasą i piwem. Dwie inne kobiety przeglądały mapę, przekaszając skrzydełka z kurczaka, panierowane w popcornie i pływające w sosie z *jalapeño*[32].

Na ścianie w pobliżu drzwi wejściowych wisiało około tuzina wymiętych arkuszy papieru, przypominających listy gończe z Dzikiego Zachodu. Po dokładniejszych oględzinach okazywało się, że nie przedstawiały one przestępców, ale osoby zaginione. Wszyscy oni byli więźniami Nechnabel. Ku swemu zaskoczeniu, Antoine ujrzał twarze większości kobiet i mężczyzn, których spotkał, gdy sam wegetował w tej otchłani. Już na samo wspomnienie miasta nocy i mgły ścisnęło go w żołądku.

– To właśnie ich miałam na myśli. – Genève stanęła u jego boku i razem z nim przyglądała się twarzom nieszczęśników. – Osoby poszukiwane, porwane przez Noksy. Czasem komuś udaje się kogoś rozpoznać.

– Nadal nie mogę zrozumieć, dlaczego ktoś po prostu nie wyruszy na ich poszukiwanie. Gdzie znajduje się to Nechnabel?

– Nie wiem, nikt tego nie wie, Antoine. I nikomu nie zależy na tych pocziwcach.

– Dalsze przebywanie tutaj jest niewybaczną stratą czasu. – Dołączył do nich Edgar, marudząc pod nosem. – Nie mamy przy sobie ani grosza.

– My nie – odpowiedziała Genève. – Ale oni tak.

Dziewczyna zbliżyła się do baru, gdzie pewien starszy pan regulował rachunek za siebie i towarzyszącego mu młodego człowieka, prawdopodobnie jego syna. Kiedy tylko włożył portfel do kieszeni, Genève celowo się z nim zderzyła.

– Och, przepraszam pana – wybełkotała z niewinną miną.

Mężczyzna nie zwrócił na nią uwagi i pożegnał właścicieli zajazdu z uśmiechem, który roztopiłby nawet bryłę lodu.

– Dziękuję Herb! Dziękuję Marto! Do zobaczenia w następną równonoc! Mężczyzna nałożył na głowę beret, uklonił się staroświecko i wraz z domniemanym synem skierował się w stronę drzwi restauracji. Kiedy ich mijali, Antoine zauważył, że na zegarkach obu mężczyzn pozostało jeszcze kilka godzin. Po wyjściu na zewnątrz wsiedli do starego chevroleta z rozsuwanym dachem, uruchomili silnik i ruszyli przed siebie, po czym w odległości kilku metrów od gospody rozplłynęli się w nicości. Można było odnieść wrażenie, że w zajeździe Grillost spotykali się ludzie, którzy w świecie realnym nigdy nie mieliby na to szansy.

Genève dołączyła do swoich towarzyszy podróży, wymachując triumfalnie skórzanym portfelem, ukradzionym Bogu ducha winnemu staruszkowi.

– Nie było to konieczne! – Antoine skarcił ją wzrokiem.

– Nawet koniuszkiem małego palca nie dotknę tych kradzionych pieniędzy – dodał zdenerwowany Edgar.

– Nie musisz ich dotykać, ale musisz coś zjeść – ucięła krótko Genève, opróżniając portfel i wyrzucając go do kosza na śmieci.

– Mam dosyć tych wszystkich papek i konserw. Usiądźmy i zjedzmy coś porządnego.

Zajęła miejsce w pobliżu okna, przy stoliku brudnym jeszcze od okruchów i keczupu, i utkwiała wzrok w rozciągającej się za oknem panoramie gór.

Antoine podszedł do niej poirytowany.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Nie mamy benzyny, a żeby zatankować, potrzebujemy pieniędzy. A może to pan, opowiadaczu, chciałby się zająć tymi prozaicznymi detalami? Zobaczymy, ile uda ci się zarobić, opowiadając historie na temat kształtu chmur!

– To byli porządni ludzie – odpowiedział Antoine, a potem dodał ściszym tonem: – A chmury kryją w sobie mnóstwo historii.

– Nie istnieją porządni ludzie – uniosła się Genève. – Istnieją ludzie, którzy mają w życiu farta i nie muszą kombinować, żeby przeżyć, i tacy, którzy muszą nauczyć się jakoś sobie radzić. W przeciwnym razie nie przetrwają.

– Nie znoszę się z tobą sprzeczać, ale nam akurat śmierć głodowa nie groziła.

– Posłuchaj, Antoine, to mój kraj, a nie twój. Jeśli jesteś jeszcze żywy, to zawdzięczasz to tylko i wyłącznie mnie. A więc będziemy robić tak, jak ja zdecyduję, okej?

Antoine przysiadł na krześle. Rozmowa z Genève była niewyobrażalnie trudna. Co prawda czasami i ona zastanawiała się nad tym, co dobre, a co złe, ale jak już wbiła sobie coś do głowy, to nie potrafiła odpuścić. No i przede wszystkim

opowiadacz nie chciał zaognić sytuacji i rozstawać się z nią po raz kolejny.

– A ty, jak się tego nauczyłaś? – zagaił ugodowo.

– Sama. Bo byłam sama.

– Przykro mi, musiało być ci niełatwo.

– Nie wiem. Takie mam życie i innego nie znam... Może komuś jest jeszcze gorzej. Spójrz na przykład na tego tam.

Genève wskazała na mężczyznę modlącego się nad talerzem pełnym zielonego groszku. Szczególną uwagę zwracał jego wygląd. Oczy obrysowane czarną kredką, kolorowe szkła kontaktowe i ciało podziurawione piercingiem. Włosy – na skroniach ogolone do samej skóry, na czubku głowy przyjmowały formę błękitnego irokeza. Na ramieniu miał wytatuowanego żółwia. Kiedy skończył się modlić, skropił groszek odrobiną sosu tabasco i zjadł go z namaszczeniem, zagryzając kromką tostowanego chleba.

Antoine wziął do ręki serwetkę, poprosił kogoś o długopis i zaczął coś skrobać.

– Co tam piszesz?

– Podoba mi się ten człowiek. Czy wiedziałaś, że żółwie są symbolem pokoju i pogody ducha? Ciekawe, jaką historię nosi w sobie ten mężczyzna.

Genève spojrzała na niego osłupiała.

– To tym zajmuje się opowiadacz historii? Kradnie życie innym ludziom?

– Nie wiem, czym zajmuje się opowiadacz historii. Wiem tylko, czym ja się zajmuję.

Dziewczyna była poirytowana.

– Tylko nie myśl, że pozwolę ci zrobić to samo ze mną, Antoine.

Opowiadacz przestał pisać i podniósł na nią wzrok.

– Być może już to zrobiłem.

Teraz Genève naprawdę się zezłościła.

– Czy ty mógłbyś wreszcie zacząć żyć swoim własnym życiem, zamiast pasjonować się historiami innych ludzi? Czy nie masz już dość roli obserwatora? Jaki sens ma siedzenie na tyłku i wyobrażanie sobie cudzych losów? A gdzie tu miejsce na uczucia, na emocje, na doświadczanie życia na własnej skórze? Nie mogłabym tak wysiedzieć choćby przez pięć minut i patrzeć, jak życie przechodzi mi koło nosa! Ja nie zatrzymuję się na rozdrożu i nie zastanawiam się, jaką wybrać drogę, tylko po prostu idę przed siebie i już. A ty? Ty jesteś taki... nieobecny.

Antoine zamilkł. Odpakował paluszka *grissino*, który od razu spadł mu na ziemię, mimo to podniósł go i zjadł.

– Czy twoim zdaniem właśnie dlatego cię utraciłem? Dlatego, że tak bardzo się różnimy?

Genève przez chwilę na niego popatrzyła. Była w jej oczach jeszcze jakaś iskra, okruch światła, który rozpałał się w momencie, gdy spotykali się wzrokiem.

Być może Antoine posiadał moc rozniecania w niej blasku, docierania do jej lepszego, niezniszczonego przez życie fragmentu duszy. Może właśnie dlatego starała się unikać jego spojrzenia.

Właśnie w tym momencie Edgar z dumnie wypiętą piersią podszedł do stołu i, nie wyrzekłszy ani słowa, zajął przy nim miejsce. Zupełnie ignorował obecność Genève.

– Nie ma się o co dąsać. Dzięki mojej inwencji będziemy mieć benzynę.

– Nie mam ochoty konwersować z panienką.

Genève wzniosła oczy ku niebu, a Antoine ucieszył się na widok kelnera – pucołowatego albinosa, który nie tylko uprzątnął stolik, ale i rozładował narastające między nimi napięcie.

– Dobrze byłoby wybrać coś z karty – zasugerował Antoine, ale ponieważ pozostali nie reagowali, postanowił, że sam się tym zajmie. Kelner aż zaniemówił, kiedy Antoine zaczął dyktować mu niekończącą się listę potraw. Wpatrywał się w opowiadacza z niedowierzaniem, podejrzewając chyba, że sobie żartuje.

Czekali na realizację zamówienia w całkowitym milczeniu. Genève i Edgar byli nadal naburmuszeni, a Antoine, by odizolować się od tej niemiłej atmosfery, pograżył się we własnych myślach. Nie spuszczał z oka zielonego fiata pandy zaparkowanego na zewnątrz. Obserwował wybrzuszenie na tylnych drzwiczkach oraz zadrapanie długości palca i czerwoną rysę po lewej stronie bagażnika... Potem ślad pocałunku w kolorze maliny... Oto on! Ciężkie szminki pojawiały się i znikły, w zależności od kąta padania światła odbijającego się w szybie samochodu. No i oczywiście była jeszcze dziurka wypalona papierosem na chodniczku w bagażniku...

Nie rozumiał, skąd znał i pamiętał wszystkie te szczegóły, ale nie ulegało wątpliwości, że je pamiętał... Nagle poderwał się z krzesła i wyszedł z zajazdu. Zdecydowanym krokiem ruszył w stronę samochodu i otworzył bagażnik. Chodniczek był przywalony górą prowiantu, koców, książek, niezamalowanych płócien i parasoli. W narożniku dostrzegł również niebieską zapalniczkę Genève. Natychmiast wsunął ją do kieszeni, żeby jej później oddać. Wszystkie rzeczy Edgara wyrzucił na ziemię.

Nie mylił się: na chodniczku znajdował się wypalony ślad po papierosie. Niesłychane! Szukał fragmentów swojej historii w otaczającym go bezkresnym wszechświecie, a tu raptem trafił na trop w bagażniku. Kiedy wrócił do zajazdu, ciągle jeszcze się uśmiechał.

– Piłeś coś? – spytała Genève, trzymając w dłoni schłodzone piwo.

– Nie.

– A powinieneś! Może byłbyś trochę mniej nudny.

– To był... – Antoine wskazał na samochód, nie mogąc pohamować radości.

– To był mój samochód! Nie pamiętam, gdzie i kiedy, ale jestem pewien, że

w przeszłości należał on do mnie. Ładny, co?

– Ciekawa sprawa – skomentował z powagą Edgar, gładząc sobie wąsy.

– Czy to znaczy, że zgubiłeś również samochód? – Genève nie posiadała się ze zdziwienia. – Ty chyba naprawdę już za siebie nie możesz, co?

Antoine skrzyżował ręce na piersi. Nie było tego złego, co by na dobre nie wyszło. Im więcej rzeczy pogubił, tym więcej miał możliwości odnalezienia w Królestwie Rzeczy Utraconych czegoś, co kiedyś do niego należało.

– Chyba nie za długo się nim cieszyłem. Jeździłem po mieście, ale często parkowałem w przypadkowych miejscach, a potem nie pamiętałem, gdzie go zostawiłem i musiałem wracać do domu piechotą. Często mi się to zdarzało, ale zazwyczaj prędzej czy później go odnajdywałem. Tylko raz mi się nie udało...

Genève przyglądała mu się zdumiona.

– I teraz sam przypomniałeś sobie te wszystkie szczegóły?

Antoine przytaknął.

– Raz po raz tak mi się zdarza. Widzę jakiś przedmiot i przychodzi mi do głowy pewien związany z nim detal z przeszłości. Czasami są to tylko krótkie przebłyski, innym razem natomiast zanurzam się w tych wspomnieniach i na nowo je przeżywam, a wtedy czuję wszystko, nawet zapachy.

Był podekscytowany tym swoim ostatnim odkryciem i wydało mu się, że w spojrzeniu Genève dostrzegł cień zazdrości.

– Hmm, ty to masz farta, Antoine – oświadczyła zgryźliwym tonem i otworzywszy księgę kontraktową, zatopiła się w lekturze.

– Czy mogę spytać, jeśli oczywiście nie będę niegrzeczny, komu panienka zamierza odsprzedać ten rejestr?

Genève spędzała większość czasu w milczeniu, pochłonięta czytaniem tomiszcza. Bardzo bawiło ją odkrywanie, co ludzie byli w stanie zaoferować w zamian za odrobinę ułudy. Prawdopodobnie sama czuła się wówczas mniej zdesperowana. Czasami Antoine odnosił wrażenie, że przeglądanie tej książki było jej sposobem na poprawienie sobie humoru.

– Nie, żeby miał coś przeciwko temu – odpowiedział Edgar. – Zawsze uważałem Aukcję Złudzeń za barbarzyńską praktykę, ale ciekaw jestem, czy ma już panienka na myśli jakiegoś ewentualnego nabywcę?

Genève się zawahała. Napotkała wzrokiem na spojrzenie Antoine'a i, prawdopodobnie targana w głębi duszy wyrzutami sumienia, miała nadzieję, że odpowiadając na pytanie Edgara, zyska jego przebaczenie w kwestii kradzieży portfela.

– Myślałam o Wielkim Zegarmistrzu.

Edgar zaniemówił.

– A dlaczego? – zapytał w końcu

– Dlatego, że... – Genève przeciągała słowa, nie mając do końca zaufania do

swoich rozmówców. – Dlatego, że jeśli istnieje możliwość wydostania się z Tirnaill, to zależy ona tylko od jego woli. A ludzie powiadają, że Wielki Zegarmistrz nigdy nie robi nic bezinteresownie, zawsze daje coś za coś.

– Nie chciałbym panienki rozczarowywać, ale nie sądzę, żeby wystarczył rejestr, aby otrzymać pozwolenie na wyjazd.

– Muszę spróbować. W całym Tirnaill nie ma rzeczy bardziej wartościowej od tej książki.

– Kim jest ten Wielki Zegarmistrz? – wtrącił się do rozmowy Antoine, który do tej pory trzymał się od nich z daleka, dając im szansę pogodzenia się po kłótni.

– To szef wszystkich szefów, Antoine.

– Jeśli któregoś dnia w Tirnaill zapragną posiadać boga, to właśnie on będzie miał największe szanse, żeby nim zostać.

Musieli przerwać rozmowę, ponieważ puciołowaty kelner postawił przed nimi smakowicie wyglądające dania. Na widok golonek i pieczonych ziemniaków wszyscy zapomnieli o Wielkim Zegarmistrzu. Antoine spałaszował wszystko, łącznie z fasolą w sosie i smażonymi tostami, a potem wstał z krzesła i skierował się w stronę łazienki. Przepychał się przez pomieszczenie wypełnione osobliwymi ludzkimi typami. Niektórzy wyglądali jak pracownicy cyrku albo dziwolągi rodem z wesołego miasteczka. Byli tam smutni klauni, bliźnięta syjamskie, mężczyźni wyżsi niż uliczne lampy i kobiety niższe od karłowatych paproci, a także brudne i opuszczone dzieci... Prześlizgnął się na zaplecze baru, gdzie smród zatkaanej kanalizacji mieszał się z gryzącym zapachem kadzidełka, i szedł dalej korytarzem na tyłach budynku, uważając, by nie podeptać ogonów przemykającym mu pod nogami kotom. Kiedy mijał zasłonięte plastikową kotarą wejście do jakiegoś bocznego pomieszczenia, zdało mu się, że ktoś go woła.

– Panie Fonte... – rozbrzmiewał czyjś płaczący głos. – Panie Fonte...

Przystanął więc i nadstawił uszu, jednak nic więcej nie usłyszał. Ruszył dalej, ale oddalwszy się zaledwie o kilka kroków, ponownie usłyszał nawoływania, tym razem donośniejsze i bardziej zrozumiałe.

Zawrócił więc i unióś plastikową zasłonę. Pomyślał, że może zaszkodziło mu słońce i zbyt obfity posiłek albo że odurzający zapach kadzidełka zmącił mu zmysły. W każdym razie wydawało mu się niemożliwe, ażeby drzwi obskurnego zajazdu stojącego pośrodku pustkowia wychodziły bezpośrednio na leśną polanę.

Zaczarowany las

Antoine szedł wybrukowaną kocimi łbami aleją, pokrytą grubą warstwą błota i zeschniętych liści. Powietrze przesycone było chłodem i wilgocią, przed nim rozciągała się nieznana, niemal nierzeczywista, ołowiana przestrzeń. Wrażenie odrealnienia wzmagająca oblepiająca wszystko mgła. Stojące wzdłuż alei chore drzewa chyliły się ku ziemi. Ich liche, zbolełe korony odbijały się w błyszczących lustrach kałuż. Głos zamilkł, zamiast niego słyszeć było szum wiatru, który wznosił się i opadał jak szepty dochodzące z zaświatów.

Czuł, że nie mógł się już wycofać. Ruszył więc przed siebie starym duktem, podążając śladem oplatających wszystko siwych nici. Pokrywały one zastygłe, spękane błoto, płożyły się wzdłuż konarów drzew i wyściełających leśny trakt kamieni. Czyżby chciały go dokądś doprowadzić?

Szedł zziębnięty, raz po raz pocierając dłońmi o ramiona, i zatrzymał się dopiero wtedy, gdy w dali ujrzał bury namiot – podarty i poszarpany, otoczony kręgiem białych, usychających brzoź. Dostrzegłszy coś w jego wnętrzu, Antoine podszedł bliżej. Uniósł wyświechtane draperie, zebrał się na odwagę i wszedł do środka. Stał przed obliczem pradawnej postaci. Chuda jak szkielet kobieta siedziała z głową opartą o kamienny ołtarz, oblegany przez stado wielkich ropuch. Jej szare jak popiół włosy, zbyt długie, by dostrzec ich końce, opadały wzdłuż nagiego i starego jak sama ziemia ciała. Srebrnosiwie nici, które doprowadziły Antoine'a do tego miejsca, okazały się niczym innym jak włosami tej przedziwnej istoty. Oplatały wszystko, rozciągały się dookoła jak ogromna pajęczyna, wrzynały się w korę drzew i przenikały pod powierzchnię ziemi. Przed nią, po drugiej stronie granitowego stołu, stało drewniane krzeselko – być może w jakichś niepamiętnych czasach stara przeprowadzała tu rozmowy lub przesłuchania. U jej boku Antoine dostrzegł niemal baśniowy przedmiot – pokryty pajęczyną, drewniany kołowrotek z zardzewiałym wrzecionem i zakrzepłym na nim gruzełkiem krwi. Kto wie, zastanawiał się Antoine, ile palców dotykało jego igły i dlaczego...

Opowiadacz historii zbliżył się do starej, by upewnić się, czy faktycznie była martwa. Od jej sinego ciała biło lodowate zimno. Nie wyczuwał rytmu serca ani oddechu, a gdy odsunął delikatnie pukle opadających jej na twarz włosów, okazało się, że na szyi miała zawieszoną tabliczkę z napisem: „Put obieania rwi”. Ku własnemu zaskoczeniu, Antoine bez trudu odczytał i zrozumiał sens tych słów:

„Punkt pobierania krwi”... Bez wahania przyłożył palec wskazujący do wrzeciona i pozwolił, by żelazo przekłuło mu skórę i napiło się jego krwi. Przez kilka następnych sekund nic się nie wydarzyło. Potem usłyszał skrzypienie, aż w końcu porywisty podmuch wiatru poruszył kołem starodawnego przyrządu. Rozległo się nerwowe rechotanie żab... Wiatr coraz szybciej obracał kołowrotkiem, a Antoine dostrzegł coś w rodzaju przędzy. Biały cienki sznurek – wyglądał jak jedwab – snuł się gładko i wydłużał z każdą minutą. Wreszcie ucichł wiatr, koło stanęło w miejscu, a nić się naprężyła. Antoine śledził jej bieg. Prowadziła w stronę martwej kobiety i brała początek... z jej czaszki. Zerknął niepewnie na tajemniczą staruchę. Kobieta ożyła. Siedziała milcząca, w oczekującej pozie, z uniesioną głową. Spłoszony pisarz odskoczył na bok, nie mógł jednak oderwać od niej oczu.

Stara powoli zaczęła kręcić szyją. Najpierw w prawo, potem w lewo, wydając przy tym rozdzierające jęki, najwidoczniej od wieków uwięzione w jej krtani. Jęła potrząsać nieopisanie długimi włosami, które wrastały w grunt i oplatały korzenie drzew. Wystarczyło, ażeby się poruszyła, a wówczas poruszały się również brzozy; gdy potrząsnęła głową, brzozy zaczynały potrząsać gałęziami, a kiedy przestawała, one również nieruchomiały. Każdy jej oddech powodował podmuch wiatru, pstryknięcie palcami – uderzenie skrzydeł kruków, a zgrzytanie zębami – tętent kopyt jelenia...

Wiedźma i las byli ze sobą nierozłącznie związani, zrosnięci jak ślimak ze swoją skorupą. Antoine stał w bezruchu i obserwował ciemną jamę jej ust, która poruszyła się, wypowiadając jego nazwisko.

– Panie Fonte... Panie Fonte – wzywała go do siebie jęzda.

Raptem przed jej nosem przefrunął czarny kruk. Schwyciła go w locie, zgmiotła w powykręcanych, kościstych paluchach i kilkoma kęsami odgryzła mu głowę, a potem zapraszającym gestem rzuciła truchło na spróbowanie Antoine’owi.

– Panie Fonte. – Jej głos zabrzmiał jak skrzypienie starego dębu. – Dlaczego tu nie usiądziesz?

– Nie bardzo... mam ochotę – wystękał Antoine, starając się odsunąć możliwie jak najdalej od rozszarpanego ciała ptaka.

– Zbliź się! – rozkazała mu stara i widząc, że Antoine ociąga się z wykonaniem polecenia, krzyknęła na całe gardło: – Zbliź się!

Zrobił, jak kazała. Nie miał zamiaru podzielić losu kruka i nie wiedział, do czego była zdolna ta bestia. Przysiadł więc potulnie na stojącym przed nią zydelku. Z uwagą studiował jej prastarą, pooraną bruzdami twarz porośniętą kurzajkami, które w szczególności pokrywały cztery szpecące blizny w okolicach oczu. Oczu zeszytych drutem. Mimo że była pozbawiona wzroku, kobieta pewnym ruchem pochyliła się ku niemu i ucapiła przekłuty wrzecionem palec. Antoine chciał się wyrwać, ale stara była silniejsza, niż się spodziewał. Włożyła sobie palec do ust. Liżąc i ssąc opuszkę, rozkoszowała się metalicznym smakiem krwi.

– Krew człowieka mówi o nim wszystko...

Antoine przełknął nerwowo ślinę. To samo powiedziała mu Genève. Krew człowieka kryje w sobie jego przeszłość i przyszłość. Ale ciepła ślina wiedźmy i dotyk jej szorstkiego języka były odrażające. Wyszarpnął palec i tak się wzdrygnął, że aż nim zarzuciło.

– I co, teraz jesteś zadowolona?

– Jestem pokrzepiona i zaspokojona. – Stara kłapnęła zębami i zacisnęła szczęki, a tuż obok spadła na ziemię gałąź.

Antoine dostrzegł czerwonawe grudki na jej suchych i popękanych ustach. Najpierw pomyślał, że to resztki krwi, ale potem zorientował się, że to szminka! Dlaczego ta stara Sybilla miała na ustach szminkę?

– Widzę, że mi się przyglądasz, panie Fonte. – Stara rozciągnęła usta w odstręczającym uśmiechu, pod wpływem którego rozlazła jej się skóra. Antoine cofnął się o kilka kroków, zbierało mu się na mdłości. – Twoim zdaniem, mogę się jeszcze podobać?

– Skąd wiesz, jak się nazywam?

– Nie wiem, jak się nazywasz. Twoje nazwisko nie ma znaczenia. *Fonte*[33] w twoim języku znaczy Źródło, a ty jesteś źródłem wszystkich pogrzebanych historii – nosisz w sobie ich pamięć i początek. Ważne jest, co przeżyłeś i jakim jesteś człowiekiem. Czyż nie tak, panie Fonte?

– A kim jesteś ty? – zapytał Antoine, który nie miał zaufania do jej czarów i przepowiedni.

– Nic o sobie nie wiem – zaskrzeczała z trudem. – Za bardzo się pogubiłam, żeby cokolwiek pamiętać. Ale widzę rzeczy takimi, jakimi one są.

– Takimi, jakimi one są? – Antoine uniósł brew. – Czy widzisz, kim ja jestem? Czy możesz mi to powiedzieć? Czy możesz... mi powiedzieć, jak się nazywam?

Wiedźma potrząsnęła głową, a silny wiatr zerwał z drzew zeschłe liście i zawirował nimi w lodowatym podmuchu.

– Nie kim jesteś, ale jaki jesteś. Zapomnij o nazwisku... Nazwisko nie zmienia natury rzeczy. To, jaki jesteś i to, czego w życiu doświadczyłeś, pozostaje... I ja potrafię to dostrzec.

Kobieta mówiła rozwlekle, pochyliła głowę i gdyby nie jej ciężki i przerywany oddech, zupełnie jak u umierającego, opowiadacz historii mógłby przysiąc, że znowu zapadła w letarg. W końcu uniosła twarz i wbiła spojrzenie swoich nieistniejących ślepi prosto w szeroko rozwarte oczy Antoine'a.

– Widzę człowieka, który szuka swojej przeszłości. Wielu z tych, którzy tu docierają, przychodzi z takim właśnie zamiarem. Ale ostrzegam, panie Fonte, nie istnieją klucze zdolne otworzyć drzwi do miejsca, którego szukasz.

– Czy masz na myśli klucze Edgara? Klucze otwierające drzwi do

Mnemozji?

– Mam na myśli wzgórze... i pogrzebane wspomnienia... – odrzekła i wydawało się, że jej zadrutowane oczy spoglądały w dal, do czasów tak odległych jak miejsce, które przywoływała teraz w pamięci. – Ja również... zmierzałam... do tego miejsca... na początku mojej... drogi. Dotarłam... tam i odnalazłam... utracone... wspomnienie, ale... strasznie bałam... się mojej... przeszłości i... postanowiłam... ponownie się jej... pozbyć. A kiedy... utracisz coś... dwa... razy, utracisz... to... na zawsze.

Na moment zamilkła i ta cisza ciążyła bardziej od wypowiedzianych przed chwilą słów.

– Pamiętaj, abys przyjął z pokorą twoją przeszłość. Ja się mojej bałam... i pozwoliłam jej odejść. Moje życie jest... puste. Widzę jedynie przyszłość... innych ludzi. Ja sama... istnieję już tylko... poza... czasem, a to... – Wiedźma wskazała na przenikliwy chłód, wieczną samotność i umierający las. – To bardzo boli.

Antoine przytaknął ruchem głowy.

– Nie zapomnę o tym.

I naprawdę obiecał sobie, że o tym nie zapomni. Przynależał sobie, że zrobi wszystko, by nie podzielić jej losu.

Poruszony słowami kobiety opowiadacz pochylił się w jej stronę, chwycił za rękę i przycisnął ją do piersi. Nie mógł oderwać oczu od jej szminki. Karmazynowy kolor na trupiobladych ustach działał na niego hipnotyzująco. Nie zauważył, że zarówno stara, jak i otaczający las ulegali stopniowej metamorfozie.

Po tym jak Antoine chwycił ją za rękę, ciało kobiety przeszył prąd. Wydawało się, że szukała czegoś we własnym wnętrzu, koncentrowała się na jakiejś wizji, która powoli nabierała kształtów, ale której Antoine nie był w stanie dostrzec. Wtem wydarzyło się coś nadzwyczajnego. Nagle przyszło lato, ze swoimi odgłosami i zapachami, słońce złociło liście i rozgrzewało duszę. Potem nastąpiła wiosna, pojawiły się białe i różowe kwiaty, zazieleniły korony drzew, krzaczki truskawek pokryły się drobnymi owocami. Ta feeria barw trwała jednak tylko przez ułamek sekundy. Wkrótce potem niebo pociemniało i zasnuwane wrogimi chmurami pluło śniegiem i gradem. Minęła chwila i śnieg stopniał, a liście mieniły się kolorami zachodzącego słońca i opadły, smagane silnym deszczem. Potem nadeszło ponownie lato, a dalej kolejno wiosna, zima, jesień i znowu lato.

Cykl powtarzał się nieskończoną ilość razy. Dwadzieścia, a może i więcej. Przyroda odradzała się i umierała, zostawiając po sobie resztki życia. Czas cofnął się i zatrzymał. Był piękny letni dzień, bardzo odległy.

Wiedźma osunęła się na stole ofiarnym i znieruchomiała. Wydawała się bardziej martwa niż żywa. Antoine nachylił się i lekko nią potrząsnął, próbował wyczuć bicie serca.

– Czy dobrze się czujesz? – Poglądził ją dłonią po przerażająco chudych łopatkach. – Proszę cię... odpowiedz! Co widzisz?

Kobieta uniosła się raptownie, wydając przy tym przeraźliwy krzyk, który sięgnął nieba i opadł z hukiem jak grzmot. Jej jęk przejęły natychmiast rośliny i zwierzęta i ryknęły pospołu, przeszyte bólem.

– To ty! – wrzasnęła, wskazując na niego kościstym palcem. Antoine zerwał się z krzesła i instynktownie odskoczył o kilka kroków. Wiedźma zorientowała się, że się oddalił, wstała i obesła kamienny ołtarz. Wraz z nią poruszył się cały las i zadrżała ziemia. – To twoja wina, to ty mi to zrobiłeś!

– Co...

– Tak, to ty! – ryknęła. – Ty skazałeś mnie na zapomnienie! Nas wszystkich na nie skazałeś!

Kobieta chwyciła się mocno za głowę... Płakała i cierpiała jak zwierzę wydane na rzeź, niebo nad lasem przesywały błyskawice.

Jej włosy poruszyły się nagle niczym morskie fale, zerwały się z trzaskiem jak bicze i pochwyciły Antoine'a, oplatając go ciasno za kostki. Opowiadacz stracił równowagę i upadł w błoto prosto na twarz. Nad sobą widział górującą postać staruchy, jej silne, zabójcze włosy wiły się wokół jego ciała, podpełzały od kostek do kolan, obłapiały wokół ud i ścisnęły go w pasie.

– Wypuść mnie! – darł się Antoine. – Wypuść!

– Nie! Nigdy! – zawołała wiedźma, która w miarę jak owijała go pajęczyną włosów, odzyskiwała siły. – Przeklęta jest twoja historia i ponieważ kiedyś chciałeś się jej pozbyć, jesteś skazany na przeżywanie jej bez końca! Przeszłość jest jak blizna na ludzkiej duszy. Niektórzy noszą ją z godnością, inni ukrywają przed światem. Można jednak zawsze odnaleźć zagubione sprawy i zapomniane uczucia, wszystko może zostać naprawione i przebaczone. Nie wolno całe życie uciekać. To, co się wydarzyło, nie przestanie w ten sposób istnieć, panie Fonte. Będzie zdarzać się zawsze, będzie się powtarzać bez końca, dopóki nie wrócisz do początku. Do źródła. W przeciwnym razie będziesz ciągle powracał do nicości, ponieważ to nicość dopada tych, którzy wybierają drogę zapomnienia. A ty nas wszystkich skazałeś na niepamięć!

Z jej pełnego gniewu głosu przebijała gorycz.

– Nie mogę pozwolić, abys znowu to samo z nami uczynił... Nie mogę ryzykować śmierci po raz kolejny.

Antoine nie był w stanie się poruszać. Stał się ofiarą zaczarowanego lasu! Po policzkach biegały mu owady, wchodziły pod ubrania i kąsały skórę. Prośenie tej kobiety o litość nie miało sensu. Sam musiał znaleźć sposób uwolnienia się z jej śmiertelnego uścisku. Rozejrzał się dokoła w poszukiwaniu jakiegoś narzędzia, ale nic w zasięgu ręki nie znalazł. Zresztą wszystkie kamienie i gałęzie należały do lasu, były więc częścią jestestwa tej wiedźmy i nie mogły zostać przeciwko niej

użyte.

Siwe nici ścisnęły mu piersi, utrudniały oddychanie. Powoli docierały do twarzy. Wtedy Antoine coś sobie przypomniał. Miał ramiona omotane włosami, ale palce były jeszcze wolne. Wsunął dłoń do kieszeni spodni i gorączkowo próbował wymacać zapalniczkę Genève. Włosy staruchy wślizgiwały mu się do ust i zatykały gardło. Jeden z obrzydliwych kołtunów zasłonił mu również oczy, ale właśnie wtedy znalazł zapalniczkę. Kiedy starał się ją uruchomić, wypadła mu z rąk. Wyprężył całe ciało, by stawić czoła jędzy. Nie ustawał w poszukiwaniach... Pod palcami wyczuwał chrabąszcze, koniki polne, ostre kamyki aż w końcu... Jest! Szybciej, szybciej! – zdesperowany ponaglał samego siebie.

Próbował wykrzesać ogień, po raz pierwszy, drugi i trzeci... za czwartym wreszcie mu się udało. Zbliżył płomień do suchych liści i oczekiwał w bezruchu. Gorąc parzył go w palce, ale musiał wytrzymać. Owinięty od stóp do głów włosami staruchy, wyglądał jak mumia albo jak mucha schwytana przez wygłodniałego pająka.

Wiedźma z pomazanymi szminką ustami przeszywała go ślepym wzrokiem, kiedy raptem coś przykuło jej uwagę. Poczowała swąd spalenizny i wydała stłumione rżenie, które wkrótce przeszło w pełen bólu skowyt. Siły powoli zaczęły ją opuszczać. Zgięła się wpół, a opinające Antoine'a nici wreszcie ustąpiły. Płomień zajmował coraz większe połacie lasu, a kiedy opowiadacz zyskał pewność, że stara nie będzie już w stanie mu się przeciwstawić, skierował zapalniczkę bezpośrednio na oplatające go włosy. Kobieta zawyła z bólu, a jej krzyk przegonił oszalałe ze strachu zwierzęta. Czuć było od niej swąd spalonego ciała, włosy topiły się w ogniu i Antoine wreszcie zdołał się z nich oswobodzić. Zerwał się na równe nogi i, nie patrząc na nic, popędził w kierunku brukowanej kamieniami alei. Z pobliskich drzew poderwała się chmara kruków. Pikowały w jego kierunku, dziobały go po głowie i ramionach, ale Antoine nie przestawał biec w stronę polany.

Przesłonięte plastikową kotarą drzwiczki gospody stały ciągle w tym samym miejscu. Ledwie dysząc, przekroczył ich progi i ponownie znalazł się w korytarzu zajazdu Grillost. Zziębnięty, osunął się na podłogę. Wstał po kilku niekończących się minutach.

„Co tu się dzieje, do cholery?“, zastanawiał się roztrzęsiony. – „Co to za dziwna kraina?“. Gdy doszedł do siebie, wiedziony ciekawością, odsunął ponownie zasłonkę i stwierdził, że nie było tam ani jednego drzewa. Za kotarą znajdowała się łazienka. Jedyne ślad po tym, co się wydarzyło, miał na kciuku, osmalonym od płomienia zapalniczki.

„Wiedziałaś“, zwrócił się w myślach do Genève. „Wiedziałaś, że to nie będzie zwyczajny zajazd“.

Genève miała rację, doskonale знаła Tirnaïl, jego podstępny i zasadzki.

W zajeździe Grillost odnalazł kolejne drzwi otwierające mu drogę do przeszłości. Fakt, że niemal stracił życie, był tu bez znaczenia.

– Przepraszam, gdzie znajduje się ubikacja? – Antoine aż podskoczył, słysząc za plecami głos Edgara. Odwrócił się i spojrzał na niego wilgotnymi oczami.

– Cholerka, panie Antoine! Co się waszmości przydarzyło? Bładyś pan jak trup!

– Ja, ja... nie mam pojęcia. Przed chwilą był tu las... i...

– Las? – Wąsy Edgara zawibrowały niespokojnie.

– Taki... zaczarowany las.

– Acha! To wszystko wyjaśnia! – Edgar wyraźnie się uspokoił. – Jeśli to był zaczarowany las, to zupełnie normalne, że zniknął.

– Dlaczego?

– Ponieważ był zaczarowany! Co za pytania pan zadaje! Przecież ogólnie wiadomo, że zaczarowane lasy pojawiają się i znikają. Panie Antoine, myślałem, że jest pan trochę bardziej domyślny.

– Masz rację, Edgar. Nie mam pojęcia, dlaczego sam na to nie wpadłem.

– Aaaa... Niech się pan tym nie przejmuj. Większym problemem jest ta oto latryna. Czy nie sądzi pan, że przypomina otchłanie piekielne?

Antoine przytaknął, blady jak trup. Nie dostrzegł jeszcze cienia, który stopniowo wypełniał i tak ciemny już korytarz zajazdu. Nie dostrzegł mroków, które znowu z wolna go otaczały.

[33] *Fonte* to po włosku źródło, stąd nieprzetłumaczalna na język polski gra słów – przyp. tłum.

Morze Zsypijskie

Słońce jak ognista kula powoli zniknęło za horyzontem, niebo zasnuwała zasłona nocy, rozświetlona błyszczącymi gwiazdami. Podróżowali już od dłuższego czasu. Antoine od momentu powrotu z zaczarowanego lasu nie wydusił z siebie ani słowa. Zależało mu tylko na tym, by posuwać się do przodu i za wszelką cenę dotrzeć do Mnemozji.

Edgar i Genève domyślili się, w jakim był stanie i nie przeszkadzali mu w rozmyślaniach. Dziewczyna nawet nie prosiła, żeby przystanąć na papierosa. Paliła, wychylona aż po pas przez okno samochodu, z rozwianym włosami i wystawioną do wiatru twarzą.

Zapadł już mrok, aż tu nagle we wstecznym lusterku zabłysło jakieś światło.

– Ktoś za nami jedzie – zauważył Antoine, przerywając wreszcie milczenie.

Edgar i Genève spojrzeli za siebie. Oślepiły ich światła rolls-royce'a.

– Mam się zatrzymać? – zapytał Antoine.

– Absolutnie nie! – Edgar zareagował impulsywnie. – To jest bardzo podejrzane! Jest wysoce nieprawdopodobne, ażeby ktokolwiek mógł pana odnaleźć na ulicach Tirnail!

– Jedź przed siebie. – Genève naprężyła wszystkie mięśnie. – I wciśnij trochę ten pieprzony pedał gazu!

Antoine natychmiast jej posłuchał, nawet jeśli miałby wielką ochotę dowiedzieć się, co robił tu ten rolls-royce i kto siedział za jego kierownicą. Już po chwili otrzymał odpowiedź na drugie pytanie. Jadący za nimi samochód był o wiele szybszy od fiata i wkrótce znalazł się na jego wysokości. Za boczną szybą samochodu Antoine dojrzał groteskową i pokrytą makijażem twarz jakiegoś człowieka, który z ironicznym uśmiechem pozdrawiał go białą jak kreda dłonią.

– Oż, w mordę! – krzyknęła Genève, rozpoznając natychmiast hrabiego Vladimira. – Co on tutaj robi? Szlag by trafił, Antoine rusz tyłek! Dodaj gazu, do cholery!

– Robię co mogę, a co ty myślisz! To przecież stary samochód!

Powietrze przeszył dźwięk klaksonu. Zorientowawszy się, że Antoine nie miał zamiaru przystawać, hrabia nakazał swojemu kierowcy przyspieszyć i zająć mu drogę. W jednej sekundzie rolls-royce znalazł się przed maską fiata. Antoine zahamował tak raptownie, że aż nimi zarzuciło i Genève uderzyła głową

o szybę, która pokryła się gęstą siatką pęknięć i krwią.

– Gen! Dobrze się czujesz? – Antoine pomógł jej wrócić do normalnej pozycji. Skaleczyła się w czoło.

– Ja tak, ale ten stary gnojek cało z tego nie wyjdzie! – wybuchnęła, odpinając pas i wyskakując z samochodu na ulicę.

Również hrabia wysiadł z auta i rękawem fraka czyścił zabrudzenia na tylnych drzwiach samochodu. Chichotał przy tym rozbawiony.

– Zabiję cię, padalcu!

Antoine doskoczył do Genève i próbował ją powstrzymać, przyjmując na siebie wszystkie ciosy i kopniaki przeznaczone dla ich prześladowcy. Chwycił ją mocno za twarz i zmusił, by na niego spojrzała.

– Gen, spróbuj się uspokoić! Pójdę i z nim porozmawiam, przecież jemu chodzi o mnie. Nie martw się, sam się z nim rozprawię.

– Zrób tak, żeby go bolało. Żeby go bardzo bolało, Antoine! – krzyknęła za nim Genève, a Edgar ostrożnie odprowadził ją do samochodu, uważając, żeby jeszcze bardziej jej nie rozsierdzić.

Antoine pokonał odległość dzielącą go od hrabiego Vladimira. Piekielny człowieczek triumfował i aż gulgotał z radości. Wywijał laseczką z czereśniowego drewna jak marny aktor rewii. Na głowie zamiast peruki miał dziurkowany cylinder.

– Czego chcesz? – warknął groźnie Antoine, udając pewnego siebie. – Myślisz, że nie wiem, kim jesteś? Nie wiem, co zrobiłeś? Nie mamy ze sobą nic wspólnego!

– O, ho, ho, co to się stało? Widzę, że od razu przechodzisz do sedna! To bardzo rozsądne z twojej strony. Wreszcie się ocknęliśmy, panie Fonte? Cholernie mi się podobaasz, wiesz! Jesteś taki nieprzewidywalny! – Hrabia zaśmiał się jak pętał, wykonując przy tym obrót wokół własnej osi.

– Gadaj, czego chcesz! Czemu mnie prześladujesz?

– Czego chcę? Pozwól, niech się zastanowię. Chcę... Pragnę... pewnego wspomnienia.

– Ono do ciebie nie należy.

– Och, daj spokój! Wielki złodzieju opowieści! Ono do ciebie nie należy! – przedrzeźniał go Vladimir. – A ty co robisz? Kradniesz życie innym ludziom! Wracam właśnie z Mnemozji, wiesz?

Zbity z tropu Antoine zapomniał języka w gębie. Mnemozji...

– Chyba mi nie powiesz, że jesteś tym zaskoczony! Jakoś to do ciebie nie pasuje! Przecież ty jesteś zupełnie pozbawiony uczuć... Im więcej czasu mija, tym dokładniej przypominam sobie różne szczegóły. Ty też byłeś niedobry, mój drogi. Dla twojej rodziny i dla twojej żony. Wybacz, jeśli się mylę, ale wydaje mi się, że swego czasu porzuciłeś swojego syna. Dlaczego więc czujesz się ode mnie lepszy?

Antoine wybałuszył oczy. Serce waliło mu jak oszalałe, bulgotało mu w żołądku i nie miał pojęcia, co odpowiedzieć na te insynuacje. Czy hrabia mógł mówić prawdę? Rodzina... Jego rodzina...

– Powiedzmy, że dotrzesz do Mnemozji, odnajdziesz swoje wspomnienia, będziesz szczęśliwy, wypijesz sobie kieliszek wina, tra la la, odtańczysz taniec zwycięstwa... A potem... Potem odkryjesz, że w tych wspomnieniach kryje się jakaś niewygodna prawda, trochę uwierająca. Może jesteś nieudacznikiem, zwykłą ofiarą losu, może maltretujesz zwierzęta, może porywasz dzieci albo uwodzisz cudze żony. Może jesteś mordercą. Co daje ci prawo do osądzania mnie, panie Fonte? Czy ty wiesz, kim ty jesteś? Czy wiesz, co uczyniłeś? Dlaczego wymazałeś z pamięci całe swoje życie? Ja wiem, kim jestem, i przybyłem do Tirnail, by odkupić moje grzechy.

– Zwłaszcza tutaj wiele ich popełniłeś.

– To nie była moja wina. To miejsce dziwnie działa na ludzi, doprowadza do szaleństwa. Wiesz coś na ten temat, prawda? Sam tego przecież doświadczyłeś.

Vladimir wybuchnął śmiechem. Wiedział, że trzyma Antoine'a w szachu, i teraz napawał się własną pychą.

– Do czego potrzebne ci moje wspomnienie?

– Bo interesuje mnie ta twoja krnąbrna główka. Nie wiem, co kryje!

Hrabia podszedł do niego i udawał, że chce mu laseczką przewiercić czoło, żeby dotrzeć do myśli i wspomnień. – Wiem, że chciałbyś wiedzieć... dlatego nie krępuj się... pytaj śmiało.

– O co?

– Co ja tu robię! Jakim sposobem odnalazłem cię na twojej zagubionej drodze! Jak to możliwe, że dopiero co wracam z Mnemozji, powszechnie uważanej za najbardziej niedostępny region w całym Tirnail. Spytaj, dlaczego nie istnieje w tym królestwie miejsce, które byłoby dla mnie niedostępne!

– A co z moją krnąbrną główką? Jeśli dobrze zrozumiałem, to właśnie do niej nie potrafisz się dostać – wycodził Antoine.

Hrabia uśmiechnął się szyderczo.

– Cały czas nad tym pracuję.

Przez chwilę obaj milczeli. Potem hrabia poufale objął Antoine'a ramieniem i poszli przespacerować się po pustyni. Gdy byli już w pewnej odległości od aut, wrócili do przerwanej rozmowy.

– Zaproponowałem ci kiedyś układ, pamiętasz? Miałem zamiar omówić z tobą jego szczegóły, ale ty dałeś drapaka, niewdzięczniku. Rozumiem cię... Doskonale cię rozumiem... pobyt w moim domu mógł działać na ciebie przynębiająco. To ogromna willa, ciemna i majestatyczna. Przemykają po niej cienie, które porywają ludzi do miasta nocy i mgły, krążą duchy zmarłych dzieci... Tfu... Masz rację, nie wszystkim może to odpowiadać... Dlatego postanowiłem cię

odszukać. A oto moje warunki, panie Fonte: wiem, że szukasz pewnego wspomnienia... I masz do tego pełne prawo! Należy do ciebie i nikomu nic do tego! Ale zastanowiłeś się, ile zostało ci jeszcze czasu? I jaką drogę musisz pokonać, by dotrzeć do Mnemozji? Nie dasz rady, stary. Już do końca twoich dni będziesz gnął w Tirnaill... Uwierz mi, znienawidzisz tę ziemię każdą komórką twojego ciała. Każdą pojedynczą komórką.

Antoine nic nie odpowiedział.

– Mam dla ciebie rozwiązanie. Wygodne, proste, takie, jakie lubisz. Wiesz, że dla mnie nie ma rzeczy niemożliwych, mój drogi. Przed niczym się nie cofam! I wszystkie drzwi stoją przede mną otworem! – Hrabia zarechotał, wodząc dookoła wzrokiem. – Przemierzam się swobodnie to tu, to tam, a potem jeszcze tam, wszędzie, gdzie mi się podoba! – perorował Vladimir i przeskakiwał z miejsca na miejsce między skałami, jak mała na dywanie pełnym skorpionów. Jego widok był nie do zniesienia.

– Mogę dotrzeć, gdzie tylko zapragnę. Zawsze i wszędzie. Moje ukochane Noksy – patentowani głupcy, pomagają mi w odnajdowaniu wszystkich utraconych przedmiotów i osób, a ja... przed niczym się nie cofam. Wykańczanie ludzi przynosi niezłe zyski, wiesz?

Antoine był oszołomiony.

– Czy to dlatego możesz się z taką łatwością przemieszczać? Dlatego, że zabiłeś tych wszystkich biedaków?

– Zły jest silny, panie Fonte. Dobry jest słaby. Dołącz do mnie, mój dawny współniku. – Na twarzy hrabiego pojawił się szeroki uśmiech. – Wystarczy, że zamkniesz oczy i poczujesz żdźbła trawy pod stopami, usłyszysz szum wiatru, poruszający liśćmi brzozy i szepczący ci do ucha dawne historie. Zabiorę cię do Mnemozji, przekonasz się, że jest bliska jak czubek twojego nosa, który... w moim odczuciu jest trochę za długi, jeśli pozwolisz! Najważniejsze jednak, byś dotarł tam w mgnieniu oka, najszybciej jak to możliwe!

Antoine nie przestawał badać go wzrokiem. Czy hrabia naprawdę sądził, że miał do czynienia z idiotą?

– Ile kosztowałoby mnie to mgnienie oka?

– Oooh! Jesteś prawdziwym człowiekiem interesu! – Vladimir poklepał go po plecach niemal ojcowskim gestem. Wiedz, że nie ma tu mowy o pieniądzach. I nic też nie będziesz musiał robić. O jedno tylko cię proszę i błagam, nie odmawiaj stojącemu nad grobem starcowi. Chciałbym być z tobą w momencie, kiedy spełnisz swoje marzenie. Stać u twego boku, gdy odnajdziesz wreszcie to zagubione wspomnienie. Chciałbym móc i ja je zobaczyć. Tylko o to cię proszę, mój chłopcze. Chciałbym być tam razem z tobą w tym momencie.

Antoine i hrabia zatrzymali się. Vladimir zwrócił się do opowiadacza twarzą i, obrzuciwszy go spojrzeniem, oparł mu dłonie na ramionach. Chichotał przy tym

obludnie. Wznosząca się nad nimi kopuła nieba przypominała głębiny oceanu.

– Wszystkie nasze życiowe wybory mają swój ciężar. – Hrabia rozłożył ręce jak szale wagi i balansował nimi w prawo i lewo. – Ważymy to, co dajemy, i to, co otrzymujemy w zamian. To, co tracimy i to, co zyskujemy. Chciałbym, abyś rozważył teraz moją propozycję, biorąc pod uwagę brzemień twojego wspomnienia oraz ważkość mojej prośby.

Antoine zacisnął powieki i zastanawiał się nad jego słowami. Zaskoczył go sposób, w jaki hrabia zakomunikował mu swoją prośbę, jak przeszywał go przy tym spojrzeniem. Czego naprawdę od niego chciał? Dlaczego to było dla niego aż takie ważne?

– Więc cóż, znalazłeś odpowiedź? Rozważyłeś wszystkie za i przeciw? – Vladimir był wyjątkowo spokojny i pewny siebie. – Czy wiesz już, ile warte jest to twoje wspomnienie?

Antoine stał jeszcze przez chwilę w milczeniu, a potem odparł:

– Dla mnie ma ono wprost niewyobrażalną wartość.

– No to świetnie! – Hrabia wyciągnął rękę, by uścisnąć mu dłoń na znak dobitego targu, ale Antoine nie dał mu satysfakcji. Pokręcił głową.

– Czy kiedykolwiek umieściłeś na szalach wagi życie tych trojga dzieci? Ile tak naprawdę byłoby ono warte, hrabio? Chyba nie istnieje ciężar, który mógłby z nim konkurować – wypalił Antoine i, nie dając mu czasu na odpowiedź, odwrócił się i ruszył w kierunku samochodu.

– Moja cierpliwość ma swoje granice, panie Fonte – zaskrzeczał Vladimir. – Uważaj, bo już niedługo się skończy!

Antoine wszedł do samochodu i uruchomił silnik. Mijając rolls-royce'a, dostrzegł hrabiego – krzyczał jak opętany i wyzywał od najgorszych swojego kierowcę.

– Będzie za nami jechał.

– Jest to możliwe, ale mało prawdopodobne – odrzekł beznamiętnie Edgar.

Antoine zerknął na niego, nie rozumiejąc, co miał na myśli. Genève trzymała w dłoni scyzoryk.

– Przedziurawiliśmy mu opony. A więc, żeby nas dogonić, musiałby najpierw nauczyć się fruwać...

– I to również jest mało prawdopodobne.

Antoine uśmiechnął się i dodał gazu. Jechali wyschniętym korytem ogromnego wąwozu, nieustraszeni i zdeterminowani, zatopieni w mrokach nocy, jak w morzu czarnej ciszy. Za kierownicą siedział Edgar, ale prowadził tak wolno, że chyba prędzej doszliby pieszo.

– A więc to ona jest kobietą twojego życia – odezwał się nieoczekiwanie, wskazując wzrokiem na posypiającą na tylnym siedzeniu Genève.

Antoine nic nie odpowiedział. Był zmęczony i poruszony. Od kilku godzin

intensywnie zastanawiał się nad słowami wiedźmy i hrabiego Vladimira, próbował zgłębić ich mroczny sens.

– Czy jest pan w niej zakochany? – nalegał Edgar.

– Nie. Ona nic dla mnie nie znaczy.

– Byłem kiedyś z kobietą, która również nic dla mnie nie znaczyła. Byliśmy małżeństwem – powiedział to tak, jakby właśnie wyjawiał, że ma raka prostaty. – Coś okropnego. Nawet pijawka miałaby dla mnie więcej litości od tej harpii. Na każdym kroku dawała mi do zrozumienia, że moje życie jest pasmem porażek.

Antoine uniósł brwi ze zdziwienia.

– Musiałeś jej wobec tego bardzo nienawidzić – skonstatował z uśmiechem, ale wystarczyło, że popatrzył na Edgara, by natychmiast zmienić zdanie. – Kochałeś ją.

Edgar nic nie odpowiedział, ale Antoine dostrzegł spływającą mu po policzku łzę. Malarz nie starał się nawet jej ukryć.

– Dobrze jest nie pamiętać, kim było się w przeszłości – wymamrotał, prawie na pewno sam do siebie. – Współczuję hrabiemu Vladimirowi, który musi żyć z wyrzutami sumienia, ze swoimi dawnymi zmorami. Gdybym ja musiał na co dzień konfrontować się z moimi, niczym bym się od niego nie różnił, ale na szczęście Tirnaïl nie przekląło mnie aż do tego stopnia. Pozbawiło mnie jedynie natchnienia.

– A mnie nazwiska.

– Niestety, na pana własne życzenie, Antoine. Było to wyjątkowo nieprzemyślane posunięcie.

– Sądzę, że podświadomie tego właśnie pragnąłem – przyznał Antoine, który zastanawiał nad tym od momentu spotkania z wiedźmą. – Być może musiałem rzucić z siebie moją dawną tożsamość, by przekonać się, kim naprawdę jestem. Nie uważam tego za przekleństwo Edgarze, ale za szansę. A hrabia po prostu nie zrozumiał, w czym rzecz, kiedy zaczęła go prześladować ta trójka dzieci... Karaluchów, jak on je nazywa. Prawdopodobnie chciały mu jedynie dać możliwość przyznania się do winy i udzielić mu przebaczenia.

– Jaką szansę może mieć malarz pozbawiony natchnienia?

– Może ty wcale nie jesteś malarzem, Edgar? Czy kiedykolwiek się nad tym zastanawiałeś?

Edgar znieruchomiał. Faktycznie, nigdy nie przyszło mu to do głowy.

– Vladimir powiedział, że swego czasu opuściłem żonę i syna – wyjawiał Antoine, który nie mógł już dłużej w sobie tego dusić. – Ale ja nic takiego sobie nie przypominam. Oczywiście, gdyby okazało się to prawdą, byłbym ostatnim łajdakiem.

– Byłby pan raczej zwyczajnym człowiekiem, Antoine. Może najważniejszą rzeczą, jakiej musimy nauczyć się w życiu, jest przebaczenie sobie samemu. Wielu

nie zdaje sobie sprawy, jakie to trudne.

– Wielu nie dopuszcza, że popełniło jakikolwiek błąd. Ich to nie interesuje.

Potem przez długi czas milczeli, zatopieni w kojącej ciszy, kołysani odgłosami nocy i rytmem jazdy. W pewnym momencie Edgar zatrzymał samochód. Wyłączył silnik i światła.

– Co się dzieje? – spytał Antoine, zaskoczony gwałtownym drżeniem jego wąsów.

Edgar ruchem głowy nakazał mu milczenie. Przekręcił klucz w stacyjce i ponownie włączył światła. Byli okrążeni przez dziesiątki pozbawionych dusz istot! Żywe trupy otaczały samochód i próbowały go zaatakować. W powietrzu rozchodził się typowy dla Nechnabel odór zgnilizny, a do fiata, jak horda upiórów, coraz bliżej podpełzały Noksy.

– Precz... – wyszeptał Antoine.

Malarz uruchomił silnik i z piskiem opon ruszył z miejsca. Pędził zygzakiem, starając się wymijać Noksy, które w blasku samochodowych świateł nabierały ludzkich kształtów. Niektóre przewracały się jak kręgle, inne ginęły pod kołami samochodu. Ni stąd, ni zowąd jeden z nich rzucił się na maskę fiata, Antoine rozpoznał w nim pana Peloquera. Ogarnęła go panika. Przydusił nogę Edgara, by dodać gazu, a zdezorientowany atakiem Noksów i interwencją Antoine'a malarz stracił panowanie nad pojazdem. Kontynuował ucieczkę slalomem, aż przebudzona tą szarpaniną Genève podniosła się na siedzeniu.

– Edgar?

– Spokojnie, zaraz się ich pozbędziemy!

– To świetnie – odpowiedziała i ponownie zapadła w sen.

Antoine się obejrzał. Cienie ciągle podążały ich śladem, poruszały się jednak powoli, wcale im się nie spieszyło. Spoglądał prosto przed siebie, aż nagle w świetle reflektorów dojrzał postać mężczyzny. Wyglądał jak aktor w blasku jupiterów i dzieliło ich od niego zaledwie parę metrów. Edgarowi nie udało się go wyminąć... Antoine nie mógł pozwolić, by zmasakrował Santiago.

– Co ty wyprawiasz, Antoine! – zgromił go Edgar, jednak pisarz nie potrafił postąpić inaczej. Wyszarpnął malarzowi kierownicę i skręcił nią z całej siły w bok. Rozległ się nagły pisk opon, a samochodem zarzuciło i obróciło o sto osiemdziesiąt stopni. Santiago z całym zastępem Noksów powoli zacieśniał wokół nich krąg i w tym momencie usłyszeli głuchy łomot dochodzący z samego serca ziemi.

Genève, teraz już całkowicie przebudzona, podniosła się ponownie na siedzeniu i spojrzała przez tylną szybę. Kiedy odwróciła się w ich stronę, miała bladą twarz i, nie wypowiedziawszy ani słowa, zapięła pas bezpieczeństwa. Zaintrygowani jej reakcją Edgar i Antoine wyjrzeliby przez okna.

Ich nagły krzyk został zagłuszony przez łoskot opadającej z nieba wody... Rozbijała się o powierzchnię jezdni, wytryskiwała z głębokich przepaści i dolin,

huczała i dudniła jak stado rozszalałych bestii, wirowała, burzyła się i pieniała, parła w kierunku fiata. Jedna z fal porwała Santiago, wciągając go w wir, z którego już się nie wynurzył. Potem w ten sam sposób zniknęły pozostałe Noksy, pochłonięte przez szalejące bałwany.

Nie mieli pojęcia, co się działo. Czyżby zepsuł się jakiś ogromny niebiański kran i wylewał z siebie cały ocean wody, który zajmował teraz miejsce pustyni? Przelewał się i kotłował, niosąc za sobą wszystko, co zamieszkiwało jego głębiny. Poczuli zapach wilgoci i morskiej soli. Byli otoczeni wysokim murem wody, nad nimi rozpościerał się jedynie wąski pasek nieba. Morze się o nich upomniało.

Ich samochód, w nienaruszonym stanie, stał wciąż w tym samym miejscu na zupełnie suchej jezdni, jakimś cudem oszczędzony przez potop. Również droga pozostała niezmienną i wiła się teraz w wodnym wąwozie.

– Cholerka! – pisnął Edgar.

Antoine nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa. Biły na niego siódme poty i miał wrażenie, że serce wyskoczy mu z piersi.

– Antoine, Edgar... – Genève odezwała się do nich matowym głosem. – To jest granica... Przekroczyliśmy granicę jakiegoś regionu!

– Nie, nie... to niezupełnie tak. To granica przybliżyła się do nas – wymamrotał Edgar, a kiedy uświadomił sobie, co powiedział, zaczął podskakiwać na siedzeniu, nie bacząc, że uderza głową o sufit. – Czy pan zdaje sobie sprawę, co to oznacza? Przybliżył się pan do Mnemozji, panie Antoine! Wygląda na to, że nam się uda. Jesteśmy coraz bliżsi sukcesu!

– Tirnaïl pozwoliło ci pójść dalej – dodała Genève z niedowierzaniem.

Promiennie uśmiechnięty Edgar wysiadł z samochodu, a Antoine natychmiast ruszył jego śladem, by podziwiać roztaczający się przed nimi spektakl natury. Znajdowali się w miejscu, w którym przed chwilą była jeszcze pustynia. A teraz otaczał ich... ocean! Szli ulicą usianą tym, co wyrzuciło morze. Antoine schylił się po muszlę i przyłożył ją do ucha. Tak samo jak w dzieciństwie usłyszał szum fal, muzykę morskich głębiny, odgłosy delfinów i wielorybów, symfonię alg i raf koralowych, szelest prześlizgujących się ławic ryb.

Zasłuchany w szum morza, obserwował jednocześnie faunę i florę unoszącą się za ścianą wody. W mrokach oceanicznych głębiny przemykały ryby o srebrzystych łuskach i połyskujących płetwach, mieniające się odcieniami zieleni, pomarańcza i czerwieni. W głębi falowały meduzy i wampirzyce piekielne[34], przemykały zdumiewające archaiczne ryby głębinowe. Nie zdziwiłby się, gdyby to właśnie tu mieszkwały wszystkie mityczne stwory, krakeny[35], syreny i gigantyczne morskie węże...

Podeszła do nich Genève. Była upojona tym widokiem, oczy błyszczały jej ze szczęścia. Uśmiechała się, ale chyba nadal nie mogła uwierzyć w to, co się wydarzyło. Być może uważała, że Antoine na to nie zasługiwał.

– Morze Zsypijskie... Kto by pomyślał, że takiej fajtłapie jak ty uda się kiedykolwiek tu dotrzeć?

Antoine'a ogarnęło wzruszenie. O Morzu Zsypijskim opowiadał mu swego czasu Santiago.

– Wiesz, z czego ono powstało? – spytała rozpromieniona Genève, która emanowała teraz jakimś szczególnym światłem, miłością do życia i żądzą przygody. – Z łez. Wszystkie wylane przez ludzi łzy spłynęły właśnie tutaj i zobacz, co z nich powstało: ogromny ocean. Czy nie sądzisz, że to bardzo smutne?

Edgar spróbował przebić palcem ścianę wody, ale oparzony macką meduzy odskoczył, krzywiąc się z bólu.

– Tak. Bezmiernie smutne.

Antoine rozmyślał o biednym Santiago, porwanym przez morskie fale, które kiedyś były jego domem.

[34] Gatunek głowonoga głębinowego – przyp. tłum.

[35] Legendarny stwór morski, prawdopodobnie kałamarnica olbrzymia – przyp. tłum.

Sklep z wiatru i morskiej soli

Król Jerzy III odkurzył zegar wahadłowy z zupełnie pustą tarczą – nie pamiętał, że tego ranka czynił to już po raz trzeci. Czasomierz prezentował się całkiem nieźle, przypominając bezlitośnie, że *tempus fugit*.

– Wspaniale, doprawdy wspaniale! – mamrotał zadowolony władca. Tego dnia był bardzo wesoły, półprzytomny, ale wesoły. Zepchnął koty, które nieopatrznie kręciły się po ladzie, i również ją odkurzył.

Miał typową dla rudzielców białą, piegowatą twarz, od lat zaczerwienioną od popijanego codziennie już od samego śniadania kiepskiego cienkusa. Smakował fatalnie, ale czego można się spodziewać po najtańszym winie w Tirnaïl. Na lepsze nie było go stać, pieniędzy niestety ciągle brakowało.

Na początku wszystko szło gładko i nie budziło podejrzeń, ale po jakimś czasie król Jerzy III zorientował się, że poprzedni właściciel sklepu – ten Santoro czy Santino, dokładnie nie pamiętał, jak było mu na imię – tonął w długach. Prawdopodobnie właśnie z tego powodu przepadł gdzieś później bez wieści. Tak więc on – monarcha – musiał odłożyć do lamusa królewskie tytuły i maniery, zakasać rękawy i ratować interes.

„Jestem prawdziwym arystokratą”, pomyślał, puszczając przy tym bąka. Między jednym pociągnięciem z butelki a drugim odkurzał i zamiatął. Raz w miesiącu zarzucał sieci, by wyłowić przyniesione przez morze przedmioty, które potem wystawiał na sprzedaż. Robił to dla pieniędzy. Za coś przecież musiał żyć, coś jeść i oczywiście pić. Ale przede wszystkim robił to z powodu żarówki. Mimo że minęło już wiele lat, nie przestawał jej szukać i to dlatego ciągle jeszcze tu tkwił. Nie tracił nadziei, że któregoś dnia razem z oponami samochodowymi, starymi połamanymi wędkami i zagubionymi dowodami osobistymi w falach Morza Zsypijskiego pojawi się również jego żarówka.

Król Jerzy III potknął się o skrzynkę z pustymi butelkami i runął na ziemię jak mors. Kiedy udało mu się pozbierać, wśród zgrai kręcących się po sklepie kotów wyczuł niepokój. Zwierzęta prychały i pomiaukiwały. Z nastroszonymi jak szczotki ogonami i wykrzywionymi pyszczkami spoglądały przestraszone w kierunku wejścia. Król podniósł wzrok i na progu drzwi dostrzegł jakiegoś szemranego typu, który przemówił zniewieściałym głosem.

– Najmocniej przepraszam, czy mogę wejść?

Król Jerzy machnął ręką i wybełkotał coś na potwierdzenie. Przez ułamek sekundy nie miał pewności, czy był goły czy ubrany. Był prawie przekonany, że założył majtki, a także szlafrok. Co prawda rozpięty, ale to akurat nie stanowiło problemu. Najważniejsze, że korona z kartonu była dobrze osadzona na rudej głowie. Idealnie.

– Mój drogi przyjacielu... – wybulgotał król, czkając przy tym głośno. – Dlaczego tak wokół mnie dreczczenie?

Drogi przyjaciel wszedł do środka, zapewniając przekornie, że nie dreczcze, tylko stoi w miejscu. Król w przebłysku świadomości dostrzegł, że gość miał na głowie fioletowy cylinder. A więc wyglądał na dobrego klienta! Monarcha zaparł się ramionami o ladę i, z trudem łapiąc pion, wstał z krzesła.

Przybrał wyniosłą pozę, ponieważ dobrze sytuowany klient oznaczał przyływ gotówki.

– Czego sobie życzyacie?

– Miałbym specjalne zamówienie, wielmożny panie. I chciałbym zostać obsłużony ze szczególną uwagą.

Mężczyzna w cylindrze wsparł się na lasce, zgniatając przy okazji owada, który kręcił mu się pod nogami, a potem zaczął się przechadzać i znacząco rozglądać po sklepie.

– Interesuje mnie towar o wiele cenniejszy od paskudztw, które tu oferujecie.

Król Jerzy III uniósł brwi i obrzucił go mętym spojrzeniem. Ten typ nie przypadł mu do gustu.

– Proszę pana, to nie są żadne paskudztwa, ale przedmioty wydobyte z głębin. Morze Zsypijskie ma swoją godność, i ja również. A przede wszystkim – ja tu nikogo nie obsługuję.

– Ależ proszę pana! Ja jestem hrabią!

– A ja jestem królem!

– Ulitujcie się więc, władco, i oświećcie nędznego prostaczka. Azaliż to z kartonu czy ze złoconego papieru została wykonana korona, którą nosicie na tym ryżym baniaku? – odparował hrabia i ustawił się do niego przodem. – Jesteście zwykłym kmiotem i nic więcej.

Szary wzrok hrabiego na chwilę ześlizgnął się z oblicza króla i zatrzymał na drewnianych drzwiczkach, prowadzących na zaplecze sklepu.

– Jakież to rzadkie i egzotyczne skarby ukrywasz za tymi drzwiami, dobry człowieku?

– Tam, w środku? – Król Jerzy III roześmiał się szczerze, drapiąc się bezceremonialnie po tyłku. Wielką, szorstką dłońią popchnął drzwi wychodzące na tyły składu. – Tu jest kibel. Czy może wasza wysokość chciałaby skorzystać?

Hrabia uśmiechnął się jeszcze chytrze, a tknięty niemiłym przecuciem i przeszyty nagłym chłodem król Jerzy III zebrał poły szlafroka i odsunął się

o kilka kroków w tył.

– Miałbym wielką ochotę pociągnąć za spłuczkę waszego... klozetu, mój miłościwy władco.

– Nie rozumiem, z jakiego powodu mielibyście to uczynić?

– Ach nie? To dziwne.

Na szczęście klient znajdował się w pewnej odległości od króla, w przeciwnym razie natychmiast wyczułby jego podenerwowanie. Jakim cudem ta ludzka glista знаła jego tajemnicę? Największą tajemnicę? Przez wszystkie te lata królowi udawało się ukryć prawdę, pozbywając się klientów, którzy znali sklep jeszcze za czasów Santiago. Niemało musiał się namęczyć, by ludzie uwierzyli, że sprzedawał jedynie oficjalnie wystawiony towar i nic poza tym. Absolutnie nic poza tym. Z upływem czasu klienci przestali zwracać się do niego ze specjalnymi zamówieniami, takimi jak możliwość pociągnięcia za spłuczkę. Ostatnią osobą zadającą zbyt wiele pytań była – jakies cztery, pięć lat temu – pewna cierpiąca na chorobę dwubiegunową dziewczyna, ale król Jerzy III znalazł na nią sposób. Wyciągnął spod kontuaru swój niezawodny turecki arkebuz[36] z 1734 roku i przegonił ciekawską pannę hukiem wystrzału. Postanowił, że teraz tak samo rozprawi się z hrabią. Schylił się pod ladę. Myślał, że był szybki, ale się pomylił. Kiedy chwycił za strzelbę i zamierzał wycelować ją we Vladimira, ten uderzył go laską w głowę i przycisnął do lady. Jednocześnie płomień oświetlającej pomieszczenie lampki oliwnej zaczął powoli dogasać, a sklep z wiatru i morskiej soli wypełniły cienie i przegoniły uciekające z piskiem koty.

Hrabia przybliżył twarz do króla. Miał niesamowicie ostre i białe kły. Polizał spływającą mu po policzku krew, sącząc ją z rany na skroni. Oblizywał się i cmoktał, smakował ją językiem i podniebieniem.

– Wyczuwam długie godziny bezowocnej pracy, osad z dna butelki i cierpki posmak domu wariatów – wycedził mu do ucha. – Nie strój sobie ze mnie żartów, szumowino, ja i tak wiem, kim jesteś. Słyszałeś kiedyś o Cieniach, które porywają nocą śpiących ludzi? Jak nie zrobisz tego, co rozkażę, to rozszarpia ci serce na kawałki i rozrzucą po mieście wiecznej nocy i mgły. Nikt się nawet nie zorientuje, że już cię nie ma, nikt nie będzie po tobie rozpaczał, mięczaku. Twoje życie jest bez znaczenia. Ale jak się postarasz, to może zmienię zdanie... Jeśli tylko mnie przekonasz, że możesz się do czegoś przydać, oszczędzę tve sflaczałe członki i ledwie pikoczące serce. Wszystko zależy od ciebie.

– Ja mogę być bardzo pożyteczny – wybełkotał król, obezwładniony nie tylko okrucieństwem hrabiego, ale również atmosferą przygnębienia, która wypełniła jego sklepik.

– Jestem wręcz niezbędny.

– A z jakiegoż to powodu?

– Ponieważ wiem, jak to działa! Uwolnijcie mnie, panie, błagam!

– Beksą z ciebie, panie królu.

– Nie, proszę, nie. Pozwólcie mi odejść, a zrobię wszystko, co rozkażecie!

Hrabia uwolnił go z uścisku i przechwytyjąc strzelbę, wycelował nią w króla. Wystarczyło, że pstryknął palcami, a zalegające w sklepie z wiatru i morskiej soli ciemności rozproszyły się, a lampka rozbłysła nowym światłem.

– W zamian za pomoc otrzymasz wynagrodzenie – dodał i położył na ladzie mały pakunek.

– Wy... wy... Mój najjaśniejszy panie... to naprawdę zbytek łaski... – Król próbował się jeszcze jakoś wycofać.

– Daj spokój! Wiem o tym, że słynę z szerokiego gestu i szczerego serca. Pomagam ludziom w potrzebie. No dalej, zobacz, co ci przyniosłem... – Vladimir wskazał na paczuszkę. – Jak nie wierzysz, to sprawdź. Wreszcie skończą się twoje troski.

Jej otwarcie zajęło królowi trochę czasu. Trzęsły mu się ręce i łzawiły oczy, ale kiedy ujrzał, co było w środku, przestał skomleć i drżeć. Jego spojrzenie wypełniło się światłem. Pakunek zawierał żarówkę.

– Chcecie skorzystać z toalety, miłościwy panie? – zadał hrabiemu pytanie głosem człowieka znajdującego się w sytuacji bez wyjścia. Hrabia pokręcił głową. Nudziło go wszystko, co zbyt łatwo mu przychodziło.

– Ale ty nalegasz, mój królu! Dziękuję ci bardzo, ale akurat nie po to tu przybywam. Niedługo zajedzie tu zielony fiat panda i się zatrzyma. O niego mi chodzi.

– Skąd wiecie, że się zatrzyma?

– Czy to jest sklep z wiatru i morskiej soli?

Król Jerzy potwierdził.

– A więc się zatrzyma.

21 marca 1998 roku

Osiem lat od ucieczki z domu. Praca w zawodzie tanatocosmetologa, małżeństwo, śmierć matki i rozwód. Potem wreszcie powrót. W ciągu ośmiu lat wiele może się zdarzyć. Czas zmienia ludzi i przedmioty. Uświadomił to sobie, kiedy wrócił do domu w Quartieri i zobaczył grubą warstwę kurzu i pajęczyn, wyblakłe róże na tapecie, osuwające się ze ścian obrazy, kamień w rurach i zatrzymane zegary – wielcy oszuści, wszak czas mijał tu tak samo jak w każdym innym miejscu. Baletki jego matki same spadły z gwoźdźca, na którym zawiesiła je trzydzieści pięć lat wcześniej.

Przekroczenie progów tego mieszkania było jak przejście się w lustrze po bardzo długim czasie i dostrzeżenie nieodwracalnych zmian, zmarszczek i siwych włosów.

Jest tu od trzech miesięcy. Kartony stoją jeszcze nierozpakowane po

przeprowadzce, ale jest mu dobrze, jest szczęśliwy, ponieważ wreszcie może być razem z nią, z dziewczyną, którą poznał na brzegu rzeki.

Nawet nie wie, kim ona jest, od tamtej nocy nigdy więcej jej nie spotkał, ale codziennie o niej myślał. Od 10 sierpnia 1990 roku minęło osiem lat, przeszło dwa tysiące siedemset dni. Nawet w czasie nocy poślubnej zastanawiał się, co ona teraz robi i gdzie się podziewa. Miał wrażenie, że ją zdradza. I zawsze, kiedy było mu smutno, kiedy był wściekły lub zawiedziony, wspominał Kryształową Noc, a wtedy wszystko wypełniało się blaskiem.

Pisze dla niej niekończącą się opowieść. Zaczął osiem lat temu i do dziś nie przestał. Historię o nich, o miłości, z nadzieją, że los da im jeszcze jedną szansę, podaruje dodatkowo czas.

To wspomnienie stało się jego obsesją. Tęskni za poczuciem lekkości, którego doznał przez chwilę u jej boku. Jedynym sposobem na wypełnienie pustki i ukojenie tęsknoty jest pisanie. To taka jego terapia. Spędza czas z wymyśloną bezimienną dziewczyną. Nie ma pracy ani znajomych, nie spotyka się z kobietami ani krewnymi, ale dopóki pisze, dopóty ma nadzieję, że kiedyś będzie jeszcze szczęśliwy. Prawie nigdy nie wychodzi z domu, a jeśli, to tylko po to, by odpocząć od kłótni mieszkających nad nim małżonków Palombo. Sufit jest bardzo cienki, a przewód wentylacyjny działa jak megafon; chyba nie istnieje nic, czego by o nich nie wiedział.

Wypisał mu się długopis. Chucha na wkład i próbuje rozpisać go na kartce. Przez chwilę gryzmoli coś resztkami tuszu, ale w końcu jednak długopis odmawia współpracy. Niedbale rzuca go za siebie, na cmentarzysko wypisanych długopisów między fotelem i biurkiem w salonie. Jest ich tam już cała sterta. Uwielbia pisać ręcznie. Lubi czuć, że bolą go ścięgna, że to, co robi, wymaga nie tylko wysiłku umysłowego, ale również fizycznego.

Teraz niestety będzie musiał wyjść i kupić nowy długopis. Za każdym razem, gdy przekracza progi mieszkania, przeżywa wewnętrzny dramat. Konfrontowanie się ze światem zewnętrznym coraz więcej go kosztuje. Kiedyś lubił ludzi, przyglądał się im, analizował szczegóły, podkradał ich historie. Teraz tylko się ich boi. Wie, że by go nie zrozumieli.

– W domu musi być jakiś długopis – mówi sam do siebie. – Mama gdzieś je zawsze chowała.

Rozgląda się dokoła, próbuje przywołać wspomnienie z dzieciństwa. Jako smarkacz pisał i rysował po wszystkim, co popadło, po ścianach też. To dlatego mama chowała przed nim długopisy w miejscu, do którego nie mógł dosięgnąć... Gdzieś bardzo wysoko.

– Wiem! – krzyczy i biegnie do kuchni. Wspina się na zlewozmywak. Nad suszarką do naczyń, kilka centymetrów pod sufitem znajduje się mała półka. Wyciąga ramię i na coś natrafia. Pluskwy! Zgarnia je dłonią. Potem znajduje coś

jeszcze. Porcelanowy serwis do herbaty, prawdopodobnie ślubny prezent jego rodziców, talerzyki, filiżanki i dzbanek. Jest dokładnie tak, jak pamiętał, długopisy schowane są w tym dzbanku.

– Kto wie, czy jeszcze piszą... – zastanawia się głośno i jest taki podekscytowany, że dzbanek wysuwa mu się z dłoni i spada na podłogę.

Po kuchni rozpryskuje się tysiąc porcelanowych odłamków, a razem z nimi spadają trzy długopisy, kilka ołówków, niezmywalny marker i jakiś klucz. Jednym susem zeskakuje na ziemię. Nachyla się, żeby go podnieść. Jest niewielki, żelazny, trochę zardzewiały i ma lekko skrzywioną końcówkę. Nawet nie musi się zastanawiać, do którego zamka pasuje. Podnosi wzrok i zatrzymuje go na drzwiach od gabinetu ojca, zamkniętych właściwie od zawsze, odkąd tylko sięga pamięcią.

Później posprząta odłamki i pozbiera rozrzucone po podłodze długopisy. Na chwilę zapomina również o dziewczynie znad rzeki, przyglądającej mu się z rozrzuconych na tapczanie kartek. Bierze głęboki oddech i umieszcza klucz w zamku. Otwór jest lekko uszkodzony, musi się dopasować. Przez chwilę manipuluje kluczem i w końcu mu się udaje. Przekręca go i popycha drzwi, które z jękiem otwierają się na zapomnianą przeszłość.

Coś latało mu koło nosa i strasznie go wkurzało. Przekłete muszysko.

– Pozwól mi śnić, pozwól mi wspominać! – spróbował ją przegonić, ale mucha była natrętna. Chciał ją trzepnąć, ale nie trafił. Raz jeszcze się zamachnął i uderzył się w nos. Potem usłyszał śmiech Genève i otworzył oczy. Łaskotała go piórem mewy.

– Obudź się wreszcie, śpiący królewiczu. Musisz coś zobaczyć.

Antoine podniósł się zaspany i trochę trwało, zanim przypomniał sobie, gdzie i z kim przebywał. We śnie był znowu sobą, a teraz, w tym surrealistycznym otoczeniu Tirnaíl, znowu poczuł się zagubiony.

Przez całą noc jechali przed siebie korytarzem wzdłuż Morza Zsypijskiego. Teraz tuż przed nimi, na samym dnie akwenu wznosiło się usypisko z kamieni. Edgar, który z daleka wyglądał jak zgięta na wietrze łodyga, wdrapał się na jego szczyt i obserwował dziwną rudere.

– Dlaczego stoimy? – spytał opowiadacz historii, na pół przebudzony i rozdrażniony, że ktoś wypłoszył go z zacisznej krainy wspomnień.

– Jeśli jeszcze raz spytasz dlaczego, zrobię ci krzywdę – Genève otworzyła drzwi samochodu i zmusiła go, żeby wysiadł.

Dołączyli do Edgara, nadal wpatrującego się w podupadłą eklektyczną budowlę. Było to bez wątpienia miejsce szczególne, miejsce, o którym tak wiele opowiadał mu Santiago – jego sklep na dnie Morza Zsypijskiego, gdzie ludzie przychodzili, by pociągnąć za spłuczkę. Domek z wiatru i morskiej soli. Antoine wiedział to z całą pewnością i – znając zwariowanego staruszka – nie był

zaskoczony wyglądem budowli. Dziwaczna chatka sklecona była z fragmentów różnych wraków – drewnianych barek i żaglówek, elementów łodzi podwodnych i nadwodnych, pokryta algami, małżami, macicą perłową i wszystkim tym, co przyniosło morze z podróży dookoła świata. Porywisty wiatr nadymał drewnianą konstrukcję i wypełniał jej najmniejsze szczeliny i zakamarki morską solą. Podchodząc do budynku, poczuli się wessani w wietrzny wir i oblepieni solą, od której skóra stawała się sucha i błyszcząca.

– To znaczy, że Santiago nie żartował – zastanawiał się głośno Antoine, wchodząc po kamiennych schodach, prowadzących do drzwi wejściowych.

– To jakieś absurdalne miejsce! – wykrzyknęła Genève, owijając się szczelnie marynarką Edgara, za dużą na nią o trzy rozmiary.

Antoine zapukał do drzwi, przyglądając się w tym czasie budynkowi, a raczej zlepkowi pochodzących z różnych okresów rupieci, który kształtem przypominał przecięty na pół statek parowy. Nad głową dostrzegł stalową płytę, a na niej wyraźny napis „Connemara IV”. Trochę wyżej, na kawałku podziurawionego przez korniki drewna z trudem odczytał nazwę: „Mary Celeste”. Znajdował się tam również – wciśnięty pomiędzy śrubę od motorówki a siodełko od skutera wodnego – płat samolotu z czasów drugiej wojny światowej, opatrzony symbolami „Douglas DC-3”.

– Jeśli zastanawiasz się, skąd wzięły się tutaj te przedmioty, to wiedz, że są to fragmenty zaginionych wraków.

– Nigdy tu jeszcze nie byłaś?

Gen pokręciła głową i nacisnęła na klamkę, zanim jeszcze ktokolwiek zaprosił ich do środka.

[36] Dawna broń strzelecka – przyp. tłum.

Król Jerzy III

Przekraczając progi sklepu, Antoine natychmiast pomyślał o biednym Santiago i był szczęśliwy, że staruszek nie musiał oglądać ruiny, w jaką popadł jego ukochany sklep. Opowiadacz historii nie miał wątpliwości, że to nie stary Santiago doprowadził to miejsce do takiego stanu.

Z sufitu baraku i przez szczeliny w podłodze przeciekała woda. Zawilgocone ściany porastały śliskie algi i jak morska dżungla pokrywały brudne i zakurzone regały pełne wszelkiego rodzaju bezużytecznych przedmiotów, których z pewnością nikt zdrowy na umyśle nigdy by nie kupił. Były tam koła rowerowe, skórki od bananów, stare podeszwy, długopisy z pogryzionymi końcówkami, podarte koperty, papierki od lizaków i czekolady, oprawki od okularów, porozrywane książki, pudełeczka z mlecznymi zębami i wyszlifowane przez morze kawałki kolorowego szkła, przypominające do złudzenia szlachetne kamienie...

Czy ktokolwiek mógłby pożądać tego typu przedmiotów?

Antoine z właściwym sobie wdziękiem natychmiast przewrócił stos pudełek od kaset wideo. Kiedy próbował je jakoś poukładać, usłyszał dochodzący z góry łomot. Z usytuowanych w pobliżu zniszczonej lady schodów, w oparach alkoholu stoczył się cuchnący i wielki jak żubr człowiek... Zbliżył się do nich z uśmiechem.

– O, jak miło! – niemal zapiał ze szczęścia. Uścisnął Antoine'owi dłoń, redukując ją do rozmiarów małego szaszłyčka. – Czuję się niewypowiedzianie zaszczycony, szanowny panie! Jaki pomyślny wiatr was tu przywiał?

– Ja...

– Wspaniale, doprawdy wspaniale! Czy wolno mi spytać o pańską godność, szanowny panie? Ja jestem król Jerzy III, niepodzielny władca wszystkiego, co was tu otacza!

Antoine rozejrzał się dookoła jedynie z grzeczności. Za ladą dostrzegł drzwi prowadzące do latryny.

– To niewątpliwie imponujące królestwo – przyznał uprzejmie. – Jestem przyjacielem Santiago.

– Naprawdę? Chyba raczycie żartować, szanowny panie? – Mężczyzna był rozpromieniony, trochę nienaturalnie. – Należy się więc panu specjalna obsługa! Może się czegoś napijecie? Czy macie ochotę na piwo?

– Zawsze mamy ochotę na piwo – odparła Genève.

- Nie, dziękujemy – zgromił ją spojrzeniem Antoine.
- To i lepiej, bo i tak bym nie miał. Mam tylko wino w kartonikach, a na specjalne okazje coś mocniejszego. Może mielibyście ochotę?
- Nie... panie królu, chcieliśmy się tylko trochę rozejrzeć.
- Bardzo proszę, szanowny panie. Czujcie się jak u siebie w domu. A co tam słysząc u starego Santoro?

Antoine zmarszczył ze zdziwienia czoło.

- Santiago niestety nie ma się zbyt dobrze.
- Och, to szkoda, wielka szkoda. Posłuchajcie, jak dobrze poszukam, to pewnie znajdę gdzieś trochę wódki. Napijcie się, co? Albo może... może wolicie odświeżyć się nieco po podróży, może chcecie skorzystać z toalety? Przebyliście długą i męczącą drogę.

Król nikogo ani niczego nie słyszał. Szczęśliwy i zadowolony, a może raczej pijany i ledwie trzymający się na nogach, wskazał im drzwi do toalety.

- Bardzo proszę, szanowny panie. Nie krępujcie się.
- To co? Wchodzimy do tej... łazienki? – Antoine był pełen wątpliwości.
- A gdzie, jeśli nie do łazienki?! Jeśli jesteście przyjacielem Samsona, to z pewnością opowiadał wam o swoim... o naszym sekrecie! Wyobrażam sobie, że właśnie z tego powodu tu przybywacie!

– Hmm... Santiago opowiadał mi jedynie o sklepie z wiatru i morskiej soli. Nie miałem pojęcia, że przekazał go jakiemuś... współnikowi?

– Wspólnikowi, przyjacielowi, powiernikowi, byłem wszystkim dla tego poczcwiwa, a stary Santuzzo był wszystkim dla mnie.

Król potrząsnął kilkakrotnie głową, udając wzruszenie. W tym, co mówił, nie było ani krzty prawdy. Antoine zauważył, że na skroni miał zaschniętą strużkę krwi, niedbale opatrzoną kawałkiem szerokiej samoprzylepnej taśmy pakunkowej.

– No więc? Na co czekacie? Wchodźcie do środka! – nalegał król, podekscytowany i spięty. – Jak już wcześniej powiedziałem, łazienka jest do waszej dyspozycji, szanowny panie!

– Idź się wysikać Antoine, przynajmniej będzie miał radochę i może się wreszcie odczepi – zasugerowała Genève.

– Santiago nigdy mi o nim nie mówił. Opowiadał jedynie, że sprzedawał rzeczy wyłowione z morza, i że ludzie, którzy do niego przychodzili, pociągali za spłuczkę, po czym odchodzili spełnieni i wewnętrznie oczyszczeni.

– Z jakiego powodu? Dlatego, że spuścili wodę? Och, nie, nie! – Król Jerzy III wybuchnął śmiechem, a policzki miał rozpalone do czerwoności. – Nie sądzę, by pociągnięcie za spłuczkę mogło kogokolwiek uszczęśliwić.

– Ja również próbowałem o tym przekonać Santiago.

– Ależ to oczywiste, szanowny panie. To jakieś wariactwo! Ale zapewniam, że jeżeli wejdziecie i pociągniecie za spłuczkę, od razu poczujecie się bardziej

ukontentowani.

Antoine obrzucił ukradkowym spojrzeniem obmierzłą toaletę. Kim był ten człowiek i dlaczego tak bardzo zależało mu, aby Antoine wszedł do środka?

– Nie budzi mojego zaufania – wyszeptała mu do ucha Genève.

– Mnie też on nie przekonuje, panie Antoine. Zobaczyliśmy to, co chcieliśmy zobaczyć, i nie ma powodu, żeby się tu dłużej zatrzymywać – wtrącił Edgar.

– Ale ja nie sugerowałam, żeby stąd odjechać – zaproponowała Genève i Antoine nie był zaskoczony, kiedy weszła za kontuar i otworzyła drzwi od wychodka. Opowiadacz historii chciał ruszyć za nią, a król Jerzy III przeskoczył ladę i wyprzedził go, gnąc się w ukłonach. – Ja pana zaprowadzę.

Jak tylko znaleźli się w tym... chlewie, Antoine wstrzymał oddech. Dopadły go zawroty głowy i mdłości. Edgar z kolei zakrył sobie usta lnianą chusteczką, starając się zapanować nad odruchem wymiotnym na widok rozrzuconego w narożniku zarobaczonego jedzenia dla kotów, a także wymieszanego z kocimi odchodami piasku w kuwecie.

– Pan żyje jak dzikus, szanowny panie! – pozwolił sobie zauważyć malarz, któremu teraz już naprawdę chciało się rzygać. – Co pan tu przechowuje? Trupy?

– Trupy pachną w porównaniu z tym syfem. – Genève sparaliżowało na widok poplamionych kafelków, brudnego i pomazanego infantylnymi rysunkami lustra, a także zardzewiałych i zakamienionych rur.

Król Jerzy III zabarykadował drzwi, a następnie stanął w milczeniu i bezruchu, zachłannym wzrokiem przyglądając się gościom. Jego oczy wyglądały jak dwa naładowane adrenaliną reflektory.

– Proszę bardzo, szanowny panie, proszę, pociągnijcie za spłuczkę.

– Wypuść nas stąd – rozkazała mu Genève, która powoli zaczynała mieć tego dość. – Usuń się z drogi, wstrętna góro sadła, i wypuść nas stąd!

– Czego od nas chcesz?

Król nie odpowiedział. Zgasił światło i chwycił za zwisającą z kabla pośrodku latryny żarówkę. Przytrzymał ją palcami i wykręcił. Pomieszczenie oświetlał teraz jedynie nikły blask dochodzący ze sklepu.

– Idziemy stąd.

Antoine wreszcie przestał bawić się w konwenanse. Uczynił kilka kroków w stronę wyjścia, ale król nieoczekiwanie zablokował mu drogę i przystawił do piersi lufę jakiejś archaicznej broni. Gdyby okazało się, że ten antyk działa, Antoine miałby rozpruty tors.

– Nie wiem, czy się orientujecie, szanowny panie, ale kolekcjonujemy tutaj żarówki należące do różnych znanych osobistości. Posiadamy okazy będące swego czasu własnością Kaliguli i Messaliny, Nietzschego, van Gogha i Rasputina! Przy każdym nazwisku król Jerzy III nadymał się jak balon. – Gdy ostatnim razem

wyruszyłem na połów, natrafiłem na żarówkę należącą do sir Arthura Conana Doyle'a, któremu się zdawało, że wszędzie widzi wróżki[37]. Ale baba z niego, co?! Też mi coś, wróżki!

– A co to ma wspólnego ze mną? – odrzekł Antoine, starając się jednocześnie oszacować odległość dzielącą króla od drzwi. Jednak żeby się stąd wydostać, trzeba było najpierw odebrać mu broń, a król był wielki jak grizzly, a w oczach miał okrucieństwo gotowego na wszystko desperata.

– Mamy tu ogromny magazyn. – Król Jerzy III wznosił oczy do sufitu, wskazując na tajemnicze zbiory, znajdujące się ponoć na piętrze nad ich głowami. – Kto wie, może jest tam i wasza żarówka, ale żeby się o tym przekonać, musicie najpierw pociągnąć za spłuczkę. Bardzo was proszę, nie chciałbym wam zrobić krzywdy, proszę mnie do tego nie zmuszać. Proszę natychmiast pociągnąć, i już!

Król nie żartował.

Antoine popatrzył na Genève, która dała mu przyzwolenie ruchem głowy.

– Zrób, jak każe – zasugerowała i, gotowa na wszystko, wydobyla z kieszeni dzinsów nóż.

Opowiadacz starał się nie patrzeć na pływające w sedesie farfocle. Chwycił za uchwyt łańcucha, pociągnął i niemal odskoczył. Była w niego wbita igła. Ukłuł się.

– Krew człowieka mówi o nim wszystko...

Podczas gdy spłuczka wykonywała swoją brudną robotę, do ich uszu doszły metaliczne trzaski. Kiedy Antoine pociągnął za łańcuch i – już po raz kolejny – upuścił trochę krwi, na piętrze nad ich głowami albo może w ścianach uruchomił się jakiś dziwny mechanizm.

– Teraz ją wyciągnijcie.

– Co takiego?

– Słyszycie, co powiedziałem! – wrzasnął król, przystawiając Antoine'owi strzelbę do twarzy. Włóżcie tam rękę i wyciągnijcie ją!

Lufą arkebuza popchnął Antoine'a w kierunku muszli, a ten po sam łokieć zanurzył ramię w mętnej wodzie i coś w niej namacał. Coś, czego wcześniej tam nie było – żarówkę.

– Macie szczęście... Znaleźliście ją, panie – wyszeptał król, patrząc na ten banalny przedmiot z takim zachwytem, jakby miał przed sobą nieoszlifowany diament. – To jest światło, które utraciliście.

Ich spojrzenia spotkały się.

– I to właśnie tym handlujecie? Utraconym światłem?

– Już nie. To stary Santiago je sprzedawał. Ja miałem jedynie nadzieję na odnalezienie mojej żarówki... A przynajmniej tak było do dziś. Poczekam na pana na zewnątrz. – Król bez przekonania skierował się w stronę drzwi, gryząc usta do krwi.

To czekanie na zewnątrz było chyba ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę. Gdyby tylko mógł, zamieniłby się z Antoine'em. Z chęcią oddałby mu swój los, swoją historię, chciałby być na jego miejscu i ścisnąć w dłoniach starą żarówkę.

– Co mam z nią teraz zrobić? – spytał opowiadacz, zanim król się oddalił.

– A co byście uczynili panie, gdybyście odnaleźli moment, w którym zaczęliście patrzeć na świat innymi oczami? Czy nie zmienilibyście wszystkiego, nie próbowalibyście wyzdrowieć, jeśli tylko udałoby się wam przypomnieć ten konkretny moment, w którym staliście się tacy, jacy teraz jesteście?

– Taki, jaki teraz jestem?

Król prychnął, przykładając sobie palec do skroni. – Wariat! Kompletny wariat! Jeśli ktoś trafia do Tirnaïl, to znaczy, że wcześniej odrzucił rzeczywistość, a więc siłą rzeczy musi być wariatem. Tu wszyscy jesteśmy szaleńcami! Cały świat to jeden wielki szpital psychiatryczny. Klatka dla opętańców... Och, co za trafne określenie! A kto się z niej wydostanie, nie jest bardziej od innych szalony, ale bardziej wolny!

Król zachwiał się na progu, niepewny, czy sobie pójść, czy zostać. Był pijany i jak każdy porządny pijak z euforii łatwo przechodził w stan przygnębienia. Spuścił wzrok, wpatrywał się w pęknięcie między dwoma kafelkami.

– I wtedy dopiero robi się niebezpiecznie – kontynuował niskim, ponurym głosem. – Ponieważ się uwolniłeś, muszą cię powstrzymać. Izolują cię, torturują ci mózg, szatkują go na kawałki... Dlaczego? Tylko dlatego, że któregoś dnia przespacerowałeś się ulicą w papierowej koronie na głowie. W koronie, którą zrobiła dla ciebie twoja córka. Aresztują cię. Mówią, że stanowisz zagrożenie, że jesteś goły i pijany, i że ludzie się ciebie boją. A ty próbujesz ich przekonać, że jest odwrotnie, że to właśnie ty boisz się ludzi! Krzyczysz, ale to niczego nie zmienia, bo oni i tak cię już zabrali. Przenoszą cię do innej klatki, mniejszej i jeszcze gęściej zakratowanej, a tam zupełnie nie masz już czym oddychać. Zdejmują ci z głowy koronę. Koronę podarowaną ci przez córkę, nawet tego ci nie zostawią. I teraz stajesz się również niewolnikiem szaleństwa. Dopóki nie postradasz zmysłów, dopóki nie stracisz wszystkiego i nie znajdziesz się tutaj...

Król mówił na bezdechu. Nawet zapomniał o ich obecności. Opowiadał tę historię sobie samemu, chyba po raz tysięczny. Chciał odnaleźć jej sens, który ciągle jeszcze mu się wymykał. Doszedł do siebie dopiero po kilku sekundach.

– A więc dobrze, szanowny panie. Cieszcie się tą chwilą – wymamrotał. Na jego bordowych od wina ustach pojawił się uśmiech. – A potem ja będę się cieszył moją.

Kiedy król Jerzy III wychodził z toalety, zamykając za sobą zaopatrzone w podwójny zamek drzwi, żadne z całej trójki nie wypowiedziało ani słowa. Gdy zostali sami, stanęli w ciasnym kręgu, nie wiedząc, co czynić.

– Ten człowiek ma poważne problemy...

– Najwidoczniej nieprzypadkowo się tutaj znajduje. Szkoda, że Santiago więcej mi o nim nie opowiedział... – podsumował spotkanie Antoine.

– A co miał ci opowiedzieć, pacanie? Sam nie widzisz, o co chodzi?

Genève rozejrzała się za zwisającym z sufitu przewodem, wyjęła Antoine'owi żarówkę z ręki i wkręciła ją trzema wprawnymi obrotami zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Upewniwszy się, że prawidłowo ją zamocowała, nacisnęła włącznik.

Wkrótce królewską toaletę wypełniło ponure światło, choć na dobrą sprawę niewiele już z niej pozostało.

[37] Autor *Przygód Sherlocka Holmesa* interesował się zjawiskami nadprzyrodzonymi i do jednego z brytyjskich magazynów napisał swego czasu artykuł o wrózkach z Cottingley – przyp. tłum.

Złodziej z mgły

Ściana cuchnącej łazienki rozplynęła się jak topiony ser na słońcu, zmieniła konsystencję i nabrała zupełnie nowych kształtów. Antoine odniósł wrażenie, że został wessany przez potężną czarną dziurę, przeniesiony do jednego z równoległych światów, w którym zarówno utracone przedmioty, jak i zmarli ludzie nigdy nie przestają istnieć i trwają w zawieszeniu niczym strzępy czasu na szkielecie wieczności.

– Gdzie my teraz jesteśmy? – spytali Edgar i Genève, ale nie otrzymali odpowiedzi.

Antoine rozejrzał się dookoła i natychmiast zorientował się, dokąd tym razem dotarli. Przebywali w jego rodzinnym domu z tamtego świata.

Dziewczyna pokazała malarzowi kalendarz, był 6 grudnia 1976 roku.

Antoine siedział przy żółtym kuchennym stole, pochylony nad talerzem klusek *cazzarielli* z soczewicą, w dłoni trzymał łyżkę. Stojący w pobliżu lodówki Edgar i Genève przyglądali mu się niepewnie, jednak uwagę pisarza zwróciła zupełnie inna postać – siedząca po przeciwnej stronie stołu kobieta. Miała zaczerwienione i podpuchnięte oczy, prawdopodobnie od płaczu lub ze zmęczenia. W palcach ścisnęła zapalonego papierosa i gryzła nerwowo końcówkę długopisu. Już od dłuższego czasu ślęczała nad wypełnionym obliczeniami zeszytem, rachowała przy pomocy zacinającego się kalkulatora.

– Musimy oszczędzać prąd. Zresztą ty lubisz świece, prawda? A ty... ty też będziesz musiał zabrać się do roboty. Sama nie dam rady – zakończyła, przecierając oczy zniszczoną i pokrytą odciskami dłonią.

– Wcale nie jesteś sama. Przecież on ciągle jeszcze przysyła nam pieniądze – Antoine odpowiedział niemal automatycznie, jak aktor od lat recytujący tę samą kwestię.

– Tak, ale znając go, z dnia na dzień może przestać i co my wtedy zrobimy? Każdy kolejny miesiąc to los wygrany na loterii. Musisz mi pomóc, rozumiesz?

Antoine przytaknął. Przejrzał się w szklistym spojrzeniu kobiety i zobaczył w nim siebie. Nie żałosnego pięćdziesięciolatka, ale zagubionego dwunastoletniego chłopaka, jakim był prawie czterdzieści lat wcześniej, siedzącego z matką przy stole w pustym mieszkaniu.

– Musisz mi pomóc. Jesteś moim małym mężczyzną. – Mama pogłaskała go

po policzku i popatrzyła pełnym miłości wzrokiem. – Jesteś taki śliczny, mój syneczku.

Antoine bardzo chciał powiedzieć coś, co sprawiłoby, żeby choć na chwilę się uśmiechnęła.

– A wiesz, że gęganie nie wywołuje echa?

– Tak? A dlaczego?

– Nie wiadomo dlaczego.

– W szkole was tego uczą?

– Nie, przeczytałem w jakiejś książce. Chciałbym mieć kiedyś zawód związany z książkami.

– Będziesz przymierał głodem. Dalej, jedz!

– Nie. Muszę się przyzwyczajać do przymierania głodem.

– Jedz, głuptasie. Tyle mnie to kosztuje. I pracy i pieniędzy – odezwała się tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– A ty nie jesz?

– Nie, nie mam ochoty.

Antoine zrobił, jak kazała. On też nie miał ochoty, ale nie chciał sprawiać jej przykrości. Była wykończona fizycznie i psychicznie.

W tym czasie Edgar i Genève rozglądali się po mieszkaniu, szukali informacji, które pozwoliłyby ustalić tożsamość opowiadacza. Genève skontrolowała pocztę – wszystkie listy zaadresowane były do państwa Fonte.

– Twoja matka ma na imię Ester – odezwała się wreszcie triumfalnym tonem.

„Miała na imię...”, pomyślał Antoine, któremu teraz wolno było jedynie obserwować rozgrywającą się na jego oczach scenę. Nie mógł powiedzieć ani zrobić nic poza tym, co zostało już powiedziane lub zrobione tej grudniowej nocy 1976 roku. Miałby ochotę zapytać tę obcą, choć w jakiś sposób bliską mu kobietę, jakie dała mu imię przy narodzinach, ale nie było to możliwe.

Antoine wstał od stołu, wyrzucił resztki do kosza na śmieci i oplukał talerz.

– Mamo? – wyszeptał jej do ucha i słowo to zabrzmiało nienaturalnie, wręcz skrzekliwie. Od lat go nie używał.

Kobieta przysnęła oparta o stół, z twarzą przyklejoną do zeszytu. Między palcami ścisnęła tłący się jeszcze niedopałek.

– Mamo, powinnaś się położyć.

Pomógł jej wstać, a ona mruzczała pod nosem, że zdrzemnęła się tylko na chwilę, żeby dać odpocząć oczom. Odprowadził ją do pokoju i położył do łóżka. Zimą w sypialni panował lodowaty ziąb. Włączył na chwilę piecyk w nogach posłania, za jakiś czas miał go wyłączyć.

– Gdyby nie ty, to by mnie tu nie było – powiedziała, gładząc go po twarzy.

Antoine pocałował ją na dobranoc i cichutko zamknął za sobą drzwi.

– Jesteśmy w twoim domu. – Gen przebiegła wzrokiem po grzbietach książek na półkach.

Stare, zniszczone mieszkanie miało wysokie sufity i skrzypiące podłogi, ale było czyste i schludne. Bieda nie pozbawiła ich godności. Każdy kąt pachniał lawendą, każda rzecz była na swoim miejscu.

Antoine przytaknął, czuł się jak w transie.

– Sami tu mieszkacie?

Przytaknął po raz drugi, przyglądając się zdjęciom na komodzie.

– Czy to pański ojciec, Antoine? – spytał Edgar, rozsiadając się na tapczanie.
– Nie żyje?

Antoine pokręcił głową. Nie, ale wolałby, żeby tak było.

Dwa lata wcześniej ojciec ich zostawił. Pewnego letniego dnia Antoine odprowadził go na stację. Ojciec odjechał do Wenecji. Chłopiec pokiwał mu z siódmego peronu i potem już nigdy więcej go nie zobaczył – tata przepadł bez wieści.

– Opuścił was?

Przytaknął. Mijając zamknięte jak zwykle drzwi gabinetu ojca, obrzucił je niechętnym spojrzeniem. Klucz od pracowni stary zabrał ze sobą, nosił go zawsze na piersiach, jak drugie serce.

Wszedł do swojego pokoju, a raczej do przerobionej na pokój komórki. Położył się na łóżku, włączył telewizor i niemal bezwiednie wybrał odcinek serialu *Strefa mroku*. Z minuty na minutę zapominał o obecności Edgara i Genève; był przekonany, że naprawdę cofnął się do roku 1976. Miał prawie trzynaście lat i wszystkie typowe dla tego wieku dylematy i obawy.

Nie zauważył, że Genève bez słowa wyciągnęła się obok niego na łóżku.

Z kuchni dochodziło tykanie zegara z kukułką. W końcu Antoine zapadł w lekki sen, słyszał jednak każdą wybijającą godzinę. Czas płynął szybko i o trzeciej nad ranem (to jest prawdziwa godzina szatana, wcale nie północ – zwykły mawiać jego ojciec) wydało mu się, że dopiero co przyłożył głowę do poduszki.

Nagle – zupełnie jak w bajkach, w których z jakichś niezrozumiałych powodów uczy się dzieci strachu przed ciemnością – usłyszał skrzypienie podłogi, a potem lekkie stuknięcie. Genève potrząsnęła nim delikatnie za ramię.

– Słyszałeś?

Edgar, który do tej pory pozostawał w salonie, przybiegł cichutko na palcach i stanął w progu pokoiku.

– Ktoś przyszedł – wyszeptał i z wycelowaną do przodu laską zanurzył się nieustraszony w mroki mieszkania.

Antoine i Genève podążyli jego śladem. Przemierzywszy salon, przystanęli i obserwowali otwarte na oścież drzwi wejściowe. Słyszać było jedynie tykanie

zegara.

- Może to twoja matka?
- Sza! – uciszył ich Edgar.

Przez szpary zamkniętych drzwi gabinetu przeświecało nikłe światło. Malarz ruszył w ich kierunku, a Antoine'owi serce skoczyło do gardła. Miałby ochotę go zatrzymać, powiedzieć, że to niedozwolone, że nie można nawet dotykać klamki tych drzwi, ale Edgar zrobił coś gorszego... Coś o wiele gorszego – po prostu je otworzył. I wszedł do gabinetu ojca.

Antoine poczuł mrowienie w palcach i ulegając w końcu tej surrealistycznej atmosferze, naruszył *sacrum* swojego dzieciństwa i przekroczył progi zakazanego terytorium. To miejsce od zawsze rozbudzało jego wyobraźnię i odkąd sięgał pamięcią, snuł na jego temat najdziwniejsze domysły. Podejrzewał, że ojciec ukrywał tam nieślubne dzieci z dwiema głowami, gibkie tancerki wykonujące taniec brzucha, tygrysy obłaskawiane przez mamę landrynkami, czarodziejskie lustra porywające odbicie oraz całe zastępy skrzatów i wrózek... Wszystkie opowiadane przez ojca historie powstawały prawdopodobnie w tej baśniowej jaskini; to w niej został uwięziony okrucieństwo magii, a w dziecięcej główce Antoine'a to, co zakazane, stawało się tajemnicze, a to, co tajemnicze – czarodziejskie. Za progiem drzwi do pracowni ojca niemożliwe stawało się możliwe.

A jednak nic z tego, co sobie wyobrażał, nie okazało się prawdą. Pośrodku zupełnie pustego pomieszczenia stało jedynie przekrzywione biurko. Mury gabinetu nie kryły niczego wartościowego. To one same stanowiły jego największą wartość. Pokój oświetlały dziesiątki ociekających woskiem świec, porostawianych niczym krzyże na cmentarzu. W ich blasku Antoine dostrzegł pokryte zapiskami i rysunkami ściany, nie przebijał spod nich nawet najmniejszy wolny skrawek. Słowa, zdania, szkice, a nawet całe opowieści trwały tu zakłute jak skarby w starej komnacie.

– To przekłete historie – rozległ się czyjś ochrypły głos, a zaskoczony Antoine aż wzdrygnął się na jego dźwięk.

W ciemnościach dostrzegł jakiegoś mężczyznę. Stał oparty o brzeg biurka i zdawało się, że na kogoś czeka. Dziwne, że wcześniej go nie zauważył, przecież dokładnie rozejrzał się po całym pokoju.

Odruchowo postąpił dwa kroki w tył i uderzył plecami o drzwi.

– Tato, to ty...? – spytał szeptem, niepewny, czy widzi przed sobą ojca, czy może tylko jego odbicie.

– Zawsze uwielbiałeś historyjki i opowieści. Mówiłeś, że każdy przedmiot może stać się tym, co sobie wyobrazimy. Byłeś bardzo inteligentnym dzieckiem i bardzo kochanym... Wiem, że zasługiwałeś na lepszego ojca. – Uśmiechnął się ze smutkiem.

– Pamiętasz tego starego rybaka, który sprezentował ci papierowe łódeczki?

Prosiłeś, żebym koniecznie cię do niego zabrał. Do dziś pamiętam, jak wtedy na mnie patrzyłeś.

– Dlaczego wróciłeś? – przerwał mu Antoine. Starał się, by jego głos brzmiał zasadniczo, choć w gruncie rzeczy czuł się nieswojo, byle jak. Wzbierała w nim mieszanka miłości i nienawiści, i było to obezwładniające doznanie.

– Ponieważ zrobiłem coś, czego nie powinienem. – Głos ojca zabrzmiał ponuro.

Zrobił kilka kroków i przystanął pośrodku pokoju. Uniósł ręce i zaczął potrząsać nimi jak dyrygent, wskazując raz jedną, raz drugą ścianę. Wymachiwał kończynami niczym dyrygencką batutą, budził z uśpienia słowa opowieści, powoli przywracał im głos. Wsłuchiwał się w nie z upojeniem. Obserwował, jak w przyćmionym blasku świec ożywały i unosiły się w powietrzu, tworząc bezkształtne figury i fantastyczne wizje. Antoine stał przelęknięty. Czy ten stary szaleniec był faktycznie jego ojcem? Co on tutaj robił? Czyżby wreszcie uświadomił sobie, na jakie cierpienie skazał swoją rodzinę?

– Te historie nie należą do mnie – kontynuował ojciec. – Ukradłem je. Jestem złodziejem. Ale gdybym tego nie zrobił, uległyby zapomnieniu, tak jak wszystkie inne historie zwykłych ludzi, a one na to nie zasługiwały.

– Jakie wszystkie inne historie? – usłyszał swój głos Antoine.

– Te, które zebrałem w ciągu minionych lat – odpowiedział ojciec i przebiegł po ścianach wzrokiem pełnym dumy i miłości.

– Dlaczego wróciłeś? – powtórzył Antoine i zebrał się na odwagę, podszedł bliżej. – Widziałeś się już z mamą, czy ona wie, że...

– Nie, nie! Tylko nie to! – Ojciec ujął jego twarz w obie dłonie i z rozszerzonymi źrenicami potrząsał nad nim głową. – O niczym jej nie wspominaj, to będzie nasza tajemnica. Wiem, że ty zdołasz mnie zrozumieć, ona nie.

Antoine zrozumiał i z trudem hamował napływające do oczu łzy.

– Nie wróciłeś po to, żeby zostać... – Teraz prócz miłości i nienawiści poczuł ogromny żal. Przez chwilę łudził się, że ojciec wrócił na zawsze, że wszystko się poukłada i znowu będą rodziną.

– Nie było cię przez przeszło dwa lata... Kto wie, gdzie się podziewałeś i co w tym czasie robiłeś... a teraz znowu odchodzisz. Po co w ogóle przyszedłeś? Dlaczego z nami nie zostaniesz? My cię potrzebujemy!

– Nie mogę zostać, skarbie, bardzo bym chciał, ale nie potrafię. Nie umiem wysiedzieć dłużej w jednym miejscu, zaczyna brakować mi powietrza! Czeka na mnie dużo pracy, wiesz! Muszę zebrać wiele historii, niektórych muszę wysłuchać, o innych zapomnieć... Większość z nich zasługuje na wymazanie z pamięci, ale te zapisane na ścianach nie. Specjalnie je tu zebrałem, żeby się nie zgubiły, żebyś ty o nich nie zapomniał. Nikt jednak nie może się o tym dowiedzieć. Przede

wszystkim on. On jest bardzo niebezpieczny.

– Jaki on? – spytał Antoine, ale ojciec nie odpowiedział.

Mówił od rzeczy, zupełnie jakby postradał zmysły, tak samo zresztą jak wtedy, kiedy popadł w alkoholizm. A ta nowa praca, cokolwiek oznaczała, z pewnością nie wpłynęła na niego pozytywnie. Problem prawdopodobnie tkwił w nim, w jego udręczonym umyśle.

Antoine pomyślał z przerażeniem, że mógłby stać się taki jak on. Człowiek, który nie był w stanie przyznać się do prawdy nawet przed samym sobą. Żałosny zlepek omamów, zawiedzionych nadziei i samotności.

Mężczyzna chwycił Antoine'a za ramiona, a potem spojrzał mu bardzo głęboko w oczy, jakby chciał zamienić się z nim na dusze. I może rzeczywiście to uczynił.

– Pamiętasz tego zwariowanego króla? Pamiętasz księżną? Oni wszyscy tutaj są, to ich historie zapisałem na ścianach. – Przeszedł dłonią długie siwe włosy. – Ty wiesz, jak to się robi. Wystarczy posłuchać cudzych rozmów na ulicach, przy kawiarnianych stolikach, w metrze, w poczekalniach... w zależności od okazji... a okazji nigdy nie brakuje... Zwracaj uwagę na ludzi, przysłuchuj się im! Przyglądaj się im i patrz tak, abyś umiał dostrzec! Na całym świecie istnieją miliony, miliardy historii, które tylko na ciebie czekają. Życia nie starczy, żeby je zebrać. Dlatego w pewnym momencie trzeba przeprowadzić selekcję, trzeba dokonać wyboru.

Antoine oddalił się od niego i teraz to on spojrzał ojcu prosto w oczy. Słowa same cisnęły się na usta.

– Ty już wybrałeś. Idź sobie stąd. I nie pokazuj się mamie.

Ojciec patrzył na niego z niedowierzaniem. Nie takiej reakcji się spodziewał.

– Ty mnie nie rozumiesz... Nie wierzę, że nawet ty mnie nie rozumiesz...

– Rozumiem, że nas porzuciłeś. Że to wybrałeś... – Antoine wskazał na otaczające ich mury. – Zamiast nas.

– Ja nie mam wpływu na to, kim jestem! – Ojciec mówił podniesionym tonem, nerwowo przechadzając się po pokoju. – Przykro mi, ale nic nie potrafię z tym zrobić. Wróciłem tu dla ciebie, ponieważ chciałem ci coś podarować...

Zaczął gwałtownie rozpinąć brudne ubrania, namacał zawieszony na szyi klucz, zerwał go z łańcuszka i wręczył synowi. Był to klucz od jego pracowni, żelazny z odłamaną końcówką.

– Każdy klucz kryje w sobie tajemnicę. To jest mój klucz i moja tajemnica. Teraz należą do ciebie, ponieważ tylko tobie ufam. Nie pozwól, aby te historie popadły w zapomnienie... Raz po raz poczytaj je i powspominaj ich bohaterów. Nie proszę cię o więcej... Zrobisz to dla mnie, prawda? Nie pozwolisz, aby przestały istnieć?

Antoine nic nie odrzekł. To, co mówił ojciec, było nie do zniesienia. Jak to

możliwe, że istniały dla niego sprawy ważniejsze od własnego syna? Wyczekiwał z nadzieją, że jednak tak nie jest, ale ostatnie słowa ojca dotyczyły jedynie fantastycznych opowieści...

– Obiecuj mi to. Obiecuj, że się nimi zaopiekujesz.

Antoine nie chciał tego dziedzictwa, ale ojciec mu je narzucił – rozchylił synowi zaciśnięte palce dłoni i umieścił w nich klucz.

– Obiecuj mi, proszę cię.

– Idź precz.

Antoine nie był w stanie niczego innego powiedzieć. Miałby ochotę się do niego przytulić i błagać, by ich nie opuszczał, ale czasem w życiu trzeba dokonać wyboru, a on musiał ochraniać matkę.

– Zgoda.

Przez moment wydawało się, że ojciec chciał pocałować go w czoło, tak jak całuje się zmarłych w czasie ostatniego pożegnania, ale w ostatniej chwili zawahał się. Chyba się go bał. Antoine nie był już tym samym małym chłopcem, którego pożegnał na peronie przed wyjazdem do Wenecji. Stał się obcy i go odrzucał.

Tata nic więcej już nie powiedział. Wyminął go i poszedł sobie. Antoine usłyszał odgłos jego kroków w przedpokoju i trzaśnięcie drzwiami... Podbiegł do wychodzącego na wąski zaułek okna w swoim pokoiku. Patrzył, jak ojciec się oddala, nie miał jednak siły go zawołać. Zniknął w mrocznej, wypełnionej oparami ulicy, wśród ciemnych typów i nocnych marków, wessany przez mgłę.

Antoine począł zdmuchiwać jedna po drugiej świece w gabinecie, skrzętnie omijając wzrokiem pokryte zapiskami ściany. Kiedy skończył, zamknął pracownię na klucz i wrzucił go do starego dzbanka na herbatę. Kilka lat wcześniej dzbanek służył matce za pojemnik na długopisy, ale teraz zapomniała już o jego istnieniu. Odstawił imbryk wysoko na półkę nad suszarką do naczyń, tak aby nikt go nie znalazł i nie odkrył tajemnicy.

Antoine spróbował przysiąc, niedługo jednak wytrzymał w bezruchu, musiał coś ze sobą zrobić... Obok niego stały dwie postacie... Kobieta z zielonymi włosami i malarz. Próbowali go przywołać, on jednak nie zwracał na nich uwagi. Zaczął przechadzać się w tę i w tę. Z żalu wpijał paznokcie w ciało. Płakał, nie wydając z siebie najmniejszego jęku, wiedział, że nigdy więcej nie zobaczy już taty, i że – nawet jeśli to bardzo bolało – tak było lepiej. W końcu przysiadł, zupełnie wypalony.

Ocknął się z głową opartą o zeszyt do rachunków matki. Nie miał pojęcia, skąd wziął się długopis, który trzymał między palcami. Jakoś musiał pozbyć się bólu, ale nie mógł teraz krzyczeć, nie mógł też bez końca płakać. Wysilił się, by napisać pierwsze zdanie: „Mój ojciec jest...”.

W pierwszej chwili do głowy przyszły mu tylko epitety i przekleństwa, ale potem przypomniał sobie, że ojciec powiedział mu również coś ważnego,

a mianowicie to, że Antoine uwielbiał opowiadać historie. W wyobraźni można było zmienić każdego człowieka, wymyślić nowy świat w miejscu, w którym przed chwilą była tylko pustka. Zmusił więc swój umysł, by odrzucił bolesną rzeczywistość i przemienił to, co było, w to, co być mogło. Pióro stało się czarodziejską różdżką, a on sam – czarodziejem. Wzniecił magiczny pył i zapisał w zeszycie początek opowiadania.

*Mój ojciec jest złodziejem opowieści. Podkrada je, przyjmując postać mgły.
Mój ojciec jest złodziejem z mgły.*

Błędna Gospoda

Oglądanie tych scen z przeszłości bardzo nim poruszyło. Wspomnienia matki, ojca i ich rodzinnego domu trawiły mu duszę, paliły w piersiach...

– Antoine, Antoine!

W jego głowie rozległ się głos kobiety z zielonymi włosami, przypomniał sobie jej oczy i jak ostatniej deski ratunku uczepił się tego wyobrażenia. Również tym razem to ona go uratowała, a kiedy wydostał się wreszcie z ciemnej otchłani, rozchylił powieki i zwymiotował, wypluwając nieomal wnętrzności i znękaną duszę.

– A więc tak to wszystko wyglądało – mamrotał. – To w ten sposób można postradać zmysły.

Teraz znowu otaczały go mury łazienki króla Jerzego III, a wszystkie obrazy z przeszłości nagle się gdzieś rozplynęły. Opowiadacz historii wreszcie zaczął normalnie oddychać. Dopadł go niemiłosierny ból głowy i nawet najprostsza myśl świdrowała mu mózg.

– Spokojnie Antoine. Już po wszystkim...

Szary na twarzy Edgar przyglądał mu się z troską, gdy nagle usłyszeli napastliwy łomot. Do drzwi łazienki dobijał się król i pokrzykiwał donośnym głosem.

– Jak długo będziecie jeszcze tam siedzieć? Nie zamierzacie chyba blokować toalety przez cały dzień! Pragnę was poinformować, że to jedyna ubikacja w całej okolicy, mam nadzieję, że rozumiecie, o co chodzi!

Antoine wstał z sedesu. Stan transu już minął, czuł się jednak nadal bardzo rozbity. Opłukał twarz i napił się trochę wody. Zapukał w drzwi, dając do zrozumienia stojącemu po drugiej stronie prostaczkowi, że już po wszystkim.

– No, nareszcie! – Król wypuścił ich, czyniąc przy tym jakies porozumiewawcze znaki.

– I jak tam? Warto było?

Rozpalony na twarzy Antoine pchnął ramieniem drzwi łazienki i wyszedł na zewnątrz.

– Co to za miejsce? – spytał ponurym głosem.

– Nie uprzedziłem pana? – Król spojrzał na niego rozbawiony i podszedł bliżej. – To dziwne, byłem pewien, że...

Ale nie zdążył się usprawiedliwić, ponieważ dłonie Antoine'a zacisnęły się wokół jego szyi.

– To byli moi rodzice! – krzyczał opowiadacz. – Gadaj, co wiesz na ich temat! Co się tam do cholery wydarzyło?

– Ja nie mogę...

– Czego nie możesz?

Król kurczył się i z każdą sekundą coraz bardziej tężała mu twarz. Wysupłał skądś przepoconą chusteczkę i próbował otrzeć nią zroszone potem czoło, aż w końcu Antoine poluznił uścisk.

– Czasem zamiast rąk lepiej używać słów, w przeciwnym razie można komuś zrobić krzywdę.

– A więc śpiewaj, bo jak nie, to tym kimś za chwilę będziesz ty! – pogroził mu Antoine, zbliżając się do jego twarzy. Poczłł odór alkoholu. – Kim ty właściwie jesteś? I tylko mi nie mów, że jesteś przyjacielem Santiago. Nawet nie pamiętasz, jak mu na imię!

– Dobrze już, dobrze... ale nie oceniajcie mnie zbyt surowo, panie! Na moim miejscu zrobilibyście to samo. – Król Jerzy III chwycił flaszkę becherovki, pociągnął z niej łyk i odstawiwszy od ust, zaoferował obecnym. Genève miałyby ochotę się napić, ale Edgar powstrzymał ją pełnym dezaprobaty spojrzeniem.

– A więc tak... Przybyłem do Tirnaill w poszukiwaniu mojego utraconego światła. Dowiedziałem się o staruszku żyjącym na dnie Morza Zsypijskiego, który sprzedawał żarówki w sklepie z wiatru i morskiej soli, i postanowiłem wykorzystać cały mój utracony czas na jego odnalezienie. Pragnąłem poznać moją historię, dowiedzieć się, co mi się przytrafiło i dlaczego wszyscy uważali mnie za szaleńca... Ja przecież nie czuję się głupkiem, proszę, spójrzcie na mnie, szanowny panie. Czy dostrzegacie we mnie cokolwiek dziwnego? Jestem po prostu tym, kim jestem – królem i już... Nie posiadam królestwa, ale wierzę, że jestem władcą kogoś lub czegoś. Zresztą mniejsza o to... Ten starzec pomagał ludziom w odnajdywaniu utraconego światła. Spróbował również ze mną, ale kiedy pociągnąłem za spłuczkę, nic się nie wydarzyło. Po prostu, mojej żarówki nie było w sklepowym magazynie. Stary powiedział, że bym się nie martwił, ponieważ Morze Zsypijskie prędzej czy później zwraca to, co zabrało, i że któregoś dnia na pewno wyłowi również moją zagubioną żarówkę – moje utracone światło. Obiecał, że będzie jej szukał z jeszcze większym zaangażowaniem niż zwykle. Znałem go dosłownie przez kilka godzin, nic więcej... Był dobrym, poczciwym człowiekiem, co do tego nie mam wątpliwości. Ale potem nadeszły Cienie... I ten lodowaty ziąb... Mi udało się ukryć, a on... on zniknął! Wiem, że może się to panu wydać nieprawdopodobne, ale przysięgam, że nie zmyślam. Ludzie-cienie naprawdę istnieją i pochłonięły tego biednego staruszka dosłownie na moich oczach!

– Wierzę w to, co mówisz.

– Wiele lat minęło... Co byście uczynili na moim miejscu? Niczego wtedy nie miałem, nawet dachu nad głową, i raptem znalazłem się sam w opuszczonym sklepie – jedynym miejscu w całym Tirnaïl, gdzie mogłem znaleźć to, czego szukałem. Zająłem miejsce staruszka i nie ustawałem w poszukiwaniu mojej żarówki. – Król pociągnął jeszcze jeden głęboki haust, kolejny cios dla jego nadwątlonej wątroby, i spojrzął na sufit. – Tam, u góry, na czterech piętach sklepu zostały zmagazynowane tysiące żarówek. Tysiące trudnych, przełomowych momentów, w których ludzie wybrali szaleństwo... Kiedy życie staje się nie do zniesienia, szaleństwo jest najmądrzejszym wyborem, co do tego nie mam wątpliwości! Sami przekonaliście się, panie, że wystarczy pociągnąć za spłuczkę i oddać trochę krwi, by odzyskać utracone światło... pod warunkiem, że mamy tu na składzie pańską żarówkę, oczywiście.

– A ty nigdy swojej nie odnalazłeś? Przez te wszystkie lata?

Król wybuchnął niepohamowanym śmiechem, który chyba nawet jego samego zaskoczył.

– Nigdy nie znajduje się tego, czego się szuka. Powinniście już o tym wiedzieć – odparł głosem pełnym goryczy. – To boli, niezależnie od wieku, zgodzicie się ze mną, panie? Ale czasem... czasem zdarzają się w życiu okazje, których nie wolno przegapić.

Gdy wypowiadał te słowa, na jego zdesperowanej twarzy pojawił się nieoczekiwany wyraz rozkoszy.

– Dlaczego mi to zrobiłeś? – spytał Antoine. – Dlaczego zmusiłeś mnie do oglądania tych scen?

Król objął się rękoma.

– Jak już rzekłem, pewnych okazji nie wolno przepuścić. – Król Jerzy III odsłonił zęby w szerokim uśmiechu i chytrze zarechotał. Jak hiena.

– Chodźmy stąd, Antoine. Nic tu po nas.

Genève wzięła go za rękę i wyprowadziła na zewnątrz sklepu z wiatru i morskiej soli.

– Domyślił się, o co chodzi. – Zaatakował go hrabia.

– Kto? Ten wasz klient? Za pozwoleniem, wasza wysokość nie mógł znaleźć głupszego przeciwnika! – Zakpił król, obserwując jednocześnie odjeżdżającego przed sklepem zielonego fiata.

– Wolałbym, żeby był moim głupim współnikiem.

– Czego pan oczekuje od tego naiwniaka?

– Chcę się do niego zbliżyć i w miarę możliwości zaprzyjaźnić, poznać jego słabości. Choć muszę przyznać, że obserwowanie z ukrycia jego wspomnień trochę mnie zdezorientowało. Wygląda na to, że nie jest on tym, kogo szukam. Istnieją dwaj panowie posiadający to samo nazwisko, fizjonomię i historię. Ojciec i syn.

Którego z nich udało mi się dzisiaj podejrzeć? Czasem zdarza się, że ludzie przywołują jakieś bolesne wspomnienia, utożsamiając się w nich z osobami, którym sprawili ból i przeżywają ich cierpienie jak własne. W takiej sytuacji mógłby to być ojciec. Ale jeśli okazałoby się, że to wszystko jest o wiele prostsze i że ten człowiek jest tylko jego synem? I który z obu panów Fonte przybył do Tirnaill piętnaście lat temu?

– Twardy orzech do zgryzienia – bąknął król, doprawdy nic z tego nie pojmując.

– Oj, twardy, twardy – zakończył hrabia, chwycił laseczkę i skierował się do wyjścia.

– Proszę o wybaczenie, wasza wysokość, ale co z moją żarówką?

Hrabia przystanął i popatrzył uważnie na imponujący magazyn żarówek.

– Jak już powiedziałem, lubię głupich współników, ponieważ wykonują przysługi za darmo.

– To znaczy, że wy... Wy nie posiadacie mojej żarówki? – Król rozdziawił usta. – Nie zwróćcie mi moich postradzanych zmysłów?

– Och, wielmożny panie, proszę tylko nie uważać mnie za oszusta. Powiedziałem, że mam twoją żarówkę i jest to zgodne z prawdą, ale wcale nie obiecałem, że ci ją oddam – odparł hrabia, po czym uniósł cylinder i, skinąwszy na pożegnanie, ruszył w kierunku schodów.

Kiedy monarcha zorientował się wreszcie, co się stało, rzucił się za nim w pogoń, ale hrabia gdzieś się już rozplynął.

Po dwóch dniach podróży ujrzeli na horyzoncie linię brzegową. Do tej pory żadne z nich nie komentowało scen oglądanych w królewskiej latrynie. Na tematy dotyczące przeszłości Antoine'a panowała między nimi zmowa milczenia. Towarzysze podróży czekali cierpliwie aż opowiadacz sam poruszy ten temat, kiedy wreszcie poczuje się na siłach.

Wczesnym popołudniem otoczona wodnym murem ulica zaczęła powoli wznosić się ku górze i o zmierzchu wynurzyła się na powierzchnię. Uwagę Antoine'a przykuły jakieś kontury, majaczące w oddali po wschodniej stronie.

– Przecież to Wanezja! – wykrzyknął, wskazując na wieżyczki pałaców charakterystyczne dla miasta utraconych złudzeń.

– Bez cienia wątpliwości – zgodził się Edgar.

– Mam wrażenie, że znajduje się dość niedaleko – powiedział Antoine i natychmiast ugryzł się w język.

– Jesteśmy w Tirnaill, Antoine! Ile razy mam ci powtarzać, że tutaj tradycyjne pojęcia odległości...

– Tak. Wiem już, wiem.

Dotarli do brzegu. Pokryta warstwą piasku, muszli i koralowego pyłu plaża

tonęła w różowym, fluorescencyjnym blasku, rozświetlona promieniami zachodzącego słońca. Wypełniały ją dziesiątki, a może nawet setki osób, trudno byłoby jednak uznać ich za zwyczajnych plażowiczów. Edgar prowadził samochód ulicą biegnącą środkiem plaży, ale nikt z całej masy obdartusów i włóczęgów nie zwracał na nich uwagi. Wszyscy pochłonięci byli zbieraniem wystających z piachu przedmiotów.

– Zatrzymaj się! – rozkazała mu Genève i zaciekawiona wysiadła z samochodu.

Antoine poszedł jej śladem, potykając się po drodze o piłkę do koszykówki i połamany parasol przeciwsłoneczny. Plaża była usiana różnego rodzaju przedmiotami wymieszanymi z pancerzykami skorupiaków, algami, pniami i morskimi osadami. Fale bez przerwy wyrzucały nowe, zgromadzone w głębinach Morza Zsypijskiego eksponaty. Przedmioty zagubione w czasie i przestrzeni, które teraz ci włóczędzy wszelkiej maści pospiesznie wsuwali do kieszeni.

Antoine obserwował postawnego faceta z zawieszonym na szyi stetoskopem, który pod fartuchem szefa kuchni chował właśnie pluszowego misia. Pewna nie najmłodsza już kobieta szukała buta pasującego do tego, który miała już na prawej stopie. Znalazła parę baletek, ale zamiast przywdziać obie, nałożyła tylko tę brakującą, a drugą wyrzuciła z powrotem do morza. Edgar nie posiadał się z radości, ponieważ wyłowił aż cztery klucze. Natomiast Antoine i Genève pokazywali sobie nawzajem wystające z przybrzeżnego piasku przedmioty, podnosili je i wymyślali historie na temat ich dawnych właścicieli.

– Wkładaj do kieszeni, co ci się podoba, Antoine. Ludzie, do których należały wszystkie te rzeczy i tak już nie żyją.

Antoine upuścił na ziemię kijek narciarski, który prawdopodobnie wysunął się z dłoni jakiegoś narciarzowi na wyciągu krzeselkowym.

– Nie żyją?

– Jasne! – Gen ściągnęła mu z nosa okulary ze szklami grubości denek od butelki i nałożyła nowe, w seksownych oprawkach, którymi niejedna sekretarka zrobiłaby wrażenie na swoim szefie.

– Normalnie w Tirnaïl wszystkie zagubione przedmioty, marzenia i wspomnienia należą do ludzi, którzy je utracili i pod żadnym pozorem nie wolno ich sobie przywłaszczać. Sytuacja zmienia się jednak w przypadku śmierci właściciela, wtedy można już z nimi robić, co się chce. Ta plaża jest częścią Przeczesywanego Wybrzeża. Kiedy Morze Zsypijskie wyrzuca coś na brzeg, oznacza to, że osoba, do której przedmiot należał, nie żyje. Teraz wszystko, co masz przed oczami, może być twoje. Wiesz, Antoine, że całkiem nieźle ci w tych oprawkach.

Antoine próbował się uśmiechnąć, choć pomysł noszenia okularów po nieboszczyku nie do końca go przekonywał. Zaczął przechadzać się nerwowo po

plaży, niczego już jednak nie zbierając. Nogi zapadały mu się w stosach długopisów, zapalniczek, telefonów komórkowych, parasoli, rękawiczek, skarpetek nie do pary.

– Pralki są przewodem spustowym do Tirnaïl – zachichotała Genève.

Właśnie zauważyli, że morze przyniosło z sobą nawet fortepian firmy Petrof!

– Ten, kto go zgubił, jest bardziej roztrzępany ode mnie – ucieszył się Antoine.

– Nie zapominaj, że ty zgubiłeś auto. Auto!

Zbliżyli się do koślawych zabudowań, które wyglądem przypominały zajazd. Wznosiły się ponad powierzchnią wody w odległości kilku metrów od brzegu na skomplikowanej konstrukcji z pali, sieci rybackich, pałaków i wózków linowych.

– Może zatrzymamy się tu na noc, co wy na to? – zaproponowała Genève, gdy znaleźli się naprzeciw mostka prowadzącego do hotelu i nie czekając na odpowiedź, pobiegła po chybotliwej kładce łączącej chatkę z łodem.

– Czy ją w ogóle interesuje nasza opinia? Czy może papla, ponieważ lubi brzmienie własnego głosu?

– Raczej to drugie – odpowiedział Edgar. – Bez cienia wątpliwości to drugie.

Na szyldzie umieszczonym nad drzwiami lokalu widniał napis: „Błędna Gospoda”. Był to podupadły pensjonat, prowadzony prawdopodobnie przez kogoś pozbawionego zarówno pieniędzy, jak i jakiegokolwiek nadziei na ich zarobienie. Na pulpicie spoczywała oprawna w drewno księga gości, stwarzając pozory, że tak oni, jak i ich opinie mają tu znaczenie. Antoine zorientował się, że stać ich było jedynie na jeden pokój i jeden ciepły posiłek. Woleli to od konserw i spania w samochodzie, a ponieważ byli zbyt zmęczeni, by zejść do stołówki, pozwolili sobie na luksus i zamówili kolację do pokoju. Stara kelnerka przyniosła im kilka kawałków gotowanego tuńczyka z ziemniakami i brokułami. Jedzenie było kiepskie, ale nie chcieli narzekać.

Po skromnym posiłku Antoine wyszedł na częściowo podtopiony tarasik z widokiem na morze. Balustrada balkonu była wyrwana, a woda sięgała mu stóp. Właściwie duży palec miał już niemal w całości zanurzony. Jednak co by nie było, sam pomysł spędzenia nocy w tej gospodzie wydał mu się całkiem rozsądny. Potrzebowali czasu na odzyskanie sił, by móc ponownie zmierzyć się z Tirnaïl.

Antoine obserwował siedzącego na tarasiku Edgara, który próbował coś namalować, ale myślami nadal przebywał w królewskiej łazience. Nie było to miłe wspomnienie i dlatego próbował je zagłuszać płytkimi słowami.

– Jak leci? – zapytał malarza.

– Wspaniale – odparł rozdrażniony Edgar. – Woda ma odcień perskiego błękitu, niebo nasyczonego indygo, a księżyc jest biały jak puch. Ja muskam delikatnie pędzlem i przenoszę to wszystko na płótno! Wie pan, wszędzie już szukałem mojej muzy. Pewnego dnia wyruszyłem nawet do wypełnionej ciszą

Doliny Świątyń Bezsennych Nocy! I nic! Nigdzie nie mogę odnaleźć natchnienia!

Antoine uśmiechnął się. Jeżeli istniało coś, za co lubił Tirnaïl, to był to niebanalny i pozbawiony hipokryzji sposób, w jaki ludzie odpowiadali tu na pytania.

– Zobaczysz, że wszystko się jakoś ułoży.

Edgar ryknął z niemocy i ze złością machnął pędzlem, kreśląc zieloną linię.

Antoine miał zamiar mu pogratulować, ale jego uwagę przykuło coś o wiele bardziej niezwykłego. O ile to w ogóle jeszcze możliwe. Z brzegu morza, którego fragment widoczny był z ich pokoiku, dobiegała łagodna muzyka. Brzmiała słodko jak cukrowa wata i dźwięcznie niczym wpadające do oceanu krople deszczu. Antoine pomyślał, że ktoś lekko bawi się nutami jak dziecko dmuchawcem. Muzyka zdawała się być utkana z powietrza. Wyteżył wzrok i w przyćmionym, wieczornym świetle ujrzał fortepian firmy Petrof. Na taborecie siedział dystyngowany jegomość o idealnej posturze. Ubrany był w staromodny frak. Twarz okalały mu długie bokobrody, a Genève, która właśnie pojawiła się na tarasiku, uznała, że wygląda, jakby ktoś przykleił mu do policzków dwa zdechłe świstaki.

W tym samym momencie Antoine doznał olśnienia. Ignace Jakmutam...

– To najlepszy ze wszystkich nokturnów...

– Ignace Leybach. Znasz go?

Antoine oderwał wzrok od pianisty i osłupiały spojrzął na Genève.

– To ty mi o nim opowiedziałaś tamtej nocy, kiedy się poznaliśmy. Kiedy grałaś na anielskich organach. Pamiętasz, co ci powiedziałem?

– Tak. – Gen starała się unikać jego spojrzenia. – A... a pamiętasz jeszcze coś oprócz tego?

– Oprócz tego, że włóczyłaś się po świecie i bałaś się ważek? Nie, już nic więcej nie pamiętam.

Antoine dotknął kieszeni, w której przechowywał jej portret. „Nie okłamujesz jej”, przekonywał samego siebie. „Naprawdę nic więcej nie pamiętasz”.

– Czasami mam takie niemiłe wrażenie... – dodał skrzepowany. – Obawiam się, że spotkaliśmy się tylko tej jednej jedynej nocy bardzo wiele lat temu i nie rozumiem dlaczego... dlaczego...

– Dlaczego teraz tu jestem?

Antoine starał się na nią nie patrzeć. Wstydził się przed samym sobą, że tak się do niej przywiązał bez powodu. Jak wariat.

– Jesteś jak swój ojciec.

Na dźwięk tych słów go zmroziło.

– Błagam cię, tylko tak nie mów.

– Złodziej z mgły... On kradł historie i zapisywał je na ścianach, a ty

podkradasz je i zapisujesz na serwetkach, tak jak wtedy w zajeździe Grillost. Co was wobec tego różni? – Genève uśmiechnęła się. Jak zwykle ironicznie, ale po chwili sarkazm zastąpił żal. – Dzieciństwo okazuje się zawsze gorsze, niż zapamiętaliśmy, prawda? Może powinniśmy patrzeć na nie tylko oczami dziecka.

– Moje dzieciństwo wydawało mi się okropne już wówczas, gdy byłem dzieckiem.

Genève starała się uśmiechnąć, ale tylko niepewnie wykrzywiła usta.

– Sama widziałas, jak się z nami obszedł. – Antoine spochmurniał. – Nie budzi we mnie żadnych uczuć, nawet nie czuję, żeby był moim ojcem. Antoine Tomojasprawa nie ma ojca. To był jakiś obcy mężczyzna i nawet gdybym sobie na jego temat coś więcej przypomniał, to i tak niczego by to nie zmieniło. Człowiek, który porzuca własną rodzinę, nie jest godzien miana ojca.

– Człowiek, który opuszcza rodzinę tylko po to, by włóczyć się po świecie i podkradać ludziom ich historie, jest po prostu chory, bardzo chory. Jest obłąkany.

– Nie rozumiem wobec tego, co mnie z nim łączy.

– Obłąd – odparła Genève, obserwując niebo i jasne, pulsujące gwiazdy nad ich głowami. Droga Mleczna zdawała się teraz tak bliska jak bramy Wanezji, widoczne jeszcze na horyzoncie. – Mam wielką ochotę popływać!

Bez chwili zastanowienia rzuciła się w ubraniu do Morza Zsypijskiego. Na moment zniknęła w jego ciemnej toni, a potem znowu wypłynęła na powierzchnię. Unosiła się wśród fal, osrebrzona poświatą księżyca. Antoine stał oparty o balustradę. Podpłynęła i dała znak, by się pochylił.

– Nawet jeśli zamknąłeś na klucz historie twojego ojca, sam nie przestałeś ich opowiadać – wyszeptała tajemniczo, kiedy przy niej przykląkł. Gdy ustami musnęła mu ucho, przeszył go zimny dreszcz, ale w końcu jej szept otulił go jak koc. – Widzisz to, co chcesz widzieć, Antoine, i żyjesz jedynie w wyobraźni. Ludzie są dla ciebie inspiracją do tworzenia wymyślonych postaci. U jednego podpatrzysz jakiś gest, u drugiego spojrzenie albo inny szczegół, potem je ze sobą połączysz i bohater gotowy. Z nikim nie zatrzymujesz się na dłużej niż na jedną noc, ponieważ boisz się rozczarowania rzeczywistością. Ty nie chcesz rzeczywistości, ty pragniesz tylko wydumanych opowieści. Wolisz sam kreować zdarzenia, ponieważ wtedy nie mogą cię zranić. Swego czasu uciekłeś, bo prawdopodobnie bałeś się, że i ja mogłabym zadać ci ból.

Antoine nie mógł wydusić z ani siebie słowa, czuł się obnażony.

– Tak to wygląda, prawda? – dodała jeszcze Genève, a potem nabrała powietrza w płuca, zanurkowała pod wodę i zniknęła w ciemności. Antoine uświadomił sobie, że nie powiedziała mu tego wszystkiego po to, żeby go upokorzyć, i w pewnym sensie poczuł ulgę.

– Być może wymyśliłeś również mnie. I Edgara – dodała, jak tylko ponownie się wynurzyła.

– Hmm... – zamruczał malarz, podsłyszawszy, że o nim mowa. – W następnym życiu proszę wyposażyć mnie w odrobinę artystycznego talentu, Antoine. Będę panu za to niewypowiedzianie wdzięczny.

– Och, Edgarze! Ty jesteś naprawdę świetny! – pocieszyła go Genève. – Jesteś moim ulubionym malarzem pokojowym!

Gen odpłynęła parę metrów i unosiła się na wodzie, zaśluchana w muzykę jednego z największych wykonawców nokturnów wszechczasów, upajała się jego wirtuozerską grą.

– Brakuje ci go? – zapytała, krzycząc z daleka. – Brakuje ci twojego ojca?

– Jak może brakować kogoś, kogo nie miało się okazji bliżej poznać? – odpowiedział z drwiną i jednocześnie zrozumiał, że nie do końca było to prawdą. Przecież Genève bardzo mu brakowało, nawet jeśli prawdopodobnie nigdy jej nie poznał.

Balàl

Przez szparki w okiennicach przeciskały się promienie słońca i oświetlały tarczę kieszonkowego zegarka na nocnym stoliku. Zostało na nim jeszcze tylko pięć godzin. Antoine nie miał wyboru. Wstał z łóżka, opłukał twarz i nałożył pożyczone od Edgara ubrania, w których dosłownie się topił. Gdy był już gotowy, otworzył okno, żeby wpuścić do pokoju trochę morskiej bryzy, niestety w tym momencie ktoś postanowił opróżnić zawartość nocnika. Szczęśliwie Antoine uniknął kąpieli w amoniaku. Miał zamiar posłać do stu diabłów genialnego autora tego pomysłu, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

– Powoli powinienem zacząć się przyzwyczajać – wymamrotał pod nosem. Trzymając nerwy na wodzy, wyszedł z pokoju i dołączył do Edgara, kołyszącego się w fotelu na werandzie gospody. Malarz obserwował rozciągający się przed nim krajobraz, który jednak w niczym już nie przypominał nabrzeża Morza Zsypijskiego.

– Teraz rozumiem, dlaczego ten hotelik nazywa się Błędna Gospoda.

Również Antoine natychmiast zorientował się, w czym rzecz. W myśl starej maksymy, nie od razu Rzym zbudowano, i również w tym przypadku trudno było uwierzyć, że rozciągające się wokół nich ogromne miasto wzniesiono w ciągu zaledwie jednej nocy. Było więc oczywiste, że gospoda przemieściła się i osiadła w samym sercu pogrążonej w chaosie metropolii. Jej widok przyprawiał o zawrót głowy. Dziwaczne, eklektyczne budynki, będące zbitką przeróżnych elementów i rupieci sprawiały wrażenie, jakby wyrastały jedno z drugich. Z zapartym tchem obserwowali płataninę prowadzących donikąd schodów, zwisające z elewacji balustrady nieistniejących już balkonów i zamontowane na odwrót okna, a także wybebeszone wnętrza mieszkań, które sprawiały, że kamienice przypominały wywrócone na lewą stronę rękawiczki. Toczyło się w nich zwyczajne domowe życie. W tej sytuacji łatwo było wścibiać nos w nie swoje sprawy i podglądać ludzi w kuchni, toalecie i sypialni. Również ulice nie zostały tu wytyczone zgodnie z jakimś przemyślanym planem, a zaułek, do którego przydryfowała gospoda, został zaprojektowany przez kogoś ewidentnie nieznającego się na urbanistyce. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że prowadzi w lewo, jednak za zakrętem przecinał go wysoki mur, podtrzymujący z kolei od spodu urywającą się w połowie ulicę. Odpowiednie do charakteru miasta było również zachowanie jego mieszkańców.

Nad przeludnionym molochem unosił się trudny do opisanego zgiełk. Z dochodzącej do uszu niezbornej paplaniny nie sposób było wyłowić ani jednego słowa. Wystrzały broni mieszały się tu z okrzykami ulicznych handlarzy. Na zatłoczonych jezdniach stare dryndy i wehikuły konkurowały z pierwszymi modelami dwudziestowiecznych samochodów, z trudem przepychających się wśród przechadzających się po ulicach koni, krów i włączających się samopas krokodyli. Przed nosem przemknęło im stado strusi.

– Czy znajdujemy się w Nowym Jorku? – spytał Antoine, a Edgar zaprzeczył ruchem głowy.

– Ach, to całe szczęście! Czy jesteśmy może w mojej głowie?

– Niestety, jeszcze gorzej. Dotarliśmy do Balà! Prześartej gangreną, rozwydrzonej i odpychającej stolicy wszelkiego wszeteczeństwa, istnym szambie zdegenerowanej ludzkości!

– Czy wiesz, że kiedy mówisz, używasz mnóstwa przymiotników?

– Tak, wiem.

– A gdzie podział się mój samochód?

– Zgubił się. – Edgar wzruszył obojętnie ramionami i ruchem głowy wskazał mu rozłożoną na pulpicie księgę, w której zamieścił swoją opinię na temat hotelu i warunków pobytu: „Bardzo przydał mi się zestaw żyletek oraz pianka do golenia i mam nadzieję, że zostały nam one przekazane bezpłatnie. Niestety po otwarciu okna czekają goście przykre niespodzianki. Z wyrazami szacunku, Edgar”.

Antoine uśmiechnął się. Zamyślony przerzucał stronicę książki. W ostatnich kilku latach gościło tu niewielu przybyszów; ich komentarze zapełniały najwyżej osiemdziesiąt stron. Na samym początku tej mizernej listy figurował wpis z 1999 roku poczyniony przez mężczyznę, który nazywał się dokładnie tak jak on: A. Fonte. Antoine zatrzasnął księgę i przez następne dwadzieścia sekund przekonywał samego siebie, że był to zwyczajny zbieg okoliczności. Pomyślał jednak, że Genéve skwitowałaby jego rozpaczliwe próby racjonalizacji jednym krótkim słowem: Tirnaïl. Ponownie otworzył księgę, raz jeszcze rzucił okiem na nazwisko i pospiesznie ją zamknął.

– Mamy problem – powiedział do Edgara.

– Czy musimy zapłacić za żyletki?

– Wygląda na to... Wygląda na to, że już kiedyś byłem w Tirnaïl.

W pewnym sensie sam nie wierzył w to, co mówił. A jednak musiała w tym być jakaś prawda! Hrabia Vladimir bez przerwy powtarzał, że spotkali się już piętnaście lat wcześniej w Tirnaïl, choć Antoine z jakiegoś powodu w ogóle tego nie pamiętał. Szkoda, że imię w księdze było niekompletne.

Edgar zadrżał i poruszył węsami.

– Należałoby powiadomić Genéve – odezwał się bez zbędnych wstępów. – Dziś rano zostawiła karteczkę, że udaje się na targ do Naisarber, żeby nazbierać

trochę różnych rzeczy.

– Musimy ją odszukać. Zostało mi już niewiele czasu.

– Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł, panie Antoine. Balàl to nie miejsce dla ludzi takich jak my. Tylko panienka pokroju Genève może czuć się tu jak ryba w wodzie. Balàl to, że tak powiem, jej środowisko naturalne – powiedział Edgar, ale Antoine w ogóle nie zareagował. Gdyby malarz zwrócił się do ściany, prawdopodobnie miałby większą szansę na odpowiedź – oczywiście gdyby była to jedna z gadających ścian w Tirnail. Opowiadacz bez słowa opuścił gospodę i zanurzył się w tyglu Balàl.

Zaraz po przekroczeniu progów Błędnej Gospody owionął ich smród buchający z włazu do kanału ściekowego, z którego wychodziła właśnie obładowana zakupami i wyraźnie zadowolona kobieta. Antoine wmieszał się w hordeę przedziwnych ludzkich typów, próbując wyminąć oferujących bezużyteczne świecidełka ulicznych sprzedawców i jęczących o litość, zgiętych wpół żebraków.

– Co to za miejsce? – spytał nieoczekiwanie, wskazując na ogromny, klasycystyczny budynek wsparty na wałących się i pobazgranych sprayem kolumnach. Napis na drzwiach wejściowych głosił: „Zamknięte z powodu braku towaru”.

– Ech, to kolejny bank, który zbankrutował. W dobie kryzysu ludzie gubią znacznie mniej pieniędzy, wszyscy robią się bardziej uważni. Znalezienie choćby jednego grosza na ulicy graniczy dzisiaj z cudem. Dla banków w Tirnail to ogromny problem, oznacza załamanie gospodarcze i galopującą inflację... Z punktu widzenia ekonomii roztrzępani ludzie są wręcz niezbędni dla naszego królestwa. Niech pan spojrzy tylko na tych nieboraków! Bieda i brak wykształcenia są przyczyną wszelkich nieszczęść – skonstatował Edgar i wskazał na grupę wynędzniałych wyrostków, walczących ze sforą bezdomnych psów o mięso konia, który padł na ulicy.

– Nie mówiąc już o tym, jak w tym mieście pleni się złodziejstwo – dodał ściszym głosem i zasłonił sobie usta przed fetorem psujących się ryb i garbowanych skór. – Gdyby mogli kraść spojrzeniem, pozbawiliby nas nawet duszy.

Trudno było odmówić mu racji. Opowiadacz, który normalnie nie przyciągał niczyjej uwagi, stał się tu nagle obiektem wielkiego zainteresowania. Czuł na sobie dziesiątki wygłodniałych spojrzeń i nie było to miłe wrażenie.

– Co to za miasto? – Antoine uwolnił się właśnie z uścisku dwóch starych prostytutek, oferujących mu swe wątpliwe wdzięki, i skręciwszy za róg, znalazł się na głównej alei, przypominającej gigantyczny bazar.

– To Balàl, miasto utraconych okazji – odpowiedział Edgar.

Przyciągani odgłosami skocznej muzyki oraz blaskiem płonących w biały

dzień pochodni – młodszych sióstr słońca, Antoine i Edgar zanurzyli się w tłumie rozbawionych i podchmielonych mieszkańców. Asortyment oferowanych tu przedmiotów mógł zaspokoić najbardziej wyszukane gusta. Oprócz miłości na godziny proponowano między innymi wolno stojące ściany pustych mieszkań, egzotyczne dania i przechowywane w klatkach, niespotykane owady. Jednak bez względu na rodzaj towaru uwagę zwracała przede wszystkim zachłanność, z jaką ludzie się na niego rzucali, tak jakby każdy przedmiot – niezależnie, czy była to zwykła agrafka, czy też pusta rama od obrazu – krył w sobie jakąś niepowtarzalną okazję. Wszyscy dyskutowali, negocjowali, wyklócali się i okładali pięściami, a po chwili serdecznie się obejmowali, przy okazji opróżniając sobie nawzajem kieszenie.

Pośrodku tego zamieszania Antoine dostrzegł kram z książkami i nie potrafił minąć go obojętnie. Podeszedł bliżej i zaczął gładzić grzbiety i okładki. Podglądał tytuły, recytując je pod nosem jak magiczne formuły, z nadzieją odnalezienia jakiejś absolutnie wyjątkowej pozycji. W rzeczywistości wszystkie one były wyjątkowe, nawet jeśli on żadnej z nich nie znał. Niektóre okazały się bardzo stare i wprost bezcenne!

– Czy lubi pan książki? – Nagle u jego boku wyrosła jakaś kobieta.

– Nie. Ja je po prostu uwielbiam. – Uśmiechnął się i podniósł wzrok. Zobaczył przed sobą wysoką niewiastę o wyblakłych włosach i niemal białej cerze. Mogła być jego rówieśnicą.

Zwrócił uwagę na jej oczy. Jedno brązowe, nakrapiane. Drugie dokładnie takie jak u Genève: w słoneczne dni – mieniące się odcieniami błękitu, w pochmurne – barwami wzburzonego morza.

– Bardzo panią... przepraszam – wydukał skrzepowany Antoine, który zbyt długo już się jej przyglądał. – Odnoszę wrażenie... że skądś panią znam.

– Mi też się tak wydaje. – Kobieta miała wplecione we włosy margerytki. – Czy chciałby pan może nabyć którąś z pozycji? Zbieram zagubione książki i niejednokrotnie znajduję mnóstwo interesujących rzeczy. Proszę tylko spojrzeć: *Rewolucja francuska* Carlyle'a, wrzucona do ognia przez nieprzytomną kelnerkę – odczytała tytuł bardzo zachęcającym głosem. – A tu mamy pierwszy zapis *Siedmiu filarów mądrości*, którego Lawrence zapomniał w taksówce. Najnowsze rękopisy Hemingwaya, ukradzione mu w pociągu, autobiografię Byrona – z powodu jej utraty niemal nie postradał zmysłów, choć, nawiasem mówiąc, już wcześniej ich stan budził wątpliwości. A także *Historię Anglii* autorstwa naszej drogiej Jane Austen, choć czytanie jej byłoby stratą czasu.

– Jasne. *Historię Anglii* w jej interpretacji można by streścić jednym zdaniem: sprytna dziewczyna nie znosi niesympatycznego młodzieńca, który w wyniku całej serii zdarzeń staje się mężczyzną jej życia.

Kobieta parsknęła śmiechem. Ona również zerkała na niego zaciekawiona,

zastanawiając się pewnie, gdzie i kiedy się już spotkali. Nawet jej gesty i sposób, w jaki się do niego odnosiła, zdradzały pewną poufałość... A może była tylko dobra w swoim fachu i umiała odpowiednio podejść klienta.

Przebiegając wzrokiem po tytułach, Antoine zdębiał na widok pewnego manuskryptu przewiązanego zieloną wstążką. Miał opalone narożniki i cały pokryty był popiołem.

– Ile życzy sobie pani za ten egzemplarz? – zapytał, wydobywając go z rzędu ksiąg.

Kobieta wychyliła się, by zobaczyć, co wybrał.

– *Kryształowa Noc*. Nie sądzę by miała dużą wartość... Nie zawiera nawet nazwiska autora, ale za to jest napisana odręcznie. Ma przede wszystkim dużą wartość sentymentalną. To jedna z pierwszych ksiązek, od których zaczęłam rozkręcać mój mały interes. Mogę ci ją podarować... – Kobieta przechyliła filuternie głowę. – W zamian za pocałunek.

Antoine uznał, że to uczciwa propozycja. Przytulił do piersi manuskrypt i pocałował kobietę. Dziwny to był pocałunek. Zdawało mu się, że całował ją nie po raz pierwszy, ponieważ zanim jeszcze się do niej zbliżył, pamiętał dotyk jej ust. Był zaskoczony odczuciem głębokiej intymności.

– Dziękuję – wyszeptała zmysłowo kobieta i puściła do niego oko, po czym, zachowując przytulny sposób bycia, zajęła się innym potencjalnym nabywcą.

– Ale z ciebie Casanova! Co ty wyprawiasz z tymi kobietami? – usłyszał nagle rozbawiony głos Genève.

– Sprzedała mi książkę w zamian za pocałunek – usprawiedliwił się natychmiast.

– Pewnie chętnie pozbyła się jakiejś beznadziejnej pozycji.

– Pewnie tak.

Genève wybuchnęła śmiechem i uszczypnąwszy go w biodro, wyrwała mu książkę z dłoni. Była wyjątkowo radosna, ale kiedy odwróciła się za siebie, by rzucić okiem na bukinistkę, w jej oczach przemknął smutek.

– *Kryształowa Noc* – odczytała tytuł, podczas gdy Antoine na próżno próbował jej odebrać rękopis.

– Już sam tytuł brzmi zniechęcająco.

– Prawdopodobnie treść jest jeszcze gorsza, ale nabyłem go z nadzieją, że pomoże mi coś sobie przypomnieć.

– I bardzo dobrze. Widzę, że powoli się uczysz. Zwracaj uwagę na szczegóły. Jeśli czujesz, że coś jest dla ciebie, że cię do siebie przyzywa, nie zastanawiaj się. Po prostu to bierz!

– Może wobec tego zabierzemy ze sobą Edgara?

Malarz stał pośrodku ulicy jak drzewo w oku tornada. Wyglądał na przerażonego. Nie wykonywał najmniejszych ruchów, z nadzieją, że nikt nie

zwróci na niego uwagi, i starał się odganiać przysiadające mu na nosie muchy, poruszając ostrożnie wąsami.

– Może poczekamy, aż się rozplącze? – zaproponowała Genève.

– Nie. Wyruszmy mu na odsiecz – odpowiedział opowiadacz. – Bardzo mi go żal. Wygląda na jeszcze bardziej zagubionego niż zwykle. A poza tym musimy ci o czymś opowiedzieć... Dokonaliśmy z Edgarem nowego odkrycia.

– Ja też, Antoine.

Objęła go i popatrzyła mu prosto w oczy. Tym razem nie unikała jego wzroku. Wyglądała na uszczęśliwioną i to wcale nie z własnego powodu, ale właśnie ze względu na niego.

– Szukałam cię, Antoine, ponieważ chciałam, żebyś coś zobaczył. W pobliżu portu jest stare kino. Kiedyś chcieli je przerobić na teatr, ale wysiłki spełzły na niczym – zresztą jak wszystko w Balal. Teraz stoi opuszczone. Przechadzałam się po okolicy i usłyszałam dobiegające z jego wnętrza dźwięki muzyki, podeszłam bliżej... Ale wołałabym, żebyś sam to zobaczył – wyszeptała. – Być może sprawi ci to przyjemność, może bardziej niż cokolwiek pomoże ci przypomnieć sobie, kim jesteś, a wtedy... wtedy i ja będę wolna.

Ściskając go lekko za rękę, Genève umieściła mu w dłoni niewielki skrawek papieru.

– Idź i o nic się nie martw. Ja tymczasem wprowadzę Edgara w tajniki alkoholowe. Już sobie wyobrażam, jakie to będzie ekscytujące.

– Zgoda. Zobaczymy się wobec tego w gospodzie.

Genève przytaknęła. Odcisnęła mu na policzku siostrzany pocałunek i pobiegła do malarza.

Stanąwszy w pobliżu jakiejś podrygującej bramy, Antoine rozłożył otrzymany od dziewczyny bilecik. Odkrycie, którego dokonał w Błędnej Gospodzie i nabyty w zamian za pocałunek rękopis *Kryształowej Nocy*, były niczym w porównaniu z tym, co udało się odnaleźć Genève.

Ester

Szedł do portu wiedziony krzykiem mew. Zaskoczyła go skala Balàl. By znaleźć drogę prowadzącą do morza, zasięgał języka w mijanych po drodze sklepach. Wolał nie zatrzymywać przechodniów – mężczyźni wyglądali na oszustów, a kobiety były zbyt skore do rozmów i nie tylko. Doszedł na molo już dobrze po obiedzie. Snuło się tu trochę dziwnych typów. Ołowiane niebo pokrywał całun deszczowych chmur. Morze przypominało płamę zjełczałego oleju, po której z trudem poruszały się pojedyncze barki.

Od razu dostrzegł budynek kina. Połowa ogromnego neonu opadła na ziemię i rozbiła się na tysiąc kawałków. W czasach swojej świetności musiało się ono prezentować całkiem nieźle. Antoine zastanawiał się jednak, czy Balàl kiedykolwiek przeżywało czasy świetności, czy może raczej narodziło się już w stanie ruiny. Wnętrze kina nie obiecywało zbyt wiele. Opowiadacz posuwał się niemal po omacku, przeskakując przez potłuczone butelki i rozgniatając pod podeszwami stary popcorn. Kiedy wreszcie wzrok przyzwyczaił się do półmroku, po prawej stronie zobaczył bar, a po lewej kasę biletową. Stanowiły one filary długiej galerii, w której wyeksponowano stare afisze. Wodził po nich wzrokiem, próbując zidentyfikować jakiś film, niestety, żadnego z nich nie znał. Z powodu upływu czasu większość plakatów była już wyblakła i nieczytelna. W końcu udało mu się odszyfrować kilka nazwisk i tytułów. Był tam Louise Brooks w *Now We're in the Air*, *Garbus i tancerka* w reżyserii Friedricha Murnaua, a także *Tajemniczy człowiek* Johna Forda oraz krótkometrażowy film *Czapki z głów* Hala Yatesa. Pośród niewiele mówiących mu nazwisk dostrzegł Alfreda Hitchcocka i jego zupełnie nieznanе dzieło pt. *Orzeł z gór*.

– Ale kino... – Antoine wzdrygnął się i podążył długim, ciemnym korytarzem, w którym rozchodziło się jedynie echo jego kroków. Szedł długo, zanim dostrzegł purpurową kurtynę. Po chwili wahania odsunął aksamitne draperie, uśmiechnął się i onieśmielony wszedł do środka. Ujrzał rzędy poprzecieranych foteli. Znajdował się w starej sali kinowej, takiej prawdziwej, które już właściwie nie istnieją. Z sufitu opadało coś lekkiego, przypominało płatki róż – bilety na przedstawienie. Antoine pochwycił jeden z nich – taki sam jak ten, który przekazała mu Genève – i odczytał tytuł. Stylizowane na kłęby dymu i oparów litery tworzyły napis: *Złodziej z mgły*. Usłyszał szelest czyichś kroków, uniósł

wzrok – i wtedy ją zobaczył. Nie wiedział, czy pojawiła się dopiero teraz, jak zjawia, która na chwilę wraca do świata żywych, czy może była tam już wtedy, gdy wszedł do kina. Rozpoznał ją, ponieważ wcześniej widział ją w królewskiej toalecie, a nie dlatego, że pamiętał jak wyglądała. Refleksja ta napełniła go smutkiem.

Matka.

– Dziękuję, dziewczęta! Zrobimy sobie teraz dziesięciminutową przerwę, a potem znowu do roboty!

Kobieta uniosła ręce, a wianuszek tancerek w średnim wieku nagroził ją brawami. Wszystkie panie miały na sobie spódniczki z piór, oskubanych z przynajmniej setki strusi. Matka dygnęła, rozanielona oklaskami, i dopiero teraz zauważyła Antoine’a.

– O, mój Boże! – jęknęła, zasłaniając sobie dłonią usta, po czym zemdlona padła na scenę.

Doszła do siebie dopiero po podaniu soli trzeźwiących, a potem szybko pozbierała się i popędziła do syna. Zanim Antoine zdążył się jeszcze wycofać, matka zarzuciła mu ręce na szyję. Najpierw poczuł na sobie jej zapach – intensywną mieszankę olejku różanego, cynamonu i styraksu, a już wkrótce miał na twarzy więcej szminki niż te nieszczęsne prostytutki z Balal.

– O, mój Boże! O, mój Boże! – Matka nie była w stanie wykrztusić nic więcej. Chwytała go za policzki, pieszczotliwie podszcypywała, oglądała od stóp do głów, by upewnić się, czy nie był wychudzony, zaniedbany lub niewystarczająco szczęśliwy. Sądząc po wyrazie twarzy, nie była usatysfakcjonowana, ale mimo to zachwycona, że go odnalazła. Przyjęła teatralną pozę i, pękając z dumy, zawołała do zgromadzonych na podium kobiet.

– To mój syn!

Kobiety powitały go brawami i zachichotały, szczebiocząc jak stadko ptaków wokół karmnika.

– Mój najdroższy skarb!

– Cześć, mamó – przywitał się Antoine, wymawiając niepewnie ostatnie słowo.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka jestem szczęśliwa! Co ty tutaj robisz?

– Dowiedziałem się o twoim przedstawieniu i...

– Och, dowiedziałeś się o moim przedstawieniu! To znaczy, że jestem gwiazdą! – Wybuchnęła wymuszonym śmiechem. Bardzo różniła się od kobiety, którą spotkał w toalecie króla Jerzego III.

– Dziewczęta, wszędzie głośno o naszym przedstawieniu!

Kobiety podskoczyły podekscytowane i znowu zaczęły klaskać w dłonie. „Jeszcze trochę, a im ręce odpadną”, pomyślał Antoine.

Matka nie odrywała od niego rozpromienionych oczu, żaden szczegół nie

mógł umknąć jej uwadze. On również przyglądał jej się badawczo. Była dużą i otyłą kobietą. Prześcigała go wzrostem bądź tylko sprawiała takie wrażenie z powodu burzy tlenionych włosów. Nie była piękna, ale Antoine żywił przekonanie, że ktokolwiek mijałby ją na ulicy – obojętnie, kobieta czy mężczyzna – z pewnością zahaczyłby o nią wzrokiem. Odziana w skąpy gorsecik i z twarzą pokrytą mocnym makijażem, z pewnością nie przeszłaby niezauważona.

– Chodź tu do mnie, kochanie. – Miała zamiar chwycić go za rękę, ale Antoine’owi udało się wymknąć. Chyba zrobiło jej się przykro, a mimo to nie przestawała się do niego uśmiechać.

– Masz rację. Jesteś już małym mężczyzną. Jesteś moim małym mężczyzną! – powiedziała i pociągnęła go na scenę, a potem zmusiła, by przedefilował przed otępiętymi tancerkami. Patrząc z bliska na ich pokryte grubą warstwą pudru twarze, uznał, że musiały być porządnie po sześćdziesiątce.

– Jasmine, przynieś nam proszę coś do picia. Dla mnie kieliszeczek absyntu, a dla mojego syna szklankę mleka.

– Oczywiście, Ester – odpowiedziała natychmiast jedna z tancerek.

Kiedy znaleźli się za kulisami matka opamiętała się.

– Boże, jaka ja jestem głupia! Może miałbyś ochotę na coś innego, kochanie? Wybacz mi, ciągle zapominam, że jesteś już prawdziwym mężczyzną. Mleko! Też mi coś!

Antoine poczuł, że się zarumienił i wybełkotał:

– Daj spokój... Jasmine już po nie poszła.

Ester Fonte nie była przekonana, ale postanowiła nie drażnić tematu. Zanurzyła się w gąszcz manekinów i kostiumów scenicznych, prowadząc syna do swojej garderoby. Na drzwiach widniała gwiazda, która utraciła już złoty blask.

– Czuj się, jak u siebie w domu, jak w naszym domu, skarbie – powiedziała, kiedy weszli do cukierkowego pomieszczenia pełnego lalczek i bibelotów. – A tak *à propos*, to co tam u nas słysząc?

– Wszystko dobrze. – Antoine przysiadł na zydelku, który natychmiast załamał się pod jego ciężarem. Kiedy już wylądował na podłodze, postanowił się stamtąd nie ruszać.

– Małeństwo moje! Taki jesteś roztargniony. Odpręż się, wyglądasz na bardzo spiętego!

Ester przyklękła mu za plecami i zaczęła masować ramiona.

– Jestem twoją mamą i możesz mi o wszystkim opowiedzieć. Wygadaj się, powiedz, co cię gryzie. Czy chodzi o jakąś dziewczynę?

– Może. A może o to, że za bardzo gnieciesz mnie po karku... Jeśli nie masz nic przeciwko temu, oczywiście. Albo o to, że nie żyjesz. Nie mam pojęcia.

Dłonie, które jeszcze sekundę wcześniej pieszczotliwie rozmasowywały mu mięśnie, skurczyły się ze złości i Antoine poczuł na sobie oddech kobiety-widma,

która zgodnie z tym, czego dowiedział się w Tirnaïl, musiała nie żyć już od kilku dobrych lat.

– Co takiego?

– Dałem ci do wyboru trzy możliwości, sama zdecyduj, którą wolisz.

Matczyne ciepło Ester Fonte nagle gdzieś wyparowało. Zesztywniała, obrzuciła go chłodnym spojrzeniem, wstała z podłogi i żeby rozładować napięcie, poszła na papierosa.

– Jesteś miły jak rak płuc! – wrzasnęła histerycznie.

– Jak ten, na którego umarłaś?

– Jesteś zupełnie jak twój ojciec – załkała, udając, że ociera łzy. – Bryła lodu, niewrażliwy egoista, który zdechnie kiedyś w samotności... A tak w ogóle, to czy on jeszcze żyje?

– Nie wiem i nie mów tylko, że jestem do niego podobny. Niestety, ostatnio niewiele na swój temat pamiętam.

– Na pewno już nie żyje! Prawdopodobnie w drodze na stację wpadł pod koła śmieciary... Pamiętasz ten ranek?

– Tak, raz po raz wraca do mnie to wspomnienie.

– Myślę, że zginął tamtego ranka pod kołami! Nawet nie zauważyli, że go przejechali. Jego trup leży pewnie jeszcze gdzieś na wysypisku, pośród skórek od bananów i przeterminowanych prezerwatyw.

Antoine nie komentował jej makabrycznych wizji. Obserwował ją z nadzieją, że jeszcze coś dopowie, ale wyglądało na to, że się nie doczeka. Matka zapadła w grobowe milczenie i gdyby jej nie sprowokował, prawdopodobnie nic by już nie powiedziała. Nie był to również dobry moment na poruszanie kwestii jego nazwiska.

– Dlaczego wybrałaś taki tytuł? *Złodziej z mgły*... Kiedyś nazwałem tak tatę. Zawsze go tak postrzegałem.

– Mam nadzieję, że nie naruszyłam jakichś praw autorskich! – Matka wybuchnęła po raz kolejny. – Pieprzony nierób! Miglanc i bumelant! Ty pewnie tego nie pamiętasz, ale on nie miał żadnego normalnego zajęcia. Co tydzień wyskakiwał z jakimś nowym pomysłem na życie... I żeby choć raz doprowadził coś do końca! Cholerny mistyfikator!

– Opowiadał historie.

– Dokładnie. Historie! A jaka była moja historia? Ja chciałam zostać tancerką! Niczego w życiu nie osiągnęłam! Przez trzydzieści lat szorowałam kible u obcych ludzi! Kiedy byłam piętnastoletnią dziewczyną, mówili, że mam delikatne, kryształowe stópki! Zrezygnowałam z wszystkiego dla twojego ojca, dla ciebie... A wy mnie zostawiliście. Umarłam sama w tym pieprzonym domu, sama, rozumiesz?! A przecież wszystko mogło ułożyć się inaczej... Mogłam być kimś zupełnie innym... Ale zostałam i walczyłam do końca. Dla ciebie. A ty, co ze sobą

zrobiłeś? Zaprzepaściłeś tyle szans i okazji! Wyjaśnij mi, proszę, dlaczego zamiast uganiać się teraz za jakąś kiecką, dyskutujesz z kobietą, która nie dosyć, że już nie żyje, to w dodatku jest twoją matką?

Przez cały ten czas Antoine obserwował ją nieporuszony i wydawało się, że bardziej niż tym, co mówiła, pochłonięty był czyszczeniem oplutych mu przez nią okularów.

– To już wszystko? – spytał ni stąd, ni zowąd zniecierpliwiony i miał ochotę sobie pójść.

Ester zgmiotła w popielniczce papierosa i poprawiła włosy, próbując doprowadzić się do porządku. Właśnie wtedy pojawiła się Jasmine i przyniosła zamówione napoje. Spytała przymilnie Antoine’a, co sądzi o ich kostiumach.

– Nie ma sensu, żebyś się do niego wdzięczyła, maleńka. – Ostudziła ją Ester, łykając absynt. – On nie jest mężczyzną. Niestety, wydałam na świat bezdusznego potwora.

– Miałem nadzieję, że już skończyłaś – wycedził Antoine, a potem dodał, zwracając się do Jasmine: – Wasze kostiumy i choreografie przemieniłyby w poetę każdego prostaka z Balàl.

– Ach! Bardzo panu dziękuję! Jest pan niezwykle miły! – wykrzyknęła Jasmine i opuściła garderobę.

Antoine nie zdążył jeszcze oderwać wzroku od jej krągłych kształtów, gdy usłyszał trzask rozbijanego o ścianę kieliszka. Odwrócił się i zobaczył, że matka płacze. Dopiero teraz wstał z podłogi i podszedł do niej.

– Daj mi spokój! – ostrzegła, celując w niego palcem i cofając się do ściany.

– Przepraszam – przemówił ze skruczą Antoine. – Dla mnie to też nie jest proste.

– Wiem... Ale ty mogłeś osiągnąć więcej. Co ty tutaj robisz?

Na to pytanie Antoine nie potrafił odpowiedzieć. Stał jak posąg, a matka chusteczką do demakijażu zmywała twarz i oczy, kreśliła koła na policzkach, rozmazywała zacieki z pudru, tuszu i łez.

– Muszę ci coś pokazać... – powiedziała, kierując się do toalety.

Otworzyła szufladę, z której buchnęła woń mirry i poziomek; poprosiła Antoine’a, aby podszedł bliżej. Opowiadacz usłyszał unoszące się w powietrzu delikatne dźwięki pozytywki i natychmiast rozpoznał *Jezioro łabędzie*. Gdy zajrzał do środka, zdało mu się, że stoi na krawędzi studni, w której przemykały jakieś błyski. Nie pochodziły one jednak od podrygujących płomieni świec ani mrugających żarówek. Z trudem dostrzegł drobną postać wirującą w takt muzyki, a kiedy już wzrok przyzwyczaił się do ciemności, przez trwającą całą wieczność chwilę miał niezbitą pewność, że tam, w dole, tańczyła jego matka. I tańczyła po prostu genialnie. Potem stojąca u jego boku Ester Fonte zatrzaskała szufladę.

– To było moje marzenie – wyjaśniła, gorzko się przy tym uśmiechając. –

Najgorzej jest utracić coś, zanim jeszcze się to otrzymało... Rozumiesz, co mam na myśli?

Antoine poczuł się nagle przytłoczony. Cała ta sytuacja, nieznana kobieta, którą zmuszony był nazywać mamą, próba dowiedzenia się od niej, jakie nosił imię... i jego nieumiejętność odnalezienia się w tym wszystkim z powodu obezwładniającego poczucia winy wypompowała z niego wszystkie siły.

– Miałabyś ochotę się przespacerować? – zapytał.

Ester Fonte skinęła głową.

Przysiedli na polerach wzdłuż mola, naprzeciw zacumowanych kutrów, rozkoszując się wszechogarniającą ciszą. Ani niebo, ani morze nie wróżyły dobrej pogody i już wkrótce zaczął kropić deszcz.

– Uwielbiam, gdy pada – powiedziała matka, poprawiając sobie usta szminką i otulając się krótkim bawełnianym sweterkiem. – Tego zapachu nie zapomina się nawet po śmierci.

– Ja też lubię deszcz. Kiedy pada, dzieją się rzeczy magiczne.

– Ja poznałam twojego ojca w deszczowy dzień.

Ester wyciągnęła papierosa i poprosiła jakiegoś przechodnia o ogień, ale mężczyzna nie zwrócił na nią uwagi. Zrezygnowana, objęła się rękoma.

– Nie widzą cię? – spytał Antoine.

Ester zastanowiła się i potrząsnęła przecząco głową. – Nie. Ja wiem, kim jestem, doskonale pamiętam, że umarłam. Dla innych nie ma to znaczenia i nawet jeśli nie żyją, pokazują się i głoszą jak gdyby nigdy nic. Ale ja czuję różnicę i nie potrafię udawać.

– W jaki sposób trafiłaś do Tirnail?

– Tirnail... – Matka spoglądała gdzieś daleko, aż za horyzont w poszukiwaniu królestwa, które już z nazwy było utracone, a Antoine dostrzegł, że bramy Wanezji były stąd jeszcze całkiem dobrze widoczne. – Tak, słyszałam coś kiedyś na ten temat. Powiadają, że to kraina dla takich ludzi jak ja. Dla tych, którzy stracili okazję, dlatego że albo zbyt długo się zastanawiali, albo zwyczajnie ją przegapili.

– Czy to znaczy, że ty zbyt długo się zastanawiałaś?

– Nie, ja ją po prostu przegapiłam. Ktoś powiedział mi kiedyś, że właśnie tam mogę odnaleźć to, czego szukam – szansę zostania tancerką.

– Nie mylił się. Jesteś tu i jesteś tancerką.

– No tak – zgodziła się z nim bez przekonania.

Antoine'owi zrobiło się jej żal. Wyciągnął jej z dłoni niezapalonego papierosa i podszedł do jakiegoś rybaka. Niezdarnie odpalił cygaretkę i zwrócił ją matce, która po raz pierwszy naturalnie się do niego uśmiechnęła.

– Masz rację, jestem tutaj. – Wróciła do przerwanej rozmowy. Miała gęsią skórkę, ale papieros wyraźnie dodał jej wigoru. – Ale wiesz, wydaje mi się to takie

dziwne. To znaczy... Jestem tutaj, teraz. Przygotowuję naprawdę wielki spektakl. Pamiętam wszystkie kroki, występujące w nim dziewczęta, stroje, scenografię, muzykę i całą resztę... I to jest fantastyczne. Ale jednocześnie dziwne.

– W jakim sensie?

Ester zaciągnęła się kilka razy, zanim odpowiedziała. Widać było, że z trudem wstrzymuje płacz.

– Nawet jeśli to wszystko pamiętam, wiem, że nie jest prawdziwe. To tak jakby... – Matka pokręciła głową, starając się dobrać odpowiednio słowa. – Tak jakby zaczęło się dopiero w momencie, kiedy ty do mnie przyszedłeś. I obawiam się, że skończy się, kiedy sobie pójdiesz. Czuję, że jestem tu teraz tylko dlatego, że ty mi to umożliwiłeś.

Ester chwyciła go za dłoń i tym razem Antoine nie próbował się wyrwać. Uprzytomnił sobie, że na swój sposób mu jej brakowało.

– Chodź tu do mnie. – Objął matkę ramieniem i pozwolił, by oparła o nie głowę. Zdawało się, że zapada w sen, odprężona ciepłem i poczuciem bezpieczeństwa, o którego istnieniu dawno już zapomniała.

Antoine myślał, że zasnęła, ale Ester ponownie się odezwała. Opowiadacz nie miał odwagi na nią spojrzeć, był pewien, że w oczach znowu miała łzy.

– Ja go kochałam, ale trudno było z nim żyć. Był inny od wszystkich, ani lepszy, ani gorszy, tylko inny. Wszystkiego było w nim za dużo, miał w sobie tysiąc różnych osobowości. Tłukły mu się po głowie setki pomysłów i historii, ale on na nic nie potrafił się zdecydować. Chciał być wszystkim, a został nikim. Ludzie tacy jak on... ludzie tacy jak ty... przerastają i przytłaczają każdego. Macie głowy pełne ideałów i przedkładacie je nad prawdziwe życie, które nigdy nie spełnia waszych oczekiwań.

Ester wrzuciła do morza niedopałek papierosa, który wmieszał się w ławicę ryb.

– Ale jedno musisz wiedzieć. Codziennie zastanawiałam się, co bym dała, by cofnąć czas i wszystko zmienić i za każdym razem dochodziłam do tego samego wniosku. – Niczego nie chciałabym zmienić.

– Ale dlaczego? – spytał zaskoczony tym wyznaniem Antoine.

To wszystko, co ujrzał w królewskiej łazience, rozpacz matki i bezdusność ojca, głęboko nim poruszyło.

– Ponieważ ceną szczęścia, mój skarbie, jest jego utrata.

Przez kilka następnych minut siedzieli w ciszy. W końcu Antoine zebrał się na odwagę i uznał, że nadszedł odpowiedni moment. Ta kobieta była bez cienia wątpliwości jego matką, a głównym obowiązkiem każdej matki jest zrozumienie własnego dziecka.

– Czy mogę... Czy mogę cię o coś zapytać? – przemówił niepewnym głosem. – Prawdopodobnie będziesz zaskoczona, ale ja muszę się tego dowiedzieć.

– Wiesz dobrze, że możesz pytać o wszystko.
– Okej. – Antoine wziął głęboki oddech. – Czy ty... Czy pamiętasz, jak mi na imię?

Matka odsunęła się od niego i uniosła brwi ze zdziwienia.

– Chyba żartujesz?

– Chciałbym, ale pytam całkiem poważnie.

Nie spodziewał się, że wybuchnie śmiechem, i poczuł się trochę urażony. Ester wyglądała jednak na autentycznie rozbawioną, udawał więc, że nic się nie stało.

– O niebiosa! Co ja mam z wami zrobić. Ale mi się przytrafiło! Jeden lepszy od drugiego! Czy mogę gdzieś złożyć reklamację?

– Być może w Tirnail znajduje się biuro reklamacji dla osób zawiedzionych.

Matka potrząsnęła głową.

– Nie jestem zawiedziona, tylko zmęczona, Antonio.

Antonio.

– Nazywasz się Antonio Maria Fonte. Jesteś synem Antonia i Ester. Czy teraz sobie przypominasz? – Ester pogładziła go po głowie.

Ilekcóż próbował wyobrazić sobie ten moment, nie wiedział, czego oczekiwać. Być może wybuchów fajerwerków, odgłosów trąb, całkowitej pewności, kim jest i dokąd zmierza. Tymczasem nic takiego się nie wydarzyło.

Antoine Tomojasprawa, opowiadacz historii z Miasta Syren, naprawdę nazywał się Antonio Maria Fonte i był pisarzem pochodzącym z miasta położonego nad morzem. W sumie niewiele ich różniło. Obaj szukali utraconych wspomnień, obu pozostawało już na to niewiele czasu i obaj byli zakochani w Genève, obaj też wymyślali historie i obaj bali się, że staną się tacy jak ojciec.

„Twoje nazwisko nie ma znaczenia”, powiedziała mu leśna wiedźma. To, co wiedział Antonio Maria Fonte, pokrywało się niemal z tym, co wiedział Antoine Tomojasprawa, a przynajmniej z początku tak mu się wydało, ale dopiero kiedy zaczął wspominać swoją matkę, nastąpiła w nim jakaś przemiana. Przypomniał sobie jej zapach i uśmiech. Pamiętał, że w niedzielę rano, kiedy przygotowywała obiad, sadzała go na stole obok stolnicy, żeby pokazać, jak przygotowuje się *la genovese* i jak w garnku prypcił się sos z mięsa i cebuli. W święto Trzech Króli zabierała go na Piazza Municipio, plac pełen przyprawiających o zawrót głowy straganów z drewnianymi zabawkami i słodyczami, i mówiła:

– Dziś jest magiczna noc, wybierz sobie, co ci się podoba.

Przyszedł mu do głowy dzień, w którym postanowił wyjechać na północ, do Natzwiller. Odszedł i zostawił ją samą, bez słowa wyjaśnienia. Przypomniał sobie, że za pożyczone pieniądze przyjechała do tej zagubionej miejsciny, żeby zrobić mu niespodziankę w dniu ślubu. Wyjechała zaraz na drugi dzień rano i nigdy więcej

już jej nie zobaczył. Miała na sobie białą suknię w czarne kwadraty, sznur sztucznych pereł i przewiązaną wokół szyi apaszkę. W prezencie podarowała mu elegancki długopis, który on oczywiście zgubił, i który być może znajdował się teraz w Tirmaill. Wspomnił jej trumnę z litego drewna i białe kwiaty na cmentarzu.

Antonio zasłonił oczy, czuł się rozdarty. Pozornie między nim a Antoine'em nie było żadnej różnicy. Ale to właśnie szczegóły – jak zwykł mawiać jego ojciec i jak sam się przekonał, kiedy został pisarzem – głębia szczegółów stanowi o wartości życia i sprawia, że nie jest ono zwyczajną historią. To te krótkie chwile zanurzone w oceanie godzin nadają sens ludzkiej egzystencji.

Matka chwyciła go za ręce i popatrzyła mu prosto w oczy.

– Wiedziałam, że przedtem nie byłeś sobą, ale teraz już znowu jesteś.

Antonio objął ją i przygarnął do siebie. Za wszystkie wspólnie przeżyte lata. I za te, kiedy ją opuścił. Przytulił ją, żeby pozbyć się wyrzutów sumienia, z nadzieją, że ona go z nich oczyści i przemieni zło w dobro.

– Zaraz mnie udusisz – wyszeptała przez łzy.

– Przecież i tak już nie żyjesz!

Matka wybuchnęła śmiechem. To prawda, już nie żyła i nie miała nic do stracenia.

– Mam na imię tak samo jak tata – powiedział Antonio, nie uwalniając jej z uścisku.

– Tak. Bardzo mu na tym zależało.

– Obawiał się zapomnienia – stwierdził z przekonaniem.

– Nie. Bał się, że ty nie będziesz o nim pamiętał.

Antonio zwolnił uścisk i ucałował ją w ręce, które wykonywały najbardziej upokarzające prace i przyklejały mu plastry na zdartych kolanach. Palce, z których wyslizgnęły się jej marzenia i które splotły się z jego palcami w dniu, w którym przyszedł na świat...

– Tak mi przykro, mamo.

– Nic nie szkodzi. Ważne, żebyś wiedział, kim jesteś.

Po tych słowach zapadło między nimi milczenie. Ani Antonio, ani Ester nie zwracali uwagi na deszcz. Do rzeczywistości przywołał ich dopiero dochodzący z daleka huk. Najpierw myśleli, że to grzmot, ale okazało się, że fajerwerk i teraz wybuchy sztucznych ogni mieszały się z kroplami deszczu.

– Mój skarbie... – Matka popatrzyła na niego błagalnie. – Czy zrobiłbyś coś dla swojej mamy? Bardzo bym cię prosiła. Tylko jedną, ostatnią rzecz, bo kiedy już sobie pójdiesz, stracę po raz drugi tę samą okazję i później będę tego żałować przez całe życie.

– Ale ty mamo już umarłaś.

Ester udawała, że się dąsa, ale potem dała mu klapsa i radośnie zachichotała.

– Wszystko, o co poprosisz, mamo.

Po raz drugi Ester uśmiechnęła się tym dawno zapomnianym uśmiechem.
– Czy mógłbyś popatrzeć, jak tańczę?

Żywy albo martwy

Przez całe popołudnie włóczył się zamyślony po ulicach Balàl. By odzyskać tożsamość, nie wystarczyło przypomnieć sobie, jakie nosi imię, postarał się więc przywołać jak najwięcej szczegółów ze swojego życia. W ten sposób wspomnienia Antonia Marii Fonte nałożyły się na doświadczenia Antoine'a zebrane w czasie podróży do Tirnaíl. Teraz był jednym i drugim, a może raczej żadnym z nich. Powoli kształtował się w nim trzeci człowiek, który jednak nie czuł się jeszcze gotów, by przyjść na świat, ponieważ jego wspomnienia nie były kompletne. Jego historia pełna była białych plam, a życie – czarnych dziur.

Gdyby chociaż miał przy sobie ten list... Co prawda swego czasu na tamtym świecie nauczył się go na pamięć, obawiał się jednak, że nie wszystko dobrze zapamiętał, zwłaszcza że list krył prawdy wykraczające poza słowa.

Spokoju nie dawała mu Genève – tajemnicza kobieta, z którą przegadał jedną jedyną noc wiele lat temu. Kim ona była? Dlaczego z powodu kilku spędzonych wspólnie godzin włóczył się teraz jak potępieniec po Tirnaíl? Co jeszcze się wtedy wydarzyło? Dlaczego w liście wspominał, że był mordercą? A do tego ta zbieżność nazwisk w księdze gości... Czy faktycznie odwiedził już kiedykolwiek tę gospodę?

Im dłużej trapił się i zadręczał, tym większy miał w głowie zamęt, który spowalniał myślenie i przytępiał pamięć. Wiedział, że jedynym sposobem przezwyciężenia niemocy było wytrwałe podążanie naprzód, ponieważ każdy kolejny krok przybliżał go do Mnemozji. Ale dziś czuł się przybity i miał jedynie ochotę szwendać się bez celu po ulicach Balàl. Obawiał się powrotu do Błędnej Gospody, by nie odkryć, że Genève już tam nie ma.

W zamyśleniu nie dostrzegł narastającego wokół zamieszania. Zdawało się, że podekscytowani obywatele szykowali się na wielkie święto. Bezdomni ogolili twarze, a stare panny nałożyły szminki. Uliczne latarnie zdobiły dekoracje i girlandy, w mieście panowała atmosfera radosnego poruszenia. Na rogach ulic przygrywali muzykanci, na każdym zakręcie uliczni handlarze oferowali słodczyce, pieczone kasztany, watę cukrową, lody i herbatę w filiżankach.

Antonio już dwukrotnie minął gospodę, ale dopiero za trzecim razem, gdy na progu dostrzegł oczekującą na kogoś i poszarzałą na twarzy Genève, zdecydował się wejść do środka. Ucieszył się, że jeszcze nie uciekła.

– Musimy porozmawiać – rzuciła mu na powitanie i ruszyła do pokoju.

– Co to jest? – spytała, wskazując na rękopis, który Antonio kupił tego dnia za cenę pocałunku, od... Nagle roześmiał się na wspomnienie kobiety o dwóch różnych kolorach oczu, ponieważ wreszcie skojarzył, kim była.

– Myślę, że to jakaś historia – odparł, wyrywając jej powieść z dłoni. – I najprawdopodobniej to ja ją napisałem. Ale kto pozwolił ci ją czytać? – odezwał się z pretensją w głosie, a Genève spojrzała na niego zaskoczona. Do tej pory nigdy się tak do niej nie odzywał.

– Nie wiedziałam, że to zabronione. Opowiada o mnie, opisuje naszą historię. Kim ty jesteś, Antoine? Czy ty byłeś może kiedyś... czy ja wiem... moim mężem? Albo może moim chłopakiem?

Antonio pokręcił głową.

– Nazywam się Antonio Maria Fonte, droga Genève Poitier. Przypomniałem sobie moje nazwisko i teraz... Teraz jesteś już wolna i możesz odejść.

W pierwszej chwili Genève była zdumiona, ale potem pokiwała tylko głową. Ostatecznie wiedziała, że po powrocie z kina Antoine nie będzie już tym samym człowiekiem.

– Czy to znaczy, że odzyskałeś pamięć? Przypomniałeś sobie, jak wyglądało twoje życie na tamym świecie?

On przytaknął, a Genève podeszła bliżej i zapytała błagalnym głosem.

– A czy... Czy pamiętasz coś na mój temat? Czy mógłbyś mi jakoś pomóc się odnaleźć?

Wyglądała na zdesperowaną, Antonio dopiero teraz sobie to uświadomił. Może właśnie dlatego zdecydowała się mu towarzyszyć.

– Nie mogę ci pomóc – westchnął. – Znałem cię tylko przez jedną noc, a potem przez całe życie tylko o tobie marzyłem.

Dziewczyna popatrzyła na niego zawiedziona.

– I... to wszystko?

– Przeczytałaś rękopis?

– Tylko niektóre strony. Wygląda na to, że ktoś próbował go spalić. No, dobrze... – Genève zebrała swoje rzeczy i zaczęła upychać je niedbale w połataną torbę. – I to byłoby na tyle, Antonio Mario Fonte. Odzyskałeś swoje nazwisko, a ja przestałam być twoją własnością. Wiedziałam, że matka pomoże ci zrozumieć, kim byłeś. Masz szczęście, że ci się udało. Wszyscy ludzie zagubieni w Tirnaïl powinni mieć matki, które przypominałyby im, kim są.

Cmoknęła go na odchodne w policzek, a Antonia przeszył dreszcz.

– Co teraz zrobisz?

– Ach, nie wiem, pokręcę się trochę i porozglądam. Pojeżdżę pociągiem, polatam balonem... I wybiorę się do Wielkiego Zegarmistrza. – Genève pomachała księgą kontraktową, a potem wsunęła ją do torby. Roześmiała się sztucznie. –

Założę się, że on bardziej mi pomoże niż ty, cudzoziemcze.

– Nie odchodź – poprosił, przytrzymując ją za rękę. – Istnieją jeszcze pewne niewyjaśnione sprawy.

– Tak? Jakie sprawy, Antoine? Czyżby jakieś kolejne wymyślone historie? Mam już dosyć bycia bohaterką opowieści. A gdyby się tak okazało, że nigdy nikim innym nie byłam?

– To nieprawda.

– A dlaczego?

Antonio chwycił odruchowo za kieszeń od spodni, w której nosił jej portret. Mógłby jej go pokazać i udowodnić, że to, co ich łączyło, wykraczało poza wspólnie spędzoną noc i wymyśloną opowieść, ale bał się, że w ten sposób ją spłoszy. Jeśli Genève odkryłaby, że trafiła do Tirnaïl z jego powodu, mogłaby go znienawidzić.

– Posłuchaj, Antoine, ja wiem, że ty masz fantazję, lubisz wszystko idealizować, bujać w obłokach i wymyślać opowiadki, ale mnie to już nie kręci. Życie w Tirnaïl jest wystarczająco absurdalne i nie trzeba go dodatkowo komplikować. Jeśli przez następne dziesięć sekund nie podasz mi realnego powodu, dla którego miałabym zostać, to po prostu odejdę.

Czuł, że powinien teraz zrobić lub powiedzieć coś, co ją zatrzyma. Miał ogromny talent do wyczuwania takich sytuacji, równie duży jak do ich marnowania. Odczekał dziesięć sekund, a kiedy się ocknął, usłyszał oddalające się kroki Genève. Pobiegł za nią, ale było już za późno.

– Dokąd poszła? – spytał Edgara siedzącego na werandzie gospody i przeglądającego ilustrowaną książeczkę dla dzieci.

– Kto? Och, gdzieś tam... Tam, do tych ludzi.

– Do jakich ludzi, Edgar? Przecież tu są ich tysiące!

Rzeczywiście, z kamienic, sklepów, przejść podziemnych i magazynów wylewały się całe zastępy ludzi. W domach nie został już chyba nikt. Mężczyźni, kobiety, zwierzęta, starcy i dzieci wylegli na ulice Balâl, by uczestniczyć w ogromnym pochodzie nacierającym w jednym kierunku, przetaczającym się przez miasto jak wzburzona fala.

– Na plac Teslan! Na plac Teslan! – krzyknął jakiś śmiałek biegnący pod prąd. – Jedyne taka okazja! Na plac Teslan! – wrzeszczał i rozrzucał ulotki przechwytywane natychmiast przez co sprawniejsze dłonie.

– Gen! – krzyknął Antonio, mieszając się z tłumem. – Gen, gdzie jesteś!

Na samą myśl, że mógłby ją na zawsze stracić, ścisnęło go w żołądku. Tuż za nim dreptał skonfundowany Edgar, oszołomiony nacierającą ciżbą.

– Na miłość boską, Antoine, czy mógłby mi pan coś wyjaśnić...

– Nie mogę jej stracić po raz kolejny, Edgar! Błagam cię, pomóż mi ją odszukać!

– Plac Teslan, proszę państwa! To jedyna okazja dla wszystkich!

Antonio obserwował wijącą się i znikającą za zabudowaniami hurmę i pomyślał, że wszyscy ci ludzie gotowi byliby skoczyć sobie do gardeł, gdyby tylko zaszła taka potrzeba.

– Ona na pewno tam pójdzie – wymamrotał, oświecony nagłą intuicją.

– Panie Antoine, uciekajmy, bo za chwilę będzie tu gorąco! Jeszcze trochę, a ta dzicz całe Balal na butach rozniesie. Lecą jak ćmy do światła, ponieważ jakiś głupiec ogłosi dziś wieczorem budowę kolejnej galerii handlowej i obieca ludziom nowe miejsca pracy!

– Edgar, ja nie mam na imię Antoine. – Pisarz przyciągnął go do ściany, by przepuścić mijający ich bocykl parowy. – Spotkałem moją matkę i przypomniała mi, jak się nazywam! Genève już do mnie nie należy, ale ja nie potrafię bez niej żyć. Jestem pewien, że poszła w kierunku tego placu. Muszę tam jak najprędzej dotrzeć. Jeśli nie masz ochoty mi towarzyszyć, zostawiam ci wolną rękę.

Zdeterminowany Antonio rzucił się w rozkołysany tłum, a potem oderwał się od niego i skręcił w boczny zaułek. Włóczęc się dziś po mieście, odkrył pewien jego sekret. Widział młodych ludzi wychodzących z włazów do kanałów ściekowych i podsłyszał ich komentarze na temat fatalnych warunków w podziemiach. Najwidoczniej istniało tu drugie, podziemne miasto, w którym splecione systemy kanalizacyjny powieliły system ulic Balal i ułatwiały poruszanie się po metropolii.

Jeśli chciał dotrzeć na plac Teslan przed tymi tłumami, musiał zanurzyć się w czeluści alternatywnego miasta. Pod kamienicą, której wschodnia ściana zawaliła się całe wieki temu, znalazł właz. Wyglądał jakby na niego czekał. W jego pobliżu jakiś facet przekonywał dziewczynę, która bała się zejść do kanału, że gigantyczne deinozuchy – pradawne aligatory – dawno już wymarły. Antonio odepchnął ich na bok i zanurkował.

– Czy jest pan pewien, jak tam dojść? – Usłyszał nagle głos Edgara i doznał ukojenia. Z wdzięcznością się do niego uśmiechnął i zaczął schodzić po prowadzącej w głąb drabinie.

– W razie czego spytamy o drogę.

Nikogo nie musieli o nic pytać. Podziemny Balal okazał się królestwem ciemności, szczurów i umarłych, a także prawdziwą jaskinią zbójów i morderców, ale żaden z opryszków ich nie nagabywał. Również kryminaliści ulegli psychozie tłumy i, nie bacząc na nic, biegli w stronę placu Teslan.

Przewody kanalizacyjne pokrywała pleśń, z rur wyciekały cuchnące ciecze, a wokół rozlegały się ochryple głosy i śpiewy naćpanych i pijanych mężczyzn. Antonio podążał z nurtem ludzkiej rzeki i po kilku minutach wynurzył się z kloaki dokładnie pośrodku placu.

Nikt nie zwracał tu na nich uwagi. Antonio i Edgar zbliżyli się do grupki

mężczyzn wznoszących toasty opróżnionymi już butelkami.

– Ale spektakl, panie Fonte! – Edgar wskazał serię ognistych kul, unoszących się niczym zaczarowane wróżki na brzegu olbrzymiej fontanny – centralnego punktu placu, skupiającego wszystkie spojrzenia.

Antonio nie spodziewał się tu takich tabunów ludzi. Rzucił się na poszukiwanie Genève bez żadnej nadziei na jej odnalezienie. W powietrzu migotały wyrzucane przez zawodowych miotaczy pochodnie naftowe. Obelisk pośrodku placu Teslan obsiadła grupa dziesięciu akrobatów. Wykonywali stamtąd brawurowe skoki, czepiając się trapezów, zawieszonych jak huśtawki między kamienicami. Nieopodal zwinni linoskoczkowie chodzili po cienkich sznurkach na rękach, a cały zastęp prostytutek tańczył na zmontowanej z pojemników na śmieci scenie.

– Czy widzi ją pan gdzieś, panie Fonte?

– Nie! Ale mam przeczucie, że jest w pierwszym rzędzie.

– Obawiam się, że tak.

By przedrzeć się przez tłuszcę, Edgar zaczął wymachiwać laską jak maczetą. Na niewiele się to zdało – po paru minutach zdali sobie sprawę, że posunęli się jedynie o kilka kroków. Naraz rozległ się zagłuszający wszystko huk, a oni znaleźli się w potrzasku między rozhasaną słoniową kobietą, podskakującą niczym ogromna piłka a dwójką kompletnie pijanych typów.

Antonio zmusił Edgara, by wziął go na barana. Wodził wzrokiem po twarzach tysięcy kobiet i mężczyzn, pyskach zwierząt i wszelkich innych stworów – czy raczej potworów – wypełniających plac, ale głowy z zielonymi włosami nigdzie nie wypatrzył. Gdy wreszcie przy akompaniamencie bębnow zakończono odliczanie, ustały okrzyki i owacje. Nad placem zaległa nienaturalna cisza. Słysząc było jedynie szum wody i niespokojne oddechy zebranych. Wszyscy utkwili wzrok w jednym punkcie fontanny, na której brzegu triumfował pewien groteskowy człowieczek, napawał się uwielbieniem motłochu.

– Dziękuję, dziękuję... Nie wiem, co bym zrobił... bez was... Tak oddanych mi i świątłych obywateli.

Na nieoczekiwany dźwięk jego głosu Antonio dostał ataku paniki. Również Edgar pobladł, gdy tylko zorientował się, kto zacz. Mężczyzną przemawiającym do znacznie przewyższającego go czarnego mikrofonu był hrabia Vladimir.

– Co on tu, u diabła, robi?

Pod Antoniem ugięły się kolana, nie był w stanie ruszyć z miejsca.

– Jestem bardzo szczęśliwy, że tak licznie się tu zgromadziliście – powiedział hrabia z szalbierczym uśmiechem, po czym podrzucił laseczkę i chwycił ją w locie, wzbudzając tępy zachwyt obecnych. – Umiłowani obywatele! Przyszliście tutaj, ponieważ jesteście ludźmi, którzy wiedzą, czego chcą i umieją wykorzystać każdą życiową okazję. Dzisiaj takich ludzi ze świecą szukać! Takich

ludzi jak wy już po prostu nie ma! – Hrabia rozpracowywał ich za pomocą najbardziej wyszukanych technik wazeliniańskich. W szerokim uśmiechu odsłonił pełen garnitur zębów barwy kości słoniowej – jego znak rozpoznawczy.

– Przykro mi, że zabieram wam czas, szanowni państwo, ale wy, mieszkańcy Balal, lepiej niż ja wiecie, że jest to miasto straconych okazji. Oczywiście nie z waszej winy... Byłbym ostatnim głupcem, gdybym próbował insynuować podobne złośliwości!

Ludzie wybuchnęli śmiechem i zaczęli klaskać w dłonie, przytakując skwapliwie. Wydawało im się, że posiadli wszystkie życiowe mądrości.

– Doskonale zdaję sobie sprawę, że nie ma sprawiedliwości na tym świecie. – Hrabia urabiał ich z pełną skruchy miną, jakby wyjawiał małemu dziecku, że właśnie przejechał mu pieska. – Ale Tirnaïl istnieje po to, by oddać nam to, czego zostaliśmy bezprawnie pozbawieni. Każdy kraj to przede wszystkim jego obywatele – co do tego chyba nikt nie ma wątpliwości – zwyczajni ludzie, tacy jak my. Tirnaïl nie stanowi tu wyjątku, tak więc przywrócenie wam tego, co utraciliście, stanie się zadaniem zwykłego człowieka. To ja odnajdę wasze utracone okazje, drogie panie i zacni panowie! Właśnie po to tak tłumnie tutaj przybyliście! Być może wydam się wam nieskromny, ale oświadczam, że jestem w stanie tego dokonać.

Hrabia chytrze zachichotał i w chudej jak szkielet dłoni uniósł zegar z pustą tarczą, demonstrując wszystkim swoje zaprzepaszczone godziny.

– Tirnaïl rządzi się swoimi prawami i po upływie określonego czasu nikt z nas nie może się stąd wydostać. Jednakże piętnaście lat temu, gdy byłem jeszcze beztróskim żółtodziobem, poznałem tu pewnego człowieka, który nie posiadał zegara i żył poza czasem. Ten blagier i pyszałek twierdził, że ani przemijanie, ani reguły obowiązujące w Tirnaïl nie mają dla niego znaczenia! Krótco po tym dowiedziałem się, że udało mu się uciec z Tirnaïl i powrócić do tamtego świata, do swojego poprzedniego życia!

Hrabia kontynuował przemówienie, przechadzając się po krawędzi fontanny. W dłoni trzymał plik ulotek. Takich samych, jak te, które niczym białe gołębicę unosiły się teraz nad głowami zebranych. Edgar podniósł pospiesznie jedną z nich i nagle zadrżały mu usta.

– To właśnie ten człowiek może wskazać nam drogę! – przemawiał entuzjastycznie hrabia, unosząc zwycięsko ramiona i porywając za sobą rozszalały tłum.

Edgar bez słowa podał ulotkę Antoniowi.

– Ludu Balal, czy pragniesz wydostać się z Tirnaïl?

Rozległo się jednomyślne: „Tak!”. Wszyscy połknęli zatrutą przynętę, a nad placem Teslan pojawił się sterowiec i z opasłego brzucha wyrzucał kolejne porcje ulotek.

– Czy pragniecie poznać sekret, który pozwoli wam się stąd wydostać? Wszak niczego innego tak bardzo nie pragniecie jak powrotu do rodzinnych stron, z których zostaliście bezwzględnie wygnani. Czy chcecie wrócić do domu?

Tłum wydał jednogłośny ryk i zaczął skandować: „Do domu!”, jęcząc żałośnie na dźwięk tych pustych słów. Jednak Antonio nikogo już nie słuchał i skołowaciały wpatrywał się w arkusz ulotki. Widniała na nim czyjaś podobizna i nazwisko, a także brzmiące jak wyrok słowo: „Poszukiwany”.

– Szukajcie tego mężczyzny! – huknął hrabia, demonstrując zebrany list gończy, a jego donośny głos sięgnął nieomal nieba. – Dotarł do Tirnaïl jakieś piętnaście lat temu i Bóg mi świadkiem, że zdołał stąd czmychnąć. Teraz, umiłowani bracia i siostry, Antoine Fonte jest wśród nas. Wrócił, aby nas uwolnić.

Hrabia wycelował laseczką w stronę gawiedzi, jakby chciał namierzyć kryjówkę Antonia. Zęby zabłyśły mu w blasku pochodni, a trupioblade usta wykrzywił ponury grymas.

– Odszukajcie go i przyprowadźcie tu do mnie. Żywego albo martwego, to bez znaczenia, ale muszę go mieć.

Pociąg pospieszny z Balàl

Gdyby nie Edgar, uniosłaby ich fala wzburzonego tłumu, która poderwała się z placu i rozlała po całym Balàl. Zanim jeszcze ktokolwiek zwrócił na nich uwagę, malarz omotał Antonia czarną peleryną, wcisnął mu na głowę czapkę i pospiesznie ich ewakuował.

Mieszkańcy Balàl rozpoczęli obławę. Tratowali stragany, wywracali pełne towaru wózki obwoźnych handlarzy, przeczesywali miasto, wdzierali się do domostw i przetrząsali wszystkie kąty. Przesłuchiwali mężczyzn, kobiety i dzieci, którzy mieli nieszczęście stanąć na ich drodze, trudno jednak było stwierdzić, czego tak naprawdę szukali. Być może jedynie okazji do wyzbycia się resztek ludzkich uczuć.

Antonio był osaczony i nawet jeśli nikt nie zwracał na niego uwagi, a on sam starał się zapomnieć, kim był i co tutaj robił, to i tak wydawało mu się, że uwaga wszystkich skupiała się przede wszystkim na nim. Stanowił obiekt pożądania całej hordy frustratów. Pomyślał, że tak musi czuć się zagubiony przedmiot w momencie, gdy ktoś postanawia odszukać go w Tirnaïl. Jak zaszczute zwierzę w czasie nagonki. Rozrzucone ze sterowca listy gończe docierały nawet do najodleglejszych zakątków Balàl, a malarz rozglądał się desperacko za jakimiś ustronnymi drzwiczkami, które pozwoliłyby im na wydostanie się z miasta.

– Edgar, musimy ją znaleźć. Musimy odnaleźć Genève! Nie możemy zostawić jej tu samej... – przekonywał Antonio.

Malarz mu przytakiwał, ale jednocześnie ciągnął za sobą jak najdalej stąd. Na szczęście udało im się do tej pory nie rozdzielić. Cudownym zrzędzeniem losu znaleźli się w ślepym zaułku, gdzie jacyś bezdomni obstawiali właśnie nielegalne walki kotów. Na murze przecinającym uliczkę dojrzeli małe metalowe drzwiczki.

Edgar wydobył pęk kluczy i bez zastanowienia wybrał jeden z nich. Umieścił go w zamku, a potem odczekał kilka minut i otworzył drzwi na oścież.

– Cholerka! – Podskoczył nerwowo, gdy tylko przekroczyli ich progi. – To jakiś niewybredny żart!

Antonio podążył za spojrzeniem Edgara i dostrzegł wyblakłą, plastikową tablicę. Z niedowierzaniem przeczytał: „Dworzec kolejowy Balàl”.

Edgar wyglądał jakby ktoś przywalił mu w głowę.

– Miałem tylko jeden klucz, który prowadził do Balàl, i akurat teraz musiało

na niego trafić! Cholerne drzwi! Wróciliśmy w to samo miejsce! Spośród setek możliwości akurat tutaj! To nie do pomyślenia!

– Tak to już jest w Tirnaïl – wymamrotał Antonio, czyniąc parę kroków naprzód.

– Niech się pan nie martwi, panie Fonte, zrobię wszystko, byśmy już wkrótce wrócili do mojego mieszkania!

Antonio w ogóle go nie słuchał. Jego uwagę przyciągnęło skupisko ludzi stłoczonych w typowej dla wielkich stacji kolejowych poczekalni. Wyglądali jak uciekinierzy i bił od nich swąd charakterystyczny dla osób, które spędziły noc, nie przyłożywszy głowy do poduszki. Kręciło się tu trochę szemranych typów i włóczęgów załatwiających pokątnie swoje brudne interesy, a także paru opryszków polujących na naiwnych turystów i niedopilnowane walizki.

Antonio przyglądał się tym nędznikom, odzianym w zawszawione szmaty i posypiającym na zaimprovizowanych z bagaży legowiskach. Wyglądali na umordowanych, a mimo to od czasu do czasu z nadzieją spoglądali na rozkład jazdy, na którym niezmiennie widniały tylko dwa słowa: „Odjazdy – brak”.

Przez ażurową tarczę wielkiego i pozbawionego godzin zegara przenikały nikielne wiązki jarzeniowego światła. Antonio odruchowo sięgnął do kieszeni i zerknął na zegarek, ciekaw ile mu jeszcze zostało. Godzina szósta powoli znikwała z tarczy, wyblakła i przeredzona jak strzęp opadającej mgły. Wkrótce miały pozostać mu jedynie trzy godziny. Jego czas nieubłaganie dobiegał końca.

– Uwaga, uwaga, pociąg pospieszny przejeżdża przez tor przy peronie siódmym – z megafonu rozległ się komunikat, jednakże nikt z obecnych nie zareagował nawet mrugnięciem powieki, nikt też nie chwycił za walizkę i nie ruszył spieszonym krokiem na peron. Wszyscy trwali nieporuszeni i osowiali, zupełnie jakby nie usłyszeli zapowiedzi, jakby nie czekali na przyjazd pociągu od... Od niepamiętnych już czasów.

– Panie Antoine, musimy stąd uciekać. Jeszcze trochę, a ktoś pana rozpozna! – błagał Edgar, zbierając się do odejścia. – Proszę, wracajmy do mojego domu, tam nic nam nie grozi. Napijemy się dobrej herbaty i zastanowimy, co dalej.

– Nie, to niemożliwe.

– No, więc dobrze. To wobec tego ja napiję się herbaty, a panu przygotuję szklankę mleka, wystarczy tylko...

– Nie. Nie pójdziemy do twojego domu, Edgarze.

– Ach, nie?

– Posłuchaj, jeśli ponownie się tu znaleźliśmy... – Antonio starał się odpowiednio dobierać słowa, przyglądając się jednocześnie stłoczonym desperatom z nadzieją, że zapowiadany pociąg jeszcze nie przyjechał. – Pamiętasz, co mówiła Genève? Jesteśmy w Tirnaïl i musimy respektować jego prawa, musimy podążać drogą, którą nam wytycza. Tu nic nie dzieje się przypadkiem. Miałeś przy

sobie tylko jeden klucz do Balàl i akurat na niego trafiło, gdy próbowaliśmy się stąd wydostać. Czy ty niczego nie rozumiesz, Edgar? Skoro ciągle jeszcze tutaj tkwimy, to znaczy, że Tirnaìl chce nam coś zakomunikować! Do tej pory zawsze tak było. To Tirnaìl wybierało miejsce, które przybliżało mnie do mojej przeszłości. Oznacza to, że właśnie tu mieliśmy tym razem dotrzeć, i że to stąd mamy wyruszyć.

– Stąd? – Zdegustowany Edgar obrzucił spojrzeniem stację i Antonio wywnioskował, że powątpiewał w to, co przed chwilą usłyszał, tak samo jak i w fakt, że był najgorszym malarzem w Tirnaìl.

– Za chwilę mamy pociąg z peronu siódmego, jeśli się nie pospieszymy...

– Nie jest tak, jak pan myśli, panie Fonte.

– Jak to nie! Właśnie przed chwilą go zapowiedzieli...

– Pociąg pospieszny jedynie przejeżdża przez peron siódmy. Diabeł tkwi w szczegółach. Czy nie zastanowił się pan, dlaczego ci ludzie nie zbierają się do odjazdu?

Antonia niewiele to obchodziło. Jakaś siła pchała go na peron siódmy, a płynący z megafonu komunikat pozbawił go wszelkich wątpliwości. Pomyślał, że Genève na jego miejscu nie zawahałaby się, a ona doskonale rozumiała Tirnaìl, tak jak tylko prawdziwy podróżnik potrafi zrozumieć świat. Myśl o Genève dodała mu otuchy i pewności siebie, miał wrażenie, że znowu była blisko.

Dalsze przekonywanie Edgara nie miało sensu.

– Edgar, to jest moja droga i bez względu na okoliczności muszę nią podążać. Z tobą albo sam. Do końca życia będę ci wdzięczny za wszystko, co w ciągu ostatnich tygodni dla mnie zrobiłeś, ale teraz zmuszony jestem dokonać wyboru. Wybacz, drogi przyjacielu, ale dla mnie to sprawa życia i śmierci, i ty nie możesz o niej decydować.

Ku jego zaskoczeniu Edgar nie stawiał oporu i z radością przystał na te słowa, które uspokoiły go bardziej niż filiżanka aromatycznej herbaty. Uszczypnął Antonia w policzek i energicznym krokiem ruszył w stronę peronu.

– Wobec tego nie ma co się ociągać, panie Antoine. Pociąg pospieszny jest naprawdę pospieszny.

Antoine ruszył z kopyta. Klucząc między płaczącymi dziećmi i klatkami ze zwierzętami, przedarli się przez hałastę w poczekalni, minęli kasy biletowe oraz kontrolerów – którzy w ogóle nie zwrócili na nich uwagi – i wybiegli przed budynek. Antonio zaniemówił na widok liczby wypełniających peron pociągów. Było ich około trzydziestu. Wszystkie stare i porządnie utrzymane, z tradycyjną lokomotywą parową, sprawiały wrażenia od dawna nieużywanych. Nie mieli jednak czasu na podziwianie skansenu.

– Panie Antoine – krzyknął Edgar i pociągnął go za koszulę w stronę peronu siódmego. Głos brzmiący jak trąbienie słonia zapowiadał właśnie nadjeżdżający

pociąg. W tym samym momencie z całego zastępu nieczynnych od lat wagonów i parowozów, wśród kłębow pary i dymu wyłoniła się zażywna lokomotywa.

– Przyjechał punktualnie – uradował się Antonio i odetchnął z ulgą. Zauważył, że oprócz niego na pociąg czekały jeszcze dwie osoby.

Jedną z nich była Genève.

– Gen! – rozdarł się na całe gardło, przepełniony mieszanką szczęścia i bólu, tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczył ją w Wanezji.

Zaskoczona dziewczyna uniosła głowę znad gazety i rozpromieniła się. Jej usta wyszeptały jego imię, ale oczy wyrażały zdziwienie. Pociąg przesunął się wzdłuż peronu, ale próżno było czekać aż się zatrzyma. Podróżni rzucili się za nim w pogoń i Antonio bez wahania uczynił to samo, w rzeczywistości gonił jednak biegnącą za pociągiem Genève.

– Gen! Zatrzymaj się!

– Ani mi się śni! – odkrzyknęła. – Ten pociąg trzeba chwycić w biegu!

Genève, mimo nikotynowego nałogu, miała niezłą kondycję i już wkrótce wysunęła się na czoło peletonu.

Antonio nie rozumiał, dokąd tak biegli, do momentu aż jeden z mężczyzn wykonał akrobatyczny skok i z lokomotywy przedostał się na tender, wagon mieszczący pojemniki na wodę i węgiel. Dopiero wtedy dotarło do niego, że ten pociąg naprawdę się nie zatrzyma.

– Niech pan biegnie, Antoine, niech pan biegnie! – ponaglał go załamującym się głosem Edgar. Zgięty wpół, co sił w chudych nogach pędził za pociągiem, z wąsów kapał mu pot.

Dziewczyna zwolniła, by na nich poczekać. Gdy wreszcie się z nią zrównali, mijał ich obojętnie ostatni wagon pociągu – ostatnia okazja, by wskoczyć na pokład. Genève przyspieszyła, po czym wybiła się z lewej stopy, wyrzuciła prawe ramię w stronę barierki i po chwili była uratowana.

– Pospieszcie się! – krzyknęła podekscytowana. – Tu jest super!

Antonio rzucił okiem na Edgara. Ledwo zipał.

– Czuję, że za chwilę... – wysapał malarz. – Dostanę zawału.

Antoniowi zrobiło się żal kolegi. Nie dbając, że ryzykuje życiem, chwycił go za pelerynę, wydłużył krok i maksymalnie wyciągnął przed siebie ramię. Resztkami sił przytrzymał się okalającej wagon barierki i, z trudem zachowując równowagę, umieścił lewą stopę na szczeblu żelaznej drabinki. Nie wytrzymałby zbyt długo w tej pozycji, gdyby nie pomoc Genève. Dziewczyna chwyciła go mocno za ramię, a Antonio zaparł się całym ciałem i poderwał z ziemi Edgara. Półprzytomny malarz uczeplił się barierki i przez kilka dobrych sekund zwisał z niej w pozycji embrionalnej, jak przycupnięty na gałęzi koala, uniemożliwiając tym samym wdrapanie się na pokład Antoniowi.

– Przesuń się, Edgar! – krzyknął pisarz. – Bo zaraz spadnę!

Nie puszczać ręki Antonia, Genève ponagliła malarza, pomogła mu pokonać barierkę i opaść z łoskotem na laminowaną podłogę.

Dopiero teraz Antonio mógł pomyśleć o sobie. Sapiąc i postępując, wgramolił się na balkonik i bez tchu wpadł do wagonu. Był ledwie żywy, ale bezpieczny! Wszyscy mieli się dobrze, a stacja znikła powoli na horyzoncie. To nie stacja się oddala – powiedział sam do siebie pisarz, uśmiechając się przy tym triumfalnie. – Ale my się poruszamy.

– Cholerka! – wydusił w końcu z siebie Edgar i osunął się na ziemię.

Genève zdjęła omotany wokół szyi szal i podłożyła mu go pod głowę. Zanosila się przy tym donośnym śmiechem, prawdopodobnie z powodu miny wyczerpanego biegiem malarza oraz podwyższonego poziomu adrenaliny. W końcu usiadła na ziemi, ponieważ od śmiechu dostała skurczów żołądka. Antonio śmiał się razem z nią, a pociąg coraz bardziej oddalał się od centrum Balàl. Gwiżdżąc i porykując, przejeżdżał przez peryferia miasta – rozległą przestrzeń zastawioną przyczepami turystycznymi, domkami campingowymi i namiotami.

– A więc... byłaś tu... Naprawdę chciałaś wsiąść do pociągu. – Antonio miał jeszcze zadyszkę, a serce waliło mu w piersiach, pulsowało w skroniach i gardle i... było to upajające doznanie. Wreszcie poczuł się żywy!

– Czyżbyś przypadkiem mnie szukała? – zapytała kokieteryjnie, muskając mu włosami twarz. Była radosna i promienna, niewypowiedzianie szczęśliwa, że odnaleźli się w ten właśnie sposób.

Wiedziała, co to oznaczało, ponieważ doskonale rozumiała reguły Tirnaïl.

– Nie zostawiaj mnie – zwrócił się do niej błagalnym tonem.

– Ty to masz, bracie, farta!

W pociągu

Genève z niedowierzaniem wysłuchiwała sprawozdania Antonia i Edgara na temat wydarzeń na placu Teslan. Była mile zaskoczona, że Antonio zmierzył się z rozszalałym tłumem w Balal tylko po to, żeby ją odnaleźć, przede wszystkim jednak zastanawiała się, do czego zmierzał tym razem hrabia. Wewnętrzny głos podpowiadał jej, że to niemożliwe, aby Antonio już kiedyś przebywał w Tirnail i zdołał się z niego wydostać, ale nawet nie próbowała pytać, czy sobie cokolwiek na ten temat przypominał, i tak wiedziała, że nie.

– Zastanawia mnie, dlaczego hrabia kazał schwytać cię żywego bądź martwego. Jaką mógłby mieć korzyść z twojej śmierci? – Ograniczyła się jedynie do krótkiego komentarza, a potem podarła na strzępy przekazaną jej przez Edgara ulotkę i wraz niedopałkiem wyrzuciła ją przez okno. – Nikt nie może się dowiedzieć, gdzie przebywałeś.

– A czy nie lepiej byłoby schronić się na jakiś czas w moim mieszkaniu i przeczekać, aż się to wszystko uspokoi? – Edgar wyraził swoją propozycję, podczas gdy do pociągu wsiadła właśnie jakaś dziewczynka z psem. – Uważam, że tutaj jest za dużo ludzi. Wystarczy, że ktoś rozpozna pana Fonte i jesteśmy ugotowani.

Antonio i Genève wymienili się spojrzeniami. Edgarowi nie można było odmówić racji, ale Tirnail sprawiło, że znaleźli się w pociągu, powinni więc podążać jego trasą. W ten sposób przemieszczali się szybciej niż samochodem i pokonywali w krótkim czasie wiele nowych regionów. A może wiozł ich bezpośrednio do Mnemozji?

– Ja jestem za tym, żeby jeszcze przez jakiś czas pozostać w pociągu – oświadczył Antonio, unosząc rękę.

– Ja też. – Genève natychmiast uczyniła to samo i klepnęła Edgara w plecy. – Większość wygrywa.

– Ale nie zawsze ma rację – wymamrotał pod nosem Edgar i zgarbiony wyszedł na korytarz, zahaczając peleryną o wózek, z którego sprzedawano kanapki.

Gdy zostali sami, Genève wyciągnęła z torby rękopis *Kryształowej Nocy* i podała go Antoniowi.

– Spakowałam go przez pomyłkę w gospodzie. Nie mam ochoty tego czytać, miesza mi tylko w głowie. Nie rozumiem, czy jestem tą dziewczyną z powieści czy

też nie. Już i tak jestem kilkoma osobami naraz i żadną do końca. Nie potrzebuję tej twojej historii, Antoine.

– Na imię mi...

– Wiem, jak ci na imię, ale łatwiej mi, kiedy myślę, że jesteś tak samo zagubiony jak ja.

– Ale ja jestem zagubiony.

– Wcale nie. Pozostało ci jeszcze trochę czasu, masz imię i jakąś przeszłość. Ja miałam tylko siebie i to mi wystarczało. Potem pojawiłeś się ty z tymi twoimi historiami i wtedy zaczęłam się zastanawiać, czy w ogóle jestem prawdziwa. Czy ty się kiedykolwiek nad czymś takim zastanawiałeś?

Antonio był skrępowany, nie wiedział, jak odpowiedzieć na to pytanie. Przypomniał sobie, co powiedziała mu mama: że czuła się prawdziwa tylko dlatego, że on się tam pojawił, ponieważ to on jej to umożliwił. Odgonił tę myśl.

– Myślę, że kryje się za tym wszystkim coś więcej. Jestem tego pewien.

– To obiecaj, że powiesz mi, co to takiego, kiedy już sobie mnie dobrze przypomnisz. Mnie prawdziwą, a nie wymyśloną.

Grudzień 1998 roku

Na zewnątrz jest ciemno. Spogląda na zegarek, jest pięć po dziesiątej.

Gotuje wodę na herbatę, poprawia poduszki na tapczanie. Układa kartki rękopisu, idzie poszukać notesu i jakichś długopisów, bierze z kredensu dwie filiżanki, a potem rozkłada wszystko na stoliku w salonie. Mieszkanie jest uporządkowane i posprzątane, pachnie czystym praniem, podłoga jest świeżo umyta, a palniki kuchenki wyszorowane do połysku.

Spogląda na zegarek, jest siedem po dziesiątej.

Z zewnątrz słyszy czyjeś kroki, szuranie butami po mokrym chodniku. Wygląda przez okno komórki, tej samej, która w dzieciństwie służyła mu za pokój.

Jest.

Mężczyzna stoi przy bramie wejściowej, obok domofonu. Ociąga się i zwleka jak kot. Pogwizduje, spogląda na zegarek, dla zabicia czasu zapala i gasi zapalnik, jakoś musi przeczekać te trzy minuty. Ma na sobie zawsze ten sam kapelusz i beżowy prochowiec, a na nogach znoszone kasztanowe mokasyny. Jest przekonany, że zadaje nimi szyku i wzbudza respekt u syna. Zapala ostatnią zapalniczkę, nieświadom, że Antonio mu się przygląda. Minęły już cztery miesiące, ale on ciągle jeszcze nie może się powstrzymać, czuje potrzebę podglądania go z ukrycia. Musi patrzeć, by uwierzyć, że jego ojciec istnieje, że wykonuje jakieżś czynności – na przykład obserwuje czerwono-niebieski płomień zapalnika.

Ojciec dzwoni do domofonu. Jest dokładnie dziesięć po dziesiątej. Antonio otwiera bramę, słyszy kroki na korytarzu i delikatne pukanie do drzwi. Idzie się z nim przywitać.

– Czy wiedziałeś, że zapalniczkę wynaleziono jeszcze przed zapalkami? – pyta od progu ojciec, w ogóle na niego nie patrząc.

– Naprawdę?

– Oczywiście. W roku 1823 Johann Wolfgang Döbereiner wykonał pierwszy zapalnik, znany jako lampa Döbereinera. Do produkcji został wprowadzony dopiero w roku 1880. Jak myślisz, istnieje gdzieś jeszcze jakiś stary eksponat?

– Nie wiem, tato, ale dzisiaj można znaleźć dosłownie wszystko.

– To prawda, ale wcale mi się to nie podoba. Nie ma miejsca na magię w świecie, w którym można mieć wszystko. Przygotowałeś mi herbatę?

– Przygotowałem.

Antonio zalewa wodą saszetkę o smaku jabłkowo-cynamonowym, a potem napełnia mu filiżankę. Ojciec rozsiada się w fotelu. Miałby ochotę skrytykować sposób ułożenia poduszek, ale nie ma się do czego przyczepić, ponieważ Antonio ułożył je wcześniej dokładnie tak, jak lubi.

Antonio nalewa sobie do kubka mleka z miodem, a potem siada na tapczanie.

– No, i co tam słyszać? – pyta ojciec, który jeszcze do tej pory nie spojrzał synowi w oczy.

– Wszystko normalnie. Acha... Państwo Palombo rozwiedli się i opuścili to mieszkanie nad nami.

– Wielka szkoda. Było zabawnie, kiedy pani Palombo zostawała sama w domu i zapraszała fryzjerkę, z którą później stawiała na głowie, niegrzeczna świntuszka...

– Wczoraj wprowadziła się już jakaś nowa osoba.

– Kobieta czy mężczyzna?

– Kobieta. Ma trochę ochryply głos.

– A jakie ma cycki?

– Jeszcze jej nie wiedziałem.

– Potem mi powiesz, jakie ma cycki.

Z przewodu wentylacyjnego dochodzą różne odgłosy, pstryknięcie zapalniczki, brzęk odstawianej na talerzyk filiżanki do kawy, miękkie kroki – jakby ktoś chodził w samych skarpetkach – spadające na podłogę kapsle, których później nikt nie podnosi. Te dźwięki towarzyszą Antoniowi w codzienności.

– A jak tam powieść? W jakim jesteś punkcie twojej niekończącej się historii?

Antonio bierze rękopis ze stolika i obrysowuje jego brzegi. Czuje się jak uczeń wezwany do odpowiedzi.

– Co nieco dopisałem. Teraz ona przebywa nad Bajkałem na Syberii.

– Och, to świetnie! Czy wiedziałeś, że to najstarsze i najgłębsze jezioro świata? Jego wody stanowią dwadzieścia dwa procent wszystkich słodkich wód kuli ziemskiej. Na wiosnę pokrywa je kra, wygląda jakby jakiś olbrzym rozbił ogromną

szkłankę i porozrzucił odłamki. Mógłbyś napisać, że spotkała olbrzyma, co? Nieprzyjemnego olbrzyma o samotniczym usposobieniu, który jest przekonany, że nie posiada duszy, co ty na to? No, dalej! Dlaczego mi czegoś nie przeczytasz?

Antonio czyta drżącym głosem. Drżącym po pierwsze dlatego, że opowiada swoją historię największemu złodziejowi opowieści na świecie, a po drugie – dlatego, że historia ta mówi o niej, o dziewczynie znad rzeki. Właściwie nie rozumie, dlaczego ciągle jeszcze się tym tak emocjonuje, przecież powinien był już się przyzwyczać. Od kilku miesięcy ojciec odwiedza go raz w tygodniu i ciągle powtarzają ten sam rytuał. Dzwoni do drzwi zawsze o dziesiątej dziesięć i nigdy nawet pół minuty wcześniej.

Ojciec nigdy nie patrzy mu w oczy.

W pewnym momencie mu przerywa.

– Dlaczego nie dałeś swojej bohaterce żadnego imienia?

Antonio milknie i zawstydzony wbija wzrok w podłogę.

– Ona nie jest bohaterką, ale realnie istniejącą osobą.

– To tym gorzej, piszesz o osobie, która nie posiada imienia?

– To wszystko jest o wiele bardziej skomplikowane, niż myślisz, tato.

– To ty jesteś skomplikowany, mój synu. Od lat piszesz historię tej dziewczyny i nie dałeś jej żadnego imienia.

– Ech, bo ja... nie wiem, jak jej na imię! – Antonio zrywa się z tapczanu i upuszcza rękopis. Potem spogląda przez okno. Myśli o dziewczynie znad rzeki, o jej oczach i o tym, jak bardzo mu jej brak.

– Nie wiem, jak jej na imię. Odszedłem i zapomniałem ją spytać...

Ojciec siedzi w milczeniu, a potem zadaje mu pytanie.

– Czy historia, którą piszesz, opowiada o realnie istniejącej osobie? Czy ta dziewczyna... jest prawdziwa?

Antonio przytakuje.

– Straciłeś ją?

– Nigdy do mnie nie należała, tato. Poznałem ją osiem lat temu i znałem przez jedną noc. To wszystko.

– Znowu zrobiło się cicho.

– Nie sądzisz, że zasługujesz na coś więcej? – pyta ojciec po długiej chwili zastanowienia.

– Co masz na myśli?

– Co mam na myśli? Hmm...

Ojca dopadają wątpliwości. W ostatnich latach wiele się nauczył. Poznał moc słów. Niektóre z nich leczą, inne uwodzą i zapadają w serce, a jeszcze inne oddalają ludzi od siebie. Bierze głęboki oddech, a potem dodaje:

– Mam na myśli, że nie powinieneś podchodzić tak obsesyjnie do tego, co zdarza ci się w życiu. Nosisz w sobie ogromne pokłady możliwości. Masz fantazję

i potencjał twórczy, nie mówiąc już o tym wszystkim, co przechodzi ci koło nosa w świecie realnym. Dlaczego nie przestaniesz żyć wspomnieniami i nie zaczniesz realizować swoich marzeń i pragnień?

– Ja podchodzę obsesyjnie? Przecież to ty przez całe życie byłeś zakręcony na jakimś punkcie. Kobiety, alkohol, co rusz nowe zawody, pomysły, wyjazdy i podróże...

– To były rzeczy realne.

– Jasne! Tak samo jak twoja praca w zawodzie złodzieja historii!

– To jest jak najbardziej realny zawód i kto jak kto, ale ty powinieneś być tego świadom. Swego czasu sam przedstawiłeś mnie temu człowiekowi i do dzisiaj jestem jego najlepszym pracownikiem.

– Ty, tato, jesteś po prostu chory. – Antonio pokręcił głową. – Dlaczego w ogóle wróciłeś? Dlaczego nie wyruszysz w podróż dookoła świata?

– Ponieważ jestem stary i nie nadążam już za światowym tempem. I ponieważ mi Ciebie brakowało. Ja... – Ojciec podnosi wreszcie wzrok. Po raz pierwszy od czasu, kiedy wrócił, przez moment spotykają się spojrzeniami, a potem stary znowu wpatruje się w próżnię. – Chciałbym ci podziękować, że nie zatrzasnąłeś mi drzwi przed nosem tego wieczora, kiedy zapukałem po raz pierwszy.

– Miałem do tego pełne prawo! Przez dwadzieścia dwa lata nie dawałeś znaku życia. Przez dwadzieścia dwa lata nie miałem ojca... Ty...

– Wiem, wiem! – Ojciec przerywa mu zniecierpliwiony. – Miałeś prawo to zrobić, ale nie zrobiłeś. To znaczy, że chcesz jeszcze słuchać tego, co mam ci do powiedzenia. A ja chcę ci powiedzieć, żebyś nie dawał się omamić wyobrażeniom. Znajdź sobie coś, co pokochasz, i kochaj to. Widzę, jak bardzo jesteś do mnie podobny, i właśnie to najbardziej mnie przeraża. Nie chcę, żebyś był taki jak ja.

– Ja nie jestem taki jak ty!

Zaskoczony tym wyznaniem ojciec traci pewność siebie i zachowywaną do tej pory pozę. Przed Antoniem siedzi teraz stary, zagubiony człowiek, który u schyłku życia pozostał z pustymi rękami i uświadomił sobie, co zaprzepaścił. Mężczyzna, który potrzebował syna, by poznać siłę i kruchość przebaczenia. Antonio czuje, że ma nad nim przewagę, jest silny i dorosły, a ojciec z dnia na dzień coraz słabszy, bledszy i bardziej samotny. Nie wróciłby, gdyby tak nie było.

– Genève – szepce, patrząc na zewnątrz przez zaparowane szyby.

– Co takiego? – pyta ojciec.

– Nazwę ją Genève. To tam ją poznałem, na Święcie Wody w Genewie. Dam jej na imię Genève.

– Panie Antoine, już po wszystkim. To był tylko sen!

Twarz Edgara przesłoniła oblicze, które chwilę wcześniej zawładnęło jego

zmysłami. Antonio uniósł się na posłaniu w kuszetce, a potem pospiesznie wyjrzał przez okno. Usłyszał gwizd ogłaszający przejazd pociągu przez kolejną pustą stację. Wpatrywał się w niebo i żółty sierp księżyca za oknem, obserwował majaczącą w dali zieloną studnię i werandę jakiegoś wiejskiego domu. Przymknął oczy i miarowo oddychał, do czasu aż serce odzyskało normalny rytm.

Genève tak jak i dwaj pozostali pasażerowie w wagonie, łysiejący zakonnik i tania prostytutka, spali snem sprawiedliwego.

– Nie jestem taki jak ty, stary draniu. – Antonio poruszył się i miał zamiar wstać, ale Edgar zmusił go, by przysiadł na krzeselku przy oknie.

– Proszę, niech się pan uspokoi, panie Antoine! Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktokolwiek tak cierpiał we śnie.

Podał mu chusteczkę i dopiero teraz Antonio zorientował się, że z nosa leciała mu krew. Dobrze by było, gdyby to był tylko sen! Obecność ojca w jego domu i rozmowy o Genève. Coś mu się w tym wszystkim nie zgadzało.

– Czy dobrze się pan czuje, panie Antoine? Jest pan blady jak trup!

Edgar podał mu szklankę wody, do której wrzucił kostkę cukru. Antonio popił i nabrał trochę kolorów, a potem obserwował pejzaż za oknem. Powietrze było chłodne i przezroczyste, tak jakby pociąg zbliżał się do gór.

– Edgar, czy ty kiedykolwiek byłeś w Mnemozji?

– Tylko raz, wiele lat temu.

– To znaczy, że ona istnieje?

Edgar zmarszczył czoło.

– Czy ma pan na myśli, że istnieje tak jak kurzajki albo komary?

Antonio chwilę się zastanowił.

– Nie wiem, na jakim poziomie egzystencji umieścić kurzajki i komary. Chodzi mi o to, że ja szukam Mnemozji, ale od kiedy tu przybyłem, a raczej od kiedy odnalazłem stary list, zaczęły wracać do mnie zdarzenia, których nie tylko po prostu nie pamiętałem, ale które wymazałem z pamięci. Jak to więc możliwe, że odzyskałem wyparte kiedyś wspomnienia, skoro jeszcze nie dotarłem do Mnemozji? Skąd się one wobec tego wzięły?

– Nie jestem specjalistą od utraconych wspomnień, panie Antoine, ale domyślam się, że w ten właśnie sposób Tirnaïl daje panu do zrozumienia, iż podąża pan we właściwym kierunku. I być może im bardziej się pan zbliża, tym bardziej te wspomnienia robią się bolesne, albo tym boleśniej jest ich odzyskiwanie... – powiedział Edgar i wskazał na nos Antonia, z którego nadal kapłała krew.

– Prawdopodobnie tak właśnie jest... – skomentował pisarz, ocierając czerwoną strużkę.

– A więc to, co pana prześladowe, nie było snem.

– Moje sny to wspomnienia. Ale to wspomnienie było... nie do wytrzymania. Byłem razem z moim ojcem. On pił herbatę, a ja mleko

i rozmawialiśmy o Genève – wyznał, starając się nie zwracać uwagi na ucisk w żołądku.

Genève. To on nadał jej to imię. Im więcej sobie przypominał, tym jaśniejsze stawało się, że ona w jego wspomnieniach istniała tylko jako bohaterka wymyślonej opowieści. Ta myśl załamywała go i załamałby również Genève.

– A co w tym takiego dziwnego?

– To, że on był stary. A mój ojciec nigdy stary nie był.

– Hmm, ciekawe, bardzo ciekawe... A może napił się wody ze źródła wiecznej młodości?

Antonio zamilkł. Nie wydawało się, żeby Edgar żartował.

– Nigdy nie widziałem mojego ojca w podeszłym wieku. Ostatni raz spotkałem się z nim – zresztą ty dobrze o tym wiesz – tej nocy, kiedy zostawił mi klucze od gabinetu. Miałem wtedy dwanaście lat. I... również tamta noc wydała mi się nierzeczywista, kiedy ponownie ją przeżywałem.

– Czyżby kolejne wyparte wspomnienie?

– W rzeczy samej!

– No, to dobrze. W czym problem? Wyparł pan te wspomnienia, to teraz wydają się one panu obce i nieznane. A może wątpi pan w ich prawdziwość?

Antonio pokręcił głową, był mokry od potu.

– Chodzi o to, że zacznam się bać tego, co odkryję w Mnemozji.

Edgar zerknął na niego zaniepokojony. Miał zmarszczone brwi i nastroszone wąsy.

– Niech się pan lepiej prześpi, Antoine. To trudna kraina, a pan ma już dosyć zmartwień.

Antonio posłuchał jego rady. Miał zamiar wyciągnąć się na kuszetce, gdy nagle coś przykuło jego uwagę. Rysunek. Prawdziwy rysunek. Dwie stopy wspięte na palcach. Delikatny szkic, który w porównaniu do tego, co do tej pory malował Edgar, wyglądał niemal jak arcydzieło.

Odwrócił się w stronę malarza wpatzonego w zapadającą za oknem pociągu noc. Potem bez słowa położył się spać.

Przez kolejne dni w wagonach panował duży ruch. Wielu pasażerów wsiadało i wysiadało. Ludzie pojawiali się i znikali, przemykali jak aktorzy w czasie castingu. Tylko niewielu z nich pozostawało w pociągu.

Wśród nich uwagę Antonia zwróciła pewna starsza pani. Ekscentryczna księżna Huldrekat[38], która jak zjawa przechadzała się po korytarzach w towarzystwie zarozumiałej norweskiej kotki o imieniu Doreen. Powiadano, że była bogatą właścicielką hodowli dzikich kotów i że nie zamieniała słowa z nikim, kto wywodził się ze społecznych nizin.

Antonio odnosił jednak czasami wrażenie, że księżna Huldrekat szukała jego spojrzenia, jakby chciała mu coś powiedzieć. Coś, czego sama nie była pewna.

Jednak po chwili to wrażenie rozpływało się, a księżna wykrzywiła z przekąsem usta i wybuchła wyćwiczonym, złośliwym śmiechem, na którego dźwięk nawet ona sama czuła się nieswojo.

Antonio spędzał czas na lekturze *Kryształowej Nocy*. Nie miał wątpliwości, że ta powieść mogła wyjść spod jego pióra, choć uważał, że tekst był bardzo niedojrzały. Wszystkie przemyślenia brzmiały śmiesznie i obco. Pozbawiony lekkości, niespójny zlepek opowiadań nie posiadał początku ani końca i – być może z powodu brakujących stron – gubił rytm i wartkość, wydawał się niesamowicie infantylny. Co jednak najważniejsze – Antonio nie pamiętał, niestety, kiedy tę książkę miałby napisać.

Mijały dni, a pociąg przejeżdżał przez kolejne regiony. Za oknem przesuwały się zarówno monumentalne, kamienne metropolie, jak i niewielkie wioseczki, a także skute lodem ziemie, do których nigdy nie docierały promienie słońca, górskie przełęcze i miejsciny przycupnięte w zawilgoconych skalnych wąłomach. Mnemozja wydawała się ciągle jeszcze bardzo odległa.

[38] Nazwisko księżnej oznacza leśnego kota norweskiego, bohatera m.in. norweskich podań ludowych – przyp. tłum.

Jak zostać hrabią-wampirem

Zapadła noc. Nikt nie zwrócił uwagi na maleńką stacyjkę i dosiadających się pasażerów. Antonio był sam. Popijał mleko w wagonie restauracyjnym i czytał rękopis. Nie mógł powstrzymać się od nanoszenia poprawek, wstydził się własnych wypocin. Na samą myśl, że Genève miała okazję część z nich przeczytać, oblewał się rumieńcem.

Był tak pochłonięty lekturą, że gdy od tyłu ucapiły go nagle czyjeś silne łapy, zabrakło mu refleksu, żeby zareagować. Była ich dwójka. Unieśli go, spętali nadgarstki konopnym sznurem i przytroczyli rzemieniami do fotela, a do ust wcisnęli piłeczkę do tenisa.

Potem jeden z nich przyłożył mu pięścią w lewe oko. Cios był silny i dobrze wymierzony, a kawałki potłuczonego szkła od okularów zraniły Antoniowi powieki.

Antonio liczył desperacko na pomoc pracownika wagonu restauracyjnego, ale chłopak stał zaparty o ladę baru i przyglądał mu się obojętnie. Oczy zabłyśły mu jedynie w momencie, kiedy ktoś wysypał przed nim garść złotych monet.

– Przeczytałem na plakacie, że to on wie, jak wydostać się z Tirnaïl. Ja też chciałbym się tego dowiedzieć – oświadczył hardo chłopak, odsuwając pieniądze i zapalając papierosa.

– Och, doprawdy? – Hrabia Vladimir, szczodry ofiarodawca kupki złota, pochylił się i rzucił okiem na ulotkę, którą chłopak umieścił mu przed nosem.

– Nie potrzebuję waszych monet, mogę nimi zagrać w warcaby.

Hrabia wybuchnął śmiechem.

– Natomiast ja mogę nimi zagrać we „wrzuc monetę”.

Chłopak nie zdążył nawet zapytać, co to za zabawa. Vladimir uderzył go laską w głowę, która wydała odgłos rozbijanego glinianego wazonu. Włosy zalały się krwią. Chłopak żył jeszcze, kiedy hrabia przycisnął go do lady i zatkawszy mu nos, zaczął wypełniać usta złotymi monetami. Zadowolony podśpiewywał „wrzuc monetę”. Zabawiał się tak przez kilka minut, aż wreszcie znudzony cisnął na ziemię dogorywającego nieszczęśnika i zostawił, by ten zgasł w spazmach, krwi i strzępkach szarej substancji. Teraz mógł ze spokojem zająć się Antoniem.

Widząc, że zbliża się w jego kierunku, pisarz zrobił unik i wydał z siebie kilka stłumionych jęków. Liczył rozpaczliwie na pomoc współpasażerów, ale o tej

godzinie wszyscy już spali.

– Co pana tu sprowadza, panie Fonte? Czyżby mnie pan śledził?!

Hrabia uniósł laseczkę z czereśniowego drewna i najpierw uderzył go w klatkę piersiową, a potem w twarz. Antonio zawył z bólu, a tryskająca z nosa krew zalała mu usta.

– Myślałeś, że ci się udało, co? – Vladimir znowu uniósł laskę i zaczął go okładać. – Myślałeś, że uda ci się uciec? Byłeś tego pewien, co?

Ból był już na tyle silny, że Antonio przestał zwracać na niego uwagę. Obrzucił Vladimira najbardziej nienawistnym spojrzeniem, na jakie było go stać, życząc mu, by już zawsze smażył się w piekle, zarówno w Tirnaïl, jak i na tamtym świecie.

– Warto było tutaj dotrzeć, żeby zobaczyć twoją minę. Zależało mi, by zobaczyć, jak na mnie patrzysz, zanim ostatecznie się z tobą rozprawię.

Przysiadł na foteliku naprzeciw Antonia, żeby odsapnąć.

– Dzielny jesteś, że dotarłeś aż tutaj. Najwidoczniej Tirnaïl spodobała się twoja historia. Mnie, niestety, nie. Tak się składa, że i ja jestem częścią tej krainy, jak każda najmniejsza drobinka kurzu, jak najłżejszy powiew wiatru poruszający gałęziami drzew i jak każda przegrana tu bitwa. I ja też mam coś do powiedzenia. Przede wszystkim, mój drogi, chciałbym cię najmocniej przeprosić. Nastąpiło bowiem pewne nieporozumienie, w pierwszej chwili wziąłem cię za kogoś innego. Ufam jednak, że mnie zrozumiesz. Ty i twój ojciec jesteście do siebie łądząco podobni. Macie to samo imię i nazwisko, taką samą fatalną fryzurę i obaj jesteście rozbijającą roztargnieni i oderwani od rzeczywistości. Od czasu, gdy przebywam w Tirnaïl, pamięć czasami mnie zawodzi, ale kiedy tamtej nocy zobaczyłem twoją krzywą mordę na Aukcji Złudzeń i usłyszałem to przeklęte nazwisko, coś się we mnie odblokowało i powoli zacząłem przypominać sobie pewną historię. Wróciły do mnie wspomnienia z czasów, gdy mieszkałem w jakimś nadmorskim mieście. Byłem młody i świat leżał u moich stóp, posiadałem majątek odziedziczony po przodkach... Ech, piękne to były czasy! Potem przypomniałem sobie twojego ojca, ostatnią niedojdę.

Antonio wybałuszył oczy.

– Przyszedł do mnie, jęcząc jak zbity pies. Był jak szczur i błagał mnie o pracę. Miał żonę i spodziewał się narodzin syna. W liceum chodziliśmy do tej samej klasy i tego dnia przypomniał, że dawał mi odpisywać zadania z łaciny. Zgodziłem się go zatrudnić. Z litości. Harował jak dziki osioł i był nawet dobry w tym, co robił. Nie pamiętam, czym dokładnie się zajmował, pewne szczegóły już mi się zatarły, ale wiem, że dobrze mu to wychodziło. Jeszcze bardziej się przykładał, kiedy zgodziłem się przyjąć go do spółki, dzieląc się firmą, zarobkami, chwałą i... infamią. „Conte & Fonte”! Cieszył się jak dzieciak na gwiazdkowe prezenty, okazało się jednak, że moje pakunki były trefne. Wszystko by się jakoś

ułożyło, gdyby nie te Karaluchy. Założę się, że umierasz teraz z ciekawości. Chciałbyś wiedzieć, dlaczego załatwiłem te trzy małe kanalie, co?

Antonio z trudem zachowywał pozory obojętności, w gruncie rzeczy kipiał ze złości.

– Tak naprawdę, to nie pamiętam, dlaczego to zrobiłem. Gdybyś był zabójcą, zrozumiałbyś mnie. Wiedziałbyś, że nie trzeba żadnego konkretnego powodu, by dopuścić się morderstwa. Tak jakoś samo wychodzi i już. I mi też tak jakoś samo wyszło. Nie znałem się na mokrej robocie i dlatego od razu mnie przyszpili. Doprowadzili mnie do ruiny. I twojego ojca też.

Hrabia parsknął z dezaprobatą, wściekły, że nie udało mu się wyłgać.

– Z okresu po wypadku niewiele pamiętam. W pewnym momencie znalazłem się w Tirnaïl. Nie byłem sam, ponieważ po piętach ciągle deptały mi Karaluchy! Przeszkadzały w odnalezieniu tego, czego szukałem. Kiedy minął mój czas, zapomniałem, jak się nazywam i z jakiego powodu się tu znalazłem. Stałem się zakładnikiem tej krainy, przegraną życiową ofertą, jak wszyscy, którzy tu trafiają. Ta jak ty i twój nieszczęsny ojciec. – Hrabia splunął i stopą wtarł plwocinę w podłogę. – Włóczyłem się bez celu i bez przeszłości, prześladowany przez trójkę umarłych dzieci. Był to najgorszy okres w moim życiu, stałem się więźniem utraconego świata. I nie udawaj, że mnie rozumiesz, ponieważ ty nie masz pojęcia, co to znaczy. Jeszcze nie teraz.

Antonio nie spuszczał z oczu drzwi od przedziału restauracyjnego, z nadzieją, że w końcu ktoś się za nimi pojawi. Musiał się w jakiś sposób uwolnić z łap Vladimira, w przeciwnym razie czekał go los pracującego za barem chłopaka. Jednocześnie wsłuchiwał się w opowieść hrabiego, starając się zapamiętać najdrobniejsze szczegóły.

– Pewnej nocy, piętnaście lat temu, byłem akurat w Wanezji. Tutaj historia trochę się komplikuje, ponieważ nie wiem, kogo w rzeczywistości podesłał mi wówczas życzliwy los – ciebie czy twojego ojca. Obawiam się, że i ty nie będziesz potrafił rozwiać moich wątpliwości, bo masz luki w pamięci. Przypominasz sobie Most Omamień w Wanezji? Powiadają, że kiedy człowiek udaje się tam, żeby ze sobą skończyć, to w wodach kanału dostrzega szansę ratunku, powód do nadziei. Stałem przechylony przez balustradę i nie od razu zorientowałem się, że z pobliskiej gospody wyszedł jakiś człowiek. Za plecami usłyszałem jedynie czyjś głos. Powiedział mi coś bardzo głupiego...

Hrabia na chwilę przerwał i zaśmiał się perliście, tym razem po raz pierwszy szczerze, po czym kontynuował:

– „Czy wiedziałeś, że karaluchy mogą przeżyć dziewięć dni bez głowy, zanim w końcu umrą z głodu?”. W pierwszej chwili byłem zaskoczony, że jakiś idiota chodzi po nocy i opowiada dyrdymały desperatowi gotowemu pożegnać się z życiem. Potem pomyślałem, że to może zesłany mi przez Waneżję wybawca

i miałem nawet nadzieję, że tymi słowami pragnie mi pomóc zejść z tego cholernego mostu. Ty przecież znasz moc słów, prawda? Odpowiedz mi!

Vladimir uniósł laskę i po raz kolejny z sadyzmem śmignął Antonia między zębra, przyprawiając go o palący ból. Po chwili powrócił do swej opowieści:

– Zaczął gadać coś od niechcenia. Opowiedział mi, że przybył do Tirnaill, by odzyskać swoją przeszłość, ponieważ popełnił w życiu wiele błędów i szukał przebaczenia. Szukał pewnego marzenia... Nie dla siebie, ale dla kogoś, kogo kochał ponad wszystko. Zupełnie nie przejmował się straconym czasem. On w ogóle nie przywiązywał wagi do pewnych rzeczy. Nie przestawał mówić, wylewał z siebie potoki słów. Przez moment pomyślałem nawet, że był tylko przywidzeniem, jednym z tych omamów, które w Wanezji przydarzają się frustratom stojącym na skraju przepaści. Ale potem w wodach kanału pojawił się pewien obraz – złocona tablica z napisem: „Conte & Fonte. Spółka Artystyczna”. Mężczyzna popatrzył mi wówczas prosto w oczy, tak samo jak ty w tym momencie. Muszę przyznać, że przerastasza samego siebie. Albo twojego ojca. Popatrzył mi w oczy i przytłumionym głosem, jakby dopiero teraz zorientował się, z kim miał do czynienia, powiedział: „Conte. Ty jesteś Conte, wampir. Wampir Vladimir”. Potem uciekł, a ja krzychałem i błagałem, by opowiedział mi moją historię, by przypomnieli mi, co zrobiłem i dlaczego. Błagałem go o ratunek. „Jesteś tutaj, ponieważ na nic innego nie zasłużyłeś”, odrzekł. „Zasługujesz jedynie na to, aby świat o tobie zapomniał”. Odczekałem aż ucichnie odgłos jego kroków w nocy i mgle. Rzuciłem się. I wiesz, co odnalazłem w kanale?

Hrabia był niemal odurzony. Sprawiał wrażenie, jakby dotarł do kluczowego punktu swojej egzystencji, do wielkiego odkrycia historii nie tylko własnej, ale całego rodzaju ludzkiego.

– Nechnabel – wyrzucił z siebie Vladimir na bezdechu. – Wody Wanezji kryją Nechnabel. Nad Nechnabel wznosi się Wanezja. Jedno jest odbiciem drugiego. Jedno jest miastem iluzji, drugie – miastem zawiedzionych złudzeń, jedno – miejscem odnalezionych nadziei, drugie – piekłem utraconej wiary. Desperat, który targa się na własne życie, rzuca się z Mostu Omamień i dociera do miasta nieprzeniknionego mroku i mgły. Zastanawiałeś się kiedyś, co dzieje się z przedmiotami, których nikt nie szuka? Po dłuższym czasie gniją, umierają.

Ostatnie słowa wypowiedział przeciągle, przez zęby, cokolwiek niechętnie, po czym jeszcze dorzucił:

– Poczucie zagubienia nie oznacza bycia zagubionym. Ten, kto się zagubi, trafia do Tirnaill. Ale temu, kto czuje się zagubiony, kto przestał szukać i kogo już nikt nie szuka, nie pozostaje nic innego jak Nechnabel.

Hrabia wstał i zaczął dreptać wokół Antonia, obszedł go kilkakrotnie ze wzrokiem wbitym w czubki własnych butów.

– Ja również stałem się więźniem miasta nocy i mgły. Swego czasu żyło się

tam gorzej niż za czasów twojej bytności. To było miasto samobójców. Wyobrażasz sobie? Zapraszasz kogoś na herbatę, a on ci odmawia, ponieważ akurat o szesnastej ma zamiar się powiesić. Pukasz do drzwi sąsiada i czujesz zapach wydobywającego się spod nich gazu. Najgorsze, że oni w ogóle nie umierali, nic z tych rzeczy! To znaczy niby zdychali, ale na długi dzień znowu byli żywi, skazani na cykl wiecznego potępienia i wiecznego powrotu. I nie było od tego ucieczki. A jednak... życie w mieście ciemności miało swoje zalety. Po raz pierwszy od czasu mojego przybycia do Tirnaill dzieci-zjawy, moje Karaluszki, przestały mnie prześladować i dały mi chwilę wytchnienia. I wtedy właśnie zacząłem się zastanawiać. Przypomniałem sobie słowa mężczyzny spotkanego na moście i nazwisko, które mi przypomniał. Conte, czyli Hrabia. Zamiast załamać się i przeklinać własny los tak jak pozostali obywatele Nechnabel, postanowiłem pokochać samego siebie. Zacząłem traktować się tak, jak na to zasługiwałem, jak hrabiego. Poszukałem sobie odpowiednią posesję, dbałem o wygląd, dobre maniery, odpowiednie zainteresowania i pasje. Zakochałem się w barwie mojego głosu, bieli zębów i kolorze oczu. Im więcej wiary i nadziei wlewałem do serca, tym bardziej rozpraszała się otaczająca mnie noc i mgła. Aż któregoś dnia obudziłem się w miejscu, które dziś nazywam domem – w Willi Geras. Udało mi się uciec z Nechnabel. Byłem żywy i obiecałem sobie, że nigdy więcej nie pozwolę nikomu na ponowne doprowadzenie mnie do takiego stanu – stanu larwy, ponieważ zasługiwałem na więcej. Zadomowiłem się w opuszczonej willi. Należała do mnie, nie mogło być inaczej. W jej piwnicy znalazłem szyld, który ci pokazałem, ten sam, który ujrzałem w kanale w Wanezji.

Powiedziawszy ostatnie zdanie, Vladimir spojrzął na Antonia, a po chwili powrócił do opowieści:

– Swego czasu w Wanezji chodziły słuchy, że jakiemuś człowiekowi udało się stamtąd uciec. Pewien zagubiony włóczęga, poszukujący utraconego marzenia, zbiegł z Tirnaill, nie mając przy sobie nawet zegarka. Czy wiedziałeś, że. Tak o nim mówili: „Czywiedziałeś”. Czywiedziałeś odnalazł to, czego szukał i Tirnaill pozwoliło mu odejść? Krążyły na jego temat opowieści, stał się legendą i to on był z pewnością człowiekiem, który przekląwszy mnie na moście, równocześnie wskazał mi drogę. Po wydostaniu się z Nechnabel znowu zaczęły prześladować mnie Karaluchy i wtedy postanowiłem wypełnić dom ciemnościami. Ale to nie wystarczyło. Po głowie ciągle jeszcze tłukły mi się słowa usłyszane na Moście Omamień. Wampir Vladimir. Właśnie tak mnie nazwał ten Czywiedziałeś. I ja faktycznie nim byłem. Nie tylko hrabią, ale i wampirem. Zacząłem od dzieci. Miałem już na tym polu pewne doświadczenie. Spróbowałem ich krwi i zasmakowała mi, po jej wypiciu czułem się młodszy. Ale dzieciaki potem umierały i po jakimś czasie... doszedłem do wniosku, że to marnotrawstwo. Czasami zdarzało się, że komuś, tak jak i mnie, udało się uciec z Nechnabel

i docierał do Willi Geras. Wykorzystałem to i zacząłem wysysać również krew tych nędzników. Nie smakowała mi, była skażona bólem, strachem i żalem. Oni jednak przynajmniej nie umierali, ale ulegali przemianie. Stawali się Cieniami, czyli Noksami, i miałem z nich pożytek. Łapali dzieci, potem również dorosłych, i doprowadzali do Nechnabel – mojej owczarni. Od tamtego czasu zajmuję się ich hodowlą, wyrywam im nadzieję z serc. Kiedy ich krew posiada już odpowiedni smak, pachnie niewinnością i desperacją, wysysam ją i zasilam zastępy Noksów.

Wampir Vladimir spojrzał na Antonia i zakończył:

– To w ten sposób zostaje się hrabią-wampirem, mój drogi panie Fonte. Wziąłem sobie do serca wszystko to, co ty albo może twój ojciec zasugerowaliście mi tamtej nocy na moście. Czy człowiek nie jest tym, co się o nim mówi? Ja przekonałem się, że tak.

Hrabia skinieniem głowy dał znak swoim goryłom. Ci przeszukali Antonia, zerwali mu z piersi zegarek i rzucili go Vladimirowi.

– Pozostały ci tylko dwie godziny. Dziesiąta i druga. Kto wie, ile to dni? Dwa tygodnie? Co mówisz? A może nawet mniej. Czy znasz prawo Tirnał? Przedmioty w tym królestwie należą do tych, którzy je zagubili, jednak w przypadku śmierci właściciela własność przechodzi na znalazcę. Oczywiście odnalezienie tego wspomnienia bez twojej pomocy zajmie mi więcej czasu, ale dla mnie to i tak nie ma już znaczenia, mój czas już się skończył.

Na dźwięk tych słów Antonio aż podskoczył. Zrozumiał nagle, dlaczego hrabia wezwał ludzi z Balàl, by dostarczyli mu go nawet martwego, jeśli zajdzie taka potrzeba. Żywy na niewiele mógł mu się przydać, za to w przypadku śmierci pisarza hrabia mógł bez problemu przywłaszczyć sobie jego wspomnienia. W myśl tej samej zasady, która obowiązywała na Przeczesywanym Wybrzeżu, przedmioty należące do ludzi zmarłych stawały się własnością tego, kto je znajdował.

Hrabia upuścił zegarek na ziemię. Na jego kolejne skinienie dwóch oprychów odwiązało Antonia od fotela i rzuciło na stolik. Potem jeden z nich chwycił za żelazne krzesło i trzema silnymi uderzeniami rozbił okienną szybę, po czym chwycił Antonia za fraki i aż po pas wypchnął go na zewnątrz pociągu. Sterczące z okna odłamki raniły mu plecy i dłonie, jednak pisarz nie zwracał uwagi na ból i zaczął poruszać nadgarstkami, by przepiłować o nie linę, którą spętano mu rękę.

– Ostrzegam cię po raz kolejny: nie jesteś mi potrzebny w dotarciu do Mnemozji i nie potrzebuję cię również, by odnaleźć twoje wspomnienia. Wolałbym jednak cię oszczędzić i zachować jako współnika. Conte i Fonte znowu razem! Masz do dyspozycji dwie odpowiedzi. Tak lub nie. Dobrze się zastanów, którą z nich wybrać, panie Fonte.

Pomocnicy jeszcze bardziej wysunęli go na zewnątrz pociągu. Teraz już cały tułów wisiał mu za oknem, szarpany porywistym wiatrem. Próbował kopać, ale

trafiał w próżnię. Na szczęście ręce powoli się uwalniały. Pisarz nie odpuszczał, aż w końcu sznur poluzował i rozpadł się...

– Zabiorę cię do Mnemozji choćby w tym momencie, jeśli chcesz – powiedział hrabia, wychylając się przez okno. – A ty pozwolisz mi zajrzeć do twoich wspomnień. Tak czy nie, panie Fonte?

Antonio nie miał siły reagować. W dole rozciągało się piekło – stukot kół miotających ogniste iskry i rozpalone do czerwoności tory. Usłyszał chrzęst i niezrozumiałe rozpaczliwe jęki, jakby ktoś został właśnie wyrzucony z pociągu.

Vladimir wysunął do przodu dłoń i wyciągnął mu z ust piłeczkę tenisową.

– A więc tak czy nie, panie Fonte?

Antonio pokręcił głową.

– Nie, panie hrabio.

Zdołał uwolnić nadgarstki, chwycił za wystający z okna odłamek rozbitego szkła i uderzył nim hrabiego w zęby, przecinając mu za jednym zamachem policzek, usta i język. Vladimir pomacał dolną część twarzy, a gdy ujrzał krew, zaczął wrzeszczeć na całe gardło.

Nagle rozległ się odgłos otwieranych drzwi – przytłumiony dudnieniem pociągu i wyciem wiatru, a następnie krzyk i głuchy łoskot. Antonio nie miał pojęcia, co się stało, ale wykorzystał moment nieuwagi i dobrze wycelowanym kopniakiem powalił bandziorów hrabiego. Zaparł się o framugi wybitego okna, naprężył mięśnie i jednym susem znalazł się na stole, ściskając w zakrwawionych dłoniach kawałek szyby i celując nim w hrabiego i jego zbirów.

Na podłodze dojrzał omdlałą księżnę Huldrekat, którą kotka Doreen lizała po policzku.

Nie miał czasu, by sprawdzić, co jej się stało. Nie miał też pojęcia, w jaki sposób udało mu się uwolnić. Schylił się po zegarek i rzucił się do ucieczki. Zamknął główne drzwi wagonu i pootwierał wszystkie wychodzące na korytarz skrzydła drzwi od łazienek, szafek i przedziałów sypialnych, czyniąc z nich przeszkodę dla oprychów.

Kiedy wreszcie dotarł do wagonu, w którym spali Edgar i Genève, zamknął się na klucz i na łańcuch. W tej samej chwili usłyszał, że ktoś się dobija, drzwi jęknęły niebezpiecznie. Długo by nie wytrzymały.

Walenie obudziło wszystkich pasażerów. Zaspana Genève zaczęła gramolić się na posłaniu, ale na widok obitej i opuchniętej twarzy Antonia natychmiast otrzeźwiała. Zerwała się na równe nogi, chwyciła za walizkę i zablokowała nią od dołu klamkę.

– Edgar, przygotuj klucze! – zawołał pisarz, zrzucając śpiącego malarza z kuszетки. – Musimy uciekać!

Sam zaczął przeszukiwać jego pelerynę, podskakując na odgłos kolejnych ciosów zadawanych w pękające powoli drzwi. Drżały mu ręce i pulsowały skronie.

W końcu z pomocą przyszedł mu Edgar, odnalazł pęk kluczy i rzucił się w stronę wyjścia, które Genève blokowała własnym ciałem, imponująco przeciwstawiając się atakom mężczyzn.

Edgar umieścił jeden z kluczy w zamku. Trzeba było odczekać kilka sekund, aż się do niego dopasuje. W tym czasie Antonio przebiegł spojrzeniem po twarzach pozostałych współpasażerów – skuleni w kącie, nie odrywali oczu od rozgrywającej się sceny.

– Parszywiec jeden! Gdzie on się podział? Zabiję drania! – W korytarzu rozległy się gardłowe krzyki hrabiego. Antonio zadał mu ból, którego się nie spodziewał, i teraz zmienionym, szczekliwym głosem wymyślał mu od najgorszych i z furją kopał w drzwi przedziału. – Nie żyjesz! Jesteś trupem!

– Księga kontraktowa! – przypomniała sobie nagle Genève i zawróciła, by szukać rejestru.

W tej samej chwili puściły zawiasy i drzwi się uchylły. Przez powstałą szczelinę Vladimirowi udało się wsunąć trupioblada dłoń.

– Gen! Wracaj tu natychmiast!

Genève wykonała polecenie dopiero wówczas, gdy odnalazła księgę. Nie przytrzymała już jednak drzwi własnym ciężarem, ale zajęła się palcami hrabiego, boleśnie mu je wykręcając. Vladimir wycofał dłoń, a drzwi na ułamek sekundy się zatrzasnęły.

Na szczęście zamek zdążył dopasować się do klucza i kiedy Antonio, Edgar i Genève wreszcie go przekręcili, zamiast wpaść w łapy hrabiego i jego hycli, znaleźli się w mieszkaniu malarza. Cali i zdrowi.

Ulotki

Genève opatrzyła Antoniowi usta. Pisarz nie był w najlepszej formie. Chwilę wcześniej pozwolił usunąć sobie sześć odłamków szkła z powiek, miał przekrwioną twardówkę, głębokie rany na nadgarstkach i przeciętą prawą dłoń, nie licząc sińców i zadrapań na całym ciele i kilku złamanych żeber.

– Skurwiel pieprzony! – Genève była wściekła, ale kiedy podała Antoniowi szklanekę ciepłego mleka, natychmiast złagodniała.

– Do twarzy ci z tymi ranami. Wyglądasz jak prawdziwy mężczyzna.

– Jak na przykład William Wallace?

– Nie, raczej jak Frankenstein.

– Doktor czy potwór?

Genève zachichotała i pocałowała go delikatnie w powieki. Przycupnęła u jego boku. Edgar kończył przygotowywanie ciepłej stawy.

Przez całą noc nie mieli odwagi wystawić nosa za próg mieszkania malarza. Brutalność, z jaką Vladimir pozbawił życia kelnera i poturbował Antonia, a także to wszystko, co o sobie opowiedział, obudziły w pisarzu fizyczną i psychiczną potrzebę trwania w pozycji horyzontalnej i oczekiwania, aż jego czas w Tirnaïl dobiegnie końca. Zarazem jednak Fonte nie mógł i nie chciał leżeć tak beczynnie, uzmysłowiwszy sobie, że żywi do hrabiego odrazę silniejszą od wszelkich innych uczuć doznanych w ciągu całego życia. Miał wrażenie, że zło popełnione przez Vladimira było niewybaczalne i sama myśl, że mogłoby mu ujść na sucho, była nie do zniesienia. Nie kierował się chęcią zemsty, ale potrzebą sprawiedliwości. Nie powodowała nim uraza, ale wzdarda i brak zgody na jego bezceństwo.

Czas pozostały do wykorzystania w Tirnaïl nieubłaganie się kończył. Antonio pogodził się już z myślą, że nie dotrze do Mnemozji, pojawiło się w nim jednak nowe pragnienie. A raczej pomysł.

Wypowiedzenie wojny hrabiemu oznaczało konfrontację z Nokсами. Z kolei bez Noksów hrabia był nikim. „Poczucie zagubienia nie oznacza bycia zagubionym. Ten, kto się zagubi, trafia do Tirnaïl. Ale temu, kto czuje się zagubiony, kto przestał szukać i kogo już nikt nie szuka, nie pozostaje nic innego jak Nechnabel”. Słowa hrabiego od początku go zastanowiły. Sprawa była jednak delikatna i Antonio wolał poczekać na odpowiedni moment, by podzielić się przemyśleniami z kompanami. Gdy już wypoczęci i zrelaksowani zasiedli przed

kominkiem, zagaił, bawiąc się od niechcienia nitką zwisającą z pożyczonego mu przez Edgara swetra.

– Przez całą noc się nad tym zastanawiałem i chyba już wiem, co powinniśmy zrobić.

– Żeby uciec przed Vladimirem? – Malarz poprawił się na fotelu.

– Będę potrzebował twojej pomocy, Edgar.

– Na czym miałyby ona polegać?

– W pierwszej chwili pomyślisz, że to niemożliwe.

– To znaczy, że tak jest.

– Musimy uwolnić ludzi z Nechnabel.

– A to ci dopiero! – Genève rozsiadła się wygodnie jak na przedstawieniu. –

I w jaki sposób chcesz tego dokonać, Antoine? Wykopiesz podziemny tunel, żeby ich stamtąd wydostać? Nie jest tak, jak myślisz. Ci ludzie są zagubieni wewnątrz.

– Właśnie, że nie. Już wam mówiłem! Oni żyją pod wodami Wanezji. To właśnie tam znajduje się Nechnabel.

– Ale żeby tam dotrzeć, trzeba targnąć się na własne życie albo zostać porwanym przez Noksy. Którą opcję wybierasz?

Antonio pokręcił głową.

– Żadną. Żeby ich uwolnić, nie muszę dotrzeć aż do Nechnabel.

Gdy Antonio uznał, że połknęli haczyk, wstał, przytrzymując się z bólu za klatkę piersiową, i zaczął szperać w opończy Edgara. Wydobył z niej szkic, który zwrócił jego uwagę w pociągu. Rysunek był już skończony i teraz przedstawiał nie tylko stopy, ale także smukłe, pięknie umięśnione nogi tancerki. Z anatomicznego punktu widzenia był bez zarzutu. Kilkakrotnie w ciągu ostatnich dni Antonio widział, jak malarz wpatrywał się w rycinę zdziwionym wzrokiem, zastanawiając się nad naturą swojego dzieła.

– Co to jest, Edgar?

Malarz podkręcił wąsy.

– Przecież pan doskonale wie, co to jest, panie Fonte. Proszę nie zadawać bezsensownych pytań.

Genève wyrwała Antoniowi arkusz z ręki.

– Czy nie sądzisz, że ten rysunek jest trochę zbyt dokładny?

Malarz zerwał się z fotela i spiorunował ją wzrokiem. Zaczął ścierać kurz z półek, zupełnie bez powodu.

– Kiedy w Balal hrabia wypowiedział moje nazwisko i rozdał ludziom ulotki, poczułem się ważny. Poszukiwany i pożądanym. Ludzie oszaleli na wieść, że piętnaście lat wcześniej jakiś mężczyzna przybył do Tirnaíl i zdołał z niego uciec. Czy tak właśnie traktujecie ludzi, którym udaje się opuścić tę ziemię? Uważacie ich za bohaterów?

Genève pokręciła głową.

– Bohaterowie nie istnieją.

– Nikomu nie udaje się stąd wydostać – odezwał się Edgar. Siedział w kącie pokoju jak za karę.

– Hrabia powiedział, że Nechnabel to miasto ludzi pozbawionych nadziei, którzy przestali czegokolwiek szukać i których nikt już nie szuka. A co by było, gdyby to mieszkańcy Nechnabel zostali bohaterami? Gdyby nagle zaczęto ich szukać w całym Tirnail, ponieważ ktoś rozpuściłby pogłoski, że udało im się stąd uciec?

– Nie pojmuję, panie Antoine, dlaczego ktoś miałby szukać więźniów Nechnabel? To tylko biedni, nieszczęśliwi ludzie! Nikt nie pamięta ich twarzy ani nazwisk. Nie są tak wyjątkowi jak pan, im nie udało się wydostać z Tirnail.

– Ale o tym wiem tylko ja, ty i Gen – wyszeptał Antonio. – Fakt, że hrabia wsiadł do pociągu z dwuosobową obstawą, a nie z całym zastępem Noksov oznacza, że brakuje mu ludzi-cieni i że będzie szukał nowych. Prawdopodobnie swego czasu Morze Zsypijskie zdziesiątkowało mu zastępy. Gdybyśmy teraz uwolnili więźniów Nechnabel, hrabia nie mógłby już przekształcić żadnego z nich w Noksa. A Vladimir bez Noksov byłby nikim!

– Ty chyba oszalałeś – odezwała się wreszcie Genève z pobladłą twarzą. Miała szeroko otwarte oczy i zwężone źrenice. – Na zegarku pozostały ci tylko dwie godziny, Antoine.

– Czy ktoś mógłby mi wreszcie wyjaśnić, o czym my tu właściwie mówimy?

– On mówi o plakatach, Edgar – wymamrotała Genève. – Właśnie to masz na myśli, prawda? Chcesz oplakatować całe Tirnail? Okleić je ulotkami...

– Tak, każdy najmniejszy i najbardziej oddalony zakątek, do którego doprowadzi nas dwieście trzysta twoich kluczy, Edgar.

– Dwieście dziewiętnaście – uściślił malarz.

– A na ulotkach zamieścimy podobizny więźniów Nechnabel. – Genève aż zabłyśły oczy.

Antonio liczył na jej wsparcie. Musiał mieć pewność, że Genève nie zostawi go samego, zwłaszcza teraz, w tych ostatnich godzinach.

– Och, na miłość boską! – marudził pod nosem rozdrażniony Edgar, który z początku nie nadażał za ich tokiem myślowym. – Czuję się w obowiązku przypomnieć państwu, że my nie dysponujemy podobiznami niniejszych osób.

– Nie, ale mamy artystę, który nam je namaluje – wyszeptał Antonio, popatrując na niego znacząco. – Proszę cię tylko, żebyś spróbował, Edgar. Ten jeden jedyny raz. Mój czas niedługo się skończy i o nic więcej cię już nie poproszę. Ale jeśli ci się uda, jeśli okaże się, że to działa, jestem pewien, że osiągniemy cel.

– O cholera, panie Antoine! Czyżby zapomniał pan o Mnemozji? Ile razy mam panu przypominać o celu naszej podróży?

– Celem naszej podróży jest Tirnaïl, Edgar. Ty posiadasz dwieście dziewiętnaście kluczy, a mi zostały na zegarze jeszcze tylko dwie godziny. Tydzień albo najwyżej dwa, jeśli dobrze pójdzie. Do tej pory przemierzaliśmy się z regionu do regionu tak, jak decydowało Tirnaïl. Dlaczego jednak nie mielibyśmy tego wszystkiego przyspieszyć i odkryć, dokąd prowadzą pozostałe zagubione drzwi? Prawdopodobnie za nimi przeróżne możliwości, a może któraś z nich nie jest aż tak odległa od Mnemozji. A przy okazji rozprawimy się z tym łajdakiem.

Edgar zaczął nerwowo przechadzać się po mieszkaniu, a raczej po kilku metrach kwadratowych wolnej jeszcze przestrzeni, niezarzuconej ubraniami i starymi zabawkami.

– Czy ty już kompletnie oszalałeś? – spytała po raz kolejny Genève i nie wiedziała, czy śmiać się czy płakać.

– Ty, Edgar, jesteś artystą. Proszę cię tylko, żebyś w to uwierzył.

– A niby dlaczego? – wybuchnął malarz, zaczerwieniony aż po uszy. – Sam pan mi kiedyś powiedział, że prawdopodobnie nie straciłem natchnienia, tylko po prostu nigdy go nie miałem! Nie mylił się pan, Antoine – nigdy nie byłem prawdziwym malarzem. Nawet nie wiem, czy w ogóle kimś byłem!

Antonio wyciągnął rysunek z dłoni Genève i oddał go malarzowi.

– Ty jesteś artystą, Edgar. Artystą, który nie maluje tego, co ma przed nosem, ale to, co niewidzialne. I właśnie kogoś takiego nam trzeba. Proszę cię tylko, żebyś spróbował.

– Oż, cholerka! – Malarz wydał z siebie bezsilny jęk i oddalił się, przeskakując z nogi na nogę, a potem jeszcze dodał na odchodne:

– O, to dobrze się składa, ponieważ nigdy nie widziałem tych ludzi na oczy i nie znam nawet ich nazwisk!

– To też żaden problem.

Antoniem zawładnęło nagle nieznane do tej pory uczucie. Odkrył w sobie upór i determinację. Wiedział, że realizując ten plan, straci swoje ostatnie godziny w Tirnaïl, ale był to jego czas i mógł z nim robić, co mu się podoba. Zresztą w ten sposób wcale go nie tracił, tylko odpowiednio wykorzystywał. Wystarczyło wspomnienie Santiago, pani Jacqueline i pana Peloquera, widmowej trójki dzieci oraz kelnera z pociągu, którego hrabia tak bestialsko pozbawił życia. Wystarczyło wspomnienie jego ojca i matki, ich całej rodziny zniszczonej przez tego szubrawca.

– Przypomnienie sobie ich twarzy i nazwisk nie stanowi dla mnie najmniejszego problemu. Santiago codziennie oprowadzał mnie po Nechnabel, mogę wymienić wam każde nazwisko, opisać każdą twarz i opowiedzieć o słabostkach i przyzwyczajeniach wszystkich jego mieszkańców. Ja zawsze zapamiętuję szczegóły.

Antonio i Edgar spoglądali na siebie zacietrzewieni, jakby za chwilę mieli stanąć do pojedynku. Malarz uważał ten pomysł za poroniony i ustąpił dopiero

wówczas, gdy uznał, że Antonio nie odpuści.

Genève obserwowała ich z boku, zachowując pozorną obojętność. Ten plan bardzo ją pociągał, ale nie była przekonana, czy to najlepszy sposób na spędzenie ostatnich godzin pisarza. Ponadto głęboko powątpiewała w umiejętności Edgara i podejrzewała, że za chwilę obaj wycofają się z tego zamiaru.

– Jesteś gotowy? – spytał Antonio, nie zwracając uwagi na laments malarza. Edgar przytaknął z jękiem i wydobyl ołówek jak szpadę.

– Pani Gertrud Shloass, właścicielka perfumerii – rozpoczął Antonio, przywołując w pamięci korpulentną kobietę z kamienicy pod numerem dwunastym, która często zwracała się o pomoc do Santiago. Co miesiąc była przekonana, że zaszła w ciążę w wyniku niepokalanego poczęcia.

Zaczął opisywać jej wygląd, a Edgar muskał jedynie ołówkiem kartkę, niczego nie rysując.

– Nigdy w życiu nie spotkałem tak cuchnącej kobiety. Czuć od niej było łojem, miała brudną szyję i czarne jak ziemia paznokcie. Przygotowywała i spożywała posiłki brudnymi rękami, gotowała makaron w tłustych, niedomytych garnkach i od lat jadła z tego samego, nigdy nieopłukanego nawet talerza. Co najgorsze, zupełnie nie zdawała sobie sprawy, że śmierdziała jak gorgonzola na słońcu, ponieważ jako właścicielka perfumerii nigdy by się tego po sobie nie spodziewała. Uważała, że aby ładnie pachnieć, wystarczało przebywać w pobliżu flakoników wypełnionych zapachami lilii, laudanum, olejkami z róży, mirry, cedru i mchu dębowego.

– Niechże pan pohamuje swój entuzjazm – przerwał mu nagle Edgar. – Po co mi pan to wszystko opowiada? To jakieś niepotrzebne szczegóły.

– Te szczegóły opowiadają o życiu – przypomniał mu spokojnym tonem pisarz. – Chciałbym, abyś narysował niewiastę, która mimo że nigdy nie dopuściła żadnego mężczyzny do swych wątpliwych wdzięków, była przekonana, że jest w ciąży. Kobietę, która śmierdzi zepsutą rybą i sprzedaje perfumy.

Po tych słowach zapadło między nimi milczenie. Edgar niepewnym ruchami ołówka próbował nanieść coś na papier, poruszając nerwowo wężkami na znak protestu.

Genève spoglądała raz po raz na nieskazitelną biel arkusza, stwierdzając sarkastycznie, że pani Shloass chodziła prawdopodobnie w czapce niewidce. Rozłoszczony jej komentarzami Edgar ni stąd, ni zowąd zawył, chwycił kartkę i podarł ją na strzępy. Dopiero wtedy Genève się od niego odczepiła.

– Myślisz, że da radę? – spytała Antonia.

– Myślę, że tak.

Genève przyglądała mu się, jak patrzył na stężałą i spoconą z wysiłku twarz malarza.

– Co zrobisz, kiedy skończy się twój czas?

Antonio popatrzył na nią uważnie.

– Nie wiem... Pojeżdżę pociągiem, polatam balonem... Założę się, że istnieje wiele miejsc w Tirnaïl, do których mogłabyś mnie zaprowadzić.

– Nawet nie masz pojęcia, ile.

Widząc jej roześmiane oczy, Antonio przestał się bać. Nie miało już dla niego znaczenia, czy dotrze do Mnemozji czy też nie, czy odnajdzie zaginione wspomnienia i czy kiedykolwiek wróci jeszcze do domu. I tak nie było do czego wracać. Nie czekało na niego nic, oprócz jednookiej kotki i jakichś bazgrołów na ścianach.

Jedyną rzeczą, która oddalała go od Genève, było nieprzyjemne podejrzenie, że nie była prawdziwa, że po prostu nie istniała. Ona to rozumiała. Miał jednak nadzieję, że w momencie, gdy skończy się jego czas w Tirnaïl i na zawsze utraci swoje nazwisko i wspomnienia, odpuści sobie i przestanie się bać. Cokolwiek jednak miałyby się wydarzyć, teraz najważniejszą sprawą było rozprawienie się z Vladimirem.

– Dlaczego akurat oni? – spytała Gen.

– W jakim sensie oni?

– Dlaczego akurat oni zapadli ci w pamięć? Przecież ty nigdy nic nie pamiętasz, wszystko gubisz i zapominasz...

– Zapominam tylko to, czego nie chcę pamiętać. A jeśli kilkakrotnie nie mogę sobie czegoś przypomnieć, to znaczy, że nigdy tego nie wiedziałem.

– Albo że oddałeś to mężczyźnie, który zbiera zagubione przedmioty.

Antonio przytaknął. Przygotował sobie mleczną zupę i dla zabicia czasu przeczytał kilka wierszy i poprzymierzał kostiumy sceniczne Edgara, a potem do późna grał z Genève w karty. Edgar nie odezwał się choćby jednym słowem, miał i darł na strzępy kolejne kartki, walił głową w stół i przez długie minuty zastygał w tej pozycji.

– Trochę dużo czasu mu to zajmuje – powiedziała Genève, podając Antoniowi mandarynkę.

– Z czasem nabierze wprawy.

– Skąd wiesz?

– Dobrze go znam.

Był już późny wieczór, gdy Edgar wstał z krzesła i poszedł dołożyć do ognia. Antonio i Genève przysnęli na dywanie w pobliżu kominka.

– I jak tam? – wymamrotał pisarz, zbudzony odgłosem trzaskających płomieni.

Edgar przyniósł szyszki i ułożył w pobliżu kominka zawilgocone gałązki, żeby wyschły.

– Sami zobaczcie.

Gen zerwała się na równe nogi. Podbiegła do stołu i aż zaniemówiła.

– Edgar... – wyszeptała oczarowana.

Antonio zbliżył się do niej i spojrzał na rysunek. Uśmiechnął się. Z portretu spoglądała na niego pełnym wyrzutu wzrokiem niechlujna pani Shloass, jak żywa. Niemal poczuł w nozdrzach jej odrażający zapach.

– Dzień dobry, pani Shloass. – Antonio pomachał jej na powitanie i przez ułamek sekundy spodziewał się, że mu odpowie.

Genève nie była w stanie okiełznać entuzjazmu. Wskoczyła na Edgara, całowała go, tarmosząc za wąsy i włosy. Zażądała, by otworzył butelkę szampana i napił się za swój sukces prosto z gwinta. Edgar zgodził się, ale nie bezpośrednio z butelki. Z przechowywanego pod łóżkiem pudełka wydobyl zestaw kryształowych kieliszków, którymi wzniesli toast.

– Za malarzy, którzy nigdy nic nie namalowali! – Genève uniosła w górę butelkę i porządnie z niej pociągnęła.

Malarz starał się zapanować nad pełnym wzruszenia głosem.

– Bagatelka, bagatelka!

Pisarz zwrócił mu portret i pogratulował. Poczuł, jak drżały mu dłonie. Edgar, mimo że starał się powstrzymać, cały czas z dumą zerkał na portret. Nie dowierzał, że był jego dziełem, że wyszedł spod jego ręki. Antonio nie miał zamiaru psuć mu tego momentu, ale na świętowanie nie było czasu.

– To dopiero pierwszy. Teraz musisz się trochę pospieszyć. Dasz radę, prawda?

– Jasne, że dam. – Edgar wreszcie podniósł wzrok. W jego dobrodusznym oczach po raz pierwszy zabłysła duma.

Dotrzymał obietnicy. Po portrecie pani Shloass przyszła kolej na Penny Toth – nieśmiałą i podkochującą się skrycie w Antoniu cholewkarkę, właścicielkę magazynu drobnych monet, symbolizujących zagubione myśli. Potem naszkicował Narcisa Palumbo, który przetrwał pobyt w Nechnabel tylko dlatego, że odkrył w sobie zielarską pasję, i choć w mieście nocy i mgły trudno było o jakiegokolwiek rośliny, wybudował sobie miniaturową szklarnię. Następnie zajął się bliźniaczkami Arbos. Różniły się diametralnie wyglądem, ale za to mówiły i robiły zawsze to samo, i to dokładnie w tym samym momencie. W dalszej kolejności stworzył podobiznę Sīdīego Gabeha, który w tajemnicy kolekcjonował przerwane wątki, a potem zszywał je i tworzył gadające dywany, szepczące pozbawione sensu i zawieszane w próżni, ulotne historie...

Po nich przyszła kolej na wielu innych. Z czasem Edgar z coraz większą łatwością przemieniał słowa w obrazy. Antonio jeszcze nigdy nie widział go w tak dobrym nastroju. Przy każdym ukończonym portrecie napręzał wąsy jak druty elektryczne! W ciągu pięciu dni doszedł do takiej wprawy, że wykonanie jednego obrazu zabierało mu najwyżej trzydzieści minut. Pracował bez wytchnienia. Miał nieogoloną brodę, zapadłe policzki i podkrążone oczy. Zrezygnował z opończy

i kamizelki, malował w rozchełstanej i poplamionej farbą koszuli. Twarz rozświetlał mu nieznany dotąd blask – światło bijące od człowieka, który wreszcie odkrył swoje powołanie.

Edgar malował, a Antonio przeglądał i segregował portrety, nanosząc na nie nazwiska dziesiątek osób zaginionych w Nechnabel. Genève kilka razy dziennie wyruszała do Balâl, robiła setki kserokopii każdego portretu i rozpowszechniała pogłoski, które błyskawicznie rozchodziły się po całym Tirnaïl. Szemrano, że w ciągu ostatnich kilku lat wielu udało się uciec z Królestwa Rzeczy Utraconych, jednak fakt ten został zatajony. Teraz ludzie ci powrócili, by pomóc swym zagubionym braciom. Powiadano, że kto ich odnajdzie, w nagrodę pozna tajemną formułę umożliwiającą powrót do domu. Od ostatnich godzin nocnych aż po świt, od zmierzchu do północy Antonio i Genève zajmowali się rozprowadzaniem ulotek. Rozpoczęli od Balâl – miasta pogrążonego w chaosie, którego obywatele byli tak zaszuchani w siebie i własne pragnienia, że dawno przestali już rozumieć języki innych ludzi. Na moment odwiedzili Wanezję i dotarli do Morza Zsypijskiego, zahaczając o nabrzeże jakiegoś niewielkiego miasteczka, które miejscowi ludzie nazywali Atlantydą, wzniesionego z ryzykownej mieszanki zapalek i słomy. Zastali tam mnóstwo muzeów pełnych zatopionych w morzu skarbów, należących do wielkich cywilizacji starożytności.

Pewnego ranka przebywali w miejscowości o nazwie Aziz, zamieszkiwanej jedynie przez ludzi ociemniałych. Antonio i Genève chodzili po ulicach, skandując nazwiska więźniów Nechnabel i opisując każdego z nich słowami. Na wieść o możliwości wydostania się z Tirnaïl również niewidomi wyruszyli w ciemno i gnali na oślep, z nadzieją odnalezienia któregoś z uciekinierów.

Wreszcie dotarli do Trebizondy[39], miejscowości o trudnym do określenia położeniu. Nie było wiadomo, czy znajdowała się ona na północ, południe, wschód czy na zachód od czegokolwiek. Pośrodku jej głównego placu wirowała ogromna igła magnetyczna. Inne, mniejsze igielki umieszczono na murach budynków w miejscach, gdzie normalnie znajdują się tabliczki z nazwami ulic. W ten sposób wskazywały mieszkańcom, jaki kierunek powinni obrać, nie podając im jednak żadnego motywu. Genève wytłumaczyła Antoniowi, że w tej miejscowości żyli ludzie, którzy w życiu zgubili drogę. Poruszali się po ulicach jak pijani, nie mogąc się zdecydować, w którą pójść stronę, a Antonia widok tych miotających się bez celu nieszczęśników bardzo rozbawił.

Z początku Antonio i Genève nigdy się nie rozdzielali. Jednocześnie zasięgali języka, zbierali informacje na temat Mnemozji, otrzymując czasem zadziwiające odpowiedzi. Niektórzy powiadali, że Mnemozja pojawia się każdej nocy pod koniec lata tuż za rogiem piekarni, ale ponieważ ustalenie jakiegokolwiek pory roku wydawało się tu niemożliwe, trudno było te sensacje traktować poważnie. Pewnego razu jakiś wieśniak stwierdził, że Mnemozję dostrzec można

w czasie deszczowych dni w wodach jego studni. Cóż z tego, skoro biedak żył pośrodku spalonej słońcem pustyni, zasłanej relikdami żaglowców, które zboczyły z kursu.

Poczuł się bliscy celu, gdy pewnego razu poznali małą dziewczynkę z miasta Angria, znanego z tego, że jego mieszkańcy łatwo tracili nad sobą panowanie. Mała z obawy przed nieoczekiwanymi wybuchami złości ukrywała się w maleńkim pokoiku. Jego jedyne umeblowanie stanowiła szafa, w której wnętrzu codziennie o wschodzie słońca ukazywał się inny region Tirnaïl. Dziewczynka zapewniała, że od czasu do czasu pojawiała się tam również Mnemozja, ale nie potrafiła przewidzieć, kiedy będzie można ją ponownie zobaczyć.

Po kilku dniach, aby nie tracić czasu, Antonio i Genève postanowili się rozdzielić. Edgara zostawili w domu, z bezwzględnym zaleceniem odpoczynku. On jednak z ich nakazów nic sobie nie robił i dalej malował jak oszalały, z każdą godziną upodabniając się coraz bardziej do prawdziwego, zblazowanego artysty.

Plan pisarza poruszył całym Królestwem Rzeczy Utraconych, nikt jednak nie potrafił udzielić mu informacji w sprawie Mnemozji. Przez dwanaście dni Antonio i Genève rozrzucali i roznosili ulotki. Okleili nimi najbardziej wyeksponowane mury, najczęściej uczęszczane ulice i drzwi wejściowe wszystkich domów, tak aby każdy miał szansę marzyć o życiu poza Tirnaïl, z dala od tego, co kiedyś utracił.

Całkiem niedługo miał do nich dołączyć również Antonio. Na tarczy pozostała mu jedna godzina i była już porządnie wypłowiała, ale pisarz nawet nie zwrócił na to uwagi. Kiedy Genève nadal nazywała go Antoine'em, przekonywał się, że tak właśnie brzmiało jego prawdziwe imię, a kiedy wspominał miejsce, z którego się wywodził, widział jedynie morze i syreny.

Wraz z tą ostatnią godziną zniknął powoli i na zawsze Antonio Maria Fonte.

[39] Miasto w Turcji, w starożytności stanowiło ważny punkt odniesienia dla żeglarzy. Powiedzenie *perdere la Trebisonda* („utracić Trebizondę”) oznacza to samo, co utracić punkt odniesienia, utracić orientację – przyp. tłum.

Księżna Huldrekat

– Jesteś zmęczona?

– Trochę.

Antonio, Edgar i Genève siedzieli przy stole.

Edgar z wywalonym językiem i ociekającą z ust śliną przysnął nad portretem Worka z Juty – jednego z więźniów Nechnabel, który stracił twarz i ze wstydu chodził z mieszkami na głowie.

Antonio i Genève układali ulotki, dzieląc je na stosy, po jednym dla poszczególnych drzwi – zostało ich do otwarcia jeszcze jedynie trzydzieści. Po raz szósty tego ranka sparzyli sobie kawę.

– Najbardziej nie daje mi spokoju myśl, że nie odnaleźliśmy Mnemozji.

– Mnemozji?

– Czy ty w ogóle wiesz, o czym ja mówię, Antoine? – uniosła się Genève, przecierając dłonią załzawione oczy.

Antoine objął się rękoma i nic nie odpowiedział, ciszę przerwało jedynie głośne chrapnięcie Edgara.

– Czy mogę cię o coś zapytać? – odezwał się nieoczekiwanie. Był wykończony, ale nie miał ochoty na odpoczynek.

– Skoro musisz.

– Pamiętasz, powiedziałaś mi kiedyś, że nie zatrzymujesz się na rozdrożu i nie zastanawiasz się, jaką obrać drogę, tylko po prostu...

– Idę przed siebie, i już – dokończyła Genève, niezbyt zainteresowana tematem, który uznała już za zamknięty.

– Spróbuj jednak wyobrazić sobie, że wiesz, dokąd zmierzasz – zaproponował jej Antonio. – Usiądź i ten jeden jedyny raz zastanów się, dokąd chciałabyś dotrzeć. Możesz wybrać dowolne miejsce we wszechświecie.

– A dlaczego miałabym się nad tym zastanawiać? Mamy tyle rzeczy do zrobienia, Antoine...

Genève przestała się mazać, kiedy Antonio chwycił ją za rękę i pogłaskał po tatuażu z ważką.

– Proszę cię. Muszę to wiedzieć.

– Dobrze więc, wyobrażam sobie... Cabo da Roca.

Jej odpowiedź zabrzmiała tak zdecydowanie, że Antonio odniósł wrażenie, iż

znała ją od zawsze.

– W Portugalii? – Antonio był oszołomiony. – Mając do wyboru każde miejsce we wszechświecie, pojechałabyś do Portugalii?

– To kraniec Europy. Tam kończy się ląd, a morze wpada do oceanu.

– Nie sądziłem, że jesteś taka romantyczna. Ale dlaczego wybrałabyś akurat to miejsce? – Antonio uśmiechnął się, gotów jej uwierzyć.

– Ponieważ tam kończy się droga – wymamrotała ona. Sprawiała wrażenie, jakby już zanurzyła stopy w bezkresnym morzu. – Stamtąd nie można pójść dalej.

– Ależ można. Do Ameryki.

– I co z tego? Pośrodku jest ocean, a żaden człowiek nie jest w stanie pokonać go sam. Na samą myśl, że musiałabym się zatrzymać, robi mi się niedobrze, czuję się tak, jakbym zaczynała umierać. Ale gdybym była do tego zmuszona, choć nie wiem z jakiego powodu... Może za dwadzieścia, trzydzieści lat... pojechałabym właśnie tam. Jeśli musisz znaleźć jakąś przystań, to w możliwie najodleglejszym miejscu, w którym spokojnie popatrzysz przed siebie i uznasz, że jesteś dokładnie tam, gdzie powinienes, ponieważ dalej nie ma już nic...

Genève miała rozpalone policzki i błyszczące, roziskrzone oczy. Nie wymyśliła tego na poczekaniu. Takie było jej marzenie. Ona miała przed sobą wyraźnie zarysowany cel.

– Dlaczego tak naciskałeś, żebym to wyznała?

– Chcę wiedzieć, gdzie cię szukać, jeśli utracę cię po raz kolejny.

– To bez sensu. Zresztą powiedziałam ci, że to ostatnie miejsce na ziemi, do którego bym się wybrała.

– Wszystko znajduje się zawsze w ostatnim miejscu, którego szukamy, a więc to tam muszę dotrzeć. Do Cabo da Roca. Na koniec świata.

– Wybrałabyś się do Cabo da Roca z mojego powodu? Na koniec świata? – dopytywała kokieteryjnie Genève, mile tym faktem połączona.

Antonio pokręcił zdecydowanie głową.

– Nie, dla ciebie dotarłbym nawet do Ameryki.

Gen przez chwilę milczała, a potem nagle posmutniała.

– Uważaj, żebyś nie stracił mnie po raz kolejny. Nie będziesz mógł sobie tego wybaczyć.

Wiedział, że nigdy nie będzie mógł sobie tego wybaczyć. Genève odwróciła wzrok, ta rozmowa robiła się irytująco intymna.

– Okej, ja wobec tego wybieram... ten. – Wskazała na jeden z kluczy Edgara.

Wcześniej zdjęli je wszystkie z kółka i rozwiesili na ścianach, żeby wiedzieć, ilu z nich już użyli, a ile im jeszcze zostało. Również Antonio, zdając się na los, wybrał jeden z nich i jednocześnie sprawdził, czy miał w kieszeni zapasowe klucze

od domu Edgara. Bez nich nie mógłby wrócić.

Gen poszła pierwsza. Gdy tylko zniknęła za drzwiami, Antonio ponownie je zamknął. Wsunął klucz do dziurki, odczekał aż zamek się do niego dopasuje i ponownie otworzył drzwi. Po raz kolejny zmuszony był przyznać rację Edgarowi, który twierdził, że Tirnaïl pozbawiało ludzi wyobraźni. Tutaj nawet najbardziej niewiarygodne rzeczy odzierało z tajemniczej otoczki, stawały się zwyczajne i oczywiste. Tirnaïl było jak zbyt perfekcyjnie wyglądająca kobieta, sen, który stawał się jawą, zanim jeszcze zdążył się przyśnić.

Tak więc Antonio pozostał niemal niewzruszony, kiedy po zamknięciu za sobą przeszklnych drzwi ujrzał gigantyczny konterfekt księżnej Huldrekat. Kobieta odziana w dostojne, arystokratyczne szaty spoglądała wyniośle z ogromnego płótna o powierzchni dwa na trzy metry. Wokół szyi miała owiniętą – jak szal albo szubienicę – kotkę Doreen. Przestrzeń wokół portretu zajmowały dziesiątki pomniejszych obrazów, przedstawiających koty wszelkich ras i maści. Wszystkie miały złośliwie wykrzywione pyszczki, prawdopodobnie z zazdrości, że to nie one zajmowały honorowe miejsce w sercu tej megieri.

Antonio z niechęcią przyglądał się portretowi księżnej.

– Na co się tak gapisz, stara jędzio?

– Na mężczyznę, który nieproszony wtargnął do mojej sypialni – usłyszał ciętą odpowiedź za plecami. – Na to właśnie patrzę.

Antonio zadygotał, gdy nagle zobaczył przed sobą kobietę z portretu. Wyglądała identycznie jak na obrazie i pisarz ukradkiem obejrzał się, by sprawdzić, czy przypadkiem ta uszczypliwa i zarozumiała niewiasta z niego nie zesłała.

– Ciągłe jeszcze tam jest – powiedział zmieszany.

– Co takiego? – Na pooranym zmarszczkami czole prawa brew księżnej Huldrekat uniosła się ze zdziwienia aż po nasadę włosów.

Dumnie wyprężona grafina, odziana w peniuar i z twarzą pokrytą grubą warstwą makijażu, wyglądała jeszcze bardziej monstrualnie niż zwykle, przypominała żywy eksperyment jakiegoś naukowca, który wskrzesił rozkładające się zwłoki i pozszywał je tak, jak popadło.

By uniknąć kolejnych wpadek, Antonio wręczył jej plik ulotek i zaczął bąkać coś o ludziach, którzy poznali drogę ucieczki z Tirnaïl.

– Z pewnością słyszała o nich pani w ostatnich dniach.

– Istotnie, w ostatnich dniach o niczym innym się nie mówi.

– No więc... ci ludzie wiedzą, jak wydostać się z Królestwa Rzeczy Utraconych. Tylko że najpierw trzeba ich odnaleźć. I ja... Ja jestem tutaj właśnie z tego powodu.

– Myślałam, że przybywa pan do mnie z powodu kota?

– Kota? – Antonio rozejrzał się dookoła.

– Jasne, że kota, bo niby czego innego? – Dostojną siedzibę, w której niepodzielnie panował jaskrawy fiolet, po brzegi wypełniały koty. Kulały się po perskich dywanach, wyglądały spod poduszek zaścielających zwieńczone baldachimem łoże, wykukiwały z porcelanowych wazonów.

– Przepraszam za to najście, nie chciałbym pani przeszkadzać... – wydukał Antonio i, rezygnując z wręczenia ulotek, sięgnął do kieszeni po klucz Edgara.

– Nie zatrzyma się pan nawet na herbatę? W spiżarni mam pana ulubioną, jabłkowo-cynamonową, panie Fonte.

Antonio kierował się już w stronę przeszklonych drzwi, przez które tu dotarł, ale na dźwięk swojego nazwiska przystanął z ręką zawieszoną w próżni. Odwrócił się. Zaintrygowana księżna nie przestawała go obserwować zmrużonymi oczami.

– Którego kota ma pani na myśli?

Nawet jeśli wydawało się to niemożliwe, brew księżnej uniosła się jeszcze o kilka centymetrów wyżej. Doreen zamiauczała sarkastycznie, niemal po ludzku, a Antoniowi zrobiło się nieswojo.

– Mam na myśli kota, którego zabrał mi pan piętnaście lat temu. Przypuszczam, że obchodzi to pana tyle, co plamy na pańskich spodniach, które, nawiasem mówiąc, są trochę nieświeże, ale ja bardzo cierpię za każdym razem, gdy oddaję komuś moje kocię. I nigdy wcześniej nie cierpiałam tak bardzo jak tego dnia, kiedy po raz pierwszy się spotkaliśmy!

– Którego kota ma pani na myśli? – powtórzył z naciskiem.

– Kota, na którym tak panu zależało. Nachodził mnie pan dniami i nocami, obiecując cuda niewidy, klejnoty i brylanty, których zresztą nigdy mi nie brakowało. Proponował mi pan krem przeciwzmarszczkowy z wyciągami z utraconego dzieciństwa. Doprawdy, co za brak taktu, zachował się pan wtedy jak prawdziwy prostak! W końcu się zgodziłam, ale zrobiłam to tylko z litości. W dowód wdzięczności podarował mi pan to malowidło – kobieta wskazała na swój portret, który Antonio kontemplował jeszcze chwilę wcześniej.

– Którego kota ma pani na myśli? – wydukał bład jak nieboszczyk, był niemal sparaliżowany.

– Niech pan nie udaje, że nie wie, o co chodzi! Nie znoszę osób, które zachowują się, jakby nic nie rozumiały, tylko po to, żeby uniknąć odpowiedzialności! Przecież wie pan doskonale, że mam na myśli moją ukochaną Calliope.

Antonio zdołał jedynie przytaknąć, a potem osunął się na obity fioletowym adamaszkiem fotel, ustawiony w pobliżu trzaskającego ogniem kominka.

– Założę się również, że chciałby pan opowiedzieć mi jakąś historię...

Księżna, zachowując bardzo eleganckie maniery, rozsiadła się wygodnie po przeciwnej stronie. Wyglądała na lekko zaskoczoną.

– Trochę dziwnie się pan zachowuje, panie Fonte. Pan wie, kim ja jestem,

prawda? Pamięta pan, co te wszystkie koty robią w Tirnaill?

Antonio pokręcił przecząco głową. Wpatrywał się w nią z niedowierzaniem i wyczekiwał kolejnych rewelacji.

– Co robią tu te wszystkie koty?

– Koty potrafią przenikać przez zagubione drzwi, odnajdywać zapomniane przejścia. Znają wszystkie tajemnice i sekrety z przeszłości. A przede wszystkim, panie Fonte, koty znają ludzkie marzenia. Koty to złodzieje marzeń. Widzą w ciemnościach, przenikają mroki, również te najgęstsze, spowijające nasze koszmary. Obserwują sny i pragnienia, zwłaszcza te zapomniane, i w naszym imieniu przechowują je w pamięci. Im starszy kot, tym więcej marzeń nagromadził. Jestem właścicielką największej hodowli kotów w całym Tirnaill. Kiedy spotkaliśmy się w pociągu, wyruszyłam właśnie na poszukiwanie miasta Bubastis[40], opanowanego całkowicie przez koty, w którym nigdy jeszcze nie stanęła ludzka stopa. Odbywam tę podróż raz do roku przez najwyżej cztery tygodnie, ponieważ zbyt długotrwałe przemieszczanie się po Tirnaill grozi utratą zmysłów. Niestety, i tym razem nie udało mi się odnaleźć Bubastis, ale niewielka to szkoda, za rok spróbuję po raz kolejny. Cieszę się jednak, że znowu pana spotkałam i że udało się panu rozprawić z tą kreaturą. Szukałam pana tamtej nocy w pociągu, ponieważ właśnie sobie pana przypomniałam. Koniecznie chciałam się dowiedzieć, jak czuje się moja Calliope.

– Dobrze się czuje... – odparł cichutko Antonio.

– To był mój pierwszy kot, wie pan? Odprowadził mnie tu do Tirnaill, kiedy się pogubiłam, ponieważ... Och, nie pamiętam już, z jakiego powodu. Calliope towarzyszyła mi do końca. Była moim najstarszym kotem. Jest absolutnie wyjątkowa, nie sądzi pan? Czy nie odnosi pan wrażenia, że głaszcząc ją po grzbiecie i przeczesując palcami jej miękkie futerko, można odzyskać utracone marzenia? Proszę mi powiedzieć, czy przydała się panu? Czy pański syn został w końcu pisarzem?

– Koty to utracone marzenia – powtórzył Antonio bezdźwięcznym głosem i zamyślił się nad Calliope.

– Nie, nie zrozumiał pan. One je przechowują. A kiedy się dobrze wsłuchamy w ich mruczenie, czasem nam o nich opowiadają. Czy teraz napije się pan herbaty, panie Fonte?

Antonio obserwował Doreen skuloną na łonie swojej pani. Również pozostałe koty próbowały wkraść się w łaski księżnej, wdrapywały się jej po nogach i po oparciu fotela, wskakiwały na głowę z półki nad kominkiem, ale wyniosłej damie nie drgnęła nawet powieka. Siedziała nieprzenikniona i dystygowana.

– Ja piję mleko. To mój ojciec pił herbatę.

Wpatrywał się w posypiającego na stole Edgara i portret Genève, która nie wróciła jeszcze z wyprawy. Wziął rysunek do ręki i go pocałował. Odłożył portret z powrotem na stół i popatrzył na tarczę zegarka. Z ostatniej godziny, dziesiątej, pozostał jedynie fragment jedyńki. Jego czas zbliżał się ku końcowi i Antonio już niedługo miał o wszystkim zapomnieć. Miał go zastąpić Antoine Tomojasprawa. Tym razem już na zawsze.

Wspomnienia Antonia robiły się coraz bardziej odrealnione. Dominował w nich chaos, choć powoli zarysowywał się też jakiś porządek. Chłodny i mechaniczny, przerażający. Gdzieś tam w głębi cieszył się nawet, że za chwilę przestanie być Antoniem Marią Fonte. Jego historia, przeszłość, wspomnienie wszystkiego, co w życiu utracił... wydawały mu się nie do zniesienia.

W tym samym momencie otworzyły się drzwi do mieszkania i na progu stanęła Genève. Pisarz nigdy jeszcze nie widział jej w takim stanie. Miała zapłakaną twarz i spuchnięte, pozbawione blasku oczy. Do piersi przyciskała księgę kontraktową. Odłożyła ją na stół razem ze starym zardzewiałym kluczem. Potem otworzyła sobie piwo i opadła na stojące naprzeciwko krzesło.

– Znalazłam tego Wielkiego Zegarmistrza. Otworzyłam drzwi pierwszym lepszym kluczem, a kiedy zorientowałam się, gdzie jestem, zawróciłam po księgę. Rozmawiałam z nim, ale na próżno.

– Nie dał ci pozwolenia na wyjazd?

Genève potrząsnęła głową.

– Powiedział, że nie może mi pomóc. Utraciłam moje nazwisko i historię, a także powód, dla którego się tu znalazłam. Zaproponował mi jedynie trochę dodatkowego czasu i nic więcej.

Antonio spojrział na niebieski zegarek Genève, ale jego tarcza była nadal pusta.

– No, to gdzie masz ten czas?

Genève podała mu księgę.

– Nie jest mi on do niczego potrzebny, Antoine.

– Gen...

– Antoine.

Genève popatrzyła na niego obezwładniająco.

– Idź. Tylko się pośpiesz.

– Nie. Tak jest dobrze. Nie chcę już niczego pamiętać. Nie chcę dotrzeć do Mnemozji i wydostać się z Tirnaill.

Genève podniosła się gwałtownie, szurając przy tym krzesłem i uderzyła go w policzek.

– A właśnie, że nie! Ty musisz pamiętać. O mnie i o Edgarze. Wrócisz do domu i spiszesz naszą historię. Już nigdy więcej o nas nie zapomnisz. Zapewniam cię, Antoine, że jeśli teraz nie weźmiesz tej księgi i klucza, ja zniknę. Już nigdy

mnie nie odnajdziesz, ani w Tirnail, ani na tamtym świecie, ani nawet w marzeniach. Obiecuję ci to. A teraz idź do Wielkiego Zegarmistrza i poproś go o dodatkowy czas.

[40] W starożytności miasto w delcie Nilu, gdzie znajdowała się zamieszkiwana przez koty świątynia ku czci bogini kotów o imieniu Bubastis – przyp. tłum.

Miasto Umarłych

Drzwi otworzyły się i w tym samym momencie zatrzasnęły za jego plecami. Dookoła panował kojący spokój. Znajdował się w zadbanej wiosce. Domy miały tu spadziste dachy, typowe dla miejsc, w których pada śnieg, teraz jednak było lato. W powietrzu unosiły się odgłosy cykad, ciepły wiatr muskał kłosa na polu, kołysał wielkimi strąkami na drzewach karobowych, poruszał łańcuchami stojącej nieopodal huśtawki. Z daleka słychać było szum płynącej wody, prawdopodobnie strumienia. Antonio odwrócił się, by sprawdzić, jak tutaj dotarł i okazało się, że przez drzwi zakładu pogrzebowego.

Miejscowość przecinała brukowana kamieniami ścieżka, pięła się po wzgórzu jak kręgosłup. Genève nie powiedziała mu, gdzie szukać Wielkiego Zegarmistrza i pomyślał, że widocznie nie będzie to skomplikowane. Nie mylił się, wystarczyło pójść wijącą się przed nim ścieżką.

Gdy ruszył w drogę, jego uwagę zwrócił jakiś odgłos. Dawno już go nie słyszał i dlatego nie od razu rozpoznał. Tykanie zegara, a może raczej dwóch, trzech, albo tysiąca. Napotkany po drodze kamień milowy informował, że dotarł do miejsca o nazwie Eudoria – miasta umarłych.

Nigdzie nie napisano, że było to miasto umarłych, ale Antonio sam się domyślił, gdy tylko zobaczył zastygłego w bezruchu listonosza, wrzucającego listy do skrzynki w głębi alejki prowadzącej do jakiejś willi. Ubrany w granatowy mundur mężczyzna miał uniesioną w wiekuistym geście rękę i przewieszoną przez ramię torbę pełną korespondencji. W okolonym białymi framugami oknie Antonio dostrzegł ciało małej dziewczynki. Znieruchomiałą rączką odpowiadała na pozdrowienie doręczyciela. Jej braciszek siedział nieporuszony na zawieszanej na drzewie oponie. Trochę dalej była cukiernia. Pochylona przed witryną kobieta wskazywała tort sprzedawczyni. Stojący za kasą mężczyzna wydawał resztę dwóm identycznie ubranym bliźniakom. W barze wokół stolika zebrała się starszyzna. Podparci łaskami mężczyźni mieli na głowach *le coppole* – typowe czapki z daszkiem. Przytrzymujący tacę kelner podawał im filiżanki kawy. Piekarz piekł chleb, a księgarz ustawiał na półkach dopiero co dostarczone do sklepu książki. Zatrzymany w kadrze wieczności proboszcz powtarzał sobie niedzielne kazanie w cieniu drzewa Judasza, spacerując po ogrodzie wokół plebanii. Na ławeczce przysiadła para starszych ludzi. Ona oparła zmęczoną głowę na ramieniu

mężczyzny, a on z wyrazem rozanielenia na twarzy przytrzymał ją za rękę, tak jakby nic lepszego – zarówno w życiu, jak i po śmierci – nie mogło mu się już zdarzyć. W krzakach dzieci bawiły się w chowanego, nikt ich jednak nie szukał.

Bez cienia wątpliwości wszyscy mieszkańcy Eudorii byli martwi, ich okryte żółtą patyną i perfekcyjnie zabalsamowane zwłoki trwały nieporuszone i błogo uśmiechnięte.

Narastające z każdym krokiem tykanie zegarów brzmiało jak odgłos bomby zegarowej, wibrowało w powietrzu niczym rój owadów. Antonio ruszył przed siebie jedyną ulicą Eudorii, ciągnącą się poza park i strumień. Przemierzył most, aż w końcu znalazł się u podnóża długich schodów. W górze, w gąszczu zielonych drzew, dojrzał wieżę. Ku jego zaskoczeniu na szczycie znajdował się ogromny, normalnie funkcjonujący zegar. Posiadał wszystkie godziny i poruszające się wskazówki. W Eudorii istniał czas.

Wieżę otaczała rozległa przestrzeń usłana zepsutymi czasomierzami, tworzącymi miejscami nieregularne wydmy i usypiska starych mechanizmów. Na powierzchni wody wypełniającej rowy melioracyjne pływały tarcze, wahadła, szkła, wskazówki, skuwki, paski oraz kółka zębate, podzespoły i trybiki...

Gdy wcześniej zrezygnowany Antonio przechadzał się wśród szczęśliwych nieboszczyków, o dziwo nie czuł się nieswojo, ale teraz widok wysypiska martwych zegarów nappełnił go niepokojem. Były ich miliony i pisarz domyślał się, że każdy z nich oznaczał jedno zmarnowane życie, fragment minionego czasu, niewykorzystany ułamek wieczności. Poruszony tym odkryciem wydłużył krok i ostatnie schody pokonał biegiem. Zdyszany przekroczył progi wieży, z nadzieją na odrobinę wytchnienia od tego rozsadzającego skronie tykania, ale odgłos mijającego czasu wewnątrz budynku okazał się jeszcze bardziej natarczywy.

Sekretarką Wielkiego Zegarmistrza była stara, brzydka i bezzębna kobieta o zielonkawej cerze. Siedziała rozpostarta w brudnym fotelu, odziana w poplamiony i przypominający skorupę żółwia prochowiec. Wystawała spod niego para sflaczałych, pokrytych łuską nóg, które można by z powodzeniem uznać ze płetwy.

Antonio zastanawiał się, czy nie żyła czy po prostu spała. Podeszedł bliżej i delikatnie ją trącił...

Kobieta-żółwica otworzyła usta, wciągnęła, a następnie rozprostowała szyję. Wystawiła z prochowca ogromną głowę i zaordynowała donośnym głosem:

– Proszę zamknąć za sobą drzwi!

Antonio zawrócił i posłusznie wykonał polecenie.

– A więc kogo my tu dziś mamy? Pana nazwisko poproszę.

– Antonio Maria Fonte.

– Czy po raz pierwszy przybywa pan do biura Wielkiego Zegarmistrza?

– Nie wiem. Myślę, że tak, ale być może się mylę.

– Jestem pewna, że nigdy tu jeszcze pana nie widziałam. Co pana sprowadza? – indagowała.

– Potrzebuję trochę dodatkowego czasu.

– To jest, niestety, błędna odpowiedź.

– Błędna?

– Błędna, ponieważ nieprecyzyjnie się pan wyraził.

– Ale dlaczego?

– Człowiek powinien pragnąć tylko i wyłącznie czasu.

Z kieszeni prochowca zaczęła wydobywać jakieś karteczki. Popatrzyła na jedną z nich, ale ją odrzuciła. Wzięła następną, przyglądała jej się niezdecydowanie i w końcu i tę odłożyła. Jej palce poruszały się flegmatycznie, irytująco powoli. W końcu podała mu bilecik z numerem czwartym.

– Proszę usiąść i poczekać na swoją kolej.

Ruchem głowy wskazała mu ławkę pod ścianą, na której siedziało już trzech denatów. Nie była to poczekalnia w potocznym znaczeniu tego słowa, ale trupy najwyraźniej na coś czekały.

– Ale ja już nie mam czasu – odpowiedział Antonio.

Bezzębne usta kobiety rozciągnęły się w uśmiechu.

– I to jest właśnie prawidłowa odpowiedź, proszę usiąść.

Antonio nie miał pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. Wbrew własnej woli wykonał jej polecenie i przysiadł na przeciwnym krańcu ławki, starając się zachować jak największą odległość od ciał nieboszczyków. Jeden z nich wyglądał na wieśniaka. Ścisnął w dłoniach widły, a na kolanach trzymał zwiniętego w kłębek kota. Dwaj pozostali – prawdopodobnie byli parą – wyglądali jakby trafili tu prosto z wieczornej gali. On miał pod brodą muchę, a ona omotany wokół szyi lisi ogon.

Kobieta-żółwica znieruchomiała jak wszyscy umarli w Eudorii. Jednak w przeciwieństwie do nich była żywa, tyle tylko, że niewyobrażalnie powolna.

Antonio starał się nie zwracać uwagi na trzech siedzących obok delikwentów. Zastanawiał się nad fenomenem przemijającego czasu i skonstatował – choć był tym odkryciem bardzo zaskoczony – że od momentu, kiedy przybył do Tirnaíl i wskazówki zegarów stanęły w miejscu, zapomniał o istnieniu godzin. Tyle miał tu ciągle do zrobienia, bez przerwy czegoś szukał, poznawał nowych ludzi, podążał wyznaczoną mu drogą i starał się jak najintensywniej wykorzystać podarowany mu czas. Nie było od tego ucieczki, tutaj wszystko tak funkcjonowało, zresztą samo życie tak właśnie funkcjonowało, a jednak w Tirnaíl ani przez chwilę nie zauważył różnicy między dniami i godzinami, a w każdym razie nie w sposób tradycyjny, w jaki postrzegano ją na tamtym świecie. Tutaj ta różnica się zatarła, pozwalając na wypełnianie czasu, a nie na jego szatkowanie. Godzina odpowiadała tygodniowi, cztery godziny – miesiącowi, sześć godzin – jednej minucie. Wszystko

zależało od sposobu, w jaki je spędzał. Ale teraz w mieście umarłych i tykających zegarów czas znowu się o niego upomniął i nękał upływającymi minutami, z których każda złożona była dokładnie z sześćdziesięciu sekund.

„Przestań wreszcie się nad tym zastanawiać”, nakazał sam sobie, uznając, że te myśli źle na niego wpływały. Rozlegające się w kompletnej ciszy tykanie zegara świdrowało mu mózg, stając się z minuty na minutę coraz bardziej deprymujące. Wstał, podszedł do sekretarki i poprosił, żeby pozwoliła mu wejść przed nieboszczykami, przecież oni i tak już nie żyli i nie robiło im to żadnej różnicy.

– A co pan może na ten temat wiedzieć? Proszę natychmiast usiąść i przestać obrażać pozostałych klientów.

Zniecierpliwiony Antonio wrócił na swoje miejsce. Jął przerzucać kartki starego czasopisma. Pogwizdując i podrygując, spojrział na zegarek. Na białej tarczy widniała jedynie czarna kropka. Próbował przemknąć za plecami starej sekretarki i otworzyć drzwiczki prowadzące do Wielkiego Zegarmistrza. Niestety, nie udało mu się ich sforsować, ponieważ okazały się zbyt solidne – dębowe i zamknięte na trzy spusty.

Kobieta nie zwracała na niego uwagi. Od dziesięciu minut próbowała odwinąć cukierka, aż w końcu Antonio pomógł jej się z nim uporać.

– Czy teraz mogę już iść?

– Niech pan poczeka na swoją kolej.

Po jakimś czasie Antonio starał się przywołać jej uwagę, pokaszując i pojękując. W pewnym momencie wszedł na ławkę i zaczął podskakiwać. Bawił się z nieboszczykami, zamieniając ich odzienia. W ten sposób wieśniak przebrany był za dżentelmena, kobieta za wieśniaka, a dżentelmen za kobietę. Było to w sumie bez znaczenia, skoro i tak z całej trójki pozostały jedynie obciążone skórą szkielety.

Sekretarka nie zwracała na niego uwagi, wydawała jedynie głośnie wydechy, które wyprowadziłyby z równowagi nawet najbardziej opanowanego człowieka. Antonio pokazał jej swój zegarek, powtarzając, że nie może marnować więcej czasu. Ona flegmatycznie wskazała mu ławkę. Ponownie na niej przysiadł. Znalazł tomik rosyjskiej poezji, ale nie był to akurat najlepszy sposób na spędzenie czasu. Wiersze okazały się tak nużące, że obawiał się, iż za chwilę umrze z nudów. Po raz kolejny popatrzył na zegarek. „To już koniec”, pomyślał przybity. Oparł głowę o ścianę i próbował się odprężyć. Zadziało. Był potwornie zmęczony, nie spał już od wielu godzin i po krótkiej chwili zapadł w sen, głęboki jak sen wieczny.

23 maja 1999 roku

Wygląda, jakby umarła, a może raczej jakby zapadła w sen, niczym księżniczka z bajki, którą trzeba przywrócić do życia pocałunkiem. W neonowym świetle jej biała cera ma srebrzystą poświatę. Obrysowane czarną kredką oczy są

zamknięte, usta suche i popękane, lekko przecięte pośrodku.

O tej godzinie nawet w szpitalu panuje cisza nocna. Hol jest pusty, słychać jedynie tykanie zegara odmierzającego wlokący się bezlitośnie czas cierpienia. Raz po raz zza rogu wychodzi jakaś pielęgniarka, mija go i znika w głębi korytarza. Po pięciu minutach wraca z kubeczkim kawy w dłoni. Za którymś razem jedna z nich przyniosła ją również Antoniowi.

– Wyjdzie z tego – powiedziała, gdy jej dziękował, a on w pierwszej chwili nie skojarzył nawet, o kim mówi.

Parametry życiowe na monitorze są stabilne, ale Antonio nie potrafi jeszcze odetchnąć z ulgą. Poprzysiągł sobie, że opuści progi tego pokoju dopiero kiedy ujrzy kolor jej oczu, ani minuty wcześniej.

Czas mija powoli, ciągnie się niemiłosiernie. O świcie przychodzi nowy lekarz na ranną zmianę.

– Czy jest pan jej krewnym? – Lekarz trzy razy zadaje mu to samo pytanie, ale Antonio go nie słyszy. Kiedy mężczyzna dotyka mu ramienia, podskakuje na krześle.

– Nie... Jestem jej sąsiadem. Już to mówiłem lekarzowi na nocnej zmianie. Ona mieszka nade mną, wprowadziła się kilka miesięcy temu.

– Jak na imię tej dziewczynie? Podobno nie ma przy sobie żadnych dokumentów.

Antonio kręci głową.

– Nie wiem, nigdy jej o to nie pytałem.

– W jaki sposób zorientował się pan, że dzieje się coś złego?

– Usłyszałem przez przewód wentylacyjny.

– Co takiego pan usłyszał?

– Że dzisiaj miała zły dzień. Mówiła, że nie miała już siły...

– Wiedział pan, że umierała, ale nie znał pan jej imienia?

– Nikt nie znał jej imienia, nawet dozorca. Wychodziła tylko nocą, a mieszkanie było podnajmowane. Podobno na nazwisko niejakiego Poitiera. Ona była... jak zjawa. Nawet nie byłem pewien, czy naprawdę istniała.

– Wie pan może, czy miewała ataki padaczki? – Lekarz przygląda się z uwagą jej kartotece.

– Tu jest napisane, że zażyła duże ilości fenobarbitalu.

– Czasem miewała złe dni. – Antonio czuje się częściowo odpowiedzialny za to, co się wydarzyło. Powinien był jej pomóc, wiedział, że prędzej czy później tak to się skończy.

– Wyjdzie z tego, prawda?

– Wyjdzie. Kiedy ją pan przywiózł, była w stanie hipotermii i miała zaburzenia oddychania. Przeprowadziliśmy płukanie żołądka, podaliśmy węgiel aktywny oraz tiaminę. Nie ma już zagrożenia dla życia.

Lekarz robi krótką pauzę.

– Proszę pana, musimy jak najszybciej porozmawiać z krewnym, opiekunem albo przyjacielem tej dziewczyny. Pan nawet nie ma pojęcia, czym ona się nafaszerowała. Przeżyła jedynie dzięki panu. Na szczęście był pan blisko i usłyszał, że coś jest nie tak, ale każdy niedoszły samobójca potrzebuje stałej obecności zaufanej osoby. Ona nie może zostać teraz sama. Wygląda na to, że nadużywa alkoholu i narkotyków. Jak tylko dojdzie do siebie, będzie musiała odbyć psychoterapię, być może trafi do ośrodka leczenia uzależnień. To bardzo delikatny moment, mam nadzieję, że pan to rozumie.

Antonio rozumie. Słyszy oddalające się kroki lekarza.

– Dlaczego to zrobiłaś? – pyta ją na głos, choć wie, że na to pytanie nie ma odpowiedzi.

Lekarz przystaje, myśli, że Antonio zwraca się do niego.

– W tego typu sytuacjach nie istnieją konkretne odpowiedzi. Niektórzy ludzie są wewnątrznie zagubieni i w ten sposób wołają o pomoc.

Po odejściu lekarza Antonio wchodzi do pokoju. Patrzy na nią i jest pewien, że ją kocha. Lecz nie tak, jak kocha się coś miłego i ładnego przez chwilę, ale tak, jak kocha się rzeczy ważne na zawsze.

Naprawdę wygląda jak śpiąca królewna, jakby zasnęła pod wpływem zaklęcia. Być może w każdej bajce, kiedy wybrzmi już zdanie „żyli długo i szczęśliwie”, księżniczki próbują popełnić samobójstwo, zażywając barbiturany.

Miałby ochotę ją pocałować. Już od dziewięciu lat.

– Wiedziałem, że dla ciebie zatrzymanie się w jednym miejscu jest równoznaczne ze śmiercią – mamrocze i próbuje się uśmiechnąć, ale mu to nie wychodzi. – Jak tylko stąd wyjdiesz, pojedziemy razem na koniec świata. Zaopiekuję się tobą, będziemy mieli kota. Jak będziemy starzy, będziemy chodzić nad morze, a kot będzie pilnował nam domu.

To nie jest żadna wymyślona dziewczyna, ale realna osoba, i życie jawi mu się teraz jako cud. Była wspomnieniem, z czasem stała się opowieścią, a teraz wreszcie ma ją przed sobą – żywą. Przez ostatnie lata nie tak wyobrażał sobie to spotkanie, ale teraz to bez znaczenia.

Najważniejsze, że może ścisnąć ją za rękę i obserwować. Dłoń jest mała i chłodna. Wpatruje się w pomalowane na czarno i trochę poobgryzane paznokcie, mały pieprzyk na palcu wskazującym... Nie dowierza, że ta dłoń naprawdę istnieje i że wreszcie może ją pieścić, ma wrażenie, że to czary. W ostatnich miesiącach świat stał się dla niego lepszym miejscem, pełnym nieskończonych możliwości. Obserwuje wierzch jej dłoni, dostrzega wytatuowaną ważkę. Przybliży ją do ust. Kiedy Genève otwiera oczy, Antonio nie ma najmniejszych wątpliwości, że padła ofiarą zaklęcia, a on obudził ją swoim pocałunkiem.

Królestwo Straconego Czasu

– Teraz może pan iść.

Nagle ujrzał przed sobą twarz kobiety-żółwicy. Widział ją jak przez mgłę, ponieważ oczy miał wypełnione łzami.

– Teraz kolej na pana. Wielki Zegarmistrz czeka.

– Ona naprawdę istnieje... – wymamrotał Antonio. Rozgorączkowany poderwał się z krzesła i upuścił na podłogę rejestr. – Gen... Muszę do niej wrócić. Teraz sobie o niej przypomniałem...

– Panie Fonte, Wielki Zegarmistrz na pana czeka.

– Tak... ale ja muszę wrócić... Muszę jej powiedzieć, że...

– Panie Fonte, to nie jest możliwe. – Kobieta-żółwica chwyciła go za rękę, a on poczuł pod palcami skórę gada. – Pan już nie ma więcej czasu i leci panu krew z nosa – ucieła sekretarka, a potem, wlokąc się i pełzając, wróciła na fotel.

Antonio nie potrafił o niczym innym myśleć. Genève naprawdę istniała! Nie była tylko przypadkowo spotkaną kobietą, z którą spędził kiedyś jedną jedyną noc, nie była zwyczajną przygodą. A więc co wobec tego się między nimi wydarzyło? Dlaczego postanowił o niej zapomnieć?

Nie mógł się wycofać i pozwolić, by Antoine Tomojasprawa zajął jego miejsce. Najpierw musiał dowiedzieć się, co się stało. Ze względu na siebie i ze względu na nią, ponieważ jej to obiecał.

Podniósł z podłogi księgę kontraktową. Rozejrzał się dokoła. Trzy trupy zniknęły. Na ich miejscu siedział teraz jakiś facet – rugbista z imponującą klatką piersiową.

Antonio poklepał go po ramieniu i pobiegł w stronę drzwi. Za progiem ujrzał rampę skrzyconych w ślimak schodów pokrytych... muszlami ślimaków. Pisarz wspinał się po stopniach i dotarłszy do głównej komnaty wieży, znalazł się w epicentrum nieustającego tykania.

Przebywał w Królestwie Straconego Czasu. Z podłogi jak bujne rośliny wyrastały zegary wahadłowe. Z drutów rozciągniętych między ścianami a sufitem, pośród zegarów słonecznych i astrolabiów zwisały zegarki ręczne i kieszonkowe, przywodziły na myśl dojrzałe kiście winogron. Na biegnących wzdłuż ścian półkach ułożono niepomierne ilości budzików, klepsydr wodnych i piaskowych, starych – zwanych cebulą – zegarków na łańcuszku, zegarów mechanicznych

i świecowych, chronometrów...

Niektóre z nich miały tarcze podzielone jedynie na sześć godzin, pozostałe na dwanaście albo na dwadzieścia cztery. Były tam również zegary dziesiętne. Na niektórych widniały cyfry rzymskie, na innych arabskie, chińskie lub japońskie. Dziesiątki plastikowych worków wypełniały zegarki dziecięce. Co rusz jakiś zegar wahadłowy wybijał inną godzinę, przy nieustannym akompaniamencie zegarów z kukułką.

Antonio przemierzał Królestwo Straconego Czasu z należnym respektem, przekonany, że za chwilę zwariuje. Zdał sobie sprawę, że odgłos upływającego życia to najbardziej dojmujący dźwięk na świecie. Próbował przedrzeć się jakoś przez ten labirynt. Wiedział, że odnajdzie Wielkiego Zegarmistrza w samym sercu mauzoleum straconych godzin, ponieważ to on stwarzał je i pochłaniał. Błądził wśród ślepych zaułków poprzecinanych murami z zegarów, kręcił się w kółko, po kilkakroć dochodząc do tego samego miejsca. W pewnym momencie w głębi długiego korytarza zastawionego zegarami wahadłowymi dostrzegł siwą głowę, pochyloną nad dębowym biurkiem. Wąski nos wieńczyły okulary zegarmistrzowskie z lupą.

Wielki Zegarmistrz dosłownie tonął w częściach zepsutych zegarków. Naprawiał je, osłuchiwał i oczyszczał z takim zaangażowaniem, jakby w grę wchodziło nie cudze, ale jego własne życie. Na stole stała oliwna lampka i zardzewiała waga.

„Kim ty właściwie jesteś?“, miałby ochotę zapytać Antonio, podchodząc bliżej. Mocno przycisnął do piersi księgę kontraktową i w końcu stanął przed jego obliczem.

– Dzień dobry – przemówił zwyczajnie.

Mężczyzna uniósł wzrok. Antonio widział już gdzieś te oczy, tyle tylko, że teraz były to wypełnione przeżyciami i świadome przemijania oczy starca.

– Czekałem na pana. Wiedziałem, że prędzej czy później się pan u mnie pojawi.

– Ja z kolei nie spodziewałem się, że kiedykolwiek pana spotkam. Kimkolwiek pan jest.

– Nazywają mnie Wielkim Zegarmistrzem. Czy przekonuje pana to określenie?

Antonio objął się rękoma. W Tirnail nauczył się, że nazwy mają swoją moc. Potem przekonał się również, że ta moc bywa ograniczona. Wszystko jest tylko tym, czym jest, bez względu na to, jakiego użyjemy określenia.

– Czy ma pan ochotę na kubek mleka?

Antonio potrząsnął głową.

– Nie, dziękuję, bardzo mi się spieszy.

– Wiem o tym, w przeciwnym razie by tu pana nie było. Nie wystarczył panu

czas, jaki mu przydzieliłem?

– Nie. Nie udało mi się odnaleźć Mnemozji, choć w drodze do niej odzyskałem niektóre wspomnienia.

– To dobry znak, że Tirnaïl panu na to pozwoliło. Ale z tego, co widzę, bardzo panu zależy na doprowadzeniu swoich poszukiwań do końca. Wnioskuje więc, że nie odnalazł pan jeszcze tego najważniejszego wspomnienia, które sprawiło, że zrezygnował pan z pozostałych. Musiał je pan porządnie pogrzebać, gdzieś bardzo głęboko i z powodu, którego prawdopodobnie wolałby pan sobie nie przypominać. Czy jest pan pewien, że chce pójść dalej?

– Tak. W przeciwnym razie podzielę los mieszkańców Tirnaïl, którzy zapomnieli i zostali zapomniani, i którzy w związku z tym nie mogą umrzeć, nawet jeśli by tego bardzo pragnęli.

– Proszę wybaczyć, ale się z panem nie zgodzę. To nie jest zgodne z prawdą. Tutaj można umrzeć. Właśnie z tego powodu stworzyłem Eudorię – miasto w Tirnaïl, w którym czas nadrabia stracony czas. Jak pan widzi, w tym regionie zegarki działają bez zarzutu. Ludzie, którzy przybywają tu, by umrzeć, sami wybierają sytuację i moment swojego odejścia. Dałem im możliwość wyboru.

– A więc to nie są zwyczajni umarli.

– Sama śmierć nie jest zwyczajną sprawą. Nie wie pan na jej temat wystarczająco dużo, by o niej rozprawić, panie Fonte. Ani na temat śmierci, ani na temat czasu. W każdym razie, proszę pokazać mi pański zegar ze straconym czasem...

Antonio podał mu swój zegarek kieszonkowy, a Wielki Zegarmistrz z zainteresowaniem zważył go w dłoni. Wyglądał, jakby badał chorego pacjenta.

– Te zegarki... to stracony czas każdego człowieka?

– Oczywiście. Pierwszy zgubiony zegarek każdego z nich.

– Chyba każdy przynajmniej raz w życiu zgubił jakiś zegarek?

– Kto w życiu nie zgubił choćby jednego zegarka, nigdy nie dociera do Tirnaïl.

Postukał w tarczę, osłuchał mechanizmy, obrócił pokrętłem i przez chwilę obserwował go w świetle lampy, a w końcu posmakował koniuszkiem języka i usatysfakcjonowany pokiwał głową.

– To czyste srebro, rocznik 1920. Należał kiedyś do bardzo bogatego człowieka, sycylijskiego ziemianina, który zamówił go, kiedy stary zegarek ojca spadł mu ze skały w czasie polowania. Mężczyzna zmarł bezpotomnie, a jego majątek wystawiono na aukcję. Zegarek zakupił antykwariusz, właściciel sklepu na Starówce w pańskim mieście. To właśnie tam nabył go pański ojciec chrzestny. Podarował go panu z okazji chrztu, dołączając bilecik z dedykacją: „Oby twe życie było pełne godzin, a twe godziny pełne życia”. Miał pan wtedy jedynie osiem miesięcy, panie Fonte. Czy wie pan, kto był pańskim ojcem chrzestnym?

– Nie, nie sędzę, żebym kiedykolwiek wiedział.

– To dlatego, że w pańskiej rodzinie przestano wymawiać jego nazwisko.

Antonio znieruchomiał. Bał się wypowiedzieć to nazwisko i odkryć, że po raz kolejny było okrutnie związane z jego życiem.

– Wampir Vladimir?

Wielki Zegarmistrz roześmiał się i odkaszlnął.

– Ach te historie... Ktoś gdzieś zaczął opowiadać jedną z nich, a potem narodził się cały wszechświat. – Wielki Zegarmistrz oddał mu czasomierz. Teraz, kiedy poznał już jego historię, nie miał ochoty brać go ponownie do ręki. – Pozostało panu siedemnaście minut, panie Fonte. Wykorzystanych minut. Po ich upływie przestanie pan być tym, kim jest, a Tirnail będzie miał o jednego mieszkańca więcej i otworzy swoje granice, by pochłonąć pańską historię na zawsze.

Antonio przełknął z trudem ślinę. Nie spodziewał się, że tak niewiele mu zostało.

– Musi mi pan wobec tego jakoś pomóc. Skoro lubi pan ludzkie historie, miałbym dla pana interesującą propozycję.

Antonio modlił się w duchu, żeby mu się udało. Podsunął Wielkiemu Zegarmistrzowi rejestr kontraktów pod sam nos i wertował od końca jego karty, aż w końcu zatrzymał się na pierwszej stronie. Wskazał naniesioną w prawym, górnym rogu datę – rok 1988, a potem zaczął czytać.

– *Pani Geraldine Potter sprzedaje marzenia z dzieciństwa w zamian za ostatni dzień spędzony u boku ojca, pana Charlesa Pottera.*

– *Pan Nathaniel La Fontaine, znany iluzjonista z Lyonu, sprzedaje czarodziejskie sztuczki w zamian za odrobinę prawdziwej magii.*

– *Panna Dagmara Szemis oddaje barwę swoich oczu w zamian za dziecko.*

Antonio przerwał i pozwolił, by Wielki Zegarmistrz sam czytał dalej, rozsmakowując się w lekturze. Kiedy dotarł do ostatniej strony, był bez wątpienia pod wrażeniem.

– To naprawdę wyjątkowy przedmiot panie Fonte, ale jednocześnie bardzo smutny. Te osoby sprzedają kawałek siebie w zamian za nicłość, za iluzję.

– Aukcja Złudzeń powinna zostać zakazana.

– Nigdy do tego nie dojdzie. Nie można odebrać ludziom tego, czego potrzebują, chyba że jest się gotowym na wojnę.

Antonio przytaknął. On również był tego świadom, ale kiedy Wielki Zegarmistrz z nieomal dziecięcym uśmiechem przerzucał strony rejestru, pisarz odzyskał nadzieję.

– Wiem, że ponaglanie pana jest wyjątkowo nie na miejscu... – odważył się

odezwać w pewnym momencie Antonio. – Ale mój czas nieubłaganie się kończy. Co mógłbym otrzymać w zamian za tę księgę?

– Hmm... Zobaczmy.

Stary zatrzasnął rejestr i położył go na lewym talerzu złotej wagi, który dotknął nieomal blatu stołu.

– Poproszę o pański zegarek.

Antonio natychmiast wykonał polecenie. Wielki Zegarmistrz ułożył czasomierz na pustym talerzu, ale szale wagi nawet nie drgnęły.

– Wie pan, czas – dla tych, którzy są w stanie go dostrzec – podobny jest do pyłu unoszącego się w rozświetlonym powietrzu. Natomiast czas stracony przypomina większe, unoszące się w nim paproszki, które zazwyczaj opadają właśnie tutaj.

Wreszcie języczek wagi się poruszył, a talerz z rejestrem uniósł się powoli i w ciągu trzech, czterech minut oba talerze znalazły się dokładnie na tym samym poziomie, jakby zegarek Antonia nabrał masy, wypełnił się brzemieniem czasu. Kiedy Zegarmistrz mu go zwrócił, na tarczy pojawiła się godzina dziesiąta.

– Ile mi pan podarował? Tydzień? – dopytywał z nadzieją pisarz.

Wielki Zegarmistrz pokręcił ze smutkiem głową.

– Jeden dzień?

– Jedną godzinę, panie Fonte. Pierwszą lepszą, wykorzystaną godzinę.

Antonio poczuł ścisk w żołądku. To nie mogła być prawda.

– Ale przecież... ja dałem panu rejestr z Aukcji Złudzeń!

– A ja dałem panu dodatkową godzinę.

– Ta księga zawiera marzenia, smutki i pragnienia milionów osób! Nie mogą być warte tylko jedną godzinę! Pan próbuje mnie oszukać!

Antonio wstał, by rozładować złość, która podchodziła mu do gardła. Niewiele brakowało, a zrobiłby krzywdę temu staremu.

– Dlaczego miałbym pana oszukiwać? Przecież sam pan widział, że ja niczego nie zrobiłem.

– To niemożliwe...

– Choćby miał pan ocean złota, nie kupi pan nawet kropli czasu, panie Fonte. Może się pan uważać za szczęśliwca. Nie ma pan pojęcia, co daliby niektórzy ludzie w zamian za jedną marną godzinę i nie zdaje pan sobie sprawy, z jakim trudem czas zwraca choć jedną sekundę. Zastanawiam się zawsze, dlaczego ludzie, którzy mają do dyspozycji miliony godzin, nie potrafią ich wykorzystać i naprawdę przeżyć. Ciągłe powtarza się ta sama historia. Doceniamy to, co posiadamy, dopiero w momencie, gdy to tracimy. Tak samo dzieje się z czasem. Myślę, że to właśnie z tego powodu Tirnaïl jest tak przeludnione.

Podczas rozmowy z Wielkim Zegarmistrzem Antonio zapomniał na chwilę o otaczającym go gąszczu zegarów, ale teraz ich tykanie stało się ponownie nie do

zniesienia. Wściekły wodził wzrokiem po wieży. Miał już dość. Ujrzał zaprzepaszczone życie. Wszystkie godziny spędzone w kolejkach na poczcie, w poczekalniach u dentysty i na przystankach autobusowych. Lata zmarnotrawione na nieodwzajemnione miłości, miesiące strwonione na wykonywaniu pedantycznych prac, niekończące się minuty strawione na wpatrywaniu się w pustkę i rozmyślaniu, co zrobić z własnym życiem, zamiast zacząć po prostu żyć.

Wszystko znajdowało się teraz na wyciągnięcie ręki, przytłaczające, głośnie, klaustrofobiczne... Antonio nie chciał tu dłużej przebywać. Mając do dyspozycji ostatnią godzinę, nie pożegnał się nawet z Wielkim Zegarmistrzem i wybiegł z wieży.

37

Dom na wzgórzu

Przygnębiony wrócił do domu Edgara. Odliczał sekundy. Te, które minęły oraz te, które mu jeszcze pozostały i doszedł do wniosku, że wprowadzając podział czasu, ludzie wydali na siebie wyrok.

Kiedy tylko przekroczył progi mieszkania, coś uderzyło go w głowę. Zszywacz. Z obolałym czołem schylił się po niego i w tym samym momencie oberwał łyżką wazową.

– Obrzydliwy kłamca! Oszukałeś mnie!

Antonio wyprostował się, by zmierzyć się z Genève i dostał w nos tomem powieści Tołstoja. Nie zdążył zrobić uniku.

– Zwariowałaś? Co cię, do cholery, napadło?

Genève cisnęła czymś lekkim, co uniosło się w powietrzu i opadło na ziemię. Antonio podniósł z podłogi jej portret. Przymknął oczy. Był na siebie wściekły, ponieważ nie dość, że nigdy jej o nim nie powiedział, to teraz jak ostatni głupiec zapomniał go zabrać ze stołu. Nie pozostawało mu nic innego, jak stawić czoła tej sytuacji.

– Przykro mi. Przysięgam, że miałem zamiar ci o nim powiedzieć.

– Od kiedy go masz?

– Gen, chciałem trochę poczekać, chciałem sobie ciebie dobrze przypomnieć, a teraz...

– Od kiedy go masz?

Antonio bał się powiedzieć jej prawdę, mieszkanie Edgara było pełne tępych przedmiotów, które Genève mogłaby użyć przeciwko niemu. Nie mógł jej jednak po raz kolejny okłamywać. Nie teraz, kiedy została mu tylko godzina na bycie sobą.

– Zanim jeszcze przybyłem do Tirnaill.

Genève wytrzeszczyła oczy. Dostała furii. Rzuciła się na niego i pchnęła na ścianę. Okładała go pięściami, wykorzystując fakt, że on nigdy nie podniósłby na nią ręki.

– To ja ci pomogłam! Oddałam ci rejestr, moje dodatkowe godziny, a ty przez cały ten czas mnie okłamywałeś!

– Nie okłamywałem cię, zataiłem jedynie pewien szczegół!

Genève rozdarła się na całe gardło, wydobywając z otępienia samego Edgara. Na wpół przytomny malarz uniósł głowę znad stołu. Miał twarz popaćkaną zieloną farbą. Dopiero kiedy ujrzał, jak jego kolekcja butelek starej whisky roztrzaskuje się o ścianę, zerwał się na równe nogi.

– Oż, cholerka! To niesłychane! Niech się pani uspokoi! – próbował okiełznać Genève, która chwyciła za siedemnastowieczną lampkę oliwną i zamierzała rzucić ją w pisarza. Dziewczyna wierzgała jak oszalone żrebię, ale Edgar zdołał przytrzymać ją za ręce.

– Kawał gnoja z ciebie i już! A ja tobie zaufałam!

By uwolnić się z uścisku, Genève ugryzła Edgara w ramię. On jęknął z bólu, ale jej nie puścił.

– Uspokój się – wrzasnął Antonio, próbując ją przekrzyczeć. – Uspokój się wreszcie i mnie wysłuchaj! Popełniłem błąd, to prawda, ale miałem ku temu powody. Spójrz na siebie, zobacz, jak ty się zachowujesz. Niełatwo jest się z tobą konfrontować i dlatego odwlekąłem to w czasie. Jak tylko coś jest nie po twojej myśli, natychmiast wpadasz w furie!

Wiedział, że nie były to odpowiednie słowa. Twarz Genève zapałała ogniem.

– Mogłeś od razu powiedzieć, że moje towarzystwo było dla ciebie takie uciążliwe.

– Nie to miałem na myśli.

– A jednak to właśnie przed chwilą powiedziałeś.

– Tak, powiedziałem, bo tak faktycznie myślę, ale mi to akurat w tobie nie przeszkadza. Podobasz mi się taka, jaka jesteś, i ty tego właśnie nie rozumiesz!

Uwięziona w ramionach Edgara Genève przestała nagle szarpać się i dyszeć. Przez kilka sekund stali w milczeniu, a potem wściekłość w oczach dziewczyny zmieniła się w rozczarowanie.

– Jesteś zwyczajnym tchórzem.

– Dotarłem do Wielkiego Zegarmistrza – zaczął opowiadać Antonio, nie

zwracając uwagi na to, co przed chwilą powiedziała i przenosząc spojrzenie z Edgara na Genève. – W zamian za rejestr dał mi tylko godzinę czasu. I teraz straciłem z niej już osiem minut. Nie pamiętałem, że poczucie upływającego czasu może doprowadzić do szaleństwa.

– I tak nie potrafiłbyś nic zrobić z tymi sześćdziesięcioma minutami! – Genève wykorzystywała każdą okazję, żeby mu dołożyć. – Zmarnujesz je tak samo, jak do tej pory zmarnowałeś całe swoje życie!

– Być może. – Antonio opadł na tapczan.

Genève udało się wyrwać z uścisku Edgara, który na próżno próbował ją powstrzymać. Ale dziewczyna nie miała już zamiaru atakować Antonia. Zaczęła pospiesznie zbierać swoje rzeczy, miotając się z wściekłości po całym mieszkaniu.

– Panienko Genève, proszę się chwilę zastanowić. – Malarz próbował ją mitygować. – Niełatwo jest rozliczyć się z własną przeszłością. Jeśli Antoine nie opowiedział pani wszystkiego, to być może dlatego, że chciał panią przed czymś uchronić.

– Edgar, to on mnie tak urządził! To dzięki niemu wylądowałam w Tirnaill! – wrzasnęła Genève. – Nie chciał chronić mnie, ale własny tyłek! Kiedy tylko odnalazłby to utracone wspomnienie, poszedłby stąd i nas tu zostawił. Nic byśmy z tego nie mieli. Poprosiłam go tylko o jedno, by opowiedział mi wszystko, co na mój temat pamiętał. I to nie dlatego, że chciałam sobie stąd pójść! Czy ktokolwiek jeszcze wierzy, że można sobie stąd pójść? Ale żeby dowiedzieć się, kim jestem! Jemu w ogóle na nas nie zależy! Jest szaleńcem, a szaleńcy wymyślają jedynie bezsensowne historie, niemające nic wspólnego z rzeczywistością!

– Przypomniałem sobie o tobie – wyszeptał Antonio.

Genève wlepiła w niego błyszczące oczy. Przystanęła o krok od drzwi, gotowa do odejścia. I tym razem – Antonio nie miał co do tego wątpliwości – odeszłaby na zawsze.

– Byłaś moją sąsiadką. Mieszkałaś nade mną. Co wieczór grałaś nokturny na starym pianinie. Któregoś razu nie usłyszałem muzyki i wszedłem do góry, by sprawdzić, co się stało. Nałykałaś się prochów i byłaś o krok od śmierci. Odwiozłem cię do szpitala, gdzie spędziłem najdłuższą noc w moim życiu. Rano otworzyłaś oczy. Nie pamiętam, co się później wydarzyło. – Antonio przebiegł dłonią po twarzy, głęboko poruszony.

A potem zaczął wyrzucać z siebie słowa, nie miał już nic do stracenia i nie było się już czego obawiać.

– To niesamowite, że poznana przypadkowo w środku Europy kobieta wprowadziła się dokładnie dziewięć lat później do mojej kamienicy. Wydaje się to zupełnie nieprawdopodobne, a jednak... Rozpoznałem cię i... cudownie było znowu cię zobaczyć. Byłaś prawdziwa, z krwi i kości. Nie byłaś już wymyśloną historią. A ja... byłem w tobie po uszy zakochany. Kochałem cię bez ustanku od

dnia, w którym spotkaliśmy się po raz pierwszy. Zależało mi, żeby ci o tym opowiedzieć, ponieważ już niedługo nie będę pamiętał, kim jestem, a spotkanie ciebie było dla mnie zbyt ważne, by pozwolić, aby zniknęło w niepamięci razem z całą resztą. Wiem, że Antoine zawsze będzie cię kochał, ale przed nim jestem ja. I to, co do ciebie czuję, to niewątpliwie najprawdziwsza rzecz, jaka przydarzyła mi się w życiu, jedyna, jaką chciałbym naprawdę przeżyć. Strasznie żałuję, że cię utraciłem, musisz w to uwierzyć... Trafiłem do Tirnaill i teraz ryzykuję, że przepadnę tu na zawsze, ponieważ w głębi duszy nigdy sobie nie wybaczyłem, że pozwoliłem ci odejść.

Wreszcie to z siebie wyrzucił. Wreszcie mógł normalnie oddychać, pozbyć się przytłaczającego ciężaru i poczuć lekkość istnienia. Oddał jej coś, co swego czasu ona mu podarowała, owoc wyhodowany z ziarenka, które posiadała w nim prawie dwadzieścia pięć lat wcześniej.

Trudno było ocenić, jak odebrała to wyznanie Genève. Niewątpliwie targaly nią sprzeczne uczucia, siały zamęt w duszy i wypełniały bólem spojrzenie. W końcu odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę drzwi.

– Do tego potrzebne są klucze, proszę pani – odezwał się beznamyślnie Edgar.

Genève go nie posłuchała. Chwyciła klamkę i otworzyła drzwi. Do mieszkania wpadł lodowaty powiew wiatru, niosąc za sobą ponury jęk. Gen z dumnie uniesioną głową zamierzała stawić czoła porywistym podmuchom, ale w tej samej chwili znieruchomiała na widok tego, co zobaczyła. Zbladła i zdawało się, że za moment osunie się na ziemię, jednak po chwili doszła do siebie.

Odwróciła się i po raz ostatni spojrzała z wyrzutem na Antonia. Jej oczy wyrażały ogrom żalu i miłości, wściekłość, do której była zdolna tylko taka osoba jak ona.

– Myliłeś się, Antoine. Aby znaleźć coś, co się utraciło, nie trzeba dotrzeć na koniec świata. Wystarczy przestać tego szukać. Wydaje mi się, że już najwyższy czas, żebyś przestał – rzuciła na odchodne, a potem przekroczyła progi domu i zatrzasnęła za sobą drzwi. Wraz z jej zniknięciem ucichło wycie wiatru.

Antonio i Edgar byli wstrząśnięci, ale jednocześnie niezwykle przytomni. Podeszli do drzwiczek i po raz pierwszy nie użyli żadnego klucza, lecz po prostu nacisnęli na klamkę. Pisarz przypomniał sobie słowa leśnej wiedźmy: „Nie istnieją klucze zdolne otworzyć drzwi do miejsca, którego szukasz...”.

Antonio zwrócił uwagę na wiatr, zdawało się, że to z niego utkana była ta dziewicza kraina. Wicher przywiał jego imię, muskał mu policzki, niósł ze sobą wszystkie tajemnice. Jeszcze chwilę wcześniej otaczała ich bezkresna pustka, a teraz wiatr stworzył wzgórze i rozkołysał trawę, która szumiała jak przepływająca między palcami woda. Rozpostarł wielką, siwą przestrzeń, na której krzyże i cyprysy wytyczały bezkresny cmentarz wspomnień. Potem poczuli przeszywający

ziąb, mróz, który ścina ziemię w czasie najchłodniejszych zimowych nocy, kiedy to ogień staje się najlepszym przyjacielem człowieka. Wkrótce nadciągnęły niskie chmury. Spod nich prześwitywały skrawki nieba i księżyc przypominający krążek żółtego sera. Trudno byłoby stwierdzić, czy przyćmione światło oznaczało zmrok, czy raczej świt, ponieważ ani cztery strony świata, ani prawa rządzące kosmosem nie istniały w miejscu, w którym rozbrzmiewał zapomniany głos ludzi...

Antonio pomyślał, że spektakl ten mógłby trwać wiecznie, ponieważ wiatr istniał od prapoczątków tej ziemi i ciągle na nowo ją stwarzał. Mnemozja była większa od całego Tirnaïl, choć paradoksalnie w nim się zawierała.

Antonio nie potrafił wykrztusić ani słowa. Miał ochotę skakać z radości i zanurzyć się wreszcie w bezmiarze wspomnień, a jednak nie potrafił uczynić nawet jednego kroku. Wreszcie osiągnął cel podróży, ale czuł jednocześnie, że coś bezpowrotnie mu się wymykało.

Obok stała Genève, z jej twarzy przebijał niepomierny smutek. Owszem, starała się uśmiechać tak jak zawsze, kiedy przekroczyli granicę nowego regionu, ale jej oczy błędziły po nieistniejącej linii horyzontu tej bezbrzeżnej krainy.

– Ty to masz farta, Antoine. Złamanego grosza bym za ciebie nie dała, a jednak ci się udało.

Antonio przymknął oczy. Kiedy ponownie je otworzył, usłyszał za sobą echo zatraskujących się drzwi. Odwrócił się raptownie. Za plecami miał nadal mieszkanie Edgara oraz panujący w nim rozgardiasz. Okna były zastawione meblami i pozasłaniane obrazami.

– A więc to tutaj tak naprawdę mieszkasz – skonstatował Antonio, spozierając w stronę malarza.

Nie miał do niego pretensji. Taka była wola Tirnaïl, to ono za każdym razem decydowało, gdzie i kiedy miał dotrzeć.

Edgar popatrywał na niego naburmuszony. Jeszcze całkiem niedawno zaczerwieniłby się ze wstydu i przeproszał za ten drobny błąd w obliczeniach. W tym czasie wiele się jednak wydarzyło i teraz malarz, który wreszcie zaczął malować, pozwolił sobie na pewien komentarz. Wlepił pocziwe spojrzenie w Antonia, a ten pod jego ciężarem poczuł się jak uczeń.

– Nigdy nie ośmieliłbym się powiedzieć tego w towarzystwie pani Genève, ponieważ nie lubię publicznie wytykać błędów, ale powiem wprost. Myślałem, że zrozumiał pan reguły Tirnaïl. Każdy z nas nosi w sobie fragmenty napotkanych w życiu osób. Tu wszystko działa na zasadzie wymiany i w ten sposób nawzajem sobie pomagamy. Pan zna i kocha Genève, i od samego początku waszej znajomości powinien być pan być w stosunku do niej szczery.

– To może mnie teraz ukamienujecie, co? – wybuchnął poirytowany Antonio. – W twoim domu pełno jest różnych przedmiotów. Może w czasie, kiedy będę szukał moich wspomnień, będziecie we mnie nimi rzucać, co? Kto trafi ten

wygrywa!

– Panie Antoine!

– Ja muszę już iść, Edgar. A ty, jeśli chcesz towarzyszyć panience Genève, to wiesz, gdzie są drzwi. Przynajmniej teraz już wiesz.

– A może mnie pan zwolni? – odszczeknął malarz i niewzruszony zaczął schodzić po stoku wzgórza w poszukiwaniu wspomnień Antonia, zdawał się bardziej zainteresowany ich odnalezieniem od niego samego.

– Rozumiem przez to, że ty podzieliłeś się ze mną wszystkimi wspomnieniami, Edgarze? – zapytał prowokacyjnie Antonio. – Ty, oczywiście, opowiedziałbyś mi wszystko, co było ze mną związane. Pomógłbyś mi, prawda?

– Ja cały czas panu pomagam, panie Antoine! – Edgar przystanął i znowu popatrzył na niego z wyrzutem. Wydawał się wyższy, bardziej pewny siebie i na swój sposób odmłodzony. Potem ruchem głowy wskazał rozpościerającą się pod nimi ogromną przestrzeń zapełnioną krzyżami i nagle zmienił temat. – Tutaj pogrzebane są miliardy wspomnień, od początków istnienia ludzkości, a panu pozostała niespełna godzina.

– Nieważne. Chcę do ostatniej sekundy pozostać Antoniem Marią Fonte. Za wszelką cenę muszę odkryć, co mu się przydarzyło. Jestem to winien sobie, Genève, mojemu ojcu... i wszystkim pozostałym.

Edgar przytaknął. Nadal schodził zboczem wzgórza, aż dotarł do ponurej bramy, prowadzącej na cmentarzysko. Beładną nekropolię tworzyły zwały kamieni, groby były tu zmasowane jedne na drugich. Odnalezienie jakiegokolwiek ścieżki czy porządku pochówków okazało się zupełnie niemożliwe.

– Dlaczego tu tak wygląda?

– Ponieważ ludzie żyją po to, by pamiętać, i by o nich pamiętano. Człowiek bez przeszłości, bez własnej historii jest gorszy niż umarły. Jakby nigdy nie istniał.

Edgar przyglądał się Antoniowi od stóp do głów i oschłym tonem, który zupełnie do niego nie pasował, polecił mu, by zabrał się do roboty.

– W jaki sposób mogę tu odszukać moją przeszłość? – wymamrotał bezradnie Antonio.

– To ona rozpozna pana. Pan pozwoli?

Edgar nie czekał na odpowiedź. Chwycił go za dłoń i ugryzł w palec, po czym odczekał, aż trzy krople krwi opadną na wilgotną ziemię tuż pod wyrwaną z zawiasów bramą cmentarza. Po raz kolejny Tirnaïl rozpoznało historię Antonia i udzieliło odpowiedzi na jego pytania. Teren uniósł się i zafalował, zaczął stopniowo zmieniać topografię. O niedużo, ale akurat o tyle, ile było trzeba. Krzyże nieco się między sobą przetasowały, a kamienie nagrobne przesunęły o kilka metrów, wydając przy tym zgrzyty i trzaski. Krzewy, paprocie i bluszcze wycofały się nieśmiało po kilku sekundach pojawiła się przed nimi ścieżka.

Nie wypowiedziawszy ani słowa, ruszyli naprzód. Maszerowali przez

przeszło dwadzieścia minut, klucząc w labiryncie nagrobków, cyprysów, mauzoleów i kamiennych aniołów. Nawet się za siebie nie oglądali, ale w pewnym momencie zmuszeni byli przystanąć. Drogę przecinał im czarny grobowiec, na jego tablicy naniesiono jedynie datę: 17 grudnia 1999 roku.

Antonio wyciągnął z kieszeni zegarek. Wskazówki nie poruszały się – w Tirnaïl było to zupełnie normalne, natomiast godzina dziesiąta ledwo prześwitywała na tarczy zegarka. Wiedział, że aby odgrzebać swoją historię, pozostało mu mniej niż pół godziny.

Edgar spojrział na niego znacząco, unosząc wąsy i brwi.

– Może się pan jeszcze wycofać. To, co znajdzie pan w środku grobowca, z pewnością nie przypadnie panu do gustu. Jeszcze nie jest za późno, żeby zmienić zamiar.

– I co? Teraz miałbym z tego wszystkiego zrezygnować? – Antonio wskazał na pokryty mchem, porostami i grzybem grobowiec, od którego dochodził drażniący nozdrza zapach. – Proszę mnie poinstruować, co mam robić dalej?

Edgar wspiął się po bocznych ścianach nagrobka i brudnymi od farby dłońmi zaczął zdrapywać zaschłe błoto. Również Antonio zabrał się do pracy i już wkrótce wspólnymi siłami udało im się usunąć warstwę ziemi. Otworzyli mogiłę i wpatrywali się w rozciągającą się pod nimi bezbrzeżną nicość. Od tego wypatrywania w ciemnościach rozboleły ich oczy i Antonio odruchowo odwrócił na chwilę spojrzenie, a malarz przewyciężył strach i odrazę i zanurzył rękę w mrocznej otchłani. Kiedy ją wyjął, trzymał w dłoni stary magnetofon. Podał go Antoniowi, pozostawiając mu przyjemność wydobycia kasety. Przyklejona na boku etykieta nosiła tę samą datę: 17 grudnia 1999 roku.

To musiał być ten dzień. Dzień, w którym jego życie zmieniło się na zawsze.

Struchlały Antoine przycisnął klawisz „Play”. Rozległy się chrzęsty i trzaski, potem przytłumił je szum porywistego wiatru. Antonio i Edgar spojrzeli po sobie, obaj wiedzieli, że tylko jedno pozostało im teraz do zrobienia.

– Nie ma pan wystarczająco dużo czasu, by wrócić do domu i w spokoju wysłuchać nagrania – powiedział Edgar.

– Co ze mną będzie?

Edgar pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia, Antoine. Nawet już nie pamiętam, dlaczego pan się tu znajduje. Czego pan naprawdę oczekuje? Czy chce pan odzyskać Genève?

Na dźwięk imienia dziewczyny Antonio poczuł ból w żołądku.

– Bo jeśli tak, to nie tu należy jej szukać – kontynuował Edgar.

– Ja szukam odpowiedzi. Szukam prawdy.

– Ile czasu musi jeszcze upłynąć, by zrozumiał pan, że nie istnieje nic bardziej mylącego od prawdy? Istnieje tylko to, w co wierzymy albo to, w co powinniśmy uwierzyć, bo tego chcą inni. I tyle.

– Nie tym razem. Mam dosyć wymyślonych historii i relatywizmu. Jeśli nie tu, to gdzie? Gdzie mogę dowiedzieć się, co się wydarzyło?

Edgar objął się rękoma.

– Chciałem tylko powiedzieć, że tu znajdzie pan jedynie jeden z punktów widzenia. Czasem to, czego szukamy jest o wiele bliżej, niż podejrzewamy.

Antonio udał, że nie słyszy i matowym głosem, niemal błagalnie zapytał:

– Nie zostawisz mnie tutaj, prawda?

– A niby dlaczego miałbym to zrobić? Przecież jestem u siebie w domu. – Uśmiechnął się melancholijnie. – A poza tym ja wiem, co odnalazłem i było to dokładnie to, czego szukałem. Jest pan odważnym człowiekiem, panie Antoine, nawet jeśli na pierwszy rzut oka nikt by się tego nie spodziewał... Może nawet pan sam by siebie o to nie podejrzewał. Ale Tirnaïl o tym wiedziało, w przeciwnym razie nie pozwoliłoby panu zejść tak daleko.

Antonio wbił w niego oczy i poczuł ogromną wdzięczność.

– Dziękuję – odparł wzruszony.

Edgar kiwnął głową, a potem podał mu rękę. Chwytając się jej jak ostatniej deski ratunku, ostatniego łącznika ze światem żywych, Antonio zanurzył się w mroki przeszłości.

17 grudnia 1999 roku

Leżał na brzuchu, ściskając w dłoniach magnetofon i przypominał sobie, jak w dzieciństwie z latarką pod kołdrą czytał książki o duchach. Teraz jednak nie był już dzieckiem i nie przebywał w bezpiecznych domowych pieleszach. Nad głową nie miał pościeli, ale wieko trumny, a w rękach ścisnął pogrzebaną historię. Jego własną historię.

W momencie, kiedy przycisnął „Play”, raz jeszcze sobie przypominał, dla kogo to robił. Po raz kolejny kasetę zaczęła trzeszczeć i brzęczeć.

„Robisz to dla Genève”, powiedział sam do siebie. „Dla Edgara, dla Santiago, dla pani Jacqueline, dla pana Peloquera, dla trzech Karaluchów, dla króla Jerzego III, dla księżnej Huldrekat, dla więźniów Nechnabel, dla umarłych w Eudorii i dla wszystkich żyjących poza czasem w Tirnail. Robisz to dla swojego ojca i swojej matki”.

Wziął głęboki oddech i poczuł się gotowy. Serce biło mu szybciej niż zwykle, ale był gotowy.

Wśród marmurowych ścian starego grobowca rozbrzmiał czyjś tajemniczy głos.

Był to głos Kolekcjonera.

– 17 grudnia 1999 roku. Jest pan rzadkim przypadkiem, choć muszę przyznać nie jedynym, panie Fonte. Również inni utracili na własną prośbę coś, czego nie pragnęli zatrzymać.

Z kasety słyhać było echo czyichś kroków. Zaczęła ćmić go głowa, ale na początku ból był na tyle słaby, że nie zwrócił na niego uwagi.

– Nielatwe musiał mieć pan życie, skoro jest pan gotów o nim zapomnieć. Nie ukrywam, że bardzo ciekawi mnie pańska historia i z przyjemnością jej wysłucham.

– Moja historia?

Skulony w jamie grobowca Antonio wzdrygnął się na dźwięk własnego głosu. Dziwnie było słyszeć słowa, których się nigdy nie wypowiedziało, w każdym razie on tego nie pamiętał.

– Oto historia mojego życia. Urodziłem się i wychowałem w Mieście Syren. Mój ojciec opuścił mnie i matkę, kiedy byłem mały, a potem, kiedy dorosłem, to ja opuściłem moją matkę. Wyjechałem do słynącej z nieboszczyków małej

miejsowości na północy Europy. Zostałem tam tanatocosmetologiem, ożeniłem się i rozwiódłem. Umarła moja matka, a ja po jej śmierci wróciłem do naszego rodzinnego mieszkania i wkrótce potem zostałem opowiadaczem historii... To znaczy tym, kim prawdopodobnie nieświadomie byłem przez całe życie.

Tutaj przerwał wywód.

– *A więc tak to wszystko przebiegało?*

– *Z grubsza rzecz ujmując. A przynajmniej tak chciałem to zapamiętać. I to jest to, co będę pamiętał po wyjściu z tej wieży. Banalną historię bez detali i szczegółów. Tak jest łatwiej, nie sądzi pan?*

– *Bez wątpienia.*

Między Kolekcjonerem a Antoniem ponownie zapadło milczenie. Z początku Kolekcjoner czekał, aż Antonio odezwie się pierwszy, ale ten nie miał odwagi mówić dalej, więc go trochę ponaglił.

– *Jeśli to właśnie chce pan zapamiętać, tak się stanie. Po opuszczeniu tej wieży dokładnie będzie pan tym, kim zechce. Ni mniej, ni więcej. Ale teraz prosiłbym, aby opowiedział mi pan swoje życie, a nie swoją historię. Wiem, że nie będzie to dla pana przyjemne, w przeciwnym razie by tu pana nie było. Muszę się jednak dowiedzieć, czego chciałby się pan pozbyć na zawsze. Ostrzegam, że pana wspomnienia zostaną pogrzebane w zakątku odleglejszym niż miejsce wschodu słońca, będą gnily na niepoświęconym cmentarzu, a ich ponowne odgrzebanie stanie się właściwie niemożliwe.*

– *Tego właśnie pragnę.*

Głos Antonia na kasecie zabrzmiał zdecydowanie, jakby mu się bardzo spieszyło. Właściwie nawet go nie interesowało, jaki los czekał jego wspomnienia.

– *Teraz proszę mówić. Nagranie zarejestruje wszystko. Po zakończeniu umieścimy je na wadze i w oparciu o wynik ustalimy, co należy się panu w zamian.*

Ponurą niszę wypełniła grobowa cisza. Ból głowy stawał się coraz silniejszy i pisarz nie mógł już go ignorować, również dlatego, że wiedział, skąd się brał. Swego czasu wyparte z umysłu słowa i wspomnienia, teraz jedno po drugim powracały do jego wnętrza i próbowały ponownie połączyć się z myślami, żłobiły je w poszukiwaniu korzeni, z których wyrosły.

W końcu martwy spokój został przerwany i Antonio mógł na nowo przeżyć życie, które utracił.

Czas radości, szeptów i milczenia

– *Moi rodzice poznali się pewnego deszczowego dnia, na początku lat sześćdziesiątych. Matce na imię było Ester. Była młoda i pewna siebie, zapowiadała się na utalentowaną tancerkę. Mój ojciec, o imieniu Antonio, był młody i nic więcej; to mu wystarczało. Któregoś wieczoru zobaczył matkę tańczącą w teatrze i zakochał się w niej. Jako artysta był wrażliwy na piękno i mama od razu wpadła mu w oko. Twierdził, że nie miał się czego wstydzić, ponieważ rzeczy piękne zostały stworzone do kochania. Poczekał, aż wyszła z garderoby. Było akurat dziesięć po dziesiątej, kiedy zobaczył, że opuszcza teatr i wchodzi do przeciwległego baru na kawę. Zamówił herbatę i nie pytając nawet o pozwolenie, przysiadł się do jej stolika. Zadał jej tylko jedno jedyne pytanie: Czy wiedziała panienka, że w roku 1832 Maria Taglioni jako pierwsza wykonała całe przedstawienie Sylfidy wyłącznie na czubkach palców? Ester odpowiedziała, że wiedziała, i że w tym przedstawieniu po raz pierwszy pojawiła się również krótka baletowa spódniczka. Potem wybuchnęła śmiechem. Moja matka miała bardzo zaraźliwy śmiech. Była kobietą spektaklu, uwielbiała być w centrum zainteresowania, a ten nowopoznany mężczyzna bardzo ją bawił. On pokazał jej portret, który narysował, kiedy tańczyła. Szkic bardzo jej się spodobał. Artyści od zawsze się nawzajem przyciągają i zwykli śmiertelnicy nigdy nie będą w stanie go zrozumieć.*

Tak więc tego deszczowego wieczoru moi rodzice się w sobie zakochali. Tę historię sami mi opowiedzieli i zawsze uważałem, że jest idealna. Mój ojciec nie znosił ustabilizowanego trybu życia i wykonywał jakieś dorywcze prace, ale potem mama zaszła w ciążę i wszystko się zmieniło. Ja wszystko zmieniłem. Pobrali się i wprowadzili do mieszkania mojego dziadka ze strony matki, mieszczącego się na parterze kamienicy w dzielnicy Quartieri Spagnoli. W ciąży matka nie mogła tańczyć i ojciec dopiero wtedy przekonał się, że dorosłość istnieje naprawdę, że nie jest to tylko mit albo bajka dla niegrzecznych dzieci, takich jak on. Na szczęście nie był zarozumiały i gotów przyjąć każdy rodzaj pracy. A więc kiedy na horyzoncie pojawił się jego dawny licealny kolega, z początku wydało się to szczęśliwym zrzędzeniem losu. Gualtiero Conte był przedsiębiorcą o arystokratycznych korzeniach i akurat odziedziczył dobrze prosperujący rodzinny interes – galerię sztuki położoną przy ulicy Corso Umberto. Szukał kogoś, komu mógłby zlecić

malowanie sentymentalnych widoczków z Wezuwiuszem w tle, portretów zmarłych i tym podobnych rzeczy. Obrazów, do których nie trzeba było szczególnego natchnienia, wystarczyło mieć wprawną rękę, a tego mojemu ojcu nie brakowało. Malował od zawsze i marzył, by któregoś dnia otworzyć własną galerię sztuki. Niestety, w przeciwieństwie do mamy nie miał zmysłu praktycznego, ale co by nie było, wreszcie zabrał się do roboty.

Kiedy przyszedłem na świat, ojciec postanowił nadać mi swoje imię. Prawdopodobnie moi rodzice sprzeczali się o to przez całą ciążę. Potem tata bez wiedzy matki zarejestrował mnie w urzędzie pod nazwiskiem Antonio Maria Fonte. Ona tak się na niego wkurzyła, że przez przeszło rok nie prała i nie prasowała mu ubrań. Pierwsze sześć lat mojego życia minęło jak w bajce. Wszystko układało się wspaniale albo przynajmniej mnie jako dziecku tak się wydawało. Oczywiście nie umiałem wtedy dostrzec cienia niezadowolenia w uśmiechu mojej matki, zmuszonej wykonywać zawód kelnerki w portowym hotelu, ani narastającego obłędu w oczach mojego ojca, który całymi godzinami przebywał zamknięty w swoim gabinecie i malował bez wytchnienia. Ja dotrzymywałem mu towarzystwa, od czasu do czasu trochę się ze mną bawił. Zawsze mówił, żebym zamykał drzwi, inaczej uciekłoby mu natchnienie. Lubilem przebywać w gabinecie. Tata opowiadał mi różne historie i pozwalał pisać po ścianach, a sam oddawał się pracy. Oprócz banalnych zleceń Gualtiera Conte próbował malować w tajemnicy coś oryginalnego, coś swojego. Pamiętam, że w tamtym czasie nasze mieszkanie zastawione było malarskimi płótnami i, że mama czasami tańczyła pośród tych obrazów. Był to czas radości.

Antonio był tak zaszuchany w odtwarzaną w magnetofonie historię, że zapomniał, iż słucha o swoim życiu, leżąc w wilgotnym grobowcu.

– Kiedy Gualtiero Conte zaproponował mojemu ojcu przystąpienie do spółki, on uznał to za zaszczyt. Ojciec taki właśnie był. Z natury był wielkim entuzjastą, rzucił się we wszystko bez zastanowienia. Matka błagała go ostrożność, ale one jak zwykle zrobił, co uważał. Zapewniał nas, że teraz wszystko się zmieni. By ufetować narodziny spółki, zorganizowali bankiet w domu pana Conte. Mieszkał w Willi Ebe, na samym szczycie wzgórza Monte Echia.

Pamiętam, że kiedy tam szliśmy, ojciec opowiedział mi, że była to willa bogini młodości, i że jeśli będę grzeczny, to zachowam wieczną młodość. Gualtiero Conte chciał, żebym nazywał go wujkiem, ponieważ był moim chrzestnym i twierdził, że kocha mojego ojca jak rodzzonego brata. Ja zawsze trochę się go bałem. Jego, tego domu i całej rodziny. Wtedy po raz pierwszy i jedyny spotkałem również jego żonę i dzieci. Ona była kobietą przepiękną, ale niewypowiedzianie smutną. Również dzieci sprawiały wrażenie przygnębionych. Milczące i blade, nigdy się nie bawiły. Dziewczynka trochę ode mnie starsza i dwójka bliźniaków mniej więcej w moim wieku. Byłem zaskoczony ich wyglądem i manierami. Mieli bardzo czyste paznokcie. Ja od razu poplamilem sosem niebieską koszulę, którą

mama kupiła mi specjalnie na tę okazję, i przez całe popołudnie jak oszalały gonilem za ich kotem. Marzyłem wtedy, żeby mieć własnego kotka.

Tamtego wiosennego wieczoru – musiał to być mniej więcej rok 1970, ja miałem sześć lat i nie byłem grzeczny, dlatego się później zestarzałem – powstała „Conte & Fonte. Spółka Artystyczna”. Dla mojego ojca był to początek końca. Nawet jeśli wiele rzeczy rozumiałem dopiero po latach, z kłótni z mamą wynikało, że ojciec czuł się wykorzystywany i niedowartościowany. Kilka razy prosił Gaultiera o możliwość wyeksponowania swoich prac autorskich, ale pan Conte twierdził, że to za wcześnie, że rynek nie był gotowy na ich przyjęcie, i że prace mojego ojca nie były wystarczająco komercyjne.

Któregoś dnia w czasie obiadu do drzwi naszego mieszkania zapukali umundurowani mężczyźni. Przesłuchiwali ojca przez całe popołudnie. Coś nie zgadzało się w działalności spółki. Ojciec po powrocie spojrzął tylko na matkę i zamknął się w swojej pracowni, mi nie pozwolił wchodzić. Nastal wtedy czas szeptów, a po nim – czas milczenia. Moi rodzice zaczęli mówić ściszym głosem, ponieważ nie chcieli, żebym wiedział, co się stało. Ale ja i tak nie byłbym w stanie ich zrozumieć... Używali zbyt skomplikowanych słów: nadużycia finansowe, przywłaszczenie, nielegalne inwestycje i długi. Całe góry długów.

Dopiero wiele lat później dowiedziałem się o samobójstwie pani Conte i skojarzyłem je z pewnym szczególnym zdarzeniem. Któregoś wieczora zadzwonił telefon, ojca nie było w domu. Mama podniosła słuchawkę, a po chwili wybuchnęła płaczem. Potem wyszła i wróciła po pięciu minutach z paczką papierosów w dłoni. Tamtego wieczora zapaliła po raz pierwszy. Oczywiście nie powiedzieli mi o pani Conte. Ale o trójce dzieci... Swego czasu na ich temat huczało w całym mieście. Zabił dzieci... Otruł je. Kiedy zawiadomiona przez pokojówkę policja wtargnęła do Willi Ebe, zastała cały dom zaciemniony. Pan Conte i trójka nieżywych dzieci siedzieli przy stole. On pił z kieliszka ich krew. Wyznał, że nie wie, jak do tego doszło, że nie jest żadnym mordercą i chce odpokutować, pijąc zatrutą krew swoich dzieci. Myślę, że kiedy dotarło do niego, co zrobił, sam chciał się ukarać. Uratowali go w ostatniej chwili, ale dla dzieci było już za późno. Aresztowali go i z wyroku sądu zamknęli w szpitalu psychiatrycznym. Oczywiście spółka zbankrutowała. Prasa okrzyknęła Gaultiera Conte „hrabią-wampirem”, a dla mojego ojca został on „wampirem Vladimirem”. Ojciec miał rację, twierdząc, że wszystko się zmieni. Tyle tylko, że nie po jego myśli.

Tu nastąpiła krótka przerwa, leżący w grobowcu Antonio wziął głęboki oddech.

– Tę historię opowiedziała mi pani Viola, sprzątaczką z naszej kamienicy. Kiedy mama się o tym dowiedziała, zrobiła jej awanturę, doprowadzając ją do łez. Przez okrągły rok śniły mi się koszmary. W ciemnościach wyobrażałem sobie trójkę zamordowanych dzieci. Stało się to moją obsesją i mama przez kilka miesięcy co

niedzielę prowadziła mnie na karuzelę, żebym zapomniał. Ale, jak pan widzi, moja pamięć jest szczegółowa i niczym niezmacona. Znałem tę kobietę i dzieci, nazywałem Gualtiera Conte wujkiem i...

– Nie musi czuć się pan winny, panie Fonte. Niektórzy ludzie wybierają drogę zapomnienia z o wiele błahszych powodów – przerwał mu głos Kolekcjonera.

– Czy ma pan może ochotę napić się wody?

Rozległ się odgłos napełnianej i pospiesznie opróżnianej szklanki.

– Jak już powiedziałem, po czasie szeptów nadszedł czas milczenia. Mój ojciec zabarykadował się w swojej pracowni. Nie pozwalał mi do siebie wchodzić. Wymykał się tylko pod osłoną nocy. Często nie wiedzieliśmy, gdzie się podziewał, a kiedy późnym rankiem wracał do domu, strasznie cuchnął. Bywały też dobre dni, dni kiedy nie pił, a wtedy mama organizowała wycieczki i obiady, jednak nic nie było już takie jak przedtem. Mama nie śmiała się tak serdecznie jak kiedyś, coś w niej pękło.

Miałem osiem lat tej nocy, kiedy po raz kolejny wszystko się zmieniło, i to znowu z mojej winy. Rodzice pokłócili się i ojciec zachował się jak zwykle „dojrzałe” – po prostu poszedł sobie z domu. Ja wyszedłem przez okno i go śledziłem. Minęliśmy Quartieri, przeszliśmy obok Willi Ebe. Zatrzymał się, żeby nawymyślać wampirowi i poszedł do baru w Borgo Marinari. Nie miałem odwagi pójść za nim. Czekałem na zewnątrz. Przycupnąłem na krawężniku, a w pewnym momencie przy moim boku usiadł ubrany na czarno mężczyzna. Spytał, co tam robię i dlaczego jestem taki smutny. Normalnie nie wolno mi było zadawać się z nieznanymi, ale czułem się bardzo samotny. Odpowiedziałem, że pilnuję, aby ojcu nie przydarzyło się nic złego. Spytał, co mu dolega. Powiedziałem, że stracił pracę i natchnienie, i że postradał zmysły – jak mawiała mama; że się po prostu pogubił. Pamiętam, że mężczyzna uśmiechnął się i kazał mi go zawołać, ponieważ miał dla niego idealną propozycję pracy. Wszedłem do baru i przywołałem ojca. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy. Wyglądał, jakby nagle zrozumiał, kim był. Poczulem jego upokorzenie. Obraz mojego pijanego ojca w towarzystwie prostytutek i przemytników był dla mnie niczym w porównaniu z tym, jak on poczuł się na mój widok.

– Co zaszło między pana ojcem a tym człowiekiem?

– Rozmawiali. Mężczyzna odprowadził nas kawałek do domu. Niewiele z tego rozumiałem. Mój ojciec był pijany, ja byłem mały, ten człowiek opowiadał o jakichś dziwnych rzeczach. Ale, jak już panu powiedziałem, tego dnia wszystko zmieniło się po raz kolejny. Któregoś ranka ojciec wyszedł ze swojej pracowni i powiedział, że jest gotów podjąć nową pracę. Matka odzyskała nadzieję, ciągle jeszcze w niego wierzyła. Od czasu gdy ten tajemniczy człowiek dał mu zatrudnienie, ojciec przez kilka miesięcy zajmował się rzeczami, których ani ja, ani matka nie pojmowaliśmy. Spędzał czas, obserwując i śledząc ludzi, zapisując

szczegóły w czarnym notesiku. Oznajmił mamie, że pracuje jako detektyw, ale mi powiedział prawdę – stał się złodziejem zapomnianych historii. Oczywiście nie miałem pojęcia, co to oznacza, żaden z ojców moich kolegów nie wykonywał takiego zawodu.

Tak więc poprosiłem go, żeby kiedyś zabrał mnie ze sobą... Pamiętam, że byłem bardzo przejęty – nigdy w życiu nie widziałem złodzieja utraconych historii w akcji. Poszliśmy razem aż do portu, gdzie spotkaliśmy starego rybaka, który nie umiał żyć z dala od morza. Mieszkał na splachetku plaży w pobliżu mola Beverello w dziwnym domku, skleconym bez zezwolenia z fragmentów starych łodzi. Na łasce wiatru i morskiej soli. Nie pamiętam, jak było mu na imię, ale zapamiętałem nazwę miejscowości, z której pochodził. Santiago.

Antonio na chwilę wyłączył magnetofon. Oblany zimnym potem, oddychał z trudem. Zaczął walić pięściami w marmurowe ściany grobowca i krzyzcze zduszony głosem: „Nie, nie, nie...!”

Ścisnął głowę dłońmi, wołałby ją sobie oderwać, wyrwać włosy i wyłupać oczy, zamiast zacząć powoli akceptować prawdę na temat siebie i własnego ojca, na temat hrabiego Vladimira i całego Tirnaïl. Kilkakrotnie wciągał i wypuszczał powietrze. Jeśli dał radę do tej pory, da radę do końca – pomyślał. Dalej, naprzód – zaordynował sobie samemu. – Dalej, naprzód!

Nacisnął klawisz. Najpierw rozległ się melodyjny, kpiarski głos Kolekcjonera:

– Na miłość boską, co to właściwie znaczy być złodziejem zapomnianych historii?

– Nie wie pan? Oznacza uczynić niewidzialnym coś, co już i tak można było ledwie dostrzec. Mój ojciec przedstawił się jako dziennikarz. Powiedział staremu rybakowi, że chciałby przeprowadzić z nim wywiad, ponieważ przygotowuje materiał na temat bezdomnych. Nie pamiętam całej jego historii. Wiem, że był weteranem wojny domowej i pod jej koniec sprzedał dom i owce, żeby kupić kuter o nazwie „Jacqueline”. Chciał wymazać z pamięci odór wojny i rozkładających się ciał, i zastąpić go zapachem morza. Na pokładzie „Jacqueline” przepłynął Gibraltar i Morze Śródziemne. Kiedy dotarł do naszej zatoki, nie miał zamiaru na stałe się tu zatrzymać, ale niestety spotkał go sztorm i jego „Jacqueline” zatonała. Kochał tę łódź tak jak mężczyzna kocha kobietę i postanowił osiedlić się w pobliżu jej grobu. Zanim odeszliśmy, podarował mi łódeczkę z papieru i uśmiechnął się w sposób, którego nigdy nie zapomnę. Kiedy się oddaliliśmy, spytałem ojca, czy ukradł jego historię. Odpowiedział, że tak. Niedługo świat miał o nim zapomnieć, a on miał zapomnieć swoją historię. Powiedziałem, że to niesprawiedliwe. Przyznał mi rację, ale zapewnił, że te wszystkie zagubione sprawy, przedmioty i opowieści nigdy nie przepadają do końca.

– To prawda.

– *Potem przyszła kolej na zwariowanego króla. Mieszkał na naszej uliczce i był nauczycielem, uczył historii Anglii. Stateczny i ogólnie poważany. Któregoś dnia policja zatrzymała go na ulicy. Był pijany i zupełnie goły, miał jedynie papierową koronę na głowie. Przymknęli go. Mój ojciec nigdy się nim nie interesował, ale kiedy dowiedział się o całym tym zdarzeniu, poszedł go odwiedzić, a ja poszedłem razem z nim. Został królem szaleńców, jego królestwem był dom wariatów, a poddanymi schizofrenicy, paranoicy i cierpiący na chorobę dwubiegunową. Trudno było z nim rozmawiać i przekonać, by opowiedział nam swoją historię. Robił dużo zamieszania, śmiał się z wszystkiego i z wszystkich, przeszkadzał w pracy pielęgniarkom i pozwalał sobie na niewybredne komentarze. Potem ojciec spytał, co stało się z jego koroną, ponieważ co to za król bez korony, i tak dalej. Mężczyzna wybałuszył oczy i się na niego rzucił. Dali mu środki uspokajające i zabrali do izolatki. Ale ojciec był uparty i wrócił następnego dnia. Zrobił koronę z papieru i podarował ją mężczyźnie. Król podziękował, ale nie mógł przyjąć daru, ponieważ korona nie była prawdziwa. Prawdziwą koronę mogła mu podarować jedynie jego córeczka z okazji Dnia Ojca, jak co roku. Potem lekarze wyjaśnili ojcu, że córeczka szaleńca zginęła pod kołami samochodu, przejechana przez jakiegoś pirata drogowego pewnego ranka, gdy szła do szkoły.*

Byłem przerażony i tata zabrał mnie do domu. Po raz ostatni pomogłem mu, kiedy ukradliśmy historię pani Violi, naszej sprzątaczkii. Moja matka uważała ją jedynie za starą prostą kobiecinę, brzydką i wścibską. Ale ja i tata ją lubiliśmy. Pewnego dnia eksmitowano ją z mieszkania, ponieważ okazało się, że opanowały je koty. Wiele z nich było niedożywionych, chorych, a ona nie dawała rady zająć się nimi wszystkimi, choć naprawdę bardzo je kochała, ponieważ stanowiły jej rodzinę. Tak więc pani Viola straciła dach nad głową i była zupełnie sama. U jej boku została jedynie piękna kotka syjamska. Nazywała się Duchessa. W dzieciństwie bardzo często się z nią bawiłem, ale potem, kiedy ukradliśmy jej historię, pani Viola i Duchessa przepadły bez wieści.

– *Czy pan naprawdę wierzy, że ojciec był złodziejem zagubionych historii?*

– *Kiedy jest się dzieckiem, wierzy się we wszystko... zwłaszcza rodzicom.*

– *Czy płacono mu za to, co robił?*

– *Tak, i nawet bardzo dobrze.*

– *Czy pańska matka nigdy nie nabrała podejrzeń?*

– *Mama cały czas suszyła mu o to głowę, ale on coraz częściej miewał napady wściekłości, krzyczał, żeby zostawiła go w spokoju, upierał się, że wykonuje ważną pracę. Po zniknięciu pani Violi ojciec nigdy mnie już ze sobą nie zabierał. Stawał się coraz bardziej odległy i obcy, zaczął zamykać się w pracowni. Moja matka była bardzo przygnębiona, a w jej spojrzeniu dostrzegałem nowe, bardziej niepokojące uczucie – zrezygnowanie. Myślę, że właśnie wtedy przestała go kochać albo przynajmniej próbowała siebie o tym przekonać, żeby już więcej nie cierpieć.*

Któregoś dnia ojciec przyjął zlecenie w delegacji. Odprowadziłem go na stację i widziałem, jak odjeżdża z peronu siódmego do Wenecji – miasta masek i złudzeń. Było lato 1974 roku. Nie zobaczyłem go przez dwa długie lata.

Czas historii, śmierci i powrotów

– *Był rok 1976, krótko przed Bożym Narodzeniem. Już dawno przestałem go szukać i wyglądać jego powrotu. W nocy obudziły mnie jakieś odgłosy. Wstałem z łóżka i zorientowałem się, że w jego pracowni – zamkniętej od czasu wyjazdu – ktoś przebywał. Ojciec wrócił! Ale nie po to, żeby zostać i bynajmniej nie dla mnie, ale z powodu swoich historii. Tamtej nocy zrozumiałem dwie ważne rzeczy. Po pierwsze, że mój ojciec ma poważne problemy, a po drugie, że w tej sytuacji lepiej było go utracić. Czy zdaje pan sobie sprawę, jak strasznie jest myśleć coś takiego o własnym ojcu? Kiedy zobaczyłem, że ściany pracowni były pokryte napisami i rysunkami, całymi historiami, o które tak zabiegał – raz na zawsze przestałem mu wierzyć. Uznałem, że całe to delirium brało się z jego niezrównoważonej psychiki i wygnałem go z domu. On za wszelką cenę chciał przekazać mi klucze od pracowni, chciał, bym wracał tam od czasu do czasu i czytał te opowiadania, żeby nigdy nie uległy zapomnieniu. Kiedy sobie poszedł, zamknąłem pracownię i ukryłem klucz w dzbanku od herbaty, na szafce w kuchni.*

– *Dlaczego go pan nie wyrzucił?*

– *Do dziś się nad tym zastanawiam. Być może podświadomie chciałem strzec jego sekretu. W każdym razie tamtej nocy skończyło się moje dzieciństwo, a ja zrozumiałem, że potrzebuję jakiegoś wentyla bezpieczeństwa, ucieczki od kłamstw, rozczarowań i niedotrzymywanych obietnic. Tamtej nocy postanowiłem użyć siły wyobraźni. Przez przypadek trafiłem na zeszyt i ołówek, i napisałem pierwsze opowiadanie. O moim ojcu, o złodzieju z mgły. Wtedy zaczął się dla mnie czas opowiadania historii. Czy jest pan ciekaw, co zrobiłem później?*

– *Niepomiernie. Muszę przyznać, że ma pan niesamowitą pamięć.*

– *Mijały lata. Miałem niewielu przyjaciół. Bardzo dużo czytałem, pisałem opowiadania, których jednak nie pokazywałem nikomu, nawet matce. Wykonywałem jakieś dorywcze prace, żeby ulżyć mamie, zapłacić za podręczniki, pójść raz po raz do kina albo na pizzę. Nie zdawałem na studia, ponieważ nie wiedziałem, jaki wybrać kierunek. Moją prawdziwą pasją stali się ludzie i ich historie. Mimo że nigdy nie byłem zbyt towarzyski, w owym czasie przepadałem za ludźmi – pod warunkiem, że nie musiałem z nimi rozmawiać – i wyćwiczyłem się w wychwytywaniu szczegółów. Podkradałem im je, wie pan. Nosilem przy sobie notesik, w którym notowałem detale, rysowałem twarze ludzi i wyobrażałem sobie*

ich historii. Pracowałem w barach, hotelach, na placach zabaw. Nie miało znaczenia, co i gdzie robiłem, wystarczyło mi, że mogłem obserwować ludzi.

Kiedy miałem dwadzieścia sześć lat, któregoś letniego dnia powiedziałem mamie, że wychodzę po papierosy. Zawsze kiedy tak mówiłem, wiedziała, że nie ma na mnie czekać z kolacją. Poszedłem na dworzec główny... Spędziłem tam dużo czasu, przez wiele godzin przyglądałem się podróżnym. Było bardzo gorąco i poczułem nagłą potrzebę wyruszenia na północ. Nigdy w życiu donikąd nie podróżowałem i nie mam pojęcia, co mi odbiło tamtego popołudnia. Usłyszałem z megafonu zapowiedź pociągu odjeżdżającego do Wenecji, z peronu siódmego. Wstałem, kupiłem bilet i pojechałem. Ot tak, od ręki! Rozumie pan? To było zupełnie nie w moim stylu! Zostawiłem samochód zaparkowany przed dworcem... Ciekawe, co się z nim stało? Mojego starego, dobrego fiata. Później już nigdy go nie odnalazłem.

– Dlaczego zdecydował się pan wyjechać? W poszukiwaniu ojca?

– Nie, absolutnie nie. Chciałem tylko uciec. W Wenecji spędziłem kilka dni. Wystarczyło, żeby przekonać się, że ojciec miał rację, twierdząc, że to miasto złudzeń. Zgubiłem się pośród zaułków, które sprawiały wrażenie, jakby pojawiały się znikąd. Wenecja nie była wystarczająco oddalona na północ, jak na mój gust. Wsiadłem więc do pociągu jadącego do Genewy. Odbywało się tam właśnie Święto Wody... Koncerty, spektakle, dużo jedzenia i alkoholu, fajerwerki...

Głos Antonia na kasecie wydawał się teraz bardziej przytłumiony. Pisarz wstrzymał dech, wiedział, co za chwilę nastąpi. Miał właśnie spotkać Genève. Za każdym razem wspomnienie tej nocy poruszało nim tak samo jak wtedy, kiedy po raz pierwszy ujrzał jej oczy. Antonio przypominał sobie, jak cudownie było być młodym; zatęsknił za tamtym czasem. Życie zdawało się pełne możliwości, a świat kusił i stał otworem. Genève była jego częścią.

– Był 10 sierpnia 1990 roku. Przechadzałem się brzegiem Rodanu, podjadałem słodycze kupione na straganach i przystawałem, obserwując ulicznych artystów... Dostrzegłem pewną dziewczynę. Grała na harfie szklanej i kiedy ktoś wrzucił jej monetę dziękowała z uśmiechem.

– Ile jej pan wrzucił monet?

– Niezbyt wiele... Tylko dwadzieścia siedem. Kiedy ją zobaczyłem, poczułem, że dotarłem do celu. Że spotkanie jej było moim przeznaczeniem, które właśnie się wypełniło. Miała w spojrzeniu coś, czego nigdy wcześniej u nikogo nie widziałem... a w życiu poznałem już wiele osób. Jej oczy zawierały w sobie cały wszechświat. Pomyślałem, że gdybym mógł go zgłębić, przestałbym już szukać nieskończoności gdziekolwiek indziej, w gestach i słowach innych ludzi. Ona by mi wystarczyła. Przeszedłem obok niej trzy razy. Rano, po południu i wieczorem. W końcu zwróciła na mnie uwagę.

– Po dwudziestu siedmiu monetach ja też bym pana zauważył.

– Zaczęliśmy rozmowę. Rozmawialiśmy o wszystkim, przez całą noc. Jedliśmy i piliśmy... i... Pamiętam karuzelę. Pamiętam, że wygrałem coś na strzelnicy i kazałem jej wybrać sobie nagrodę. Chciała koniecznie mały karabinek z nabojami, twierdziła, że może się przydać ulicznej artystce. I potem... Tak, to było wtedy... Spotkaliśmy starą niewidomą Cygankę z północy... Kazała zwracać się do siebie „Madame de Sang”... W zamian za kroplę krwi przepowiadała przeszłość.

– I co panu powiedziała?

– Czeka na ciebie sława i chwała, ale także wielka samotność. Pamiętam również, co powiedziała dziewczynie znad rzeki. Spotkacie się na końcu świata. Oboje się z niej śmialiśmy. Potem, kiedy podaliśmy jej dłonie na pożegnanie, stara dotknęła moich palców i zeszywniała. Wreszcie się uśmiechnęła, ale jakoś tak zagadkowo. W dniu, kiedy nałożysz mi na usta szminkę, wrócisz tam, gdzie wszystko się zaczęło – powiedziała. Nie przywiązałem wagi do tych słów, były bez sensu... Dopiero po latach zrozumiałem, co miała na myśli. Tamtej nocy nie liczyło się dla mnie nic, poza tą dziewczyną znad rzeki. Pamiętam sztuczne ognie. Pamiętam jej oczy. Wystarczyło kilka godzin i zakochałem się w podróżniczce, która przemierzyła całą Europę. Zazdrościłem jej siły i odwagi, pragnąłem razem z nią wyruszyć w świat.

– I zrobił to pan? Wyruszyliście razem?

– Nie. Powiedziała coś, co mnie powstrzymało... A mianowicie, że świat jest ogromny, a ludzie bardzo mali. Zasugerowała, żebym nigdy się nie zatrzymywał, z niczyjego powodu. Zrobiło to na mnie wrażenie. O świcie odprowadziła mnie na pociąg. Chciałem jej udowodnić, że jestem silny jak ona, że nie zatrzymuję się z niczyjego powodu. Miałem nadzieję, że wyruszy razem ze mną, ale tego nie zrobiła. Została na peronie do momentu, aż pociąg odjechał. Wszystko sobie tamtej nocy opowiedzieliśmy: przeróżne historie, przygody z podróży, obawy i niepokoje... Wszystko, oprócz tego, że chcielibyśmy spędzić ze sobą resztę życia, bo tak rzeczywiście czuliśmy, ale odnajdywanie się w rzeczywistości nie było mocną stroną żadnego z nas. Nie wiem, co mieliśmy wtedy w głowie... Może nadzieję, że jeszcze kiedyś się spotkamy, w jakiś równie magiczny sposób. Byliśmy szaleńcami, teraz jestem tego pewien. Jeśli mógłbym cofnąć czas, wysiadłbym z pociągu i całował ją bez końca... Albo przynajmniej spytał, jak jej na imię.

– Nie spytał pan nawet, jak jej na imię?

– Ona też mnie nie spytała. Już panu mówiłem. To były zbyt przyziemne sprawy, a my oboje byliśmy oderwani od rzeczywistości. Umieliśmy tylko marzyć.

– Tak więc kontynuował pan podróż na północ?

– Tak. Dowiedziałem się o miasteczku Natzwiller w departamencie Dolnego Renu w Alzacji. Miało najwyżej sześćset mieszkańców. Na jego przedmieściach znajdował się jedyny wzniesiony na terytorium Francji obóz koncentracyjny. Trzymano w nim więźniów politycznych, ofiary dekretu z 1941 roku, dekretu Nocy

i Mgły. W czasie wojny osoby te znikaly bez śladu jak cienie. Czy mówiłem już panu, że lubię historie o duchach? To miejsce wydało mi się idealne. Zimne, ponure, mgliste i pełne duchów.

– Ma pan naprawdę zaskakujące upodobania, panie Fonte.

– Tak pan sądzi? I proszę sobie wyobrazić, że zatrudniłem się w jedynym w całej miejscowości zakładzie pogrzebowym jako makijażysta nieboszczyków. Zajmowanie się nimi dawało mi satysfakcję, czułem się jakbym zwracał im pozory życia, uwieczniałem ich w sposób, w jaki chcieliby zostać zapamiętani. W 1994 roku poznałem pewną kobietę, bibliotekarkę o imieniu Marguerite. Ożeniłem się z nią. Nigdy nie zwróciłbym na nią uwagi, gdyby nie książki i... kolor jej oczu. Jedno było barwy rozłupywanych jesienią orzechów, drugie przypominało do złudzenia oczy tej dziewczyny z Genewy. Czasem myślę, że przez całe życie szukamy spojrzenia osoby, którą kochaliśmy w młodości.

Antonio nie był w stanie powstrzymać się od śmiechu na wspomnienie spotkanej w Balal kobiety, która domagała się pocałunku w zamian za rękopis. Wreszcie zrozumiał, dlaczego odniósł wrażenie, że skądś już znał jego smak. Kobietą o dwóch różnych kolorach oczu była jego Marguerite.

– Jeśli miałby pan okazję spotkać moją byłą żonę, usłyszałby pan to samo, co opowiadała swoim przyjaciółkom, a mianowicie, że potrafię kochać jak łasica w letargu. Nie mam pojęcia, jaki związek mają ze sobą łasica, miłość i letarg, ale ja przy tej kobiecie czułem się w pewnym sensie spełniony.

– Spełniony, panie Fonte? Chyba domyślam się, jaki może być związek między miłością a łasicą w letargu.

– Pan jest bardzo wnikliwą osobą, a ja jestem człowiekiem o niskich oczekiwaniach. Ale byłem spełniony, tak, usatysfakcjonowany, dla mnie było dobrze tak, jak było. Ale jej nie kochałem. Może uzna mnie pan za wariata, ale nie mogłem przestać myśleć o dziewczynie znad rzeki. Nie rozumiem, dlaczego... Na wszystkie sposoby starałem się o niej zapomnieć, ale mój umysł się na to nie godził. Wtedy zacząłem pisać dla niej powieść. W gruncie rzeczy zacząłem ją pisać dokładnie w momencie, kiedy wsiałem do pociągu w Genewie. Od tamtego czasu przez wiele lat wymyślałem na jej temat przeróżne historie. Czułem się wtedy bliżej niej.

– O czym była ta książka?

– O nas. O opowiadaczu historii i ulicznej artystce, którzy spotkali się gdzieś w środku Europy. Ona jest szalona, taka jak życie, prawdziwa bomba adrenaliny, nieposkromiona entuzjastka. Spędzają razem noc i rozstają się o świcie. Od tego momentu każde z nich wie swoje własne życie. On skazany na wegetację wśród wspomnień i upiórów z przeszłości, zamknięty w czterech ścianach rodzinnego mieszkania, ona – wolna, w podróży po świecie. A jednak nigdy nie przestają o sobie myśleć... Tak bardzo pragną się nawzajem, że za każdym razem, gdy

umierają i na nowo się rodzą, cudownym zrzędzeniem losu ciągle na siebie trafiają i stają się sobie coraz bliżsi. Jak gdyby to ponowne odnajdywanie się było głównym celem ich życia. Ta historia jest dla mnie bardzo ważna, nawet jeśli jest zagmatwana i pozbawiona zakończenia, ponieważ opowiada o niej. Napisałem w życiu wiele książek, ale Kryształowa Noc to moja pierwsza powieść. Myślę, że Marguerite postanowiła odejść, kiedy dowiedziała się o jej istnieniu.

– Jak do tego doszło?

– Wyjechałem na kilka dni do Włoch. Dostałem telefon od wujka Luciana, że mama nie żyje. Chorowała od półtora roku na raka płuc. Nic na ten temat nie wiedziałem. Ostatni raz widziałem ją w dniu mojego ślubu, przyjechała specjalnie na tę okazję do Natzwiller. Kiedy odjeżdżała, nawet jej nie podziękowałem. Myślę, że to nie w porządku... Każda matka na koniec życia powinna usłyszeć „dziękuję” od swojego dziecka, nie sądzi pan?

Po pogrzebie wróciłem do Natzwiller. Zastałem Marguerite w gabinecie, miała właśnie zamiar spalić Kryształową Noc. Udało mi się ją powstrzymać. Opróżniła szafy i spakowała walizki, gotowa mnie zostawić. Na odchodne rzuciła tylko: „To oczywiście, że nie jesteś w stanie mnie kochać, skoro tak bardzo kochasz ją”. Nie zrobiłem nic, żeby ją zatrzymać. Wkrótce znalazła sobie innego mężczyznę i po niespełna roku urodziła dziecko. Doszedłem do wniosku, że dalsze przebywanie w Natzwiller nie ma sensu. Nic mnie tam już nie trzymało, a jednak nie potrafiłem wyjechać. Czulem się jak przykuty łańcuchami, powstrzymywany przez jakąś niewidzialną siłę. Któregoś dnia do zakładu pogrzebowego przywieziono starą niewidomą kobietę, pozbawioną tożsamości. Znalaziono ją nieżywą na ulicy w Natzwiller. Kiedy robiłem jej makijaż przed wyruszeniem w ostatnią podróż... Kiedy malowałem jej szminką usta...

Głos na moment ucichł. Kolekcjoner skorzystał z okazji i pozwolił sobie na komentarz:

– Świat to miejsce magiczne dla tych, którzy potrafią odczytywać znaki.

– To prawda. Stara Cyganka z Genewy przepowiedziała mi, że w dniu, w którym nałożę jej na usta szminkę, wrócę tam, gdzie wszystko się zaczęło. I stało się tak, jak rzekła. Wróciłem. Przez te wszystkie lata – od dnia, w którym opuściłem matkę i rodzinny dom – odciąłem się od mojej przeszłości. W ten sposób także подарowany mi przez ojca klucz trafił do lamusa niepamięci, a razem z nim wszystkie ojcowe historie. Kiedy wróciłem do domu, drzwi od pracowni były zamknięte i nawet nie zwróciłem na nie uwagi. Nienawidziłem ojca i gdybym któregoś wieczoru nie zbił przypadkowo dzbanka do herbaty, z którego wypadł między innymi jego klucz, to by mnie dzisiaj u pana nie było. Ale dzbanek rozbił się na kawałki, a wśród rozrzuconych po podłodze odłamków i długopisów odnalazłem również sekret mojego taty.

– Dlaczego chce się pan teraz pozbyć tych wspomnień, panie Fonte?

– *Jestem pisarzem i wiem, jak konstruuje się powieść. Każda akcja wywołuje reakcję, każda przyczyna ma swój skutek. Nawet coś, co wydarzyło się trzydzieści lat wcześniej, może mieć wpływ na terażniejszość, w najbardziej nieoczekiwanym miejscu i czasie.*

– *Muszę zapomnieć, muszę pozbyć się wszystkich tych wspomnień, aby wyrzucić z pamięci coś, co zrobiłem... dwa dni temu...*

– *Co takiego zrobił pan dwa dni temu?*

Cisza. Wszechogarniająca cisza, przepelniona myślami ponurymi jak mrok grobowca.

– *Nie wyprzedzajmy faktów. Wszystko po kolei* – usłyszał swój własny głos na kasecie.

Czas złudzeń

– Miałem trzydzieści cztery lata. Zdecydowałem, że czas dorosnąć. Zakasałem rękawy, otworzyłem kartony, posprzątałem mieszkanie i wreszcie po latach tchnąłem w nie trochę życia. W końcu też – z przyczyn, których do tej pory nie umiałbym uzasadnić – zdecydowałem się podkraść jedną z zapomnianych historii mojego ojca. Tę o starym rybaku. Trochę ją przerobiłem, oczyściłem – tak samo jak wcześniej mieszkanie – i wysłałem do jakiegoś podrzędnego pisemka literackiego. Opublikowali ją. Poprosili o następne, a ja chętnie na to przystałem. Czy mogę napić się jeszcze trochę wody?

Z kasety dobiegło stukanie. Antonio zmienił pozycję, miał ścierpnięte łokcie. Skierował wzrok na pokrywę grobowca. Przycisnął magnetofon do piersi i przymknął powieki. Ogarnęło go ogromne zmęczenie, bolało go ciało i umysł, jakby faktycznie od nowa przeżywał całe swoje życie, od samego początku.

– Dziękuję panu. Jak już powiedziałem, pisemko było zupełnie nieznane. Jedno z tych, które zostawia się nieodpłatnie na siedzeniach w metrze, na ławkach w parku albo w poczekalniach u dentysty. Jednym słowem, we wszystkich miejscach uczęszczanych przez mojego ojca, poszukującego zapomnianych historii. Nie mam pojęcia od kiedy przebywał w mieście. Zeszłego roku, w ostatni dzień lata, dokładnie dziesięć po dziesiątej wieczorem, ktoś zapukał do moich drzwi. Poszedłem otworzyć i na progu zobaczyłem ojca. Nie patrzył na mnie. Stał, kołysząc się na boki i spytał, czy wiedziałem, że karaluch może przeżyć dziewięć dni bez głowy, zanim umrze z głodu.

Antonio błyskawicznie przycisnął klawisz „Stop” i zatrzymał strumień wspomnień. Musiał zastanowić się nad tym, co przed chwilą usłyszał. Jego ojciec naprawdę wrócił. Scena, którą przywołał w pamięci owej nocy w pociągu, była prawdziwa. Zresztą, jak wszystkie wspomnienia zebrane w Tirnail, ale teraz to, co usłyszał na własne uszy zmieniało postać rzeczy, ponieważ obrazy, które do tej pory wydawały mu się jedynie snem okazały się rzeczywistością. Wspomnienie stało się terażniejszością. Fakt, że swego czasu postanowił zapomnieć o tak ważnym zdarzeniu, przeraził go. Musiał mieć ku temu jakiś poważny powód i jakkolwiek by on był, napełniał Antonia niepokojem.

Chwycił się rękami za głowę. Próbował przegonić ten obraz, głośny dźwięk dzwonka u drzwi.

– To był mój ojciec! – powiedział donośnym głosem. – Czy wiedziałeś, że karaluch może przeżyć dziewięć dni bez głowy, zanim umrze z głodu? Czy wiedziałeś, że karaluch...

– *Karaluch może przeżyć dziewięć dni bez głowy, zanim umrze z głodu.*

Usłyszał własny głos z magnetofonu i z wrażenia aż podskoczył; widocznie bezwiednie ponownie przycisnął klawisz „Play”.

– *Dzięki temu go rozpoznałem. Wyglądał jak zjawa, ale zjawy nie opowiadają ciekawostek. Tylko mój ojciec mógł tak rozpocząć rozmowę po dwudziestu dwóch latach nieobecności.*

– *Przyjął go pan u siebie w domu?*

– *A co miałem zrobić? Był stary i chory, bardziej umysłowo niż fizycznie. Nie miał odwagi zwracać się do mnie po imieniu... Może dlatego, że było to również jego imię, które w końcu znienawidził. Nie umiał spojrzeć mi w oczy. Czasem dopiero po kilku godzinach udawało nam się na ułamek sekundy spotkać spojrzeniem. Wbijał wzrok w jeden punkt, bujał się na wszystkie strony, drżały mu ręce, darł na drobne kawałki serwetki i arkusze papieru. Ale kiedy miewał lepsze chwile, mówił z sensem... Zwracał się do mnie tonem o wiele bardziej ojcowskim niż kiedykolwiek wcześniej. Było oczywiste, że szukał mojego przebaczenia.*

– *Wprowadził się do pana?*

– *Nie. Wynajął sobie mieszkanie na wzgórzu, w okolicach Pizzofalcone, całkiem niedaleko. Raczej pokój niż mieszkanie, pomieszczenie bez okien, zagracone po brzegi jego szpargałami. Chyba nie chciał narzucać mi swojej obecności, ale zależało mu, żebyśmy spotykali się raz w tygodniu. Przychodził co piątek i pukał do drzwi dokładnie dziesięć po dziesiątej, nigdy minutę wcześniej ani minutę później.*

– *Miał zaburzenia obsesyjno-kompulsywne?*

– *Och, tak. Miał wiele zaburzeń. Powiedziałem panu, że kiedy poznał moją matkę, zegarek wskazywał dziesiątą dziesiątą. Zawsze powtarzał, że wtedy na chwilę czas się dla niego zatrzymał, a może raczej, że chciałby, żeby się zatrzymał i zredukował całe jego życie do tej jednej jedynej chwili, ponieważ potem wszystko zbyt szybko się potoczyło. Ja myślałem zawsze tak samo o moim spotkaniu z dziewczyną znad rzeki.*

– *Zarówno pan, jak i pański ojciec jesteście z pewnością bardzo specyficznymi indywidualnościami. Ale proszę, niech pan opowiada dalej. O czym rozmawialiście z ojcem?*

– *O historiach, oczywiście. A może to historie rozmawiały o nas, tak jak teraz ta historia opowiada o mnie. Najlepsze były chwile, kiedy czytałem mu o Genève...*

– *Genève?*

– *Właśnie tak postanowiłem nazwać dziewczynę znad rzeki. To ojciec zmusił*

mnie bym nadał jej jakieś imię. Wybrałem więc nazwę miasta, w którym ją poznałem. Wie pan, mojemu ojcu Genève bardzo przypadła do gustu. Odnalazł w niej podobieństwo do siebie – ona również była cały czas w ruchu i nigdy nie docierała do celu. Pomógł mi pisać jej historię, opowiadając różne anegdoty i sekrety znane tylko doświadczonym podróżnikom. Lubilem te chwile. Nigdy nie powiedział, co robił przez dwadzieścia dwa lata nieobecności, ale wyczuwałem, że kiedy podsuwał mi przygody Genève, w rzeczywistości mówił o sobie. Opowiadał mi zapomniane historie, zdarzenia, których doświadczył na własnej skórze, i które zebrał tak samo jak wtedy, kiedy byłem mały.

Antonio przerwał na chwilę, parsknął, wziął głęboki oddech i nerwowo się poruszył.

– Nie wiem, czy dam radę.

– Co ma pan na myśli?

– Uzna mnie pan za szaleńca...

– Jestem człowiekiem, który kolekcjonuje zagubione przedmioty i odsyła je do Królestwa Rzeczy Utraconych; mam wysoki próg tolerancji dla wszelkich form obłędu.

– Czy pan wierzy w cuda?

– Osobiście wolę czary.

– Może to jedno i to samo. W listopadzie zeszłego roku... Przepraszam... ale z trudem mi to przychodzi... Do tej pory nie mogę w to uwierzyć. Przyszedłem do pana, ponieważ uważam siebie za szaleńca.

– Proszę mówić dalej.

– W listopadzie zeszłego roku mieszkający nade mną państwo Palombo rozwiedli się i opuścili mieszkanie. Wprowadziła się tam nowa lokatorka... Była nią Genève.

Przez chwilę między Antoniem i Kolekcjonerem zapadło wymowne milczenie. Pisarz wypił kolejną szklankę wody i spytał, czy może wstać i rozprostować nogi. W wieży rozległo się echo jego kroków. Minęło kilka minut, a potem wrócił do przerwanej wątku z odległego kąta pomieszczenia.

– Poznałem ją pewnej nocy dziewięć lat wcześniej. Nic na jej temat nie wiedziałem, nie znałem nawet jej imienia, nie miałem jednak wątpliwości, że przez te dziewięć lat nieprzerwanie ją kochałem. Tak jak kocha się wyobrażenie lub miejsce, które odwiedziło się w młodości albo owoc o nieznanym smaku. Napisałem dla niej opowieść i tak intensywnie o niej marzyłem, że w końcu ją przywołałem.

Byłem akurat na klatce schodowej, kiedy usłyszałem trzaśnięcie drzwiami. Odwróciłem się i zobaczyłem dziewczynę z pofarbowanymi na zielono włosami, ubraną w sztuczne futro, kabaretki i buty na wysokim obcasie. Towarzyszył jej jakiś facet, wielki i niezbyt rozgarnięty, oboje byli podpici. On spytał, czy pojedą windą, ona odpowiedziała, że nie jest to konieczne. Zauważyła mnie tylko dlatego, że

zastawiałem im przejście. Spojrzała na mnie przez moment, który trwał całą wieczność, a po tem poszła dalej. Nigdy nie lubiłem alkoholu, ale jak tylko wszedłem do mieszkania, przeszukałem spiżarnię z nadzieją odnalezienia czegoś mocniejszego; chciałem otrząsnąć się z szoku. Przechyliłem butelkę starej whisky, ale natychmiast wyplułem ciecz. Przygotowałem sobie szklankę mleka i usadowiłem się w pobliżu przewodu wentylacyjnego. Był uszkodzony i słychać było przez niego nawet szepty dochodzące z piętra wyżej.

– To rzeczywiście nieprawdopodobna historia. Prawdziwe czary. Czy Genève rozpoznała pana?

– Nie, nigdy. Chyba po prostu o mnie zapomniała.

– Albo może to jednak nie była ta sama osoba.

– To była ona. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że dziewczyna, którą poznałem na nabrzeżu Rodanu i kobieta, która przeprowadziła się do mieszkania piętro wyżej, to jedna i ta sama osoba. Na ręce miała wytatuowaną ważkę. Co prawda dziewczyna znad rzeki nie posiadała tatuażu, ale pamiętam dokładnie, że bała się tych owadów, cierpiała na jakąś fobię. Następna sprawa. Dziewczyna znad rzeki kochała nokturny i również nowa sąsiadka co wieczór wygrywała je na pianinie. Poza tym była ogromnie ciekawa świata, uwielbiała podróże i planowała wybrać się latem do Cabo da Roca. To najbardziej oddalony na zachód przylądek Europy, prawdziwy koniec świata... Poza tym ten jej francuski akcent... Mimo że mówiła płynnie po włosku, nie była w stanie go ukryć. Szczególnie, kiedy była pijana i mówiła podniesionym tonem. Niestety, przez większość czasu była pijana.

– Czy udało się panu dowiedzieć, jak było jej na imię?

– Po raz kolejny nie. Ale nie z mojej winy. Trudno było nawiązać z nią kontakt, zachowywała się, jakby mnie nie zносиła. Miała tyle imion, ilu mężczyzn przyprowadzała sobie do domu, wiedziałem, że z żadnym z nich nie była sobą. Jeszcze bardziej niż ja bała się ludzi. Spytałem dozorcę, pana Nicotianę, czy wiedział cokolwiek na jej temat. Okazało się, że mieszkanie zostało wynajęte przez pewnego mężczyznę o nazwisku Poitier, który pojawił się pewnego dnia razem z człowiekiem z biura nieruchomości. Ona je od niego podnajmowała, ale miała pozostać anonimowa, on za nią ręczył. Spytałem Nicotianę, czy to zgodne z prawem, a on skwitował to stwierdzeniem, że w naszym mieście nic nie jest zgodne z prawem. Oczywiście od dni, kiedy ponownie ją zobaczyłem, jeszcze bardziej zawładnęła moimi myślami. Spędzałem całe godziny w pobliżu przewodu powietrznego z nadzieją usłyszenia jej głosu lub dźwięków pianina. Była kompozytorką i myślę, że aby dociągnąć do pierwszego, dawała lekcje gry. Opowiedziałem ojcu o tym, co się wydarzyło, a on z łatwością mi uwierzył. Chciał ją koniecznie zobaczyć i pewnego wieczora poszedł do góry pod pretekstem, że zabrakło nam cukru. Wrócił z butelką piwa. W spiżarni nic innego nie miała – oświadczył na usprawiedliwienie. – A tylko frajer odmówiłby piwa. W każdym razie

nie ma cycków – skwitował. – Mimo tego defektu postanowił pomóc mi ją poderwać. Zaczął przychodzić coraz częściej i jak tylko słyszeliśmy przez przewód, że dziewczyna wychodzi z domu, wychodziliśmy na schody i rozsiadaliśmy się jak gdyby nigdy nic. On próbował do niej zagadać, ona pozostawała niewzruszona. Któryś razu spytał, czy przyjmie zaproszenie na kolację. Popatrzyła najpierw na niego, a potem na mnie i odeszła, mówiąc, że jesteśmy żałośni. Ja czułem się tym skrepowany, ale mój ojciec bawił się setnie. Wcale nie było łatwo ją spotkać, prawie nigdy nie wychodziła. Jeśli w ogóle, to tylko późnym wieczorem i wracała o świcie. Miała szczególne upodobanie do osiłków z małym mózdzkiem. Za którymś razem ojciec był zbyt nachalny i zagroziła, że wezwie policję. Błagałem, żeby przestał zawracać jej głowę. Sam znalazłbym sposób, żeby się do niej zbliżyć we właściwym czasie. Zdecydowałem wreszcie, że zakończę pisaną od dziewięciu lat powieść. Chciałem jej ją sprezentować z nadzieją, że w ten sposób sobie o mnie przypomni.

– Różniła się jednak od dziewczyny, którą poznał pan nad Rodanem.

– Całkowicie. Była smutna, zmęczona i samotna. Nikogo do siebie nie dopuszczała, a mnie szczególnie trzymała na dystans. Miała nieobecne, przygaszone spojrzenie. Ale powtarzam panu, jestem przekonany, że to była ta sama kobieta. Jeśli kiedykolwiek miałbym ją spotkać, jestem pewien, że rozpoznałbym ją po oczach i odbitej w nich duszy... nawet gdyby miało się to zdarzyć w jakimś kolejnym życiu i na innym świecie.

– Co pan przez to rozumie? Czy myśli pan, że kiedykolwiek jeszcze ją zobaczy?

Teraz Antonio poczuł, jak z nerwów skręca go w żołądku. Taśma dobiegała końca, kończył się czas jego opowieści. Po raz kolejny na chwilę wyłączył magnetofon.

Dlaczego miał się narażać na cierpienie? Dlaczego nie mógł po prostu wyjść z grobowca, pogrzebać wspomnień i dołączyć do Genève? Cóż z tego, że była tylko wspomnieniem, jakie to miało znaczenie? Antonio widział ją, czuł jej obecność, Genève była tu z jego powodu. Był pewien, że jeżeli do końca wysłucha tej cholernej kasety, straci ją na zawsze, tak jak traci się złudzenia.

Miał już prawie ulec tej pokusie, ale przypomniał sobie leśną wiedźmę i usłyszał jej skrzekliwy głos. Ostrzegła go. Ona popełniła podobny błąd, ponieważ ogarnął ją strach przed wypartym wspomnieniem. Gdyby teraz Antonio wyszedł stąd, nie wysłuchawszy do końca swojej historii, spotkałby go podobny los – stałby się bardzo starym człowiekiem zupełnie pozbawionym przeszłości.

– Wybacz mi, Gen – wymamrotał Antonio i włączył ponownie taśmę.

Między dwoma interlokutorami panowało pełne napięcia milczenie.

– Co stało się z tą dziewczyną, panie Fonte?

– To, co dzieje się zawsze ze złudzeniami. Znikają. Któregoś czerwcowego

wieczoru usłyszałem przez przewód wentylacyjny, że kłóciła się z jakimś mężczyzną. Nie był jej chłopakiem... bardziej jej szefem czy kimś, kto organizował jej muzyczne występy... Nie mam pojęcia... Dziwna to była rozmowa. W każdym razie rozmawiali o pracy. Ona odmawiała swojego udziału. Skakali sobie do oczu, później ona posłała go do stu diabłów, on oświadczył, że ją zwalnia i wyszedł z mieszkania. Słyszałem, że płakała, potem do kogoś telefonowała i błagała, żeby pojechał z nią jeszcze tej samej nocy do Cabo da Roca. Ktokolwiek to był, musiał uznać ją za wariatkę. A więc potem znowu płakała i błagała o przebaczenie, nie mam pojęcia kogo... Pewnie uzna pan, że postradałem zmysły, ale przez moment pomyślałem, że rozmawia ze mną.

Tamtego wieczoru nie zagrała żadnego nokturnu i nie wyszła z domu. Wiedziony niedobrym przeczuciem zapukałem do jej drzwi. Nikt nie odpowiadał. Obudziłem pana Nicotianę i błagałem, aby dał mi klucze do mieszkania na drugim piętrze, ponieważ obawiałem się, że tej bezimiennej dziewczynie stało się coś złego. Posłał mnie w jasną cholerę i zatrzaskał drzwi przed nosem. Nie odpuściłem i próbowałem dobijać się do mieszkania Genève, tak głośno w nie waliłem, że nawet gdyby spała, musiałaby mnie usłyszeć, ale ona nie reagowała. Zdesperowany, wyważyłem drzwi. Genève siedziała nieruchomo, osunięta na pianinie. Była biała jak kreda i w pierwszej chwili pomyślałem, że nie żyje. Wezwałem pogotowie.

– Nie żyła?

– Żyła, ale niewiele brakowało. Przedawkowała leki, próbowała popełnić samobójstwo. Uratowali ją, była to jednak najgorsza noc w moim życiu. O wschodzie słońca rozchyliła powieki.

– Podziękowała panu?

– Nie, zwymyślała od najgorszych. Zażądała, żebym wyszedł, miała żal, że ją uratowałem, krzyczała tak głośno, że w końcu pielęgniarki kazały mi opuścić salę. Zostawiłem ją samą, ponieważ nie chciałem jej denerwować, ale czekałem na nią. Przez dwa następne dni w ogóle nie wychodziłem z domu. Chciałem być pewien, że spotkam ją w momencie, kiedy wróci do siebie, cała i zdrowa. Teraz już niczego się nie obawiałem. Obiecałem sobie, że zaopiekuję się nią i będę ją kochał tak, jak kocha się prawdziwą, żywą istotę, ale mijały dni, a Genève nie wracała. Myślałem, że oszaleję. W końcu ojciec zaproponował mi, żebyśmy pojechali do szpitala i spytali, jak się czuje. Na miejscu okazało się, że parę godzin wcześniej anonimowa dziewczyna uciekła ze szpitala. Nie miała przy sobie żadnych dokumentów.

Kaseta ucichła i przez chwilę można było odnieść wrażenie, że nic więcej już na niej nie zarejestrowano, ale potem ponownie rozległ się głos Antonia.

– Byłem załamany. Utraciłem ją po raz kolejny i nie wiedziałem nawet, jak było jej na imię...

Potem rozległ się jego przepełniony goryczą śmiech.

– *Ojciec odprowadził mnie do domu. Tamtej nocy tak samo jak w dzieciństwie położył mnie do łóżka i opowiedział na dobranoc zapomnianą historię. O pewnym fryzjerze, który utracił wiarę i żeby ją odzyskać udał się z pielgrzymką do Santiago de Compostela. Wtedy zrozumiał, że Bóg oznacza drogę, że ukryty jest w ruchu. Ojciec wstał raptownie z łóżka. Chwycił za papier i ołówek i zaczął coś pospiesznie szkicować. Od dawna nie zajmował się sztuką, być może od czasu mojego dzieciństwa. Myślę, że w głębi serca bardzo mu jej brakowało... Wszak z zawodu był artystą malarzem. Zasnąłem, zanim skończył rysować. Na drugi dzień rano ojca już nie było. Na krześle przy łóżku znalazłem portret Genève. Pokolorował jej włosy na zielono, co trochę mnie rozbawiło. Na odwrocie przeczytałem dwa zdania... „Czerwiec 1999 roku. Tirnaïl to Królestwo Rzeczy Utraconych, nie pozwól, abym i ja tam trafiła. Pamiętaj o mnie i o Kryształowej Nocy, Kocham Cię, Genève Poitier”.*

Przycupnięty w grobowcu Antonio wyrecytował końcowe słowa razem z głosem nagrany na kasecie.

– *Wtedy również po raz ostatni widziałem mojego ojca. Od tamtego czasu więcej się nie pojawił, opuścił również kanciapę na wzgórzu. – Przez kolejne miesiące przeżywałem wewnętrzne piekło. Dopadły mnie wątpliwości, pomyślałem, że Genève i mój ojciec byli jedynie wytworami mojej fantazji, a ja – oderwanym od rzeczywistości szaleńcem. Nigdy wcześniej nie czułem się tak nieskończenie samotny. Nawet jeśli przez całe życie byłem sam, dopiero teraz zaczęło mi to ciążyć, ponieważ powrót mojego ojca i obecność Genève uświadomiły mi, czym jest bliskość innych ludzi. Fizyczne ciepło, oczekiwanie na umówione spotkanie, wymiana spojrzeń i towarzyszące temu emocje, rozmowa, która nie była zwykłą wymianą grzeczności, ale wynikała z potrzeby podzielenia się przeżyciami.*

– *Co stało się z portretem i opowieścią o Genève?*

– *Rękopis jest zamknięty w gabinecie, a portret schowałem.*

– *Gdzie?*

Tu nastąpił moment przerwy, chwila zawahania. Do czego była mu potrzebna ta informacja?

– *Wsunąłem za ramkę od zdjęcia.*

– *Pan nie jest w stanie rozstać się z niczym do końca, nieprawdaż? Klucz od pracowni ojca, rękopis, portret i kto wie, co tam jeszcze... Kolekcjonuje pan przedmioty. Proszę jednak się nie denerwować, ja pana nie oceniam, ja również je kolekcjonuję. Mamy ciągle nadzieję, że kiedyś ponownie na nie trafimy. A co stało się z panem Poitier?*

– *Policja przeprowadziła dochodzenie, ale okazało się, że było to przybrane nazwisko. Za tą sprawą kryło się coś dziwnego. Jakby nikt z tych ludzi w rzeczywistości nie istniał, jakby byli zjawami. Pan Poitier, Genève, mój ojciec...*

Pan Nicotiana zamknął mieszkanie na klucz. Od tamtego czasu nikt nigdy go już nie wynajął.

– A więc stracił pan miłość swojego życia, ojca i powieść... Ale od czerwca minęło już sześć miesięcy. Dlaczego dopiero dzisiaj się pan u mnie pojawił? O czym chce pan tak naprawdę zapomnieć?

Antonio usłyszał, że coś podskoczyło na stole, być może metalowa kulka. Potrafił wyobrazić sobie tę scenę. Siebie samego sprzed piętnastu lat, siedzącego naprzeciw Kolekcjonera i obnażającego przed nim duszę. Na pewno potrzebował czegoś dla odwrócenia uwagi i rozładowania napięcia, czegoś, co choć o kilka chwil pozwoliłoby mu oddalić w czasie moment wyjawienia cięższej mu prawdy.

– Co takiego wydarzyło się dwa dni temu, panie Fonte?

Tu nastąpiła trwająca wieczność pauza, nieprzenikniona jak śmierć.

– Zabiłem człowieka.

Czas rozczarowań i zapomnienia

Antonio chwycił magnetofon i rzucił nim o ścianę grobowca. Potem wydał z siebie krzyk, który postawił na nogi wszystkie trupy w Mnemozji, i wybuchnął płaczem. Przestał słuchać, myśleć, oddychać i żyć... Mimo to głos wydobywający się z kasyty nadal opowiadał jego historię.

– W ciągu ostatnich miesięcy włóczyłem się bez celu po ulicach miasta, jak opętaniec albo lunatyk. Miałem nadzieję, że jedna z nich doprowadzi mnie do ojca lub Genève. Dwa dni temu trafiłem przypadkowo do miejsca, którego bym się nie spodziewał. Do Willi Ebe. Słabo ją pamiętałem, choć nigdy nie zapomniałem jej dawnych mieszkańców. Przez całe życie trójka otrutych dzieci prześladowała mnie w najgorszych snach. Gualtiero Conte wydawał mi się straszniejszy od potwora, ponieważ istniał naprawdę. Kiedy podszedłem do bramy posiadłości, ze zdziwieniem odkryłem, że z wnętrza opuszczonej rudery dochodziło nagle światło. Przedostanie się do środka nie stanowiło problemu, przeskoczyłem przez murek ogrodu i znalazłem się naprzeciw drzwi wejściowych, zwieńczonych herbem z półksiężycem i promieniami słońca. Drzwi były niezaryglowane, wystarczyło je lekko pchnąć. Nie wiem, czego tam szukałem, ale miałem wrażenie, że ten dom mnie do siebie przyciągał. Ostatni raz byłem w nim około trzydzieści lat wcześniej. W tamtym czasie wierzyłem, że jeśli będę grzeczny, zachowam wieczną młodość. Przechodząc obok jednego z lusterek, uświadomiłem sobie, że przez całe życie musiałem niezbyt dobrze się sprawować, skoro nie udało mi się uniknąć dorosłości, czasu rozczarowań i problemów.

Dom był pogrążony w ruinie, od roku 1970 nikt się nim nie zajmował. Na schodach, w pokojach i korytarzach można było jeszcze dostrzec oznaki toczącego się tu kiedyś życia, ale przez ostatnie lata willa prawdopodobnie stanowiła schronienie dla bezdomnych. Nie wiem, co mną kierowało, ale, pchany niewytłumaczalną siłą, zacząłem obchodzić pokoje. Działalem jak pod wpływem zaklęcia. Czulem mrowienie w palcach. To miejsce przesycone było złą energią, a wypełniające je mroki przenikały mnie do wnętrza. Szedłem w stronę jedyne go źródła światła. Dochodziło z ogromnej jadalni. W rogu pokoju stał wciśnięty zniszczony stół, cały zarzucony puszkami od konserw. Pośrodku sali w blaszanym pojemniku buzował ogień. Grzał się przy nim włóczęga, oświetlony bijącą z bidonu luną. Stos połamanych krzesel służył mu za podpałkę. Wpatrywał się w podrygujące

plomienie i popijał z piersiówki coś, co zapachem przypominało wódkę. – Tutaj ją znalazłem – powiedział, unosząc flaszkę. Miałem ochotę powiedzieć, że wiem, że tutaj ją znalazł, ponieważ trzydzieści lat wcześniej wrzucił ją tam mój ojciec. – Chodź tu, chodź i ogrzej się. Zima jest parszywa. – Przysiadłem na drewnianej macie, po drugiej stronie pojemnika. Mężczyzna wzdychał i popijał, wtulony w baranią skórę. Bardzo się postarzał. Widocznie on też nie był grzeczny, co nie uszło uwadze bogini młodości. Miał niezdrową cerę i przekrwione, nieobecne oczy. – Od dawna tu kocujesz? – spytałem, wiedząc, że mnie nie rozpozna. – Od jesieni. To jest mój pałac zimowy. Jestem hrabią! – Wybuchnął perfidnym śmiechem. Nie przestawał pić. – A gdzie wcześniej mieszkałeś? – spytałem. – Och... – Podrapał się w plecy i beknął. – Włóczyłem się po mieście. Zazwyczaj pod arkadami pasażu handlowego. Moi kompani ciągle jeszcze tam nocują, ale tutaj jest przyjemniej. Zresztą oni nie mają arystokratycznego rodowodu tak jak ja – dorzucił. – I od kiedy tak żyjesz? – kontynuowałem. – Że niby co? A kim ty do cholery jesteś? Co się tak interesujesz? Co robisz w moim domu? Wynoś się stąd! Był zbyt pijany i zdołał jedynie unieść rękę, na znak, żebym zostawił go w spokoju. Nie dałem się spłoszyć i drążyłem dalej. – Swego czasu krążyły po mieście plotki na temat tego domu. Powiadano, że był nawiedzony. Ciekaw jestem tylko, czy słyszałeś cokolwiek na ten temat? Jestem pisarzem i lubię tego typu historie. – Miałem w portfelu pięćdziesiąt tysięcy lirów. Podąłem mu je. Jak tylko rozpoznał kolor banknotu, oprzytomniał i capnął go w mgnieniu oka, chowając tak szybko, że nie zauważyłem nawet, gdzie go włożył. – Mam ich więcej – skłamałem. – I potrafię być bardzo hojny dla tych, którzy opowiedzą mi coś wyjątkowego. – Ja znam jedną zupełnie wyjątkową historię, mój szanowny panie! Wprost wyborną! O kobiecie, która odebrała sobie życie. Straszne, co? I o trójce zabitych dzieci. Musiały nieźle wkurzyć swojego tatusia, hmm? On mówił do nich: „Musicie być grzeczne”. Ale one go nie słuchały. On mówił: „Przestańcie wreszcie płakać, wasza matka była tchórzliwą kurwą i powiesiła się dlatego, że was nie kochała!”. A one płakały jeszcze głośniej. Tata nie mógł tego wytrzymać, rozboliła go głowa... Tak więc dodał im trochę cyjanku do mleka, z nadzieją, że przestaną go wreszcie nękać... – Nie wiem, w jaki sposób udało mi się zachować spokój. Pozornie byłem zimny jak lód, ale w środku wrzałem z wściekłości i pogardy. Włóczęga wybuchnął śmiechem, a potem przez jakiś czas śmiał się i łkał jednocześnie. Nie, nie był dobrym ojcem, ale kiedy to sobie uświadomił, było już za późno. Pozostało mu tylko jedno do zrobienia – musiał się jakoś oczyścić. Krew jego dzieci była niewinna, ale jednocześnie... zatruta. Żeby odpokutować za grzechy postanowił się jej napić... Ale, niestety, aresztowali go, zanim zdołał wypełnić ofiarę, i w ten sposób się uratował. Pędził życie w ciemnościach, z poczuciem winy i prześladowającym go widmem dzieci... – Duchy nie nawiedzają całego domu... one tylko mi nie dają spokoju... – dodał na koniec.

Antonio był zbyt przerażony własną historią, by poruszyć się w grobowcu.

Ścisnął magnetofon i słuchał dalej.

– Przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu. On opowiadał o tych wydarzeniach z dystansem i chłodem przyprowadzającym o dreszcze. Jakby to była jakaś zasłyszana historia, przeczytana w książce, albo w gazecie. – Te wydarzenia miały również wpływ na życie innej rodziny – powiedział, pociągając kolejny łyk wódki. Policzki miał pąsowe, a usta prawie białe. Zaczął dygotać. – Ten ojciec miał współnika, z którym utworzył spółkę artystyczną, jeśli się nie mylę. – Wydawało mi się, że z jego ust wydobył się jęk. W rzeczywistości był to kolejny napad śmiechu, dochodzący gdzieś z głębi jego cielska. Obelżywy, lekceważący ryk zwyrodnialca. – Imbecyli! – wyrzucił z siebie na koniec. – Nawet nie pamiętam, jak było mu na imię. Zostań ojcem chrzestnym mojego syna, dla mnie jesteś jak brat! – powiadał. – Dobra, czemu nie? Mogę zostać tym chrzestnym! To był idiota, aż się prosił, żeby go wyrolować! Mogłem z nim robić, co chciałem, przekręcać na wszystkie sposoby, aż do znudzenia. – Co stało się potem z jego rodziną? – spytałem pozornie niewzruszony. – A skąd ja mogę wiedzieć? Co mnie to, kurwa, obchodzi? Prostaczki i naiwniaki. On, jego żona i ten ich narwany synek. Żonkę chętnie bym przeleciał, ale była z niej oziębła suka. Ja wtedy miałem dużo problemów. Spółka padła, a tamten nie potrafił sam niczego zrobić i pewnie skończył tak jak ja. Może i on żyje teraz pod arkadami. Jutro się tam wybiorę. Jak zobaczę jakiegoś frajera, to od razu poznam, że to on. – Roześmiał się jeszcze głośniejszym głosem niż do tej pory, kaszląc przy tym jakby miał się udławić.

Wstałem, obszedłem dookoła bidon, w którym dopalały się resztki krzesel i starych ubrań, i klepnąłem go w plecy, żeby się nie zakrztusił. Jeszcze trochę pokasłał, a potem mi podziękował. Nagle zobaczyłem, że moje ręce zaciskają się wokół jego szyi, a on wybałusza oczy. Zobaczyłem, że krzywi twarz, na której strach mieszał się z zaskoczeniem, ale... być może również z ulgą. Stawiał niewielki opór, a ja czułem w rękach ogromną siłę. Nie wiem... być może wreszcie dawałem upust emocjom tłumionym przez przeszło trzydzieści lat. On posiniał, wyprężył się w ostatnim spazmie i w końcu przestał się poruszać. Zadecydowałem o jego losie, tak jak swego czasu on zadecydował o losie moich rodziców. Wstałem i jednym kopniakiem wywróciłem buchający ogniem pojemnik, żeby ogień pochłonął Willę Ebe. Wczoraj rano przeczytałem w gazecie o pożarze w Willi. Prowadzą śledztwo. Na razie do niczego nie doszli.

Potem nastąpiła najdłuższa w jego życiu chwila ciszy. Dłuższa niż ta, gdy dowiedział się, że umarła matka, dłuższa niż noc, w czasie której Genève wbrew własnej woli walczyła o życie, dłuższa niż ranek, kiedy się obudził i skonstatował, że ojciec odszedł po raz kolejny i tym razem na zawsze.

Wyciągnięty w jamie grobu pisarz, z mokrymi od łez policzkami zmarł w bezruchu.

– Wróciłem do domu i doznałem czegoś w rodzaju amnezji. Dostałem

wysokiej temperatury, śniły mi się koszmary. Po przebudzeniu nie wiedziałem, czy to noc czy dzień. W momentach czuwania docierało do mnie, co zrobiłem i pragnąłem jedynie zapaść w wieczny sen, by już nigdy nie konfrontować się z samym sobą. Jeszcze teraz czuję się tym całkowicie rozbity, chyba mam gorączkę i dreszcze. Dziś wieczorem wyszedłem z domu z zamiarem pozbawienia się życia. Świadomość tego, co zrobiłem odbierała mi siły, nie mogłem dalej tak żyć i kiedy pogrążony w myślach włóczyłem się po mieście, zgubiłem drogę. Potem znalazłem tę wieżę, a w niej czekał na mnie pan. Akurat teraz. Nie wcześniej i nie później. Dopiero teraz, kiedy postanowiłem ze sobą skończyć, dane mi było poznać pracodawcę mojego ojca, człowieka, który przeszło trzydzieści lat temu przysiadł u mego boku w Borgo Marinari i powiedział, że miał dla niego intratną propozycję. Człowieka, który strzeże tajemnicy Królestwa Rzeczy Utraconych. Kolekcjonera.

Znowu zapadła niekończąca się cisza. A potem:

– Czy uważał pan swojego ojca za obłąkanego?

– Trudno byłoby go za takiego nie uważać. Ale co by nie powiedzieć, to ja go do pana przyprowadziłem.

– Kiedy stanął dziś pan na progu uderzyło mnie wasze fizyczne podobieństwo. Jesteście jak dwie krople wody, panie Fonte. Macie to samo spojrzenie, gesty, tembr głosu... i nawet imię.

Antonio nie zaoponował.

– Gdzie przebywa teraz mój ojciec?

– To ja chciałbym pana o to zapytać. Szukam go od wielu miesięcy, ale dosłownie rozplynął się w nicości. Miałem dla niego delikatne zadanie. To jeden z moich najlepszych ludzi. Nawet jeśli czasami za bardzo upiera się przy swoich przekonaniach.

– A więc to on jest pana asystentem. Złodziejem z mgły.

Znowu cisza.

– Teraz chodzi jednak o moje życie czy raczej o moje wspomnienia. To zresztą bez różnicy.

– Niezupełnie, panie Fonte. Jestem ekspertem od spraw utraconych i proszę wierzyć, że utrata życia oznacza coś zgoła innego niż utrata pamięci. Niech pan da sobie jeszcze ostatnią szansę. Pan nie jest złym człowiekiem, a jedynie osobą, która przez większą część życia cierpiała i nie zaznała zbyt wielu momentów radości. Proszę pozwolić sobie pomóc. Dozna pan ulgi w zapomnieniu.

– Zgoda.

– W zamian za wspomnienia coś pan ode mnie otrzyma.

– Naprawdę? Co takiego?

– O tym zadecyduje waga, panie Fonte. Uprzedzam jednak, że jutro po przebudzeniu nie będzie pan nic pamiętał. Nie tylko ojca i utraconych historii, ale także twarzy Genève i popełnionego zabójstwa. W ten sposób skaże pan własnego

ojca na to, czego przez całe życie obawiał się najbardziej i prawdopodobnie zacznie go pan nienawidzić, ale jest to i tak stosunkowo niska cena, nie sądzi pan? Proszę wykorzystać tę noc na pozbycie się śladów swojej historii. Przede wszystkim u pana w domu, z pewnością jest ich tam pełno. Musi zamknąć pan pracownię ojca i wyrzucić klucz, zniszczyć wszystko, co mogłoby przypominać panu o tych wydarzeniach. Wycinki z gazet, przedmioty, fotografie, cokolwiek by to było... Ale proszę przyjąć jedną radę. Niech pan zostawi sobie jakieś wyjście awaryjne, jakąś... furtkę.

– Furtkę?

– W sensie alternatywę. Drobną możliwość powrotu. Proszę jednak nie pozbywać się absolutnie wszystkiego, nie palić za sobą mostów. Doradzam tak wszystkim moim klientom, którzy decydują się na wyparcie wspomnień. Mówimy tu o wymazaniu znacznej części pańskiego życia, panie Fonte, proszę nie lekceważyć konsekwencji tej decyzji. Jest pan przecież pisarzem. Doradzam panu napisanie listu. Czegoś, co pomoże odtworzyć przeszłość w przypadku, gdy zorientuje się pan, że chciałby do niej wrócić. Niech pan wyśle ten list do kogokolwiek, może go pan nawet wyrzucić za okno, jeśli się panu podoba. O nic proszę się nie martwić, ja zadbam o to, by zaginął. Uwielbiam droczyć się z pocztą.

– Jaki sens ma tego rodzaju posunięcie?

– Pomaga uwierzyć, gdy przyjdzie na to pora. W chwili zwątpienia.

– Nie rozumiem. Wydaje mi się wysoce nieprawdopodobne, żeby kiedykolwiek mi się przydał.

– Któż to wie? Jeśli coś jest wysoce nieprawdopodobne, istnieje również minimalna możliwość, że jednak się zdarzy, a ja jestem pasjonatem nikłych szans. To promyki nadziei w naszej odartej ze złudzeń rzeczywistości, nie sądzi pan?

– Dobrze, zgadzam się, choć jestem przekonany, że nigdy nie poproszę o zwrot tych wspomnień. Dla mnie ta sprawa jest zamknięta.

– Doskonale.

Rozległ się głęboki oddech, potem cichy jęk wagi i wreszcie miauczenie kota. W tym miejscu nagranie się skończyło.

Świetliki i ważki

Powietrze przeredzało się i Antonio doznał ulgi. Nie wiedział, gdzie przebywał, ani kim był. Nie miało to już nawet znaczenia. Pocieszał go jedynie fakt, że umierał. Przynajmniej coś szło w dobrym kierunku.

Nieoczekiwanie poczuł lodowaty podmuch, ziąb przeszył go do szpiku kości i niejako przywrócił do życia.

– Czy jest pan nadal żywy, panie Antoine?

Znad grobu ujrzał oszronione wąsy Edgara.

– Nie – odpowiedział Antonio po chwili milczenia, z zaciśniętymi jeszcze powiekami.

– Całe szczęście. Niech pan stąd wyjdzie.

Edgar wyciągnął ramię i mocno poderwał Antonia. Pisarz nie stawiał oporu, bezwładny jak szmaciana lalka. Miał wrażenie, że nawet marne dwadzieścia jeden gram duszy ulotniło się z niego i mieszało z szarą mgiełką Mnemozji.

Edgar wyprowadził go na zewnątrz. Otaczała ich ogromna, jasna przestrzeń, w górze migotały gwiazdy. Z nieba prószył śnieg, czysty i nieskalany. Opadał łagodnie, w powszechnym akcie oczyszczenia. Pisarz rozpostarł ramiona i rozkoszował się lekkością topniejących na nim płatków. Nad cmentarzem otulonym białym puchem zalegała niczym niezmacona cisza, która istniała jeszcze przed stworzeniem świata.

„Jestem duchem”, pomyślał. „Nie mogę już cierpieć ani płakać, nic nie może mnie zranić”. Wreszcie doznał ukojenia; była to najbardziej pokrzepiająca historia, jaką sobie kiedykolwiek opowiedział.

Spojrzał na zegarek. Jego stracony czas nie uległ żadnej zmianie. Nadwątlona godzina dziesiąta trwała ciągle w tym samym miejscu, jakby Antonio wszedł do grobu i w tym samym momencie go opuścił.

– Jak długo przebywałem tam w środku?

– Przez całe życie, panie Antoine... Jakies pół wieku, ale czas w świecie umarłych to sprawa bardzo względna.

I faktycznie, przez te pięćdziesiąt lat Edgar w ogóle się nie zestarzał!

W pobliżu grobowej niszy Antonio dostrzegł drewniany stół i dwa krzesła, sztalugi, płótno, paletę malarską i kilka pędzli, farby olejne i ołówki. A także czajnik i białą filiżankę.

Wlepił wzrok w Edgara.

– Czy wiesz, że mój ojciec był malarzem? Surrealistą. Kochał Bretona, Ernsta, Dalego, ale jego ulubionym artystą był pewien niezbyt znany niemiecki malarz i jednocześnie ojciec wielkiego pisarza. W 1936 roku naziści zakazali mu tworzenia i wystawiania swoich dzieł. Prawie wszystkie jego prace zaginęły po zbombardowaniu Monachium w 1944 roku. Nazywał się Edgar Ende. Pracował zawsze w zaciemnionym pokoju, ponieważ potrafił malować tylko to, czego nie widział.

Wąsy Edgara zadrgały, ale jego wzrok niczego nie wyrażał. Nalał sobie herbaty o smaku jabłkowo-cynamonowym i powoli ją sącył.

– Oczywiście, że wiem.

– A od kiedy?

– Od zawsze. Ale przypomniałem sobie w momencie, kiedy pan sobie przypomniał.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

– O czym nie powiedziałem? Że jestem wielkim malarzem? Przecież obaj wiemy to już od dawna!

Edgar roześmiał się beztrąsko, wywołując tym lekki uśmiech Antonia.

– A jeśli już o tym mowa, to chciałbym coś szanownemu panu pokazać.

Edgar poprowadził go w kierunku płótna. Na widok jego najnowszego dzieła Antonio wykrzywił twarz. Po postępkach, jakie malarz poczynił w ostatnim czasie pozostało jedynie wspomnienie.

Śnieżną biel obrazu przełamywało ledwo dostrzegalne szaro-błękitne przebarwienie, przypominające nieco kłęby dymu.

– I jak? – Purpurowy z dumy malarz, wyprężył dumnie pierś. – Podoba się panu?

– Kapitalny. Przypomina pańskie młodzieńcze prace.

– Owszem, ale jednocześnie pod wieloma względami bardzo się od nich różni, zastosowałem pewne innowacyjne techniki... Drugi raz już czegoś podobnego nie namaluję! To dzieło zapewni mi wieczną sławę! Za sto lat będą wspominać mnie jako tego, który zdołał sportretować złodzieja z mgły!

– Złodzieja z mgły? – Antonio przyglądał się płótnu uważnie.

– Oczywiście! Widzi go pan, o tutaj? – Edgar pokazał mu niewidoczny, biały punkt. – A to mgła, z której jest zrobiony!

Antonio wpatrywał się w palec wskazujący Edgara, niczego nie widząc. Zauważył jedynie, jak oczy malarza ze wzruszenia zaszły mgłą i nie śmiał wyrazić słowa krytyki.

– Czasem człowiek czuje się tak niewypowiedzianie szczęśliwy, że mógłby umrzeć i nawet by tego nie zauważył, ponieważ to, co odnalazłby po śmierci, nie różniłoby się od tego, co zostawił. Tworząc dla pana ten portret, przeżywałem takie

właśnie chwile.

Po tym żarliwym wyznaniu Edgar wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł łzy, po czym natychmiast przybrał typową dla siebie sztywną pozę. Antonio klepnął go w plecy i szczerze skomplementował.

– Dziękuję panu, Antoine, ale teraz proszę się pospieszyć. Proszę nie tracić tu ze mną swojego cennego czasu.

– Już go straciłem, Edgar.

– To nieprawda. Tirnaïl jeszcze czegoś od pana oczekuje.

Edgar wskazał na bramy miasta, które nagle wyrosło nieopodal. Miasta, które nigdy nie przestało prześladować Antonia w czasie pobytu w Tirnaïl – Wanezji. W sumie nie było w tym nic dziwnego, skoro przez całe życie żywił się złudzeniami.

Antonio pochylił głowę, w piersiach poczuł silny skurcz.

– Co z Genève? – wydusił z trudem.

– Ach, ona! Już dawno sobie poszła!

Antonio raz jeszcze spojrzął na bramy Wanezji i na szczyty strzelistych wież, migoczących w rozwibrowanym powietrzu.

Ponownie popatrzył na Edgara i wokół jego głowy dostrzegł rój świetlików.

– Wiesz, Santiago powiedział mi kiedyś, że świetliki są wiarą utraconą przez ludzi. Ale wiara nie odnosi się jedynie do bogów. Czasem trzeba też zawierzyć ludziom... Własnemu synowi albo bratu... a może nawet ojcu. Dziękuję, że na mnie poczekałeś, Edgarze.

Edgar po raz kolejny uśmiechnął się do niego dobrodusznie.

– Niech pan wraca do domu, Antoine. Wszystko znajduje się zawsze o wiele bliżej, niż się nam wydaje.

Wziął do ręki paletę i pędzel, zamoczył go w białej farbie i zaczął malować, pogwizdując radośnie w otoczeniu nagrobnych tablic, śniegu i robaczków świętojańskich. Wydawał się pogodny, nie zaprzętały go żadne smutki.

Teraz, gdy Antonio odgrzebał już swoją przeszłość, stała się ona jego częścią i płynęła mu w żyłach jak krew. Zostawił za sobą wzgórze i cmentarz w Mnemozji, po czym przekroczył progi miasta złudzeń.

Wanezja bardzo różniła się od tego, co zapamiętał. Zdawała się nieruchoma, zawieszona w pustce, pozbawiona życia, jakby oczekiwała, że ktoś ją nim wypełni. Gondole kołysały się dostojnie na nieruchomej tafli wody. Drzwi pałaców były pozamykane, żaluzje okienne ciasno pozaciągane, z domostw nie dobiegały żadne odgłosy. Zniknęły gdzieś przemieszczające się mosty, pozbawione wewnątrz pałace, próżno było też wypatrywać odbitych w kanałach kolorowych elewacji, przywodzących na myśl zatopione królestwa. Między posągami zwisały pajęczyny. Wyschłą, jałową ziemię i chodniki pokrywał pył, na którym Antonio zostawiał

teraz ciemne ślady stóp. Niemal bezbarwne niebo miało nieokreślony odcień, a pozbawione zapachu powietrze zdawało się ni ciepłe, ni zimne.

Włócząc się po opustoszałych ulicach, Antonio dotarł do Mostu Omamień pogrążonego w gęstej mgle. Nie można było nawet dostrzec lustra przepływającej pod nim wody, a mimo to ktoś stał na moście. Antonio podszedł bliżej i skinieniem głowy pozdrowił hrabiego Vladimira. Hrabia odpowiedział, nie przestając wypatrywać czegoś, czego i tak nie był w stanie dostrzec.

– Po tym, jak mnie zrujnowałeś, masz jeszcze czelność spojrzeć mi w twarz?
– spytał hrabia. Wyglądał jeszcze żałośniej niż zwykle.

– Czy wiedziałeś, że ważki mają niesamowite przyspieszenie? W locie zdają się nieruchome, ale w mgnieniu oka potrafią osiągnąć prędkość stu czterdziestu czterech kilometrów na godzinę i przemieścić się nie wiadomo gdzie.

Vladimir zarechotał.

– Paskudne bestie. Zwodzą i nic więcej.

– No, właśnie. Mógłbym cię przeprosić za to, że cię zabiłem, ale jakoś nie mam na to ochoty. Po prostu samo mi tak wyszło i już.

Vladimirowi zadrżały usta. Miał oczy przepełnione nienawiścią i twarz wykrzywioną w odstręczającym uśmiechu.

– Wybierasz się do Nechnabel? – spytał Antonio, wskazując ruchem głowy na wody kanału.

– Zastanawiam się nad tym, bo jeśli się rzucę, to już nie będę mógł stamtąd wrócić. Kto traci dwa razy, ten traci na zawsze. A ja straciłem nadzieję już piętnaście lat temu.

– Ale...?

– Ale w Nechnabel odnalazłbym wreszcie spokój. Dzieciury nie poszłyby za mną tam na dół. A wiesz dlaczego?

– Ponieważ boją się ciemności?

– Nie, Nechnabel jest ciemne, ale nie aż tak. Dlatego, że kupiłem Karaluchy na Aukcji Złudzeń, oddając w zamian wszystkie wspomnienia z mojego dzieciństwa. Kupiłem złudzenie, a one, jak wiadomo, nie mają wstępu do miasta zawiedzionych nadziei i utraconych iluzji.

Antonio domyślał się tego. Przecież Genève nie towarzyszyła mu w podróży do Nechnabel.

– Nie masz mi nic więcej do powiedzenia? – spytał Vladimir, nieomal prosząco.

– Mogę jedynie powtórzyć to, co powiedział ci mój ojciec piętnaście lat temu na tym samym moście. Jesteś tu, ponieważ na to zasługujesz. Zasługujesz na taki koniec i na to, żeby świat o tobie zapomniał.

I nie dodawszy nic więcej, Antonio przekroczył Most Omamień.

Za plecami usłyszał głuchy odgłos, ktoś rzucił się w odmęty i na zawsze

zniknął w mieście nocy i mgły.

W oddali zamajaczyła trójka dzieci, dziewczynka i dwóch bliźniaków.

– Dziękujemy za uwolnienie. Ten pan nie pozwalał nam odejść – powiedziała mała, a dwaj chłopcy uścisnęli mu dłoń. Potem gdzieś pobiegli, śmiejąc się i dokazując.

Antonio przechadzał się po ulicach Wanezji, nie wiedząc, co ze sobą począć, ale kiedy wreszcie opadła mgła, okazało się, że szedł zacienioną platanami aleją, w głębi której znajdowała się kamienica numer siedem przy Vico Santa Teresella degli Spagnoli.

Antonio nie był zaskoczony. Szedł przed siebie, świadomy celu. Otworzył bramę, minął pustą dyżurkę portiera, a także drzwi wejściowe do swojego mieszkania. Wsiadł do windy i nacisnął wyrwany do połowy przycisk z numerem szóstym. Dotarł na taras pana Nicotiany, ten sam, na którym po raz pierwszy przekroczył progi Tirnaïl.

W dali ujrzał burzę rozwianych zielonych włosów. Genève ze skrzyżowanymi nogami siedziała na kamiennej balustradzie. Po jej prawej stronie stała butelka z piwem, na murku leżał ręcznie skręcony papieros. Obserwowała panoramę.

Antonio podszedł i przysiadł się do niej, wciągając głęboko powietrze. Zatopił wzrok w niewidzialnym krajobrazie Tirnaïl, ogłuszony zalegającą dokoła ciszą.

– A więc? – spytała go Genève, zapalając papierosa.

– A więc.

Antonio popatrzył na nią. Na szczęście się uśmiechała.

– Chciałeś odejść bez pożegnania, cudzoziemcze?

– Ja nie chcę odchodzić.

– Doprawdy?

– Doprawdy. Nawet jeśli nieźle mnie przerobiłaś, Genève Poitier. Ty jesteś tylko złudzeniem.

– A więc? – powtórzyła pytanie, podając mu butelkę. Antonio pociągnął łyk piwa.

– Nie przeszkadza mi to. Każdy ma jakieś wady.

– Zresztą w Tirnaïl wszyscy chyba byli tylko złudzeniem – powiedział i sam już nie wiedział, co o tym myśleć. – Czy istnieje cokolwiek realnego, Gen? Czy może to wszystko dzieje się tylko w mojej głowie?

Genève wzruszyła lekceważąco ramionami, jakby to było bez znaczenia. Znowu napiła się piwa.

– Wiedziałem, że ważki to perfidne bestie. Zwodzą tylko i nic więcej. I ty również mnie zwiodłaś, Genève Poitier.

– Och, nie! To ty sam łudziłeś się i oszukiwałeś! Ja ci tylko pomogłam!

Kiedy zabrali cię do Nechnabel, to ja zaproponowałam Edgarowi, żeby ci pomóc i towarzyszyć w drodze! Gdyby nie ja, jeszcze byś nurkował w wannie u hrabiego!

– A więc ty istniejesz.

Genève zastanowiła się przez moment.

– Chcesz wiedzieć, czy istnieję tak jak komary albo kurczaki?

Antonio nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Wiedział, że i tak niczego nie wskóra. Wpatrywał się w uszponą u jego stóp Wanezję.

– Chciałbym się dowiedzieć, gdzie się podziałas, Gen. Może twoja historia błądzi jeszcze gdzieś tutaj i mógłbym ją odnaleźć.

– Daj spokój. Zagubione historie znajdują się w Tirnaïl, ale szukać ich należy na tamtym świecie. Wiesz, ostatnio chodzą słuchy, że opowiadaczowi historii z Miasta Syren udało się stąd uciec. Podobno świetlik i ważka pomogli mu odnaleźć utracone wspomnienia. W Tirnaïl aż o tobie huczy, Antoine. Ale teraz, zostały ci tylko dwie minuty, cudzoziemcze. Idź już.

– Tyle razy cię już utraciłem, Gen i nie mogę liczyć, że odnajdę cię po raz kolejny. Wystarczy poczekać, aż miną te dwie minuty i znowu stanę się Antoine'em Tomojasprawa, a zaczarowane królestwo Tirnaïl wypełni się życiem. Będziemy mogli zostać tu razem, na zawsze... Ty, ja, Edgar, Ester...

– Znowu zaczynasz? Nie, proszę cię, tylko nie to! – zaproponowała Genève i zasłoniła mu smukłą dłonią usta, by powstrzymać słowa brzmiące dla niej jak wyrok. – Pokonałeś tak długą drogę, przemierzyłeś nieznane lądy, by odkryć prawdę i teraz chcesz to wszystko spieprzyć? Jak długo można się łudzić? Jaki to ma sens? Właśnie w ten sposób zafundowałeś nam taki los! Wymazując z pamięci własną historię, skazałeś na zapomnienie również nas, wyгнаłeś nas do Tirnaïl. Teoretycznie byliśmy wolni, ale nie żyliśmy do końca. Zresztą tak samo jak i ty na tamtym świecie... jeśli się nie mylę.

Antonio przemilczał pytanie, wiedział, że miała rację. Był przerażony.

Nagle dziewczyna wsunęła mu dłoń do ręki, na jej dotyk dostał gęsiej skórki.

– Obiecuj, że nie będziesz się już ukrywał, nie będziesz się bał i nie zapomnisz, kim jesteś.

Przez moment intensywnie się sobie przyglądali. Genève przymknęła oczy i wysunęła ku niemu twarz.

„Nie mogę ci tego obiecać. Chcę zgubić się na zawsze”, pomyślał pisarz, zaciskając powieki. Poczł mrowienie w całym ciele. Brakowało kilku sekund, po ich upływie miał być wolny i lekki jak żyjące w nieświadomości dziecko. Nieoczekiwanie przestał odczuwać na ustach oddech Genève. Otworzył szeroko oczy i stwierdził, że został sam.

Natrętne brzęczenie sprawiło, że się odwrócił. Nad sobą dostrzegł ważkę. Spróbował ją schwytać, ale umknęła daleko, kierując się w stronę powoli zamykających się drzwi kamienicy. Owad wleciał do środka, a Antonio rzucił się

za nim z impetem i runął na podłogę.

Ważka przysiadła mu na nosie, wibrując przed oczami, jakby chciała mu coś przekazać, a może zostawić ślad pocałunku. Za moment drzwi miały się zatrzaskać. Ważka odczekała i w ostatniej chwili wyfrunęła na zewnątrz.

Zapiski na ścianach

– Co jest, do cholery, z tą windą?! Myśli pan, że my tu nie mamy nic do roboty?

Kilka uderzeń w drzwi...

Antonio otworzył oczy, budząc się ze snu głębszego niż śmierć.

Skołowany rozejrzał się dookoła. Dostrzegł rozedrgane światło i kołyszące się ściany.

Wstał, przytrzymując się krat windy. Przesunął dłonią po spoconej twarzy. Brakowało mu powietrza... Za wszelką cenę musiał się stąd wydostać... Oddychał z trudem i szukał wyjścia.

– Na pomoc! Pomóżcie mi! Błagam was!

Zaczął walić pięściami w ściany, z nadzieją przywołania czyjejs uwagi. Nagle dobiegł go zniecierpliwiony głos pana Niccolò, taksówkarza.

– Panie, niech pan po prostu naciśnie guzik.

Przez kraty starej windy Antonio dostrzegł schodzącego ze schodów sąsiada.

Jeszcze przez kilka sekund siedział oszołomiony, a potem palcem wcisnął przycisk „Parter”. Winda bez problemu zjechała w dół.

Pani Cristilli z trzeciego piętra zaczęła okładać go torebką ze sztucznej krokodylej skóry.

– Czy wie pan, ile ja tu czekam? Przynajmniej dobre pięć minut! Co pan tam wyprawiał? Ileż można tracić przez pana czasu?!

Gdy stara panna zniknęła we wnętrzu windy, Antonio wymamrotał:

– Zawsze coś! To widać jeszcze nie koniec.

– Antonio! – raptem usłyszał znajomy głos za plecami. Odwrócił się i ujrzał zmokniętą postać Leopolda Saetty. Na dworze ciągle jeszcze padał deszcz.

– Dalej, chodźmy! Czekają na nas!

Leo miał na sobie nienagannie skrojone ubranie. Chwycił Antonia za ramię, ale pisarz wyrwał mu się przestraszony.

– Gdzie Genève? – spytał ścisłym głosem.

– Co takiego? Kto taki? Antonio, błagam cię! – Leo próbował złapać go za sweter, ale pisarz znowu stawiał opór.

Dopiero teraz Leo przyjrzał się uważnie Antoniowi i zaniemówił na widok jego bladej i spoconej twarzy.

– Widziałeś się dziś w lustrze? Wyglądasz jak mój starszy syn w czasie szkolnego strajku!

Leo ruszył w stronę portierni, podtrzymując pisarza, by nie osunął się na ziemię. Antonio dreptał ostrożnie, niepewny otaczającej go rzeczywistości. Deszcz zalewał ulice, pani Caputo odprowadzała dzieci do szkoły, a z dyżurki dozorca dochodziły przekrzykiwania Goffreda Nicotiany i jego małżonki. Portier próbował mitygować żonę, starając się jednocześnie schwytać Calliope, ale wydawało się to niemożliwe. Dopiero kiedy kotka rozpoznała dziurkowane półbuty Antonia, rzuciła się w stronę swojego pana, a ten podniósł ją z ziemi i niósł przed sobą jak worek, jakby po raz pierwszy widział ją na oczy.

– Duchessa... – wymamrotał.

Kot wydał z siebie stłumione miauczenie.

– Panie Fonte, ja już dłużej tego nie wytrzymam – wycharczał pan Nicotiana.

– Ona jest opętana! Ciągle ucieka! Czy aby na pewno ją pan wyegzorcował, czy jak to się tam mówi?

– Tak, tak, na pewno ją egzorcyzmował i to, co pan przed chwilą powiedział też! – Leo uciał rozmowę, chwytając jednocześnie Antonia mocno pod ramię i oddając pośpiesznie Calliope dozorca, jakby parzyła go w dłonie. – A teraz Antonio, na miłość boską, a jeśli nie wierzysz w Boga, to przynajmniej z uwagi na mnie... chodźmy stąd!

Antonio wpatrywał się w niego otępiałym wzrokiem, miał wrażenie, że wszyscy mówili nieznanym językiem. Spojrzał na grupę otaczających go ludzi i poczuł, że brakuje mu powietrza. Gdzie podział się Tirnail? I wszystkie jego nieistniejące granice? Miasto nocy i mgły, zaczarowany las, morze ludzkich łez, nieżyjący od wieków pianista, pociąg, do którego wsiada się w biegu? Co stało się z Genève?

Nagle kontury otaczających go postaci rozmyły się i zatarły, Antonio pomyślał, że zemdleje. Nie zważając na Leopolda i całą resztę, otworzył gwałtownie bramę kamienicy i wybiegł na zewnątrz. Nie bacząc na ulewę, zanurzył się w opary mgły.

Czas pędził. Po burzach marcowych nastąpiły burze kwietniowe, a potem majowe. Aż tu pewnego dnia, ni stąd, ni zowąd przyszło lato. Dzieci przyglądały się chmurom odbitym w kałużach, a słońce osuszyło ulice i wypełniło ciepłem ludzkie dusze.

Niestety, dusza Antonia była w stanie hibernacji, rozgrzewał ją jedynie alkohol. Pisarz nie pił już mleka i wlewał w siebie wszystko, czym można było znieczulić umęczone ciało i umysł. Palił jednego papierosa za drugim i czasem zastanawiał się, czy najpierw wysiadzie mu wątroba czy płuca. Jadł tylko wtedy, gdy pusty od kilku dni żołądek gwałtownie domagał się uwagi. Kompletnie

zapuścił mieszkanie. W sierpniowym upale wypełniał je skisły odór rumu i rozsiane po kątach, zdechłe komary.

Mijało lato. Przesycone solą morską powietrze przenikało mury kamienic, zmieniało smak wszystkiego, ale Antonio nie był w stanie tego dostrzec. Wegetował w czterech ścianach dusznego mieszkania, przełączając bezmyślnie kanały telewizyjne...

Był nieobecny, jakby nie wrócił jeszcze z Tirnaïl, a jednak nie ulegało wątpliwości, że już tam nie przebywał. Trwał w stanie martwoty. Tylko raz zastanawiał się, czy Tirnaïl naprawdę istnieje. Szybko jednak odegnał tę myśl, dochodząc do wniosku, że jest obłąkany jak jego ojciec. A jeśli nie był obłąkany, to był po prostu zabójcą. Wolał nie znać prawdy. Nawet gdyby ktoś podał mu ją na srebrnym talerzu jak wykwinną potrawę, nie tknąłby jej i odesłał z powrotem.

Powoli zbliżała się jesień, ale Antonio tego nie zauważył. Rzadko miewał przebłyski świadomości. Rano z trudem zwlekał się z łóżka – czasami nawet i nie – po czym przenosił się na tapczan, gdzie całymi godzinami próbował zabijać czas. Trudno było jednak wypełnić pustkę, zwłaszcza od dnia, w którym postanowił rozstać się z Calliope.

We wrześniu wyprowadził kotkę na smyczy na promenadę, czerpiąc jak zwykle satysfakcję z niedyskretnych i pełnych stuporu spojrzeń przechodniów. Calliope przechadzała się zwinnie i elegancko po żelaznej balustradzie, dzielącej ląd od morza. Kiedy tylko trochę mocniej pociągnęła z smyczy, dając do zrozumienia, że chciałaby pobiegać po przybrzeżnych skałkach, Antonio odczepił ją i popatrzył głęboko w błękitne ślepię kota.

– Nie wiem, czy jeszcze na ciebie zasługuję. Odzyskanie moich wspomnień ma swoją cenę. Kiedyś w zamian za nie otrzymałem ciebie. Myślę, że teraz, kiedy zostały mi one zwrócone, powinienem oddać cię z powrotem.

Calliope spojrzała na niego rozumnie.

– Wracaj do Tirnaïl, tobie wolno – odpowiedział jej pisarz, zwijając smycz.
– I pozdrów ode mnie księżną Huldrekat.

Głowy by nie dał, ale wydało mu się, że Calliope puściła do niego oko, a potem odwróciła się i pobiegła na skałki w pogoni za tłustym szczurem. Od tamtego momentu Antonio już jej nie zobaczył.

Po rozstaniu z Calliope przestał pisać. Zresztą bez niej nie byłby w stanie tego robić. Nic go już nie inspirowało. Wszystko i wszyscy przypominali mu jedynie o Genève. Szukał jej bez wiary i nadziei, przyglądał się tatuażom na dłoniach kobiet, przypatrywał się ekstrawaganckim ulicznym artystkom, wsłuchiwał się w dochodzące z cudzych mieszkań dźwięki fortepianu.

Oczywiście biedny Leo nie mógł się niczego domyślać – zresztą rzeczywistość przerosła by jego wyobrażenia – i codziennie odwiedzał Antonia, próbując przekonać go, aby wrócił do pisania.

– Ostatnią historię, naprawdę ostatnią! – proponował. – Potem pójdziesz na emeryturę i będziesz korzystał z życia i pieniędzy... Wyobrażasz sobie, ile ich zaoszczędziłeś? Dlaczego mieszkasz jeszcze w tej ruderze?

Antonio pogwizdywał, gładząc się po nieogolonej brodzie. Jego myśli poszybowały do pracowni ojca, pełnej nieznanymi łądami i zapomnianymi ludźmi. Jakiś czas temu przez szparę pod drzwiami wsunął klucz ze złamaną końcówką do pokoju tak, aby już nikt nigdy nie mógł uwolnić stamtąd utraconych historii. Właśnie z tego powodu ciągle jeszcze tam mieszkał. Był sam, ale jednocześnie żył w towarzystwie zaginionego świata, zamkniętego w pokoju obok.

Gdy pewnego dnia pod koniec września zawiedziony jak zwykle Leopoldo opuszczał mieszkanie Antonia, na jego progu pojawił się pan Nicotiana i wygrzebał spod wyświechtanej marynarki okazały stosik listów.

– Tylko żebym ich nie znalazł na strychu! – Pogroził mu kościstym palcem.

– Niech się pan nie martwi, szóste piętro jest idealne dla rzeczy pozbawionych znaczenia.

– Widzę, że ciągle pan skory do żartów, panie Fonte! – Portier zarechotał, nieświadomy, że Antonio mówił prawdę. Cóż z tego, skoro i tak nie mógł mu tego udowodnić. Winda dojeżdżała jedynie do piątego piętra.

– Panie Fonte, jakiś pan ostatnio mizerny i markotny. – Z zamyślenia wyrwał go głos pana Nicotiany. – Bardzo mi pana żal! – dodał bardziej ze wścibstwa niż z troski

– Przeżywam nie najlepszy okres – przyznał znużonym tonem Antonio, oparłszy się o framugę drzwi. Była dopiero dziesiąta rano, a on był już podchmielony. A potem dodał bez zastanowienia. – Postradałem zmysły. Jestem teraz lekko stuknięty.

– Ach, a kto nie jest w tym mieście?! Ale dlaczego dopiero teraz pan o tym mówi? Przecież pan zawsze miał nie po kolei w głowie.

– Drogi Goffredo, czy uwierzy mi pan, jeśli powiem, że w tej kamienicy naprawdę istnieje szóste piętro?

Antonio zaczął szeptać, pochyliwszy się w stronę dozorczy. Biedny Nicotiana miał niepewny wyraz twarzy. Bał się, że Antonio zacznie go indagować w kwestii, o której nie miał zielonego pojęcia... Zresztą, byłoby ich wiele.

– Ale tam nie ma żadnego tarasu – mamrotał pod nosem Antonio – jest tylko tajemniczy ład. Wielkie królestwo o nazwie Tirnaïl, gdzie żyją malarze, którzy nigdy nie malują, tancerki, którym nigdy nie było dane zatańczyć i dokąd docierają wszystkie zaprzepaszczone przez nas przedmioty i sprawy. To jest takie dziwne miejsce, panie Nicotiana. Wszystko dzieje się tam na opak. Gdy ktoś rzuca przed siebie kamieniem, w tym samym momencie dostaje nim w plecy.

– Ach tak, tak! – przytakiwał skwapliwie pan Nicotiana, udając, że rozumie,

o co chodzi. Bardzo starał się powiedzieć coś stosownego. – A gdzie wobec tego jest ten taras?

Antonio uśmiechnął się. A potem dopadły go wątpliwości i wybąkał:

– Goffredo, czy mogę pana o coś spytać?

– Wedle rozkazów, szefie.

– Dlaczego na drugim piętrze od dawna już nikt nie mieszka? Mieszkanie od lat stoi puste.

– A, to wszystko przez tego jegomościa. Pamięta go pan? Tego Francuza. Mieszkanie należy do niego, ale od piętnastu lat nie sprzedaje go ani nie wynajmuje. Moim zdaniem zapomniał o nim. Ale kto chciałby tam zamieszkać, panie Fonte? Ciepła woda jest tylko latem, zresztą centralne też. Ta kamienica jest w stanie obstrukcji...

– Destrukcji...

– No właśnie. A poza tym musiałby pan zobaczyć, jak to mieszkanie wygląda. Myszy, strzykawki... Smród jak cholera. Wszystko w rozsypce... Ktoś musiałby je wyremontować, nie sądzi pan? Woda przecieka, jakieś zapiski na ścianach, robale wielkie jak pański nos, za przeproszeniem...

– Zapiski na ścianach? – Antonio uniósł brew.

Mimo zamroczenia miał moment przeblýsku.

– Tak, tak, zapiski na ścianach. To znaczy, że ktoś coś na nich napisał.

– Wiem, co to znaczy... Ale co oni tam napisali?

– A kto to wie? Tutaj wszyscy są pomyleni, już panu mówiłem... – Zaczął kolejny wywód na temat bolączek tego miasta.

Ale Antonio już go nie słuchał. Przeniósł wzrok na sufit, a w głowie zaświtała mu pewna myśl. Zanim jeszcze Nicotiana skończył tyradę na swój ulubiony temat, Antonio chwycił portiera za ramię i prosił, aby pokazał mu mieszkanie na drugim piętrze. Trochę trwało, nim go przekonał, ale kiedy w końcu obiecał, że pozbędzie się wszystkich listów, dozorca wydobył pęk kluczy. Oczywiście daleko mu było do imponującego zestawu Edgara, ale wystarczyło, by otworzyć interesujący ich zamek. Uzbrojeni w latarki, cicho jak złodzieje wsunęli się do starego mieszkania.

Prezentowało się fatalnie, w pierwszej chwili Antonio pomyślał, że weszli do kanalizacji i nie zdziwiłby się, gdyby znalazł tam bagienną roślinność i aligatory. Mieszkanie miało mniej więcej taki układ jak jego i pisarz bez trudu się po nim poruszał. Rozgorączkowany przechodził z pokoju do pokoju, oświetlając ściany latarką, depcząc po odłamkach rozbitych szklanek, gazetach, zasuszonych skórkach od pomarańczy i niedopałkach.

To, czego szukał Antonio, znalazł pan Nicotiana. W salonie.

– Tu są! Niech pan czyta! Antonio miał przez chwilę wrażenie, że serce wyskoczy mu z piersi.

– Jest napisane: „Do cudzołożnika”!

Antonio podbiegł do niego i znieruchomiał, przez chwilę zapomniał oddychać. Teraz już zupełnie wytrzeźwiał.

Na ścianie nie było napisane „Do cudzołożnika”, ale „Do cudzoziemca”.

I te słowa przywróciły go do życia.

Historia cudzoziemca i dziewczyny znad rzeki

Pewnej letniej nocy, przed kilkoma laty cudzoziemiec poznał na brzegu rzeki dziewczynę.

On uwielbiał cmentarze i historie o duchach, zastanawiał się, kim chciałby zostać i obawiał się, że kiedyś stanie się taki jak jego ojciec.

Ona podróżowała po świecie, zarabiając na życie grą na anielskich organach, bała się ważek i marzyła o tym, by dotrzeć na skraj świata.

Spędzili ze sobą jedną noc, która na zawsze odmieniła ich życie, a jednak o świecie, każde z nich obróło własną drogę. Rozstali się i prawdopodobnie do dziś zastanawiają się, dlaczego.

On nigdy już nie wrócił na brzeg rzeki, ale ona przez kolejne sześć lat przyjeżdżała w to samo miejsce i w tłumie przechodniów wypatrywała jego spojrzenia. Tak bardzo pragnęła go zobaczyć, że czasami wydawało jej się, że go widzi, ale było to tylko złudzenie.

Do tej pory dziewczyna znad rzeki była wolna jak wiatr, ale teraz na samą myśl o cudzoziemcu czuła się związana z miejscem, w którym się poznali i było to nieznane jej dotąd uczucie. W czasie ostatniego pobytu nad rzeką spotkała dość niezwyklego mężczyznę. Nie miał na głowie burzy włosów i nie był tak fascynujący jak jej cudzoziemiec, ale zaskoczył ją intensywnym, przenikliwym spojrzeniem, kryjącym dobro i zło. Przystanął w pewnej odległości i przysłuchiwał się jej grze.

Dziewczyna poczuła strach.

Kiedy wieczorem spacerowała po nadrzecznym bulwarze, zorientowała się, że tajemniczy człowiek depta jej po piętach.

– Nie bój się – przemówił do niej w swoim języku. – Słyszałem, jak grasz. Jesteś dobra. Interesuje cię może angaż?

– Angaż na kilka wieczorów?

On uśmiechnął się.

– Nie. Praca w zawodzie złodziejki zagubionych historii.

Dziewczyna roześmiała się poirytowana i odeszła. Wsiadła do pociągu jadącego na południe. Kiedy dotarła na miejsce, okazało się, że jegomość czekał na nią na stacji.

Udało jej się przemknąć niepostrzeżenie i wsiąść do kolejnego pociągu. Była przekonana, że tym razem mu się wymknie, ale gdy po kilku godzinach wysiadła

w odległym mieście, przekonała się, że mężczyzna nie przestał jej śledzi.

– Czego chcesz? – spytała.

– Chcę tylko, abyś robiła to, co potrafisz najlepiej. Żebyś podróżowała, poznawała nowe miejsca i ludzi i podkradała dla mnie ich utracone historie.

– Ale o czym ty mówisz? Czym są utracone historie?

– To zagubione historie zwykłych ludzi, które można usłyszeć, krążąc po świecie. Nie te przeczytane w gazetach czy uwiecznione w książkach, ale zwyczajne historie ludzkich losów, które wraz ze śmiercią ich bohaterów uległy zapomnieniu.

– I po co miałabym to robić ?

– Ponieważ żadna ludzka historia nie jest zwykła i żadna nie zasługuje na pogrzebanie. Wydobywając je z niepamięci, przywracamy je do życia.

Ona chwyciła swoją walizkę z harfą szklaną i miała zamiar się oddalić, ale wtedy tajemniczy mężczyzna krzyknął za nią na odchodne.

– Czy byłaś już kiedykolwiek w tym mieście? Nie? No to świetnie. Wszystko będzie jeszcze prostsze. Zrób tak, jak ci powiem. Nie używaj mapy, nie czytaj nazw ulic i nie pytaj nikogo o drogę, idź przed siebie z pochyloną głową. Kiedy się zgubisz, trafisz na wieżę z zegarem pozbawionym godzin i wskazówek. Tam się spotkamy.

Dziewczyna znad rzeki była bardzo ciekawa świata i słowa mężczyzny ją zaintrygowały. Postanowiła zaryzykować. Zgubiła drogę, krążąc po ulicach nieznanego miasta, i w końcu trafiła do wieży.

Na szczęście to tylko opowieść, a wszystkie opowieści kryją w sobie odrobinę magii. Snują o rzeczach niewiarygodnych, istniejących wbrew wszelkiej logice i naturze, ukrytych w najodleglejszych zakątkach świata. Ona odnalazła jedno z takich miejsc. Tirnaïl – Królestwo Rzeczy Utraconych.

Dziewczyna zaczęła pracować dla mężczyzny, choć on nigdy nie zdradził jej swojego nazwiska. Nazywała go więc Gnojkiem. Nie budził jej zaufania, ale ekscytował ją pomysł podróżowania po świecie, przemierzania bez celu tysięcy dróg. Jej zadaniem było odkrywanie wszystkiego, co kiedyś istniało i powoli ulegało zapomnieniu. Dotyczyło to zarówno osób, jak i miejsc. Z tymi drugimi szczególnie dobrze sobie radziła. Odnajdywała stare zamki kościoły, kopalnie, ogrody i lasy, a nawet całe opustoszałe miasta...

Potem opowiadała ich historie Gnojкови w jego wieży, a on wysyłał je do Tirnaïl.

Dziewczyna była niecierpliwa, przy każdym spotkaniu błagała, by pokazał jej Królestwo Rzeczy Utraconych albo chociaż zdradził, jak tam dotrzeć. Gnojek twierdził, że nie była jeszcze gotowa, że najpierw musi zdobyć jego zaufanie. Wtedy jeszcze bardziej zaangażowała się w pracę.

Pierwsze dwa lata bardzo jej się podobały. Zawód złodzieja utraconych historii jest wręcz wymarzony dla osób wolnych duchem, kochających piękno

i życie.

Któregoś dnia Gnojek odnalazł dziewczynę w samym środku półwyspu Synaj. Wyruszyła tam w poszukiwaniu starego, opuszczonego kina na świeżym powietrzu o nazwie La tête dans les étoiles, wybudowanego wiele lat wcześniej w samym sercu pustyni. Gnojek przysiadł się nieoczekiwanie i wpatrując się w biały ekran, oświadczył, że ma dla niej delikatne zlecenie.

– Teraz będziesz miała okazję zdobyć moje zaufanie. Jeśli dobrze się spiszesz, otrzymasz prawo wstępu do Tirnail.

Wyjawił jej również coś, co ona dawno już podejrzewała, a mianowicie, że nie była jego jedyną współpracownicą. Gnojek miał wielu agentów, rozrzuconych po całym świecie. Odkrył, że jeden z nich nieuczciwie sobie z nim pogrywał. Zamiast przekazywać ukradzione historie, zatrzymywał je dla siebie i dzielił się nimi z synem. Gnojek chciał je odzyskać, za wszelką cenę.

– To nieproste zadanie. Nie chodzi o to, by ukraść zagubioną historię, ale by ukraść wiele ukradzionych historii.

Pokazał jej zdjęcie mężczyzny.

– Nie ma sprawy – odparła bez wahania.

Potem pokazał jej zdjęcie syna. Dziewczyna znad rzeki natychmiast rozpoznała na nim poznanego prawie dziewięć lat wcześniej cudzoziemca i poczuła się tak, jakby przypomniała sobie cudowny, stary sen.

– Znam tego człowieka, a on zna mnie. Nie mogę tego zrobić.

– Wręcz przeciwnie, to duży plus. Łatwiej ci będzie się do niego zbliżyć. Problem stanowi jego ojciec, mógłby się od razu zorientować, kim jesteś i co tam robisz. Ten człowiek jest zawodowcem.

– Nie mogę tego zrobić – powtórzyła dziewczyna.

Przez moment siedzieli w milczeniu pośrodku bezkresnej pustyni.

– Dobrze go znasz?

– Przegadaliśmy kiedyś całą noc, osiem lat temu.

On wybuchnął śmiechem, a ona posłała mu nienawistne spojrzenie.

– A więc wystarczy, że będziesz udawała, że go nie pamiętasz.

Dał jej wskazówki, jak powinna zmienić swój wygląd i co robić. Zapewnił, że już o wszystko zadbał, wynajął mieszkanie dokładnie nad mieszkaniem syna swojego asystenta. Na nazwisko Poitier. Przybrane nazwisko, oczywiście. Ona spytała, w jaki sposób ma wywiązać się z zadania, jeśli nie wolno jej będzie zbliżać się do obu mężczyzn. Gnojek odparł, że przewód wentylacyjny jest zepsuty i wszystko przez niego słychać. W każdy piątek ojciec przychodzi do syna w odwiedzinę i opowiada mu ukradzione historie. Wystarczy nadstawić ucha.

– Nie chcę zrobić mu krzywdy.

– Nie zrobisz. Powiedziałem ci już, że nie masz ukraść ich historii. Musisz tylko sprawić, aby historie, które ojciec opowiada synowi, wróciły do mnie.

Otrzymasz za to odpowiednią rekompensatę.

– A gdybym odmówiła?

On wstał i zaczął zbierać się do wyjścia.

– Zrobi to ktoś inny. Gdybyś się zdecydowała, wiesz, gdzie mnie szukać.

Całymi dniami i nocami dziewczyna znad rzeki zastanawiała się nad tym zbiegiem okoliczności i niepowtarzalną propozycją. W końcu zdecydowała się przyjąć tę pracę.

Nie było to jednak takie proste. Myślała, że była wściekła na cudzoziemca, ponieważ pozwolił jej odejść, ponieważ nigdy nie wrócił do miejsca, w którym wszystko się między nimi zaczęło, ponieważ o niej zapomniał. Bardzo się jednak myliła...

Z mieszkania piętro niżej słyszała wszystko. Historie, które ojciec opowiadał synowi, powieść, czytaną ojcu przez syna... Kryształową Noc... Książka opowiadała historię dziewczyny znad rzeki i cudzoziemca, mówiła o nich. On o niej nie zapomniał i w pewnym sensie nigdy od niej nie odszedł.

Dziewczynie z coraz większym trudem przychodziło udawanie, że go nie znosi, w gruncie rzeczy z każdym dniem bardziej go kochała.

Z czasem zrozumiała, że popełniła niewybaczalny błąd. Nie miała już ochoty zajmować się zagubionymi historiami, Tirnaïl i Gnojkiem. Nie chciała pozbawiać obu mężczyzn wspólnie spędzanych chwil i ich historii. Dla nich były one cenne jak życie, nie miała prawa im tego robić.

Tak więc na kilka miesięcy przestała odwiedzać Gnojka i opowiadać mu, co usłyszała. Którejś nocy mężczyzna pojawił się na jej progu. Był wściekły i doszło do awantury. Gnojka nie obchodziło, co myślała dziewczyna, żądał tylko tych przeklętych historii. Ona powiedziała, że nigdy mu ich nie odda i żeby się raz na zawsze od niej odpieprzył.

– W tej sytuacji zabiorę ci je siłą, razem z wszystkimi twoimi wspomnieniami
– wycedził facet, przysuwając się do niej w sposób, który przeraził dziewczynę.

– Pozbawię cię wspomnienia twarzy twojej matki i tego, co czułaś po śmierci rodziców, pamięci miejsc, które odwiedziłaś, dźwięku kryształowych kieliszków i oczu cudzoziemca tamtej letniej nocy. Z twojego życia nie pozostanie nic. Będiesz nikim i zapomnisz nawet, jak ci na imię.

Na dźwięk tych słów uświadomiła sobie, co znaczy strach. Ten mężczyzna był niebezpieczny, sama widziała, jak za jego sprawą niektórzy ludzie, a nawet całe rodziny przepadały w nicości, potrafił zmiatać setki ludzkich istnień z powierzchni ziemi. Przerażona dziewczyna postanowiła ze sobą skończyć. Zażyła leki, piła, by o wszystkim zapomnieć. Wolałaby umrzeć, niż utracić wspomnienia z całego swojego życia.

Uratował ją cudzoziemiec. Zdolał przywrócić ją do życia, a ona nawet mu nie podziękowała, choć bardzo tego pragnęła....

Kiedy okazało się, że przeżyła, poczuła, że może tak trwać beczynn timer. Uciekła ze szpitala i czekała pod drzwiami cudzoziemca. O świcie pojawił się w nich jego ojciec. Stary czuwał przy łóżku syna przez całą noc. Gdy ją zobaczył, od razu zrozumiał, w czym rzecz.

Dziewczyna znad rzeki i stary ojciec wypili herbatę w barze niedaleko morza, gdzie ona wszystko mu opowiedziała. Słuchał jej przez wiele godzin i starał się jej nie oceniać, w gruncie rzeczy byli do siebie bardzo podobni. Potem zastanawiali się, co zrobić, by uratować siebie i cudzoziemca.

– Z kim mamy do czynienia? – spytała dziewczyna, mając na myśli Gnojka.

– Nie wiem, nie mam pojęcia, kim naprawdę jest ten człowiek. Posiada jednak ogromną władzę i nie odróżnia dobra od zła. Nie jesteśmy w stanie go pokonać, w każdej sytuacji będziemy przegrani.

Czuła, że ojciec miał rację. Oboje bardzo się bali.

– Muszę zapomnieć – zakończył stary po długim zastanowieniu. Wydawał się niezmiernie smutny, ale przekonany o swojej decyzji. – Muszę pozbyć się wszystkich związanych z nim wspomnień i zebranych historii, wszystkiego, co łączy mnie z Tirnaïl. Jeśli chce pozbawić mnie życia – a on zawsze osiąga to, na czym mu zależy – to przynajmniej ja zdecyduję, co zostanie, a co rozmyje się w niepamięci.

– Czy ja też muszę zapomnieć?

– Kochasz go? – spytał. – Czy kochasz mojego syna? Bo nie do końca rozumiem, jaką grę do tej pory prowadziłaś. Ale jeśli go kochasz, musisz zapomnieć o Tirnaïl. Tylko w ten sposób on zostawi nas w spokoju. A więc odpowiedz, kochasz go?

Dziewczyna odpowiedziała, a wtedy stary jeszcze bardziej posmutniał. Spytała więc:

– A twój syn? Czy on też zapomni tak jak i my?

– Nie, jemu wystarczy, że zapomni o nas. Nie powinien płacić za błędy i konsekwencje naszych wyborów. Ale na koniec chciałbym jeszcze coś dla niego zrobić.

Dziewczyna znad rzeki i stary ojciec umówili się na popołudnie. Ojciec przyniósł na spotkanie ukrytego pod prochowcem pięknego kota syjamskiego.

– Zawsze pragnął tego cholernego kota, miał na jego punkcie bzika. A on jak już się przy czymś uprze... – powiedział, spoglądając na dziewczynę.

Potem oboje wyruszyli w drogę, nie bacząc, w jakim zacierają kierunku. Dotarli do wieży. Stary ojciec, dziewczyna znad rzeki i kot. Kiedy Gnojek zobaczył ich na progu, zrobił beczelną minę, której ona wolałaby nigdy nie zapomnieć. Niestety, nie było to możliwe.

Stary ojciec jako pierwszy oddał mu swoje życie. Opowiedział historię złożoną z historii – trzydzieści lat spędzonych na służbie w Królestwie Rzeczy Utraconych. Miał niewiarygodnie bogate życie. Podróżował po całym świecie,

przemierzył go wzdłuż i wszerz, odkrywając ostatnie tajemnicze miejsca na Ziemi.

Nie zasługiwał na taki koniec.

– No, to dużo przede mną ukryłeś, stary cwaniaku? – skomentował Gnojek.

– W zamian za te historie musisz mi jednak coś obiecać – powiedział ojciec tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Kiedy nadejdzie odpowiedni moment, dasz mojemu synowi możliwość wyboru. Za jakiś czas postarasz się z nim spotkać i pozwolisz mu zdecydować, czy chce o nas pamiętać, czy zapomnieć na zawsze. Chciałbym oszczędzić mu cierpienia, ale wybór należy do niego. Jeśli będzie pragnął zapomnieć, w zamian za wspomnienia podaruj mu tego kota.

– Co za wspaniały okaz! Gdzie go pan znalazł, szanowny panie? Chyba nie przekradł się pan przez jakieś zagubione drzwi?

– Jestem złodziejem historii od trzydziestu lat, nie potrzebne mi są żadne zegarki! Mogę swobodnie poruszać się po całym Tirnaïl.

– Jednak bez mojego zezwolenia nie może pan nic stamtąd wynieść.

– Oddałem ci całe moje życie, szalbierzu! Rezygnuję z siebie i z mojego syna. Czego ty jeszcze chcesz?

Gnojek zastanawiał się, nie wypowiedziawszy ani słowa. Potem zgodził się na propozycję i zabrał kota.

Teraz przyszła kolej na dziewczynę znad rzeki. Wszystko, co uczyniła jako złodziejka zagubionych historii, miało ulec zapomnieniu... albo trafić do Tirnaïl. Ostatecznie, oddała trzy ostatnie lata swojego życia, ale w zamian otrzymała coś bardzo cennego – możliwość spotkania cudzoziemca w przyszłości.

Po oddaniu swoich historii dziewczyna znad rzeki i stary ojciec na zawsze opuścili wieżę, odeszli, nie oglądając się za siebie. Ona odprowadziła go do położonego nad morzem domu opieki. Mężczyzna czuł się bardzo zmęczony i ona go rozumiała. Pożegnali się na zawsze i życzyli sobie dużo szczęścia.

Dziewczyna znad rzeki jeszcze na chwilę wróciła do mieszkania, w którym spędziła kilka ostatnich miesięcy. Czarnym pisakiem zapisała na ścianach historię znajomości z cudzoziemcem, tak jak i on swego czasu napisał o nich powieść. Miała nadzieję, że któregoś dnia chłopak odnajdzie tę historię i jej wybaczy.

Ale o tym już niedane jej było się dowiedzieć. Nazajutrz po przebudzeniu miała o wszystkim zapomnieć. Mogła zapamiętać chłopaka jedynie jako piękny sen i żyć w nieświadomości do momentu, kiedy spotkają się po raz ostatni.

I w ten oto sposób złodziejka zagubionych historii sama stała się zagubioną historią. Ale nawet dzisiaj darmo byłoby szukać jej w Tirnaïl. Tej samej nocy, kiedy napisała Historię cudzoziemca i dziewczyny znad rzeki – wyjechała i ukryła się w najdalszym zakątku świata.

Odnalezione historie

Morze było ogromne. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiał i odniósł wrażenie, że widzi je po raz pierwszy, jakby dopiero teraz zaczęło naprawdę istnieć. Odkrycie to bardzo nim poruszyło.

Zmrużył oczy niczym zaciekawione dziecko, które obserwuje gwiazdy i zastanawia się, czy ktoś tam z góry na nie patrzy.

Na tablicy za jego plecami widniał wyryty w skale fragment poezji Luísa de Camõesa:

Cabo da Roca

Aqui...

Onde a terra se acaba e o mar começa[41].

W dole rozciągał się urwisty brzeg – skalisty klif opadający do Atlantyku. Huk i dudnienie rozbijających się fal robiło niemałe wrażenie, przyprawiało o dreszcze. Wiatr targał wszystkim, na co natrafił: wodą, ziemią i powietrzem, utrudniał poruszanie się.

Antonio objął się rękoma i, licząc kroki, spacerował po krańcu Europy. Wyglądał tak, jakby szukał własnych śladów. Kiedy dotarł do białego domku z czerwonym dachem, po raz pierwszy po wielu latach doznał uczucia, którego już nawet nie pamiętał. Gdyby był młodszy uznałby, że to motyle w brzuchu, ale teraz stwierdził, że to raczej wrzody żołądka.

Był mglisty, październikowy dzień, dookoła nawet żywej duszy. Antonio przemierzył zadbaną alejkę wiodącą do latarni morskiej. Wszedł do biura informacji turystycznej, ale również tam nikogo nie zastał. Zbliżała się pora kolacji, pracownicy mieli prawdopodobnie przerwę. Chciał wcisnąć stojący na ladzie dzwonek, ale zmienił zamiar na dźwięk dobiegających zza budynku głosów.

Wyjrzał oknem wychodzącym na ogród. Dojrzał tam mężczyznę wykrawającego dynię na Halloween. Z boku przypatrywała mu się z zaciekawieniem mała dziewczynka. Mężczyzna wziął ją na ręce i pozwolił zanurzyć dłonie w wydrylowanej dyni. Dziewczynka roześmiała się radośnie jak mała czarodziejka. Antonio pomyślał, że w dzieciństwie z pewnością i on tak ufnie spoglądał na ojca.

Przez dłuższy czas obserwował ich z nostalgią, rozczulony tą sielankową scenką i wspomnieniem własnego dzieciństwa. Na ziemię sprowadził go nagle odgłos dzwonka. Do Cabo da Roca przybyła właśnie para amerykańskich turystów. Ona w szarym płóciennym kapelusiku, a on w ciepłych, granatowych skarpetkach i brązowych sandałach. Prosimi o zaświadczenie, że dotarli aż tutaj.

Przycisnęli dwa, trzy razy dzwonek, zaśmiewając się z głośnego echa, które wypełniło całe biuro. Z bocznych drzwiczek, ukrytych za białym murem wyszła kobieta. Była w dość zaawansowanej ciąży, trzymała w dłoni słodkiego obwarzanka. Popatrzyła na nich roześmianym wzrokiem i, trochę zakłopotana, odłożyła ciastko na talerzyk, przepraszając za zwłokę. Rozmawiali, ale Antonio ich nie słuchał. Urzeczony widokiem Genève, dziękował losowi, że mu się udało.

„Warto było o tobie pamiętać”, pomyślał z dumą. Nie była już chudą i bladą dziewczyną, ale promienną i obfitą w kształtach kobietą. Była szczęśliwa. Antonio upajał się jej szczęściem. Miała trochę krótsze włosy, ubrana była w białą sukienkę i błękitny sweter. Nanosiła nazwiska turystów na oficjalny certyfikat z Cabo da Roca i nie mogła się powstrzymać, by od czasu do czasu nie ugryźć ciastka. Przystawiła lakową pieczęć, pogratulowała im i poprosiła, aby wpisali się do księgi gości.

Antonio, który do tego momentu przyglądał im się z boku, uczynił kilka nieśmiałych kroków. Przystanął, kiedy z bocznych drzwi wychyliła się dziewczynka. Mała rzuciła się do nóg Genève i prosiła ją o coś po portugalsku. Genève pokręciła przecząco głową, ale jednocześnie śmiała się z zabawnych min córeczki, która odeszła nadąsana.

Kiedy zostali sami, pozdrowiła go po portugalsku, ale Antonio odpowiedział jej po włosku.

– Och, *bene! Italiano!* Mój ojciec był Włochem – odrzekła z uśmiechem, ocierając serwetką usta.

Ze schowka za plecami wydobyła certyfikat dla Antonia. Kremowy pergamin, ozdobiony rysunkami przedstawiającymi latarnię morską, busolę i zegar słoneczny. Zaświadczenie było już gotowe, należało wpisać jedynie datę, a także imię i nazwisko przybysza.

Genève zanurzyła gęsie pióro w atramencie i spytała Antonia, jak się nazywa.

– Antoine Tomojsprawa – odpowiedział beznamiętnie.

Ona rozbawiona uniosła brew.

– Prawdziwy Włoch z pana. Czy podoba się panu na końcu świata?

– Tak, bardzo – odpowiedział Antonio z powagą.

– Latem jest tu jeszcze ładniej. O zachodzie słońca niebo tonie w kolorach, można odnieść wrażenie, że przebywa się w wielu miejscach naraz.

Ta bliskość sprawiała mu ból. Wiedział o niej wszystko, kochał ją i znał

historię, która łączyła ich przez dwadzieścia pięć lat. Ona nie wiedziała nic. Nie wolno mu było jej nawet dotknąć.

Kobieta wpisała datę, a potem przez chwilę machała arkuszem, żeby wysuszyć atrament i podała go Antoniowi.

– Proszę bardzo, szanowny panie...

Po raz pierwszy od kiedy przekroczył te progi spojrzeli sobie w oczy.

Ona zastygła z dłonią zawieszoną w próżni, a Antonio składał kartkę.

– Dziękuję pani.

Pisarz uczynił kilka kroków w stronę wyjścia.

– Proszę poczekać. – Genève wstała.

Antonio próbował uniknąć jej pytającego spojrzenia, ale ona nie odpuszczała. Obeszła ladę i zbliżyła się do niego, zmuszając, by popatrzył na nią o kilka chwil za długo.

W pewnym momencie rozległ się jakiś hałas, a potem radosny głosik dziewczynki i kobieta obudziła się ze snu na jawie.

– Przepraszam, że się tak przyglądam... Może to dziwne, ale bardzo przypomina mi pan kogoś, kogo znałam w młodości. – Kobieta postąpiła kilka kroków naprzód i uśmiechnęła się promiennie. – W Genewie, nad Rodanem. W czasie Świąta Wody, w 1990 roku.

Jej słowa zabrzmiały jak prośba. Niejako pytała go o potwierdzenie, tak samo jak i on wielokrotnie w przeszłości zastanawiał się, czy ona kiedykolwiek istniała.

– Doprawdy? – zapytał, przetykając z trudem. – Ma pani rację, to dziwne. Nigdy w życiu nie byłem w Genewie.

Zbita z tropu, uśmiechnęła się melancholijnie.

– Przepraszam pana, coś mi się widocznie przywidziało. Dlaczego... Dlaczego nie wpisze się pan do księgi i nie podzieli wrażeniami z pobytu na naszej ziemi?

Mimo jego zdecydowanej postawy, przyglądała mu się, jakby była pewna swoich odczuć.

– Dziękuję, z przyjemnością.

Antonio włożył certyfikat do kieszeni i zbliżył się do księgi wyłożonej przy wejściu. Przerzucił strony z wpisami swoich poprzedników. Zawsze lubił czytać słowa innych ludzi, wyławiać fragmenty ich historii, odkrywać, co po sobie zostawili i co pozostało po ich podróżach.

Chwycił za długopis i pod datą 20 października napisał: „Ładne biuro i ładna kraina”. Odłożył długopis i wyszedł. Bił się z myślami i po trzydziestu sekundach zawrócił w połowie ścieżki. Genève stała ciągle w tym samym miejscu, być może na niego czekała.

Tym razem Antonio nie starał się unikać jej wzroku. Wcześniej, kiedy

zobaczył mężczyznę i dziewczynkę i zauważył, że Genève jest w ciąży, nie śmiał jej się przyglądać. Ale teraz nie był już w stanie nad sobą zapanować. Uśmiechnął się ze smutkiem, tak samo jak uśmiechała się kiedyś Genève. Nie mieli czasu do stracenia i nie było już nad czym się zastanawiać.

Antonio i bezimienna kobieta wpatrywali się w siebie przez dziesięć sekund. Nie potrzebowali słów, by opowiedzieć sobie historię, którą ona swego czasu zmuszona była zapomnieć, a on w imieniu ich obojga zapamiętał. Spojrzeniem opowiedział jej o Tirnail, o tym wszystkim, co po drodze utracił i co odkrył, po to tylko by odnaleźć ją na końcu świata... Ją prawdziwą, a nie złudzenie, wspomnienie snu lub marzenia, które być może jeszcze do dziś tłukło się gdzieś po nieistniejącej już krainie. Antonio podszedł ponownie do księgi, wziął do ręki długopis i jeszcze coś dopisał. Kiedy skończył, odwrócił się, by spojrzeć na nią po raz ostatni, uklonił się i zniknął. Bezimienna kobieta pobiegła przeczytać, co napisał cudzoziemiec w księdze gości.

Oddałbym wszystkie zebrane historie i te, które jeszcze wymyślę, by móc cofnąć się do tej letniej nocy i raz jeszcze usłyszeć, jak grałaś na anielskich organach.

Już wiem, kim chcę zostać, jak dorosnę – chcę być taki, jak mój ojciec.

Kobieta wybiegła z biura, które było jednocześnie jej mieszkaniem, ale na zewnątrz nikogo już nie zastała. Dojrzała jedynie lekką mgłę. Wybuchnęła śmiechem i płaczem. Nie wiedziała, czy była smutna czy szczęśliwa. W końcu – ciągle jeszcze niezdecydowana – uśmiechnęła się i weszła do środka.

– Widzisz tato, jak się pospieszyłem? Tak jak obiecałem. Przywiozłem ci śnieżną kulę. Mama zawsze bardzo je lubiła.

Antonio wziął do ręki litery K i B i ułożył z nich słowo „klębek”. Sam nie wiedział, dlaczego grali w Scrabble, skoro Alzheimer zredukował jego ojca do stanu bezwolnej kukły. Jedyнным dowodem na to, że jeszcze żył był niezrozumiały, stłumiony bełkot. Wydawał go z siebie jak magiczną formułę, od rana do wieczora. Wodził bezwiednie oczami to w prawo, to w lewo, jak w opętańczym tańcu. Raz po raz chwycił do ręki jakąś literę i próbował układać słowa. Były one pozbawione sensu, ale Antonio wyczuwał, że za tymi bezsilnymi próbami kryła się jeszcze ogromna wola życia.

– Lucia powiedziała mi, że w ostatnich dniach byłeś bardzo dzielny. Wszystko jadłeś i odbyliście nawet kilka spacerów po Willi.

Antonio ułożył słowo „dżdżownica” i był z siebie bardzo dumny. Wbił wzrok w planszę do gry. Wszystkie te puste, pozbawione życia słowa były niczym w porównaniu z historiami jego ojca.

Wiedział, że nigdy nie zapomni momentu, kiedy po raz pierwszy znalazł się w hospicjum, w kilka godzin po tym, jak przeczytał na murze wiadomość od Genève. Pielęgniarski mówił o splątkach neurofibrylarnych, spadku acetylocholino i odleżynach. Co miały one wspólnego z jego ojcem? I te rany cuchnące jak śmierć.

Usiadł naprzeciw niego, uśmiechnął się i uściskał mu lodowatą dłoń. Natychmiast też zrozumiał, że to nie Alzheimer ani żadna inna choroba o trudnej do wymówienia nazwie pokonała jego ojca, ale hrabia Vladimir, który powrócił z Tirnaill i wysłał z niego radość i nadzieję, dzięki którym przez całe życie dzielnie stawiał czoła chorobom i porażkom. Antonio pożegnał się i obiecał, że niedługo wróci.

W domu wyważył natychmiast zamek od drzwi pracowni ojca i po piętnastu latach wreszcie je otworzył. Uporządkowanie gabinetu zabrało mu pięć dni, czuł się jakby znowu znalazł się w Tirnaill. W pokoju było dosłownie wszystko... Nie tylko historie zaginione, ale także te odnalezione.

Portret Ester, narysowany przez Antonia Fontego tego wieczoru, gdy po raz pierwszy ujrzał ją tańczącą w teatrze, akt ślubu jego rodziców, a także jego akt urodzenia, stare fotografie, wśród nich również te przedstawiające ojca i pana Conte, a także zdjęcia z przyjęcia w Willi Ebe, wycinki z gazet na temat hrabiego-wampira, czarny notes, w którym ojciec zapisał swoje pierwsze zagubione historie, zeszytik z obliczeniami matki, w którym Antonio napisał swoje pierwsze opowiadanie, baletki i spódniczka do tańca klasycznego Ester, płótna ojca, serigrafia obrazu Edgara Ende, zapasowe klucze od fiata pandy, jego ślubna obrączka oraz obrączka Marguerite – rzuciła nią w niego, gdy odkryła, że nigdy jej nie kochał, przybory kosmetyczne z czasów, gdy przywracał urodę nieboszczykom, częściowo spalony rękopis *Kryształowej Nocy*... Wszystko, co zamknął na klucz tej pamiętniej nocy 17 grudnia 1999 roku, po tym, jak opowiedział swoją historię Kolekcjonerowi. Wszystko, co mogłoby obudzić wspomnienia. Wszystko, co odnalazł w Tirnaill.

Jeśli winda stanowiła jego zagubione drzwi, pracownia ojca oznaczała drzwi odnalezione. Dopiero teraz, kiedy segregował te przedmioty i napełniał nimi worki na śmieci, kiedy odkurzał, zamiatał i kilkakrotnie mył detergentem podłogi, naprawdę opuszczał Królestwo Rzeczy Utraconych. Wreszcie poczuł się wolny i lekki, a jednak ciągle pozostawał sobą.

Zachował cenne pamiątki i wyrzucił rzeczy, które mogłyby przynieść mu szkodę, nie zapominając jednak o ich istnieniu. Wśród nich był również otrzymany od ojca chrzestnego zegarek. Wszystkie godziny wróciły na swoje miejsce, ale zegarek, który przestał już chodzić nie był mu do niczego potrzebny.

Zapisał w zeszycie opowieści, którymi pokryte były ściany pracowni. Potem na nowo pomalował mury, pozostawiając jedynie historię Santiago, króla Jerzego III i księżnej. Zawiesił rzadką serografię Edgara Ende zatytułowaną *Mit*

dem Pfeil i portret Salvadora Dalego z zakręconymi do góry wąsami – w rzeczywistości malarz został na nim sfotografowany do góry nogami, z opuszczoną głową. Narysowany przez ojca portret Genève włożył w ramkę do zdjęć, tę samą, w której swego czasu go odnalazł. Oprawił również rysunek tańczącej matki i powiesił go na ścianie. W doniczkach za oknem posadził stokrotki. Zatrudnił pielęgniarkę, kupił wózek inwalidzki, łóżko ortopedyczne z materacem przeciwoleżynowym, butlę z tlenem i zestaw do wlewów dożylnych.

Kiedy skończył, pojechał po ojca do hospicjum i zabrał go tam, gdzie było jego miejsce – do domu. Zanim wybrał się na skraj Europy, odczekał jakiś czas, by upewnić się co do kompetencji pielęgniarki.

– Szybko się uwinąłem, ponieważ od razu ją spotkałem. Była tam, gdzie powiedziała, że będzie – w Portugalii, na samym końcu świata. Tak jak przepowiedziała stara Cyganka.

Antonio oczywiście wszystko mu opowiedział. Chciał, żeby ojciec czuł, że w tym uczestniczy, że jeszcze go dotyczą wszystkie ziemskie sprawy... Nawet teraz, a może przede wszystkim teraz.

– Mmm...

Antonio przyglądał się uważnie twarzy ojca z nadzieją dostrzeżenia jakiegokolwiek reakcji.

– Odnalazłem ją. Odnalazłem Genève Poitier. – Antonio uśmiechnął się na wspomnienie jej twarzy rozświetlonej nigdy niegasnącym, wewnętrznym światłem. – Była piękna jak zawsze i była szczęśliwa. Ma wspinałą rodzinę. Wszyscy razem tam mieszkają, na końcu świata. I tak jest dobrze. Być może ze mną nie byłaby szczęśliwa, a ja nie byłbym szczęśliwy z nią.

– Mmm...

Antonio nie odrywał oczu od rozłożonej na stole planszy Scrabble, choć jego myśli zaprzętało przede wszystkim wspomnienie oczu Genève.

– Przypomniała sobie o mnie. Mimo upływu czasu jeszcze mnie pamiętała... – wyszeptał, myśląc, jak i tym razem zdołała go oczarować. – Po raz kolejny ją utraciłem, ale nie musisz się martwić, nie jestem aż tak roztargniony. Teraz sprawy mają się inaczej, ponieważ to ja pozwoliłem jej odejść. I tak musiało być. Nie zrobiłbym tego, gdybym jej tak bardzo nie kochał.

Antonio przyknął oczy – był pewien tego, co powiedział. I dopiero teraz poczuł, że Genève naprawdę do niego należała. Kiedy ponownie rozchylił powieki, uśmiechał się.

– W zamian odnalazłem ciebie i już nigdy cię nie opuszczę, nigdy nie pozwolę ci odejść. Tym razem ci tak łatwo nie pójdzie.

– Mmm...

– Tato?

Ojciec rozplótł złożone jak do modlitwy dłonie. Jedną z nich z wielkim trudem wyciągnął w stronę syna. Była blada i pomarszczona. Ścisnął go za palce i przytaknął ruchem głowy. W ten sposób dał mu do zrozumienia, że wie o czym mówi i że jest z niego dumny.

[41] Portug. *Tu... ziemia się kończy, a morze zaczyna* – przyp. tłum.

Trawa na wzgórzu oddycha...

Bar w porze aperitifów był zatłoczony. Uwielbiał bary – wymarzone miejsca dla miłośników historii. Kiedy dwójka przyjaciół spotyka się po latach, by porozmawiać, jak im się wiedzie, nigdy nie umawia się w restauracji, centrum handlowym lub parku ani nawet na domowym tarasie przy talerzu makaronu *ziti alla genovese*[42], nawet jeśli byłby najlepszy na świecie. Wszyscy starzy przyjaciele spotykają się w barach.

Był rześki, grudniowy poranek, po raz pierwszy w tym roku dawało się odczuć mroźny podmuch zimy. Wiatr dął w kierunku morza i unosił fale. Wzburzone bałwany widoczne były nawet z odległości kilku kilometrów.

Gęsta mgła ścieliła się nisko, sprawiając wrażenie, że oto otwarły się wrota zaświatów i całe zastępy duchów wypełniły ulice miasta. Wczesnym rankiem pierwszy śnieg oprószył szczyt Wezuwiusza. Wyglądał teraz jak gigantyczna babka *pandoro*, nadgryziona przez niskie chmury.

Antonio siedział przy stoliku wciśniętym w róg pomieszczenia. Obserwował mężczyzn, kobiety i dzieci rozprawiających o nadchodzących Świętach. Popijał jak zwykle ciepłe mleko i starał się wyobrazić sobie życie tych ludzi, zastanawiał się, kim z nich chciałby być. Jego wybór padł na sześciolatniego chłopca, pochylonego razem z sędziwym dziadkiem nad pucharem czekoladowego *frappè*. Jemu zazdrościł najbardziej.

Nieoczekiwanie podeszła do niego jakaś dziewczyna z nadąsaną miną. Miała czarne włosy, jasną, nieomal białą skórę i ucho przekłute piercingiem. Poprosiła o autograf. Pochłonięty własnymi myślami Antonio podpisał egzemplarz swojej ostatniej powieści pełnym imieniem i nazwiskiem – Antonio Maria Fonte, a dziewczyna podziękowała i odeszła. Pisarz uśmiechnął się i, pociągnawszy kolejny łyk mleka, wpatrywał się w rozmigotane bożonarodzeniowe dekoracje, świetlne kaskady i wijące się wśród ulicznych latarni girlandy.

– Wspaniale się prezentują, nieprawdaż?

Zaskoczony, podniósł głowę na dźwięk głosu dobiegającego zza jego pleców. Wstrzymał na chwilę dech.

– W tym roku się postarali – odparł wreszcie.

Mężczyzna pokiwał głową, wbijając w niego uważne spojrzenie błękitnych oczu. Ruchem głowy wskazał na puste krzesło przy stoliku.

– Wolne?

– Oczywiście, że nie. Nie widzi pan Benjamin, mojego wymyślonego przyjaciela?

Mężczyzna uśmiechnął się pod nosem, przebierając palcami. Wyglądał jak jeden z tych starych przyjaciół, z którym można umówić się na kawę. Jeden z tych, którzy po latach, jakby nigdy nic, zaczynają rozmowę od: „Ale, pogoda, co?”.

– Może spadnie śnieg – uprzedził go Antonio. – Mam nadzieję, że tak. Bardzo lubię, gdy jest biało.

– Ma pan jakieś plany na święta, panie Fonte?

Antonio nie odpowiedział. W tym momencie przeżuwająca pulchna kelnerka sprzątnęła mu sprzed nosa pustą filiżankę, pytając, czy ma jeszcze na coś ochotę. Antonio pokręcił przecząco głową i w napięciu wyczekiwał, czy zwróci się również do siedzącego przy stoliku mężczyzny.

Okazało się, że tak.

– A czy pan może sobie czegoś życzy?

– Nie, dziękuję. Staram się pozbyć kilku kilogramów.

– Ja też! – odpowiedziała pełnym zrozumienia tonem.

– Mógłbym pani w tym pomóc. Pozbywanie się różnych rzeczy to moja specjalność. – Mężczyzna puścił do niej oko, a kelnerka odeszła z głupawym uśmiechem na twarzy.

– A więc okazuje się, że przynajmniej pan istnieje – skomentował, speszony tym nieoczekiwanym najściem Antonio.

– A dlaczego by nie? Ja uwielbiam istnieć.

– Dlaczego pan tutaj przyszedł?

– Ponieważ bary to najlepsze miejsca dla amatorów ludzkich historii.

– Wiele jest barów w tym mieście.

– Ale tylko jeden opowiada pańską historię, panie Fonte. Właśnie ten. Jestem tu z pana powodu – odrzekł ściszym głosem mężczyzna i ruchem głowy dał mu do zrozumienia, że chciałby porozmawiać na osobności. – Szukałem pana, ponieważ mam dla pana propozycję pracy.

– Pracy? – spytał z powątpiewaniem Antonio i popatrzył na niego niechętnie.

– Miałbym pracować dla pana?

Mężczyzna odczekał, zachowując przy tym wymowne milczenie.

– Już prędzej powinienem pana po prostu zabić – powiedział Antonio tonem tak obojętnym, jakby prosił o podanie cukru. – Za to wszystko, co mi pan zrobił, za to, czego mnie pan pozbawił. Za to, co zrobił pan najbliższemu mi osobom, wystawiając je na cierpienie. Powinienem pana zabić i już.

– Mógłby pan spróbować, panie Fonte, ale nie ręczę, że by się panu udało. Nie jestem pewien, czy ja w ogóle mogę umrzeć. Przede wszystkim jednak, ja pana niczego nie pozbawiłem. Wręcz przeciwnie, uważam, że wszystko panu

przywróciłem.

– Ale o czym pan właściwie mówi?

– O Genève. To ja ją do pana posłałem. Gdyby nie ja, pozostałaby dziewczyną znad rzeki. I o pańskim ojcu... Jak pan myśli, czyja to zasługa, że pojawił się w mieście dokładnie w momencie, kiedy wrócił pan z północy? Ja panu nic nie zabrałem. To pan dawno temu zrezygnował z tych osób.

– Nie podzielam pana argumentacji. Mój ojciec sam zapracował sobie na swój los i przyczynił się do zguby całej naszej rodziny, zostając złodziejem zagubionych historii. A Genève ryzykowała życie z własnej winy.

– To prawda. Przyznaję, że tamtej nocy również mnie zaskoczyła swoim czynem. Ale to cena, jaką płacę, zatrudniając asystentów o pewnym typie osobowości. Tak się składa, że lubię artystów, ponieważ oni najbardziej nadają się do tej pracy. Ale artyści są szaleni. Nieprzewidywalni, uparci i egocentryczni. Taki był również pański ojciec. Gdyby nie zaczął dla mnie pracować, marnie by skończył. Własnoręcznie odebrałby sobie życie. Ja go uratowałem, ale to był naprawdę trudny, obsesyjny człowiek, jak już się na coś zafiksował, nie potrafił odpuścić.

– Jest – sprecyzował poirytowany Antonio. – Fakt, że mój ojciec nie może się już panu do niczego przydać, nie oznacza jeszcze, że nie żyje.

– Ależ naturalnie. A jak on się czuje?

– Dobrze. Jest jak roślina. Jak, dajmy na to, kaktus, tyle tylko, że pozbawiony kolców. – Antonio zrobił przerwę, starając się powstrzymać atak furii.

– Swego czasu mógł pan sprawić, by wszystko potoczyło się inaczej...

– A niby z jakiego powodu? Nie zależy mi na tym, aby sprawy potoczyły się lepiej lub gorzej, ale by trafiły do Królestwa Rzeczy Utraconych. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby osiągnąć ten cel. W tym przypadku to pan umożliwił mi jego realizację i dlatego teraz tu jestem. Potrzebuję pana. Moim zadaniem było przybycie do tego baru oraz sprawienie, by również pan tutaj przyszedł, i musi pan przyznać, że wywiązałem się z niego celująco.

Antonio nie wiedział, co odpowiedzieć. Nawet jeśli ten wywód miał swoją logikę, wydawał mu się po prostu nieludzki. Choć z drugiej strony nie powinno go to dziwić. Od samego początku tego spotkania zastanawiał się, czy siedząca przed nim posągowa i chłodno uśmiechnięta postać miała w sobie cokolwiek z człowieka.

– Chciałbym pana o coś zapytać, choć podejrzewam, że będzie pan unikał odpowiedzi.

– Bardzo proszę.

– W czasie mojego pobytu w Tirnaill spotkałem pewnego człowieka. Określano go mianem Wielkiego Zegarmistrza. Mieszkał w wieży i jego sekretarką była kobieta-żółwica. Jestem przekonany, że to właśnie pana tam spotkałem.

Dlaczego przyjął pan wówczas postać starca?

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Jasne, byłem tego pewien. Dobrze. Rozumiem, że nie tędy droga, spróbuję więc inaczej. Co takiego pan ze mną zrobił? Zahipnotyzował mnie pan?

– Byłoby to niewątpliwie najwygodniejsze rozwiązanie w przypadku takiego racjonalnego umysłu, ale pan jest człowiekiem wnikliwym i nie daje się nabrać na banały. Istnieje to, w co wierzymy, panie Fonte. Niektóre z tych rzeczy są bardziej widoczne i namacalne, ale to nie znaczy, że te pozostałe są mniej prawdziwe i realne.

Antonio nie od razu mu odpowiedział. Uśmiechnięty, bawił się łyżeczką i nagle w krótkim przebłysku wszystko ułożyło mu się w jedną całość: odkryty dzięki Calliope portret Genève, list otrzymany po piętnastu latach, niebotyczna babilońska wieża, winda i Tirnaïl, z jego ruchomymi granicami, które pojawiały się i znikwały niejako z przypadku, choć w rzeczywistości zależały od woli Kolekcjonera.

– A czy Tirnaïl jest realne? Czy ludzie, których tam poznałem, są... prawdziwi?

– Oczywiście. Również oni są częścią zagubionych historii. Już raz to panu wyjaśniłem, panie Fonte. Wszystko, co dociera do Tirnaïl, żyje własnym życiem, a bohaterowie zapomnianych historii, zarówno żywi jak i umarli, otrzymują w Królestwie Rzeczy Utraconych drugą szansę. Stają się uosobieniem i esencją tego, czym byli w przeszłości, o czym marzyli, czego się obawiali, a także opinii, które na ich temat krążyły.

– Jak to więc możliwe, że niektóre rzeczy powracały do życia dzięki mojej obecności, skoro istniały już przed moim przybyciem? Na przykład miasto nocy i mgły...

– Miasto utraconych nadziei – przerwał mu Kolekcjoner, zanim jeszcze Antonio zdołał do końca wyrazić nurtujące go wątpliwości. – Naturalnie, że istnieje. Ale Tirnaïl tworzą ludzie, a ludzi tworzą z kolei ich historie. Kiedy tylko jakiś człowiek wraz ze swoją historią zostanie wchłonięty przez Tirnaïl, przeszłość tej krainy ulega przeobrażeniu. Zmienia się jej struktura, pojawiają się nowe nazwiska. Uprzedzałem pana, że to bardzo skomplikowane miejsce, ostrzegałem, że Tirnaïl, to kraina pełna życia.

Antonio zastanowił się nad jego słowami. Szczerze powiedziawszy niewiele mu wyjaśniały, ale cieszył się, że w ogóle otrzymał odpowiedź.

– No, dobra. To niech mi pan składa tę swoją propozycję i znika.

Kolekcjoner uniósł palec, prosząc o chwilę cierpliwości. Wyciągnął z kieszonki długopis, rozłożył leżącą przed nim serwetkę, pochylił głowę i przez kilka minut coś skrobał. W końcu postawił kropkę, wyłączył długopis i wyraźnie usatysfakcjonowany, wsunął go z powrotem do kieszonki marynarki. Ponownie

złożył serwetkę i przez chwilę uderzał w nią palcami. Przyglądał się Antoniowi i w jego głębokim spojrzeniu dostrzec można było podziw.

– Wie pan, już od jakiegoś czasu mam pana na oku. Zauważyłem, że potrafi pan po mistrzowsku dostrzegać piękno i wzbudzać w sobie zachwyt. Ma pan fenomenalną pamięć i absolutnie nieprzeciętną umiejętność wychwytywania szczegółów. Podoba mi się pana stosunek do świata. Jest pozbawiony obsesyjnego cierpiętnictwa, ale za to pełen miłości i zaangażowania. Te cechy plasują pana na nieco wyższym poziomie rozwoju ludzkości. Poza tym lubi pan ludzi i ich historie, a to niezbędne predyspozycje, by zostać złodziejem z mgły. Jeśli dobrze pamiętam, właśnie takim terminem określił pan moich asystentów. Poza tym posiada pan pewną niezwykle rzadką w dzisiejszych czasach cechę, a mianowicie poczucie wewnętrznej wolności. Ludzie codziennie udają, że poszukują wolności, udają wręcz, że jej pragną, ale całkowita wolność posiada zbyt wysoką cenę, którą pan, chcąc nie chcąc, już zapłacił. Tylko osoba, która została wszystkiego pozbawiona i poznała smak nicości, staje się człowiekiem prawdziwie wolnym. Piętnaście lat temu postanowił pan pozbyć się swojej historii. Wymazując ją, miał pan złudną nadzieję, że w ten sposób się od niej uwolni. Było to jednak błędne posunięcie. Jedynie konfrontując się z przeszłością i przyjmując na siebie cały jej ciężar, stał się pan naprawdę sobą. Widzę teraz człowieka, który nie ma już nic do stracenia, ponieważ wie, kim jest. Widzę przed sobą człowieka wolnego.

Te słowa zrobiły na Antoniu ogromne wrażenie i gdyby nie fakt, że padły z ust Kolekcjonera, poczułby się nimi prawdziwie zaszczycony. Musiał jednak zachować czujność i nie zapominać, że Kolekcjoner nie był zwyczajnym człowiekiem. Nikt nie znał jego historii, dobrze ukrytej w głębi jego spojrzenia i nikomu nigdy nie udało się jej ukraść. To dawało Kolekcjonerowi nieograniczoną władzę i czyniło z niego istotę nadludzką.

– Ostatni raz pochwalono mnie tak w trzeciej klasie szkoły podstawowej, kiedy narysowałem wielkanocnego zajączka. Zrobiłem mu nawet wąsiki. Mama była ze mnie bardzo dumna. Szkoda, że i ten rysunek gdzieś się potem zapodział.

– Doceniam również pana sarkazm.

– Chyba już wiem, czym się pan zajmuje i do czego jestem panu potrzebny. Wreszcie pojąłem, że wszystko, co wydarzyło się od dnia, w którym odnalazłem portret Genève, a może i jeszcze wcześniej... Że wszystko to jest owocem pana przewrotnego i niezrozumiałego dla mnie planu. 17 grudnia 1999 roku wysłuchał pan mojej historii, a potem stworzył krainę i podróż na moją miarę. Teraz ja chciałbym pana o coś prosić. Proszę podać mi jakiś powód. Tylko jeden jedyny powód, dla którego nie tylko nie powinienem pana zabić, ale powinienem wręcz zacząć dla pana pracować.

Kolekcjoner parsknął śmiechem i położył na stole serwetkę. Podsunął ją Antoniowi pod nos.

– Co to?

– To pańska historia, panie Fonte, historia pańskiego ojca. Historia, którą może pan opowiedzieć i o której nikt nigdy już nie zapomni. Przysięgam na mój honor. A przecież doskonale zdaje sobie pan sprawę, że gdybym tylko chciał, mógłbym sprawić, aby stało się inaczej.

Antonio wziął do ręki kartkę, ale nie śmiał jej rozłożyć.

– To z tego powodu w ciągu piętnastu lat żaden z pańskich asystentów nie usunął listu ze ścian mieszkania Genève... Mieszkania, stanowiącego niejako pańską słuźbówkę. Czy to z mojego powodu nikomu go pan nie wynajmował? Czyżby było ono przeznaczone dla mnie, panie Poitier?

– W rzeczy samej – potwierdził z uśmiechem Kolekcjoner. – To, co pan ode mnie otrzymał, jest jedynie wstępem. Wszak wszystkie historie mają swój wstęp, nieprawdaż?

Obaj mężczyźni zamilkli, w ciszy słychać było jedynie dochodzący z baru gwar i śmiechy. Kolekcjoner nie spuszczał wzroku z Antonia, a ten wpatrywał się w serwetkę, skubiąc ją nerwowo za narożnik, a potem zapytał ściszym głosem.

– A czy wie pan, gdzie kończą się wszystkie historie, szanowny panie?

Kolekcjoner objął się ramionami, zaintrygowany.

– Dokładnie tam, gdzie się zaczęły – wyszeptał Antonio, niemal cytując w duchu słowa starej przypowieści. – W tym samym miejscu, w ten sam sposób i z tym samym bohaterem w roli głównej. Ojciec mówił mi zawsze, że wszyscy przemierzamy tysiące światów i poznajemy tysiące osób. Wszystkie one zamknięte są w naszym doświadczeniu i nikt z zewnątrz nie może ich dostrzec. Tak jak i my nie możemy dostrzec światów innych ludzi. Nasze życie ulega nieustannej metamorfozie, ale prawie nikt nigdy się do tego nie przyznaje. Udajemy, że nic się nie wydarzyło, że wszystko normalnie toczy się i mija i że tak właśnie musi być. Codziennie, gdy tylko otworzymy oczy rozpoczynamy od nowa tę samą grę. Stwarzamy pozory, że nic nami nie poruszyło, nie zmieniło biegu naszej egzystencji. To nasze najtrudniejsze życiowe zadanie i dowód życiowej siły. Robimy wszystko, by skończyć tak jak zaczęliśmy, udając, że nic się nie zmieniło. A wie pan dlaczego?

– Proszę, niech pan mi to powie.

– Ponieważ dokonujemy rzeczy tak wspaniałych, że zasługujemy na wieczną pamięć i nieśmiertelność, ale ilu z nas naprawdę je otrzymuje? By usprawiedliwić fakt, że nasze życie nie zmieniło biegu historii, nie miało wpływu na losy świata, przekonujemy się, że na to nie zasługiwało, że było bez znaczenia. – Antonio pokręcił głową. – Ale to nieprawda i dlatego zajmuję się pisaniem, chcę, żeby historie kończyły się tam, gdzie się zaczęły.

– To są właśnie historie, które określam mianem zagubionych. Jak widać, wie pan doskonale, czym zajmuje się złodziej z mgły. Co więcej... Nieświadomie

był pan nim od zawsze.

Po tych słowach minęło kilka sekund, zanim Antonio wrócił z powrotem na ziemię i uświadomił sobie gdzie, z kim i o czym rozmawiał. Podniósł wzrok na Kolekcjonera i bez strachu popatrzył mu prosto w oczy.

– Proszę tylko pomyśleć. Pan odbył podróż po Królestwie Rzeczy Utraconych, jak więc może wrócić pan teraz do życia tutaj, wśród ludzi, którzy nawet nie podejrzewają jego istnienia? I proszę mi tylko nie mówić, że nie chciałby pan poznać prawdziwego oblicza Tirnaill! Królestwa, w którym nie panują cienie z pańskiej przeszłości, ale które przekracza wszelkie wyobrażenia każdej ludzkiej istoty. Niech się pan nad tym zastanowi – powtórzył Kolekcjoner i wstał z krzesła, czyniąc pożegnalny gest. – Gdyby się pan zdecydował, wie pan, gdzie mnie szukać.

– Oczywiście – wybąkał pod nosem Antonio, a kiedy uniósł wzrok, okazało się, że mężczyzny już nie było, rozplątał się na tonącej w deszczu ulicy.

Przez dłuższy czas przypatrywał się kroplom wody osiadającym na liściach ciemiernika, zwanego bożonarodzeniową różą. Przechodnie na ulicy znikali we wnętrzach zatłoczonych lokali, by przeczekać ulewę. Antonio natomiast zostawił pieniądze za rachunek na stoliku i wybiegł na zewnątrz, nie zwracając uwagi na rozplakane niebo. Uniósł głowę, okulary zaszły mu mgłą. Świat oglądany przez zaparowane szkła był trochę zdeformowany, ale przez to nie mniej prawdziwy. Odwrócił się, by po raz ostatni rzucić okiem na ludzi w barze i spostrzegł drobną monetę, którą pulchna, przeżuwająca kelnerka nieświadomie upuściła na ziemię dokładnie w pobliżu drzwi. Antonio schylił się po nią. Dwadzieścia centów. Niewiele, ale od czegoś trzeba było zacząć zapełnianie kas bankowych w Tirnaill. Kiedy się wyprostował, napotkał wzrok chłopczyka siedzącego przy stoliku z dziadkiem. Dziecko przyglądało mu się zaciekawione, a on, jak iluzjonista w czasie popisowego numeru, przyłożył palec do ust. Tak samo jak jego ojciec pewnego upalnego dnia, wiele lat temu na ulicy Corso Umberto, zanim wsiadł do pociągu z biletem w jedną stronę. Wsunął pieniążek do kieszeni i na zawsze opuścił bar, udając, że tego dnia nic nadzwyczajnego mu się nie przydarzyło.

Dopiero kiedy wyszedł na mokrą i zamgloną ulicę, wydobyl z kieszeni podarowaną mu przez Kolekcjonera serwetkę – jego przesłanie na całe życie. Czytał i uśmiechał się. Kolekcjoner nie kłamał. To był naprawdę początek ostatniej historii. Jego własnej historii, historii jego ojca i bezimiennej dziewczyny, która bała się ważek i znalazła dom na końcu świata.

Trawa na wzgórzu oddycha. Ponoć ten, kto w chłodne zimowe noce wslucha się w jej tchnienie, usłyszy zapomniane od lat opowieści. Historie niezwykłych ludzi, którzy żyli krótko i odeszli na zawsze, zniknęli pogrzebani na cmentarzu niepamięci.

Jestem jedną z tych zapomnianych historii. Kiedyś ktoś wybrał dla mnie najgorszy rodzaj śmierci... Wtedy właśnie przestałam istnieć.

[42] Makaron z sosem mięsno-cebulowym, danie typowe dla kuchni neapolitańskiej – przyp. tłum.

Podziękowania

Przede wszystkim chciałabym podziękować Silvii Ormanni i Matilde Di Pasquale. To dzięki nim książka ta opuściła dno mojej szuflady, bez ich wsparcia publikacja nie byłaby możliwa.

Dziękuję mojemu ojcu, Massimo – mojej osobistej „chodzącej encyklopedii”, mojej mamie Cecilii, która podarowała mi wspaniały ogród, cały do mojej dyspozycji. Dziękuję za wielką cierpliwość, z jaką znosiła wszystkie moje zwariowane pomysły, i obiecuję, że będę miała jeszcze wiele nowych.

Dziękuję mojemu bratu Fulviowi, który zawsze jako pierwszy czyta wszystkie opowiesci, bez jego cennych uwag żadna z nich nie ujrzałaby światła dziennego.

Oddzielne podziękowania składam Stefano Granato, który podarował mi wiele papierowych łódeczek i, gdy przyszła na to pora, pomógł opuścić Tirnaïl.

Dziękuję dwóm wielkim pisarzom za ich cenną przyjaźń. Simonetcie Santamarii – królowej horroru, która sprawiła, że polubiłam mrok, wampiry i duchy, i która uświadomiła mi, że prawdziwe zło tkwi w rzeczach realnych, a także Massimo Izziemu – najbardziej upartemu tropicielowi potworów, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

Dziękuję pracownikom wydawnictwa Longanesi za wszystko, co dla mnie zrobili i robią do tej pory.

Osobne podziękowania składam Giuseppe Strazzeriemu. To on od początku uwierzył w tę historię i sprawił, że od razu poczułam się w wydawnictwie jak u siebie w domu.

Wyrazy wdzięczności kieruję również do Guglielmo Cutolo i Fabrizio Cocco – facetów od brudnej roboty. Aby nie zwariować w Tirnaïl, potrzebny jest hart ducha i mocne nerwy, a im nigdy ich nie brakowało. Pomogli mi przypomnieć sobie, co może być realnego w nieistniejącym świecie.

Z całego serca dziękuję mojemu kotu, a także wszystkim osobom i przedmiotom, które utraciłam w ciągu całego życia. To właśnie dla nich stworzyłam tę historię.

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

Wstęp

1. Antonio M. Fonte

2. Genève Poitier

3. Zapomniany list

4. Biuro Rzeczy Zagubionych

5. Kolekcjoner

6. Zaginione drzwi

7. Taras pana Nicotiany

8. Blichtr i lustra

9. Aukcja Złudzeń

10. Antoine Tomojasprawa

11. Nechnabel

12. Santiago
13. Noksy
14. Kryształowa Noc
15. Willa Geras
16. Hrabia Vladimir
17. Karaluchy
18. Ucieczka
19. Królestwo Rzeczy Znalezionych
20. Grillost
21. Zaczarowany las
22. Morze Zsypijskie
23. Sklep z wiatru i morskiej soli
24. Król Jerzy III
25. Złodziej z mgły
26. Błędna Gospoda
27. Balal
28. Ester
29. Żywy albo martwy
30. Pociąg pospieszny z Balal
31. W pociągu

32. Jak zostać hrabią-wampirem
33. Ulotki
34. Księżna Huldrekat
35. Miasto Umarłych
36. Królestwo Straconego Czasu
37. Dom na wzgórzu
38. 17 grudnia 1999 roku
39. Czas radości, szeptów i milczenia
40. Czas historii, śmierci i powrotów
41. Czas złudzeń
42. Czas rozczarowań i zapomnienia
43. Świetliki i ważki
44. Zapiski na ścianach
45. Historia cudzoziemca i dziewczyny znad rzeki
46. Odnalezione historie
47. Trawa na wzgórzu oddycha...
48. Podziękowania

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: Il ladro di nebbia

Longanesi & C. © 2015 – Milano

Gruppo editoriale Mauri Spagnol

Copyright for the Polish edition © 2016 by Wydawnictwo FILIA

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2016

Projekt okładki:

Art Director: Francesca Leoneschi

Graphic Designer: Paola Berardelli/*theWorldofDOT*

Zdjęcie na okładce: © Roy Bishop/Arcangel

Redakcja: Agnieszka Czapczyk / panbook.pl

Korekta: Anna Wawrzyniak-Kędziorek / panbook.pl

Projekt typograficzny i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-118-7

FILIA

Wydawnictwo FILIA

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

